

Medeiros Teresa

*Szept
róz*



Medeiros Teresa

Szept róż

*Wśród szkockich gór i angielskich salonów płonie ogień uczucia
większy niż odległość między nimi.*

*Jako chłopiec, Morgan MacDonnell był dla niej udręką, ale dopiero teraz
stał się prawdziwym przekleństwem. Zamierzał poślubić ją dla pokoju
między klanami.*

*Sabrina Cameron nie zamierzała być tylko pionkiem w grze o władzę.
Skoro Morgan MacDonnell jej pragnął, musi jej coś dać w zamian...
Musi jej złożyć w ofierze swoje serce.*

*Kto postawi na swoim? Niepokonany szkocki olbrzym?
Czy delikatna angielska lady?*



Prolog

Highlands, Szkocja 1718

Sabrina Cameron pocierała w dłoniach jedną z okazałych, herbacianych róż swojej matki. Drobinki kwiatowego pyłku łaskotały jej nozdrza. Kichnęła i przycisnąwszy pulchną ręką usta, wcisnęła się głębiej w żywopłot.

Nadchodzili MacDonnellowie, a ona trzęsa się przerażona, lecz jej oczy błyszczały z zachwytu. Odkąd sięgała pamięcią, MacDonnellowie dręczyli ją w snach, w tych najgorszych z koszmarów. Jej bracia szeptali kiedyś o nich w świetle świec. Mówili, że to potwory, pół ludzie, pół bestie. Wielkie, kudłate stwory chodzące na dwóch nogach odziane w świeżą, zwierzęcą skórę. Dzieci Cameron Glen trzęsły się na samą myśl o nich, a mężczyźni starali się nie oddalać od wioski po zmroku.

Mówiono, że w ciemne, bezksiężycowe noce, kiedy psy skomlały i wyły pod murami dworu, MacDonnell przechadzał się po ciemnych lasach w poszukiwaniu nieposłusznych dziewcząt lub chłopców, których mógłby zaciągnąć do swej kryjówki.

Sabrina rozchyliła gałązki krzewu i wyjrzała. Jej matka klęczała na jednej z ogrodowych drózek i wbijała srebrny rydel w ziemię dookoła różnych krzewów. Nisko zawieszona deszczowe chmury rozszczepiały promienie słońca, które rzucało czerwone plamy na jej zaczesane do góry włosy. Zwinięty w kłębek szczeniak z perkatym noskiem wylegiwał się na rzuconym obok niej płaszczu.

Głośne śmiechy zabrzmiały jak ostrzeżenie, gdy metalowa furta ogrodu otworzyła się szeroko i bracia Sabriny wpadli radośnie do ogrodu. Alexander niósł Briana na ramionach, a ten ostatni darł się na całe gardło, okładając swojego wierzchowca cienką gałęzią i wydając rozkazy. W końcu Alex zatrzymał się gwałtownie, pochylając się równocześnie do przodu, tak że jeździec wyleciał

niczym wyrzucony z procy. Obaj upadli i zaraz zwarli się w walce na pięści i kułaki tocząc się prosto ku ścielącym się na ziemi sukniom matki.

Elizabeth Cameron rozdzieliła tę wijącą się masę błyskającą rudymi włosami z niebywałą, nabytą przez ostatnie dziesięć lat wprawą. Chłopcy wisieli teraz w powietrzu, a ich twarze wyrażały pokorne poddanie się. Potrząsnęła nimi lekko. W jej doskonałym angielskim akcencie słuchać było nutkę zdenerwowania.

- Powinnam wałnąć was w te kapuściane głowy! Chcecie, żeby wasza siostrzyczka brała z was przykład?

Poczęła ściierać plamy z trawy z ich spodni w szkocka kratę. Brian odwdzieczył się, plując na swą dłoń i próbując zetrzeć błoto z jej policzka.

Alex stuknął obcasami i obruszył się.

- Przynosimy wieści od Tatka. MacDonnell nadchodzi. - Brian spojrział chytrze na drżący żywopłot. - Mówią, że głodny. Ma ponoć chrapkę na małe dziewczki o kruczoczarnych włosach.

Sabrina wyszła z ukrycia.

- I co, widziałeś go? Naprawdę jest pokryty włosami od stóp to głów?

- A jakże! Ma ostre, spiczaste szpony ociekające krwią. - Alex wygiął ręce jak potwór i wyszczerzył na nią zęby.

- Alex! - powiedziała ostro matka. - Przestań zaśmieczać jej głowę tymi głupotami.

- Okazuj więcej szacunku swojej matce, chłopcze. - Melodyjne, szkockie „r” rozległo się w powietrzu. - Uszy mojej małej księżniczki już pękają od tych bzdur.

- Tatko! - Sabrina popędziła w kierunku mężczyzny stojącego w bramie.

Kiedy Cameron chwycił w ramiona swoją jedyną córkę, jego obecność zdawała się wypełniać cały otoczony murem ogród. Była jego maleńkim odbiciem; jak gdyby to on sam ją wyrzeźbił. Jej ciemnoniebieskie oczy błysnęły spod długich rzęs. Cameron mrugnął do żony znad ciemnych loków Sabriny, która nie mogła przestać obcałowywać jego brody.

Sabrina chwyciła za włoski wystające zza jego kaftana.

- Tatku, czy to prawda, że MacDonnellowie mają ogromne kłaki na stopach, i że wszystkie ich łyżki są zrobione z ludzkich żeber?

Alex i Brian szturchnęli się porozumiewawczo, dławiąc się własnym śmiechem.

- Może sama powinnaś zapytać naszego gościa. Zaraz tu będzie. - Cameron rzucił swoim synom gniewne spojrzenie. - Do tego czasu, nie zwracaj uwagi na plotki młodych idiotów.

Kiedy postawił wreszcie Sabrinę na ziemi, spojrzała na niego. Już miała zdradzić mu swoje nadzieje związane z MacDonnellem, ale on dziarskim krokiem wyruszył w kierunku żony.

Pocałował ją czule.

- Jestem twoim dłużnikiem za to, że pozwoliłaś chłopakowi przyjechać. Skoro MacDonnell powierzył mi swojego syna na lato na wychowanie, może zaufa mi także w innych sprawach.

Alex szturchnął robaka patykiem.

- Tatko kazał, abyśmy byli mili dla tego chłopaka. Mówi, że mamy go serdecznie powitać i nigdy nie wspominać o jego ojcu, który jest podstępna kanalia, gotową człowieka wybebeszyć, a potem upiec wnętrzości jak...

Na widok zszokowanego wzroku żony, Cameron zatkał usta Alexa ręką.

- Nigdy tak nie mówiłem. Musiał to usłyszeć od kogoś innego. Brian wykorzystał chwilową niemoc brata i uszczypnął go

w udo. Alex zablokował go i oboje zaczęli wymachiwać pięściami. Sabrina, chcąc zejść im z drogi, potknęła się o śpiące szczeniaki, które poderwały się, wydając z siebie przeszywający uszy pisk.

Upadając na trawę, Sabrina pierwsza zobaczyła tego chłopaka. Był zupełnie spokojny. Nie miała pojęcia, od jak dawna już tam stał i ich obserwował. Jego smutna mina wskazywała na to, że o wiele za długo.

Ciekawość pokonała jednak strach. Wstała. MacDonnell rzeczywiście miał dużo włosów, ale większość z nich spływała mu w dzikim, rudawo-złotym nieładzie na ramiona. Jego ubranie w niczym nie przypominało świeżej zwierzęcej skóry ani nie ociekało krwią. Pot i brud znaczyły jego brudną twarz, a bosa stopy

wystawały spod rajtuzów. Przez jego ramiona przewieszony był poszarpany tobołek. MacDonnell wcale nie wydał się Sabrinie groźny.

Kiedy nieśmiało podążyła w jego kierunku, zdała sobie sprawę, że się myliła. Wyczuła jakąś dziką energię wyczuwalną w jego postawie. Przywodził jej na myśl zwierzę, dzikie i dużo bardziej niebezpieczne, bo osaczone. Jej nos drgnął pod wpływem rzeźkiej woni jego skóry. Pachniał świeżo ruszoną ziemią i słońcem, jak gdyby spędził niejedną noc pod osłoną nieba w sosnowym zagajniku. Miał opaloną skórę, a zieleń jego zamglonych oczu przypominała polanę w letni dzień. Głębia jego spojrzenia ujawniała niewątpliwą inteligencję.

Podeszła do niego tanecznym krokiem i ukloniła się niezdarnie.

- Hej, chłopaku! Witaj w domu Cameronów!

Hałaśliwa przepychanka Alexa i Briana nagle ustała, a piski szczeniaków przeszły w ciche skomlenie. Z dumnym i wyniosłym wzrokiem, jakiego nie powstydzilby się monarcha, młody MacDonnell zlekceważył Sabrinę, jak gdyby była ślimakiem chcącym przeprowić się przez brud pod jego stopami. Jej policzki zapłonęły żarem.

Ochłonęła, gdy ojciec spokojnie położył dłonie na jej ramionach.

- Moja córka powitała cię dokładnie tak, jak zrobiłbym to ja. Chłopcze, witaj w domu Cameronów.

- Nie jestem twoim chłopcem - odburknął. - Jestem Morgan Thayer MacDonnell, syn Angusa MacDonnella i dziedzic władzy MacDonnellów.

Sabrinie zaimponowała ilość „MacDonnellów”, jaką zdołał wcisnąć w jedno zdanie. Stał tak prosto, że musiał boleć go kręgosłup. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, ale odwrócił wzrok. Brian i Alex mierzyli go wzrokiem, którego nie można jednak było zaliczyć do niemiłych.

- Mamy nadzieję, że zechcesz uważać dom Cameronów za swój aż do końca lata - powiedział jej ojciec.

- Oby ten cholerny koniec nie przyszedł za późno - mruknął chłopak z tak wyraźnym i wyrazistym szkockim akcentem, że można by go ciąć nożem.

Cameron miał już zamiar coś powiedzieć, ale żona powstrzymała go delikatnym ruchem ręki. Była jedyną osobą, która zdawała sobie sprawę, że usta Morgana zaciśnięte są tylko po to, by stłumić drzenie.

Elizabeth podeszła do niego i łagodnie położyła dłoń na jego policzku.

- Ośfhiele się zasugerować, że na pewno zatęsknisz za ojcem i matką, nieprawdaż synu?

Gwałtownie odepchnął jej rękę.

- Matki nigdy nie miałem i teraz też nie będę jej potrzebował. A w szczególności nie będę potrzebował jakiejś przekłetej Sak-sonki. - Sabrina nie zrozumiała tego słowa, ale jej matka nagle zbladła.

Morgan ani drgnął, gdy padł na niego cień Camerona. Stał dumnie i prosto, a jego oczy płonęły lodowatym, zielonym ogniem. Wyciągnął szyję, by spojrzeć Cameronowi w oczy. Brian i Alex zachichotali. Sabrina zakryła oczy, ale wciąż obserwowała sytuację przez palce i zuchwale nadstawiała uszu.

Wściekła twarz jej ojca powoli się rozchmurzyła, a jego mina była coraz bardziej rozbawiona. Wyciągnął rękę, by potargać włosy Morgana, który był zbyt zszokowany, by uchylić się przed jego dłonią.

- Mówisz jak rasowy MacDonnell. Urodzony wojownik. Zupełnie jak twój ojciec. Przydasz się tu na pewno.

Morgan zadrżał gniewnie.

- Służę tylko MacDonnellom. Nienawidzę Cameronów! Chichot Alexa i Briana przeszedł w głośny śmiech. Morgan zamierzył się na nich zaciśniętą pięścią.

- Wy małe, piegowate gnidy, jak śmiecie naigrawać się z MacDonnellów? Powinienem wybić wam zęby i kazać je połknąć!

Ta nowa groźba jeszcze bardziej ich rozbawiła. Zgięli się wpół, trzymając się za boki. Nim matka zdążyła udzielić im reprimendy, Morgan wybiegł z ogrodu, zostawiając Camerona samotnie stojącego przed bramą.

- Hej, zaczekaj! - wołała Sabrina.

Gdyby nie darzył Alexa i Briana nienawiścią, pewnie nie wzgardziłby nią tylko dlatego, że była dziewczyną.

Bez słowa wyjaśnienia, przedarła się przez żywopłot i rzuciła się w pogoń za nim.

- Sabrina! - krzyczała Elizabeth. Cameron uchwycił ramię żony.

- Niech idzie! Jeśli ktoś jest w stanie zauroczyć tego barbarzyńcę MacDonnella, to tylko ona.

Cameron znalazł małą kryjówkę w bluszczu otulającym ścianę i obserwował tych dwoje biegających po łące pod osłoną gnanych wiatrem, szarych chmur.

- Niech Bóg będzie z tobą, księżniczko! - wyszeptał. - Obawiam się, że będziesz zmuszona użyć wszystkich znanych sobie sztuczek.

- Hej chłopcze, zaczekaj! Czekaj na mnie!

Sabrina przebierała szybko swoimi pulchnymi nogami. Jej wołanie stawało się coraz głębsze i zaczęło wypełniać się ciężkim sapaniem. Słońce zdążyło schować się już za chmurami, a kontury ciała Morgana rozmazywały się w oddali. Uznała, że bieganie musiało zajmować wysoką pozycję na liście jego talentów. Upadła, parząc kolana na wielkiej paproci. Zapach nadciągającej burzy zmobilizował ją do dalszego biegu. Poderwała się i popędziła za nim w kierunku mrocznych i strzelistych dębów. Korzeń zawinął się wokół jej kostki, wymuszając na Sabrinie przybranie osobliwej figury akrobatycznej. Wylądowała w końcu na swoim zadku i z rozbawieniem odkryła, że leży w rowie, a głowę ma owiniętą spódnicą.

- Czy wszyscy Cameronowie są naznaczeni klątwą głupoty i bezsensownego uporu?

Sabrina wyplątała głowę ze spódnicy. Morgan MacDonnell stał nad nią z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, wpatrując się we wszystko to, co powinno być bezpiecznie ukryte pod jej spódnicą.

Pospiesznie poprawiła ubranie i podała mu rękę.

- Cześć chłopcze!

Pomógł jej wstać, po czym wytarł rękę o swoją brudną tunikę, jak gdyby to Sabrina pobrudziła ją swoim dotykiem.

- Nie nazywam się Chłopiec, jestem...

- Morgan Thayer MacDonnell - powiedziała poważnie. - Syn Angusa MacDonnella i dziedzic władzy MacDonnellów. Słyszysz tylko MacDonnellom i nienawidzisz Cameronów. A ja jestem Sabrina, córka Douglasa Camerona.

- Nie ma co do tego wątpliwości. - W głosie Morgana dało się wyczuć gorzką nutę. - Jesteś odbiciem samego diabła.

Sabrina zmarszczyła czoło, starając się znaleźć choć jedną rzecz, która zbliżyłaby ich do siebie i pozwoliła się porozumieć.

- Lubisz robaki? - zapytała.

- Nie.

- A może żuki?

- Wojownicy nie mają czasu na takie głupoty. Zmarszczki na jej czole pogłębiły się. Brian i Alex mieli czas na

robaki, żuki i pająki, które uwielbiali wsuwać pod jej kołdrę. Może powinna go jednak zapytać, czy aby na pewno kępki włosów nie rosły pod jego stopami. Grube, jasne rzęsy przykryły jego oczy.

- Co więc lubisz?

- Bijatyki na pięści. Miecze. Broń. - Jego ponure usta rozchyliły się, ukazując rząd prostych, białych zębów. Nie było pośród nich kłów. - No i, wygrywać.

Sabrina nagle poczuła się lekko oślepią, jak gdyby słońcu wreszcie udało się wydrzeć zza uparcie zasłaniającej je chmury. Ośmielona jego uśmiechem, położyła mu rękę na ramieniu. - Tak lepiej. Naprawdę wierzę, że zostaniemy przyjaciółmi. Właściwie to już bardzo cię polubiłam.

Spojrzał na jej pulchne paluszki gładzące jego ramię. Morgan nigdy nie spotkał w swoim życiu nikogo, kto nie byłby jego wrogiem bądź członkiem klanu. Cała masa emocji przeszła przez jego bujnie zielone spojrzenie. Szok. Strach. Niepewność. Tęsknota.

Wyszarpnął swoje ramię z jej dłoni.

- Nie jestem twoim przyjacielem. Nie lubię cię.

Usta Sabriny drgnęły, lecz uśmiech nadal zdobił jej twarz.

- Dlaczego? Jasne, że mnie lubisz! Wszyscy mnie lubią. Tatko mówi, że mogłabym oczarować nawet wąsy dzikiego kota.

Oczy Morgana zaszyły mgłą i groźnie pociemniały. Sabrina cofnęła się o krok.

- Dziewczyno! Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? - zapytał. - Nie lubię cię. I jestem cholernie mocno przekonany, że nie znoszę też twojej angielskiej mamuni i tej obrzydliwie bogatej kanalii, twojego ojca.

Oczy Sabriny zaszyły łzami. Nie była przygotowana na jego obraźliwe słowa. Całe życie otaczana była tylko uwielbieniem. Jego ostre słowa w niczym nie przypominały łagodnych docinek jej braci. Morgan uniósł rękę w geście pogardy.

- No dalej, płacz sobie. I tak nie spodziewałem się niczego więcej po małej, głupiej dziewczynce.

- Nie jestem małą dziewczynką. Mam sześć lat!

Zbliżył się do niej. Sabrina nie ruszała się, lecz kiedy pchnął ją delikatnie w klatkę piersiową, siadła gwałtownie na kupie liści. Łzy ciekły z jej oczu. Skuliła się w sobie i poczęła żałośnie szlochać.

- Tatkowi nie spodoba się to, że mnie popchnąłeś - wykrztusiła z siebie, wstając.

Szyderyczy śmiech Morgana rozbrzmiewał za jej plecami.

- Itak nic nie wskórasz. No, księżniczko, biegnij do swojego tatusia! Donieś na mnie. Powiedz, że niegrzeczny chłopiec popchnął cię i posiniaczył twoją małą dumę. Może wrzuci mnie do lochu i pozwoli tam zgnieć, tak jak uczynił to z moim dziadkiem. A może każe mnie ściąć tak, jak stary Eustace Cameron kazał ściąć Lachlana MacDonnella.

Sabrina zatrzymała się. Jej plecy wyprostowały się. Poczucie godności wypełniło całe jej małe ciało. Sapiąc wściekle, stanęła z nim twarzą w twarz.

- O nie, Morganie MacDonnelli. Nie jestem dzieckiem i nie doniosę na ciebie. Nie możesz zrobić absolutnie nic, żebym na ciebie doniosła. I przysięgam ci, że nigdy więcej nie będę już przez ciebie płakała. Nigdy już nie uronię łzy przez takiego podłego chłopaka. Ty... ty... - Znany jej wachlarz obelg nie zawierał słowa wystarczająco plugawego, by nazwać Morgana. - MacDonnelli!

Resztę drogi pod górę pokonała sama, wpijając się palcami

w ziemię i chwytając wystające korzenie, by uniknąć ześlizgnięcia się ze zbocza. Wspięła się na brzeg rowu, ścigana przez potok gaelickich wyzwisk, których na szczęście nie rozumiała.

Pierwsze spadające krople deszczu zmusiły ją do biegu. Odgłos grzmotu przerwał dochodzące z oddali wołanie MacDonnella, który wtulony w drzewo płakał, a jego gorzkie łzy mieszały się z wielkimi kroplami deszczu.

Kiedy Sabrina wpadła do salonu, Dougal Cameron siedział przy kominku i wygrzewał swoje stopy. Ociekająca wodą Sabrina, mocząc cenny, orientalny dywan matki, wskoczyła mu na kolana.

- Widzę dziewczynko, że dopadła cię burza.

Pokiwała głową, uderzając nią o jego podbródek. Wtuliła się w jego ramiona i czekała aż miną dreszcze. Początkowo bał się, że to szloch tak wzdryga jej ciałem, ale kiedy spojrzała na niego, oczy jej były suche i płonęły ze wściekłości.

- Powinieneś być trzepnąć go w ucho, Tatku. On jest bardzo niegrzecznym chłopcem.

- Może i jest. Ale MacDonnellowie są szorstkim i upadłym rodem, księżniczko. Podejrzewam, że chłopak potrzebuje po prostu trochę miłości i zrozumienia, a nie, trzepania uszu.

Jej mała twarzyczka wykrzywiła się.

- Nie chce ci tatku sprawić zawodu, ale ja na pewno go nie pokocham.

Cameron zaśmiał się.

- Niech i tak będzie. Myślę, że zjedna nas sobie swoim charakterem.

Objęła go i pocałowała w brodę.

- Kocham cię, tatku. I to ciebie zawsze będę kochać najbardziej na świecie.

Dougal zatopił swój podbródek w jej jedwabistych lokach, rozrywany pragnieniem, by oszczędzić jej wszystkich przyziemnych i miłosnych cierpień.

- Mylisz się, księżniczko - powiedział spokojnie. - Ale to miłe. Naprawdę miłe.

CZEŚĆ PIERWSZA

Ostatniej róży która
Kwitnie w ten letni czas
Najbliższych ukochanych
Już nie ma dziś wśród nas

- Sir Thomas Moore

Rozdział 1

Highlands, Szkocja 1730

- MacDonnellowie nadchodzą! MacDonnellowie nadchodzą! Odległy okrzyk zabrzmiał jak armatnia salwa, odbijając się

echem o domy sennej wioski Cameron Glen. Wieśniacy pędzili w szalonym popłochu brukowanymi uliczkami, nie wiedząc czy chować swe zwierzęta, czy dzieci. Cyniczny zagrodnik wychylił się do tyłu na krzesło, zaciągnął się wolno fajką i stwierdził ponuro, że owca czy córka tak naprawdę nie ma różnicy, jeśli chodzi o miłosne skłonności MacDonnellów.

Nieliczni szczęśliwcy, których stać było na zasłony, gwałtownym ruchem przesłaniali nimi okna. Cameronowie i MacDonnellowie uwikłani byli w waśnie rodowe, od tak dawna, że nikt już nie pamiętał, jak się to wszystko zaczęło. Dla wieśniaków wrogowie ich panów byli bardziej mitem niż żywymi ludźmi. Przez dekady kradli i wykorzystywali niewiasty z wielką wprawą. Jeśli dziewczyna ze wsi wracała z gór rozczochrana i oszołomiona znaczące szeptu witały jej rosnący później brzuch i narodziny płowowłosego dziecka.

Kłęcząc na drodze, uschnięty strzec zgromadził wokół siebie gromadkę oniemiałych z wrażenia dzieci.

- Byłem sam jeszcze małym chłopcem, ale nigdy nie zapomnę ostatniego razu, kiedy MacDonnellowie szli przez Cameron Glenn. Olbrzymie chłopcy, na osiem stóp wysocy, z udami jak pnie drzew. - Piegowata dziewczynka schowała drżącą twarzączkę za nogą starca. - A z ich pasów zwisały ich trofea. Odcięte głowy Cameronów.

Dzieci zapiszczały z przerażenia. Wciągnięty przez własną krwawą opowieść starzec, rzucił rezydencji na wzgórzu złowiesz-

cze spojrzenie. Kamienna wieża starożytnego donżonu Cameronów wyrastała z drewnianego dworzyszczka jak okrażony przez wroga grzyb. Wiedział, że MacDonnellowie zostali zaproszeni nie na bitwę, lecz ucztę. Ale dlaczego Douglas Cameron zaprasza swych wrogów do własnego domu, wiedząc, że bardziej skłonni byli oni do spożycia jego rodziny, a nie uczy?

Swą porażoną ręką bezwiednie gładził kosmyki włosów opadające na twarz.

- Głupi - wymamrotał. - Nasz własny pan jest głupi jak but. W tej właśnie chwili mieszkańcy dwora Cameronów mogli się

z nim zgodzić. Bawialnią zmieniła się w pobojuwisko za sprawą armii służących i samych Cameronów. Porwana przez tę wszechobecną atmosferę przerażenia i wesołości, Sabrina wybiegła ze spiżarni, gdzie właśnie schowała srebrny serwis matki. Potknęła się o małego, siwowłosego psa, zwiniętego w kłębek przed kominkiem. Obnażył on swój jedyny ząb i kłapnął w jej kierunku.

- Wybacz, Pugsley - wymamrotała, zatrzymując się, aby poprawić naszyjnik.

- Jacyś górale o stopach wieprzy nie będą zdeptywać moich dywanów - oznajmiła Elizabeth Cameron. Nie zważając na swe jedwabne suknie, rzuciła się na kolana na zimną kamienną posadzkę i poczęła zwijać pluszowy perski dywan.

- Bez obaw, mamó. - Brian rozwalił się w przewróconym połączanym fotelu Ludwika XIV, kompletnie nie zwracając uwagi na oczywiste postękiwania Alexa, uginającego się pod ciężarem bogato rzeźbionego kufra Elizabeth. - MacDonnellowie nigdy tu nie dotrą. Już od miesiąca nie było żadnych waśni. Bez naszych gardeł do podrzynania, zapewne podrzynają własne. Przewiduję wyginięcie gatunku za... - Wyciągnął złoty kieszonkowy zegarek z obszytej koronką kieszeni. - Trzy godziny i siedemnaście minut.

- Zdziwiał mnie to, że nie wyginęli dotychczas z tym ich krewniaczym współzyciem. - Alex dysząc, upuścił skrzynię, niebezpiecznie blisko polerowanych czubków butów Briana.

- Słyszałem, że korzystają z kobiet wspólnie, tak jak inni korzystają z...

- Alex! - Elizabeth odchrząknęła, gwałtownym ruchem głowy wskazując namiętnie zaciekawioną twarz Sabriny.

Starszy syn zamilkł. Może i przerastał matkę o pół stopy, ale wiedział, kiedy ugryźć się w język. Pod jej smukłością wierzby krył się kręgosłup z angielskiej stali. Siwe kosmyki w jej płomiennych włosach dodatkowo maskowały jej usposobienie. Sabrina udała dystygowane wzruszenie ramionami.

- Nie gań go z mojego powodu, mamó. Chociażby dziś. Rano nauczyłam się piosenki od panny służebnej w kuchni.

Założywszy ręce do tyłu, tak jak nauczono ją, gdy zabawiała gości serenadami, skromnie zaśpiewała:

O pędź dziewczyno hoża w taniec Podskakuj rażno hop s as a Lecz z MacDonnellem to nie koniec Uważaj w na jego...

- Sabrino! - wydyszała ostrzeżenie jej matka.

- *W tańcu wywijasa?* - zaświergotała radośnie dziewczyna. Alex zdławił śmiech i nagroził Sabrinę oklaskami.

- Przynieś swą szkocką harfę, mamó! Moja siostrzyczka może zabawiać dziś wieczorem gości po kolacji.

- Jeśli znajdę sposób, będzie bezpiecznie zamknięta siedziała w swym pokoju, dopóki ci lubieżni łotrzykowie nie pójda do diabła

- odrzekła z ponurą determinacją Elizabeth.

Sabrina wiedziała, że gdyby jej matka znalazła taki sposób, to zamknięta w pokoju siedziałyby aż do jej wiosennej podróży do Londynu. Największym życzeniem jej matki było, aby wesoły wujek Willie przedstawił Sabrinę jakiemuś właścicielowi ziemskiemu, który nie potrafiłby nawet wskazać na mapie szkockich gór.

- Wydaje się, iż nasi MacDonnellowie znani są nie tylko z ich sprawności w walce - sucho stwierdził Brian.

- Tak jak ty, drogi braciszku - wyszeptała mu do ucha Sabrina.

- Jeśli ta plotka o małej dojarce z wioski jest prawdziwa. Wychylił się, aby złapać jeden z jej loków, ale zręcznie odplynęła tanecznym krokiem poza jego zasięg.

- Czy to prawda, mamó, że stary Angus MacDonnell zabiegał o ciebie?

Uśmiech rozluźnił usta jej matki.

- Tak rzeczywiście było. Ów amant zaoferował mi pół kradzionej krowy, podejrzewam, że należała do Cameronów, i własne czarne serce. Zawsze czułam się odrobinę winna. Kiedy wybrałam twojego ojca, zamiast niego spowodowało to zerwanie pokoju trwającego niemal... - Policzyła na palcach. - Sześć godzin.

Kuzynka Sabriny, Enid, która przyjechała z Londynu z wizytą, wkroczyła rażno do pokoju, kurczowo ściskając dwie żłobkowane wazy z dynastii Ming, które przebyły wzburzone morza i nierówności dróg, aby z Pekinu przybyć do Cameronu. Po krótkim łomocie i odgłosie tłuczonego szkła dało się słyszeć mamroczące „ojejku”.

Sabrina skrzywiła się. Ciężko westchnąwszy, jej matka uniosła się z podłogi i badawczym spojrzeniem omiotła bawialnię. Pozbawiona egzotycznych ozdób sala zdawała się jałowym szkieletem wsłuchującym się w echa minionej epoki, kiedy to wieża była sercem prymitywnej fortecy, nie zaś bawialnią eleganckiej rezydencji.

Wszyscy wiedzieli, że nawet w obecnej chwili Dougal Cameron przebywał na dziedzińcu, gdzie pouczał swych ludzi z najwyższą starannością co do zachowania się, umożliwiającego przeżycie dzisiejszego wieczoru. Jeden przewrócony kielich do wina lub zepsuta pieprzniczka mogły spowodować masakrę, która zniszczyłaby bezpowrotnie tę iluzję cywilizacji, której zachowaniu poświęciła swoje życie Elizabeth Cameron. To jej żarliwe zaangażowanie pozwoliło wyrwać twardej, góralskiej ziemi zarówno jej wytworne dzieci, jak też jej drogocenne róże. Jej przygnębienie bolało więc ich wszystkich.

Chcąc ją rozweselić, Sabrina wspięła się na palce i wyciągnęła z wazonu, stojącego na kominku kryształową różę.

- Róża Belmont, mamó. Czy mam ją również schować w spiżarni razem z twoimi rzeczami?

Matka nagrodziła ją uśmiechem.

- Nie, księżniczko. To prezent, który otrzymał mój ojciec od

króla Jamesa za ocalenie jego korony w bitwie pod Sedgemoor. Wynieś ją, proszę, na poddasze, gdzie nikogo nie będzie korciło, aby ją stłuc.

Atmosfera rozluźniła się. Wytarłszy ręce w spódnicę, Elizabeth poczęła wydawać zalecenia.

- Ruszże się z łaski swojej, Brian, i pomóż Alexowi z tą skrzynią, zanim poważnie sponiewieram twoje schludne ubranko. Enid, przestań chlipać za kominkiem albo napiszę do Williama i powiem mu, jaką to głupią gąskę ma za córkę.

Pokrzepiona matczynym odzyskaniem wigoru, Sabrina wspięła się po kręconych schodach wiodących ku strychowi, obracając między palcami smukłą łodygę róży. Róża Belmont fascynowała ją, odkąd sięgała pamięcią.

Wyrafinowane i kruche, ręcznie wydmuchane szkło rozbłysło w promieniach słońca wpadających kaskadą przez wykusz okien. Opuszki jej palców odnalazły płatek delikatniejszy niż wszystkie łyzy, jakie kiedykolwiek uroniła nad którymś z MacDonnellów. Zanurzając się w łagodny mrok, poczuła gdzieś w głębi znajomy ucisk, który, jak sądziła wcześniej, miał się już nigdy nie powtórzyć.

Przez pięć kolejnych lat cień Morgana MacDonnella kładł się na ścieżce jej życia. Pięć lat wyczekiwania na kolejnego włochatego pająka, który spadał nie wiadomo skąd na jej plecy. Pięć lat przewracania się o grube stopy, które ni stąd, ni zowąd pojawiały się przed nią, gdziekolwiek szła. Ostateczny cios zadany jej został tego lata, kiedy to, mając osiem lat, skumał się on wreszcie z jej braćmi, wtajemniczając ich w swe figle. Jej tęskne uczucie do wysokiego, dumnego chłopaka wolno przygasało w jej sercu.

Ojciec wezwał go do domu, kiedy mijało właśnie szesnaste lato po tym, jak któryś głupi MacDonnell został złapany na kradzieży krowy Cameronów. Huśtając się na ogrodowej furcie, Sabrina patrzyła, jak odchodzi, zaskoczona ilością dławiących ją łez. Jej najskrytsze marzenie nareszcie się spełniło. Morgan MacDonnell miał już nie pojawiać się więcej w posiadłości Cameronów. Ani następnego lata, ani nigdy.

Aż do dziś wieczorem.

Z wielką uwagą Sabrina położyła różę na welwetowym dywaniku przykrywającym szkocką harfę jej matki. Ten nędznik już pewnie nie żyje, pomyślała nieżyczliwie, dźgnięty przez jednego ze swych zdradzieckich krewnych lub zastrzelony w łóżku przez jakiegoś zazdrosnego chłopca. Już, nawet kiedy miał piętnaście lat, panny służebne rzucały ukradkowe spojrzenia, podziwiając rozłożyste barki i zuchwałę zaproszenie w jego zielonych, nieco sennych oczach, którymi nigdy nie spozjrzał na nią inaczej niż z zimną pogardą.

Sabrina podeszła do okna. Jej niespokojny wzrok omiótł postrzępiony grzebień gór. Śnieżnobiałe chmury czochrały ich szczyty. MacDonnellowie pewnie właśnie ciężko wyczłapywali ze swego legowiska kierując się urwistym szlakiem w kierunku Cameronu. Czy jedyny syn Angusa MacDonnella jechał z nimi?

Otrząsnęła się z uczucia chłodu, mając nadzieję, że ani ona, ani jej ojciec nie będą musieli płacić zbyt wysokiej ceny za pokój.

Wyjechawszy z cienia gór, Morgan MacDonnell ruszył w cwał. Ciepłe jesienne słońce przełamywało chmury, rozlewając się po łące gamą soczystych barw. Jego oczy mrużyły się od jaskrawości kolorów. Kopyta Pookah, rozpryskując gąbczasty torf, wydobywały jego głęboki aromat. Wiatr szarpał włosy Morgana, ponaglając go, przyginając go ku grzywie Pookah tak, że skłonny był uwierzyć, iż może jechać jeszcze szybciej, pozostawiając towarzyszy i gnać ku wolności.

- Morgan! Morgan mój chłopcze! Gdzież się tak wyrywa mój cholerny syn?

Na odgłos ryków swego ojca Morgan wznosił oczy ku niebu, dziękując bogu, że dał mu bary tak szerokie, by udźwignąć ciężar swego klanu. Ściągnął cugle swego konia i zawrócił go w miejscu. Dobrze się złożyło, że to przywołanie do porządku przyszło tak prędko. Na tym świecie nie było miejsca dla MacDonnella ani na bezkresnej łące, ani pod wysokim niebem. Nawet na skrzydłach Pookah, mógł jechać po wieczność i nigdy nie znaleźć swojego miejsca. Górskie urwiska były jego schronieniem i więzieniem zarazem, jedynym domem, jaki kiedykolwiek znał.

Skierował Pookah z powrotem na szlak, zmuszając go do wjechania pomiędzy swych dwóch sprzeczących się krewniaków.

- Zobacz, Morgan, ten drań ukradł mój ser. Masz coś przeciwko, abym go zastrzelił? - zapytał jego kuzyn Ranald, wyciągając swój pistolet.

Ranald po swej matce cygance odziedziczył niezwykle ciemne oczy i kruczoczarne włosy. Ludzie mieli w zwyczaju patrzeć na niego dwa razy, by upewnić się, czy rzeczywiście był tak przystojny, czy też uderzające piękno jego rysów znika, gdy tylko odwracają głowę. Przy nim Morgan czuł się jak zwykły gar-gulec.

- Ależ oczywiście - odpowiedział Morgan, uśmiechając się przyjaźnie. Ranald wymierzył swój pistolet w blednącą twarz złodzieja.

- Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko, żebym skreślił ci kark, kiedy skończysz.

Wydymając wargi, Ranald opuścił broń.

- Psiakrew, Morgan, nie zabiłem nikogo cały dzień. Mój palec, którym naciskam spust, zaczyna mi sztywnieć.

Piękną powierzchowność Ranalda przyćmiewał jedynie jego brak wyczucia sytuacji. Morgan wyrwał mu z rąk stęchły kawał sera, nakarmił nim swego konia, a następnie zderzył ich głowami na tyle mocno, że dźwięczało im w uszach.

Prowadzenie kolorowej zbieraniny klanu MacDonnellów do Cameron, było jak dogłądanie stadka kłótliwych dzieciaków. W ciągu trwającej osiem godzin podróży Morgan trzy razy rozdzielał walczących na pięści, udaremnił dwa gwałty i pogrzebał stryjecznego dziadka. Dziadek nie miał nawet wątpliwego honoru bycia wysłanym na tamten świat przez własnego krewnego. W pijanym widzie zwałił się po prostu z konia. Zanim jego głowa rąbnęła o skałę, co było przyczyną jego śmierci, co bardziej pomysłowi członkowie jego klanu pozbawili go torby i butów. Morgan wykopał grób w całkowitym milczeniu, podczas gdy inni łkali głośno, podając sobie butelkę słodowej whisky i życząc staruszkowi pomyślnej podróży do piekła.

- Przykro mi z powodu twego dziadka, stary - krzyknął jeden

z mężczyzn, gdy Morgan wracał ku kamienistej drodze. - Miły był gość z tego Kevina.

- Kerwina - warknął Morgan pod nosem.

- Ano - zgodził się inny. - Nikt tak, jak biedny stary Derwin nie potrafił snuć opowieści przy ogniu w zimową noc.

Chryste, pomyślał Morgan, człowiek nie żyje od godziny, a oni już nie pamiętają jego imienia. Zastanawiał się czyjego też pamiętaliby równie długo.

- Morgan! Do ciężkiej cholery, gdzież jest mój syn? Morgan zgrzytnął zębami. Bywało, że życzył sobie, by jego

ojciec w ogóle o nim zapomniał. Przymusił Pookah do większych susów, aż znalazł się przy boku ojca. Oczy Angusa błyszczały w swych szczelinach, gdy spojrzał na syna.

- Oto i owoc moich łądźwi. - Szturchnął zakapturzoną postać jadącą obok niego. - Potrzeba było niezłego dębu, by zasiać takie ziarno.

- Racja, ale nawet najpotężniejsze z dębów mogą z czasem uschnąć - odpalił Morgan.

Jego ojciec zarechotał na tę łagodną drwinę.

- Jego rozum więcej krwi napsuje niż jego topór. Ostry jest jak jego stary ojciec, bez dwóch zdań.

Morgan odchrząknął, unikając jednoznacznej odpowiedzi. Noszenie płaszcza dumy jego ojca nigdy nie sprawiało mu przyjemności. Zbyt długo mieszała się z przebiegłością, zazdrością i chęcią posłużenia się nim jako pionkiem przeciwko Douglasowi Cameronowi. Odkąd Morgan przestał być przybranym synem wroga swego ojca i wrócił do domu, był w rzeczywistości przywódcą klanu MacDonnell i obaj to wiedzieli.

- Łakomy mały gnojek. - Głos Angusa przybierał na sile z każdym słowem. - Nigdy nie miał matki, więc czepiał się jakiegokolwiek ładnego cycka, który mu się podobał.

- Nadal ma to w zwyczaju! - krzyknął Ranald, wyrównując rezultat za wcześniejszą ingerencję Morgana.

Mężczyźni wybuchnęli sprośnym śmiechem. Morgan wycelował swój palec, przeładował i wystrzelił w kierunku Ranalda. Ranald chwycił się za serce w udawanym cierpieniu i osunął się w siodle.

Barki Angusa przygarbione były pod ciężarem zjedzonego przez ćmy tartanu. Żółta bladość barwiła jego chropowatą skórę.

- Prawdziwie wielki to dzień - wykrzyknął. - Gdy te kundle, Cameronowie, czołgają się przed nami, błagając o pokój.

Jego ludzie wzniesli okrzyk radości. Angus wykorzystał chwilę przerwy, by przytknąć usta do fajansowego dzbana. Morgan wymienił spojrzenie z zakapturzoną postacią u boku jego ojca. Kaptur skinął ze zrozumieniem i Morgan mrugnął z wdzięcznością. Wierny cień jechał przy boku jego ojca, odkąd sięgał pamięcią, ściągając jego buty, gdy padał pijany w sztok, okrywając go przed wilgotnym chłodem nocy i rozcieńczając jego whisky wodą, tym samym zapobiegając losowi, który spotkał nieszczęsnego Kerwina.

Ojciec miał teraz słuchaczy. Nie potrzebował więcej syna. Morgan pogalopował w dół stoku, pozostawiając swych towarzyszy sam na sam z ich marzeniami o pamiętnej chwale i wyimaginowanych zwycięstwach. Wołał ciepłą, muskularną rzeczywistość Pookah. Nadciągający zmierzch rozrzucał na ich drodze coraz to mniej światła.

Mimo że irytowało go to, musiał przyznać sam przed sobą, że zaproszenie Cameronów było czynem współczucia, nie zaś pokory. MacDonnellowie gwałtem, rabunkiem i rozbojami zbudowali sobie zbyt wiele mogił, pozostawiając Morganowi nieco więcej niż bandę zapalczywych wyrzutków, której był przywódcą. Tylko postrzępiona zbroja dzikiej reputacji powstrzymywała Grantów i Chisholmów z Północy od przystąpienia do otwartej wojny. Ich ostatnią nadzieją na przetrwanie był sojusz z Cameronami. Morgan jednak nie miał zamiaru czołgać się ku Douglasowi Cameronowi na brzuchu. Nawet po to, by ocalić klan. Nawet po to, by ocalić własne życie.

Pokonał wzniesienie i zobaczył dobra Cameronów rozciągające się w poprzek wąwozu poniżej jak kraciasty kilt. Poczucie wielkiej różnicy między jego, a ich życiem uderzyło go ze zdwojoną siłą.

MacDonnellowie czaili się w górach jak wściekłe wilki. Cameronowie zaś byli panami tych rozległych dolin i zadbanych łąk, na których jak gwiazdy na niebie pasły się ich krowy, kozy i owce.

MacDonnellowie żyli w niszczejących ruinach zagrożonych rychłym osunięciem się po stromych urwiskach. Cameronowie zamieszkiwali rezydencję ziemską uroczo umoszczoną wśród spadzistych wzgórz, zwieńczoną koroną zamkowej wieży.

Przekłęci Cameronowie mieli nawet księżniczkę.

Rzadko widziany uśmiech zagościł na wargach Morgana. Czy córka Dougala będzie go pamiętać? Przez pięć upalnych lat uparty dzieciak pozostał wierny swemu przyrzeczeniu. Nigdy na niego nie doniosła, nawet wówczas, gdy jego złośliwe wygłupy ocierały się o okrucieństwo. Gdy odkryła, że wyciągnął jej wszystkie nici z haftu, uniosła jedynie ten swój mały afektowany nosek, mówiąc po cichu, iż nie spodziewała się niczego więcej po MacDonnelli.

Gdyby nabój eksplodował, rozrywając mu serce, zanim dotarłby do bram rezydencji, Morgan wiedziałby, czyje filigranowe ręce trzymałby broń.

Dziwnie uradowany tą myślą, pomknął w dół zbocza, wydając gromki góralski okrzyk, który mieszkańcom Cameron Glen miał śnić się w koszmarach miesiącami.

Sabrina wychyliła się na łokciach, by wyrzeć ponad krawędzią galerii, marszcząc swą niewygodną nocną koszulę pod sobą.

- Uważaj - wyszeptała Enid, skubiąc nerwowo jeden ze swych grubych warkoczy. - Mój brat Stefan zaklinał kiedyś swoją głowę między poręczą i musieliśmy ją odciąć.

- Głowę?

- Nie, poręcz.

Enid, kuzynka Sabriny ze strony Belmontów, tej wiosny pojawiła się z kufrem i listem, w którym wuj Willie przeproszał, wspominając coś o kompromitacji i wstydzie. Sabrinie trudno było sobie wyobrazić, by ta potulna dziewczyna zamieszana była w coś bardziej brudnego niż ściąganie cukierków ze stołu w jadalni. Jej jedyną słabością było chyba tylko zamiłowanie do krwawych skandalizujących broszurek, które przysyłał jej brat z Londynu. Dzisiejszego wieczoru jej zarumieniona twarz wyrażała wyraźne podniecenie perspektywą bycia wykorzystaną i zamordowaną przez klan górali dzikusów.

Bawialnią została opróżniona, by zachować średniowieczną świetność. Rzędy świec i płonące lampy oliwne zajęły miejsce zdobionych bogato lamp jej matki. Zamglone światło migotało na wyblakłych arrasach, które zniesiono ze strychu, by ozdobić ściany. Na każdym końcu sali sztandary ozdobione herbem Cameronów zwieszały się z wysokich krokwi. Efekt zauroczył nawet Sabrinę.

Ludzie Cameronów kłębili się na dole - wujkowie, kuzynowie i bracia Sabriny - smukli i olśniewający w swych eleganckich krawatach i kamizelkach. Jej ojciec przerzucił wąski pled z ramienia przez rękaw swej kurty z szacunku dla swego dziedzictwa. Większość mężczyzn roztropnie pozostawiła kobiety w domach, ale pani domu, matka Sabriny przemykała wśród nich, egzotycznie wyzywająca w lśniącej powłóczystej sukni, w której wyglądał równie dobrze, jak za czasów swej służby jako dama dworu królowej Anny. Duma wezbrała w Sabrinie.

- Mama wygląda jak królowa, nieprawdaż?

- A jakże - przyznała Enid posłusznie, chociaż jej ręce zakrywały oczy w nieznośnym oczekiwaniu.

Kiedy pięści załomotały w masywne drzwi na końcu Sali, Enid prawie przegryzła swój warkocz na pół. Sabrina ścisnęła lodowate ramię kuzynki.

Na dole panowała kompletna cisza. Drzwi rozwarły się z rozdzierającym skrzypieniem. Sabrina przełknęła z niepokojem wielką kulę w gardle. Nawet Enid ośmieliła się spojrzeć nieśmiało przez palce, gdy Cameronowie odwrócili się wszyscy, by powitać swych gości, ojciec Sabriny wraz z Alexem i Brianem po lewej i prawej stronie, wyprężeni jak struna.

Dostojnym krokiem do sali wszedł starzec, a za nim pochód obdartych, lecz złowrogo wyglądających mężczyzn. Większość nich ubrana była jak ich wódz - w niedobrane tartany i spodnie w szkocką kratę. Sabrinę przeszedł dreszcz na samą myśl, ilu ludzi musiało zginąć, by tych tutaj ubrać. Z tego, co słyszała o MacDon-nellach, przypuszczała, iż ich ofiary zostawały obdarte z odzienia, zanim ich ciała jeszcze ostygły. Zmarniałe pióra na ich beretach tańczyły poruszane wiatrem wpadającym przez otwarte drzwi.

Sękaty palec starca ścisnął kurczowo rękojeść zardzewiałego obosiecznego miecza, który rysował posadzkę przy każdym jego kroku. Ojciec Sabriny miał podobny antyk na ścianie swej komnaty.

- Douglasie Cameron, ty bezwartościowy sukinsynu! - wrzasnął MacDonnell. Enid wydała stłumiony okrzyk i zamiast oczu zakryła rękami uszy.

Ojciec Sabriny postąpił dumnie do przodu z rękami na biodrach i nogami rozstawionymi wyzywająco.

- Angusie MacDonnelli, ty głupi pomocie kozła! - ryknął w odpowiedzi.

Wódz MacDonnellów przekrzywił głowę jak sprytna papuga.

- Czy w ten sposób wita się starego przyjaciela? - wyjęczał, zanim objął jej gniewnego ojca, w miażdżącym objęciu.

Sala rozbrzmiała ostrzegawczymi okrzykami. Brian i Alex rzucili się do przodu, by upewnić się, że przebiegły starzec nie chował sztyletu w swej guzowatej łapie.

- Teatr w Glasgow nie powstydziliby się takiego aktora - wyszeptała Sabrina.

- Raz czytałam o aktorze, którego peruka zapaliła się i... Ciii-icho - wysyczała Sabrina, nie chcąc uronić ani słowa z odpowiedzi swego ojca.

Dougal odgonił swych niedoszłych obrońców i klepnął Angusa w plecy.

- Czyś przyjaciel, czyś wróg, Angusie MacDonnelli, witaj w posiadłości Cameron. Dziś wieczorem odkładamy na bok stare urazy, by ucztować razem. - Postąpił krok do tyłu i rozwarł swe ramiona szeroko. - Jako wyraz dobrej woli, moi ludzie również złożyli swą broń. - Unosząc swe brwi, spojrzał znacząco na przytroczony do boku Angusa starożytny miecz.

Pomruk niezadowolenia i przekleństw wzniósł się nad pstrą bandą górali, lecz gdy ich wódz teatralnym gestem wyjął swój miecz i odrzucił na bok, nie mieli innego wyjścia jak tylko postąpić podobnie. Z pochew i ukrytych kieszeni na kamienną podłogę posypał się grad pałaszy, pistoletów, arkebuzów, sztyletów, muszkietów i pałek. Trzask padającej broni był ogłuszający.

Sabrina wykorzystwała chwilę rozgardiaszu, by wypatrzeć w ich szeregach smukłą postać Morgana. Ale wszystkie jej myśli o jej dawnej nemezis pierzchły, gdy mężczyzna, który dotychczas trzymał się z tyłu, wkroczył przez drzwi w wirze nocnej mgły.

- Święta Hanno - wydyszała Enid. - To prawda, co mówią legendy! Oni są olbrzymami!

Oddech Sabriny ugrzązł w jej gardle. MacDonnellowie rzeczywiście byli wysocy, lecz ten mężczyzna przewyższał co najmniej o głowę wszystkich zgromadzonych w sali. Nie szedł dostojnym krokiem, ani też dumnie nie paradował, jak jego pobratymcy. Po prostu nie musiał. Nie nosił beretu, a jego wypolerowana słońcem czupryna zwieszała się sporo za ramiona. Mgliste niebieski przeplatany czernią łowiecki strój z tartanu opinał jego masywną sylwetkę i Sabrina zszokowana zdała sobie sprawę, iż nie tylko odsłonięte miał kolana, ale również był bosy. Sprawił, że ludzie Camerona wyglądali nieco zniewieściale w swych europejskich strojach. Sabrina nie byłaby wcale zaskoczona, usłyszawszy dziki piskliwy dźwięk dud obwieszczający jego przybycie, zawodzących w takt przypominającego bicie bębnow pulsowania jej serca.

Stał plecami do galeryjki, więc mogła zobaczyć, jak napręza się masywna szerokość jego barów, gdy wyciągał zza swego pasa monstrualnych rozmiarów Lochaber. Prymitywny dreszcz strachu ścisnął jej serce. Zbyt łatwo było sobie wyobrazić jego muskularne ramiona wywijające lśniącym ostrzem, rozłupujące głowy...

Enid szturchnęła ją, gorączkowo szukając buteleczki soli trzeźwiących, które nosiła w kieszeni, by zapobiec ewentualnym omdleniom.

- Jesteś blada jak ściana. Chyba nie zamierzasz tu zemdleć? Sabrina zmarszczyła nos i odpędziła gryzące ją myśli.

- Oczywiście, że nie. - Otrząsnęła się z dreszczy, starając się przekonać samą siebie, że spowodowała je odraza. - Po prostu nie lubię wielkich mężczyzn. W szczególności wielkich mężczyzn z tak olbrzymimi... mięśniami.

Rozmarzenie na jej twarzy widocznie umknęło Enid.

- Gdybym była na twoim miejscu, tak szybko bym go nie

skreślała. Znam dziewczęta w Londynie, które z pewnością stwierdziłyby, że on jest tym wszystkim, czym mężczyzna być powinien.

I po raz kolejny w myślach Sabriny zabrzmiały niechciane słowa. Wściekła na siebie samą tylko mocniej podparła rękami brodę.

Mężczyzna podszedł do sterty broni. Trzonek topora spoczywał spokojnie w jego dłoni. Zawahał się, ale widać było, iż ruch ten cechował się celową bezczelnością. Sabrina zmarszczyła brwi. Groźna mieszanka wdzięku i arogancji rozbrzmiała dalekim kurantem gdzieś w jej umyśle.

Mimo, iż jej ojciec był wysoki, musiał odchylić głowę, by spotkać się ze wzrokiem nieznajomego. Sabrina nie potrafiła zrozumieć długiego i zawiłego, jak się jej zdawało, spojrzenia, które stało się udziałem dwóch mężczyzn, ale nagle napięcie w sali wzrosło nawet bardziej, niż to miało miejsce przed przybyciem ich odwiecznych wrogów.

Oczy każdego z MacDonnellów wzniosły się ku nieznajomemu i Sabrina zorientowała się, iż mimo przedstawienia Angusa to ten właśnie człowiek był prawdziwym panem ich klanu i to on właśnie był prawdziwym zagrożeniem dla Cameronów.

Topór wysunęła się z jego rąk i z głuchym uderzeniem wylądował na kupie broni. Oddech Sabriny powrócił z westchnieniem ulgi.

Jak gdyby zorientowawszy się, iż traci swą publiczność na rzecz lepszych aktorów, Angus MacDonnell pospieszył w kierunku jej matki.

- Beth! - krzyknął, a jego pochlebny ton odbił się echem od ścian Sali.
- Moja piękna Beth, że też nigdy twa piękna twarz nie ozdabiała mego stołu przy ucztach. - Przycisnął jej złożone ręce do swych warg.

Sabrina, oburzona, zeszywniała.

- A to nędzny łotr! Nikt poza tatkiem nie ośmiela się mówić do niej Beth.

Jej matka, uprzejma jak zawsze, ukłoniła się przed nim z godnością, a następnie, wzięwszy go pod rękę, zaprowadziła do stołu. Z satysfakcją Sabrina stwierdziła, że jej matka przewyższała co

najmniej o kilka cali tego pomarszczonego gнома. Człowiek osłonięty tartanowym kapturem podążył za nimi, powłócząc nieco lewą nogą.

- Straszne stworzenie, nieprawdaż? - wyszeptała Enid. Choć Sabrina przytaknęła kiwnięciem głowy, to i tak w głębi

siebie uważała, iż muskularny barbarzyńca wciśnięty teraz między jej braci był dwa razy bardziej przerażający.

Trzy długie stoły na kozłach ustawione były w kształt litery U. Jej ojciec i MacDonnell usiedli ramię w ramię pośrodku łączącego stołu, mając za plecami ciężkie sznury gobelinów. Elizabeth zajęła miejsce obok męża, podczas gdy zakapturzony gość wisiał, jak chmura zwiastująca zagładę, za ławą MacDonnella.

Po krótkim narzekaniu na fakt, iż wszystkie noże usunięto ze stołu, MacDonnellowie rzucili się na przygotowaną dla nich ucztę. Sala rozbrzmiała zadowolonymi chrząknięciami i warknięciami, ale niewiele w tym było rozmów. Cameronowie wymienili rozbawione spojrzenia. Niezwykle przystojny MacDonnell z zadziwiająco czarną płataniną włosów oderwał cały sarni udziec przewidziany na ten stół i począł go obgryzać. Matka Sabriny dawała wpatrującej się w to zjawisko służącej gorączkowe znaki.

Oczy Enid złagodniały ze współczuciem dla bratniej duszy.

- Biedactwo, musi umierać z głodu!

Czary i brzuchy wypełniały się i napełniano je ponownie, nastrój rozluźnił się. Urywki pieśni i strzępy przyjacielskich rozmów popłynęły w kierunku galerii. Wzrok Sabriny z powrotem powędrował ku blond olbrzymowi. W przeciwieństwie do swych ziomków, dłużał w swym posiłku, pijąc tylko wodę, pozostawiwszy swa czarę wina nietkniętą. Być może obawiał się, że jest zatruta, pomyślała dziewczyna. Ale wobec tego, dlaczego pozwolił swoim ludziom uczestniczyć w posiłku. Siedział pośród nich, a mimo to osobno, opierając się wszelkim próbom Alexa i Briana wciągnięcia go w rozmowę. Nieufność napinała jego masywne ramiona, rozciągając niebezpiecznie znoszony tartan.

Uczucie empatii targnęło sercem Sabriny. Wiedziała, jak to jest być otoczonym przez innych, a jednak kompletnie samemu. Jako jedyna córka, obdarzona dwoma niesfornymi braćmi, prawo bycia

adorowaną nabyła niejako przy urodzeniu. Ale podziw nie zawsze oznaczał akceptację. Jej bracia wciąż przyzwyczajeni byli traktować ją jak dziecko, ale ona akceptowała to, jako cenę, którą płacić musiała za ich miłość.

Chrapanie połechtalo jej uszy. Enid przysnęła, złożonywszy głowę na skrzyżowanych rękach. Wolała widocznie solidny sen niż najbardziej ekscytującą noc w historii Cameron. Potrząsając w zakłopotaniu głową, Sabrina ściągnęła z szyi swój wełniany szal i narzuciła na śpiącą Enid.

W sali poniżej Angus MacDowell wznosił swój puchar. Jego bełkotliwy głos rozpoczął litanię niekończących się toastów do MacDonnellów, Cameronów i całej szkockiej rasy. Nie zaskoczyłoby Sabriny, nawet gdyby ten krzykliwy kogut wskoczył nagle na stół.

Jej wzrok mimowolnie skierował się tam, gdzie poprzednio. Ława była pusta. Płowowłosa barbarzyńca zniknął. Uczucie pustki zaczęło narastać w jej brzuchu.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Przypadła do podłogi przytulając policzek do zimnej posadzki, modląc się, by cień sztandaru ją skrył. Nieznajomy wykorzystał chwilę, w której jego wódz przechwalał się, by wślizgnąć się na schody niedostrzeżony. Serce zdawało się walić jej w gardle, gdy wpatrywała się w przeciwny koniec galerii, by ujrzeć, jak postać znika w komnacie, azylu jego matki, skradając się z taką gracją, iż wydawało się to wielce niepokojące w porównaniu do jego rozmiarów.

Jej ręce zacisnęły się w pięści. Ten nędznik na pewno nie miał dobrych zamiarów. To oczywiste, że MacDonnell użyje gościnności jej ojca jako wymówka dla kradzieży bądź zasadzki. Wypełniło ją oburzenie, łagodząc jej strach. Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na Enid, wiedząc, że jej flegmatyczna kuzynka w niczym by jej nie pomogła.

Zacięła usta. Może już nigdy nie zdarzy się jej lepsza szansa na zdobycie szacunku braci. Alex i Brian mogli uważać ją za zbyt niedojrzałą, by mogła zjawić się na jednej uczcie z MacDonnellami, ale na pewno nie była zbyt niedojrzała, by nie móc zmierzyć się ze zdradą jednego z MacDonnellów. Wyobraziła sobie, jak jej

braciom opadają szczęki, gdy przyprowadzi olbrzyma do Sali, popychając go ostrzem noża Cameronów. Zobaczmy, jak chytry Angus uroczą wybrnie z tego!

Nie pozostawiając sobie czasu na uspokojenie wzburzonych nerwów, zerwała się i pędem rzuciła się ku ciemniejszemu korytarzowi, który prowadził do komnat jej ojca.

Morgan wślizgnął się na poddasze i przymknął za sobą drzwi, pozostawiając wrzaskliwą wesołość za sobą. Otoczyły go kojące palce ciszy i ciemności. Opierając się plecami o drzwi, wziął głęboki oddech. Jego nozdrza zaswędziały go pod wpływem zapachu olejku różanego, przesycającego tu powietrze. To miejsce nawiedzało go w snach od siedmiu lat i musiał zobaczyć je jeszcze raz, jeśli tylko pomogłoby to usunąć jego czar z pamięci.

- Hej maluchy! - wyszeptał. - Nie ma co wrzeszczeć. To tylko Morgan. Pamiętacie mnie?

Uniósł palce do klatki, po to tylko by stwierdzić, że były zbyt grube, by móc je wsunąć pomiędzy pręty.

Rozgoryczony nagle z niewiadomych przyczyn, pozostawił ptaki wraz z ich skrzeczeniem i cicho postąpił w kierunku półek z książkami. Jeśli sala na dole była głową posiadłości Cameron to sala na szczycie była na pewno jej sercem. To tu właśnie cała rodzina gromadziła się co wieczór, by wspólnie opowiadać historie, śmiać się i śpiewać piosenki. Morganowi zawsze wydawało się to jak brama do innego świata; świata książek, muzyki i obrazów, świata, w którym człowiek ośmielał się marzyć.

Jego lata spędzone w rezydencji Cameronów powiększały tylko przepaść między nim, a jego pobratymcami. Dzięki czasowi, który tu spędził, szorstkość jego mowy znikła, wyostrzyły się też jego poglądy. Gdy wracał każdej jesieni do domu, zmuszony był odpierać drwiny ludzi z klanu i walczyć o przetrwanie aż do momentu, gdy nie pozostał nikt, kogo dałoby się jeszcze pokonać. Jego ojciec przyglądał się temu ze źle skrywaną satysfakcją i dziką dumą, wiedząc, że jego przyszłość jako wodza klanu była zapewniona.

Wyciągnął oprawny w skórę tom. Będąc na wpół zakochany w Elizabeth Cameron tego lata, gdy miał lat czternaście, dumnie

odrzucał jej wszystkie propozycje, gdy chciała nauczyć go czytać. Nie powstrzymało go to od czajenia się w cieniu, gdy czytała na głos swoim dzieciom każdego wieczoru. Ścisnął swe kolana w podnieceniu, kiedy jej miękki głos czytał opowieści o dzielnych wojownikach i podstępnych bogach, którzy żeglowali po morzach w swych wspaniałych statkach. Zakradał się tam z powrotem następnego ranka, by popieścić te same książki we własnych rękach z nabożnością godną neofity.

Książka otworzyła się na bogato zdobionym drzeworycie. To jego przyjaciel Prometeusz, przykuty do ściany, twarz wykrzywiona w męczarniach, gdy orzeł nurkował, by wydziobywać mu wątrobę. Czasami to Morgan czuł się jak biedny obłożony Prometeusz, na wieczność przykuty łańcuchami do ponurego urwiska, gdy jego klan pożerał go żywcem. Zatrzasnął książkę. Dobrze pamiętał, że jej słowa były jedynie jakimś bredniem, jej obrazki - dziecinnymi bajkami.

Ręcznie rzeźbiona szkocka harfa spoczywała na poduszce obok klawesynu. Morgan brzdąknął na jednej z jej cienkich jak babie lato strun. Delikatna nuta zadrżała w powietrzu, rozrywając ciszę. Gwałtownie cofnął rękę. Często zastanawiał się czy zaznałby w życiu podobnych delikatnych przyjemności, gdyby Elizabeth wyszła za jego ojca zamiast za Dougala Camerona. I czy wtedy Angus zdołałby złamać jej niezłomnego ducha?

Morgan nie wiedział o swojej matce nic, poza tym, co powiedział mu jego ojciec. Mianowicie, że w swym własnym nieokrzesanym, gwałtownym pchaniu się na świat Morgan zabił ją. Nuta dumy w głosie Angusa przerażała i zawstydziała go zarazem. Jego ojciec nie zadał sobie nawet trudu, by zapamiętać jej imię.

Lekki błysk światła przykuł jego wzrok. Kryształowa róża leżała umieszczona na aksamitnej podściółce na harfie. Dziwny ból ścisnął mu gardło. Róża, słodka i kobieca, jak urok jednej z ukochanych bajek Elizabeth, krucha, jednocześnie jednak na tyle trwała, by zmienić nawet taką bestię jak on w księcia.

Zachichotał z własnej fantazji, lecz mimo to nie potrafił się oprzeć podniesieniu jej, obróceniu delikatnej łodyżki między swy-

mi stwardniałymi palcami, by popatrzeć, jak jej jaskrawe płatki chwytają światło księżyca.

Drzwi za nim z trzaskiem uderzyły o przeciwległą ścianę. Morgan obrócił się gwałtownie, by znaleźć się oko w oko z kolejną postacią ze snu.

Księżniczka. Chmura ciemnych włosów spływała jej luźno na ramiona, światło padające zza niej podkreślało każdą ponętą kragłość pod jej nocną koszulą w kolorze kości słoniowej, wspaniale wszystko uwydatniając. Jej smukłe palce zaciśnięte były nie na berle, lecz na rzeźbionej rękojeści obrzędowego miecza.

Srebrne dłonie księżycowego światła pieściły pięć stóp stali, która spoczywała pomiędzy jej rękami a jego sercem.

- Nie ruszaj się łotrzyku MacDonnelli - warknęła słodko. - Jeden fałszywy ruch, a zabiorę twoją głowę na dół bez reszty ciebie.

Morgan nawet nie czuł bólu, gdy róża pękła mu z trzaskiem w rękę, a jej łodyga weszła głęboko w jego dłoń.

Rozdział 2

- Ach, ty niezdaro, spójrz, co narobiłeś? Morgan odruchowo opuścił wzrok ku swym rękom. Nieregularny kawałek szkła wystawał z jego dłoni. Ciepła krew spływała strużką po nadgarstku i przedramieniu, tworząc plamę na jednym z pięknych dywanów Elizabeth Cameron. Nie zdążył stłumić w sobie starego wstydu, który zapłonął w nim jasno. Wstydu bycia MacDonnellem. Wstydu bycia takim nieokrzesanym. Równie szybko pojawiła się wściekłość, miazdząca wściekłość, która skryła jego nadszarpniętą dumę. Nie zdążył jej jednak wyładować na nieszczęsnej dziewczynie, gdyż ta, upuściwszy miecz, rzuciła się w jego stronę.

Wyrzucając potrząskane resztki róży, ujęła jego dłoń w swoją i poczęła ją delikatnie wycierać rąbkiem swej nocnej koszuli. Jej dłoń była ciepła, miękka i jedwabiście delikatna.

- Naprawdę powinieneś bardziej uważać - zganiała go. - Gdybyś trafił w nadgarstek, mógłbyś wykrwawić się na śmierć.

Morgan nazbyt był osłupiony, aby zwrócić uwagę na niedorzeczność tych słów. Gdyby ucięła mu głowę, zapewne wykrwawiłby się na śmierć. Z wciąż zagniewaną miną, pociągnęła go ku blademu łukowi światła przy oknie.

- Stój spokojnie - rozkazała. - Wyciągnę ten kawałek szkła. Zapewne będzie to bolesne. Jeśli masz ochotę, możesz krzyknąć. Nie stracisz przez to w moich oczach.

Ponieważ nigdy nie miała o nim dobrego zdania, Morgan nie przejmował się zbyt. Nawet nie mrugnął, kiedy przycisnęła jego dłoń kciukiem i uchwyciła odprysk szkła pomiędzy półksiężycy swych wypolerowanych paznokci.

Kompletnie speszony, przyglądał się jej w świetle księżyca. Czubek jej głowy prawie dotykał jego mostka. Skręcone loki, które niegdyś z taką radością szarpał, spływały teraz atramentowymi

falami po jej plecach. Jej skóra była jasna, z jedynie lekkim rumieńcem. Jak gdyby Bóg tylko dotknął jej ust i policzków płatkami róż. Hebanowa grzywka przysłaniała jej oczy.

Jej zapach wypełnił mu nozdrza. Ze zdziwieniem stwierdził, że gardło ma ściśnięte pierwotnym głodem. Pachniała jak jej matka, choć jakoś bardziej świeżo i słodko. Jakiś prymitywny samczy instynkt ostrzegł go, że była wciąż kwiatem na winorośli, pachnącym, delikatnym i soczystym. Zmarszczył się. Mogłaby być nektarem dla kogoś innego, ale dla jakiegoś MacDonnella, córka Douala Camerona byłaby bardziej trująca niż wilcza jagoda.

Przygryzła zębami dolną wargę, jakby chciała stłumić własny krzyk, kiedy wyciągnęła odłamek szkła, tamując krwawienie kolejnym kawałkiem swej nocnej koszuli. Morgan obawiał się, że za chwilę będzie jej więcej wokół jego ramienia niż na dziewczynie. Ale intrygujące mignięcie jej smukłej łydki stłumiło jego protest.

Krzywiąc się, odłożyła zakrwawiony odłamek na okienny parapet, nim spojrzała na niego. Jego ręka spoczywała w świetle księżyca, ale cień wciąż skrywał jego twarz.

- Raczej haniebnny koniec Róży Belmonta, nieprawdaż? Być może, kiedy król James wręczał ją memu dziadkowi Anglikowi za lojalną służbę, chciał, aby służyła jako broń, a nie ozdoba. Gdyby tylko zdawał sobie sprawę, że skończy w rękach górala, z pewnością pokryłby jej kolce trucizną, a nie złotem.

Dziecięce sadelko Sabriny Cameron może i roztopiło się i zmieniło w bardzo kuszący sposób, ale jedna rzecz na pewno się nie zmieniła, nadal uwielbiała trajkotać.

W gardle zadudnił mu niski, stłumiony chichot.

Sabrina zmarszczyła czoło. Dźwięk nie był jej znajomy, bogaty i głęboki, czysta oktawa ponad pomrukiem. Gdyby była kotem, każdy włoszek na jej głowie zjeżyłby się ostrzegawczo.

W tym momencie odwrócił głowę, a jej oczom ukazała się jego niczym nie przysłoniętą twarz. Księżycowe światło rozpląnęło się po niej, bezlitosnymi bruzdami ryjąc w niej obcą męskość. Był odległy i zarazem tak niesamowicie znajomy, że nie mogła za-

trzymać swej ręki unoszącej się, by czubkami palców musnąć jego szczęki. Jego oczy były czujne jak las o zmroku.

- Cześć smarkaczu - powiedział.

Sabrina poczuła to znajome ściskanie w żołądku. Zdała sobie sprawę z tego, że stoi na rozświetlonej księżycową poświatą wieży oko w oko z Morganem MacDonnellem, a jego chłopięca zapowiedź męskiego piękna olśniewająco się ziszcza.

Cofnęła rękę, zawstydzona swoją śmiałością. Przypomniała sobie ten pierwszy raz, gdy czule go dotknęła i gdy gniewnie została za to zganiona.

Na jego twarzy pojawił się cierpki uśmiech.

- Pewnie, gdybyś wiedziała, że to ja, pozwoliłabyś mi wykrwawić się na śmierć.

- Raczej nie. Twoja krew kapłała na flamandzki dywanik mojej mamy - odburknęła przerażona, że za chwilę zmieni się w jękającą się sześciolatkę.

Aby ukryć swą konsternację, spuściła wzrok z powrotem na jego rękę. Kolejny błąd. Nie mogła przestać wpatrywać się w jego palce, ciepło jego szorstkiej skóry, rytmiczny puls pod swym kciukiem. Przyszła jej do głowy absurdalna myśl, że tylko wspaniałe serce zdolne było dawać siłę takiemu mężczyźnie. - Wyrosłeś - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Ty też.

Ostrzegł ją niski i rozbawiony ton jego głosu. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak bez pośpiechu wędruje oczami po jej ciele, ze zuchwałym szacunkiem zatrzymując się wreszcie na jej twarzy. Jej serce skreślił gniew. Tak długo pragnęła przecież, by spojrział na nią z uczuciem. Dlaczego musiała wybierać właśnie teraz, gdy wyczuwała, że jego podziw może być bardziej zabójczy niż jego wrogość?

Nie w pełni świadoma tego, co robi, oderwała pas bezcennego chińskiego jedwabiu z zasłon swojej matki i owinęła jego dłoń.

- Więc co tu robiłeś? Knuliś masakrę? Starłeś się znaleźć sposób na spuszczenie klawesynu przez okno? Szukałeś myszy, którą mógłbyś wetknąć w moje łóżko?

Szczeniara z tej myszy pomyślał Morgan, ale mądrze powstrzymał się od komentarza.

- Jeśli chcesz wiedzieć dziewczyno, szukałem chwili spokoju.
- Ha! - Zawiązała bandaż krótkim szarpnięciem, które wreszcie nim wzdrygnęło.

- Słowo „pokój” i „MacDonnellowie” jakoś nie idą w parze.

- Szlacheckie sentymenty dziewczyny, która wpada tu, grożąc, że zanieśie tacie moją głowę na półmisku.

Sabrina nie śmiała się z nim kłócić. Kiwnął głową w stronę drzwi.

- Dlaczego nie jesteś na dole z resztą swojej rodziny, okazując hojnie szlachetne gesty chłopom?

Wzrost Morgana mógł się zmienić, ale wciąż miał tę niezwykłą wprawę we wzbudzaniu w niej wstydu za to, kim jest. Chrząknęła delikatnie.

- Chłopi, w rzeczy samej. Dużo bosych dzikusów. Mama lepiej wyszłaby na tym, gdyby karmiła ich w korycie.

Głos Morgana był cichy i pozbawiony emocji.

- Jeśli ich maniery nie przypadły ci do gustu, to musisz wziąć pod uwagę, że większość z nich nigdy w życiu już nie zobaczy takiej ilości jedzenia. A ich stopy są bose, gdyż oszczędzają zbutwiałe podeszwy butów na mroźne, zimowe miesiące. Tymże sposobem nie tracą tylu palców u nóg.

Wstyd zwałił się na Sabrinę. Morgan zawsze wyciągał z niej to, co najgorsze. Spuściła głowę. Po chwili pożałowała. Jej wzrok spoczął na surowych bruzdach bosych stóp Morgana. Jego umięśnione łydki porośnięte były złotymi włosami. Jego stopy muszą być twarde jak skóra, by nie dać się kamienistej, górskiej ziemi, przemknęło jej przez myśl. Wpiła palce u nóg z zakłopotaniem w pluszowy kaszmir swych pończoch.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to błagałam mamę, żeby pozwoliła mi przyłączyć się do zabawy - wyznała.

- A czemuż to nie zwróciłaś się do mającego bzika na twoim punkcie tatusia? Czyżby twoje kapryśne minki cię zawodziły? O ile sobie przypominam, nigdy nie mógł oprzeć się trzepotowi twoich nieziemsko długich rzęs.

Spojrzenie Sabriny wystrzeliło w jego twarz. Morgan nigdy nie dał po sobie poznać, że dostrzegł jej długie rzęsy czy inne zalety.

- Nawet Tatko był tyra razem niewzruszony - zachichotała delikatnie.
- Jak widać, twoja lubieżna reputacja cię wyprzedziła. Bał się, że któryś z was uderzy mnie w głowę i wywlecze za włosy.

Morgan nie odzywał się tak długo, że bała się czy znów go nie uraziła. Sięgnął zdrową ręką po kosmyk jej włosów i pocierał je w palcach. Po jego twarzy przemknął wyraz kojącego rozmarzenia. Tempo bicia serca Sabriny zmieniło się ostrzegawczo. Zanim mroczny żar jego spojrzenia zetknął się z jej twarzą, Morgan pozwolił, by skradziony kosmyk opadł między jego palce kaskadą ciemnego jedwabiu.

- Nie mogę go winić, dziewczyno. Gdybyś była moja, pewnie też trzymałbym cię pod kluczem.

Gdybyś była moja...

Niewypowiedziane słowa unosiły się między nimi, o wiele bardziej niezręcznie niż sama cisza. W przeblysku całkowitego obłąkania Sabrina zastanawiała się, jakie to uczucie należeć do mężczyzny takiego jak on. Ośmieliła się rozmyślać, co nastąpiłoby po wywleczeniu jej za włosy.

Schwytany przez urok księżycowego blasku i samotności wzrok Morgana padł na jej rozchylone wargi. Jego głodne zmysły zawirowały odurzone wonią róż gorejącą w jego nozdrzach i zapachem jej włosów przylegających do zgrubiałych kłykci. Już dawno temu pogodził się z trudnym i surowym życiem górskiego wojownika. Lecz miękkość i łagodność tej dziewczyny obudziły w nim stary głód i osłabiły determinację. Choć nie wypił ani krztyny wina, czuł się, jakby był lekko pijany. Cóż za szkodę wyrządziłoby skradzenie smaku tych czułych różanych ust? Opierając się pokusie zatopienia swego języka między jej bezwolne wargi, pochylił się i dotknął ustami jej ust.

Pod naciskiem ust Morgana, powieki Sabriny sennie opadły. Jego pocałunek był krótki, suchy i bez mała nieśmiały, lecz poczuła w sobie głęboko rozpływającą się słodycz. W jego dotyku czuła niecierpliwą moc. Taka delikatność u mężczyzny jego postury trzymała ją w napięciu. Dopiero w ostatnim ułamku sekundy

ich pocałunku, Morgan pozwolił sobie na grzeszny luksus przeciągnięcia swoich warg po jej wargach, dopasowując jej ciało do swojego w pełnej harmonii pozie.

Powieki Sabriny uniosły się i spostrzegła, że kurczowo trzyma się jego szkockiej spódnicy, jak gdyby miało to ją uratować przed padnięciem mu do stóp. Czuła ciepło jego skóry pod ubraniem i przyprawiające o zawrót głowy głucho uderzenia jego serca na swej dłoni. Lecz mgła przyćmiewająca jego oczy znikła zbyt szybko, przepędzona przez drapieżny błysk, który tak dobrze знаła.

- I co teraz księżniczko? - zapytał z drwiącą czułością. - Sama skrócisz mnie o głowę czy zażadasz od ojca, by wrzucił mnie do lochu za moją śmiałość?

Niezgrabnie wyplatała palce z jego szkockiej spódnicy.

- Nie bądź śmieszny. To tylko pocałunek. Całowałam się już wcześniej - skłamała.

Gdy dotknęła swojej dolnej wargi, przeszył ją dreszcz. Była spuchnięta i nabrzmiała od jego dotyku.

- Nie wydaje mi się. Ale z takimi ustami, obiecuję ci, że będziesz znów całowana.

Sabrina odsunęła przekornie głowę, bojąc się, że za chwilę Morgan zrobi właśnie to, a może i więcej.

- Nie powiem ojcu, że mnie pocałowałeś. Nie jestem już dzieckiem. Przysięgam sobie, że nigdy na ciebie nie doniosę.

Chwycił jej podbródek w szeroki puchar swej dłoni. -I że nigdy nie będziesz przeze mnie płakać. Nawet on zdawał się zaskoczony faktem, że jego suche słowa brzmiały bardziej jak obietnica niż drwina.

Sabrina była zdumiona, że pamiętał jej dziecienną przysięgę. Rozpaczliwie pragnąc umknąć przed blaskiem księżyca, odsunęła się od Morgana. Jej skóra kołysała rześki zapach sosny i piżma, a plama jego krwi na koszuli dawała poczucie osobliwej intymności.

Wyczuwając jej strach, skrzyżował ręce na piersi i powiedział:

- Czyżbyś chciała położyć kres naszemu rozejmowi?

Sabrina zadarła nos do góry. -Tak.

- Dobra więc. Stawaj do walki.

Sabrina przeszła go podejrzliwym wzrokiem. O co może chodzić temu łajdakowi?

W jego oku błysnął humor tak nieodparty, jak promyk słońca na letniej polanie.

- Idź już - rozkazał. - Z całym szacunkiem, ale nie mam czasu na flirty. O ile sobie przypominam, stałaś o tam, przy drzwiach.

Zaintrygowana, a zarazem zauroczona jego wesołością, pomaszerowała w kierunku drzwi. Pokiwał głową.

- No, a teraz do broni.

Morgan dygocąc ustami, obserwował, jak usiłowała dźwignąć masywny miecz. Mruczał pod nosem, że nigdy nie uda jej się zdjąć tej przeklętej klingi ze ściany. Po trzech próbach, wciąż nie udało jej się unieść ostrza na wyżej niż kilka cali. Pomyślała, że lepiej byłoby uciąć jego stopy niż głowę. Ciężko dysząc od wysiłku, wreszcie stanęła naprzeciw niego z mieczem drżącym w jej rękach.

Pozwolił sobie na uśmiech, który wcześniej w sobie dławił.

- Oho! I to by było na tyle. Groziłaś mi skróceniem o głowę, a ja miałem właśnie zrobić to.

Sięgnął pod swoją szkocką spódnicę i wyciągnął ku Sabrinie pistolet skierowany prosto w jej pierś. Koniuszek miecza gruchnął o podłogę.

- Ty wstrętny oszuście! Obiecałeś trzymać ręce przy sobie. Czyż nie masz ani krztyny zdrowego...

- Czego? Przyzwoitości? Rozsądku? - Wzruszył ramionami. - Przecież nazywam się MacDonnell. Dziewczyno, chyba nie spodziewałaś się, że będę grał fair?

Na moment jej oczy zaćmiły stare rany i urazy. Morgan poczuł żal, że choć raz nie pozwolił jej zaczerpnąć łyka z kielicha tryumfu.

- Nie - powiedziała miękko. - Nigdy nie grałeś uczciwie, prawda?

Zmuszona do poddania się, oparła miecz o ścianę i odsunęła się, by mógł przejść. Schował pistolet z powrotem pod ubranie.

- Morgan?

- Mhm? - Zatrzymał się w przejściu, ich ciała otarły się o siebie w ciemności. Wyciągnęła rękę. - Oddaj mi pistolet, proszę.

Salwa jego śmiechu zdumiała ich oboje. Jak przystało na człowieka, który potrafi przyznać się do porażki, położył broń w jej dłoni, oplatając wokół niej jej palce niczym kremowe płatki orchidei.

Pochylił się nad nią i dotykając wargami jej ucha, szepnął.

- Nie ufam żadnej kobiecie, jeśli chodzi o moją broń. Obchodź się z nią ostrożnie, dobrze?

Morgan schodził ze schodów krokiem dużo lżejszym niż gdy się na nie wspinał. Zastanawiał się czy nie za późno już na ogłoszenie rozejmu między nim, prymitywnym MacDonnellem, a nią, ponętną księżniczką.

Oszołomiona Sabrina zsunęła się po framudze drzwi. Spojrzawszy w dół, dostrzegła pistolet Morgana przyciśnięty lekko do jej piersi. Odsunęła go i zaczęła wymachiwać nim między palcami.

Naprawdę na niego uważaj! Powinna była zastrzelić tego drania. Śmiertelny strzał z własnego pistoletu wyszedłby mu na dobre.

Spojrzała na swoją nocną koszulę. Czowała się naznaczona krwią Morgana jak jakieś prymitywne trofeum. Boże, pomyślała, w jaką histerię wpadłaby Enid, gdyby znalazła swoją kuzynkę umazaną krwią i pieścącą w dłoniach naładowany pistolet? Sabrina była przekonana, że jest naładowany. Morgan nie wydawał się człowiekiem, który chodziłby i wymachiwał nienaładowaną bronią. Mierząc lufą w swoją twarz, zamknęła jedno oko i zajrzała do środka, ale nie zobaczyła nic prócz ciemności.

- Na nic się to nie zda - mruknęła pod nosem.

Nie chcąc przyznać, że omdlewający ciężar jej członków przypisać należałoby wciąż unoszącym się w powietrzu wspomnieniem pocałunku Morgana, wepchnęła miecz ojca pod kanapę, a pistolet wsunęła za weneckie lustro. Rzuciła tęskne spojrzenie w kierunku księżycowej poświaty i zamknęła drzwi. Wiedziała, że w ostrym świetle poranka ich spotkanie wydawałoby się tylko snem.

Tuląc cienie, Sabrina sunęła po galerii z zamiarem napotkania Enid i zaciągnięcia jej do łóżka, zanim wszyscy odkryją ich nic nieznaczące poczynania. Lecz w drodze zatrzymał ją wybuch głośnego śmiechu, głębokiego i w jakiś sposób interesującego.

Odsunęła się w kierunku poręczy i uklękła zwabiona nieznajomym odgłosem i złotą kaskadą, gdy Morgan odrzucił włosy, śmiejąc się z jednego z żartów Briana. Chłopięcy uśmiech zmienił jego twarz, ukrywając bruzdy i marszcząc skórę wokół oczu. Słońce, wiatr i poczucie odpowiedzialności sprawiły, że jego twarz wyglądała na dużo starszą. Niektórzy mężczyźni zawsze pozostaną chłopcami, ale Sabrina wyczuła, że Morgan MacDonnell urodził się mężczyzną.

Intensywność jego surowego, męskiego piękna znów ją poraziła. Jej serce zabiło spazmatycznie, jak gdyby czyjaś ręka wdarła się do jej piersi i je ścisnęła. Zaciśnęła ręce na balustradzie.

Naprzeciw Morgana Alex napełniał swój kielich świeżym winem i uniósł go, chcąc wznieść toast. Wzrok Morgana przeniósł się na galerię i przypadkowo natrafił na Sabrinę. Na jego ustach zagościł bardziej już serdeczny uśmiech. Uniósł kubek z wodą w cichym uznaniu, które sprawiło, że dzielące ich zamieszanie i chaos odeszły w niepamięć. Brian klepnął go w plecy, a Morgan spuścił swój wzrok na kubek, tak by nikt nie mógł dostrzec jej kryjówki.

Jej serce wezbrało szczęściem. Bojąc się, by nie zdradzić tych nowych i drogocennych emocji zmusiła się do odwrócenia od niego wzroku. Zobaczyła, jak ciemnowłosa MacDonnell wstaje i wymyka się głównymi drzwiami, ściskając swój brzuch. Podmuch nocnego wiatru poruszył chorągwie.

Pewnie za bardzo objadł się sarniną, pomyślała Sabrina, a jej twarz wykrzywił lekki uśmiech.

Wzajemna niechęć Angusa i jej ojca osłabła pod wpływem wina i poczucia koleżeństwa i dogadywali się teraz tak dobrze, jak ich synowie. Zakapturzony służący, który kręcił się za Angusem, zniknął, pewnie tylko po to, żeby zwinąć się w kłębek gdzieś w zapomnianym zakątku rezydencji. Oczy matki Sabriny, zmęt-

niałe zmęczeniem, mówiły wyraźnie, że Elizabeth chciałby zrobić to samo.

Kątem oka Sabrina zobaczyła, marszczący się za nimi gobelin. Zerknęła w kierunku drzwi, oczekując, że zobaczy zataczającego się, świńskiego MacDonnella wycierającego usta ręką. Jednak drzwi pozostawały zamknięte.

Sabrina zmarszczyła czoło. Wstała odruchowo dręczona przecuciem, że stało się coś złego. Oparła się o poręcz, wpatrując się w gobelin. Czy coś drgnęło, czy zobaczyła tylko migotanie świec? Jej stopy, wiedzione jakby niepokojem, same zaniosły ją na schody.

- Sabrino! Czemu na miłość boską nie jesteś o tej porze w łóżku?

Krzyk matki wyrwał ją nagle z zadumy. Nagle uświadomiła sobie, że stoi u podnóża schodów. Spadł na nią deszcz zamglonych wizji. Zmartwiona twarz jej ojca. Chytre spojrzenia MacDonnellów szturchających się pod stołem. Gniewna mina Morgana.

Słowa Briana niosły się po hallu.

- Dobry Boże, Alex, czy ona ma krew na koszuli?

Sabrina zapomniała, w jakim stanie znajdowała się jej koszula nocna. Stojąc przed nimi, czuła się naga. Chciała wszystko wytłumaczyć, lecz nim zdążyła wypowiedzieć jedno słowo, Angus wstał, machając groźnie rękoma.

- Ach! Czyż to nie Sabrina! Wieść o jej urodzie dotarła już do najdalszych lądów. - W pijanym widzie nie omieszkał spojrzeć na jej matkę i jednocześnie mrugnąć do swoich współtowarzyszy.

Gdyby kochaniutka Beth miała lepszy gust, wybierając męża, mogłabyś być moją córunią.

Jego współtowarzysze wybuchnęli gromkim śmiechem. Ojciec Sabriny pokiwał głową, a usta, na których gościł dobroduszny uśmiech, wykrzywiły się. Poczula bolesny rumieniec zalewający jej szyję. Krzywiąc się ze wściekłości, Morgan począł szarpać za sztyldo trzymające jego spódnicę jak gdyby chciał zedrzeć ją z siebie i owinać wokół niej.

- Za Sabrinę! - ryknął Angus. - Najdelikatniejszy pączek mojej kochanej Beth!

Mężczyźni wzniesli dzikie wiwaty, gdy Angus wznosił swój wielki kielich w toaście, by po chwili paść martwym w półmisek. Spomiędzy jego kościstych łopatek wystawała wysadzana drogimi kamieniami rękojeść sztyletu.

Rozdział 3

Potworne wycie Morgana wstrząsnęło całym ciałem Sabriny i sprawiło, że nagle ustały wszystkie jej reakcje. Wszystkie poza przeraźliwym krzykiem.

Dougal Cameron energicznie pchnął żonę do korytarza, najbliższego bezpiecznego miejsca. Sam pochylił się nad ciałem Angusa, by po chwili unieść ręce. Wpatrywał się w nie, jakby zdumiony tym, że ociekają krwią. MacDonnellowie odruchowo sięgnęli do pochew mieczy, ale ich ręce pozostały puste. Morgan widział już wielu ludzi marnujących cenny czas nad zwłokami ojców. Jego dzikie oczy patrzyły na Sabrinę. Alex i Brian chwycili jego ramiona, lecz odepchnął ich jak gdyby byli tylko małymi szczeniakami, które podgryzają mu stopy. Wszyscy myśleli, że rusza po broń.

Wszyscy prócz Sabriny. Widziała morderczy błysk oskarżenia w jego oczach. Bardzo dobrze wiedziała, w co wierzy, zupełnie jakby przed chwilą to wykrzyczał. Uważał, że była tylko przynętą, której zadaniem było oderwać uwagę od nieuchronnie zbliżającego się zabójstwa jego ojca.

Kiedy zbliżał się do niej z oskarżycielskim ogniem w oczach, siała nieruchomo jak zahipnotyzowana. Nie miała dokąd uciec ani gdzie się ukryć. Nie miała czasu, by błagać o litość. Gdyby tylko zamachnął się wtedy toporem, jej głowa potoczyłaby się po podłodze, a nogi długo jeszcze stały wryte w ziemię.

Oplótł ramionami jej talię. Szarpnął ją w swoją stronę i oboje odwrócili się twarzami do hallu. Sabrina czuła, że ręką sięga głęboko pod swą szkocką spódnicę, w poszukiwaniu pistoletu, który kilka chwil wcześniej jej oddał. Pozbawiony jakiegokolwiek broni, zatkał usta Sabriny, odchylając jej głowę tak, by zobaczyli, że jednym, małym ruchem palców jest w stanie skrócić jej kark.

Sabrinę ogarnął dziwny spokój. Nawet stojąc bezbrinnie w jego uścisku, zawieszona między jego rozstawionymi udami, nie bała

się o siebie. Wiedziała, że nie zrobi jej krzywdy. Brutalność jego delikatnych rąk była hamowana przez zimne opanowanie, bardziej przerażające niż krzywda, którą mogłyby wyrządzić. Jedynie cień wątpliwości przyćmiewał myśl o słodkiej i subtelnej śmierci ofiarowanej przez niego. Jeden ruch rąk, a jej życie zgasłoby jak gwiazda wraz z nadejściem poranka.

Wszyscy ludzie w hallu, nawet członkowie klanu MacDonnel-lów stali w osłupieniu. Bezsilna wściekłość płonęła w oczach Briana. Alex oddychał ciężko, a jego twarz nabrała jeszcze czerwiejszej niż włosy barwy.

- Twoja gościnność pozostawia wiele do życzenia, Dougalu Cameronie - warknął Morgan, a jego oddech owiał włosy Sabriny.

Dougal uniósł swoje zakrwawione ręce w błagalnym geście.

- Nie rób tego Morgan. Nie miałem nic wspólnego z morderstwem twego ojca. Jeśli zechcesz dać mi szansę, przysięgam, że pomogę ci znaleźć drania, który to zrobił.

- Mój ojciec już kiedyś dał ci szansę. I spójrz, co mu to dało. Zabierzcie broń - rozkazał swoim ludziom.

MacDonnellowie rzucili się na kupę żelastwa na posadzce jak zgraja żarłocznych psów. Ich tłuste ręce chwyciły zardzewiałe rękojeści mieczów i sztyletów, i głaskały celowniki swoich zniszczonych pistoletów. Ich oczy zmieniły się w małe, wyczekujące rozlewu krwi szparki. Byli w swoim żywiole, gotowi do walki i zabicia ludzi, z którymi jeszcze przed chwilą zasiadali przy jednym stole.

Pośród nich stał ciemnowłosy MacDonnell, a oczy Sabriny zmrużyły się na jego widok. Jak dostał się z powrotem do hallu? Czyżby nie zdołała go zauważyć w tym chaosie? Jej pytania przestały być tak nurtujące, gdy zdała sobie sprawę, że jej własni ludzie, bezbronni, jak owce idące na rzeź, stoją przed uzbrojonymi po zęby MacDonnellami.

Morgan cofnął się do drzwi, zasłaniając się Sabriną jak tarczą.

Dougal uderzył pięścią w stół.

- Do jasnej cholery Morgan, puść ją! To tylko dziecko! To sprawa między tobą a mną.

Sabrina poczuła, jakby głos Morgana zadudnił w trzewiach, a jego słowa przeznaczone były tylko dla jej uszu.

- Zabiłaś nie tego MacDonnella, smarkulo. Trzeba było uciąć mi głowę, gdy miałaś okazję.

W ogniu walki, Morgan rzadko popełniał błędy taktyczne, ale ta drwina okazała się być dla niego bardzo kosztowną. Dla Sabriny czas się cofnął. Morgan nie był już niebezpiecznym nieznanym, od którego zależało teraz jej życie. Był tym samym irytującym i aroganckim chłopakiem, który przy każdej okazji deptał jej uczucia.

- Zawsze musisz mieć ostatnie słowo, co? - powiedziała pozornie łagodnym głosem.

Każdy skrawek zniszczonego haftu, każde z ciastek, którymi karmiła Pugsleya, każda neuroniona łaza teraz dały jej siłę. Siłę, by oswobodzić rękę i z całych sił uderzyć pięścią w twarz Morgana.

Oczy Morgana zacisnęły się w bólu. Wiedziała, że złamała mu nos.

- O ty mała su...

Dziewczyna w jego uścisku nagle zmieniła się w opętanego szalonym tańcem derwisza. Jej małe, ostre pięty bębniły w jego goleń. Sabrina sapiąc z wysiłku i próbując wyrwać się z uścisku, zdołała wydusić z siebie kilka słów.

- Gdybyś... użył... tej swojej czaszki do czegoś poza noszeniem... b... b...be... beretu, posłuchałbyś mojego... ojca.

Ugryzła zasłaniającą jej usta rękę, z której zaczęła sączyć się krew. Jego ludzie spojrzeli na siebie z niepokojem. Żaden z nich nigdy nie pokonał Morgana w walce, a blizny na ich ciele były tego najlepszym dowodem. Teraz to małe, pół-angielskie chucherko zdawało się radzić sobie z nim całkiem nieźle. Czarne loki opadały na jej twarz, a białe zęby kłapały w poszukiwaniu świeżego mięsa.

- Mam ją zastrzelić, Morgan? - zasugerował ochoczo Ranald, już dobywając pistoletu.

Morgan oszczędził mu zachodu, rzucając ją na ziemie i przygniatając swoim ciężkim ciałem. Jego ludzie krzyknęli radośnie, sądząc, że szykuje się niezła zabawa. Czyż można wyobrazić sobie lepszą zemstę za zabicie Angusa niż zhańbienie córki Camerona na

oczach jego synów? Oblizali usta w niecierpliwym oczekiwaniu, mając nadzieję na swoją kolej, po tym jak Morgan się z nią rozprawi.

Chcąc ratować siostrę, Brian rzucił się naprzód, lecz wciśnięty w jego gardło sztylet zatrzymał go w miejscu. Alex posłał ojcu zdesperowane spojrzenie, ale Dougal stał spokojnie z niemalże melancholijną miną, patrząc na tych dwoje pochłoniętych walką charakterów na podłodze jego własnego hallu.

Morgan uwięził uda Sabriny pomiędzy swoimi i jedną ręką unieruchomił jej wątłe nadgarstki. Ich torsy falowały, a oczy wpatrywały się w siebie nawzajem. Morgan poczuł w ustach krew, wciąż sączącą się z jego wargi w miejscu uderzenia Sabriny.

- Zerznij ją ode mnie! - krzyknął jeden z jego ludzi.

Morgan obserwował, jak rumieńce na twarzy dziewczyny bledną. Nawet teraz, gdy jasne było, że to on ma władzę, by ją skrzywdzić i zhańbić, Sabrina nie błagała o litość, nie płakała.

- Daj dziwce posmakować swojego miecza, Morgan. Idę o zakład, że jest ostrzejszy niż ten, który zabił twojego ojca.

Morgan odciągnął swoją gotową do uderzenia pięść. Widział, że nie ma wyboru, że musi ją ogłuszyć, zanim podły nastój jego ludzi wymknie mu się spod kontroli. Jej szamotanie podsycalo tylko ich żądze. Nie miała zamiaru mu tego ułatwić. Jej kruche ciało drżało pod jego naporem, lecz jej zdesperowane oczy drwiły z niego i zachęcały do walki.

Jedwabiste kruczoczarne fale włosów oplatały jej twarz. O dotyku takich właśnie włosów marzy każdy mężczyzna. Takich włosów...

Morgan zawahał się. Modlił się, aby jego uderzenie nie było zbyt silne, by nie zmiażdżyło jej szczęki. Ten krótki przebłysk współczucia dużo go kosztował. Poczuł przenikliwe zimno lufy wciśniętej w potylicę.

Kulturalny zwykle głos Elizabeth Cameron skrzypiał w furii.

- Zejdź z mojej córki, Morganie MacDonnellu albo wyślę cię do piekła na spotkanie z ojcem.

Rozdział 4

Chwila, gdy Morgan trzymał Sabrinę w swoim silnym uścisku, zdawała się trwać wiecznie i pewnie nawet groźba śmierci nie zdołałaby rozluźnić jego spiętych ramion.

Gdyby nie upór, z jakim patrzyła w mroczną zieleń jego oczu, zauważyłaby pewnie desperackie spojrzenia, jakie wymieniali między sobą jego ludzie. Ranald mógł jednym strzałem zlikwidować Elizabeth Cameron, lecz gdyby jej palec drgnął na spuście broni, ród MacDonnellów zostałby pozbawiony nie tylko wściekłego przywódcy, ale też człowieka, który trzymał cały ich klan w kupie. Cena zbyt wysoka, nawet jak na wielką ucztę, jaką zafundował im Cameron.

Morgan podjął decyzję w ich imieniu.

- Wszystko, by zadowolić panią - powiedział wolno, siląc się na żalony uśmiech.

Ojciec Sabriny wyglądał na potwornie zmęczonego. Położył dłonie na stole. Sabrina nigdy nie widziała go w takim stanie. Siwe kosmyki włosów sterczały z jego skroni.

- Brian, Alex, eskortujcie naszego gościa do lochów, zanim wasza matka go zastrzeli. - Jego głos drżał w stłumionej furii.

- A reszta niech wynosi się z mojego domu. Już!

- Zabił naszego przywódcę jeszcze przed deserem - wymamrotał Ranald, wsuwając pistolet pod swój kilt. - Cholernie prymitywna banda. Żadnych manier.

- Ano. - Kolejny MacDonnell ośmielił zabrać głos, zgarniając dzban angielskiego piwa i garść srebrnych łyżek.

- Angus był dobrym człowiekiem. Zasłużył, by stanąć ze śmiercią twarzą w twarz, a nie zostać pchniętym nożem od tyłu przez jakiegoś smutnego i tchórzliwego Camerona.

MacDonnellowie rozeszli się, zrzedząc pod nosem jak małe dzieci, którym zabrania się niebezpiecznych zabaw. Kobiety, które

znali, były zdolne zarówno do zabicia mężczyzny, jak i do zaciągnięcia go do łóżka. Nie mieli żadnego powodu, by nie wierzyć, że żona Camerona czymkolwiek się od nich różni. Nie mieli zamiaru narażać życia Morgana tylko z powodu dumy czy puddingu na deser.

Jeden z mężczyzn zarzucił sobie ciało Angusa na ramię. Morgan nawet nie mrugnął, gdy został potracony zwłokami własnego ojca, choć Sabrina mogłaby przysiąc, że widziała, jak mięsień na jego granitowej szczęce drgnął. Zadygotała na samą myśl o zwłokach swego ojca podrzucanych bez jakiegokolwiek szacunku.

Brian i Alex chwycili nadgarstki Morgana, wykręcając je za jego plecami, z większą niż potrzeba siłą. Jędrne mięśnie przeżyły się w ich rękach okrutnie, przypominając im, że tylko dzięki jego łasce i wciąż wycelowanemu w jego głowę pistoletowi, są w ogóle w stanie nad nim zapanować i go powstrzymać. Oczy jej braci skrzyły się wściekłością, gdy związywali ręce swojemu, do niedawna jeszcze, przyjacielowi.

Gdy wyprowadzali go z hallu, Morgan pozwolił sobie jeszcze, ten jeden raz, poczuć smak buntu. Odwrócił się i skierował ku Sabine swoje enigmatyczne spojrzenie.

Jego spojrzenie naznaczyło Sabrinę w sposób bardziej wyraźny, niż jego krew; spojrzenie obiecujące to, czego nie mogły obiecać teraz usta.

Później...

Wstrząsnął nią silny dreszcz. Brian pchnął Morgana. Kiedy zniknęli, jej ojciec i matka klękli przy niej. Ojciec otulił ją swoim surdudem, a matka wzięła ją w swe pachnące perfumami objęcia.

- Czy ten nikczemny potwór coś ci zrobił? - Elizabeth odgarnęła włosy z czoła Sabriny.

- Jeszcze nie - odpowiedziała nieobecny głosem, wciąż patrząc w puste drzwi.

Dougal uniósł jej nadgarstki do światła, jak gdyby szukał czegoś więcej niż tylko siniaków, które powinny je oplatać. Były nienaruszone, gładkie i kremowe, jak wtedy gdy wymykała się z jego sypialni. Dziwna mieszanka triumfu i żalu jednocześnie pobrudziła mu czoło.

- No, moja mała księżniczko, chyba wystarczy wrażeń jak na jedną noc? - zapytał.

Zaśmiała się niepewnie.

- Wystarczy na całe życie. Naprawdę. Skąd wzięłaś pistolet, mamó?

Elizabeth spojrzała na broń z takim zdziwieniem, jakby widziała ją po raz pierwszy.

- Pewien niemiecki zegarmistrz podarował ją mojemu ojcu w podziękę za hojny datek na kościół luterański. - Wycelowwała w sufit i pociągnęła za spust. Z lufy wystrzelił snop kolorowych piór.

W gardle Sabriny dało się usłyszeć dziwny dźwięk, pół-łkanie, pół-chichot.

- Pokonany przez róże i pióra w jeden wieczór. Biedny diabeł.

Rodzice wymienili zatroskane spojrzenia ponad jej głową. Dougal chciał pogłaskać jej policzek, lecz wstrzymały go okropne ślady krwi na jego dłoniach.

- Któż posunąłby się do takiego okrucieństwa? - spytała Elizabeth.

Ręce Dougala zacisnęły się i przybrały kształt stanowczych, zdeterminowanych pięści.

- Nie wiem, Ale mam zamiar się dowiedzieć.

- Może jakiś wróg Angusa, ale nie Cameron, ani MacDonnell, wślizgnął się niepostrzeżenie do rezydencji - zasugerowała Sabrina.

Rodzice patrzyli na nią nieobecny wzrokiem, jakby zapomnieli o jej obecności.

- Nie zaprzataj tym swojej ślicznej, małej główki księżniczko. Łagodnie, lecz categorycznym tonem, powiedział Dougal.

- Twój ojciec ma rację. Nie powinniśmy byli rozmawiać o tym przy tobie. No, podejdz tu owieczko - powiedziała, pomagając jej wstać. - Położymy się do łóżka i zaparzymy filiżankę pysznej herbaty.

Sabrina niespodziewanie cofnęła się i wsparła na słabych kolanach. - Dziękuję mamó, ale sama sobie poradzę. Gdybym nie wychodziła z łóżka, pewnie oszczędziłabym wszystkim wielu zmartwień.

Sabrina nie chciała być rozpieszczana. Nie chciała otulać się swoją szeleszczącą pościelą, zatapiać się w ciepły materac i myśleć o Morganie, przykutym gdzieś poniżej łańcuchem, w zimnym i wilgotnym lochu.

Rodzice patrzyli, jak pokonuje strome schody, a jej drobne ciałko ginie pod surdudem sięgającym jej kolan. Wrodzony optymizm Dougala zwyciężył. Uczucie radosnego podniecenia pokonało niepokój i przerażenie po śmierci Angusa. Może i stary, zrzedliwy wódz nie zginął na darmo. Może okazja do spełnienia jego marzeń dotyczących klanu Cameronów i jego córki właśnie spadła na jego kolana razem z ciałem Angusa. Pokiwał głową, dziwiąc się tej, jakże słodkiej ironii losu.

- Ani śladu na niej. Niesamowite.

Oczy Elizabeth zmrużyły się. Już wcześniej widziała tę anielską minę na twarzy męża i miała wiele powodów, by mu nie ufać.

- Ani śladu, który mógłbyś zobaczyć - mruknęła pod nosem. Gdy Sabrina dochodziła już na szczyt schodów, jej kroki były

leniwe. Przechodząc obok progu galerii, potknęła się o leżącą twarzą ku ziemi Enid.

Kuzynka usiadła, przecierając swoje zaczerwienione oczy.

- Wielkie nieba, musiałam przysnąć. Nic mnie nie ominęło, prawda?

Trzy dni zajęło Sabine zebranie się na odwagę. Trzy dni, podczas których była nieustannie rozpieszczana przez swoją matkę. Trzy dni patrzenia na ojca i jej braci klnących i snujących się po rezydencji w poszukiwaniu rozwiązania ich dylematu. Trzy dni słuchania, jak MacDonnellowie grają na swych dudach pod murami w ramach zagorzałego protestu. Przynajmniej, pomyślała, ściany lochu tłumią ich bezustanny warkot.

Wąski obcas jej pantofla utknął w szczelinie między kamieniami. Zaparła się dłonią o wilgotną ścianę, aby nie spaść po krętych schodach w ciemność. Była w stanie wyobrazić sobie przerażenie swoich rodziców, gdyby znaleźli jej połamane ciało u podnóża schodów. Chrypiący głos wydobywał się z jej gardła i rozbrzmiewał niesamowitym echem w absolutnej ciszy, zakłócaney tylko przez monotonne krople wody kapiącej na kamień. Lekki podmuch

poruszył jasny płomień świecy. Sabrina oderwała ręce od ściany i otoczyła go dłońmi. Wolałaby uderzyć się w głowę, niż zostać sama w tych egipskich ciemnościach.

Dzwoniąc zębami, powolutku i ostrożnie pokonywała każdy stopień, ze zdziwieniem odkrywając, że jest jeszcze większym tchórzem niż Enid.

Zeszła z ostatniego schodka i znalazła się w samym środku krętego korytarza. Unoszące się wokół niej powietrze było wilgotne i chłodne. Wsunęła rękę do kieszeni swojej długiej koszuli. Wystarczająco długiej, by upchnąć w niej miarkę odwagi, płynącą z ukrytej pod spodem ciepłej, owiniętej lnem paczki. Labirynt wił się w nieskończoność z każdym zakrętem prowadząc Sabrinę coraz głębiej i głębiej. Mijała puste cele wyściełane zwiędłą trawą i odpadkami, żelazne drzwi wiszące na zardzewiałych zawiasach, zwisające ze sklepień sufitów kajdany, których łańcuchy szpetnie pokryte były brunatnymi plamami, które nie były niestety rdzą. Ściany płakały oleistymi łzami, kapiącymi w zimne kałuże pod jej stopami, przesiąkając przez jedwabne pantofle. Piski i szelesty towarzyszyły każdemu jej krokowi. Poślizgnąwszy się na jednym ze śliskich zakrętów, kurczowo chwyciła rąbek swej spódnicy i stanęła nagle, jakby sparaliżowana słabnącym biciem swego serca.

Przez dekady loch pod rezydencją Cameronów wypełniała uśpiona pustka. Przypomniawszy sobie drwiny Morgana, zastanawiała się czy może to właśnie nie jeden z MacDonnellów był tu ostatnim gościem, może jego dziadek albo kłótniwy praprapra-wujek, ochrzczony imieniem Straszego Halberta przez swoich wrogów i członków klanu, za swój niefortunny zwyczaj obdzierania swoich przeciwników żywcem ze skóry. Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach, jak gdyby jakieś lodowate szpony musnęły właśnie jej kark.

Mogłaby przysiąc, że mijając w pośpiechu kolejny łuk, znalazła się w miejscu, przez które parę chwil wcześniej przechodziła. Nie wiedziała, ile ma czasu. Zdołała wymknąć się tylko dlatego, że wszyscy niemalże wybiegli z domu, żeby powstrzymać pijanego MacDonnella przed podpaleniem wiejskiego kościoła.

Mroczna pieczara wydawała się oddalona o wiele mil od eleganckiej rezydencji. Korytarze zwężały się. Jej spódnica wijąca się wokół szerokiego koszyka ocierała się o ścianę. Ciężar kamieni przytłaczał ją tak mocno, że wydawało się jej, że słyszy odgłosy stawianych przez duchy kroków i potworne, męczeńskie krzyki. Tłumiła w sobie panikę, bojąc się przed sama sobą przyznać, że się zgubiła. Przypomniawszy sobie ostrzegawcze spojrzenie Morgana w hallu, zdała sobie sprawę, że naprawdę musi być zgubiona, skoro z taką ochotą go tu szuka. Już miała ulec pokusie padnięcia na kamień i wrzeszczenia jak małe dziecko, kiedy jej oczom ukazała się ścieżka. Podmuch chłodnego wiatru przemknął przez głęboki korytarz. Świeczka Sabriny nagle zamigotała, po czym łagodnie zgasła.

Sabrina pośpiesznie zamknęła oczy. Woląла swoją własną ciemność niż ten mdły mrok paniki. Zdała sobie jednak po chwili sprawę, że nie może stać tak wiecznie z zamkniętymi oczami.

Nie tylko było to zupełnie bezsensowne, ale za to okropnie nudne. Powoli otworzyła jedno oko, potem drugie. Bezużyteczna już świeca wypadła jej z rąk i stuknęła o podłogę.

Najbłedzy promień światła mógłby oślepić ją, stojącą tam na dalekim końcu korytarza. Tylko dzięki całkowitej ciemności mogłaby taki promień dostrzec. Podłoga chyliła się pod stopami Sabriny. Powoli posuwała się naprzód, przytulając się do ściany dla równowagi. Bała się, że nigdy nie uda jej się odnaleźć Morgana, ale jeszcze bardziej obawiała się tego, że go znajdzie.

W smudze jaśniejszego światła zobaczyła żelazne pręty łączące sufit z podłogą oraz mężczyznę stojącego nieruchomo, wyrzeźbionego jakby z wielkich kamiennych płyt. W drewnianym kinkiecie leniwie paliła się gruba świeca. Jej blade światło flirtowało z wszechogarniającą lochy ciemnością. Sabrina poczuła nagle ulgę, że jej ojciec nie jest aż tak okrutny, by trzymać go tam w ciemnościach. Lecz ulgę zalała po chwili fala wściekłości, kiedy zobaczyła cienkie łańcuchy przykuwające jego ramiona i nogi do żelaznych prętów osadzonych w podłodze. Nic dziwnego, że ojciec nie uważał za konieczne umieszczenie tam strażnika.

Rozdzierało ją prymitywne oburzenie. Morgan nie powinien być

więziony w takiej ponurej dziurze. Powinien galopować teraz wężem z wiatrem w swoich pszenicznych włosach. Powinien spać pod sklepieniem gwieździstego nieba, a jego jedynym schronieniem powinny być szeleszczące sosnowe konary.

Siedział na wąskiej, wystającej ze ściany półce. Nawet chciwe cienie nie zdołałyby zmatowić jego lśniących, opadających na twarz włosów. Wolno odchylił głowę, jednym ruchem krusząc jej wyobrażenie o pobitym więźniu.

Pod jego lewym okiem widniał siniak. Dekadencka pełnia jego ust oszpecona była przez rozcięcie na dolnej wardze, jak gdyby został w nią uderzony ciężkim pierścieniem. Przypomniawszy sobie dziką zaciętość, jaką widziała na twarzy swoich braci, kiedy go wyprowadzali, miała powody, by przypuszczać, że popuścili wodze swej wściekłości i sami wymierzili Morganowi karę, kiedy był już bezpiecznie zakuty w kajdany.

Jednakże, zamiast wzbudzać litość, jego rany sprawiały, że wyglądał jeszcze groźniej. Sabrina zacisnęła usta na myśl o tym, że len mężczyzna nie potrzebował jej litości.

Odsłonił swoje zwaliste ciało, przekształcając tym samym swoją ciasną celę w klatkę. Jego szkocka spódnica zawiązana była wokół talii. Nagi tors świecił jak wysmarowana masłem stal. Zbliżył się do niej, z każdym ruchem uwalniając zwierzęcą siłę. Gdyby rzucił się na nią, rycząc i dzwoniąc łańcuchami, nie mógłby bardziej przypominać wojownika spłodzonego w barbarzyńskim piekle. Gdy podchodził do krat, Sabrina instynktownie odsunęła się pod ścianę.

Z początku Morgan myślał, że niewola pomieszała mu zmysły. Walcząc z rozpaczą, przeszedł przez każdy cal swojej celi, nim usiadł na ławce. Wtedy w jego wilgotnym, cuchnącym więzieniu zaszumiał szept róż i bardziej nawet niesamowity zapach miodu i przypraw korzennych. Jego krocze i brzuch ścisnęły się z głodu, ubiegając się o zainteresowanie.

Nie mógł uwierzyć, że Sabrina naprawdę tam była; taka zadbana i ładnie pachnąca, ze skórą błyszczącą jak alabaster w tym bladym, więziennym świetle. Warkocz oplatający jej głowę niczym diadem z gracją przysłaniał jej brwi. Morgan pomyślał, że wciąż zachowu-

je się jak księżniczka i że uśmiechnąłby się, gdyby rozcięta warga tak cholernie go nie bolała.

Położył ręce na prętach krat, nie zwracając uwagi na ocierające jego skórę łańcuchy.

- Przyszłaś tu tryumfować, co? Pogapić się na bestię i napawać się zemstą za wszystkie te okropności, które musiałaś przeze mnie znosić?

Łańcuchy uniemożliwiały mu zbliżenie się do Sabriny, jednak odległość była wystarczająca, by pozbawić ją pewności siebie. Działając wbrew swoim najlepszym intencjom, zdradziła mu całą prawdę.

- Bałam się, że cierpisz.

- Cierpię. Mój nos boli jak cholera. Złamałaś go, wiesz? Przechyliła głowę i objęła go badawczym spojrzeniem. Nawet

złamany nos nie był w stanie naruszyć surowego magnetyzmu jego asymetrycznej urody. Zlekceważył jej ciekawski wzrok.

- Był już wcześniej złamany. I pewnie znów będzie, jeśli wystarczająco długo pożyję. Oczywiście twój kochający tatuś dopilnuje, by było to nazbyt prawdopodobne.

- Nie miałam namyśli twojego nosa. Chodziło mi o twojego ojca. Wzruszył lekceważąco ramionami, lecz jego oczy zaskrzyły się.

- Nie ma o czym rozmawiać. Stary drań nie żyje.

Sabrina spodziewała się zastać go wzburzonego żalem, wyjącego ze wściekłości. Jego lodowaty spokój był jeszcze bardziej niepokojący. Zastanawiała się, czy trzyma wszystkie te emocje pod tak bezlitosną kontrolą.

Oswobodziwszy się z jego spojrzenia, zbliżyła się do krat celi, nie przekraczając jednak bezpiecznej odległości ramienia.

- Nie wiem, jak możesz wierzyć w to, że mój ojciec zabił twojego ojca. Gdyby tak było, nie sądzisz, że wyposażyłby swoich ludzi w broń? Dlaczego narażałby swoją własną rodzinę z powodu takiej błahej, nikczemnej sztuczki?

- Ty mi to powiedz.

Rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie, by sprawdzić jego reakcję. Ziewnął, strząsając grzywkę z oczu niczym wielki, śpiący lew.

Podeszła jeszcze bliżej, nie pozwalając się sprowokować.

- Zanim Angus został zamordowany, widziałam, jak poruszył się wiszący na ścianie gobelin, tak jakby ktoś się za nim chował. Co miałyby powstrzymać mordercę przed wślizgnięciem się bocznym korytarzem i wymknięciem się tą samą drogą? Nie zaprzeczysz chyba, że twój ojciec miał wystarczająco wielu wrogów. To mógł być którykolwiek z nich! Ktoś ze wsi. Przechodzący tamtędy Grant albo Chisholm, którego ucieszyłaby świeża wojna między naszymi klanami.

Albo nawet któryś z twoich ludzi, Sabrina w porę ugryzła się w język, wiedząc, że uznałby jej słowa za próbę oczyszczenia imienia jej ojca.

Oparł ręce o prety nad swoją głową.

- Ktokolwiek, poza tobą, najśłodsza. Wszyscy wiemy, gdzie byłaś, prawda?

Sztuczny ton jego głosu zawstydził ją. Wydawało się jej, że poczuła na wargach delikatne muśnięcie jego ust. Poczuli się, jak gdyby została przyłapana nago, spacerując pomiędzy zastępami MacDonnellów. Fala gorąca zalała jej kark i policzki.

Morgan wpatrywał się w delikatną szyję Sabriny i powstrzymał pomruk. Pomyślał, że dziewczyna powinna nosić rozpuszczone włosy, chociażby przez wzgląd na jego instynkt samozachowawczy. Widok jej nagiego karku coś w nim poruszył, coś, co nie powinno być ruszane. Wolałby widzieć ją rozgniewaną niż bezbronną. Może właśnie dlatego, spędził tak wiele lat, ucząc ją nienawiści do siebie.

- Gdzie moi ludzie? - burknął. - Nikt w tej zapadłej dziurze nie chce mi powiedzieć.

Sabrina też miała tego nie mówić. Rzuciła mu krótkie spojrzenie spod swych gęstych rzęs, zastanawiając się, jak daleko gotowa byłaby się posunąć, by zdobyć choć odrobinę jego zaufania w nadziei na uchronienie ich klanów przed dalszymi tragediami.

- Obozują na wzgórzu naprzeciwko rezydencji - powiedziała wreszcie, wzdychając. - Ale trudno powiedzieć czy planują oblężenie, czy świętują. Całymi dniami tańczą i żłopiają whisky, a w nocy terroryzują wieś. A i jeszcze grają na dudach.

Bez ustanku. Gdyby to było Jerycho, mury runęłyby już pierwszego dnia.

- To na pewno ten przeklęty Ranałd. On gra na dudach.
- Chociaż w jednym się zgadzamy.

Morgan odstepił od krat, wlokąc za sobą łańcuchy. Nie mógł pozwolić, by Sabrina zobaczyła entuzjazm płonący w jego oczach. Skoro jego ludzie wciąż byli w pobliżu, była jeszcze szansa na ucieczkę. Może nawet i w tej chwili czekali na jakiś sygnał od niego.

Gdy znów się do niej odwrócił, Sabrina wzdrygnęła się z przerażeniem. Na jego twarzy widniał uśmiech.

Jakby tego było mało, nie był to zwyczajny uśmiech. Nie miał w sobie nawet cienia drwiny czy nieznośnej arogancji, której by się po nim spodziewała. Był to rozbijający swoją szczerością chłopięcy uśmiech, który zmarszczył jego twarz we wszystkich właściwych miejscach i trafił w jej serce szybciej niż ostrze miecza. To był uśmiech, jakim Hades mógł uraczyć Persefonę, zanim posłał ją do podziemnego świata. Uśmiech, jaki posłał Szatan Chrystusowi, by zwabić go na pustynię. Ani łańcuchy, ani kraty nie były w stanie go powstrzymać. Każda kobieta zrobiłaby wszystko dla takiego uśmiechu. Absolutnie wszystko. Morgan zbliżył się do krat, a Sabrina poczuła, że strach ją prześladowający zmienia się w przerażenie.

Jego głos zmienił się w łagodne mruczenie, które głaskało rozchwiane zmysły Sabriny.

- Myślałem, że śnię, kiedy cię tu zobaczyłem. Albo, że umarłem i jestem w niebie.

Sabrina nie mogła powstrzymać sceptycznego uniesienia brwi. Gdyby nie była porażona intensywnością jego uroku, na pewno wybuchłaby śmiechem, uzmysławiając sobie jego wielki tupet. Jednak jakaś psotna część Sabriny chciała zobaczyć, jak daleko Morgan posunie się w tej farsie.

Skromnie zaszurała stopami.

- Raczej pomyślałeś, że zostałeś zesłany do piekieł i jakiś szpetny chochlik przygląda ci się badawczo przez kraty.

Jego ręka spoczęła na sercu, jak gdyby jej słowa zadały mu ból.

- Nie waż się nawet tak żartować, dziewczyno. Nawet aniołowie muszą zalewać się łzami z zazdrości o twój urok.

Sabrina miała ochotę zajrzeć za jego plecy i sprawdzić czy nie siedzi tam i nie mówi duch Angusa, a Morgan nie porusza tylko ustami.

- Aniołowie nie muszą się mnie bać. Jak to kiedyś pewien chłopiec nie omieszkał zauważyć, daleko mi do miana urokliwej.

Lekkość jej głosu zadała kłam temu wspomnieniu, gdy zaczęła na palcach dłoni wyliczać swoje wady.

- Moje usta są zbyt wydęte, szyja za chuda. Moje uszy spiczaste jak u elfa, a mój nos przywodzi na myśl Pugsleya.

Odpowiedział pełnym skruchy wzrokiem.

- Och, ale to były drwiny głupiego chłopca. Nie jestem już chłopcem, Sabrino. Jestem mężczyzną.

Wyśpiewał jej imię niczym pieśń. Nie była pewna, co wstrząsnęło nią bardziej, to, że odniósł się do niej jako do kogoś więcej, niż tylko smarkuli, czy to, że stwierdził coś oczywistego.

Szkocka spódnica zakrywająca jego wąskie biodra i naprężone mięśnie nagiej klatki piersiowej ukazywały naturę jego płci lepiej nawet, niż gdyby spódnica spowijała tylko jego kostki. Na ten widok, serce Sabriny zabiło w zdradzieckim rytmie.

Spuściła wzrok, nienawidząc się za to, że nie jest tak odporna na jego przebiegłość, jak myślała. Chciała już to skończyć. Nie chciała wiedzieć, jak daleko posunie się, żeby osiągnąć swoje wyrachowane cele. Obawiała się, że już je znała.

Odchylając głowę, uśmiechnęła się czarująco i wyciągnęła swoją ostatnią kartę.

- Nie przyszedł tu, by gapić się na ciebie, ani tryumfować, Morgan. Przyszedł zaoferować swoją pomoc.

Kiwnął palcem, by zwabić ją bliżej celi. Podeszła do niego, jak gdyby tylko dziewicza nieśmiałość trzymała ją do tej pory z dala od niego. Morgan złapał rękoma więzienne pręty, i umyślnie przesuwając po nich palcami w górę i w dół, który sprawił, że jej skórę przebiegł dreszcz.

- Nie oczekuję od ciebie wiele, dziewczyno. Gdybyś mogła mi tylko przynieść pistolet, który powierzyłem twojej troskliwej opie-

ce, a twój tatuś będzie w mig miał mnie z głowy - jego głos ściszył się do szeptu. - Sabrino, proszę. Potrzebuję cię.

Jego słowa rozbrzmiały w jej duszy jak echo dawno zapomnianego już snu. Ile to już razy ryzykowała jego pogardą, by tylko móc je usłyszeć? A gdyby przyniosła mu ten pistolet, co by zrobił? Pewnie zastrzeliłby ją za jej głupiutkie serce. Ogarnęła ją cierpka złość.

- Obiecuję, że nic nie stanie się twojej rodzinie - kontynuował, namawiając ją i kusząc swoim wygadany diabelskim językiem.

- Włóż broń, o tu, pod moja spódnicę...

- Czy mogę zasugerować lepszą kryjówkę? - zapytała słodko.

- Nie, będzie tak wygodna, ale obiecuję, że strażnikom nie przyjdzie nawet do głowy, żeby tam zajrzeć.

Morgan wyglądał na zaskoczonego, jak gdyby anielica zatrzepotała nad nim skrzydłami i zaczęła pluć bluźnierstwami. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Grymas niezadowolenia zmarszczył jego brwi. Pięści zacisnęły się na prętach, chcąc raczej udusić niż pieścić. Pomimo trwogi, Sabrina nie była zdziwiona faktem, iż o wiele bardziej wolała tego Morgana, niż jego dwulicowego bliźniaka.

Cofnęła się o krok, nie ufając napiętym mięśniom jego klatki piersiowej.

- Wydaje się, że studiując moje wydęte usta i spiczaste uszy, zapomniałeś o jednej rzeczy, mózgu. Ja go mam. Powiedz mi, czy to przypochebne przymilanie się działa na kobiety, które znasz?

- Nie znam żadnych kobiet - wyznał, zachowując ponury, zażenowany, a zarazem niebezpieczny wyraz twarzy.

- Więc tymi ckliwymi frazesami zabiegasz o względy dziewcząt?

- „Pochyl się” zwykle wystarcza - odburknął.

Sabrina poczęła wachlować się swoją ręką, jak gdyby miało to zatrzymać zatrwajające obrazy, które tworzyły się w jej głowie pod wpływem jego słów.

- Nie będę grała w twoją grę, Morgan. Przyszłam, by ci pomóc, a nie podsuwać ci pistolety, noże czy jakieś klucze. Nie masz już dość tego rozlewu krwi? Co się stanie, jeśli twoi ludzie zejną

wreszcie z gór i zaczną oblegać rezydencję Cameronów? Więcej walki? Więcej śmierci? Gdybyś dał tylko memu ojcu czas na dowiedzenie swojej niewinności, byłbyś w stanie przekonać o tym lakże swój klan. Posłuchaliby cię. Jesteś teraz ich przywódcą. Gdy byś nie był tak cholernie uparty...

Zatrzymał ją dławiący dźwięk z celi. Morgan skrył głowę w ramionach. Jego szerokie ramiona zadrżały. Odrzucił głowę i wybuchnął tak czarnym i pozbawionym wesołości śmiechem, że Sabrinie zjeżyły się włosy na karku. Z jego oczu lały się łzy, ale gdy zobaczyła odbijającą się w nich głęboką rozpacz, zastanawiała się czy jednak nie były to jakieś inne łzy.

- Mój klan? - powtórzył. - A to dobre, dziewczyno! Cameronowie będą się śmiali ostatni, tak? Bo więcej nas już nie ma. Te brykające, piskliwe głupki na wzgórzu to wszyscy, którzy się ostali. Wszyscy nie żyją, a teraz i mój ojciec do nich dołączył. Pewnie właśnie idzie w piekło na dziwki śmiejąc się moim kosztem. Prawda, jestem wodzem! Wodzem niczym!

Sabrina była zszokowana. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić wyginięcia jej klanu. Klan Cameronów liczył setki ludzi. Każdy z nich wiódł spokojne życie w wąwozie, przysięgając składać lenno jej ojcu, przyjmując przed Bogiem i ludźmi jego imię za swoje w ceremonii tak starej i niezmiennej, jak najwspanialsze wesele.

Nie posiadanie klanu w górach oznaczało bycie nikim więcej niż poniżonym wygnańcem.

Wzrok Morgana spotkał się z jej wzrokiem.

- Wierzyłem, że nie będę się płaszczę. Ale płaszczęłbym się dla nich. Oddałbym za nich życie. Oni są wszystkim, co mam, są wszystkim, czym jestem.

Sabrina zastanawiała się, czy jakikolwiek mężczyzna opowiadałby o sobie z taką pasją i żarliwością? Jej serce zamarło, kiedy zdała sobie sprawę, że Morgan pragnął pokoju nawet bardziej niż lej ojciec. Całe jego życie od tego zależało. A teraz wszystkie jego nadzieje zginęły z brutalnych i przebiegłych rąk mordercy Angusa.

Podeszła do krat celi, chcąc go choć trochę pocieszyć, nawet jeśli pocieszeniem miałyby być tylko jej przeciskające się przez kraty palce.

- Nie! - zawył.

Sabrina zamarła. Nareszcie odezwał się w nim żal i bunt, który tak długo w sobie tłumił. Jego oczy płonęły. Łańcuchy zadzwoniły, a kajdany zabrzęczały niczym kruche, stalowe bransoletki, kiedy Morgan napinał swoje potężne ramiona.

- Nie! - powtórzył. - Nie podchodź do krat! Nie wiesz, co mógłbym ci zrobić? - powiedział już łagodniejszym głosem.

Sabrina wepchnęła ręce do kieszeni, by ukryć ich drżenie. Słabe ciepło wciąż biło od jednej z nich. Wyciągnęła płócienną paczkę, które wcześniej zawinęła z taką pieczołowitością.

Morgan stał nieruchomo. Sabrina zbliżała się do krat, unikając jego wzroku, by nie stracić odwagi. Już tylko jeden krok dzielił ją od niego.

Podeszła, przygotowując swoją szyję na śmiertelny uścisk łańcucha. Gdy jednak nie nadszedł, ukłękła i położyła swój podarunek przy kratkach, tak by mógł go bez problemu dosięgnąć. Jego kościste łydki i szerokie stopy przykuły jej uwagę.

Wygładziła brzegi pomiętej chusteczki, uwalniając pikantny aromat miodu i melasy.

- Pamiętam, że zawsze uwielbiałeś pierniki. Kucharz dostawał szau, kiedy kradłeś je z kuchni, zanim jeszcze wystygły.

Obawiając się widoku jego pogardliwej miny, odwróciła się i podążyła w kierunku korytarza. Mysz wychodziła właśnie z norki, aby zbadać to miejsce. Wspięła się na tylne łapki, a jej wąsiki zdrzżały, gdy poczuła nieznaną dotąd zapach. Sabrina pomyślała, że chociaż ktoś skorzystał z jej głupoty. Wytarła zbłąkaną łzę tak, by nie zobaczył jej Morgan.

Palce Morgana wpiły się w kraty, gdy patrzył, jak Sabrina się oddala. Spuścił wzrok i zatrzymał go na dużym kawałku ciasta leżącym u jego stóp. Spojrzał znów na koniec korytarza, gdzie Sabrina zatrzymała się i spojrzała w obie strony przejścia przed zanurzeniem się w ciemność. Jego wzrok znów przeniósł się na ciasto. Gdy poczuł jego ostry aromat, jego nozdrza zdrzżały. Żołądek skurczył się z głodu. Mysz pomalutku szła w stronę serwetki, a jej małe pazurki smyrgały kamienie.

Sabrina rzuciła się w stronę ujścia tunelu, przemykając jak duch

przez oleistą czerń. Morgan obserwował, jak tupocze nogami i mrucał pod nosem jakieś przekleństwa.

- Kobieto! - wrzasnął.

Cisza. Po chwili Sabrina pojawiła się blada w ciemnym przejściu. Morgan wyszarpnął świecę z kinkietu i wetknął ją między kraty. Posypały się płatki wosku.

- Weź to.

- Ale ja naprawdę nie mogę. Będziesz tu siedział w ciemnościach, zanim nie przyjdą strażnicy i...

- Weź to! - powtórzył. - Wynoś się stąd. Psujesz mój cholerny apetyt.

Ich palce otarły się o siebie, kiedy Sabrina brała świecę z jego rąk. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na kapkę gorącego wosku na ich skórze. Otoczyła dłonią płomień, nie chcąc pozwolić, by zgasił go przeciąg.

- Smarkulo? - wyszeptał, chcąc dać jej coś więcej, niż ona dała mu. Brudna świeca nie mogła równać się z odwagą, na jaką musiała się zdobyć, żeby przyjść do tego zawilgoconego piekła i pocieszyć go w żalu.

- Tak, Morgan? - odpowiedziała półgębkiem.

- Powiedz swojej matce, że jeśli następnym razem będzie celowała w jakiegoś MacDonnella, niech upewni się, że broń jest naładowana czymś więcej niż tylko piórami. Alex nie raz zasadzał się na mnie z tą zabawką kiedy, byliśmy jeszcze młodymi chłopakami.

Sabrina mrugnęła do niego. Jej oczy były tak szeroko otwarte i zakłopotane, że bał się, że może ja pocałować. Sięgnął przez kraty i popchnął ją delikatnie do wyjścia.

Po chwili zniknęła i ona i światło.

Morgan ścisnął prety, dręczony przez nasiona zwątpienia, jakie zasadziła w jego myślach. Czyżby jego nienawiść do Cameronów oślepiła go bardziej niż ciemność? Co, jeśli miała rację? Co, jeśli to nie ręka Camerona dzierżyła ostrze, które zabiło jego ojca? Co, jeśli była to ręka jakiegoś podstępного nieznajomego? Nawet rozmyślając nad słowami Sabriny, wciąż przeklinał jej piękno. Gdyby nie rozpraszała go jej urodziwa twarzyczka, na pewno

z dokładnością zanotowałby, kto wchodzi, a kto wychodzi z hallu tuż przed śmiercią jego ojca.

Jakaś jego część wciąż nie mogła uwierzyć w śmierć Angusa. Jego żal zabarwiony był goryczą. W jego ustach spoczywały prochy nigdy nie wypowiedzianych słów. Teraz gdy jego ojciec już nie żył, nie mógł zrobić nic innego tylko je połknąć.

Morgan przykucnął, sięgnął po omacku za kraty, aż poczuł pod palcami ciepłe, kruche ciasto. Pokryte futerkim ciało musnęło jego ręce i cofnęło się, popiskując na znak protestu.

- Ciiiiii, mały koleżko! - wyszeptał. - Nie okradnę cię z twojej części.

Oderwał kawałek piernika i uśmiechnął się, słysząc pełne zadowolenia skrobanie.

Przez kolejnych kilka minut, Morgan siedział zgarbiony przy kratkach i garściami pchał kawałki piernika do ust. Jeszcze długo po zjedzeniu czuł jego smak osładzający gorycz żalu.

Rozdział 5

Tydzień po morderstwie Angusa, Dougal był na poddaszu i polerował ostrze szkockiego miecza, który znalazł przypadkowo wciśnięty pod egipską kanapę. Nagle do pokoju wbiegła jego żona, trzaskając drzwiami z taką siłą, że płomienie świec zamigotały nerwowo.

Zdmuchnęła z oczu rudy kosmyk.

- Mam nadzieję, że ostrzysz ten nóż, by stępić go na karku Morgana MacDonnella.

Dougal uniósł brew, życząc sobie skrycie, by mogli ją teraz zobaczyć jego ludzie. Jako ich pani, była przykładem dystygowanych obyczajów. Jej łagodnie wypowiedane polecenia nie znosiły sprzeciwu. Tylko w jego obecności ujawniała swoje drugie oblicze. Dougal to uwielbiał. W jej ogniu widział wyraźnie płonąca namiętność kobiety, nie damy.

Zdjął pozłacane lustro znad kominka i powiesił tam miecz, podziwiając sposób, w jaki ten męski rys uzupełnił typowo kobiecą domę.

- Kochanie, czy jest coś, co chciałabyś przedyskutować? - zapytał łagodnie.

W niemym okrzyku wściekłości, Elizabeth nerwowo chodziła po pokoju, a rękawy jej pagody marszczyły się przy każdym kroku. Jej wyciągnięte dłonie głaskały się nawzajem niczym delikatne skarby, jak gdyby chciały zaczerpnąć z siebie choć odrobinę spokoju.

Miała przepiękne dłonie. Ich smukłe linie łamane były tylko przez pierścionek zaręczynowy z rubinem. To były ręce artystki, zaprojektowane przez Boga nie do malowania ani rzeźbienia, lecz do pielęgnowania ich ogrodu. Dougal mógł przysiąc, że widział, jak płatki kwiatów rozchylają się do słońca za dotknięciem jej palców. Po dwudziestu trzech latach małżeństwa, jej dotyk miał na niego wciąż taki sam wpływ.

Odwróciła się.

- Minęło już siedem dni, a Ty wciąż niczego nie zrobiłeś. Sto lat temu mogłeś być panem i królem tych ziem, ale teraz obowiązuje nas angielskie prawo. Dlaczego nie zwołałeś żołnierzy i nie kazałeś im go zabrać?

Dougal chciałby w tym momencie być królem. Potrzebował wszak mądrości Salomona, by podjąć decyzję. Jakiś uparty rodowy duch wzdrygnął się na myśl o angielskich żołnierzach wkraczających do jego domu.

- Pod jakim zarzutem, Beth? Żałoby? Bezradnej wściekłości na widok swojego własnego ojca padającego pod ciosem noża? To nie są wykroczenia ani w oczach króla, ani Naszego Pana.

- A co z wykroczeniami, jakich dopuścił się wobec naszej córki? Od tamtej pory prawie nic nie zjadła. Słyszę, jak chodzi po swojej komnacie przez całą noc. Ona może nigdy się z tego nie otrząsnąć!

Dougal podejrzewał, że jego żona miała rację, chociaż jej powody bardzo różniły się od jego własnych.

- Co chciałabyś, bym z nim zrobił? Publicznie wychłostał? Powiesił? Jej gładkie brwi zmarszczyły się.

- Mój brat William ma znajomości. Jestem pewna, że Armia Brytyjska z otwartymi ramionami przyjęłaby takiego wielkiego mężczyznę na służbę.

Dougal rzadko podnosił głos na żonę. Jego równy ton lepiej oddawał niezadowolenie i zawód.

- Więc proponujesz, bym wcielił go do wojska wbrew jego woli. O ile dobrze sobie przypominam, zawsze stawałaś w obronie chłopaka. Spragniony matczynego dotyku, ale zbyt dumny, by się do tego przyznać, mówiłaś. Skąd ta nagle mściwość?

Elizabeth spuściła wzrok. Oboje wiedzieli dobrze, że jej propozycja miała więcej wspólnego ze strachem niż zemstą. Strachem przed wzrokiem, jakim Morgan patrzył na ich córkę. Sposobem, w jaki ją dotykał.

- Więc go uwolnij. Odeślij do domu - wyszeptała. Frustracje Dougala trysnęły w potoku przekleństw. Gdy wsta-

wał, odgarniając włosy z czoła, jego głos nabrał zachrypniętej barwy.

- I co wtedy, Beth? Morgan jest przekonany, że popełniliśmy „morderstwo w zaufaniu”, najohydniej sze ze znanych góralom przestępstw. Jego ludzie uważają nas za gorszych od tych przeklętych Campbellów, którzy dokonali rzezi na nieszczęsnych, pogrążonych we śnie MacDonaldsach w Glencoe. Sądysz, że on po prostu potruchta do domu z podwiniętym ogonem?

Elizabeth w milczeniu potrząsnęła głową. Na jej rzęsach połyskiwały łzy.

Bojąc się, że będą miały one wpływ na jego decyzje, Dougal szybko odsunął się pod okno. Powiew wiatru przywiódł do ich komnaty potworny smród i popiół z ogniska z sąsiedniego wzgórza. Ich uszom nie umknęły też nieustannie zawodzące w oddali dudy. Owinięte w szkocką spódnicę ciało Angusa przewodziło ich ponurej zabawie.

- Barbarzyńcy - wyszeptała Elizabeth. - Nie pozwolili nam go nawet pochować, a mieli odwagę ukraść beczkę solanki i octu, żeby namoczyć jego ubranie.

Przeszył ją dreszcz.

- Gdyby dni nie były coraz chłodniejsze...

- Sądząc po wyglądzie Angusa, był już nieźle ukiszony, zanim dosięgło go ostrze. Dougal zatrzaskał okno tak mocno, że szyby zazgrzytały.

- Reszta MacDonnellów pewnie jest bardziej zainteresowana hulankami niż zemstą, ale Morgan MacDonnell jest góralem na wskroś. Nie spocznie, póki nie pomści śmierci ojca. Ale nie na polu bitwy, lecz w świetle księżyca, gdy Alex będzie wracał do domu z polowania na jelenie albo w opustoszałej alei, gdy Brian będzie wymykał się oknem z sypialni tej dójki, z która się spotyka.

Stanął naprzeciw żony.

- Nie mam zamiaru przelewać krwi Morgana ani swoich synów z powodu upartej dumy. Dumy Cameronów czy dumy MacDonnellów.

Elizabeth z trudem wyprostowała ramiona.

- Dobrze więc. Jeśli nie zdołamy przekonać MacDonnellów, że

to nie my jesteśmy mordercami, będę musiała spożywać moje wykwintne kolacje, siedząc samotnie przy stole. Wątpię by Lady Fraser albo MacPhersonowie chcieli jeść w naszym towarzystwie, bojąc się czy nie zatrujemy ich puddingu lub nie nadziejemy ich na szpikulec do drobiu.

Dougal nigdy nie umniejszał znaczenia jej drobiazgow. To właśnie one sprawiały, że była tak kobieca - tak ponad wszystko jego Elizabeth.

Sięgnął jej ręki, lecz Elizabeth pozwoliła mu jedynie na delikatny uścisk, nim ją odsunęła.

- Uznaję twoją mądrość. Rób to, co musisz, Dougal, by zachować tak drogocenny przecież pokój.

Składając mu głęboki, królewski ukłon podniosła lekko swoją suknię. Wychodząc, delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Dougal oparł się o parapet, pocierając swoją brodę. Ktokolwiek zadał cios Cameronom i MacDonnellom, pchnął mocno i głęboko. Jego śledztwo nie pomogło mu wyciągnąć żadnych wniosków. W całym chaosie po pchnięciu nożem, łajdak uciekł, nie zostawiając żadnego śladu, mogącego ujawnić jego tożsamość.

Z pewnością nawet Elizabeth zrozumiałaby, że Dougal był pod wielką presją jeszcze przed zamordowaniem Angusa. Jeśli chciał zachować teraz twarz w górach oraz zabezpieczyć przyszłość swojego klanu i swoich dzieci, miał tylko jeden wybór. Musiał dać przywódcy MacDonnellów jakiś nieodwołalny dowód swojego zaufania - skarb o tak ogromnej wartości, że Morgan nigdy nie mógłby wątpić w jego dobrą wolę i życzliwość. Skarb, o który dbał i który pielęgnował dla niego przez dwanaście słodkich lat.

Wpatrywał się w zamknięte drzwi, modląc się, by jego decyzja nie kosztowała go też utraty żony. Wiedział, że Bóg wybaczy mu jego machinacje, ale nie był tego taki pewien, jeśli chodziło o Elizabeth. Dzikie, niedające spokoju tony piszczałek przechodziły florenckie szkło. Dougalowi wydawało się, jakby ich dźwięk naśmiewał się z niego i szydził z nadchodzących wydarzeń.

Gorączkowo próbując uciec przed wydajacymi piskliwe dźwięki dudami, Sabrina przykryła głowę kołdrą i ukryła ją pod podusz-

ką. U podnóża jej łóżka z baldachimem leżał Pugsley. Uniósł głowę i zawarczał. Dudy wciąż grały, wabiąc Sabrinę swoją nieokiełznana melodią. Wabiły ją daleko poza mury rezydencji, w której mieszkała przez całe życie. Zignorowawszy protestacyjne warczenie Pugsleya, odrzuciła kołdrę i boso pobiegła do okna.

Zobaczyła chowający się za górami księżyc. Jej oddech zatrzymał się na widok jego ciemnych konturów rysujących się na tle jasnego horyzontu.

Języki ognia lizały ciemność nocy. Wiatr natychmiast łapał wystrzeliwane w niebo iskry i podrzucał nimi niczym garstką zbuntowanych gwiazd. Niewyraźne sylwetki hasały i tańczyły w aureoli światła, a ich kilty trzepotały za nimi niczym skrzydła.

Sabrina wiedziała, że gdyby była tam z nimi na wzgórzu, ta scena straciłaby swój urok. Usłyszałaby przekleństwa, zobaczyłaby, jak potykający się pijacy wzdrygają się na widok okrytego ciała Angusa,, leżącego tam pośrodku jak pogańska ofiara. Lecz z odległości jej przytulnego okna, ich hulanki zdawały się pleść swój własny czar.

Górale tańczyli dziko i głośno, nieskrępowani manierami i konwenansami, które tak cenila jej matka. Przez całe życie Sabrina była z miłością strofowana jak szczeniak i szykowana do podróży do Anglii, by zająć tam prawowite miejsce w znakomitej rodzinie Belmontów. Lecz, kiedy czasem burza grzmiała w górach jak werble, Sabrina pragnęła piąć się jak górskie róże, których dzikie kolce wiły się w zarośniętych paprociami wąwozach i kamienistych strumieniach.

Melodyjna pieśń piszczałek sprawiła, że Sabrina zapragnęła uciec od statecznej ciszy rezydencji. Jej stopy aż paliły się do podskoków na mokrej od rosy łące. Pragnęła tańczyć i skakać przez ogień, ryzykując, że pochłoną ją wygłodniałe płomienie tylko po to, by zasmakować jego żaru i magii.

Usiadła w oknie. Morgan powinien być pośród swoich, a nie pod tylko samymi zimnymi kamieniami, które dawały jej schronienie. Już od tygodnia pozbawiony był zapachu rześkiego jesiennego powietrza, wiatru, cudnego ciepła słońca, które spędzało całe,

skracające się już dnie na przygrzewaniu płatków purpurowych wrzosów.

Odkąd go odwiedziła, kilka razy zdarzyło się jej stać na krawędzi tych stromych schodów w gotowości do podjęcia decyzji wielkiej wagi. Raz obudziła się, jakby z ogłuszenia i spostrzegła, że pod fałdami jej spódnicy trzyma pistolet Morgana.

Jego ostatnie słowa wciąż ja prześladowały. Wiedział, że broń jej matki to tylko atrapa, a jednak pozwolił, by go stamtąd siłą wyprowadzono i zamknięto w klatce, jak zwierze na łaśce jej ojca. Dlaczego? - zastanawiała się. Przypomniała sobie chytre spojrzenia jego ludzi. Ich twarze wysmagane oszalałym pożądaniem, które nawet Morganowi trudno było ostudzić. Ale po co Morgan tak się poświęcał? Po co poświęcał swoją wolność dla dziewczyny, której właściwie nie tolerował. Ogarniały ją wątpliwości i poczucie winy, zatruwając jej sny, aż bała się zasypiać.

Oparła policzek o chłodne drewno okiennej ramy. Na grzbiecie góry rysowała się samotna postać, skupiająca na sobie płaczliwe zawodzenie ciężkich piszczałek. Gnane wiatrem chmury pędziły wzdłuż horyzontu. Księżyc przelał swoje jasne światło na muzykanta.

Sabrina zamrugała w zdumieniu. Mogłaby przysiąc, że to nie był mężczyzna, ale smukła postać grającej na dudach kobiety, której rozpuszczone włosy wiły się na wietrze niczym topniejące srebro.

Melodia nie była już fałszywym świstem, który dręczył ją całymi dniami, ale żywiołowym i melodyjnym wołaniem do bogini starszej nawet niż sam czas. Sabrina zamknęła okno, jednak muzyka wciąż docierała do jej uszu, łkała tęskno za Morganem, jak tylko kobieta mogła łkać.

Sabrina z powrotem wdrapała się na łóżko i zaskoczona zdała sobie sprawę, że jej policzki mokre są od łez.

Następnego ranka zbudziło Sabrinę ciche i uprzejme pukanie do drzwi. Zajęczała na znak protestu i wtuliła się głębiej w swój materac. Nim zdążyła znów pograżyć się we śnie, niebo zmieniło barwę z czarnej na szarą. Pugsley też starał się ja obudzić, zaczepiając kołdrę zębami i próbując ściągnąć ją z odwróconego zadka Sabriny.

Usiadła wreszcie na łóżku i przetarła oczy. Zanim znów rozległo się pukanie do drzwi, nękał ją jeszcze inny dźwięk.

Cisza. Absolutna, święta cisza. Strach i podniecenie ścisnęły jej serce. Wyskoczyła z łóżka i popędziła do okna.

Zbocze góry było opustoszałe. Wstążki dymu unosiły się nad zwęglonymi kawałkami drewna i ginęły w porannej mgle.

Głowa matki wychyliła się zza drzwi.

- Ubierz się szybko, kochanie. Twój ojciec zwołuje sąd i prosi, żebyś ty też się tam zjawiała.

- Sąd? Ale, po co? Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Nie mam pojęcia. Naprawdę. Ale wiem, że wszyscy powinniśmy tam być i wspierać go, jeśli o to prosi.

Sabrina знаła ten melodyjny ton rozkazu. Nie chcąc, by ominęło ją coś ciekawego, nie marnowała czasu na dzwonienie po pokojówkę, ale sama otworzyła swój kufer. Na wykrochmaloną halkę założyła jedwabną, ciemno-lawendową suknię, zapięła maleńkie guziki obcisłego gorsetu, a włosy związała w prosty supeł. Jej odbicie w lustrze było dość osobliwe. W ciemnej sukni i z pasującymi do jej koloru cieniami pod oczami wyglądała jakby już była w żałobie.

Dreszcz przeszył jej plecy. Jej ojciec nigdy wcześniej nie zwoływał tego staroświeckiego sądu. To musiał być policzek dla MacConnellów, którym przypominało to, że dopóki wkraczają na teren Cameronów, to jej ojciec jest panem i władcą ich losu, a jego słowo jest świętsze od słowa jakiegokolwiek angielskiego sędziego. Nie mogła wypędzić ze swojej głowy wizji, w której jej ojciec oskarżony o zabójstwo Angusa stawiany jest przed sądem, a jego los pozostawiony łasce sądu MacDonnellów. Podejrzewała, że oni wymierzają sprawiedliwość tylko za pomocą zaostzonego topora. Jej serce przyspieszyło. Czyjej ojciec miał zamiar skazać Morgana na coś jeszcze gorszego niż więzienie?

- Nie zapomnij, jak ten łobuz nalał miodu do twoich pantofli
powiedziała do lustra. - Powieszenie będzie karą, na jaką zasługuje.

Odrzuciła z twarzy mały zalotny kosmyk i w towarzystwie sapiącego i dyszącego na jej pantofle Pugsleya opuściła pokój.

Zostawiwszy Pugsleya w kuchni przy spodku z kleikiem, Sabrina wkroczyła do hallu, który zdawał się wyglądać inaczej niż zwykle. Eleganckie meble jej matki były przesunięte na bok, by zrobić miejsce rzędowi ordynarnych ławek i podium udekorowanym jednym rzeźbionym krzesłem. Hall wypełniony był starszymi z klanu i kilkoma wiejskimi starcami. Na ich posepnych, pomarszczonych twarzach rysowała się pamięć o innych sądach Cameronów. Sabrina zastanawiała się czyjej ojciec łamie prawo ośmielając się zwoływać sąd, który wyraźnie bardziej honorował wyroki klanu Cameronów niż samego króla.

Jeden z wujów Sabriny odwrócił się i czule puścił do niej oko, kiedy zajmowała miejsce obok Enid.

- Czy coś mnie ominęło? - wyszeptała.

Enid potrząsnęła przecząco głową, a jej twarz rumieniła się z podniecenia.

- Nic. Jakby oni wszyscy na coś czekali.

Sabrina nie miała już więcej możliwości, żeby dopytać swoją kuzynkę. Na sygnał jej ojca drzwi otworzyły się z hukiem.

Serce Sabriny trzepotało jak skrzydła jednej z ziób jej matki. W drzwiach stał Morgan, dumny i wolny, szkocki pled opadał na jego szerokie ramiona niczym królewski całun. Poranne promienie padały na jego skronie, wplatając się we włosy jak złoto. Przywieszony do jego pasa topór migotał w słońcu.

Enid pochyliła się w jej stronę.

- Zdaje mi się, że wujek Dougal uwolnił go o świcie i rozkazał stanąć przed sądem razem z krewnymi. Twój bracia wszczęli wielką awanturę, próbując przekonać twojego ojca, że MacDonnell razem ze swoimi ludźmi ucieknie w góry, by zebrać posiłki.

Nie, pomyślała Sabrina. Morgan był jedynym z MacDonnellów, który by tego nie zrobił. A ona była jedyną z Cameronów, która wiedziała, że w górach nie czekają żadne posiłki.

Ludzie Morgana otoczyli go, tworząc ochronny krąg. Ich ręce spoczywały na rękojeściach i kolbach broni. Niektórzy z nich doświadczali jeszcze efektów całonocnych hulanek. Jeden z nich, blady jak ściana, chcąc zrobić krok, potknął się o werandę i już

prawie runąłby płasko na ziemię, gdyby jego kompan nie wyprostował go i nie szturchnął.

Morgan zrobił krok naprzód. Sabrina nigdy jeszcze nie widziała tylu ludzi patrzących na jednego człowieka. Stłumiła w sobie uczucie utożsamienia się z nim.

Zanim jej ojciec przemówił, przez krótki moment Sabrinie wydawało się, że mierzy ją wzrokiem. Po chwili, jego melodyjny głos wypełnił cały hall, nieświadomie powtarzając słowa, które dwanaście lat temu, ona wypowiadała do Morgana.

- Witaj w domu Cameronów, MacDonnell.

Powitał go tak, jakby nie wiedział, że przez ostatni tydzień siedział w lochach tuż pod tym hallem. Nastąpiła długa pauza. Kiedy Morgan szorstko kiwnął głową na znak akceptacji, w ławkach dało się usłyszeć pełne ulgi westchnienia. Brian i Alex wyszli z tłumu, by eskortować go na podium. Eskortować czy pełnić straż, zastanawiała się Sabrina, widząc, jak Morgan swoją osobą przyćmiewa jej chuderlawych braci. Ludzie rozstąpili się jak woda na ich drodze. Wzrok Morgana pominął ją.

Sabrina wierciła się na ławce, ignorując zmieszaną minę Enid. Morgan miał być sądzony za zaczepianie córki właściciela ziemskiego.

Jak mogła pozwolić, by Morgan maszerował tak ze stoickim spokojem na spotkanie ze swoim losem, nie wypowiadając nawet słowa w jego obronie? Może gdyby jej ojciec znał prawdziwe okoliczności jego kapitulacji, jego wyrok byłby mniej surowy? Jak lo Morgan kiedyś nieuprzejmie, ale prawdziwie stwierdził, Dougal Cameron nie odmówił jeszcze swej jedynej córce niczego.

Zanim uświadomiła sobie, co naprawdę ma zamiar zrobić, Sabrina skoczyła na równe nogi i krzyknęła:

- Zaczekajcie!

Zamiast energicznego rozkazu, który zakładała, z jej ust wydobył się zwykły okrzyk.

Morgan odwrócił się na schodach podium. Jego zielone oczy płonęły, ostrzegając ją, że nie obchodzi go, co zamierza powiedzieć, niezależnie od tego czy będą to słowa pogardy, czy obrony. Z pewnością zadrwiłby z jej współczucia nawet bardziej niż z jej

urazy. Ale czy mogła go za to winić? Jak miałyby niby przewodzić grupie takich jak oni drani, gdyby dowiedzieli się, że poddał się nieuzbrojonej kobiecie? Stałby się pośmiewiskiem, a cały szacunek, na który tak ciężko pracował, odszedłby w niepamięć. Sabrina odchrząknęła, czując się, jakby połknęła mysz.

- Proszę mi wybaczyć. Usiadłam na drzazdze.

- Ja mam coś, na czym ta dziewczyna mogłaby usiąść! - zawył głos z tyłu hallu.

- Ano tak, Fergus, ale to mniejsze niż drzazga - wykrzyknął następny, wywołując u MacDonnellów wybuch obleśnego śmiechu.

Sabrina z powrotem usiadła na ławce, marząc, by móc się pod nią wczłogać. Jej policzki płonęły pod pełnym dezaprobaty spojrzeniem jej matki.

Kiedy Morgan zajął miejsce na krześle na podium, Dougal wyciągnął rękę w kierunku pustej ławki stojącej na przedzie hallu.

- Zostawiłem tę ławkę pustą dla starszyny MacDonnellów. Ich mądrość i opinie są mile widziane w moim sądzie.

Przy tylnej ścianie nastąpiło nagle wielkie poruszenie. Szczupły, siwiejący mężczyzna wystąpił z szeregu MacDonnellów popychany przez członków swojego klanu. Powłócząc nogami, przeszedł do przodu i zajął miejsce na długiej, pustej ławce. Morgan zignorował to żenujące przedstawienie. Sabrina wywnioskowała, że styl życia MacDonnellów nie sprzyjał długowieczności. Czyżby Angus był jedynym starszym człowiekiem?

Dougal skrzyżował ręce za plecami, zarządzając ciszę i skupienie.

- Jako pan Klanu Cameronów, zwołałem dziś ten sąd, by służył sprawiedliwości.

Członkowie klanu mruknęli z aprobatą. Ich zdaniem sprawiedliwość równała się z upadkiem barbarzyńskich MacDonnellów.

- Zebraliśmy się tu, by ustalić grzywnę, jaką wypłacę wodzowi MacDonnellów w ramach rekompensaty za karygodne i niefortunne morderstwo jego ojca - kontynuował Dougal.

Po sali rozległ się zszokowany szum. Usta Sabriny rozwarły się.

To nie Morgan, ale jej ojciec miał być za chwilę skazany przed własnym sądem. Jego prośba o sąd polubowny była równoznaczna z przyznaniem się do winy. Jej matka, tak jak i ona, wyglądała na zszokowaną. Brian i Alex pobledli tak, że ich piegi wyglądały na ich twarzach, jak ciemne plamy. Cameron uniósł rękę. Natychmiast zapadła pełna napięcia cisza.

- Zapewniam o swojej niewinności, jeśli chodzi o zabójstwo Angusa MacDonnella. Nie zrobiłem tego ani ja, ani żaden z moich krewnych. Lecz skoro MacDonnell był chroniony święta gościnnością Cameronów, kiedy doszło do morderstwa, zobowiązuję się wypłacić należną kwotę, jak nakazuje stare, szanowane prawo.

Sabrina mogła niemalże czytać w myślach swojej matki. Prawo gaelickie, a nie, angielskie.

Spomiędzy ławek dobiegł anonimowy krzyk.

- A tak! Gdyby stary łajdak siedział w domu, tam gdzie jego miejsce, może jeszcze by żył!

Miecze MacDonnellów błysnęły, lecz Morgan zatrzymał je ostrzegawczym spojrzeniem.

- To na moje zaproszenie Angus MacDonnell przybył do domu Cameronów - odpowiedział Dougal.

- Morganie Thayer MacDonnellu, czy jesteś gotowy, by zaakceptować wyrok tego sądu w sprawie zabójstwa twego ojca?

Morgan z aroganckim wyrazem twarzy odchylił się na krześle, opierając kostkę na kolanie swojej nogi.

- A jaki mam wybór?

Oddałbym za nich życie. Oni są wszystkim, co mam. Wszystkim, czym jestem.

Podczas gdy słowa Morgana przewijały się przez jej głowę, Sabrina odwróciła się i zobaczyła mężczyzn rozproszonych pod lylną ścianą. Co widział Morgan, gdy patrzył w ich zblazowane oczy? Cień pamiętanej wciąż dumy? Strzępy dawnej chwały?

Dougal stanął naprzeciw samotnego, trzęsącego się w ławce starego człowieka. - A starszyzna MacDonnellów? - zapytał z szacunkiem, jak gdyby słowa starca miały wagę słów króla albo cesarza.

- Tak - wyszeptał nieśmiało, a kiedy członkowie jego klanu

wydali radosny okrzyk, wytrzeszczył dziąsła w bezzębnym uśmiechu. Morgan uśmiechnął się zuchwale.

- No Cameron, rób, co chcesz. Ja dostanę dwie kozy, ty dostaniesz po łapach, i wszyscy możemy iść do domu.

Wuj Sabriny, Robert, wszedł na schody i dołączył do nich. Sabrina była zaskoczona, że jej ojciec nie miał zamiaru sam ogłosić wyroku. Robert stanął przed swoim bratankiem.

- Czy ty Dougalu Cameronie zgadzasz się zastosować do wyroku tego sądu?

- Tak.

Jej ojciec zszedł z podestu i usiadł obok żony. Kiedy złapał jej rękę, jego kostki zbladły z napięcia.

Robert rozwinął arkusz welinowego papieru, dłuższy nawet od jego śnieżnobiałej brody, i poprawił swoje złote okulary.

- Dobrze więc. Niech wszyscy słuchają wyroku z uwagą. Zapadnie on na mocy upoważnienia przyznanego przez tych oto przywódców klanu. Oto co Cameron wypłaci MacDonnellowi. Dwieście owiec, sto sztuk bydła...

Podczas gdy Robert gładził drżącym głosem, Sabrina przyglądała się Morganowi. Ziewał, potem wyciągnął swój groźny sztylet i począł przycinać sobie paznokcie. Lecz nie dała się zwieść jego udawanym znudzeniem. Jego oczy skrzyły się pod zasłoną włosów.

- Dwieście kurcząt, trzy skrzynki dobrej szkockiej whiskey... To wywołało okrzyk radości wśród opadających już z sił MacDonnellów.

- Jego oficjalny miecz szkocki, pierścień zaręczynowy pani Cameron...

Sabrina obruszyła się ze współczuciem. Nigdy wcześniej nie widziała, by ten pierścień schodził z reki jej matki.

- I jego córkę, Sabrinę, by połączył się z nią świętym związkiem małżeńskim.

Sztylet Morgana brzęknął o podium. Hall ogarnęła grobowa cisza. Usta starszego MacDonnella posiniały. Sabrina podniosła głowę, nie ośmieliwszy się nawet oddychać. Morgan wstał z krzes-

ła z rękoma wciąż skrzyżowanymi na piersi jakby dla podparcia. Ich spojrzenia spotkały się w morzu ludzi.

Morgan wybuchnął nerwowym, przerywanym śmiechem. Jego oczy zwrócone były na Sabrinę, ale słowa skierował do Dougala.

- Na miłość boską, człowieku, okaż mi choć odrobinę miłosierdzia! Nie możesz dać czterystu kurcząt i oszczędzić mi swojej córki?

Rozdział 6

Sąd zagrzemiał głosem chaosu. Elizabeth wydała rozdzierający okrzyk i zalała się łzami. Brian dobył miecza i rzucił się w stronę Morgana. Alex uchwycił brata za talię, nim ten dostał się na schody. Miecze i sztylety opuściły pochwy z sykiem. Starszy MacDonnell skorzystał z sytuacji i ukradkiem przemknął do swoich ludzi. Podczas gdy ludzie zebrani w hallu byli już na krawędzi wojny, Dougal gładził swoją brodę z beznamiętnym wzrokiem.

Po raz pierwszy Sabrina zrozumiała, jaki ból musiał czuć Morgan na wieść o tym, że zdradził go jej ojciec. Jej ojciec zraniłby ją mniej dotkliwie, gdyby wepchnął sztylet w jej serce. Rana Angusa była przynajmniej śmiertelna. Sabrina dostała wyrok dożywocia.

Morgan opadł na krzesło, a jego donośny śmiech przeszedł w zdławiony chichot. Uśmiechnął się głupio do Sabriny, która zaczęła się zastanawiać, jak by to było walczyć o niego, a nie przeciwko niemu. Przez wszystkie te lata na próżno starała się wydobyć choćby uśmiech z jego gburowatej twarzy. Jednakże tylko perspektywa bycia związanym z nią bezbożnym związkiem małżeńskim wywoływała ukryty w nim dobry humor. Diaboliczna iskra świecąca w jego oczach przyprawiała Sabrinę o dreszcze. Spełniał się najgorszy z jej koszmarów. Jeśli spełniłoby się życzenie jej ojca, byłaby zdana na łaskę Morgana.

Z własnego doświadczenia jednak wiedziała, że Morgan nie miał jej ani krztyny.

Promienie słońca odbijały się od topora trzymanego przez jednego z MacDonnellów, który miał mniej zębów niż Pugsley. Dougal skoczył gwałtownie na podium i ryknął:

- Dość! Morgan, wstrzymaj swoich ludzi! Nie bardzo mogą sobie pozwolić na wszczynanie walki w samym środku ziem Cameronów.

Morgan poskromił swoich ludzi zagniewanym rozkazem.

- Myślę, że obaj wolelibyśmy dokończyć tę dyskusję na osobności - zwrócił się do niego Dougal.

- Nie rób tego Morgan! To pułapka! - krzyknął jeden z jego ludzi.

- Tak, i to jaka sprytna. - Morgan spojrział na Dougala z osobliwym podziwem. - Ranałd, zabierz ludzi i czekajcie na mnie na wzgórzu. Przyniosę wieści.

Członkowie jego klanu byli na skraju buntu, ale gdy zobaczyli, że ludzie Camerona podnoszą się do wyjścia, wykonali rozkaz. Sabrina zobaczyła smukłą postać w obszarpanej szkockiej spódnicy, która zawahała się przez chwilę, zanim utykając, dołączyła do reszty. Sparaliżowana strachem i wizją konfliktu Enid wstała i starała się wymknąć na palcach, ignorując swe przywiązanie do kuzynki.

- O nie! Nie tak prędko! - powiedziała Sabrina, szarpiąc ją za fałdy spódnicy. - Nie zostawisz mnie!

Po ostrej wymianie zdań z Dougalem, Elizabeth dołączyła do nich, obejmując córkę opiekuńczą ręką. Rzucający Morganowi wściekle spojrzenia Brian i kipiący ze złości Alex stali przy podium.

Sabrina nie była odporna na nieskrywane, współczujące spojrzenia swoich krewnych, którzy szli jeden za drugim. To ona była skazana przez sąd na wieczne życie z człowiekiem, który nią gardził.

Duma rozciągnęła jej kręgosłup. Podniosła głowę i zobaczyła stojącego naprzeciw niej ojca. Zawiesiła wzrok na szafirowej broszce, spinającej żabot przy jego szyi. Nie była w stanie spojrzeć w twarz człowieka, którego kochała tak mocno i tak długo.

- Byłoby lepiej córko, gdybyś zostawiła nas samych - powiedział łagodnie. - Morgan i ja mamy pewne sprawy do przedyskutowania.

Zacisnęła mocno podbródek, by powstrzymać drganie.

- Skoro jestem nieodłączną częścią tych spraw, chce zostać.

- Czy to ci odpowiada, Morgan? - zapytał Dougal. Morgan wzruszył ramionami.

- Jeśli jest przygotowana, by usłyszeć to, co mam zamiar tu powiedzieć.

Zeskoczył z podium i począł przechadzać się przed ławkami, a jego długie, niespokojne kroki zdradzały dudniącą pod humorem wściekłość.

- Co skłoniło cię, by myśleć, że chciałbym zostać obarczony twoim bachorem, Cameron?

Dougal złożył ręce pod brodą, jakby za chwile miał się zacząć modlić.

- Uważasz, że jest piękna, czyż nie? Widziałem, jak na nią patrzysz.

Po raz drugi tego dnia, Sabrina pragnęła skulić się pod ławką. Morgan odwrócił się na pięcie. Najwyraźniej spodziewał się usłyszeć argumenty polityczne. Szczerość Dougala całkowicie go rozbroiła.

Posłał w kierunku Sabriny prowokujące, a zarazem obelżywe spojrzenie. Skóra Sabriny płonęła, gdy Morgan mierzył ją od stóp do głów swoim leniwym wzrokiem.

- Dziewczyna może i jest dobra do rozrywki na jedno popołudnie, ale nie na całe życie.

- Ty sukin... - warknął Brian, wyciągając już miecz z pochwy, lecz Alex zdążył go powstrzymać..

Dougal nie chwycił przynęty Morgana.

- Twój klan nie przetrwa wojny.

- A takowa rozpęta się, jeśli nie poślubię twojej córki? Tak chętnie pozbędziesz się dziewczyny? Nie możesz jej wcisnąć któremuś z jej zdesperowanych kuzynów, Cameronów?

Sabrina odepchnęła rękę matki i stanęła na równe nogi, trzęsąc się ze wściekłości.

- Wiedz, Morganie MacDonnellu, że odrzucam oświadczyzny już od trzynastego roku życia. Ale w przeciwieństwie do MacDonnel-lów, u nas Cameronów, małżeństwa z kuzynami nie są mile widziane. - Sabrina usiadła, po czym znów się zerwała. - I z siostrami, też!

Matka posadziła ją, pociągnąwszy energicznie za jej suknię. Morgan i jej ojciec wrócili do rozmowy jak gdyby nigdy nic, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło.

- Grantowie i Chisholmowie depczą ci po piętach od miesiący - powiedział Dougal. - Jeśli chcesz zachować to, co zbudowali twoi przodkowie, potrzebujesz sojusznika. Silnego sojusznika. Jeśli poślubisz Sabrinę, będziesz go miał. Będziesz miał mnie.

Morgan odwrócił się do wszystkich plecami, zacisnął pięści, jakby prowadził jakąś prywatną wojnę; wojnę, która niewiele miała wspólnego z klanami czy sojusznikami. Wreszcie odwrócił się i spojrzał na Sabrinę mrocznym wzrokiem.

- No dobrze. - Jego słowa przyprawione były sarkazmem. - Moja narzeczona i ja opuścimy dziś wieczorem Cameronów.

- O nie! - rzekł spokojnie Dougal. - Pierwszą noc, jako mąż i żona spędzicie pod moim dachem.

Morgan drwiąco uniósł brew.

- Dlaczego? Czyżbyś chciał usłyszeć te krzyki?

Miecz Briana znów zaświecił znad pochwy, lecz nim zdążył go wyjąć, Sabrina wystąpiła na środek.

- Czy mogę panom na chwile przerwać i zamienić słowo z moim narzeczonym?

Dougal i Morgan spojrzeli po sobie. Spodziewali się raczej kobiecej hysterii. Lodowata powaga Sabriny wyprowadziła ich z równowagi.

Jej ojciec pokiwał głową i odsunął się, pozwalając jej stanąć naprzeciwko Morgana. Patrzył na nią z góry z rękoma splecionymi na plecach.

Sabrina odwróciła głowę i spojrzała mu głęboko w oczy i prychnęła nosem.

- Przemyśl dokładnie swoją decyzję, MacDonnell. Naśladowała nienaganny brytyjski akcent swojej matki, lecz nie zdawała sobie z tego nawet sprawy.

- Bo przysięgam, że nie sprawię ci żadnej, nawet najmniejszej przyjemności.

Morgan znów zaczął bujać się na piętach.

- Nie spodziewałem się niczego więcej po rozpieszczonej złośnicy. Sądziłeś, że dlaczego niby poprosiłem o kurczaki?

- Jeśli się ze mną ożenisz, będziesz żałował, że ich nie dostałeś.

Morgan nie mógł powstrzymać się od drażnienia jej, co zwykł robić już jako mały chłopiec. Pochylił się tak, że jego nos prawie dotykał jej policzka i uśmiechnął się do niej irytująco. - Już dostałem.

Sabrina ledwo powstrzymała się przed wciśnięciem swojej pięści w jego zadowoloną z siebie twarz. Kruchy rozejm, jaki zawarli w komnacie na poddaszu, leżał teraz pokruszony u jej stóp jak kawałki jej dumy. Odgarnęła spódnicę i wymaszerowała z hallu, czując w sercu, że już popełniła fatalny błąd.

Nigdy nie powinna była przestać nienawidzić Morgana MacDonnella. Dougal pragnął zatknąć uszy dłońmi.

Stojąc pomiędzy beczącą i pociągającą nosem Enid a pokojówkami pracującymi nad suknią ślubną Sabriny, Dougal marzył, by być gdziekolwiek indziej, ale nie tu. Wolałby stawić czoło rzeszy uzbrojonych i domagających się jego krwi MacDonnellów, niż spędzić choć chwilę dłużej w tej komnacie pełnej rozhisteryzowanych kobiet.

Jednakże o wiele gorszy niż lamenty służących, które uwielbiały jego córkę od dnia jej narodzin, był suchy i oskarżycielski wzrok jego żony. Jej spojrzenie przygwoździło go do okna, skąd zmuszony był patrzeć na dokonane przez samego siebie spustoszenie. Pełne gracji ręce Elizabeth dźgały igłą kawałek grubej skóry, jak gdyby było to jego serce.

Z ogromną pewnością siebie wpędziła całe domostwo w wir przygotowań do ślubu, który miał mieć miejsce jeszcze tego wieczora. Miała nadzieję, że ta bezmyślna krzątanka pokona panikę. Nawet opatulona w fartuch Enid dostała miskę warzyw do posiekania. Dougal wątpił, by potrzebowały dosolenia. Łzy Enid lały się po jej policzkach słonym potokiem prosto do miski.

Elizabeth podniosła się z kanapy, by wydać kolejną serię poleceń.

- Aggie, biegnij i przynieś ostre nożyce.

Rzuciła okiem na spoczywającą na kolanach Enid miskę.

- Na miłość boską, dziecko, to nie są pieczarki! To muchomory! Szybko je wyłów, bo inaczej będziemy mieli na rekach krew kolejnego MacDonnella.

Enid posłuchała, nie przerywając swoich lamentów. Wątle nogi tureckiej otomany zatrzęsły się pod jej ciężarem.

Elizabeth zamilkła na widok połyskującej, niebieskiej kreacji, która kiedyś jej samej posłużyła za suknię ślubną.

- Ostrożnie dziewczęta! Nie chce widzieć nawet kropli wody na tym atłasie!

Wyciągnęła koronkową chusteczkę ze swojego gorsetu, przyłożyła do zaczerwienionego nosa jednej z pokojówek i burknęła:

- Dmuchaaj!

Dougal zacisnął zęby. Jego pokojówki obchodziły się z wysadzonymi perłami atłasem tak, jak gdyby był to całun pogrzebowy.

Drzwi otworzyły się. To nie była wracająca z nożycami Aggie, lecz Sabrina. Jej oczy były pełne łez. W ich szafirowej głębi Dougal dostrzegł odbicie swojego strachu. Enid przestała lamentować i pociągała już tylko nosem. Roztrzęsione pokojówki upuściły igły, prując to, co zdążyły już uszyć.

Rzuciła się biegiem przez komnatę i kurczowo chwyciła się koronkowego żabotu Dougala.

- Tatku, musisz ustąpić. Nie możesz zmuszać mnie do poślubienia tego nienawistnego człowieka. Słyszałeś, co mówił. On mną gardzi. Tatku, on już prędzej poślubiłby Pugsleya niż mnie!

Dougal delikatnie chwycił jej nadgarstki.

- Nie mam wyboru. Może pewnego dnia to zrozumiesz. Sabrina odwróciła się od niego.

- Nigdy tego nie zrozumiem. Położył ręce na jej ramionach.

- Tak, moja księżniczko. Przyjedzie taki dzień, że zrozumiesz. Sabrina uwolniła się od jego rąk i pobiegła do Elizabeth.

- Mamo, proszę, ty na pewno możesz zmiękczyć jego serce. Zrobi dla ciebie wszystko.

Elizabeth ujęła policzek Sabriny w dłoń.

- Już próbowałam kochanie. Ale decyzja już zapadła.

Sabrina odwróciła się, a jej oczy przepełnione były niemym błaganiem. Podeszła do niego, do człowieka, który kiedyś nosił ją na plecach przez wieś, który łaskotał jej policzki swoją brodą, aż wybuchała śmiechem, który poświęcił swoje życie na spełnianie jej zachcianek - i padła mu do stóp. Dougal zastanawiał się czy obecni w pokoju ludzie usłyszeli trzask jego pękającego serca.

Schyliła głowę. Samotna łza roztrzaskała się o sprzączkę jego buta.

- Jeśli to zrobisz tatusiu, będziesz miał swój upragniony pokój Ale mnie skażesz na życie pełne walki.

Sabrina była jedyną osobą, która nie widziała, jak jego ręka sięga ku jej delikatnym włosom, ale gwałtownie się cofa. Pragnął, by zrozumiała, pragnął powiedzieć jej o nadziei i marzeniach, które pielęgnował w swoim sercu przez wszystkie te lata, ale wiedział, że pewnych prawd nie można ujawniać przedwcześnie.

- Jestem zobowiązany stosować się do wyroków sądu jak każdy inny człowiek. Przysięgałem ich przestrzegać, a twoim obowiązkiem, jako mojej córki, jest zrobić to samo.

Jego głos złagodniał.

- Idź już i przygotuj się do ceremonii.

Wstała i ruszyła w kierunku drzwi. Kiedy spojrzała na niego, między ich oczami przeplątał prąd tak wyraźny, jak błyskawica.

- Jak ja zdołam ci kiedykolwiek wybaczyć?

To bezradne pytanie wisiało jeszcze w powietrzu jak urwana nić na długo po jej wyjściu. Enid znów zaczęła szlochać. Zrzuciła z siebie fartuch i wybiegła z komnaty, zostawiając za sobą ślady rozdeptanych warzyw. Pokojówki wycofały się grzecznie. Dougal oparł się o parapet i począł pocierać obolałe skronie.

Oczy Elizabeth płonęły zimnym ogniem.

- Jak śmiesz opowiadać swojej córce o jakimś obowiązku? To był twój pomysł, żeby wydać ją za tego barbarzyńcę! Twój! Powiedz mi, czy pielęgnowałeś ten spisek w swojej przebiegłej głowie już odkąd byli dziećmi? Jak przetrwa z człowiekiem, który jej nienawidzi?

- Morgan jej nie nienawidzi - powiedział ze znużeniem. - Wiesz o tym tak dobrze, jak ja.

- Ale czy on o tym wie? A może zniszczy ją, zanim to odkryje? Sabrina jest jak najrzadziej spotykana róża. Łagodna, delikatna, uległa. Nigdy nie uczyliśmy jej walki o siebie samą.

Dougal uśmiechnął się smutno.

- Świetnie poradziła sobie z tym dziś rano. Elizabeth zamiotła kawałki skóry.

- Wybacz, ale muszę iść przygotować jagniątko na twoja ofiarę. Przysięgałeś, że nie przelejesz krwi swoich synów, ale wydajesz się bardzo chętny, by przelać krew swojej córki.

Zdjęła pośpiesznie swój zaręczynowy pierścień z palca i cisnęła nim w męża.

- Daj to swojemu najdroższemu Morganowi. To twój obowiązek. Drzwi zatrzasnęły się za nią, chwiejąc wiszącym na ścianie miniaturowym portretem rodzinnym.

Dougal obracał pierścień w dłoniach, gładząc wyszlifowane brzegi błyszczącego rubinu.

- Och, Morgan, jeśli moja mała księżniczka jest choć w połowie tak uległa, jak jej matka, będzie potrzeba czegoś więcej niż pierścionka, by ją do siebie przywiązać.

Sabrina i Enid uniosły swoje zapłakane twarze i zobaczyły Elizabeth stojącą w drzwiach komnaty sypialnej swojej córki. Kiwnęła głową do Enid.

- Będzie lepiej, jak sobie teraz pójdziesz, moja droga. Muszę porozmawiać z twoją kuzynką na osobności.

Wciąż ściskając misę warzyw, Enid wyszła z pokoju, a drzwi zaraz zatrzasnęły się za nią. Wydawało się, że minęły wieki, nim jej ciotka wyłoniła się z komnaty i sztywnym krokiem przeszła korytarz nie zamieniając z nią ani słowa.

Enid z powrotem wślizgnęła się do pokoju. Sabrina siedziała na brzegu łóżka. Jej oczy płonęły a usta były rozchylone. Rumieńce, które zawsze zdobiły jej policzki, zniknęły i jej twarz zrobiła się przeraźliwie biała.

Enid usiadła obok misy i przeciągnęła ręką przed oczami kuzynki. Sabrina nawet nie mrugnęła.

Przerażona Enid potrząsnęła kuzynką z całej siły.

- Kuzynko! Co z tobą? Co ona ci powiedziała? Sabrina mrugnęła. Jej głos był prawie niesłyszalny.

- Powiedziała mi, czego mogę spodziewać się w małżeńskim łóżku.

- I to wszystko? - Enid opadła na łóżko, po czym opamiętała się, i spojrzała na Sabrinę przerażonym wzrokiem. - I to jest takie okropne?

Sabrina wzdrygnęła się.

- Potworne!

Jej oczy wreszcie zrzuciły z siebie mgłę. Przyłożyła rękę do ucha Enid i poczęła szeptać.

Słowa Sabriny zaparły jej dech w piersiach.

- Nie! Na pewno tylko żartowała! Niemożliwe, żeby on miał... to włożyć. - Jej głos przeszedł w pisk. - Tam!

Sabrina z powagą pokiwała głową, po czym znów zaczęła szeptać.

- O mój Boże! - Enid poczuła, jakby oczy wrastały w jej głowę na samą myśl o tym. Sabrina sięgnęła do kieszeni Enid po jej sole trzeźwiące i pomachała buteleczką przed jej nosem. Enid poczęła wachlować się swoją ręką, ukrywając rozmarzony uśmiech.

- Wyobraź sobie robić to z takim wielkim... samcem... zwierzęciem.

Otrząsnąwszy się z szoku, Sabrina zeskoczyła z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju.

- A to dopiero początek! Potem jest jeszcze gorzej! Dużo gorzej. Może powinnam się zabić. Jak będę nieżywa, mogą mnie ułożyć w jadalni, ubraną w suknię ślubną. Tato będzie mógł ucałować moje blade, zimne policzki, jeśli się odważy.

Świeże łzy napłynęły do oczu Enid, gdy wyobraziła sobie tak haniebny koniec swojej szlachetnej kuzynki.

- Może Morgan wcale nie jest potworem, za jakiego go uważasz. Może jakaś jego część nie jest po prostu otwarta i uległa wobec ożenku.

- Nie ma ku temu żadnych wątpliwości. A dzięki mamie, wiem dokładnie, która to część.

Gdy niewielki zapas jej energii się wyczerpał, Sabrina z powrotem wdrapała się na łóżko i siadła przy Enid.

- Przysięgam, że nie dam mu ani chwili przyjemności, ale wygląda na to, że mężczyzna przyjemności się domaga, a wola kobiety nic w tym wypadku nie znaczy. Morgan gardził mną już przed śmiercią ojca. Co powstrzyma go przed wyładowaniem swojej wściekłości na mnie? A co, jeśli będzie chciał, bym zapłaciła za wszystkie zbrodnie, jakich Cameronowie dopuścili się wobec jego rodziny, te prawdziwe i te wymyślone?

Enid wyobraziła sobie twarz Morgana. Poważną, nieprzystępną, piękną, nawet najbardziej udawaną. Ciarki przeszły jej po plecach.

- Och, jakże ty go musisz nienawidzić! Sabrina spuściła głowę.

- Modłę się, bym potrafiła.

Enid poczuła, jak jej serce rozdziera się, ale nie z powodu braku łez na twarzy Sabriny, lecz przez jej cichą rozpacz. Dotknęła włosów Sabriny. Były miękkie i grube i o wiele bardziej urokliwe niż jej własne rzadkie, blond kosmyki.

Sabrina zawsze była tą odważną. Była przyjaciółką Enid już od ich pierwszego spotkania. Wstydząc się wygnania z Londynu, Enid siedziała teraz w komnacie sypialnej Sabriny i pochlipywała, podczas gdy gruby, włochaty pająk powoli spędzał ją na brzeg łóżka. Sabrina spokojnie zgarnęła zdziwione stworzonko i zniosła do okna, zanim Enid wypłakała swoje histeryczne łzy. W Enid narastała frustracja. Nawet jeśli istniało coś, co mogłaby zrobić, by pomóc Sabrinie, wiedziała, że nie starczy jej odwagi. Bezradnie poklepała ramię Sabriny, zapominając o misie warzyw, która spadła na dywan. Pulchny muchomor potoczył się do jej stóp.

Kiedy schylała się, by go podnieść, jej blade oczy zmrużyły się i napełniły zacieklą determinacją, której Sabrina nie była w stanie zauważyć.

- Może twój Morgan posmakuje smaku zemsty, bardziej gorzkiego niż się spodziewał.

Morgan potknął się o werandę i zaczął kłać tak rześście, że każda obecna w oświetlonym świecami kościele osoba odwróciła się, by zobaczyć, co się stało. Ranald stanął na piętach. Morgan odrzucił ramiona do tyłu, delikatnie dając do zrozumienia każdemu z Cameronów, którzy przyszli oglądać tę farsę, że jeśli będą śmiać się z MacDonnellów, będzie to ich ostatni w życiu śmiech.

To cud, że w ogóle zdołał chodzić z tymi cholernymi skórzanymi pasami przywiązanymi do stóp. Nie potrzebował żadnych sandałów! Jego stopy były zahartowane i stwardniałe od włóczenia się przez całe życie po wrzosowiskach i wzgórzach, kamieniach i cierniach. Gdyby jego przyszła teściowa nie stawiała czoła drwinom jego ludzi, gdy mu je przynosiła, poddałby się swojej pokusie wyrzucenia ich do chrzcielnicy.

Powinien był się domyślić, że z jego ludźmi jest coś nie tak tego wieczora, gdy przeszli w stan całkowitego wyciszenia. Dokuczali mu niemiłosiernie, odkąd umył się i uprał swoje ubrania w lodowatej wodzie.

Gdy wieszał ubranie na gałęzi, by wyschło, cały czas odpierał ich drwiny.

- O! Morgan jest prawie tak urodziwy, jak Ranald, gdy się umyje! Jakim to on będzie ślicznym panem młodym dla dziewczki Cameronów!

- Uważaj, chłopcze, co ci się skurczy jak go zamoczysz!

- Czy to właśnie przytrafiło się twojemu, Fergus? - odpowiedział uprzejmie, nim odwrócił się twarzą do swoich prześladowców, nagi z rękoma opartymi na biodrach, ociekający wodą, ukazując dumnie i bezwstydnie, że Fergus się pomylił.

Jednakże to nie Fergus, lecz Elizabeth Cameron stała na zboczu góry. Trzymała w dłoniach koszyk, a tuż za nią kulila się służąca. Pani rezydencji Cameronów nawet nie mrugnęła ani nie zarumieniła się na jego widok. Morgan momentalnie ściągnął energicznym szarpnięciem spódnicę z gałęzi i owinał ją sobie wokół bioder. Para sandałów trzepnęła go w piersi.

- Nie mogę znaleźć żadnych odpowiednich butów, by pasowały na te kawały wołowiny, które nazywasz stopami. Lecz nie będę

stała z założonymi rękami i patrzyła, jak moja córka wychodzi za jakiegoś bosego dzikusa.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem w kierunku rezydencji, po królewsku nie zważając na gwizdy, oklaski i pełne podziwu pohukiwania, które towarzyszyły jej w drodze.

Na samą myśl o zdarzeniu, uszy Morgana płonęły czerwienią. Zastanawiał się, czy Sabrina odziedziczyła po matce talent do robienia z niego kompletnego głupka.

Morgan koncentrował się na stawianiu stóp jedna za drugą, gdy wchodził do kościoła, w którym nie był od ostatniego lata spędzonego u Cameronów. Ta atmosfera wyciszonego szacunku wytrącała go tylko z równowagi.

Ranald powtórzył jego myśli niczym echo.

- Ale tu cholernie cicho - wyszeptał. - Mogłem przynieść moje dudy.

- Ciiii - zasyczał Morgan. - Zdejmij beret.

Ranald zdjął swój zawadiacki beret i przygniótł go do piersi, cały czas przyglądając się witrażom w oknach, jak gdyby spodziewał się, że Jezus z apostołami organizują jakąś zasadzkę. Morgan mądrze pozostawił członków swojego klanu przy beczkach piwa, o które zatroszczył się Dougal. Po śmierci Angusa, Ranald był dla Morgana najbliższą osobą i dlatego też wybrał go na swojego świadka.

Nagle, zupełnie niespodziewanie poczuł się bardzo samotny. Zateśknił za sprośnym humorem swojego ojca i jego ciętym językiem. Jego ludzi nie obchodziło nic więcej niż hulanki, a ich głównym zmartwieniem było miejsce pochodzenia następnej butli piwa. Gdyby Angus żył, Morgan mógłby chociaż przedyskutować z nim swoje decyzje. Ale gdyby żył, Morgan nie przemierzałby teraz tej na pozór niekończącej się nawy do ołtarza.

Dougal Cameron stał na końcu tej nawy z twarzą pogodną jak u anioła. Morgan z trudem przełknął ślinę, rozrywany pomiędzy podejrzeniami a niepewnością. Czy aby ten ślub nie był tylko sprytnym wybiegiem, by odwrócić uwagę od współdziałania Douga-

la w zabójstwie Angusa? Lecz ojciec musiałby być przecież szalony, by powierzać swoją córkę pod opiekę człowiekowi, który będzie miał pełne prawo do wyegzekwowania naj okrutniej szej kary bez cienia strachu o odwet. A Dougal Cameron nie był przecież szaleńcem.

Jego ludzie byliby skłonni potępić Douala i radośnie oczekiwać odwetu Morgana na delikatnej córce Camerona. Jednakże Morgan z satysfakcją doszukał się w tej teorii zbyt wielu błędów i wad.

Dougal oszczędził im również widowni, zapraszając tylko najbliższą rodzinę. Morgan zbliżał się do ołtarza. Kobieta o blond włosach miazdząca w dłoniach bukiet zwiędłych kwiatów odsunęła się na bok, a zza jej pleców wyłoniła się czekająca panna młoda.

Morgan zamarł ogarnięty nagłą paniką. Idący za nim Ranald potknął się i chrząknął wymownie. Panna młoda. Na Boga, co on miał niby zrobić z panna młodą? Podczas ostatnich kilku godzin jego ludzie wysuwali liczne propozycje, jednak żadna z nich nie nadawała się do powtórzenia w Domu Pana. Lecz żaden z tych mężczyzn nie potrafiłby docenić jego poświęcenia. Zjednoczenie się z klanem Cameronów w tym niecnym sojuszu, zapewniłoby pokój i czas by Klan MacDonnellów odzyskał swoją dawną świetność.

Pot wystąpił mu na czoło. Dougal powinien był pozwolić mi zgnić w lochu. Jego życie było już skończone, nie przez żelazne łańcuchy, lecz przez małżeństwo.

Ironia go nie opuściła. W przeciwieństwie do większości członków swojego klanu, zawsze uważał, gdzie zostawia swoje nasienie, żeby nie ograniczać swojej wolności albo żeby jego życie nie zostało zakończone przez jakiegoś oburzonego tatusia machającego muszkietem. Teraz, przez dziwne pojęcie Dougala o sprawiedliwym zadośćuczynieniu, Morgan był skazany za przestępstwo, którego nie popełnił. Jeszcze.

Bijąc się z myślą o ucieczce, długimi, powolnymi krokami dzielnie szedł nawą. Niech żaden człowiek nie ośmieli się powiedzieć, że Morgan się boi, a już na pewno nie tej drobnej dziewczyny. Kiedy zbliżał się do ołtarza, Sabrina patrzyła na niego

gniewnie. Nie potrafił tego zrozumieć, póki nie zobaczył, że ona naśladuje tylko jego pełną niezadowolenia twarz. Spowijała ją chmura niebieskiego atlasu niczym błękit nad wrzosowiskiem w letni dzień.

Pastor rozkazał im obojgu klęknąć. Morgan stał sztywno na baczność. MacDonnell nie zwykł klękać przed nikim. Nawet przed duchownym. Sabrina pochyliła głowę, lecz wyprostowała się, widząc, że Morgan nawet się nie ruszył. Patrzyli na siebie, a żadne z nich nie chciało klęknąć pierwsze. Pastor zwrócił wzrok ku niebu, jakby szukał jakiejś boskiej pomocy.

To Dougal, nie Bóg, położył ręce na ich ramionach i pchnął w dół.

- Złapcie, się proszę za ręce - dodał przymilnym tonem pastor.

Morgan spędził połowę życia, trzymając tę dziewczynę w bezpiecznej od siebie odległości. Rozpuszczone włosy skrywały jej Iwarz. Morgan uniósł jej dłoń. Wianek z jesiennych róż oplatał jej skroń. Ich zapachy mieszały się, jeszcze bardziej niż mieszały się zmysły Morgana.

Gdy pastor przemawiał nad ich głowami, Morgan przyglądał się dłoniom Sabriny. Czuł ich chłód i gładkość w swoim twardym uścisku. Były tak delikatne, że obawiał się, by nie złamały ich jego niezdarne ręce. Mimowolnie zaczął wyobrażać sobie, jak jej dłonie głaszczą i tańczą jak aksamitne skrzydła na jego rozpalonym ciele.

Sabrina wypowiedziała słowa przysięgi sztywnym i beznamiętnym głosem. Gdy ściągała swoje obfite usta, Morgan poczuł przyływ wątpliwości. Gdyby podczas ich pierwszego spotkania wziął ją na ręce, otarł jej dziecięce łzy i wyciągnął rękę w przyjacielskim geście, ten dzień mógłby być radosnym świętem zarówno dla Cameronów, jak i MacDonnellów. Zamiast przyjaźni, uczył ją nienawiści do siebie. I sądząc po jej ponurej minie, osiągnął sukces.

Pomyślał, że może jeszcze nie jest za późno, by zacząć się do niej zalecać. Czy czułość nie byłaby jego największą bronią, skoro to ostatnia pewnie rzecz, jakiej mogłaby się spodziewać? Już gratulował sobie pomysłowości, gdy pastor dał znak, że czas na jego ślubowanie.

Morgan jąkał się i zacinał, wypowiadając te nieznane słowa, lecz prawdziwe przerażenie zmroziło go, gdy miał przypieczętować złożoną przysięgę pierścieniem. Nie miał przecież pierścionka.

- Proszę, chłopcze - wyszeptał Dougal, wciskając mu pierścionek zaręczynowy pani Cameron w rękę. - Teraz należy do ciebie.

Morgan poczuł ciężar złota na swojej dłoni. Spojrzał na nią i zobaczył symbol tego wszystkiego, czego nienawidził. Pierścień był jarmarczny, pretensjonalny, i wart tyle, by wyżywić cały jego klan przez rok. Rubin błyszczał jak wielka kropla krwi. Krew MacDonnellów od stuleci przelewana przez Cameronów. W pierwszym impulsie chciał rzucić nim w zadowoloną z siebie twarz Dougala.

Lecz Sabrina zdążyła już wyciągnąć swój smukły palec. Ogarnął go nagły przypływ zaborczości. Dziś w nocy poleje się krew Cameronów, podczas gdy on będzie dawał Sabine coś dużo bardziej wiążącego niż przysięga czy kawałek złota. Wcisnął pierścionek na jej palec dużo brutalniej i ostrzej niż zamierzał.

Wstali, a pastor pozwolił mu pocałować pannę młodą.

Morgan miał ochotę się zaśmiać.

Sabrina przymknęła oczy i zmarszczyła się tak okropnie, jakby spodziewała się morderczej napaści, mającej oznakować ją jako łup MacDonnellów w obecności jej rodziny i Boga.

Morgan zdecydował, że to najlepszy czas na przetestowanie ostrości jego broni. Ignorując nienawistne spojrzenia jej braci, ujął twarz Sabriny w dłonie i delikatnie pocałował. Zaskoczona rozchyliła lekko wargi. Morgan lekko trącił językiem jej język, składając tym samym subtelną obietnicę dalszych przyjemności. Kiedy się odsunął, zamglony zachwytem bijący z jej oczu sprawił, że poczuł się, jakby właśnie zmienił się z ogra w cudownego księcia.

Poruszona pierwszym pocałunkiem, jak La Belle au Bois Dormante w jednej z ulubionych dziecięcych bajek jej matki, Sabrina ocknęła się z odrętwiałego zaklęcia ojcowskiej zdrady. Uświadomiła sobie, że poślubiła wybitnej postury barbarzyńcę pachnącego

słońcem i sosnami. W osłupieniu patrzyła na wykonane z kości szydło, które trzymało jego szkocka spódnicę.

- Co jest? - Schylił się, by szepnąć do jej ucha. - Nigdy wcześniej nie widziałaś szydła?

- Czy to ludzka kość? - Dotknęła go koniuszkiem palca. Usta Morgana dotknęły jej włosów i wtuliły się głęboko, by znaleźć jej ucho. Jego głos zniżył się.

- Tak. Należała do mojej pierwszej żony. Naprawdę. Strasznie była ciekawska. I wsadzała swoje małe paluszki, tam gdzie nie powinna.

Zanim Sabrina zorientowała się, że Morgan z trudem powstrzymuje śmiech, gwałtownie odsunęła rękę i zacisnęła ją w pięść, gotowa do obrony. Pierścionek zaręczynowy jej matki wpił się mocno w jej rękę.

Potem gwałtownie ich rozdzielono. Zapłakana matka Sabriny uścisnęła ją z całej siły. Morgan stał i przyjmował niechętnie gratulacje od Alexa i Briana. Dougal stał z boku, promieniejąc ojcowską dumą.

Wykorzystując sytuację, Ranald chwycił Enid i namiętnie ją pocałował. Morgan podejrzewał, że biedna dziewczyna musiała być lekko zemdlna, bo nie stawiała żadnego oporu. Mocno szarpnął kilt kuzyna i pociągnął go do drzwi, pozostawiając oszołomiona blondynkę bez tchu.

- Ej! Dokąd się tak cholernie spieszysz? Nie pocałowałem jeszcze panny młodej! - zaprotestował Ranald.

- I już nie pocałujesz - warknął Morgan. - Po moim trupie. Ponaglił Ranalda, mając nadzieję, że jest jeszcze szansa na ucieczkę z tego barbarzyńskiego rytuału z choć kawałkiem nienaruszonej dumy.

Jego nadzieje zniweczył pastor, który wyrósł nagle przed nim i wcisnął mu w dłoń gęsie pióro.

Pastor poprowadził go do oprawionej w skórę, otwartej szeroko księgi.

- No chłopcze, podpisz się i to będzie już oficjalne.

Kołysząca się w ramionach matki Sabrina zobaczyła, jak Morgan stoi bez ruchu przy ołtarzu, a pióro trzyma, jakby to był trzonek topora. Jego szyję zalał rumieniec.

Widziała już ten rumieniec. Pewnego deszczowego letniego popołudnia, gdy Brian rzucił w niego Iliadą i nalegał, by ten zaczął czytać, bo to jego kolej. Wtedy szybko odezwała się, nieśmiałym głosem protestując, że brat ja ominął. Ale szkoda została już wyrządzona. Morgan odtrącił książkę i wyszedł z komnaty na poddaszu. Nigdy nie wrócił już tam za dnia. Skradał się tylko czasem wieczorem, gdy myślał, że nikt go nie widzi. Ale Sabrina widziała. I pamiętała.

Odpychając pastora, który stał na jej drodze, Sabrina ruszyła do męża i obdarzyła go szelmowskim uśmiechem.

- Za późno już na zmianę zdania. Jesteś na mnie skazany.

Pod pozorem gładzenia jego ręki, ułożyła jego palce wokół pióra, umoczyła je w tuszu, i poprowadziła jego pieść tak, by mógł napisać swoje imię. Następnie wyszarpnęła pióro spomiędzy jego sztywnych palców i podpisała się z emfazą pod spodem.

Z nieustającym grymasem niezadowolenia na twarzy, Morgan schylił się, by przypatrzeć się niezdarnym pętelkom i eleganckim spiralom, które składały się w ich imiona. Sabrina rozsypała garść piasku na ich podpisach, nim jego nos zetknął się ze świeżym atramentem. Różany wianek zsunął się na jej oczy.

Morgan lekko się wyprostował. Zdając sobie sprawę z faktu, że wszystkie oczy zwrócone są teraz na niego, Sabrina nie przestała się szeroko uśmiechać i przygotowała się na potępiające odrzucenie, którym zawsze witał ją Morgan, gdy starała się z nim zaprzyjaźnić.

Morgan przechylił głowę w bok, przyglądając się jej z góry przez swoje piaskowe rzęsy, i poprawił jej kwiecisty wianek. Zbłąkany płatek został na jego palcu. Nigdy nie pozwolił, by ostra linia jego ust kiedykolwiek zadrżała, lecz jedno z jego zielonych oczu zmrużyło się, by za chwilę otworzyć się znów na znak uznania. Sabrina niemal straciła oddech.

„Panie dopomóż!” - modliła się. Morgan MacDonnell właśnie do niej mrugnął.

Mrugnięcie Morgana było dopiero początkiem męczarni Sabriny.

Leżała teraz na wznak w obcym łóżku, przykryta aż po brodę grubymi kołdrami. Baldachim wibrował wraz z jej drżącym ciałem, gdy czekała na swojego pana młodego. Usłyszała, jak drzwi na zewnątrz zamykają się. Pugsley zaskamlał smętnie. Elizabeth, niewątpliwie przerażona myślą zhańbienia niewinnego łóżka swojej córki przez przytłaczającą męskość Morgana, ulokowała ich na samym końcu skrzydła wschodniego. Morgan na próżno się wcześniej przechwalał. Nikt nie mógł usłyszeć stamtąd jej krzyku.

Całe jego chłopięce znęcanie się nad nią, zbladło i straciło swój smak w porównaniu z ogromem uprzejmości, jaką okazał jej tej nocy. Pierwszy słodko-gorzki smak wiecznego potępienia poczuła, gdy odsunął jej krzesło przy stole. Siadała powoli, pewna, że za moment się wywróci, gdy on zabierze je w ostatniej chwili. Jednakże, Morgan rozłożył gładko serwetkę na jej kolanach, i wy-larł leżące przed nią srebrne sztucce, tak by pasowały do jej ślicznych ust.

Podkradał dla niej kęsy baraniny i gęsi z talerza jej brata. Ścierał nieistniejące krople wina z jej podbródka. Był nawet uprzejmy dla Enid i wymuszał na niej blady uśmiech, gdy wychwalał pod niebiosa jej duszone grzyby, które nieśmiało mu podsuwała.

W końcu, gdy odchylił się na krześle i niewinnie zapytał czy miałyby ochotę polizać jego kiełbasę, Sabine puściły nerwy. Przewracając kielich, który z cały czas uprzejmie uzupełniał, podskoczyła do góry i odbiegła od stołu, nie zwracając uwagi na jego troskliwe wołanie.

Dał jej nawet dość sporo czasu na przygotowanie, nim zjawił się w sypialni. Lecz Sabrina wiedziała, że nawet po najdłuższych przygotowaniach nie byłaby gotowa na tego wielkiego, niebezpiecznego nieznajomego, który teraz był jej mężem. Głuche bicie jej serca odliczało minuty. Jej palce u nóg drgały pod warstwą kołder. Gdy wreszcie zjawił się Morgan, Sabrina spokojnie i chłodno zasugerowała, by przedyskutowali warunki tego małżeństwa; małżeństwa pozbawionego przyjemności, którymi zwykle obdarzają się małżonkowie. Zmarszczyła brwi. Zgodził się, prawda?

Sabrina mimowolnie rozmyślała o wszystkim tym, co powiedziała jej wcześniej matka. Nie mogła uwierzyć, że pastor, sługa boży, dał Morganowi prawo do robienia wszystkich tych ciemnych i tajemniczych rzeczy z jej ciałem. Obrazy przewijały się w jej głowie. Bezwstydne. Władcze. Szokujące. Lecz sugestia jej matki, by rzucić magicznie czułe zaklęcie na Morgana, jeszcze bardziej nie dawała jej spokoju. Zaklęcie, które ostudzi jego temperament i dostosuje go do jej potrzeb i woli. Zaklęcie, którym zaczaruje jego wielkie, nieustępliwe ciało. Swoimi rękami... nogami... ustami. Sabrina zaczęła wachlować się kołdrą, po czym wyskoczyła nagle z łóżka rozpalona swoimi karygodnymi myślami.

Otworzyła okno, a wiatr ochłodził jej rozpalone czoło. Jesień już uciekała, goniona przez bezwzględną rękę zimy. MacDonnellowie znów urządzili hulankę. Z tej strony rezydencji musiała wychylać się przez okno, by usłyszeć ich zabawę, lecz gdy wiatr zmienił kierunek, przywiódł na swych skrzydłach pijany głos ryczący piosenkę.

Hej synu, jak dziewczki zadowolić - sposobem się nikt nie chwali, zadrzyj im kiecki do góry i daj swe dziesięć...

Sabrina zatrzasnęła okno i popędziła do łóżka, znów zmrożona do szpiku. Zasunęła kołdrę na głowę, mając nadzieję, że wyciszy dudnienie zbliżających się kroków. Po kilku minutach zorientowała się, że to tylko jej serce waliło jak oszalałe.

Wyjrzała spod kołdry. Nawet Pugsley przerwał swój czujny sen. Jego beztróskie chrapanie roznosiło się po całym pokoju i korytarzu. Sabrina opadła na poduszki a wyczerpanie sączyło się z jej ciała jak narkotyk. Gdy jej powieki wreszcie opadły, ostatnia myśl przedarła się do jej świadomości. Może Morgan wcale nie miał zamiaru przyjść.

Może właśnie zabawiał się z członkami swojego klanu, wznosząc toast za swój ostatni okrutny żart na Cameronach. Wiedziała, że powinna właściwie poczuć ulgę, lecz skuliła się pod kołdrą, mając nadzieję, że nadchodzący sen ukoji ten dziwny ból w jej

sercu. Jej podbródek drżał, objając się o mostek, gdy nagle z hukiem otworzyły się drzwi.

Jej mąż wpadł do sypialni, ukazując jej swoją piękną sylwetkę. Zatrzasnął drzwi i ruszył przez komnatę. Jego ramiona płynęły niczym statki. Nim Sabrina zdążyła zauważyć sztylet, który dzierżył w ręce, jego śmiertelny koniec przycisnął jej gardło.

- Rozbieraj się, podstępna wiedźmo! - warknął. - Albo uczynię cię dziś w nocy moją żoną, albo padnę tu trupem!

Rozdział 7

Sabrina poślubiła szaleńca. Koniuszek sztyletu zadrżał. Morgan zachwiał się niebezpiecznie. Sabrina wcisnęła głowę głębiej między poduszki, odsuwając się, ile mogła od zimnego ostrza i zastanawiała się czy kościół uznałby morderstwo za podstawę do unieważnienia małżeństwa.

- Ty podstępna więdźmo! - powtórzył, wydając przy tym groźno pomruk. - Jak śmiesz tak leżeć i mrugać do mnie tak niewinnie? Nie masz zupełnie nic na swoje usprawiedliwienie? - Zmrużył oczy, jak gdyby miał trudności z ostrym widzeniem. Szklisty połysk zmatowił jego źrenice.

Myśli Sabriny dryfowały po w jej głowie tak szybko, że nie mogła żadnej z nich dokładnie uchwycić. Przecież widziała jak Morgan pił tylko wodę do kolacji. Czyżby upił się potem ze swoimi ludźmi?

- Może zdecyduj najpierw, w jakiej kolejności chcesz mnie zgwałcić i zamordować - powiedziała spokojnie. - Jeśli nie odejmiesz miecza od mego gardła, nadziejesz mnie.

- To byłaby prawdziwa przyjemność. Miecz czy nie? Ostrożnie ujęła ostrze między swoje palce i odsunęła je od

gardła. Prosty ruch zachwiał równowagą Morgana. Potknął się, wymachując w powietrzu sztyletem. Odzyskał równowagę, oparłszy się o kolumnę łoża. Jego brązowa skóra nabrała ziemistego koloru. Drugą rękę owinał wokół brzucha, jak gdyby chciał przytrzymać go na swoim miejscu.

„Może twój Morgan posmakuje smaku zemsty, bardziej gorzkiego niż się spodziewał”.

Sabrina nagle przypomniała sobie tajemnicze słowa Enid i jej nagle zabieganie o pozwolenia na przyrządzenie grzybów. Do jej głowy wkradło się straszne podejrzenie.

Morgan wyprostował się z wyraźnym trudem.

- Powiedz mi księżniczko. Czy tatuś użył cię tylko jako pułapki, czy też twoje delikatne rączki same mieszały truciznę?

Sabrina chciała zaprzeczyć zarzutom, jakie wysunął wobec niej Morgan. Lecz gdy tylko zachwiał się na nogach, rzuciła się na kolana i przytrzymała go. Odrzucił jej wyciągnięte ręce.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, ty śliczna diablico! Jeśli nie odpowiesz na moje pytania, wycisnę odpowiedzi z twojego przeklętego ojca.

Gwałtownym ruchem rzucił się w stronę drzwi, ale w krótkiej chwili wytchnienia, jego miecz zaczął mu strasznie ciążyć. Ciągnął go za sobą żłobiąc rysy w polerowanym drewnie. Sabrina wyskoczyła z łóżka i potykając się o kołdry, złapała go za nogę.

- Morgan, nie! Nie wolno ci!

Ciągnął ją za sobą przez parę kroków, lecz Sabrina trzymała się naprawdę mocno i uparcie.

- Posłuchaj mnie Morgan! Mój ojciec nie ma nic wspólnego z tym otruciem!

Morgan potarł czoło, jak gdyby chciał wmasować jej słowa w swoją zamgloną głowę. Powoli spuścił wzrok i spojrzał na nią. Jego wzrok był zimny i skupiony dokładnie na niej. Sabrinę zmroził dreszcz. Przełknęła ciężko ślinę. Nie miała czasu, by przygotować się na ten moment. Jej koszula nocna podwinęła się. Płaska część miecz Morgana spoczywała na jej łydce. Stalowe mięśnie na udach Morgana zdrząły pod naciskiem jej rąk.

- Ty? - powiedział łagodnie Morgan, a włosy na jej karku /jeżyły się.

Sabrina spuściła głowę. Jak mogła pozwolić swojej nieśmiałej kuzynce wzbudzić w nim gniew? Enid nie wytrzymałaby nawet jednego gorącego podmuchu jego temperamentu. Poza tym Enid działała w błędnym przekonaniu, że musi ją chronić.

- Wierz, w co chcesz, Morganie MacDonnellu. Zawsze tak robiłeś - powiedziała spokojnie.

Wzrok Morgana skierował się na szyję Sabriny. Zasłona jej bujnych loków przykryła płonące policzki w oczekiwaniu na cios miecza. Otworzyła usta, by błagać go o litość, ale nie mogła

wydobyć z siebie ani słowa. Zbyt często wcześniej nie pozwalała im wyjść ze swoich ust.

- Wiedziałem, że mnie nienawidzisz, ale nie wiedziałem, że aż tak bardzo - wyszeptał Morgan. Opadł na drzwi, jak gdyby jej niewypowiedziane słowa ograbiły go z sił.

Miecz brzęknął o podłogę. Morgan ześlizgnął się na nogach i siadł z rozłożonymi wokół niej nogami.

Sabrina podciągnęła koszulę nocną wdzięczna za jakąkolwiek wymówkę, by uciec od jego ponurego wzroku.

- Wezwę lekarza mojego ojca.

Jego ręka wystrzeliła, by złapać jej nadgarstek.

- Nie! Nie pozwolę, by rzeźnicy Cameronów mnie wykończyli! - Jego palce zacisnęły się, a twarz krzywiła w potwornym grymasie, gdy nadeszła kolejna fala bólu.

- Powiedz mi tylko jedno. Czy ja umrę?

Przypomniawszy sobie, jak Brian nakarmił kiedyś przez nieuwagę Alexa papką z muchomorów, Sabrina skrzywiła się i powiedziała:

- Nie. Ale będziesz bardzo chciał umrzeć.

- Już chcę - jęknął Morgan.

Jego twarz nabrała zielonej barwy. Pot ciekł z czoła.

- O Boże! - Podniósł się na chwiejących nogach, podpierając się o ścianę. W oczach miał panikę. Stał chwilę, cały się trzęsąc, po czym, gdy chciał zrobić krok, zakołysał się tak mocno, że gdyby nie ramię Sabriny runąłby z hukiem na podłogę. Zdołał jednak odsunąć się od niej.

- Wynoś się! - zaryczał. - Zostaw mnie w spokoju! Sabrina zawahała się przez moment. Morgan przysunął się do niej groźnie.

- Ostrzegam cię, dziewczyno! Nie pozwolę ci patrzeć tryumfalnie na swoje dzieło!

Jego groźba straciła na sile, gdy potknął się o swój miecz i padł na podłogę. Jego ręka zacisnęła się w bezradną pięść.

- Proszę - wyszeptał. - Idź.

Oszołomiona widokiem upadłego giganta Sabrina wymknęła się z pokoju i oparła o zamknięte przez siebie drzwi. Prawie pod-

skoczyła, gdy usłyszała głęboki jęk rozdzierający ciszę. Różowy język Pugsleya wysunął się, by polizać jej stopy. Kucnęła, aby zatopić palce w jego psim cętkowanym futrze.

Może raz, kiedyś naśmiewała się z Morgana, gdy ten był w tarapatach. Teraz cierpiała, gdyż on wierzył, że może być tak okrutna, by go otruć.

Pełne udreki dźwięki uciszyły się. Sabrina dotknęła klamki drżącymi i niepewnymi palcami. Znała swojego ojca na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie pozwolił sobie na respektowanie ich prawa do prywatności. Nie chciała, by chodzący po korytarzu Brian czy Alex zobaczyli ją skuloną pod jej własną małżeńską sypialnią. Przyszła jej do głowy potworna myśl. A co, jeśli Enid nakarmiła Morgana śmiertelną dawką muchomorów? Być może leżał już teraz na podłodze, gasnąc i sztywniejąc, z otwartymi oczami oskarżycielsko patrzącymi w sufit.

Otworzyła z hukiem drzwi. Morgan leżał na podłodze, tak jak go zostawiła. Jego złote włosy mokre były od potu. Uklękła obok. Odgarnęła jego ubranie i położyła swą dłoń na jego gładkich, umięśnionych piersiach. Poczowała tylko płytki oddech i westchnęła ciężko. Pochyliła się, dygocąc i przyłożyła ucho do jego mostka i odetchnęła z ulgą.

- Złaż ze mnie.

Sabrina podniosła głowę, porażona pogardą w jego zachrypniętym głosie.

- Zostało mi jeszcze trochę dumy. Nawet my, MacDonnel-lowie, nie jesteśmy tak lubieżni, by pragnąć dziwki, która prędzej by nas zabiła, niż poszła z nami do łóżka.

Jego całe ciało było napięte, lecz nie wykonał ani jednego ruchu, by ją odepchnąć. Co by zrobił, gdyby zdecydowała się teraz wprowadzać w życie lekcje jej matki? Czy złagodziłoby to jego temperament, gdyby delikatnie zaczęła gryźć jego dolną wargę? Czy stopiłby się jego gniew, gdyby na swojej szyi poczuł jej giętki język? A może uznałby to za kpinę? Za zniewagę jego niebezpiecznej dumy, której używał teraz jako ochronnej tarczy.

- Czego ode mnie chcesz? - wyszeptała z serdecznością, o którą nawet by jej nie podejrzewał.

- Tylko miecza.

Jego kategoryczny ton sprowadził ją z powrotem na ziemię. Dla Morgana to była walka, a ona była jego wrogiem. Żywiąc nadzieję, że jej posłuszeństwo nie będzie ją kosztowało głowy, przyniosła mu miecz. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że był to miecz jej ojca.

Jego głos, marzycielski i gorzki zarazem, nadał kształt jej własnym myślom.

- Ani miecz, ani pierścień, ani nawet moja przeklęta żona nie należą do mnie.

Stękając z wysiłku, oparł się plecami o drzwi.

- Nie możesz całej nocy spędzić na podłodze - zaprotestowała Sabrina.

- Jesteś chory. Powinieneś leżeć w łóżku.

- Z tobą? - Wybuchnął ujadającym śmiechem, jakby jej propozycja była bluźniercza. - Nie. dziękuję. Wolę doczekać świtu. - Położył masywne ostrze na swoich kolanach.

Sabrina nie wiedziała czy Morgan ma zamiar bronić się przed zasadzką, czy przed nią.

Po kilku minutach, podczas których Morgan czuwał w napięciu, Sabrina skuliła się na brzegu łóżka, powstrzymując się od płaczu. Przysięgała, że nigdy nie będzie ronić przez niego łez i nie miała też zamiaru robić tego teraz. Ostatnią rzeczą, jaka zobaczyła, nim zapadła w głęboki sen był Morgan, wpatrujący się w nią spod chmurnego czoła. Na chwilę przed zaśnięciem jej uszy przeszyło mroczne mruczenie.

- Jeśli ja nie mogę cię mieć księżniczko, oni też nie.

Kolejny poranek zastał Morgana wpatrującego się w swoją słodką morderczynię skuloną na łóżku. Trudno mu było uwierzyć, że jej ojciec nie miał nic wspólnego z tym otruciem. Pozbawiony wodza klan MacDonnellów rozproszyłby się, pozostawiając Cameronom, Grantom i Chisholmom wolną rękę w sprawie góry, którą rozszarpaliby zapewne niczym głodne sępy. Tylko dlaczego Dougal doprowadził do ślubu z własną córką, zamiast od razu go zabić lub pozwolić zgnić w lochu?

Morgan westchnął, zmuszony zaakceptować myśl, że Sabrina

działała tu sama. Czuł, że jest dobrze uzbrojony do walki z Cameronami i ich zdradą, lecz ta myśl dręczyła jak sól sypana na świeżą jeszcze ranę po śmierci ojca.

Mógł sobie jedynie wyobrazić, co stałoby się, gdyby Sabrina odważyła się na taką zdradę w obecności jego ludzi. Pewnie od razu by ją zabili, zanim jeszcze zaczęłaby się bronić. Obraz blednącego różu jej policzków napawał go zgrozą i bólem.

Spoczywające na poduszce ciemne loki kontrastowały z jej kremową skórą. Spała bez żadnej kołdry, a poranek nappełnił komnatę chłodnym powietrzem. Wzrok Morgana przeniósł się w dół. Górna część jej koszuli nocnej miękko opierała się na twardych koniuszkach jej piersi. Jej koszula podwiniętą była aż po same uda. Morgan wyobraził sobie swoje twarde palce muskające jej jędrne sutki i dłoń skradającą się do ciepłej, kuszącej szczeliny między jej nogami.

Odwrócił wzrok od łoża, przetykając ciężko ślinę. Była jego żoną, i tak jak pierścień czy miecz, należała do niego tylko z łaski Douala Camerona. A żaden MacDonnell nigdy nie godził się na akty dobroczynne, a w szczególności na dobroczynność swoich wrogów.

Lecz Morgan miał dużo pilniejszy problem niż pulsowanie w kroczu. Czy Sabrina ośmieliła się powiedzieć komuś, że ich małżeństwo nie zostało skonsumowane? Czy poddawanie w wątpliwość jego męskości było jeszcze jedną sztuczką Sabriny i jej ojca? Jednym z głównych obowiązków wodza klanu było zapewnienie mu spadkobiercy. Jego oczy pociemniały, gdy wyobraził sobie Sabrinę paplającą na lewo i prawo o szczegółach ich nocy poślubnej.

Wyobraził sobie, jak wydzierają mu ją z rąk, a jego spędzają z powrotem do zimnych i wilgotnych lochów pod wieżą albo nawet gorzej, wyrzucają go na bruk, by zmierzył się z pogardą swoich ludzi.

Morgan odwrócił się, zaciskając pięści. Była jego panna młodą. Musiał pozbawić ją dziewictwa. To było coś więcej niż jego prawo. To był jego obowiązek. Gdy skonsumują swoje małżeństwo-

wo ani Dougal Cameron, ani król Anglii nie ośmiela się mu jej odebrać, i nie musiałby się martwić o przyszłość swojego klanu.

Sabrina poruszyła się, przykładając małą pięść do rozchylonych lekko ust. Wyglądała jak drobna, bezbronna dziewczynka ufająca mocy snu. Wiedział, że mógłby zasłonić jej teraz usta ręką i objąć się jej udami, nim zdążyłaby zaczerpnąć powietrza i krzyknąć. Lecz w przeciwieństwie do niektórych członków swojego klanu, Morgan nie był zwolennikiem gwałtu.

Jego oczy zmrużyły się. Nie może myśleć o tym jak o gwałcie. Musi myśleć o tym jako o obowiązku. Pozostałby opanowany i obojętny, gdyby to, co go czekało było tylko bolesną, lecz konieczną procedurą, jakiej już setki razy poddawał członków swojego klanu. Na przykład przyżeganie krwawień albo wyciąganie kuli z zaognionej rany.

Albo zniewolenie delikatnego, niczego nieświadomego ciała swojej żony, wsuwając się w nią głęboko, póki nie zacznie wic się pod nim i jęczeć.

Poczuł suchość w ustach, a jego drżące ręce wydawały się bez czucia, gdy kładł się w łóżku obok niej. Zanurzył palce w jej jedwabistych włosach, otulając nimi swoje dłonie. Marzył o tym, spędzając samotne chłodne noce w lochu.

Sabrina otworzyła leniwie oczy, a Morgan zeszywniał jakby raniony śmiertelnym strzałem, lecz przywitał go jej czuły uśmiech.

Rozdział 8

Sabrina obudziła się uwięziona w sieci jej własnych włosów splatanych w dłoniach Morgana. W jego uścisku nie było żadnej brutalności, tylko łagodne zdecydowanie przyciskające ją do poduszki i niepozwalające na ucieczkę, której i tak nie planowała. Jego skórę znów pokrywała opalenizna, która nie zdradzała oznak przebytej choroby. Tylko zaczerwienione oczy zdradzały, że nie przespał w nocy ani minuty. Jego szata owinięta była wokół niego, tworząc równe fałdy. Jego oddech pachniał pikantnie jak cynamon i goździki.

Sabrina uśmiechnęła się, widząc go znów w dobrej formie. Lecz jej uśmiech osłabł pod ponurym ciężarem jego wzroku. Wyczuła, że chwieje się na ostrej jak brzytwa, niebezpiecznej krawędzi.

- Nie chcę cię rozczarować, ale obawiam się, że nie jesteś jeszcze wdową.

- Nie zamierzałam nią zostać.

- W takim razie twoja kuchnia pozostawia wiele do życzenia. Ścisnął mocniej kosmyk jej włosów, lecz nie ciągnął za niego, tylko przypominał w ten sposób o swojej obecności. - Więc co zamierzałaś?

Jego senny wzrok trzymał ją w swojej niewoli. Ich usta dzieliło tylko kilka cali. Sabrina wyjąkała:

- Ja... ja... ja tylko bałam się zostać z tobą sama.

Morgan zmarszczył brwi. - Myślisz, że ze mnie taki potwór? Jego niespodziewana szczerość tylko spotęgowała dyszący ton jej głosu.

- Czy kiedykolwiek dałeś mi powód, bym sądziła inaczej? Uniósł głowę.

- Być może zrobiłem to za późno.

Jego usta dotknęły jej ust. Ich jędrne, jedwabiste kontury swoim naciskiem formowały usta Sabriny. Koniuszki jego palców głas-

kały jej policzki, zachęcając, by się przed nim otworzyły, by odpowiedziały na ruchy jego wirującego języka zachęcającym tańcem. Jego rzeński zapach działał na wszystkie jej zmysły, a jego język delikatnie wędrował w głębinach jej ust.

Z korytarza dobiegł dźwięk skradających się kroków, psie, powitalne skomlenie, które jednak zostało szybko stłumione. Morgan uniósł gwałtownie głowę, a jego wzrok spoważniał. Jego dłoń zastąpiła miejsce ust na twarzy Sabriny, dławiąc pytające wołanie.

Morgan wiedział, że jego czas dobiegł końca. Wpatrywał się w zatrwożone, niebieskie oczy, wiedząc, że miał jedynie kilka sekund, by dokonać wyboru, którym mógł zasłużyć sobie na wieczną nienawiść swojej żony. Może wybaczyła mu już umaczanie jej sukni w kałamarnicy albo użycie jej pierwszego gorsetu jako procy, lecz podejrzewał, że zgwałcenie jej teraz w komnacie, skąd mógłby usłyszeć to jej brat, byłoby grzechem, od którego nie mógłby się uwolnić.

Odsunął rękę od jej ust.

- Jęcz - szepnął.

- Czy ty osza...?

- Do cholery, kobieto, jęcz! - warknął.

Sabrina wydała z siebie cichy pomruk, który bardziej przypominał pisk niż jęk. Spuścił głowę ze wstrętem.

- Dziewczyny piszczały przy mnie głośniejsze, gdy miałem dwanaście lat.

Morgan nie powinien wypowiadać tych słów, a uświadomił to sobie już w trakcie ich wypowiedzienia, widząc płonące złością oczy Sabriny. Jej usta zacisnęły się tak mocno, jakby nigdy nie miała już ich zamiaru otworzyć.

Morgan zawahał się. Na korytarzu było cicho. Za cicho. Ta czujna cisza była prawie namacalna. Kręcąc głową, powiedział:

- No dobra, dziewczyno. Nie pozostawiasz mi innego wyjścia. Morgan zdecydował, że musi użyć każdej znanej sobie sztuczki,

by tylko wydobyć z upartego gardła Sabriny jęk namiętności. Przeplatając jej palce swoimi, przycisnął jej ramiona nad głową i począł kołysać się między jej nogami, dopóki ich łoże nie zaczęło głośno trzeszczeć. Sabrina zaczęła jęczeć bardziej przekonująco.

Materac leżący pod Sabriną nie pozwalał jej na ucieczkę przed prowokacyjną napaścią Morgana. Miała wrażenie, jakby topiła się pod jego dużym, ciężkim ciałem. Na rezultaty swoich poczynań nie musiał długo czekać. Zdyszana Sabrina pojękiwała, gdy jego Iwarde krocze ocierało się o delikatny wzgórek między jej udami, niż w końcu ani jego spódnica, ani jej koszula nocna nie stały na drodze ogarniającym ją falom rozkoszy.

- Powiedz, że mnie pragniesz Sabrino - zachrypnięty głos Morgana zalał jej ucho. Potrząsnęła przecząco głową, walcząc by strzępy jej woli pozostały nienaruszone.

- Powiedz to!

Wsunął swój mokry, brutalny język do jej ucha i słowa same z niej wypłynęły, a jej krzyk gęstniał w powietrzu.

Morgan zastygł w bezruchu. Łzy kołysały się nerwowo na rzęsach Sabriny, lecz nie popłynęły po policzku, gdyż czekała, by Morgan mógł napawać się swoim tryumfem, by mógł skończyć swoje nikczemne kuszenie i pozostawić ją bardziej poturbowaną i poniżoną niż po pobiciu. Lecz on nic nie zrobił. Po chwili wsłuchiwanie się w ciche stąpnięcia Pugsleya w korytarzu, Morgan zsunął z jej oszołomionego ciała i wyciągnął małe sztylet pomiędzy fałd swojej spódnicy. Sabrina szeroko otworzyła oczy.

Podniosła się i oparła na łokciach przerażona i zafascynowana zarazem, patrząc, jak Morgan zaciska dłoń w pięść i z kamienną I warzą przeciąga ostrzem po swoim ramieniu, pozwalając kroplom opadać na nieskazitelna pościel.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Dowód twojego dziewictwa. Nie dam im żadnego powodu, by mi cię zabrali. Jeśli ślub z księżniczką jest ceną za pokój, nie mam innego wyboru, tylko ją zapłacić. Nawet gdybym miał przelać ostatnia krople mojej krwi. Zatałmowił krwawienie rąbkiem prześcieradła, po czym ujął jej podbródek między swe palce.

- Jeśli ośmielisz się zaprzeczyć przed swoim ojcem albo innymi członkami klanu, zaciągnę cię w najbliższy kąć i zrobię to naprawdę. Wtedy nikt, łącznie z tobą, nie będzie miał wątpliwości, że należysz do Morgana MacDonnella.

Jego zimna skuteczność przeraziła Sabrinę. Jej serce i ciało wciąż pulsowało rytmem przez niego narzuconym. Jej płuca pompowały powietrze niczym poszarpane miechy.

Poprawił fałdy na swojej spódnicy w sposób tak chłodny i niewzruszony jakby był zielonookim lodowcem.

- Spakuj się i przygotuj do podróży przed północą. Nie spędzę na pasku twojego ojca ani chwili dłużej niż to konieczne. - rzucił okiem na Sabrinę. - Nie bądź taka zrozpaczona. Odeślę cię z powrotem do domu, jak tylko urodzisz mi syna. Nawet Dougal Cameron nie ośmielił się wszcząć wojny przeciw własnemu wnukowi.

Bunt mieszał się w Sabrinie z przerażeniem.

- Oczekujesz, że zostawię ci dziecko jak szczenięcy pomiot, i pobiegnę do Tatusia? Nie przyszło ci do głowy, że dziecko potrzebuje matki?

Morgan wzruszył ramionami, unikając wzroku Sabriny.

- Ja nigdy nie miałem. Dzieciak może spędzać wakacje u Cameronów tak jak ja.

- Och jak hojnie z twojej strony! A jeśli okryję cię hańbą i wydam na świat córkę? Co wtedy? Czy twoja duma wytrzyma taki cios?

Morgan nie kłopotał się nawet odpowiedzią. Poprawił na sobie ubranie i wyszedł, zostawiając Sabrinę z niedowierzaniem patrzącą na drzwi.

Wciąż cała się trzęsąc, opadła na poduszki. Jak mógł po prostu wyjść i tak ją zostawić - obolałą, pustą, spragnioną dotyku, który nie miał nadejść? Lecz jaki to dobry sposób na ukaranie jej, muśnięcie płomieni jej pożądania, których nigdy nie może mu dać ugasić? Przysięgała, że nie da mu ani chwili przyjemności. Teraz jednak wiedziała, że nie o jego przyjemność chodziło.

Odsunęła się od zaplamionej pościeli, gardząc nienawistnym kłamstwem, którego była ona dowodem. Czy była dla Morgana tak odrażająca, że wolał się okaleczyć niż dzielić z nią łóżko? Wyraził się aż za jasno - chciał od niej syna, a nie jej ciała. Przycisnęła poduszkę do piersi, na próżno próbując uspokoić bijące jak oszalałe serce i uśmierzyć tępy ból między nogami. Nie powinna była

spodziewać się niczego więcej po mężczyźnie takim jak Morgan. Parodia małżeństwa, prostacka parodia czulego aktu, który powinien zbliżać żonę do męża.

W jej oczach odbijał się krwistoczerwony rubin jej pierścienia zaręczynowego. Myliła się przez wszystkie te lata. Morgan Mac-Donnell był okrutniej szy od potwora.

Morgan zszedł do opustoszałego ogrodu. Chwiejnym krokiem doszedł do ławki i usiadł. Gorączka zalewała mu żyły. Dougal nie potrzebował mordercy, by go wykończyć. Sabrina była dostateczną trucizną. Słodką, silnie działającą, śmiertelną, ograniczającą jego potrzeby tylko do tych pierwotnych za każdym razem, gdy wypowiadała jego imię.

Pragnę cię Morgan. Jej krzyk wciąż rozbrzmiewał w jego głowie. Mimo że był wymuszony prymitywnym kręactwem jego ciała, nie stracił na mocy. Szczerość tego krzyku przytłaczała go bardziej niż niewinna radość jej odpowiedzi na jego ruchy. Spodziewał się, że zaatakowana, zeszywnieje i odwróci ze wstrętem I warz. Lecz ona przywarła do niego, z drżącymi ustami, lśniącoymi, ale nie od łez, oczami. Już widział tę minę.

Kiedyś, gdy zastała go unieruchamiającego złamane skrzydło wróbla i jeszcze, gdy rzucał się na stajennego Cameronów chcącego zastrzelić kulejącą klacz, która bardziej niż kuli potrzebowała ciepłego okładu. Spojrzenie, którym go wtedy obdarowała, grzało jego serce, ale też przerażało go. Nie mogąc znieść złudzenia, że może być kimś więcej niż tylko bezwartościowym MacDonnel-lem, postarał się, by zetrzeć tę minę z jej twarzy.

Już wtedy wyczuł, że Sabrina jest jedynym członkiem rodziny Cameronów, który potrafi przeniknąć przez nieprzeniknioną zbroję jego dumy i chwycić jego serce. Jedyna z Cameronów posiadająca moc, by je złamać.

Kiedy rzuciła mu wyzwanie, mówiąc o urodzeniu córki, musiał uciec jak najszybciej, by nie zdążyła zobaczyć, jak pęka jego lodowa fasada. Nie mógł poradzić sobie z niespodziewanym pragnieniem, jakie obudziła w nim myśl o chichoczącej małej dziewczynce w kręconych włoskach podnoszonej przez niego wysoko na

rękach - Sabrinie, kiedy zobaczył ją pierwszy raz, jeszcze przed tym, jak jego odrzucenie zgasiło iskierkę w jej ślicznych oczach. Szansa na drugi taki skarb była darem, na który ani on, ani żaden inny człowiek nie zasługiwał.

Odgarnął włosy, pozwalając chłodnym palcom porannej mgły pieścić jego rozpalone czoło. Będąc młodym chłopakiem, potrafił bez większego żalu oprzeć się szczerbatym uśmiechom i swawolnym wdziękom Sabriny. Lecz przypomniawszy sobie jej zranione spojrzenie, bał się teraz, że cena za jego opór może być dużo wyższa od tej, którą spodziewał się zapłacić.

Dokładnie trzydzieści pięć minut po południu, Sabrina wyszła na dziedziniec, ciągnąc za sobą Enid i paradę służących z kuframi. Miała na sobie aksamitną pelerynę z kapturem. Pasującą do niej mufka zwisała z niebieskiej, królewskiej wstążki okalającej jej nadgarstek. Zadarła nos jak królowa i obserwowała każdy swój krok tak, jak nauczyła ją matka i żałowała, że nie kazała służącym nieść swojego gronostajowego trenu. Jeśli Morgan MacDonnell wierzył, że poślubił księżniczkę, będzie ją miał.

Mroźny wiatr wiał w nocy z gór, smagając twarz jesieni. Gwizdał teraz wśród kamiennych murów, podrywając w górę rąbki peleryny Sabriny i malując różem jej blade policzki. Grafitowe chmury kotłowały się nad dziedzińcem, a ich nabrzmiałe brzuchy źle wróżyły jej podróży. Smętne niebo, niczym ogromne lustro, odbijało zimowy chłód sączący się do serca Sabriny.

Jej uwagę przyciągnęła sprzeczka niskich, basowych głosów. Alex i Brian klócili się w kącie ogrodu. Stali blisko naprzeciwko siebie prawie stykając się czołami. Ich zaciśnięte pięści i czerwone ze złości twarze zapowiadały przejście kłótni w brutalną przepychankę.

Ranald, jeden z ludzi Morgana, stał w bramie dziedzińca i trzymał końskie wodze. Koń przewrócił na jej widok oczami, a spod jabłkowitych chrap wysunęły się żółte zęby. Siatka blizn przecinała jego masywny zad. Sabrina pomyślała, że to na pewno największe i najbardziej złowrogie stworzenie, jakie kiedykolwiek widziała. Poza jej mężem.

Krótką falą gorąca spłoszyła chłód, gdy zobaczyła opierającego się o ścianę Morgana z rękoma skrzyżowanymi na piersi i z czołem

zmarszczonym przez, aż za dobrze jej znane, gniewne spojrzenie. Taką samą gniewną minę miewał jej ojciec. Jej matka stała pomiędzy nimi trzymając na rekach Pugsleya. Z jego pyszczka było psie samozadowolenie. Ponura mina Morgana zmieniła się w kpiący uśmiech, gdy podszedł ją powitać.

- Dzień dobry, słodki kwiecie Szkocji! - Słodkie jak miód słowa kapały z jego języka niczym kwas. - Cudownie, że zechciałaś do nas dołączyć. Twoja rodzina zaczęła się już zastanawiać, czy przypadkiem nie zamordowałem cię w naszym łóżku.

Enid zbladła i upuściła wszystkie pudełka z rękawiczkami, jakie miała w rękach. Rzuciwszy końskie cugle stajennemu Cameronów, Randal rzucił się, by je pozbiierać. Stajenny nie przestał trzymać się w bezpiecznej odległości od brykającego siwka.

- Bzdury - odpowiedziała nonszalancko Sabrina. - Byłeś ucieleśnieniem rozwagi i wyrozumiałości.

Na znak subtelnego ostrzeżenia, Morgan potarł lekko palcami jej nadgarstek. Z jego dotyku emanowało palące ciepło.

- Może powinniśmy opóźnić naszą podróż, byś znów mogła posmakować mojej wyrozumiałości.

Spuścił wzrok na jej usta. Demoniczna iskierka w jego oczach zdradzała, że był bardziej niż chętny, by to zrobić.

- To nie będzie konieczne - zapewniła go, spuszczać wzrok. Dużo kosztowało Sabrinę stanięcie twarzą w twarz ze swoją rodziną, wiedząc, że podejrzewają, co zaszło między nią a Morganem tej nocy. Nie chciała przecież by, jego groźba spełniła się w pierwszym lepszym miejscu.

Gdy prowadził ją w kierunku rodziny, w jego głosie słychać było, świeżą złość.

- Wygląda na to, że twój ojciec zapomniał wspomnieć o jeszcze jednym ze swoich... warunków. Jeden z twoich krewnych będzie towarzyszył nam w drodze do rezydencji MacDonnellów. W ten sposób, jeśli będę dla ciebie niemiły przy kolacji, odetną mi głowę, nadzieją na pikę i zanosą twojemu ojcu.

Sądząc po zakłopotanej minie ojca i tryumfującym uśmiechu

matki, Morgan nie był jedyną osobą, która tej nocy nie zmrużyła oka. Elizabeth pogłaskała Pugsleya. Na jej palcu widoczny był jasny pasek, jedyna już pamiątka po pierścieniu zaręczynowym.

- Nie dramatyzuj Morgan. Chciałam po prostu, by moja córka miała towarzystwo.

Morgan przysunął się do niej z bolesną godnością, jaką zawsze miał w zwyczaju jej okazywać.

- Mogę obiecać ci, moja pani, że moja żona nigdy nie będzie narzekała na brak towarzystwa. Jednakże, będę miał na względzie twoje życzenia. - Wyciągnął rękę w stronę czekających braci Sabriny. - Chodź, moja droga. Wybierz swoją truciznę.

Pudełka z rękawiczkami znów spadły na podłogę, a Enid zachwiała się pod nagłym, przeszywającym spojrzeniem Morgana. Randal złapał za jej łokieć, by ją podtrzymać.

Sabrina wiedziała, dlaczego jej bracia się kłócą. Gdy do nich podeszła, ściągnęli ramiona i stanęli na baczność tak, jak gdyby oczekiwali inspekcji generała. Brian mrugnął do niej, psując tym samym swoją żołnierską pozę. Bystry, figlarny Brian. Nigdy nie wyrósł z tego, by jej dokuczać, a ona uwielbiała jego dowcip i duszę psotnika.

Policzki Alexa zarumieniły się pod jej badawczym spojrzeniem. Czyżby to jego kroki słyszeli pod swoją komnatą sypialną dzisiejszego ranka? Niezawodny, stateczny Alex. Gdy upadła, zawsze pierwszy rzucał się, by pomóc jej wstać i otrzepać mankiety z kurzu.

Oboje odziedziczyli po matce humor w różnych wcieleniach. Wybuchy wściekłości Briana cichły tak szybko, jak się pojawiły, podczas gdy w Alexie złość wzbierała powoli, aż do momentu nieuniknionego wybuchu. Żaden z nich nie wytrzymałby nawet dnia z MacDonnellami. Obdarzyła ich obu czułym uśmiechem i odwróciła się do Morgana.

Płowe włosy Morgana powiewały na wietrze, częściowo zakrywając mu twarz. Z pewnością wziął jej siostrzany uśmiech za kolejną zdradę. Nie pozwoliła, by pełen dobrych intencji plan jej matki, znów ich podzielił. Patrząc Morganowi prosto w oczy, rzekła:

- Wybieram Enid.

Enid zemdląła, lecz energiczny ruch Ranałda uchronił ją od upadku na kamienie. Uśmiechnął się olśniewająco.

- Rozsądny wybór. Nie ma nic, czego pragnąłbym bardziej niż ślicznej, grubej dziewczyny.

- Enid nie jest gruba - zaprotestowała Sabrina w zamyśleniu, sparaliżowana przeblaskiem poparcia w oczach jej męża.

- Jest... - Ranałd zachwiał się pod ciężarem jej kuzynki. - Przyjemnie puszysta.

- Ośmielę się powiedzieć, że mnie odpowiada - rzekł Ranałd, spoglądając na gorset Enid pod pretekstem chęci poluzowania jej koronkowego kołnierzyka.

Oburzeni Brian, Alex i Elizabeth ruszyli w stronę Sabriny. Na ich drodze stanął Dougal.

- Wszyscy zgodziliśmy się, że wybór należy do Sabriny. Miała wystarczająco mało do powiedzenia w całej tej sytuacji. Nie będę jej wszystkiego odbierał.

Zamglona sylwetka ojca mignęła przed oczami Sabriny. Wiedziała, że to mógł być ostatni raz, gdy może stanąć w jej obronie.

- Jak ja to wytłumaczę mojemu bratu? - szlochała Elizabeth.

- Drogi Willie, czy wspominałam ci, że wysłałam twoją córkę do domu złodziei i rzezimieszków bez najmniejszej ochrony? Boże! On dostanie apopleksji!

- Sam napiszę do Williama - powiedział stanowczo Dougal.

- To tylko póki Sabrina się nie ustakuje. Jestem pewien, że Morgan zapewni jej bezpieczeństwo do czasu, kiedy ją stamtąd odbierzemy.

Twarz Elizabeth skrzywiła się i przez chwilę wyglądała bardzo bezbrinnie, co zdarzało się rzadko.

- A kto zapewni bezpieczeństwo mojej Sabrinie?

Morgan przytulił mocno Sabrinę do piersi. Zadrżała pod jego zaborczym dotykiem. Jego głęboki, pozbawiony drwiny głos zawibrował na jej kręgosłupie.

- Dziewczyna jest teraz pod moją opieką. Bładoniebieskie oczy Enid otworzyły się. Rozemocjonowana,

znów prawie zemdląła, lecz spostrzegła, że spoczywa na kolanach

górała o anielskiej twarzy i uśmiechu urwisa. Sabrina uklękała obok niej.

- Nie musisz jechać, jeśli nie chcesz. To musi być twój wybór.

Widać było, że Enid boryka się z podjęciem decyzji. Podczas ich porannej, rozpaczliwej rozmowy dowiedziała się, że to poświęcenie Sabriny uchroniło ją od gniewu Morgana.

Ciężko wzdychając, zdobyła się na dzielny uśmiech. - Oczywiście, że pójdę. To będzie wielka przygoda. Uchwyciła dłonie Sabriny i zamknęła je w swoich dłoniach. Cień Morgana okrył ich sylwetki. Enid wtuliła się w szeroką pierś Ranalda, wybierając niebezpieczeństwo nieznane od znanego.

- Kiedy będziecie się pakować, będziemy was oczekiwać na wzgórzu - powiedział Morgan. - Ranald, zostań i pomóż dziewczynom.

- Z największą przyjemnością - zamruczał Ranald, pomagając Enid stanąć na nogi. Morgan w tym czasie chwycił ramię Sabriny i ciągnął ją za sobą przy jej braciach i rodzicach w kierunku ich wciąż brykającego konia.

- Spokojnie, Pookah! - zamruczał Morgan niskim i kojącym głosem. Nozdrza konia rozwarły się.

Sabrina pomyślała, że Kon rzeczywiście wyglądał zupełnie jak jego demoniczny imiennik z piekła rodem¹. Rzuciła parszającej bestii spojrzenie pełne strachu.

- Mogę dostarczyć powóz - zaproponował jej ojciec z nutką desperacji w głosie.

- Nie potrzebuję miłosierdzia Cameronów - Morgan chwycił Sabrinę w pół i posadził na siodle bez żadnego wysiłku, jak gdyby ważyła niewiele więcej niż piórko.

Nim kapryśne zwierzę ruszyło, Morgan wskoczył i usiadł w siodle za Sabriną.

- Wezmę tylko to, co prawnie jest moje. My MacDonnellowie dbamy o swoje.

Objął Sabrinę w pasie. Jego zaborczy uścisk przypominał jej, że

¹ Pookah- oznacza „chochlik”, stąd nawiązanie do „piekła”, jako jego siedziby w wypowiedzi Sabriny. (przyp. tłum.).

nie znaczy dla niego więcej niż stado owiec czy kurcząt. Czy klacz zagrodowa. Elizabeth podbiegła i wcisnęła w jej rękę Pugsleya. Sabrina przytuliła go mocno i poczuła znajome ciepło.

- Nie mogę go wziąć, mamó. On jest twój. Matka uśmiechnęła się przez łzy i powiedziała:

- Ale to ciebie zawsze najbardziej kochał. Przecież będziesz się nim opiekować, prawda? Jest dla mnie bardzo cenny. Jest niezastąpiony.

Jednak jej oczy nie były zwrócone na Sabrinę, ale na Morgana. Jej błagalny wzrok prosił go o wiele więcej niż tylko pozwolenie na zatrzymanie ulubionego pupila. W odpowiedzi Morgan szorstko pokiwał głową.

Sabrina pochyliła się, a jej matka ucałowała ją czule w usta. Wtedy pojawił się jej ojciec, ze zbolaną twarzą i bezwładnie zwisającymi rękoma. Sabrina zeszywniała. Tak bardzo pragnęła paść mu w ramiona, wtulić twarz w jego kującą brodę i błagać o wytłumaczenie, o to by wreszcie potrafiła zrozumieć. Gdyby nie jego manipulacje, nie musiałyby być oddana w ręce tego złowrogiego nieznajomego. Nie musiałyby opuszczać wszystkiego, co dla niej drogie i znajome, by prowadzić wojnę z tym górale w jego kryjówce.

Ojciec stanął na palcach, by ją pocałować. W ostatniej chwili odwróciła twarz. Jego usta zetknęły się z jej policzkiem i pozostały jeszcze przez chwilę w niego wciśnięte, nim Dougal nie pogodził się z odrzuceniem z jej strony. Usiadła prosto w siodle. Ramiona Morgana zacisnęły się mocniej na jej talii. Gdyby nie jego uścisk Sabrina rozsypałaby się na tysiąc małych kawałeczków.

Chwycił wodze. Dougal zrobił krok naprzód i chwycił go za nagą łydkę. Jego granatowe oczy rzuciły mu ostrzegawcze wyzwanie.

- Opiekuj się nią, człowieku. Odpowiesz za to przede mną.

Morgan nie przyjął do wiadomości ani też nie spierał się z groźbą jej ojca. Popędził konia. Nim minęli bramę rezydencji, Sabrina odważyła się na jedno spojrzenie za siebie. Jej rodzice wtuleni byli w siebie tak mocno, że nie wiadomo było, kto kogo podtrzymuje. Wiedziała, że wkrótce odzyskają spokój, mieli przecież siebie

nawzajem. To ona musiała jechać sama, ograbiona ze swoich dziewczęcych marzeń o miłości, która łączyła jej rodziców. Jej ojciec zniszczył te marzenia przez swoją bezwzględność, która zadawała kłam wszystkim jej wyobrażeniom na jego temat.

Gdy opuścili już bezpieczne mury rezydencji, podmuch mroźnego wiatru zaparł jej dech w piersiach. Łza popłynęła po jej policzku i jak stopiony diament rozbiła się o rękę Morgana. Jego głos wydawał się jej być czuły i gorzki zarazem.

- Za nim płaczesz. Za mną nie zapłakałabyś nigdy. Niech cię diabli wezmą!

Jednakże przeklinając ją, Morgan chwycił rąbek swego pledu i otarł jej łzy.

CZEŚĆ DRUGA

Jeśli tylko dotrzeć zdołasz tu
Gdzie rośnie spokoju kwiat
Róża co zwiędnąć nie może
Ulgi ostoja i znak

Henry Vaughan

Rozdział 9

Sabrina była wdzięczna, że mogła skryć się pod swoim kapturem. Jeśli ośmieliła się spojrzeć w lewo, widziała podskakująca na koniu makabryczną mumię Angusa, przywiązaną tak, by imitowała jeźdźca. Jeśli odwróciła głowę w prawo, narażona była na obleśne uśmiechy łysiejących członków klanu Morgana. Patrzyła więc prosto przed siebie, ze wzrokiem utkwionym w wąską drogę wijącą się przez tereny MacDonnellów. Sabrina kurczowo trzymała śpiącego Pugsleya, jak talizman przeciwko gęstniejącemu mrokowi i kamiennej ciszy.

Lodowe języki mgły sączyły się z leśnego runa, jak wijące się węże próbujące wślizgnąć się na jej kostki. Nerwowo rzuciła okiem w stronę Angusa, ciesząc się, że jada pod wiatr. Pomimo swojej drobnej postury, kiedyś wydawał się dość postawnym człowiekiem. Jego owinięte w pled ciało wyglądało teraz na niewielkie i wyschnięte. Sabrina zobaczyła wychudłą, zakapturzoną sylwetkę, która prowadziła jego konia. Rozpoznała w niej służącego, który obsługiwał Angusa podczas tamtego feralnego bankietu.

Zauważywszy jej ciekawość, służący obrócił się w siodle, przezywając ją spojrzeniem pełnym wrogości, którą dało się wyczuć nawet spod ciemnych fałd pledu. Jej wzrok natychmiast przeniósł się na grubokościste ręce Morgana trzymające wodze.

Zdesperowana, by wreszcie przerwać ciszę, zakłócaną jedynie gdakaniem kur i żalonym rykiem krów, Sabrinie wyrwała się pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy:

- Mój ojciec urządziłby mu pogrzeb, gdybyś tylko poprosił.
 - Nie pozwolę, by został pochowany na ziemi Cameronów
- odpowiedział Morgan.
- Wątpię, czy by to zauważył. Tęsknisz za nim? - spytała śmiało, przypominając sobie pełną żalu twarz swojego tatka.

Morgan po raz kolejny wzruszył obojętnie ramionami.

- Gdyby nie dopadli go Cameronowie, wykończyłaby go whisky.

Wiedząc, że była w ogromnej mniejszości, Sabrina przełknęła ślinę i powstrzymała się od obrony swojej rodziny.

- To dlatego nie pijesz alkoholu?

- Po whisky robię się gburowaty.

- No tak, żał byłoby tłumić twoją towarzyską naturę - wyszeptała pod nosem. Gdyby Morgan stał się jeszcze bardziej gburowaty, rozmowę z nim można byłoby porównać do rozmowy ze skałą.

Jeden z MacDonnellów, który siedział na parchatym koniu, zwinięty w kucki uznał ich lakoniczną wymianę zdań za zaproszenie.

- Wyglądasz Morgan trochę blado. Ciężka noc?

- Ale panna policzki ma różowe - wtrącił się następny. - Co ci, chłopaku, dolega? Czyżby ta mała diablica wysssała z ciebie całą krew?

- Z takimi usteczkami to idę w zakład, że nie krew... Spojrzenie Morgana było tak zatrważające, że mężczyzna urwał

w połowie zdania. On i jego kompan, wciąż coś szepcząc, odciągnęli konie z dala od swojego wodza, lecz Sabrina wyraźnie słyszała ich słowa.

- To pewnie zemsta za śmierć Angusa, ale moim zdaniem chłopak jest cholernym głupcem. Już prędzej przeleciałbym starą, kulawą Ewę!

Sabrina pominęła ich słowa milczeniem. Ale ktoś nie zechciał puścić tych słów obojętnie. Cień przefrunął obok niej prosto w stronę zgryźliwego żartownisia. Rozległ się morderczy ryk. Pookah stanął na tylnych nogach, lecz Morgan wciąż go kontrolował i pod naciskiem ud koń zatrzymał się, choć wciąż nerwowo stapał w miejscu. Sabrina zobaczyła jak służący prowadzący dotąd konia nieżywego Angusa staje okrakiem nad nieszczęsnym po-bratymcą. Niski, zjadliwy głos przeszył jej kręgosłup dreszczem.

- A czy stara, kulawa Ewa przeleci twoją młodą tchawicę? Jego świdrujące oczy skrzyżowały się na widok rdzawego sztyletu przyciśniętego do jego gardła.

- Wolalbym nie, jeśli pozwolisz.

Ostrze przekreśliło się; strużka krwi popłynęła przez nabrzmiałe jabłko Adama.

- A może idź pieprzyć się sam. Jego głos załamał się.

- Jeśli chcesz...

Postać podniosła się, odrzuciła kaptur i strząsnęła prosty srebrny warkocz za siebie. Sabrina wzdrygnęła się wpatrzona w parę szarzielonych oczu. Kobięcych oczu. Jeszcze bardziej szokująca była płonąca, zatruwająca ich głębię nienawiść. Fergus został ośmieszony za swoją złośliwość w stosunku do Sabriny. Kobieta wsunęła sztylet do pochwy i wskoczyła znów na konia, a jej niezdarny chód zdradził jej kalectwo.

- Kim ona może być? - wyszeptała Sabrina.

- Moim aniołem stróżem. - W głosie Morgana słychać było kpiarską nutkę dumy. - Ewa była służącą mojego ojca. Towarzyszyła mu, odkąd pamiętam. MacDonnellowie nie znoszą okazywania żadnych słabości. Nie tolerują kalek. Kiedy Ewa była jeszcze tylko młodą dziewczyną, klan zagłosował, by się jej pozbyć. Kiedy chcieli ją ukamienować, mój ojciec wstawił się za nią. Jest oszalała z żalu po jego śmierci.

Sabrina przełknęła ślinę.

- Na to wygląda.

Gdyby była bardziej oszalała, Fergus dławiłby się właśnie swoją krwią, a nie zakłopotany stawał na własne nogi.

Sabrina nie mogła powstrzymać się od obserwowania, jak Ewa ciężko wdrapuje się na konia. Była inna niż jakakolwiek kobieta, którą znała Sabrina. Do tyłu jej siodła przypięte były dudy, które przypomniały Sabrinie lamenty i pieśni, jakie towarzyszyły Morganowi w jego ostatnią noc w lochu. Może twarda jak kamień skorupa Ewy tylko zasłaniała i chroniła jej prawdziwie kobiece serce.

Zauważywszy pełne zdumienia spojrzenie Sabriny, Ewa splunęła na ziemię, po czym przetała usta ręką w geście absolutnej pogardy. Pocwałowała. Wraz ze swoim makabrycznym koniem po chwili zniknęli za zakrętem, oddalając się znacznie od grupy. Sabrinie posmutniała. Jeszcze jeden MacDonnell obwiniał ją o śmieć ich wodza.

Zacząła się zastanawiać czy dożyje jutra. Tej nocy, jeśli będzie krzyczała, nikt nie zwróci na to uwagi.

Nikt prócz Enid. Morgan szturchnął Chochlika i ruszył. Ostry chichot przypomniał jej, że Enid szło dużo lepiej niż jej. Jej kuzynka siedziała na rozklekotanej ławce furmanki obok Ranalda. Każdy kamień na wyboistym szlaku sprawiał, że stykali się z Ranaldem ramionami, co wywoływało w Enid napady śmiechu. Białe policzki Enid rumieniły się uroczo, gdy dziarski góral wrzucał słodkie przysmaki z kuchni Cameronów wprost do jej ust.

Sabrina spostrzegła, że Pugsley obudził się i zaczął podgryzać rękę Morgana.

- Niedobry piesek - zganiła go, wyciągając palec Morgana z jego pyska.

- Zostaw go. - Morgan pogłaskał luźne fałdki skóry pod psim podbródkiem. - Zwierzęta są lepszymi towarzyszami niż większość ludzi.

Odwróciła oczy w stronę Fergusy, wyjącego w rytm góralskiej przyśpiewki, który usiłował właśnie poprawić ubranie bez schodzenia z konia.

- Mając na uwadze twoje obecne towarzystwo... - Zamilkła, zdając sobie z zażenowaniem sprawę, że zachowuje się świętoszkowato jak jej matka.

Ich podróż posepnymi górskimi zboczami wydłużyła się, gdy niebo pokryła przemoczona, szara ściana deszczu, która stała się dopełnieniem złego nastroju Sabriny. Wiatr ciskał zimne igły deszczu w jej twarz. Deszcz nie tracił czasu na powolne przesiąkanie przez jej cienką pelerynę. Trzęsąc się, wtuliła się w Morgana, ciesząc się z ciepłego miejsca między jego udami.

- Oprzyj się! - burknął.

Sabrina zadrżała na samą myśl o tym, że została przyłapana na chwili bez troski i braku czujności. Lecz Morgan jej nie zganił. Odwinął z ramion swój obszerny pled i przykrył nim ich głowy, osłaniając ich w ten sposób od deszczu. Pugsley zasapał z zadowoleniem. Morgan przygarnął ją. Sabrina wtuliła się w jego nagą klatkę piersiową. Nie mając ochoty stawiać oporu, przyłgnęła policzkiem do jego ciepłej skóry. Zarówno piersi jej ojca, jak i jej

braci były pokryte włosami. Lecz klatka Morgana była gładka, a satynowa skóra naprężona była niczym granit. Koń kołysał ich ciałami, a Sabrina mimowolnie uległa rytmicznej kołysance bijącego serca Morgana.

Obudziła się kilka godzin później. Wciąż otaczały ją silne ramiona jej męża. Nie jechali już konno, niósł ją. Poruszyła ręką w powietrzu, szukając Pugsley a.

- Pugsley? - zamruczała, nie otwierając oczu. Ogarnął ją strach czy nie upuściła go gdzieś po drodze. W jej uszach zadudnił głos Morgana.

- Wszystko z nim w porządku. Jeden z moich ludzi poszedł poszukać małemu nicponiowi czegoś do zjedzenia. Zmarszczyła filuternie czoło i wymamrotała coś pod nosem.

- Nie dziewczyno. Nie pozwolę mu zjeść twojego psa. My MacDonnellowie jemy tylko ludzi.

- Co za ulga - powiedziała, moszcząc się na jego ramieniu jak zaspane prosię. Morgan wiedział, że gdyby tylko mogła zobaczyć głodny wyraz jego twarzy, głupiotki uśmiezek od razu zniknąłby z jej twarzy. Przycisnął ją mocniej do siebie, delektując się jej drobnym ciałkiem. Zwolnił, wiedząc, że im szybciej dotrą do miejsca spoczynku, tym prędzej będzie musiał zrzec się jej zaufania. Lecz gdy przechodził w cieniu sklepionego przejścia, Sabrina zatrzepotała rzęsami. Morgan zebrał siły i czekał, aż Sabrina podniesie swój wymuskany, zadarty nosek i spojrzy na jego dom. Sennym wzrokiem spojrzała do góry. I wyżej. I jeszcze wyżej. Wreszcie jej oczy zatrzymały się na popadających w ruinę szanćcach Zamku MacDonnellów. Na jej twarzy pojawił się eteryczny uśmiech.

- Jejku - westchnęła. - Wspaniały.

- Nie drwij ze mnie - warknął. - Może i jestem niewykształcony, ale na pewno, nie głupi.

Spojrzała na niego jak na krytykującego ją ogra, po czym odwróciła głowę z powrotem w stronę zaniku.

- Może i niegłupi, ale z pewnością ślepy.

Morgan nigdy nie pomyślałby, że będzie zazdrosny o kawał

kamienia, ale był. Wiedział już, co by się z nim stało, gdyby to na niego spojrziała tak pożądliwie. I co stałoby się z nią. Spojrzał na złowrogą bryłę zamku, chcąc koniecznie dojrzeć, co takiego w jego wyglądzie rozpałiło te gwiazdy w szafirze jej oczu.

Zapadła ciemność, a deszcz stopił się z delikatną mgłą, rozmazującą szorstkie i ostre krawędzie sylwetki zamku.

Morgan stwierdził, że czujność Sabriny musiała być osłabiona przez mgłę i wyczerpanie, tak samo, jak osłabiona była przez nieznanego, w komnacie na poddaszu w domu Cameronów. W świetle dnia zobaczy bluszcz przedzierający się przez kruszejącą zaprawę w ścianach, zawalające się sufity, dziury po kulach armatnich jej przodków Cameronów. W świetle dnia zobaczy to, co on widział zawsze - zniszczona ruina zatruta przez stulecia wojen i zaniedbania. Wtedy będzie śmiała się ze swojej romantycznej głupoty i zda sobie sprawę, że zamek, tak jak jego pan, ma zbyt wiele szczelin i rys, by doczekać zbawienia.

Sabrina objęła ręką jego kark, przesuwając leniwie palcami w jego włosach.

- Ale jestem śpiąca. Zaniesiesz mnie do łóżka, Morgan? Spojrzał na nią i po raz kolejny przeklął Dougala Camerona za

to, że sprawił, iż pragnąc własnej żony, czuł się teraz jak pazerny złodziej. Jego twarz nabrała wyrachowanego wyrazu; Angus byłby z niego dumny. Czy naprawdę byłoby możliwe zanieśenie jej do jego łóżka, rozebranie i położenie pod sobą, nim zda sobie sprawę z konsekwencji swojej niewinnej prośby? Przysięgała, że nigdy nie da mu ani chwili przyjemności, ale gdyby jej czujność znów osłabła, tak jak stało się to rano, mógłby zręcznie czułością, a nie siłą nakłonić ją do złamania tej przysięgi.

Przypomniał mu się fry wolny rehot jego ojca. Krew MacDonnellów wyjdzie na wierzch, synu. Nie możesz z nią wiecznie walczyć. Z pewnością on i jego panna młoda zasługiwali na wspólną noc, lecz nie jak MacDonnell i Cameron, lecz jako mężczyzna i kobieta, poszukujący przyjemności w ciemnościach.

- Dobrze, dziewczyno - wyszeptał Morgan. - Zaniosę cię do łóżka, jeśli tego właśnie pragniesz.

- Dziękuję - wymamrotała półgębkiem, opierając policzek na jego piersiach.

- Podziękowania zachowaj do rana - odpowiedział, dotykając ustami jej czoła. - Wtedy będziemy już pewnie wiedzieli czy zasługuję na podziękowania.

* * *

Morgan przemierzał ciemne korytarze zamku MacDonnellów, trzymając swoją pannę młodą na rękach. Biegłby, ale nie chciał obudzić w Sabrinie czujności i rozsądku. Mimo atramentowoczarnej ciemności nie zwalniał kroku. Dokładnie wiedział, kiedy uchylić się przed roztrzaskanym nadprożem, kiedy zrobić duży krok nad stertą kamieni, podczas gdy inny mężczyzna dawno już by się potknął i przewrócił.

Teraz gdy zobowiązał się iść dalej tą podłą ścieżką, poddał się jej torowi i chciał wydobyć jak najwięcej przyjemności ze swojej własnej zagłady. Pragnął Sabriny już wtedy, gdy nie był wystarczająco dojrzały, by wiedzieć, czym jest pragnienie. Dziś w nocy miał zamiar ją osiąść. Bez liczenia kosztów ani jego, ani jej.

Zawahał się na chwilę przed zamknięciem drzwi do swojej komnaty. Jutro na pewno będzie czas, by się ukorzyć, by uroczo błagać o wybaczenie i by uświadomić jej, że przysięgi złożone przez nich przed pastorem miały dużo większą wartość i były bardziej wiążące niż gniewne słowa wypowiedziane w sądzie jej ojca.

Przenosząc ciężar ciała Sabriny do jednej ręki, Morgan przekreślił zardzewiałą gałkę. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Dymiący w ogniu torf trzasnął w palenisku, a Morgan pobłogosławił w myślach intuicję Ewy. Nie zapomniała o nim nawet w swym żalu.

Zamknął ostrożnie drzwi. Odwróciwszy się w stronę łoża, wśród pościeli zobaczył jasną, potarganą głowę.

- Morgan kochanie, myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz!

Gdyby tylko wiedział, nigdy by nie przyszedł. Spojrzał z rozpaczą na zaskoczoną Sabrinę. Jej oczy były jasne i nieufne jak oczy małej sówki.

Rozdział 10

Sabrina rozbudziła się, słysząc rozkochaną melodię imienia Morgana w ustach innej kobiety. Rozzochrana istota w łóżku jej męża nie siła się nawet na fałszywą skromność. Nie zadała sobie nawet trudu, by zasłonić kołdrą swoje nagie piersi. Poczula, jakby do jej żył napłynął krochmal. Zesztywniała i wyślizgnęła się z objęć Morgana jak drewniana deska.

Jego szczeka ułożyła się tak, jakby chciał coś powiedzieć, lecz Morgan był przede wszystkim człowiekiem czynu. Długimi krokami pomaszerował do łóżka, owinał intruza w kołdrę i bez słowa poprowadził do drzwi. Mijając Sabrinę, posągowa blondynka spytała:

- A co to za jedna do cholery?

Zmęczona i przemoczona Sabrina starała się nie ugiąć pod jej wrogością. Morgan wypchnął ją na korytarz.

- Moja żoną - odpowiedział spokojnie, zamykając drzwi tuż przed jej osłupioną twarzą.

Nie odwracając się, oparł się o drzwi. Jedno kolano wsparte było na drzwiach, a czoło spoczywało w rozłożonych dłoniach. Cisza trzasnęła między nimi głośniejsz niż niespokojny ogień.

Sabrina zaczęła lekko klaskać w dłonie.

- Nieźle to rozegrałeś. Brian podziwiałby z pewnością twoją technikę. Wyrzuciłeś ją za drzwi, jakby jej obecność nie zostawiła po sobie niczego prócz ciepłego łóżka.

- Bo tak jest.

- Nie jesteś jej winien żadnego wytłumaczenia?

- Już wytłumaczyłem. - Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy, krzyżując ramiona w sposób, który mógł oznaczać zarówno ostrzeżenie, jak i wyzwanie.

- Mam ją zawołać? Jestem odrobinę zmęczony. Dzień jeszcze nie nastał, a już nie mogę nad wami zapanować.

Sabrina zignorowała wzburzenie narastające na jego twarzy.

Morgan był zdeterminowany, by przypomnieć jej, za jakiego mężczyzną wyszła za mąż.

- Zauważyłam ogromne podobieństwo rodzinne. Kim ona jest? Twoją lubą? Kuzynką?

Sabrina zamilkła przed ostatnim uderzeniem.

- Siostrą?

- Alwyn jest kuzynką Ranalda.

- Ale myślałam, że Randal jest twoim kuzynem.

Podczas gdy zmieszany Morgan marszczył czoło, Sabrina przycisnęła palce do skroni.

- Och nieważne. Jestem zbyt zmęczona, by zajmować się teraz rozplątywaniem zawiłych więzów drzewa rodziny MacDonnel-lów. Sądzę, że jesteś szczęśliwy, wiedząc kim była twoja matka.

Gdy otworzyła oczy, Morgan zbliżał się do niej sztywnym krokiem. Pchnął ją w kierunku paleniska, strzelając każdym słowem jak nabojem.

- Słuchaj dziewczyno. Nie spałem od trzydziestu sześciu godzin i zmęczenie zaczyna oddziaływać na moje sądy. Więc jeśli nie masz zamiaru rozbudowywać mojego drzewa genealogicznego tu i teraz, to nie mam chęci z tobą o tym rozmawiać.

Sposób, w jaki Morgana się zachowywał, emanował większą ilością ciepła niż ponury ogień. Gdy Sabrina odchyliła głowę, by napotkać jego wzrok, wszystkie lęki, o których zdążyła już zapomnieć, wtulając się w jego ramiona, powróciły z wielką siłą. MacDonnellowie byli znani z trzech cech - swojego okrucieństwa, nienasyconego cielesnego apetytu i nienawiści do Cameronów. Sabrina obawiała się, że zaraz doświadczy tego wszystkiego na swojej skórze z bezlitosnych rąk tego niezadowolonego giganta.

Uniósł ramiona do góry, rzucając cień na jej twarz. Skurczyła się, przylegając do rozgrzanych kamieni i walcząc, by powstrzymać drzenie. W całym jej życiu nikt nigdy nie odważył się jej uderzyć. Nawet gdy na to zasługiwała. Jednakże uprzedzona wcześniej, że MacDonnellowie gardzą jakimikolwiek oznakami słabości, zacisnęła powieki i modliła się, by nie płakać, gdy spadnie na nią jego ciężka ręka.

Kawałek torfu zasyczał w ogniu. Ciepłe palce szukały jej poli-

czków, zsuwając kaptur i uwalniając pukle jej włosów. Otworzywszy oczy, Sabrina ujrzała wpatrującego się w nią Morgana. Jego wzrok był zamglony, jak gdyby uderzyła go z jakaś nadludzka siłą. - Dobrze cię nauczyłem, co?

Sabrina nie mogła wyczuć czy cierpka nuta pogardy w jego głosie była skierowana do niej, czy do niego. Pochyliła głowę zawstydzona tym, że tak szybko udało mu się rozszyfrować jej lęk. Odwrócił się od niej, a jego kroki były ciężkie od znużenia.

Zdusiła w sobie drżenie. Bez niego, ogień był tylko marną tarczą, strzegącą ją przed przygnębieniem i chłodem, z którymi walczyła cały dzień.

Morgan, jak gdyby nieświadomy jej obecności, wyjął szydło ze swojego pledu i zaczął skrupulatnie rozplątywać fałdy i draperie. Sabrina była pochłonięta jego nieskrępowanym zachowaniem. Strząsnął pled z ramion. Blask ognia lizał jego twarde ścięgna i mięśnie klatki piersiowej. Gorące języki ognia tańczyły na plecach Sabriny i przepędzały chłód. Gdy jego szkocki strój rozłożył się na napiętym brzuchu, Sabrina wstrzymała oddech, czekając na odkrycie skarbów jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek. Lecz kiedy strój opadł luźno pod jego stopy, Sabrina zobaczyła nawet więcej, niż pragnęła. Dużo więcej.

Kiedy nagi Morgan wchodził do łóżka, Sabrina patrzyła w ścianę. Patrzyła z takim wysiłkiem, że obraz zamazał jej się na chwilę przed oczami. Łóżko zaskrzypiało pod naporem jego ciała. Jego zadowolony pomruk przyprawił ją o dreszcze, a włosy na jej karku zjeżyły się.

- Nie przyjedziesz do łóżka?

- Nie - powiedziała pośpiesznie, starając się szybko znaleźć jakąś wymówkę, by nie rzucić się na jego wspaniałe męskie ciało. - Nie będę tam spała. Nie w tej samej pościeli co ta... ta twoja... kobieta.

- Rób, jak uważasz - burknął.

Rzuciła na niego okiem przez ramię. Morgan odwrócił się od niej, zarzucając na siebie kołdrę, jakby w ogóle go nie interesowało gdzie będzie spała. Stała tam przez dłuższy czas mając nadzieję, że Morgan zechce skomentować jej urażone pociąganie nosem. Gdy zaczęły boleć ją kolana, zdjęła z siebie pelerynę i ułożyła ją na

kamiennej podłodze, formując kaptur na kształt poduszki. Leżąc na plecach, obserwowała nieznajome, wijące się na suficie cienie i zastanawiała się czy to może skrobiaący drzwi szczur.

- Nie musisz mieć oporów. Nie tknę cię, Sabrina Cameron.

- Sabrina MacDonnell - wyszeptała w ciemności, lecz Morgan odpowiedział jej jedynie cichym chrapaniem.

Następnego ranka obudziło Sabrinę blade światło słoneczne i bzyczenie pszczół za oknem. Setek pszczół. Tysięcy pszczół. Wszystkie żądne delikatnego mięsa jej ciała. Szarpnęła palcami za kołdrę o supełkowej fakturze. Jej uszu dobiegł odgłos nosowego zawodzenia. Nie pszczoły. Dudy.

Pomyślała, że nic się nie zmieniło. Leżała wygodnie usadowiona w łóżku i czekała, aż przyjdzie jej matka i przyniesie poranną gorącą czekoladę. Morgan spoczywał gdzieś pod jej sypialnią, a jego życie spoczywało w rękach jej ojca. Otworzyła oczy. Nie zobaczyła nad sobą swojego eleganckiego baldachimu. Wisiały nad nią mroczne wnęki kamiennego sufitu, przypominając jej, że teraz to ona jest skazana na łaskę Morgana.

Usiadła na łóżku. Jej peleryna leżała zdeptana na zakurzonej podłodze. Morgan musiał widocznie zanieść ją do łóżka, nim nastał świt. Pugsley wbiegł truchtem do pokoju i wskoczył na łóżko, zostawiając za sobą małe ślady błota.

- Wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie — wykrzyknęła, gdy złożył swoją ofiarę na jej kolana. Przyłożyła brudny walec do światła. To była kość. Kość, która wyglądała podejrzanie i aż nadto ludzko.

- Pewnie należy do byłej żony Morgana - burknęła pod nosem. Zostawiając Pugsleya, by napawał się swoją zdobyczą, zsunęła

się z wysokiego łóżka. Syknęła z bólu, gdy jej napięte palce uderzyły o podłogę. Nigdy wcześniej nie spała w butach. Najbliższe okno stanowiła wypaczona szyba umocowana w kamiennej dziurze. Gdy odsłaniała kotary, zgniły jedwab rozdarł się z jej dłoniach.

W dali, gdzie las lekko się rozchodził, zobaczyła trawiasty pagórek, gdzie zebrali się MacDonnellowie, by pożegnać swojego wodza. Gdy ciało Angususa spuszczone było do wąskiego kopca,

Sabrina pośród tłumu, w samym środku, zobaczyła jego syna. Ramiona Morgana były sztywne i nieugięte nawet w żalu. Ostatni słodko-gorzki piskliwy dźwięk dud ulotnił się razem z wiatrem. Sabrina zadrżała, słysząc ten melancholijny dźwięk. Może i Ewa była szorstka i nieokrzesała, ale potrafiła wydobyć z dud dźwięk z taką zręcznością, że pozazdrościliby jej wszyscy najwięksi mistrzowie od Londynu do Edynburga.

MacDonnellowie powoli się rozchodzili, zostawiając Morgana samego nad grobem ojca. Nie podążył za nimi, lecz dosiadł Pookah i zniknął w gęstym mroku lasu.

Serce Sabriny rozrywały żal i współczucie. Powinna być przy nim. Lecz on jej nie potrzebował. Dość wyraźnie i boleśnie zarazem dał jej do zrozumienia, że kobieta jest mu potrzebna tylko w jednym celu. Otworzyła okno po drugiej stronie komnaty. Wiatr smagał jej piersi, do oczu napłynęły łzy, a włosy zasłaniające jej twarz rozwiały się do tyłu, odsłaniając przed nią majestatyczny widok. Ośnieżone szczyty gór ozdabiały zachmurzony krajobraz jak wysadzana perłami korona. Wąska droga wiła się serpentyną po zboczu góry. Sabriną wstrząsnął dreszcz. Cieszyła się, że przespała podróż brykającego, nerwowego konia Morgana tą wąską wstążką kamieni i brudu.

Przywarła do kamieni w bezimiennej tęsknocie, odpowiadając na niewykorzystaną dzikość, w rytmie której biło jej serce. Morgan pewnie uważał łagodne wzgórza i odgródzone skałami pastwiska Cameronów za potwornie nudne i banalne. Wyobrażała sobie, jak dorastał otoczony nieprzebytymi lasami i niezmiernymi urwiskami. Nie dziwne, że jego serce było równie nieprzystępne.

Westchnąwszy, odwróciła się do łóżka. Jego przytulne zaproszenie zakłócał jaskrawy w jej głowie obraz Morgana wtulonego w opalone ramiona Alwyn.

Podsycana własnym oburzeniem Sabrina wyjęła zatechłą kołdrę z poszwy i wyrzuciła przez okno. Kłębiąc się, wpadła do wilgotnej, porośniętej paprociami fosy. Z całym impetem wyrzuciła też kość i w ostatniej chwili przytrzymała Pugsleya, który gotowy był się za nią rzucić.

- O nie, nie! Twój pyszczek jest mi dziś najbardziej życzliwym.

Polizał jej nos swoim różowym języczkiem. Zauważyła, że ktoś już zdążył oderwać szlachetne kamienie z jego obroży. Jej kufry czekał pewnie ten sam los - drobiazgowe przeszukanie przez kobiety z klanu Morgana. Wzdrygnęła się na myśl o Alwyn próbującej wcisnąć się w jeden z jej delikatnych gorsetów. Tuż potem ciałem Sabriny znów wstrząsnął dreszcz, tym razem podyktowany przerażeniem i poczuciem winy.

Enid! Dobry Boże! Jak mogła zostawić swoją kuzynkę na pastwę tych pełnych wigoru barbarzyńców! Biedaczka na pewno ukrywa się gdzieś, skulona pod jednym z łóżek modląc się o wybawienie. Albo śmierć.

Nie zważając na swoje zmięte ubranie, Sabrina wypuściła Pugsleya z rąk na łóżko i wybiegła z pokoju ile sił w nogach. Wpadając z impetem w ślepy zakręt, trzasnęła palcami u stóp o stertę gruzu. Skacząc w górę i w dół masowała pulsujące z bólu stopy, po czym znów popędziła, nie chcąc trwonić cennych sekund, gdy cnota jej kuzynki wisi na włosku. Zastanawiała ją nieregularnie umieszczone wzdłuż korytarza okna, lecz zdała sobie sprawę, że te otwory nie były oknami, lecz dziurami po kulach armatnich. Po dwukrotnym minięciu komnaty Morgana odetchnęła z ulgą na widok klatki schodowej prowadzącej do samego środka zamku. Pobiegła schodami w dół, mijając na swej drodze piękną kobietę owiniętą szkockim muślinem w grochy.

- Dzień dobry kochanie. Zrób coś lepiej z tymi włosami. Ciocia Elizabeth dostałaby zawału, gdyby zobaczyła, że poszłaś spać, nie uplatając ich wcześniej w warkocz. Sabrina zachwiała się na krawędzi rozpadającego się schodka i obróciła się na pięcie.

- Enid?

Kuzynka stapała uważnie między zwalonymi krokwiemi. Na jej równo obciętych puklach miękko spoczywała biała, koronkowa czapeczka.

- Enid! A ty dokąd? - krzyknęła Sabrina.

Sabrina zobaczyła w jej dłoniach słomkowy koszyk wypełniony jedzeniem, które matka zapakowała im na podróż.

- Ranałd i ja jemy dziś na zewnątrz. Obiecał pokazać mi widoki, jakich w życiu jeszcze nie widziałam.

- Tak, na pewno. Myślisz, że to rozsądne samotnie się z nim oddalać? Znasz go mniej niż jeden dzień.

- Phi! Randal jest jak mały, milutki niedźwiadek. Nie skrzywdziłby nawet muchy!

- Ale miałam nadzieję, że może we dwie... Z góry schodów dobiegł zachęcający głos.

- Enid? Gdzie moja słodka, puszysta dyńka? Twój włochaty miś czeka tu na ciebie głodny!

Sabrina położyła rękę na burczącym brzuchu, ciesząc się, że nic jeszcze nie jadła.

- Idę kochanie! - zawołała Enid. Patrząc na zarumienione policzki i błyszczące oczy Sabrina stwierdziła, że jej kuzynka była prawie ładna.

- Znajdę cię, jak tylko wrócę - obiecała Sabrinie. - Opowiem ci wszystko o Randalzie, a ty mi wszystko o Morganie.

To nie zajmie wiele czasu, pomyślała ponuro Sabrina. Usiadła na schodach i patrzyła jak jej kuzynka chwieje się na swoich wąskich obcasach. Dopadło ją poczucie osamotnienia. Nawet Enid już jej nie potrzebowała.

Jej żołądek zaczął burczeć z głodu. Pomyślała, że siedzenie na zimnych i brudnych schodach nie przyniesie jej nic dobrego, więc wstała i zaczęła szukać kuchni. Przeszła opustoszały hall i przycisnęła dłoń do pierwszych napotkanych drzwi. Kiedy otworzyły się gwałtownie, zaatakował ją wybuch ostrego, męskiego śmiechu.

- Założę się, że szybko znudzi mu się ta dziwka Cameronów. Takiemu mężczyźnie jak Morgan na długo nie wystarczy to, co ta mała ma między tymi słabowitymi udami.

Sabrina poczuła na plecach złowrogie ciarki. Zachrypnięty głos mówił dalej.

- A kiedy zmęczy go jej miauczenie, podrzuci nam ochłapy. Ja na pewno będę czekał w gotowości - dodał zachrypnięty głos.

- Ty to się Fergus gotowy urodziłeś. Skąd wiesz, że w ogóle coś z dziewczyny zostanie, jak on z nią skończy?

- Cedric prawdę rzecze. Wiesz, co mówią o nim kobiety? Ogier i...
Sabrina delikatnie zamknęła drzwi, zanim dowiedziała się, co kochanki jej męża sądzą o jego zdolnościach. Podskoczyła, gdy

kolejna salwa śmiechu zatrzęsała drzwiami niczym piorun uderzający w jej czaszkę. Pomimo szczerych, pełnych optymizmu chęci, len dzień skazany był na porażkę. Prostując kręgosłup, odeszła od drzwi, nie chcąc zmierzyć się z uporczywym strachem, że Morgan naprawdę nienawidził jej tak bardzo, by ją wykorzystać a potem rzucić na pożarcie tej zgrai wściekłych wilków.

Łukowaty korytarz prowadził ją przez spiżarnię aż do słabo oświetlonej jaskini, która musiała służyć tu za kuchnię. Mleczne promienie słońca wdzierały się do pomieszczenia przez szparki w ścianie. Sabrina zawahała się w ciemnościach. Jej ręce zaciśnięte były jeszcze bardziej niż jej żołądek. W mroku dostrzegła uwieszone na stołach i ławkach kobiety, każda z nich niechlujnie ubrana.

Nie było tam żadnej krzątaniny tak jak w kuchni u Cameronów, żadnych apetycznych zapachów smażącej się wieprzowiny czy bulgoczącej na ogniu owsianki. Podwójne palenisko wyglądało jak bezzębne, rozdziawione usta, a jego popiół był ciemny i zimny.

Nie było tam Ewy, lecz Sabrina nie miała problemu z rozpoznaniem kobiety, którą zeszłej nocy Morgan wyrzucił z ich sypialni. Alwyn siedziała okrakiem na poharatanej ławce, jakby to był kozi samiec. Kołtuny jej złotych włosów zwieszały się po plecach i pośladkach.

- Widziałam już tę małą sukę - Alwyn wgryzła się w wyschnięte zielone jabłko. - Wyniosła. Brzydka. Błada jak mleko. I do tego te ciemne brwi wyglądające jak ślimaki bez skorup.

Sabrina odruchowo dotknęła brwi opuszkami palców.

- Żal mi Morgana. Sam całą noc z tym żalnym workiem kości. Jakaś stara kobieta zarechotała, odsłaniając tym samym swoje gnijące zęby.

- Może położył jej poduszkę na gębę! Pewnie suka Cameronów jest przy zgaszonej świecy jak każda inna.

Jakaś inna kobieta zachichotała. Alwyn jeszcze raz wgryzła się w jabłko. Jej szare oczy zwęziły się.

- Ja też bym chętnie poduszkę jej do gęby przyłożyła. Byłby jeden Cameron mniej na świecie!

Złoty sok spływał po jej policzku. Żołądek zdradził Sabrinę. Jego burczenie przyciągnęło wzrok Alwyn jak magnes. Jej nadąsa-

ne usta zwięzły się w złowrogim uśmiešku. Lecz zamiast wskazać Sabrinę swoim towarzyszkom, zgięła swoją długą, zgrabną nogę odsłaniając groźnie wyglądający sztylet, ukryty pod suknią. Sabrina stała sparaliżowana jej gardłowym głosem pełnym jadu.

- Dziwka Cameronów może i jest damą, ale mój Morgan potrzebuje kobiety, która będzie potrafiła odwzajemnić to, co sama dostaje. Dama nie poradzi sobie z takim mężczyzną jak on - spojrzała Sabine prosto w oczy. - Rozedrze ją na strzępy.

Sabrina cofnęła się w cień spiżarni. Zaczynała teraz rozumieć, czemu matka zawsze przestrzegała ją przed podsłuchiwaniami. W zamku MacDonnellów wiązało się to bardziej z przetrwaniem niż dobrymi manierami.

Obróciwszy się, ślepo rzuciła się w dół najbliższego korytarza, po omacku dotykając szorstkich kamieni. Głód okazał się być niczym w porównaniu do tępego bólu brzucha. Zdawało jej się, że droga przez puste katakumby trwała wieki. Wreszcie przeszła pod żłobkowanym łukiem i skręciła do korytarza, na końcu którego znajdowała się wielka, kamienna ściana. Ślepy zaułek. Przejście donikąd. Tam, gdzie zawsze doprowadzały ją uczucia do Morgana.

Jednakże migotanie na odległym końcu korytarza wyznaczyło jej drogę. Wiatr szumiał w roztrzaskanym otworach okien, poruszając gnijącymi gobelinami, które wyglądały, jakby poszarpały je gigantyczne pazury.

Sabrina stanęła twarzą w twarz ze swoim własnym odbiciem w ogromnym lustrze oprawionym w zmatowiałą ramę. Postrzępiona rysa ciągnęła się od czubka głowy aż do gardła. Sabrina była zahipnotyzowana, wpatrującą się w nią nieznajomą stojącą naprzeciw niej w szklanej tafli. Rozpuściła włosy i pozwoliła im spokojnie opaść i utworzyć ciemną chmurę wokół jej twarzy. Odkształcone szkło wypaczało jej twarz, tak jak ostatni tydzień wypaczył jej życie. Jakby spadła do jakiegoś koszmarnego królestwa, gdzie wszystko, czego została nauczona, okazywało się być okrutną iluzją.

Przeciągnęła palcami wzdłuż swoich brwi, nosa i drżącej dolnej wargi. Nigdy nie uważała się za próżną. Nigdy nie musiała. Jej uroda, tak jak bogactwo i miłość jej rodziny, były po prostu faktem,

tak niezaprzeczalnym, jak głęboka czerń jej włosów czy perłowa równość jej zębów. Całe życie ludzie mówili jej, że jest ładna. Morgan.

Jej wzrok zmętniał. Jej ciemne włosy i niebieskie oczy przestawiły się na obraz jej ojca, jego zbolącej twarzy, gdy odmówiła ostatniego, pożegnalnego pocałunku. Z jej ust wydobył się szorstki szept:

- Och Tatku! Dlaczego mi to zrobiłeś?

Lecz nawet potępiając go, przyciskała dłoń do lustra, szukając ciepła jego kującej brody. Zamiast tego jednak, napotykała tylko zdradliwy chłód lustra.

Czasem Morgan myślał, że Pookah był jedyną wolnością, jakiej posmakował. Posłuszny mu koń wybierał drogę wśród paproci. Tylko na Pookah Morgan mógł uciec przed żądaniami, łkaniem i donośnym śmiechem swojego klanu.

Gdy miał szesnaście lat, wyrwał ogiera z rąk pijanego syna bogatego właściciela ziemskiego, który katował konia w pijackim zamroczeniu. Czując moc swojej szpicruty na własnej skórze, arogancki młokos był aż nadto chętny, by oddać konia Morganowi. Ocalił swoją dumę, mówiąc potem, że koń został mu skradziony przez jednego ze „złodziejskich MacDonnellów”. Oburzony właściciel ziemski kazał powiesić jakiegoś złapanego MacDonnella za kłusownictwo na swoim terenie. Trafiło na dwunastoletniego chłopaka.

Pookah wciąż miał na sobie blizny po maltretowaniu przez swojego pana. Widać je było zarówno na skórze, jak i w dzikim usposobieniu. Morganowi wydawało się czasem, jakby byli braćmi.

Morgan zszedł z konia, zostawił go, by pożywił się trawa rosnącą na polanie i wszedł do kamiennej chaty zagrodnika. Pokryta strzechą chatka przypominała mu urocze czasy kiedy to MacDonnellowie mieli jeszcze owce i zagrodników do opieki nad nimi. Morgan przychodził tu często, gdy nie był już w stanie znieść pobytu w zamku.

Odchylił krzesło i położył nogi na parapecie. Uśpione na wieki ciało jego ojca spoczywało teraz pod kamiennym kocem. Morgan wiedział, że Angus nigdy nie kochał go, za to, kim jest, lecz za to,

co może zrobić. Stary czerpał złośliwą satysfakcję z prowokowania bójek, w których Morgan mógł pokazać swoją wartość pięściami. To jego wyrachowane gierki sprawiły, że Dougal Cameron nie tolerował ich przez wszystkie te lata. Jak Morgan mógł zaakceptować szacunek, który nie był zdobyty za cenę własnego potu i krwi? A teraz morderca Angusa był wolny, pozostawiając Sabrinę Cameron, by ta zapłaciła cenę za tę zdradę.

Pozwolił, by krzesło uderzyło ziemię. Tak czy inaczej, niech diabli wezmą Cameronów! Nawet teraz, gdy powinien oplakiwać swojego ojca, widział tylko przerażoną twarz Sabriny, kiedy myślała, że za chwilę ją uderzy. Czy ta mała idiotka nie wiedziała, że mógłby zabić ją jednym ciosem ?

Morgan nigdy nie uderzył kobiety, choć niejednokrotnie już ręka go świerzbiła. Dawno już nauczył się, by nie używać swojej siły w lekkomyślny sposób, kiedy miał siedemnaście lat, z krwią ciekącą ze złamanego nosa, stał zdyszany nad skulonymi zwłokami jednego z członków klanu, który był jego przyjacielem. Jego ojciec sprowokował przyjacielską bójkę, po czym szyderstwem sprowokował rywala Morgana do wściekłej gorączki. Morgan, zaniepokojony żądzą krwi płonąca w oczach kolegi, chciał jak najszybciej skończyć walkę, zanim któremuś z nich stanie się krzywda. Jednakże jego cios, zamiast zakończyć bójkę, zakończył życie przyjaciela. Angus ruszył wtedy do niego z gratulacjami. Po raz pierwszy Morgan odepchnął jego rękę i stanął nad nim z zaciśniętymi z wściekłości pięściami. Mignięcie strachu w oczach Angusa spowodowało, że zataczając się poprzez tłum, uciekł, by znaleźć miejsce, w którym mógłby uspokoić wzburzony żołądek i umysł.

Morgan usłyszał za sobą nierówne kroki. Nie odwrócił się. Tylko jedna osoba odważyłaby się zakłócić spokój jego świątyni.

- Przykro ci patrzeć jak odchodzi? - spytał spokojnie.

- Oboje wiemy, że i tak nie dożyłby pierwszego śniegu. Ale irytuje mnie to, że to ostrze Cameronów go pocięło. Mam nadzieję, że każesz za to zapłacić tej ich bezwartościowej dziewczce.

- Dlaczego? To nie jej ręka dzierżyła ostrze.

- Ale mogła równie dobrze być i jej. Znam ten typ. Ona jest jak

trucizna, jak każda inna elegancka dama. Mąci męski umysł łagodną rozmową i słodkimi perfumami.

Morgan odwrócił się i stanął naprzeciw Ewy. Jego oczom ukazała się jej wystająca szczeka.

- Zabiłem już kiedyś kobietę tylko przez to, że się w ogóle urodziłem. I nie mam zamiaru zabijać kolejnej. Mam zarżnąć owce, które dał mi Dougal? I kurczaki? Czy nie mają żadnej innej wartości niż zemsta?

Ich spojrzenia starły się niebezpiecznie, nim Ewa spuściła wzrok. Zawsze łączył ich wzajemny szacunek. Inteligencja łączyła ich bardziej niż więzy krwi, bardziej niż duszące łańcuchy klanu. Już dawno połączył ich pakt, by nie pozwolić zgasnąć ledwo tłącemu się płomieniowi klanu MacDonnellów.

Ewa przerzuciła warkocz przez ramię, odwróciła krzesło i usiadła na nim okrakiem.

- Dobra, chłopie. Jak nie chcesz zabić dziewczyny, to zrób co innego dla spokoju mojego umysłu.

Morgan powtórzył obietnicę, którą złożył Elizabeth Cameron, zdając sobie sprawę z jej wielkiej ironii.

- Wszystko, by zadowolić damę.

- Zapłodnij ją.

Morgan wstał i podszedł do wystygłego paleniska. Położył dłonie na prymitywnie ociosanych kamieniach. Kosztowało go wiele wysiłku, by powstrzymać się właśnie od tego, gdy rano Sabrina leżała na łóżku tylko w swojej pelerynie. Gdyby nie malujące się na jej twarzy wyczerpanie i gdyby nie jej ramię, które ufnie obejmowało jego szyję, żalobnicy musieliby czekać z pochówkiem jego ojca, nim Morgan nie zasieje swojego nasienia w żonie.

W głosie Ewy zabrzmiał pochlebny ton.

- Wiem, żeś się chłopie prowadził dobrze. Wiem, żeś ty jeden jest bez zgrai tych zielonookich bękartów, depczących ci po piętach. A co, jeśli Dougal zmieni zdanie? Co, jeśli powie, żeś mu córkę ukradł i naśle tu na nas żołnierzy?

- Niech przychodzi. Nie pozwolę sobie odebrać tego, co moje. Ewa przykuśtykała i klepnęła go w ramię, przypominając mu tym samym o ojcu.

- Oby tak dalej chłopcze! Przysięgnij, że położysz pieczęć na dziewczynie, nim nie będzie za późno.

Ewa była wysoka jak na kobietę. Wysoka nawet jak na MacDonnella. Morgan poczuł na karku jej gorący oddech. Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Zajmę się tym, kiedy przyjdzie czas. Bez ingerencji twojej czy twoich krewnych - Ewa odsunęła się, by mógł przejść. Całe życie zajęło Angusowi nauczenie jej, kiedy się wycofać.

- Aha, Ewo - dodał. - Bardzo ułatwiłoby mi sprawę, gdybyś trzymała Alwyn z dala od łóża mojej żony.

Ewa zmarszczyła figlarnie nos.

- Chciałam ci tylko chłopcze przypomnieć, co stracisz, sypiając z wrogiem. Mam powiedzieć Alwyn, że to ty będziesz teraz do niej przychodził?

- Nie - długimi krokami podążył w stronę drzwi, nie mając zamiaru się więcej tłumaczyć.

- Morgan, nie zawiedziesz chyba ojca, co? Rzucił jej przez ramię pozbawiony humoru uśmiech.

- Przecież nigdy nie zawiodłem, prawda?

Zagłębiwszy się w lekturę *Wędrówki Pielgrzyma*, Sabrina próbowała zignorować burczący brzuch. Żołądek dudnił jej tak mocno, że przestraszony Pugsley umknął w najbliższy kąt.

Odrzuciła księgę znużona długimi ciepieniami Ufnego i Wiernego, podczas gdy jej cierpienie wydawało się jej być wielce niesprawiedliwe. Czowała się bardziej jak Chrześcijanin w Dolinie Poniżenia zmuszony do walki z diabelskim Apollonem, którego ciało pokryte było błyszczącymi łuskami pychy. Wstała, walcząc z ogarniającą ją falą zamroczenia.

Od swojego ostatniego fatalnego wypadu na terytorium wroga siedziała sama zabarykadowana. Powróciwszy do swej komnaty, znalazła nietknięty stos swoich ubrań.

Resztę dnia spędziła uparcie, poświęcając się czynnościom, które zawsze sprawiały jej przyjemność: czytanie, szycie, pisanie pełnego sztucznej radości i humorystycznych rodzinnych anegdot listu do matki. Zakleiła go, nim zorientowała się, że nie wspo-

mniała w nim słowem o żadnym z mężczyzn, którzy prześladowali jej myśli.

Kąpiel w wodzie różanej i świeże ubranie pomogły Sabrinie oddalić ogarniającą ją melancholię, jednak cienie zmierzchu już zaczynały dosięgać parapetu jej okna. Zły nastrój ogarnął ją wraz z nadejściem ciemności.

Zapaliła sześć drogich świec, zapakowanych przez jej matkę rozpraszając mrok ich ciepłym światłem. Była karygodnie rozrzutna, lecz oszczędność wydawała się mniej ważna niż zapanowanie nad mrocznymi cieniami. W powietrzu unosił się świeży i ostry zapach jałowca, który przypominał jej Morgana.

Przyptyw gniewu wypełnił słodkie i rześkie powietrze gorzkim aromatem. Dla Morgana mogłaby tu nawet przymierać głodem. Przechadzała się nerwowo po pokoju zaskoczona tym, jak bardzo pobudził ją jej własny gniew. Zalał jej żyły, odepchnął niepokój, który zastąpiła kpina i szyderstwo.

Jej głośnym krokiem wtórowały nauki jej matki. Prawdziwej damie nie wolno okazywać gniewu. Prawdziwa dama musi nadstawić drugi policzek. Prawdziwa dama powinna głodować w swojej komnacie, nie przysparzając kłopotu domownikom, a już na pewno nie swojemu mężowi.

Morgan będzie mógł wyryć to na jej nagrobku po złożeniu w nim jej kościstego ciała. Sabrina Cameron MacDonnell - Prawdziwa Dama. Lecz ponieważ Morgan nie umiał pisać, podejrzewała, że zostanie pozbawiona nawet tego skromnego hołdu.

Pugsley przechylił z zaciekawieniem głowę, gdy Sabrina przechodziła obok niego. Mogłaby przysiąc, że widziała głodny blask w jego małych, świdrujących oczach.

- Uspokój się, Pugsley. Już niedługo dostaniesz moje kości do obgryzienia.

Chwyliła w dłoń lusterko leżące na kufrze, który Sabrina przystosowała do roli toaletki. Spodziewała się w nim zobaczyć zapadnięte, wpatrzone w nią oczy osadzone w wychudłej twarzy. Jednakże jej odbicie bardzo różniło się od tego, które powitało ją tego ranka. Jej czoło ozdabiał staranny, upleciony z warkoczy diadem.

Na policzkach widać było jeszcze jasne plamy gniewu. Ciemne linie jej brwi układały się w złowroga linię.

Cisnęła lusterkiem w podłogę. Na Boga! Nazywała się Cameron! Niech diabli ją wezmą, jeśli pozwoli, by ta banda bosych dzikusów trzymała ją pod kluczem w jej własnej komnacie! Najwyższy czas, by MacDonnellowie zdali sobie sprawę, że mają nową panią!

Pędem ruszyła do drzwi i otworzyła je z hukiem... Wysunęła lekko głowę, spoglądając w obie strony i na palcach wyszła na korytarz.

Przemykając chyłkiem w stronę schodów, Sabrina stanęła jak wryta, słysząc nagle ostry i zduszony krzyk. Rozpoznając znajomy ton głosu, zakradła się do najbliższych zamkniętych drzwi. Korytarz wypełniły stłumione odgłosy przepychanki. Przyłgnęła uchem do drzwi. Niski jęk przeszył ciszę. Sabrinę oblał zimny pot. Rozpoznała przeraźliwy lament Enid, taki sam jak wtedy, gdy zobaczyła w kuchni Cameronów pajaka. Ktoś krzywdził jej kuzynkę. Sabrina pchnęła drzwi. Były zaryglowane od środka. Zaczęła walić pięściami w drewno, lecz w tym samym momencie coś w środku zaczęło rytmicznie huczeć, zagłuszając jej rozpaczliwe starania. Rozdzierający krzyk i potworny jęk wzdrygnęły ciałem Sabriny. Dobry Boże, właśnie bili jej kuzynkę! Zabijali ją! To wszystko jej wina! Nie powinna była zostawiać Enid samej w tym gnieździe żmij! Nie obchodziło ich, że była niewinna, że nazywała się Belmont. Patrzyli na nią jak na kolejnego Camerona zasługującego na ich tortury.

Oszalała Sabrina waliła pięściami w drzwi. Łzy tryskały z jej oczu, zupełnie ją oślepiając. Gdy jej gardło zaschło od krzyku, wsadziła palce w usta i ssła własną krew, patrząc na nieustępliwe dębowe drewno.

Morgan. Tylko Morgan mógł jej teraz pomóc.

Uniosła spódnicę i pomknęła w dół schodów, wykrzykując imię męża. Płuca bolały ją od krzyku, jak gdyby miały zaraz wybuchnąć. Przebiegła przez korytarz i wpadła w wilgotną chmurę torfowego dymu i nieumytych mężczyzn. Śmierdzieli zatechłym potem i słodową whisky. Jej pusty żołądek skręcił się. Sabrina

przepychając się między nimi, wołała Morgana. Potknęła się. Jeden z mężczyzn zdążył złapać ją za ramię, chroniąc przed upadkiem. Wbił w nią swój wzrok i ukazał bezzębny uśmiech.

- Och dziewczyno, Morgana tutaj nie ma. Ja ci nie wystarczę? W Sabrinie zagotował się gniew, który wcześniej tak usilnie

próbowała tłumić. Z zadziwiającą siłą wyrwała ramię z jego uścisku. Ignorując śmiechy i gwizdy zdołała przedrzeć się przez ich szeregi. Praktycznie ślinili się na widok rozhisteryzowanej Sabriny. Odetchnęła z ulgą, gdy tylko udało jej się przedostać przez tę chmurę. Jednakże lęk znów ją ogarnął, gdy tylko zdała sobie sprawę, że nie było tam ani śladu Morgana.

Gwizdy i wycie nagle ustąpiły miejsca drwiącej ciszy. Sabrina czuła przeszywający męski wzrok na swoich plecach potęgowany jeszcze drapieżnym rozbawianiem. Ten właśnie moment wybrała Alwyn na odłączenie się od grupy chichoczących kobiet. Wolnym krokiem zbliżyła się do Sabriny i stanęła naprzeciw niej, patrząc jej głęboko w oczy. Jej usta wykrzywiły się w tryumfującym uśmiechu.

- Co jest dziewczyno? Ja nigdy nie miałam problemu z zatrzymaniem Morgana w swoim łóżku.

Sabrina nie zauważyła żelaznych drzwi na końcu hallu otwierających się za jej plecami. Widziała tylko spisek.

Uśmiech Alwyn zniknął, gdy Sabrina zacisnęła pięści i pchnęła ją pod ścianę.

Oczy wszystkich kobiet zwrócone były na Sabrinę Cameron, damę z krwi i kości, która ściągnęła twarz Alwyn ku swojej i wypaliła:

- Mam już dość twoich pyskówek, ty prostacka ladacznico! (idzie do cholery jest mój mąż?)

Ledwie powstrzymujący się od śmiechu, silny, męski głos przerwał nagle pełną zdziwienia ciszę.

- Odwróć się dziewczyno. Jest tuż za tobą.

Rozdział 11

Morgan stał w drzwiach. Jego obecność można było wyczuć w nienaturalnym bezruchu hallu. Jego szkocki pled i włosy spowijał mglisty cień. Na jego ustach malowała się kusząca obietnica uśmiechu. Dla Sabriny był to najbardziej upragniony i oczekiwany widok.

Przez jeden nieuchwytny moment wydawał się jej być tak drogocenny i znajomy jak przystojny i uparty chłopiec, którym niegdyś był. Jej serce wezbrało emocjami.

Pozwoliwszy roztrzęsionej Alwyn zsunąć się po ścianie na podłogę, Sabrina podbiegła do niego i chwyciła jego dużą, ciepłą dłoń. Zaciśnęła rękę na jego palcach tak mocno, jakby nigdy nie miała zamiaru ich puścić. Poczęła cedzić słowa w panicznym pośpiechu.

- Musisz ze mną iść Morgan! Ktoś morduje Enid. Proszę! Pośpiesz się, nim będzie za późno! - na widok zmieszania w jego oczach, porzuciła swą dumę i przyłożyła jego dłoń do swoich ust, zdając sobie sprawę, że upokarza się na oczach zgrai wilków, których nic nie ucieszyłoby bardziej niż zapach i smak jej ki wi. - Morgan! Błagam cię! Powiedz, że jej pomożesz. Zrobię wszystko. Naprawdę wszystko!

Jego rzęsy przysłoniły blask jego lekko zdziwionych oczu. Potarł jej usta palcami, lekko je rozchylając i powiedział łagodnie:

- Powiedziałbym, że to zaproszenie, którego nawet głupiec nie mógłby odrzucić.

Sabrina, wciąż kurczowo trzymając jego rękę, pociągnęła go przez hall i do góry po schodach. Podążała za nimi parada gapiących się na nich członków klanu, żadnych kolejnej rozrywki wieczoru, który zapowiadał się skończyć jedynie na picciu i spółkowaniu. Sabrina zaciągnęła go pod feralne drzwi.

- To tu. Ktoś ją tam więzi. I nie chce otworzyć drzwi.

Morgan nie musiał przykładać ucha do drzwi. Wszyscy stojący w hallu i na schodach mogli bez trudu usłyszeć łomot i wycie dochodzące z komnaty. Do ich uszu dobiegł zdławiony bulgot, jak piłyby ktoś umierał w męczarniach. Ludzie Morgana wymienili skonsternowane spojrzenia. Sabrina załamała ręce.

- Pospiesz się, proszę! Nim będzie za późno!

Na twarzy Morgana pojawiła się nutka niepewności i wahania.

- Czy jesteś tego pewna...?

- Tak! Tak! Jestem pewna! - pociągnęła go mocno za rękę. Otwieraj już!

Morgan potrząsnął z żalem głową.

- Dobra! Odsuń się!

Sabrina oparła się o przeciwległą ścianę. Morgan roztrzaskał drzwi jednym mocnym kopnięciem swojej bosej stopy. Pierwsze śmiechy powinny były ją ostrzec. Rzuciła się naprzód, uchylając się przed ramieniem Morgana, który próbował ją zatrzymać. Rozkołysane łoże nagle się zatrzymało. Lecz to nie Enid leżała wgnieciona w cienki pled, lecz Ranald. Jego oczy były przymknięte w ekstazie. Enid wygodnie siedziała na nim okrakiem, odsłaniając imponującą ilość jasnej skóry, która powoli różowiała pod wpływem zafascynowanych oczy otaczającej ich publiczności. MacDonnellowie nie tracili czasu na litość.

- Kto tu kogo morduje dziewczyno? W pewnym sensie to twoja kuzynka ma tu przewagę!

Szkocki sztylet sunął nagle po podłodze.

- Masz tu mój sztylet Ranald. Ratuj się, zanim będzie za późno. Ejże! Ale czy chłopak nie wygląda naturalnie! Przynajmniej umrze z uśmiechem na ustach!

Po komnacie przeszedł huragan rechoczącego śmiechu. Enid zeskoczyła z Ranalda i okryła kołdrą swoje rozpalone piersi. Jej zawstydzony wzrok spotkał się ze wzrokiem Sabriny. Morgan obserwował, jak z twarzy jego żony schodzi rumieniec, a jego nozdrza rozszerzyły się w gniewie. Pokonał komnatę dwoma długimi krokami. Enid zajęczała cicho, gdy jego wielki cień rzucił się na łóżko. Śmiech zmienił się w ciche i nerwowe rżenie. Pochwycił Ranalda za kark i uniósł nad łożem.

- Miałeś się nią zaopiekować młokosie! Nie mogłeś utrzymać swoich napalonych rąk przy sobie nawet przez jeden dzień?

Ranald uniósł ręce na znak zażenowanej obrony.

- Morgan, mężczyzna nie jest w stanie oprzeć się takiej pokusie. Naprawdę bardzo się starałem.

Z tłumy wystrzelił nagle chytry głos.

- Ej! I widać było całkiem nieźle, jeśli całe to jęczenie było prawdziwe!

Morgan z obrzydzeniem puścił Ranalda.

- Wybacz mi - wyszeptała cichutko Sabrina, lecz jej słowa przedarły się przez salwy głośnego śmiechu prosto do jego serca. Zdumiony wzrok Sabriny przeniósł się ze zbolącej twarzy Enid na Morgana.

- Wybacz mi - powtórzyła i odwróciła się.

Jej krucha powaga i godność zawstydziły tłum, który natychmiast zamilkł. Członkowie klanu rozsuwali się, by mogła przejść. Ręce Morgana zacisnęły się w bezsilne pięści.

Sabrina stała w oknie, a wiatr chłodził jej rozpalone czoło i łagodził wstyd. Nie obchodziło ją to, że zrobiono z niej błazna. Bóg jeden wie, że dla Morgana była tylko błaznem odkąd wylądowała u jego stóp ze spódnicą na głowie. Teraz nie dawała jej spokoju mina Enid, którą ujrzała, gdy ich oczy spotkały się. Współczucie.

Nawet w prostej, płochliwej Enid było więcej kobiety niż w niej samej. Nie była niczym więcej niż wojennym trofeum. Potarła swe ramiona, broniąc się przed bezwzględnym dreszczem.

Morgan stał w drzwiach i obserwował swoją żonę. W otoczeniu surowych kamieni, zanurzona w nieustępliwą ciemność nocy wyglądała na bardzo drobną osóbkę. Powiew wiatru poruszył kosmykami jej upiętych w warkocz włosów. Każda inna kobieta po doświadczeniu takiego upokorzenia padłaby z płaczem na łóżko. Gdyby Sabrina tak zrobiła, może Morgan wiedziałby jak ją pocieszyć. Lecz w tej sytuacji jego ręce wisiały tylko bezużytecznie po jego bokach.

Ku jego ogromnemu zaskoczeniu odezwała się pierwsza. Jego

umiejętność skradania się była przecież prawie tak legendarna, jak li-go rozmiary. Mówiło się, że potrafi poderżnąć wrogowi gardło i być w połowie drogi do zamku MacDonnellów, zanim ciało padnie na ziemię.

.lej głos zaszumiał, muskając jego zmysły niczym aksamitne skrzydła.

- Przykro mi, jeśli wprawiałam cię w zakłopotanie przy twoich ludziach. To nie jest dla mnie dobry dzień. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś mnie nie lubi. Każdy zawsze mnie ubóstwiał - spojrzała na niego przez ramię. - Każdy prócz ciebie.

Sztylet wstydu wbił się w serce Morgana, gdy ujrzał jej cierpki uśmiech, lecz jego twarz pozostała obojętna. Sabrina odwróciła się w ciemność i powiedziała zadumany głosem:

Tak naprawdę nigdy nie musiałam nic robić, by zasłużyć na ich sympatię. Uśmiechałam się tylko i chichotałam, a gdy to nie działało na tych bardziej gwałtownych członkach klanu, wtedy śpiewałam jedną ze zmyślnych rymowanek, których nauczył mnie Hrian albo wślizgiwałam się im na kolana i szarpałam ich brody.

Morgan złożył ręce na piersi.

- Nie polecam wślizgiwania się na kolana komukolwiek z mojego klanu.

- Och, nie wiem - Sabrina przetarła palcami parapet. - Jak widać, Enid wyszło to na dobre.

Zdmuchnęła kurz z palców i odwróciła się do niego.

- Jeśli moje zachowanie wydaje ci się dziwne, to na pewno dlatego, że nie nabrałam jeszcze wprawy w obchodzeniu się z ludźmi, którzy gardzą mną, tylko za to, kim jestem.

- Nie zajmie ci to wiele czasu.

Dobrze wiedziała, że nie oczekiwał od niej współczucia. Ich oczy spotkały się. Patrzyli na siebie w blasku migoczących świec.

Blask świec. Morgan usłyszał nagle trzask i syczenie łoju i zapach topiącego się zwierzęcego tłuszczu. Nieporęczne świece zostały zastąpione świeczkami smukłymi i pełnymi wdzięku jak ich pani. Płomienie paliły się jasno i niezłomnie jak gdyby gotowe były pokonać nawet lodowaty, zimowy deszcz.

Ich światło rzucało lśniące plamy na brukselską koronkę udrapo-

waną na odwróconym do góry nogami kufrze. Migotało w szkle tajemniczych buteleczek z zapachami i kosmetykami rozrzuconymi na jego powierzchni. Błyszczało na powierzchni wypolerowanego drewna szkockiej harfy opartej o ścianę. Pieściło rozłożoną na łóżku pościel w kolorze kości słoniowej, na której widok gardło Morgana zacisnęło się z głodu. Zaprzagnął zrzucić swój gryzący szkocki strój i stojąc nago pociągnąć Sabrinę w dół.

Pliki welinowego papieru porozrzucane były na trójnożnym stołku. Z kałamarza wystawało zawadiacko gęsie pióro. Wyrzeźbione w jaspisie szachy leżały na środku porysowanego stołu. Nad paleniskiem wisiał szkocki miecz Cameronów. Teraz Morgan wiedział, co znajdowało się w ciężkich kufrach, które taszczył rano po schodach - cywilizacja.

Sabrina śledziła wzrok Morgana, z każdą sekundą stając się bardziej nerwowa. Jej dekoracje wydawały się jej teraz dziecinne, jak głupota jakiegoś dziecka ze zbyt wybujałą wyobraźnią udającego, że krzak głogu jest pałacem.

- Powinam była zapytać, zanim wszystko tu pozmieniałam. Jeśli ci się nie podoba to ja...

Morgan uniósł rękę a ona zamilkła sparaliżowana nieśmiałym zachwytem jego oczach. Morgan potrzebował jeszcze chwili, by delektować się jej dziełem. W ciągu kilku krótkich godzin udało się jej zmienić samotną i mroczną zwierzęcą norę w pałac, którym nie pogardziłby żaden książę. Ani księżniczka. Na jego twarzy z wolna pojawił się uśmiech. Ach, jednak dziewczyna miała rękę swej matki.

Uśmiech Morgana przeraził Sabrinę. Odruchowo zrobiła krok w tył.

Świeży aromat jałowca wypełnił zmysły Morgana, przepędzając wspomnienia kobiet cuchnących potem i dymem torfowym, a nie różami. Zawładnęła nim czysta rozkosz. Miał ochotę chwycić szkocki miecz Cameronów i zatańczyć wokół niego. Pragnął porwać Sabrinę do tańca i obracać ją w swych ramionach. Miał ochotę zmiąć nieskazitelną pościel, rzucając się na nią wraz z Sabriną. Skrył swoje emocje w jedyny znany sobie sposób - przez czyny.

Szorstko chrząkając, zmarszczył brwi w srogim, gniewnym spojrzeniu.

- O ile sobie przypominam, to obiecałaś mi coś w zamian za pomoc swojej kuzynce.

No i już, pomyślała Sabrina natychmiast, żałując swojej głupiej przysięgi. To była noga, o którą miała się potknąć, to był wąż ześlizgujący się z jej sukni. Jak mogła zdać się na łaskę tego mężczyzny? Przypomniała sobie swoje własne słowa. Zrobię wszystko. Naprawdę wszystko.

Zrobiła jeszcze jeden krok w tył.

- Morgan, nie ma powodu do pośpiechu...

Obrócił się gwałtownie i począł przemierzać komnatę długimi krokami.

- Dni są coraz krótsze, a noce coraz dłuższe. Mam trochę pracy z przygotowaniem naszych zwierząt do zimy. Myślę, że o zachodzie słońca będę zmęczony, zmarznięty i gburowaty.

- Aż trudno sobie wyobrazić - szepnęła pod nosem. Obrócił się na piętach i obdarzył ją przenikliwym spojrzeniem.

Sabrina uśmiechnęła się potulnie.

- Całymi dniami będę zmuszony zajmować się pracą, prostackimi drwinami i moimi złośliwymi kompanami. Kiedy przyjdę w nocy do naszej komnaty, mam nadzieję zastać cię uśmiechniętą i gotową do miłej rozmowy. Niech ogień grzeje moje stopy, a ty, jeśli zechcesz, możesz mi pośpiewać albo pokazać co uszyłaś w ciągu dnia - wskazał na jeden z zamkniętych kufrów. - Tam pewnie są książki.

Sabrina pokiwała głową. Jej oczy były otwarte tak szeroko, że mogły połknąć jej całą twarz.

- Doskonale! - warknął. - Będziesz mi czytać każdej nocy. Jak przyjdzie śnieg, będzie też czas, żebyś nauczyła mnie jakichś liter i cyfr. Aha - dodał. -1 jeszcze nauczysz mnie grać w szachy. Będę wdzięczny, jeśli to ty będziesz przegrywać. Ja nie mam na to siły.

Zszokowana Sabrina otworzyła usta, lecz po chwili znów je zamknęła, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Nigdy nie przypuszczała, że mózg Morgana przechowuje tyle słów, a już w ogóle, że Morgan je wypowiada. Jego męska arogancja fas-

cynowała ją i zarazem wprawiała w osłupienie. Miała ochotę paść pod jego bosc stopy. Morgan, wykorzystując jej oszołomienie, pomaszerał w kierunku drzwi.

- Gdzie idziesz?

Popatrzył na nią władczo, jakby miał tłumaczyć coś małemu, głupiutkiemu dziecku.

- Do mojej komnaty. Zdaje się, że twoi rodzice też mieli osobne sypialnie, prawda? Wszyscy ludzie z wyższych sfer tak robią.

Sabrina pomasowała swoje skronie, zastanawiając się, czy głód nie przyprawił jej o szaleństwo. Morgan nie był przecież mężczyzną, który poddałby się z taką elegancją. Jednak on tam stał i dawał jej dokładnie to, czego chciała. Małżeństwo z rozsądku. Lecz czemu ona czuła się tak nierozsądnie? I jak chciał spłodzić z nią syna, skoro mieli spać osobno? Nie był przecież aż tak niewykształcony. Spojrzała na niego zde gustowanym wzrokiem, a jego widok rozwiał wszystkie jej wątpliwości. Ten człowiek już rodząc się, wiedział co i jak robić. Zielonooki drań przeznaczony do tego, by być zakazaniem marzeniem każdej dziewczyny i koszmarem jej ojca.

- Większość ma pewnie osobne sypialnie - wymamrotała. - Chociaż zimą mam i tata często...

- No dobrze już. Dobranoc - jego ręce zacisnęły się na gałce u drzwi.

Sabrina zdała sobie ze zdziwieniem sprawę, że wcale nie chce, by wyszedł i skazał ja na ponurą samotność, z którą zmagala się cały dzień.

- Morgan - w jej głosie słycać było nutkę desperacji.

Morgan zatrzymał się. Przyszedł jej do głowy tylko jeden sposób, by opóźnić ich rozstanie. Skoro on tak wspaniałomyślnie zaakceptował jej warunki, czy stałoby się coś złego, gdyby poszedł na drobne ustępstwa na rzecz swojego ego?

Sabrina zwilżyła usta językiem i podeszła do niego.

- Wiesz, w małżeństwie nie chodzi tylko o śpiew i szachy. Prawdziwy dżentelmen nigdy nie zostawia żony na noc samej bez pożegnalnego pocałunku.

Morgan zmarszczył nieufnie brwi.

- Twój ojciec całował twoją matkę?
- Każdej nocy. Bez wyjątku. - Sabrina pokiwała głową.
- Własną żonę?

Sabrina oparła się pragnieniu kopnięcia go w pieszczel, wiedząc, że swój wysiłek przypłaci złamanym palcem u nogi.

- Swoją własną żonę.

Morgan jęknął cicho, jak gdyby nie mógł już utrzymać ciężaru cywilizowanego zwyczaju.

- Skoro jest to odpowiednia rzecz...

Sabrina nie miała czasu na przygotowania. Objął ją w tali i uniósł lekko do góry. Jego usta zacisnęły się na jej ustach. Morgan zakończył swój atak, równie gwałtownie, jak go zaczął. Sabrina siała oszołomiona.

- Ugryzłeś mnie! - posłała mu oskarżycielskiego spojrzenie i przycisnęła dłoń do wargi.

Morgan pochylił głowę. Pod fala jego zawadiackich włosów czaił się uśmiech.

- No, dziewczyno! Nie możesz przecież oczekiwać, że Mac-Donnell będzie umiał całować. Jesteśmy przecież tylko bosymi dzikusami, całą ich zgrają.

Sabrina przypomniała sobie, że zniewaga, jakiej się teraz wobec niej dopuścił poprzedzona była narkotycznie czułym pocałunkiem w komnacie na poddaszu jej matki.

- Może powinienem pozwolić ci pełnić honory domu - powiedział, krzyżując ramiona na piersi, ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie.

Morgan wyglądał, jakby był wyrzeźbiony z monolitu. Podeszła do niego z niepokojem, pamiętając jednak, że pod złotą skórą bije gorące, męskie serce. Przygryzła swoją delikatną wargę zębami.

Wciągnęła powietrze, jakby nabierała odwagi, zamknęła oczy, za sznurowała wargi i... pocałowała go w jego pled w szkocka kratę.

Naburmuszona, zerwała wełniany meszek ze swojej wargi i ponowiła próbę. Nawet obejmując jego szyję ramionami i stając wysoko na palcach nie była w stanie zrobić nic więcej niż tylko olrzeć się o jego gardło. Morgan pozostawał obojętny na jej starania. Morgan ziewnął głośno.

Sabrina była zdeterminowana, by wydobyć z niego jakąś reakcję, jakąś odpowiedź. Przydźwigała wreszcie stółek i stanęła na nim. Usta Morgana zaciśnięte były w surowej linii, lecz jego oczy błyszczały figlarnie. Przypomniawszy sobie lekcję, której matka udzieliła jej w dniu nocy poślubnej, Sabrina stuliła usta. Objęła dłońmi jego twarz i przycisnęła swoje wargi do jego ust. Jego jędrne, jedwabiste usta rozwarły się pod jej naciskiem. Sabrina pozwoliła mu skosztować smaku swojego powabnego języka. Pomruk Morgana zmieszał się nagle w jej uszach z ostrzegawczym wyciem. Świat zawirował jej przed oczami, lecz Morgan zdążył ją złapać nim upadła.

- Co ci jest dziewczyno? Jesteś chora? Zaśmiała się niepewnie, uczepiając się jego pledu.

- Jestem tylko głodna. Nie jadłam cały dzień. Jego twarz spochmurniała z niezadowolenia.

- Do diabła z Alwyn! Leniwa dziewczka miała ci przynosić posiłki do komnaty.

Sabrina zdążyła tylko unieść jedną brew, a Morgan już pokiwał głową, z zakłopotaniem przyznając, że pomysł nie był dobrze przemyślany. Postawił ją łagodnie na podłodze.

- Zaraz każę ci coś przysłać.

- Morgan? - zapytała nieśmiało. - Czy będziesz sobie życzył pocałunku na dobranoc każdej nocy?

Dużo kosztowało go zachowanie kamiennego wyrazu twarzy.

- Pewnie dziewczyno! Każdej nocy. Bez wyjątku.

Drzwi zaniknęły się przed nią, lecz otworzyły się za chwilę, pozostawiając jej niewiele czasu na ukrycie tryumfalnego uśmiechu.

- Zawrę z tobą umowę. Będę trzymał Alwyn z dala od kuchni, a ty w zamian nie dopuścisz Enid do ogrodu. Jej duszone grzyby prawie mnie zabiły.

Chwyciła drzwi, nim zdążył je znów zamknąć.

- Ale skąd wiedziałeś, że to właśnie Enid cię otruła?

- Nie wiedziałem. Aż do teraz. - Uśmiechnął się diabelsko. Nim Sabrina uświadomiła sobie, że właśnie podstępem wymusił na niej oświadczenie własnej niewinności, Morgan zniknął za

drzwiami. Nie wiedziała czy ma błogosławić czy przeklinać go za sprytny dowcip. Oparła się o drzwi, przyciskając policzek do wyszczerbionego drewna. Widziała, że jej serce nie biło tak mocno nie z głodu, lecz z pasji.

Po drugiej stronie drzwi Morgan toczył walkę ze wszystkimi męskimi instynktami, które nakazywały mu odwrócić się, otworzyć z hukiem drzwi i wziąć to, co się mu należy. Cierpliwość była cnotą, którą każdy wojownik musiał posiadać. Jednakże słodki, upajający smak warg Sabriny wciąż wypełniał jego usta, sprawiając, że pragnął więcej. Dużo więcej. Mógłby przysiąc, że to jej eleryczny zapach podążał za nim po korytarzu. Zmarszczył w rękach swój pled i przystawił do nosa. Poczł silny zapach róż, który musiały zostawić na nim jej ręce, gdy padała na niego zemdlona, nie z żarliwego zapachu, lecz z głodu.

Chwycił kurczowo swoje ubranie, jak gdyby jego tężyzna fizyczna była w stanie zabezpieczyć tę ulotną zdobycz. Nie mógł sobie pozwolić na to, by Sabrina wiedziała, jak bardzo jej pragnie. MacDonnell nie mógł upokorzyć się przed Cameronem. Dzisiejszy tryumf był tylko małą rozkoszą, lecz Morgan obiecał sobie, że wkrótce nastąpią kolejne. Do diabła teraz z jego przyjemnością! Będzie o nią zabiegał, będzie ją drażnił dopóty, dopóki sama nie będzie błagała o to, by dał jej przyjemność. Nigdy wcześniej perspektywa bitwy nie napawała go taką radością i nigdy wcześniej zwycięstwo nie było tak nieciernie oczekiwane. A samo już oczekiwanie sprawiało, że ostateczne poddanie się Sabriny będzie miało jeszcze słodszy smak.

Sabrina obudziła się następnego ranka, czując, jakby ktoś głaskał jej włosy.

- Mamo - wymamrotała, obracając się na drugi bok.

Lecz gdy otworzyła oczy, zobaczyła tylko rozmazaną twarz swojej kuzynki. Enid owinęła sobie wokół palca jeden z zabłąkanych kosmyków włosów Sabriny.

- Moje włosy są zbyt cienkie, by się kręcić.

Sabrina usiadła na łóżku, oparła się o wezgłowie i wtuliła się w swoje kolana. Zapanowała nieufna cisza.

- Nigdy nie chciałam...

- Przyszłam, żeby powiedzieć, że...

Obie znów zamilkły. Enid przekreśliła w palcach luźną fałdkę narzuty.

- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Ojciec nie zdradził ci wszystkiego, co dotyczy powodu, dla którego zostałam wysłana do rezydencji Cameronów.

- Myślałam, że po to, byśmy mogły lepiej się poznać przed wyjazdem do Londynu na wiosnę - Sabrina kłamała, nie chcąc sprawić przykrości kuzynce.

Sabrina ze zdumieniem zdała sobie sprawę z tego, jak dalekie były jej marzenia o wyjeździe do Londynu. Kiedyś godzinami wyobrażała sobie przystojnych zalotników padających jej do stóp. Teraz całe ich męstwo i elegancje oddałaby za choćby cień uśmiechu jednego mężczyzny.

Enid potrząsnęła głową.

- Miałam w Londynie zalotnika - wyznała nieśmiało. - Philip Markham. Absolwent Cambridge. Wysoki. Przystojny. Bardzo odpowiedni, nawet zbyt poważny, lecz matka i ojciec byli nim zachwyceni. Zaczęli nawet rozpaczać, że muszą wydać mnie już za męża. - Lekkie wzruszenie ramion ujawniło dużo więcej, niż chciała powiedzieć. - Myślałam, że naprawdę mu na mnie zależy. I może na swój sposób zależało.

Kiedy Enid mówiła dalej, Sabrina chwyciła jej rękę. Była lepka i chłodna.

- W dniu, w którym przyszedł prosić ojca o moją rękę, zrobił coś niekonwencjonalnego. Coś, czego w życiu nie widziałam. Zaczekał, aż cała rodzina zbierze się w salonie. Ściągnął wstążkę z pudła i wyciągnął z niego plisowaną, bardzo wąską w pasie suknię - Enid zacisnęła palce. - Powiedział wszystkim, że pobierzemy się w dniu, w którym będę w stanie zmieścić się w tę suknię.

Oczy Sabriny napełniły się łzami gniewu i współczucia.

- A to drań! Mam nadzieję, że wujek Willie posłał go gdzie pieprz rośnie!

- Przez chwile wszyscy milczeli. Potem skoczyli na równe nogi i zaczęli składać gratulacje. Nawet Stefan nie potrafił spojrzeć mi w oczy. To był najdłuższy wieczór w moim życiu. Zdołałam

uśmiechać się podczas kolacji, lecz zaraz potem uciekłam do swojego pokoju.

- Mam nadzieję, że napisałaś temu draniowi list i udzieliłaś reprimendy!

- Zwymiotowałam - powiedziała ascetycznie Enid. - Potem zjadłam całe pudełko czekoladek. W dniu, w którym ukazało się w gazecie ogłoszenie o naszych zaręczynach, zjadłam całego indyka, którego kucharz przygotował na kolację. - Na jej twarzy pojawił się smutny, triumfalny uśmiech. - Po trzech tygodniach nie mogłam zmieścić się już w moje własne suknie, a co dopiero w suknię, która wybrał Philip. Więc, pełen wstrętu, zerwał nasze zaręczyny - jej oczy zaświeciły blaskiem zażartej dumy. - Ale czegoś się przez te tygodnie nauczyłam. Dowiedziałam się, że są na świecie mężczyźni, dla których kobieca tusza nie stanowi problemu. Roznosiciele. Fryzjerzy.

Blask w jej oczach zbladł.

- Kiedy mój ojciec złapał mnie na biurku ze swoim własnym adwokatem, wygnał mnie do Szkocji, by sprawa odrzucenia mnie przez Philipa ucichła.

Sabrina przełknęła głośno ślinę, zszokowana szczerym wyznaniem kuzynki. Pogłaskała pokryty meszkiem policzek Enid.

- Oh, Enid. Tak mi przykro.

- Całe życie mówiono mi, jaka to bym była ładna, gdybym nie była taka gruba.

- Ale ty nie jesteś gruba. - Posłusznie zaprotestowała Sabrina. Jesteś...

Enid przyłożyła dwa palce do jej ust.

- Gruba. Nie pulchna. Nie puszysta. Gruba. A Ranald jest jednym z tych mężczyzn, którzy mimo to uważają mnie za ładną - na jej policzkach pojawiły się różowe plamki i Sabrina wyczuła, że Enid chce coś jeszcze powiedzieć. - Kiedy wyraziłam obawę, że mogę zmiażdżyć go w miłosnym uniesieniu, zaśmiał się i powiedział, że mężczyzna, który nie może poradzić sobie z taką wspaniałą dziewczyną, nie zasługuje na miano prawdziwego mężczyzny.

Sabrina miała w głowie tysiące pytań, które chciała zadać kuzynce, lecz było jej wstyd, że nie pozwoliła jeszcze swojemu

mężowi, by nauczył ją na nie odpowiedzi. Enid siadła sztywno w oczekiwaniu na reakcję Sabriny.

Sabrina schowała cienki kosmyk włosów za jej ucho kuzynki.

- Nie uważam, żebyś była ładna. - Sabrina uśmiechnęła się, a oczy Enid pociemniały. - Uważam, że jesteś piękna.

Sabrina padła w otwarte ramiona Enid. Ich płaczliwy uścisk został przerwany przez mrozący krew w żyłach krzyk Enid. Drżącymi rękami wskazała na ścianę za plecami Sabriny. Trzymając się za ucho, Sabrina odwróciła się i zobaczyła na ścianie ogromnego, czarnego żuka siedzącego nieruchomo na ścianie za łóżkiem. Jego czułki zadrżały na znak przerażenia.

Wybuchła śmiechem. Gdy ich oczy spotkały się, obie zaczęły dziko chichotać, zdawszy sobie sprawę, że Enid miała w sobie wystarczająco dużo odwagi, by ujarzmić w łóżku dzikiego górala, a jednak wciąż mdlała na widok bezbronego robaczka.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Stała w nich spragniona podniet banda MacDonnellów. Wpatrywali się w zmieszane miny dwóch przytulonych do siebie kobiet, wyjących ze śmiechu. Ich pełne osłupienia miny wywołały w Sabrinie i Enid kolejną falę śmiechu.

Stary mężczyzna, zupełnie łysy nie licząc siwego kosmyka nad uchem, podrapał się w świecąca głowę:

- A niech mnie! Nigdy nie wiesz, w którym łóżku znajdziesz dwie młode pannice. A mówią, że to my, MacDonnellowie, jesteśmy napaloną zgrają!

Rozdział 12

Sabrina wybrała następną noc, by nauczyć swojego męża gry w szachy i wyłożyć mu jej wszystkie zawilości. Nie mrugnęła nawet, gdy Morgan uderzył pięścią w szachownicę i porozrzucił stojące na niej pionki we wszystkie kąty komnaty. Ciężko wzdychając, ukłękła i zaczęła zbierać je i wkładać w fałdę swej spódnicy. To był już trzeci raz, gdy przewrócił planszę i po raz kolejny musiała mu tłumaczyć, na czym polegają ruchy gońca czy wieży.

Morgan chodził po komnacie, stawiając nerwowe kroki z ręką zaciśniętą wokół przedmiotu swojej pogardy.

- Jak? - grzmiał. - Jak król może być tak bezsilny? Nie ma honoru? Ani dumy? Gdzie tu chwała jeśli chowasz się za damską spódnicę?

Pugsley rozprostował swoje małe łapki, przewrócił się na posianiu obok paleniska i ziewnął.

- Nie rozumiesz. - Sabrina wyciągnęła nieszczęsnego skoczka z ognia.
- Król jest najważniejszym graczem na szachownicy. Możesz grać bez damy, ale nie możesz grać bez króla. Kiedy król zostanie schwytany, gra się kończy. Musi być chroniony wszystkimi możliwymi sposobami.

- Chroniony? Czym? Bandą głupich pionków i zwykłą kobietą? Co z niego za wódz? Powinni go ukamienować i wykluczyć z klanu. - By zobrazować treść swoich słów, Morgan cisnął tchórzliwym monarchą w ogień. Pugsley złapał pionek i zaczął szarpać go swoimi bezlitosnymi szczękami.

Sabrina przewróciła oczami, gdy Morgan w zamyśleniu pomagał jej odwracać szachownicę na drugą stronę.

Zwykłą kobietę? Wiele było w historii kobiet, które poświęcały swoje życie, by bronić innego. Weźmy chociażby twoją królową, Marię.

Morgan trzasnął pięściami w stół.

- A czyja to głowa została stracona dla twojej królowej Elżbiety?

Sabrina rzuciła wieżą o podłogę.

- Ona nie była moją królową Elżbietą. Jestem tak samo szkocka, jak i ty, Morganie MacDonnellu.

- Więc czemu gadasz jak cholerny Angol?

Stali naprzeciw siebie oparci rękami o stół. Ich nosy prawie się stykały. Sabrina wstrzymała oddech, gdy wzrok Morgana opadł na jej usta. Jego oczy miały miętowy kolor deszczowej kropli zawieszanej na nowym liściu. Jego wzrok zahipnotyzował ją na moment, po czym przeniósł się na szachownicę. Uniósł pełną wdzięku, ciemna figurkę damy.

Jego głos złagodniał, wyzbywając się gniewnej nuty.

- Kobiety to delikatne istoty. Kruche. Łagodne. Stworzone przez Boga, by je chronić przed surowością tego świata.

Sabrina skupiona była na jego rękach, niesamowicie wielkich, niesamowicie delikatnych, pieszczących półprzezroczysty jaspis. Widziała już kiedyś, jak jego ręce poruszają się z taką gracją, gdy dotykał płatków róży Belmont tuż przed tym, jak się złamała.

- Do mężczyzny należy opieka nad nią. I wielbienie jej. Biorąc pod uwagę Ewę oraz inne kobiety z klanu MacDonnel-

łów, Sabrinie wydało się niezwykle, że Morgan mówi to z głębi serca. Jego poglądy na honor i dumę wprawiły ją w zakłopotanie. Były zupełnym przeciwieństwem tego, czego zawsze uczono ją na temat jego klanu.

- Jesteś pewien, że nie jesteś dzieckiem porzuconym przez wróżki? - zapytała łagodnie. - Może zostawiły cię na progu domu twojego ojca?

Kpiarski uśmiech wykrzywił jego usta.

- Raz ojciec o to samo mnie oskarżył. Tyle że ja miałem matkę. Umarła przy porodzie. Pogładził damę po fałdach jej królewskiej spódnicy. W Sabrinie obudziło się uczucie podobne do zazdrości. Drżała na samą myśl o jego opalonych rękach przesuwających się po jej skórze z bolesną wręcz czułością.

Nie mogąc znieść już dłużej tej słodkiej, mimowolnej tortury, wyrwała mu damę z rąk i zaczęła układać pionki.

- To tylko gra, Morgan.

Opadł na krzesło z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- To niestosowne. Nie będę grał.

Sabrina po chwili też złożyła ręce i siedzieli tak razem otoczeni ponura ciszą. Pugsley wypluł pionek, straciwszy zainteresowanie zhańbionym monarchą. Morgan oparł się na stole.

- Chyba nie ma na to rady. Poproszę teraz o mój pocałunek na dobranoc.

Sabrina zamknęła oczy i posłusznie stuliła wargi. Kiedy po chwili nic się nie wydarzyło, otworzyła oczy. Morgan badał ją wzrokiem. Jego oczy przypominały leniwe szparki. Ujął jej twarz w swoje dłonie, tak jak ona zrobiła to poprzedniej nocy. Jej serce zagrzmiało i zaczęło ostrzegawczo walić w żebra. Kciuki Morgana muskały jej wargi, badając, głaszcząc, sprawdzając ich miękkość i opór, jakie stawiały jego woli.

Sabrina czuła jak rozpływają się pod zadziwiającą intymnością jego dotyku niczym gorący wosk, jak rozchylają się coraz szerzej w milczącym i bezwstydnym zaproszeniu do głębszej zblżenia. Czuła na skórze jego ciepły, słodki oddech. On kontynuował icdnak swoje wymowne głaskanie, zniewalając jej usta niczym więcej, lecz tylko zgrubiałymi opuszkami swoich kciuków.

Wiła się na swoim krześle niczym języki płomieni liżące ciemne, tajemnicze fragmenty jej ciała, naprężające jej piersi i wygładzające sekretne fałdki nieznaną rosą. Wtedy to właśnie język Morgana zagłębił się w nią, pieścąc ją pojedynczym, głębokim posunięciem, które zamroczyło jej umysł.

Ignorując jej rozdzierający jęk, Morgan odsunął się, by ucałować czubek jej nosa.

- Dobranoc smarkulo.

Obawiając się barwy swojego zdyszanego głosu, Sabrina zaczęła, aż Morgan dojdzie do drzwi i powiedziała:

- Myślałam, że wy, MacDonnellowie, nie znacie się na sztuce całowania na dobranoc.

- Och, ale dlatego właśnie musimy ćwiczyć z taką gorliwością. Mrugnął do niej diabolicznie. - Spij spokojnie, dziewczyno. Gdy znikł za drzwiami, Sabrina pozwoliła swojej głowie ciężko

i bezwładnie opaść na ramiona. Po całym jej ciele rozsiane były nasiona wielkiego pożądania i Sabrinie wydawało się, że już nigdy nie zaśnie.

Następnej nocy Sabrina postanowiła zapoznać swojego męża z Homerem, mając nadzieję, że grecki wieszcz zdoła utrzymać uwagę Morgana, a zarazem okaże się na tyle nudny, by pohamować jego namiętność. Namiętność, która okazała się być tragiczna w skutkach dla snu i spokoju jej umysłu. Nie zmrużywszy oka, leżała stęskniona w łóżku pół nocy, przewracając się z boku na bok tak długo, aż pościel oplotła ją tak, jak ręce Morgana.

Skuliła nogi pod siebie i zaczęła czytać, czując się trochę jak Szeherazada zabawiająca swojego pana, z tą jedną różnicą, że nie ryzykowała utratą głowy, lecz serca.

Jej obawy okazały się jednak bezpodstawne. Morgan przysiadł na poręczy fotela, w skupieniu słuchając opowieści o Odyseuszu przechytrzącym swoich wrogów i powracającym do swojej ukochanej Penelopy. Sabrina spojrzała na Morgana znad książki. Jego surową męską urodę złagodził chłopięcy zachwyty i zdumienie. Kiedy Odyseusz oślepił straszego Cyklopa, Morgan pochylił się do przodu na krześle tak mocno, że Sabrina przestraszyła się, że zaraz z niego wypadnie. Starożytne opowieści wciągnęły ją tak bardzo, jakby słyszała je po raz pierwszy w życiu.

Z wyraźną przyjemnością zaczęła opowieść o Odyseuszu i czarodziejce Kirke. Morgan z powrotem oparł się na krześle, co było dla Sabriny pierwszym znakiem, że coś jest nie w porządku. Charakterystyczny grymas niezadowolenia pogłębiał się na jego twarzy. Sabrina zaczęła czytać szybciej, jaskając się przy najprostszych słowach, a jej koncentracja osłabiła się, gdyż czekała już tylko na nieuchronnie zbliżający się pocałunek.

- Głupiec! - Pięść Morgana rozbiła stół. Książka zamknęła się gwałtownie w jej rekach.

- Cholera jasna! To jakiś cholerny głupiec! Ja nigdy nie popełniłbym takiego błędu. Cwana wiedźma pozamieniała jego ludzi w świnie, a on teraz idzie z nią do łóżka? Nie ma ani krztyny dumy?

Obsesja Morgana na punkcie dumy zaczynała już działać Sabrinie na nerwy. Zuchwale spojrzała mu w oczy.

- Kirke oczarowała go swoją urodą. Pewnie był skory poświęcić swoją dumę dla odrobiny przyjemności.

- Każdy mężczyzna, który zrzeka się swej dumy dla kobiety, jest cholernym głupcem.

W jego wzburzonych oczach Sabrina wyraźnie widziała ostrzeżenie. Gdyby tylko pozwoliła, pewnego dnia mógłby oddać jej swoje ciało, a nawet dać jej syna, ale nigdy nie oddałby jej swego serca. Ku jej przerażeniu, do oczu napłynęły jej łzy.

Pozwalając swobodnie upaść książkę na podłogę, podeszła do okna, by wiatr mógł wypalić jej łzy. Wiatr niósł w sobie groźną zapowiedź wczesnego śniegu.

- Może masz rację. Decyzja Odyseusza drogo go kosztowała. Według Homera, został zabity przez jednego ze swoich potomków z tego związku - swojego własnego syna.

Sabrina stanęła naprzeciwko niego, jej oczy nie błyszczały już od łez, ale wypełniał je gniew.

- Ale gdybyś pozwolił mi dokończyć opowieść, to być zrozumiał. Odyseusz dzielił łóżce z Kirke tylko po to, by uwolnić swoich ludzi. Bardziej niż swoją marną dumę cenił ich życie. Z pewnością ty akurat zrozumiałbyś takie poświęcenie. Morgan rozumiał aż za dobrze. Kirke nie była nawet w połowie taką czarodziejką jak Sabrina. Trzymała go w napięciu swoim melodyjnym głosem, wiązała go ciaśniej każdym swoim nieśmiałym uśmiechem i każdym delikatnym ruchem ust oplatającym słowa Homera. Morgan nie był pewien czy furia, która go opętała była wynikiem wielkiej głupoty Odyseusza czy jego własnej.

Stanęła przed nim, nie mniej wspaniała niż Kirke w swoim sprzeciwie. Jej delikatne rysy spinały się z emocji, a nocny wiatr rozwiewał kosmyki włosów z jej starannie uplecionego wianka. Wyobrażał ją sobie siedzącą na podmywanej morską wodą skale z rozpuszczonymi włosami, połyskującymi drobnymi kropelkami; stawiającą dzielnie czoła wszystkim rzucanym przez morze wyzwaniom. Może Odyseusz nie był jednak głupcem, poddając się urokowi Kirke. Może głupcem był dlatego, że ją zostawił.

Kiedy Morgan kiwnął palcem w jej kierunku, Sabrina rozważała sprzeciwienie się jego rozkazowi. Jednak ciekawość okazała się być silniejsza i Sabrina podeszła do niego posłusznie. Poklepał swoje kolano w zapraszającym geście. Po chwili wahania Sabrina usiadła na nim sztywno, czując się jak tańcząca w jego rękach marionetka.

Po jej plecach przeszedł przyjemny dreszcz, gdy tylko Morgan dotknął ciepłymi palcami jej nagiego karku.

- A może twój podstępny Odyseusz tylko uspokoił i uciszył swoją dumę, udając poświęcenie.

Sabrina wiedziała, że tymi słowami Morgan chciał ją przeprosić. Wiedziała też, że to jedyny sposób, w jaki potrafił to zrobić. Ciągnął ją w dół, dopóki ich usta nie spotkały się i nie zapłonęły czystym, gorącym płomieniem. Sabrina nie opierała się, choć targała nią zarówno pokusa, jak i strach. Ześlizgnęła się miękko na jego udo i siadła w twardej kołysce jego kolan. Morgan delikatnie zwilżył jej wargi, skubiąc i podgryzając ich wrażliwą skórę, a Sabrina rozchyłała je wolno i błagalnie.

Tym razem jej nie odrzucił. Jego język poruszał się zwinnie niczym rozgrzany atlas, odkrywając i badając coraz to nowsze szczeliny jej ust i wywołując odpowiedź jej języka, który tańczył wokół jego silnych zębów. Gniotła swoim ciałem jego pleć niczym zaspokojony kot, wijąc się na jego kolanach. Nagle Morgan zamruczał chrypliwie, czym wywołał w Sabrinie wielkie uniesienie, ale i strach. Jeśli kiedykolwiek zdoła przejąć kontrolę, czy będzie na tyle kobietą, by sobie z nim poradzić?

Wtulila rozpalone czoło w jego szyję, mając nadzieję, że to on podejmie decyzję za nich dwoje, że wstanie i zanieś ją do łóżka i sprawi, że zapomni ona o swoim głupim ślubowaniu, by zawsze go odtrącać. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć czy raczej czuć rozczarowana, gdy wstał i delikatnie postawił ją na podłodze.

- Poczytasz mi znów jutro, smarkulo?

Sięgnęła, by pobawić się kosmykiem jego jedwabistych włosów, żywiąc nadzieję, że jej swawolny uśmiech zdoła ukryć bezradne pragnienie w jej oczach.

- Ależ oczywiście. Mam dla ciebie idealną opowieść. O dzie-

Inym wojowniku Samsonie i odważnej dziewczynie imieniem Dalila.

Następnego popołudnia Sabrina wyszła z komnaty, a jej kroki były szybkie i zdecydowane. Jako pani MacDonnell, nie mogła przecież spędzić reszty życia, czając się w swojej komnacie i czekając na sporadyczne wizyty Morgana. Zaczynało ją drażnić traktowanie jej jak egzotycznego zwierzątka, aczkolwiek rozpieszczanego.

Gdy przechodziła obok popadającej w ruinę klatki schodowej, usłyszała dziwne głosy, które przyciągnęły jej uwagę. Głosy podniesione w gniewie nie były u MacDonnellów rzadkością i poprzedzały zwykle walenie pięściami i odgłos wypadających zębów. Jednakże Sabrina wyczuła, że chodziło o coś więcej niż tylko zwykłą kłótnię, bo głosy te zniżone były do syczącego warczenia. Sabrina zawahała się, przypomniawszy sobie skutki swojego poprzedniego nieumyślnego podsłuchiwania, lecz kolejne usłyszane słowa przykuły jej uwagę.

- Kobieto, jak mogłaś być tak cholernie niezdarna? Nie powinien był powierzać ci tego zadania.

- Powierzać? To był od początku tylko mój pomysł. Zapomniałeś już? Bóg jeden wie, że tylko taki półgłówek jak ty nie mógł opanować tej akcji! Wódz wymyślił to w przebłysku geniuszu!

- No i zobacz, co mu to przyniosło! Stara, ślepa Galvin mogłaby to zrobić! Wiedziałem, że twoja noga jest nie w porządku, ale sądziłam, że oczy masz zdrowe.

- Idź do diabła!

Nim Sabrina zdążyła udać, że zajmuje się czymś więcej niż tylko podsłuchiwanie, na schodach usłyszała kroki. Ogarnęło ją przerażenie, gdy zobaczyła zbliżającego się Ranalda. Jego śniada Iwarz zbladła na jej widok. Uchylając przed nią swój beret, wymamrotał:

- Moja pani. - I natychmiast zniknął w najbliższym korytarzu niczym spłoszony zając.

Z komnaty wyłoniła się Ewa i oparła się o kamienną ścianę, uśmiechając się pogardliwie. Miała rozpuszczone włosy i Sabrina

zdała sobie sprawę, że nie jest ona tak stara, jak jej się wcześniej wydawało. Chociaż jej twarz była zniszczona przez wiatr i słońce, a włosy straciły blask, to w rzeczywistości nie mogła być wiele starsza niż jej matka.

- Masz cudowne włosy - powiedziała Sabrina, nie ruszając się z miejsca. - Powinnaś częściej nosić je rozpuszczone.

- Tak, ale tego zrobić nie mogę. - Ewa obeszła ją, jak drapieżnik obchodzi swoją ofiarę. - Długie włosy są w bitwie jak stryczek. Kiedyś złapałam dziewczeczkę Grantów za jej piękne loki i rozprułam od zadu aż po gardło.

Sabrina poklepała się nerwowo po karku.

- No proszę.

- A tak - powiedziała dumnie. - Angus zawsze powtarzał, że potrafię tak poderznąć gardło, że biedny dureń nie spostrzeże tego, nim nie stanie w bramach piekielnych.

- Przykro mi z powodu Angusa. Morgan mówił mi, że byliście sobie bliscy.

Ewa wzruszyła ramionami. Jej stoicka odpowiedź przypomniała Sabrinie o Morganie.

- Umarł tak, jak żył. Od ostrza.

- Ale czyjego ostrza? - spytała nieśmiało Sabrina.

Ewa przesunęła swój zgrubiały palec po policzku Sabriny. Jej dotyk był zaskakująco delikatny.

- Taka ładna, taka gładka. Morgan takie lubi, prawda? Gładką skórę. Łagodny głos. Zupełnie jak twoja matka. Jak ukochana przez Angusa Beth.

Oczy Ewy zaszły ciemną mgłą, a Sabrina zaczęła rozumieć, jaki jest prawdziwy powód jej nienawiści do Cameronów. Ogarnęła ją fala sprzecznych emocji. Wściekłość na bezmyślność Angusa. Współczucie dla Ewy, nieatrakcyjnej kaleki, która liczyła na zaloty Angusa, lecz ten nigdy nie zrobił ku niej kroku.

Lecz zanim zdążyła się odezwać, twarz Ewy pociemniała.

- A chłopak w ogóle zadał sobie trud, żeby pójść z tobą do łóżka? Morgan jest bardziej podobny do ojca, niż się przyznaje. On raczej pragnie tego, czego mieć nie może, a nie zadowala się tym,

co łatwo dostępne. W końcu, jesteś tylko bladą imitacją tego, kogo oboje pragnęli.

Sabrina cofnęła się o krok w strachu przed drwiącym spojrzeniem Ewy. Miała wrażenie, że oczy Ewy przenikają i widzą jej wnętrze, że przeszywają jej najskrytsze tajemnice i lęki.

- Co masz na myśli?

- Więcej niż powinnam. Dowiesz się wkrótce - w jej oczach widać było współczucie, o wiele bardziej przerażające niż pogarda.

- Nie oddawaj mu swojego serca dziewczyno. Będzie cię nim potem karmił, kawałek po kawałeczku, aż w końcu się nim zadławisz. - Odeszła powoli, a jej utykająca noga wlokła się za nią, podrygując na nierównych kamieniach.

Gdy Sabrina patrzyła, jak Ewa odchodzi, jej tajemnicze słowa wciąż rozbrzmiewały echem w jej głowie. Sabrina nie zapomniała, że Ewa i Randal byli jedynymi ludźmi nieobecnymi w hallu w momencie, gdy Angus został zamordowany. Czy zdobędzie się na odwagę i podzieli się swoimi podejrzeniami z Morganem? Uwierzy jej czy raczej stwierdzi, że szuka kozła ofiarnego, by oczyścić imię Cameronów? Westchnęła ciężko. Było po prostu za wcześnie, aby narażać na szwank ich kruchy jeszcze wzajemny szacunek jakimiś oskarżeniami. Nie mogła ścierpieć myśli, że znów coś mogłoby ich podzielić, podzielić MacDonnellów i Cameronów. Odrzuciła na bok uporczywy niepokój i kontynuowała swoją misję.

Gdy weszła do zadymionego hallu, miała wielką ochotę zatrzeć ręce w niecierpliwym oczekiwaniu, jednak powstrzymała się. Homer podsunął jej ciekawy pomysł. Skoro Kirke używała swoich czarów, by zamieniać mężczyzn w świnie, dlaczego Sabrina nie miałyby użyć swojego uroku i zamienić świni w mężczyznę? Jednakże nawet Kirke musiałyby zmierzyć się tutaj z trudnym dylematem: którego z nich wybrać na swoją ofiarę, skoro wszyscy są tak wspaniali?

Sabrina z zadziwiającą łatwością wyobraziła sobie prychnące i sapiące świńskie głowy osadzone na szerokich ramionach MacDonnellów. Troje z nich garbiło się obok kominka, rzucając kośćmi do gry. Gdy jeden z nich posypał zmierzwiłone włosy swojego

partnera tabaką, wywiązała się przepychanka. Przy innym stoliku rozgrywała się zaciepła walka o sarni udziec zakończona rozbiciem dzbana whisky na głowie jednego z wojowników.

Jej uwagę zwróciło natomiast parsknięcie śmiechem przy środkowym stoliku. O, to dopiero było wyzwanie godne wielkiej czarodziejki!

A oto i sam pan Fergus MacDonnell, żłopiący piwo i wznoszący sprośne toasty. Jego brudna ręka sunęła po gorsecie roześmianej panienci siedzącej na jego kolanach. Jego kartoflowaty nos przypominał nawet świński ryjek.

Sabrina uniosła spódnice i ostrożnie przeszła pomiędzy ciemnymi plamami i kośćmi, które zaśmiecały podłogę. Pozostali mężczyźni ucichli na jej widok, lecz Fergus był zbyt zajęty dobieraniem się do piersi dziewczyny, by ją zauważyć. Uniósł dzban do ust, zdobiąc swój palec jego ceramicznym uchem niczym pierścieniem. Piwo ściekało strużką po jego siwych wąsach i tworzyło smugi na jego tłustym karku.

- O! - chrząknął, uśmiechając się do dziewczyny. - Nie ma nic lepszego w chłodny dzień niż dzban piwa i ciepły cye.

Walnął dzbanem w stół, gdy jego prostacka uwaga nie wywołała w dziewczynie wybuchu śmiechu, jakiego się spodziewał.

- Co w was dzisiaj wstąpiło? Cycków wystarczy dla wszystkich! - Zajrzał badawczo w gorset dziewczyny. - Kiedy ostatni raz sprawdzałem, dziewczka miała dwa! - ryknął, zanosząc się śmiechem.

- Ej, Fergus... - mruknął jeden z jego towarzyszy.

Było już za późno. Sabrina stuknęła Fergusu lekko w ramię.

- Proszę mi wybaczyć, panie MacDonnell, że przerywam pańskie czarujące i poetyckie wywody na temat kobiecego biustu, ale potrzebuję pana w mojej komnacie.

Wymachujący rękami gracze odłożyli kości. Mężczyzna, który leżał nieprzytomny po uderzeniu dzbanem whisky, poruszył się z zainteresowaniem.

Fergus obrócił się na ławce, zrzucając dopiero co oprzytomniałego mężczyznę ze swoich kolan.

- Mnie? Mnie potrzebujesz? W swojej komnacie?

Uśmiechnęła się słodko i kiwnęła na niego palcem.

- Bardzo.

Rzucając w stronę swoich ludzi spojrzenie, wyraźnie mówiące: „Ależ mi się cholernie poszczęściło!”, wsunął kciuki w swój kilt i począł kroczyć za nią dumnie niczym kogut rasy bantamka gotowy do ataku na kurnik.

Enid przygotowała komnatę tak, jak prosiła ją Sabrina. Zestaw delikatnej porcelany do herbaty rozłożony był na ozdobnym obrusie. Na wykrochmalonej, koronkowej serwetce stał dzbanek gorącej herbaty. Para ulatniała się z jego pełnego wdzięku dziobka.

- Panie MacDonnell? - Sabrina wolnym gestem ręki wskazała na najbliższe krzesło. Fergus zachowywał się tak, jakby jej nie usłyszał, dlatego ponowiła zaproszenie.

Zaskoczony Fergus schylił nieśmiało głowę.

- Nikt wcześniej nie mówił do mnie „pan”. Przyjaciele nazywają mnie Fergie, ale ty, jeśli chcesz, możesz mówić mi „kochanie”.

Mrugnął do niej, jednakże nie bez bandy swoich kumpli, jego gest nie miał takiej siły. Sabrina celowo przymknęła oko na jego bezczelność.

Przysiadł na poręczy krzesła i rozejrzał się po komnacie, wyraźnie przestraszony kobiecymi akcentami, które ją wypełniały. Sabrina naląła mu filiżankę herbaty.

- Czy sypie pan cukier do herbaty?

- Nie wiem - przyznał. - Nie piłem nigdy herbaty. Do wyboru zawsze była tylko whisky.

Sabrina wrzuciła trzy ziarniste bryłki, spodziewając się, że jego znużone gusta zasmakują w odrobinie zmysłowości. Wsunęła cienką jak płatek filiżankę w jego dłoń. Maleńka filiżanka zdawała się zniknąć w jego rumianej dłoni. Siorbnął pospiesznie i zmarszczył nos w nieskrywanym grymasie. Sabrina ukryła swój uśmiech za brzegiem filiżanki. Gdy Fergus opuszczał filiżankę jego ręka trzęsła się nerwowo. Filiżanka brzęknęła o spodek, a herbata przelała się przez jej krawędź. Na jego szerokiej twarzy pojawił się rumieniec, a jego wzrok powędrował w kierunku drzwi, jak gdyby szukając ratunku.

Sabrina patrzyła na niego zafascynowana. Patrzyła w jego oczy, w głębi których, po raz pierwszy dostrzegła panikę. Kompletnie ją to oszołomiło. Dlaczego ten nieokrzesany, chełpliwy mężczyzna bał się kobiet? Nie, nie bał się. On był przerażony! Chował po prostu swój strach za prostackimi żartami i reputacją jurnego ogiera. Jej serce wypełniło się współczuciem.

Sabrina sięgnęła jego dłoni i poklepała ją lekko.

- Już dobrze panie MacDonnell. Nie ma się czego bać. Przysięgam, że będę delikatna.

Tego samego wieczora, gdy powiał świeży wiatr od północy, a z nieba zaczął sypać śnieg, wyczerpany Morgan wszedł do spiżarni. Cały dzień mocował się z owcami od Cameronów, próbując zagnać je do wąskiego wąwozu, który miał być ich domem w czasie nadchodzącej, srogiej zimy. Kamienne ściany miały chronić je przed najgorszą nawet pogodą. Na wiosnę będą mogły przemierzać wrzosowiska na znak dobrobytu całego klanu. Nigdy nie sądził, że owce mogą być tak przytępionymi stworzeniami. Nim on i jego ludzie zdążyli jedną otoczyć, następna już zdążyła uciec.

Zsunął z ramion pled. Jego mięśnie zapulsowały na znak protestu. Pomrukując, zanurzył ręce w beczce i schlapał twarz chłodną źródlaną wodą. Odgarnął włosy do tyłu, a woda spływała kojącymi strużkami po jego klatce piersiowej. Niezależnie od tego jak bardzo był zmęczony, zawsze mył się przed wejściem do komnaty Sabriny. Zbyt wiele razy w swoim życiu słyszał już słowa „Brudny, śmierdzący MacDonnell”, szeptane za jego plecami przez tych, którzy nie mieli odwagi powiedzieć mu tego w oczy.

Morgan osuszył twarz i spojrzał w górę na świecący sufit. Słodka myśl o czekającej na niego Sabrinie cieszyła go i zatrzażała zarazem. Jej komnata stała się dla niego świątynią, do której wracał po wyczerpujących godzinach spędzonych na wydawaniu rozkazów ludziom nie przyzwyczajonym do porządnej, całodziennej pracy, którzy potrafili zasnąć nad łopatą czy kijem. O dziwo, to nie opowieści oczekiwał, lecz żartobliwej melodii jej głosu. To nie była żadna gra, tylko dopasowywanie jego umysłu do jej humoru. Sądził, że znajdzie w jej komnacie pocieszenie i spo-

kój, a odkrył wyzwanie, które było dla niego bardziej ekscytujące niż bitwa.

Wyprostował ramiona, krzywiąc się z bólu. Może Sabrina użyje swoich giętkich palców, by popracować nad jego poskręcanyimi mięśniami. Do tej pory jeszcze niczego mu nie odmówiła. Na jego twarzy pojawił się nieproszony uśmiech. Jeśli dalej będzie udowadniał jej, że potrafi być czymś więcej niż zwierzęciem w okresie rui, może wkrótce zaprosi go do swojej sypialni, ale nie z litości, lecz z pożądania. Wtedy to miał zamiar wślizgnąć się pomiędzy świeże prześcieradła i jej mlecze uda i posiąść ją.

Krocze Morgana zeszywniało na samą myśl o niej i pulsowało w jednym rytmie z jego narastającym zniecierpliwieniem. Zamknął oczy, pozwalając sobie na chwilę upojenia kuszącą wizją. Z rozmarzenia wyrwało go ramię skradające się po jego talii. Brudne, połamane paznokcie drapały jego nagi brzuch. Druga ręka wślizgnęła się po jego udzie i zaczęła ordynarnie obmacywać jego krocze. Długie włosy połaskotały jego plecy.

- Alwyn? - burknął.

- Tak Morgan. To twoja śliczna Alwyn - zagruchała z podniecenia. - Gotowy? Och, ale ty przecież zawsze jesteś gotowy, prawda skarbie?

Odwrócił się, chcąc uniknąć jej natrętnych palców. Wyczuł na niej świeży zapach innego mężczyzny. To ostudziło jego pożądanie szybciej niż kropla lodowatej wody. Alwyn zdążyła już podciągnąć spódnicę. Morgan opuścił ją pospiesznie.

- Myślałem, że już ci to wyjaśniłem. Nie możesz tu chodzić i ściągać reform za każdym razem, kiedy wchodzę do pokoju. To niestosowne. Mam przecież żonę.

- Nie żartuj sobie Morgan. Przecież wiesz, że nie noszę reform. Śledziła go niczym wielka, górską, blond tygrysica. Oparła go o bczkę i przycisnęła swoje obfite piersi do jego klatki piersiowej.

- Czas jest doskonały. Twoja cenna żona nie będzie nam przeszkadzać. Jeśli ona może zadowalać innego mężczyznę w swojej komnacie, co złego stanie się, jeśli i my zażyjemy trochę przyjemności.

- Innego mężczyznę?

Złowieszcza nuta w głosie Morgana zmusiła Alwyn do ostrożnego wycofania się.

- Ach, myślałam, że wiesz. Ewa mi mówiła, że on siedzi już tam od wielu godzin.

- Godzin? - Oczy Morgana zaszły krwią, a uszy poczerwieniały.

Alwyn cofnęła się. Jej oczy były szeroko otwarte. Jej liczne flirty nigdy Morgana nie obchodziły. Skąd mogła wiedzieć, że jego mała, brzydka żona wzbudzi w nim taką wściekłość?

Morgan nie był wściekły. Był oszalały. Depcząc swój pled, ruszył w stronę korytarza. W przepastnej komnacie unosiły się dym i cisza, tak gęste, że nie przeciąłby ich nawet miecz. Dobry Boże! Czy oni wszyscy wierzyli, że jego żona przygotowuje mu rogi?

Członkowie jego klany patrzyli w ogień, przebierali nogami i obracali kubkami z whisky. Nikt nie ośmielił się spojrzeć mu w oczy. Tylko Ewa uniosła swój kufel, wznosząc szyderczy toast.

Morgan zwolnił w hallu kroku, czując na sobie ich świdrujące spojrzenia. Słyszał za sobą szeptane zakłady. Udusi swoją żonę czy zasadzi w jej małym sercu małą czarną kulę?

Rozdział 13

Gdy tylko Morgan zniknął z ich pola widzenia, zaczął biec. Jednym susem pokonywał po dwa schody, aż w końcu zatrzymał się przed drzwiami do komnaty Sabriny. Znad cichych dźwięków harfy i głośnego bicia jego własnego serca, Morgan słyszał głęboki, męski baryton i słodki, kobiecy sopran złączone w tak wzruszającą melodię, że nawet najtwardszy wojownik by zapłakał. Mężczyzna śpiewał:

Mogłem córkę króla mieć
Za morzami daleko, hen daleko
Sabrina zawtórowała:

Mogłam córką króla być Gdybym nie kochała cię takiego.

Jakiś inny mężczyzna śpiewał z jego żoną. Morgan nie zdawał sobie sprawy, że pierwszy raz nie pomyślał o niej jak o smarkuli, Sabrinie czy cholernym utrapieniu, lecz jak o swojej żonie. Miotaly się w nim bunt i bezsilność. Zażyłość ich złączonych głosów była dla niego bardziej przeklęta niż samo cudzołóstwo.

Otworzył drzwi. Zlustrowały go dwie pary zaskoczonych oczu. Nagle zdał sobie sprawę, jakiego robi z siebie głupca. Pólnagi, z włosami ociekającymi wodą z ustami rozwartymi ze zdziwienia, jego usta otworzyły się jeszcze szerzej, gdy zobaczył, że anielski baryton należał do człowieka, którego dusza była bardziej zwięglona od duszy szatana.

Fergus MacDonnell podniósł swoje przysadziste ciało z poduszki leżącej u stóp Sabriny i pokłonił się jej.

- Dziękuję ci, pani, za herbatę. Jestem szalenie wdzięczny.

Sabrina odłożyła harfę na bok. Mała ręka Sabriny znikła w jego wielkiej dłoni.

- Dziękuję, panie MacDonnell za wspólne odśpiewanie tych góralskich ballad. Mój mąż na pewno doceni je podczas nadchodzących długich zimowych wieczorów. Prawda kochanie?

Całą minutę zajęło Morganowi uświadomienie sobie, że zwracała się właśnie do niego.

- Hmm?

Fergus zatrzymał się w drzwiach i rzucił w stronę Morgana karcące spojrzenie.

- Nie burcz do swojej żony, chłopcze. Nie jesteś jakąś cholerną świnią.
- Zarzucił zwisający pled na ramię Morgana. - Nie powinieneś chodzić na wpół nagi w obecności damy. Czy twój ojciec uczył cię w ogóle dobrych manier?

Fergus poklepał go czule po ramieniu i wyszedł dumnie na korytarz. Sabrina krzątała się po komnacie, podśpiewując pod nosem i bez troski zbierając filiżanki, zupełnie, jak gdyby hall nie był wypełniony bandą MacDonnellów, czekających tylko na strzał z pistoletu.

- Czarujący mężczyzna, prawda? - Zdmuchnęła drobinę kurzu z kremowego dzbanka. - Pod wszystkimi tymi przechwałkami kryje się dusza dżentelmena.

Morgan zamknął usta. Widział już kiedyś, jak Fergus spokojnie obgryzał kawał baraniej kości, drugą ręką rozłupując w tym samym czasie głowę wroga.

- Niezły z niego poeta.

Usłyszawszy spokojny ton Morgana, leżący pod łóżkiem Pugs-ley zaczął z radością merdać ogonem. Morgan spokojnie zamknął za sobą drzwi.

- Czy zechciałabyś wyjaśnić obecność jego szlachetnej osoby w twojej komnacie?

Potarła filiżanką o rękaw, ścierając odciski brudnych palców Fergusa.

- A co tu wyjaśniać? Zaprosiłam go, by napił się ze mną herbaty. Był tak miły i nauczył mnie kilku waszych uroczych góralskich ballad. Wiedziałam, że szybko go zmęczą angielskie

piosenki mojej mamusi. - Zmarszczyła swój mały nosek. - Zbyt wiele odniesień do podróżujących, niezdarnych Szkotów.

- Czy to jakiś angielski zwyczaj, by pić herbatę z nieznajomym? Sama w swojej sypialni?

- Ależ skąd. Ale uznałam, że hall się do tego nie... - Zamilkła, zrozumiałwszy, co naprawdę miał na myśli. Dzbanek wysunął się z jej ręki i uderzył o krawędź stołu. Ozdabiająca go porcelanowa róża spadła na podłogę. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Oskarżasz mnie o...?

- O nic cię dziewczyno nie oskarżam. Tylko, gdy Alwyn powiedziała mi...

- Ach, Alwyn powiadasz. - Jej głos wydawał się martwy i monotony, a jej oczy nagle straciły cały blask. - I ty jej uwierzyłeś? No tak, przecież ona nazywa się MacDonnell, a nie Cameron. Przebiegły i kłamliwy Cameron. A gdzie ty i twoja ukochana Alwyn byliście, gdy padły te wszystkie oskarżenia?

Na twarzy Morgana pojawił się cień poczucia winy, gdy przypomniał sobie pożądliwe ręce Alwyn na swoim ciele. Spojrzenie Sabriny było przepełnione bólem i niedowierzaniem. Morgan zaklął pod nosem.

- Przysięgam dziewczyno, nawet jej nie dotknąłem. Sabrina już go nie słuchała. Z jej rozchylonych ust wydobył się drżący nerwowy śmiech.

Mogłam się tego spodziewać. Dlaczego niby miałbyś mi ufać? W końcu nie ma przecież rzeczy, do której my Cameronowie byśmy się nie posunęli. Mordowanie gości, trucie panów młodych. I Haczego właściwie nie miało ci przyjść do głowy, że puszczę się z jednym z twoich ludzi?

Odwróciła się do niego plecami. Jej ramiona drżały z wściekłości. Morgan potrząsnął głową na znak niechętnego podziwu. Sabrinie udało się obrócić jego gniew i zazdrość przeciwko niemu. Żaden z członków jego klanu nie śmiałyby nawet podnieść na niego głosu, a ona, małe chucherko, po raz kolejny udowodniła im, że są tchórzami, a on sam cholernym głupcem.

Morgan podniósł różę, która odłamała się od dzbanka. Gdyby tylko zastanowił się jak bardzo absurdalne były jego oskarżenia.

Zawsze wysuwał oskarżenia bez wgłębiania się w koszty, niszcząc coś cennego i kruchego przez własną nieuwagę - życie swojej matki, różę Belmont, dumę Sabriny.

Odłożywszy kawałek porcelany, podszedł wolno do Sabriny. Stał tak blisko, że czuł na swojej piersi jej ciepły oddech. Ów słodki szept poruszył go do głębi. Dotyk Alwyn nigdy tak na niego nie podziałał. Spuszczona głowa Sabriny uparcie odmawiała spojrzenia w oczy Morgana.

- Pewnie nie przeczytasz mi tej baśni, tak jak obiecałeś? Tej o ślicznej dziewczynie imieniem Dalila.

- Raczej nie - wyszeptała.

- To może partyjka szachów? Przysięgam, że nie wywrócę szachownicy. Nawet jak wygrasz.

Sabrina potrząsnęła głową. Między nimi zapanowała głucha, niespokojna cisza. Morgan pogładził ręką swoje wilgotne włosy, czując w sobie śmiertelny ciężar swojego poczucia winy. Opadł ciężko na krzesło.

Sabrina uznała, że zadowolenie jej męża nie było możliwe, więc postanowiła zadowolić samą siebie. Nie zwracając uwagi na Morgana, usiadła na stołku i zaczęła grać na swojej harfie.

Jednakże usilne próby ignorowania jego obecności wkrótce ją zawiodły. Jego męska obecność, choć nieruchoma i pogrążona w ciszy, nadal władała całym pokojem. Nie można było nie zauważyć tego muskularnego górala, zupełnie nieświadomego swojego uroku, któremu Sabrina nie była w stanie się oprzeć.

Spojrzała na niego ukradkiem. Jej głos zawahał się, szepcząc przysięgę wiecznej miłości do niewiernego zalotnika. Tęsknota zgasła jej głos. Oczy Morgana były przymknięte, a gęste złote rzęsy spoczywały na policzkach. Wyciągnął swoje umięśnione nogi przed siebie. Owinięty wokół nich pled zsunął się, ujawniając cudowne, niczym odlane z brązu uda, pokryte delikatnym puchem piaskowych włosów. Sabrina upajała się tym widokiem niczym szklanką zimnej wody w upalny dzień.

Pociągnęła za struny delikatnego instrumentu, a angielska melodia plotła się sama pod dotykiem jej palców. Melodia, którą nuciła

im jej matka w mroźne, zimowe wieczory, kiedy płatki śniegu uderzały łagodnie o szyby okien komnaty na poddaszu. Uwielbiała patrzeć, jak Morgan się relaksuje. Wydawało jej się, że widzi, jak napięcie wydostaje się z niego i spływa po jego mięśniach, a groźnie zmarszczone brwi rozluźniają się z zadowoleniem. Pragnęła dotykać jego twarzy, tak jak dotykała swoją harfę, z czułością, szacunkiem i radosnym pragnieniem. Morgan poruszył się w swoim krześle i westchnął sennie:

- Cudowna melodia, Beth.

Palce Sabriny zastygły w bezruchu. Morgan otworzył oczy, lecz nie mogła odczytać z nich nic więcej prócz konsternacji. Wstrzymała oddech. A może tylko jej się wydawało? Może wcale się nie pomylił?

Morgan potarł czoło.

- Musiałem chyba przysnąć. Pójdę do łóżka, zanim będziesz musiała wzywać Fergusa, żeby mnie zaniósł.

Ciężkim krokiem podszedł do drzwi i nagle się zatrzymał. Sabrina czuła, że jego przeciągająca się obecność ścisła jej serce niczym imadło. Pragnęła, by już wyszedł. Chciała w samotności pograć się w rozmyślanie nad wszystkimi wątpliwościami, które leżały na jej sercu niczym ciężki kamień. Wreszcie, gdy nie mogła już dłużej tego znieść, wstała i rozchwianym krokiem podeszła, by przed nim stanąć.

- Na miłość boską! Na co czekasz człowieku?

Morgan stał z rękami złożonymi na piersi niczym grecka statua.

- Na mój pocałunek na dobranoc.

Jego bezczelność wprowadziła Sabrinę w osłupienie. Położyła ręce na biodrach.

- Zdaje się, że zaniedbałam twoją naukę, jeśli chodzi o cywilizowane zwyczaje. Jeśli mąż zrani uczucia swojej żony, małżonkowie nie całują się na dobranoc.

Morgan stał jeszcze moment w miejscu, starając się zrozumieć ic ludową tradycję. Po chwili zbliżył się do niej i uniósł ją wysoko w górę. Jego usta sięgnęły jej ust, a ich języki tańczyły razem, aż całe ciało Sabriny zaczęło pulsować w rytm erotyzmu Morgana. W jego oczach płonęło pożądanie. Sprężysty atlas jego ust sprawił,

że prawie zapomniała o ostrzeżeniu Ewy, wyrzuciła z głowy prawie wszystkie myśli. Prawie.

- Głupi zwyczaj - powiedział, stawiając ją z powrotem na nogi. - Dobranoc, smarkulo. - Zamknął za sobą drzwi z delikatnością, która zdawała się drwić z jej tłukącego się w piersi serca.

- Dobranoc Morgan - szepnęła. - Nic dziwnego, że zawsze nazywa mnie smarkulą. Pewnie nie pamięta, jak mam na imię.

Słyszając jej głos, Pugsley wygramolił się spod łóżka. Sabrina przykryła stłuczony dzbanek kawałkiem obrusa, nie mogąc znieść już jego widoku. Czyżby Ewa miała rację? Czy Morgan rzeczywiście nie różnił się niczym od swojego ojca? Czy przez te wszystkie lata kochał się w jej matce? Studiując swoje wspomnienia, odnalazła w nich twarz Morgana, chłopięcą twarz przepelnioną tęsknotą, gdy słuchał śpiewu Elizabeth.

Sabrina przycisnęła rękę do brzucha, starając się zatrzymać rozchodzący się po nim tępy ból. Nie umknęła jej jednak ironia tej sytuacji. Kiedy ona opierała brodę na swojej pulchnej pięści, by z uwielbieniem przyglądać się Morganowi, on w tym czasie tym samym wzrokiem wpatrywał się w jej matkę.

Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Oni wszyscy podziwiali Elizabeth. Wszystkie serca w rezydencji Cameronów biły tylko do niej. Sabrina całe życie walczyła, by jej dorównać.

Sabrina, gdyby tylko chciała, mogła być rozpuszczoną, próżną smarkulą, za jaką uważał ją Morgan, ale ona, zamiast tego wolała być pełna gracji, hojna i dobrze wychowana.

Sabrina starannie dusiła wszystkie płonące w niej żądze. Siadała w oknie, kładła na kolanach swój zestaw do haftowania i patrzyła tęsknie jak Morgan i jego bracia galopowali na wrzosowe wzgórza na swoich kudłatych kucykach. By zadowolić matkę, była gotowa wyjechać do Londynu i poślubić jakiegoś statecznego Anglika, wiedząc, że jej serce zawsze będzie należało do gór i tego dzikiego, upartego chłopaka, który kiedyś je skradł.

Sabrina zawsze była małą różyczką swojej matki. Śliczna księżniczka swojego ojca. A teraz była uroczym zwierzątkiem Morgana, podskakującym do niego za każdym razem, gdy szarpnął smycz.

Nigdy jednak nie była kobietą. I nigdy żoną.

Podczas gdy Enid znalazła w sobie odwagę, by zerwać łańcuchy przeszłości, Sabrina wpadła w tę samą pułapkę. Starła się rozkochać w sobie ludzi Morgana, mając nadzieję, że jeśli uda jej się zdobyć ich serca, zdobędzie też serce ich wodza.

Oparła się rękami o stół i wodziła po komnacie płonącym wzrokiem, w którym nie było już dziecięcych złudzeń. Nie było tam teraz nic z Sabriny Cameron ani jej charakteru, ani osobowości. Wszędzie czuła tylko rękę swojej matki. Na porcelanowym dzbanku do herbaty przysłanym na jej koszt z Londynu, na świeczkach wytopionych na jej rozkaz, na dziewiczej pościeli obręzionej precyzyjnym ścięciem.

Wszystko, co było w komnacie Sabriny, łącznie z psem, należało wcześniej do Elizabeth Cameron. Coraz bardziej przekonywała się do tego, że do niej również należało serce Morgana.

Sabrina kochała swoją matkę. Podziwiała ją. Szanowała. Ale nie mogła być nią. Nawet dla Morgana.

Przez wszystkie te lata Morgan z perwersyjną przyjemnością starał się stracić koronę z jej głowy. Teraz przyszedł czas, by sama się jej zrzekła.

Pugsley warknął z aprobatą, gdy wyciągała spinki z włosów, które opadały na jej ramiona, układając się w ciemne pukle.

W takie noce Morgan żałował, że nie jest człowiekiem pijącym. Nawet najbardziej lodowata woda nie byłaby w stanie ugasić szalejącego w jego lędźwiach ognia. Jego zmęczenie zniknęło wraz ze słodkim przyzwoleniem ust Sabriny. Perspektywa snu była teraz tak odległa, jak szansa na rozluźnienie jego ogarniętego pożądaniem ciała.

W momencie strasznej słabości pragnął być mężczyzną, za lakiego uważała go Sabrina. Zazdrościł ubogiej moralności swojemu przodkowi Strasznemu Halbertowi, który zamknąłby piękną dziewczkę Cameronów w lochu i gwałcił, gdyby tylko naszła go na to ochota.

Jęcząc, Morgan chlusnął sobie w twarz wodą. Przeszedł cały hall w poszukiwaniu pociechy i anonimowości wśród rozkrzyczanych

członków swojego klanu. Ich liczba zmniejszyła się przez ostatnie lata, a sporadyczne najazdy Grantów i Chisholmów stały się bardziej zuchwałe i krwawe. Większość MacDonnellów opuściła swoje rozpadające się chatki, a schronienia szukała w zamku. Razem jedli posiłki w hallu i gromadzili się na ławkach, by spać razem przykryci pledami tak, jak ich przodkowie pięć wieków wcześniej. Serce Morgana biło w rytmie grających fletów i bębnow.

- Hej-ho! Idzie! - zawył ostrzegawczo mężczyzna na widok innego, który uderzony pięścią sunął właśnie wzdłuż stołu.

Morgan złapał go za kark i odrzucił na bok, nie mrugnawszy nawet okiem. Fergus usiadł obok niego na ławce, muskając nosem kark siedzącej mu na kolanach dziewczyny, z czułością, której nie okazywał jeszcze kilka godzin wcześniej. Jeszcze jedno popołudnie z Sabriną i Morganem, a siwy łotr zacznie recytować Szekspira. Ewa przysiadła na drugim krańcu stołu, otoczona czterema MacDonnellami, którzy byli na tyle odległą rodziną, że nikt nie nazywał ich nawet kuzynami. Morgana dręczyły ich szeptki i chytre spojrzenia, które przypominały mu o wciąż niewyjaśnionej śmierci Angusa. Irytowała go myśl, że może nigdy nie dowie się, kto zamordował jego ojca.

Pragnął poczuć smak słodkiego zapomnienia tak jak wtedy, gdy Sabrina uśpiła go swoją pieśnią, przenosząc go marzeniami w czasie do spokojnej komnaty na poddaszu Cameronów, gdzie sopran Elizabeth łagodził krzyk, przekleństwa i gwałtowność, która naznaczyła jego całe młodzińcze życie. Kiedy się obudził, obserwowała go córka Beth, a jej spojrzenie wypełnione było zagadkowym bólem. Jego przelotny spokój pokruszył się pod falą oślepiającej żądzy.

Śnieg padał coraz mocniej. Migoczące płatki wpadały do hallu przez szczeliny po strzałach niczym lzy porzuconych gwiazd i topniały zaraz po zetknięciu się z rozgrzanym powietrzem.

Morgan zeszytywniał, gdy para wijących się ramion owinęła go od tyłu.

- Nie mogę patrzeć, gdy jesteś taki ponury. - Alwyn zamruczała do jego ucha. - Daj mi chwilę, a przywrócę tym pięknym ustom uśmiech.

Napreżone krocze Morgana podpowiadało mu, że rzeczywiście zajęłoby to tylko chwilę. Zaciśnął ręce wokół kufła. Przez chwilę chciał się nawet skusić. Sabrina nie musiałby o tym wiedzieć. Lecz gdy jego wzrok napotkał mądre spojrzenie Ewy, coś w nim drgnęło. Instynktownie wiedział, że gdyby to zrobił, czułby się jeszcze gorzej. Brudniejszy i niewarty dziewczyny, którą poślubił. Dziewczyny tak świeżej i czystej jak płatki śniegu wpadające do hallu. Już miał odrzucić jej propozycję, gdy nagle ucichła muzyka. Zamilkły piszczące flety i dudniące bębny. Fergus zakrztusił się whisky i wypluł ją na siedzącego naprzeciw chłopaka, który był tak zszokowany, że nie wytarł jej nawet z twarzy.

Podążając za wzrokiem wszystkich biesiadników, spojrzał w stronę drzwi. Gdy zobaczył, co tak bardzo ich urzekło, wyrwał kufel z ręki Fergusa i wypił do dna.

Rozdział 14

Morgan oddychał chrapliwie, gdy whisky płynęła w dół jego niedoświadczonego gardła. Nie mógł ani oddychać, ani nic przełknąć, i podejrzewał, że starania, by to zrobić i tak były skazane na klęskę, gdyż do hallu wbiegła Sabrina, patrząc na nich wszystkich niczym psotna, leśna nimfa.

Spódnica jej czerwonej sukni była upięta w tak wiele kokardek, że nawet strój Alwyn wyglądał przy niej skromnie. Nie miała na sobie żadnych halek ani półhalek, a każdy zawadiacki krok odsłaniał jej mleczone udo.

Była bosa. Jej włosy były rozpuszczone i tworzyły na jej plecach ciemną masę ozdobioną diademem atłasowych róż, które wyglądały podejrzanie, zupełnie jak te, które zwykle trzymały jej gorset we właściwym miejscu. Nie miała na sobie żadnego pudru. Jej policzki barwił naturalny rumieniec. Jedynie jej kapryśnie wydęte usta muśnięte były różem.

Morgan pragnął zająć się tymi ustami. Czule. Bezbożnie. Jego kroczce zaczęło pulsować ostrzegawczo.

Fergus nalał do kufła kolejną porcję whisky. Jego oczy skrzyły się radością.

- Pij chłopie. Mam przeczucie, że będziesz tego potrzebował, nim skończy się noc.

Morgan opróżnił kufel, nie spuszczać oka z Sabriny. Whisky spływała ognistymi strumieniami, aż do żołądka, dokąd, jak wydawało się Morganowi, przesunęło się teraz jego serce.

Sabrina mijając znieruchomiałych tancerzy, zatrzymując się co kilka kroków, by obdarzyć psotnym uśmiechem rozdziawione gęby. Srebrzyste salwy jej śmiechu przebijały się przez pełną napięcia ciszę. Zbliżała się powoli do stołu Morgana, a jej biodra kołysały się na znak zaproszenia. Kątem oka Morgan widział, jak Alwyn wskakuje na kolana Fergususa.

Sabrina serdecznie pocałowała Fergusa w policzek i usiadła okrakiem na ławce naprzeciwko Morgana.

- Czy łoże było dla ciebie za zimne mój panie? - Spojrzała na Alwyn, dając do zrozumienia, że zauważyła, jak ta wyparła się Morgana na rzecz Fergusa.

- Może przyszedłeś tu szukać ciepła?

Ręce Morgana zacisnęły się wokół kufla, złościąc w ceramicznym naczyniu świeże szramy. Mówił tak niskim głosem, że nawet Fergus musiałby się wysilić, by coś usłyszeć.

- Uważaj na słowa, dziewczyno. Moi ludzie wierzą, że dzielimy łoże i wolałbym, żeby tak zostało. A dlaczego nie jesteś u siebie?

Jej oczy otworzyły się szeroko i prostodusznie.

- Nie wiedziałam, że moja komnata ma być celą. Albo klatką. Czy jestem teraz twoim więźniem, Morgan? Czy może twoim zwierzątkiem? - Wsunęła ku niemu swoje nadgarstki. - Może chciałbyś mnie skuć?

Jej słowa i pozycja wywołały w nim erotyczne i barbarzyńskie zarazem pogańskie wyobrażenia. Morgan odrzucił jej ręce z powrotem na kolana, usiłując zignorować kuszące uda zwinięte wokół drewnianej ławki i wyściełany aksamitem nęcący wzgórek.

Rozchwiany głos ukrył w surowej nucie.

- Nie tak zachowuje się żona wodza.

- Och, aleja całe życie dobrze się zachowywałam i gdzie mnie lo zawiodło? Nie ma sensu pozwalać na zabawę tylko grzecznym dziewczynkom. - Ku jego ogromnemu zaskoczeniu Sabrina pochyliła się, ugryzła delikatnie jego ucho swoimi małymi, ostrymi zębami i wyszeptała:

- Twoi ludzie nie są tak głupi, jak ci się wydaje. Gdybyś ze mną sypiał, miałbyś ciekawsze rzeczy do roboty niż zamartwianie się.

Nim zdążył dobrać się do siebie, Sabrina tańczyła już poza jego zasięgiem. Spojrzał gniewnie, jednakże urzekła go iskierka w jej oczach. Biesiadnicy siedzący wokół Morgana zdążyli się już oddalić w strachu przed jego dziwnym spokojem.

Sabrina klasnęła, prosząc tym samym wszystkich o uwagę.

- Chciałabym wznieść toast. - Chwyciła wyszczerbiony kielich

z pobliskiego stołu i uniosła go wysoko. - Za moją nową rodzinę, MacDonnellów!

Została nagrodzona niepewnym wiwatem. Choć MacDonnellowie bali się kamiennego oblicza swojego wodza, nie mogli oprzeć się piciu przy każdej nadarzającej się okazji. Tym razem, gdy Fergus zaoferował Morganowi whisky, ten zamiast kufła wziął całą butelkę. Pociągnął i wytarł usta ręką.

Sabrina uniosła kielich do ust. Morgan był porażony spazmatycznym łukiem, w jaki zgięło się jej ciało i marszczącym się pod wpływem mocnego alkoholu gardłem.

Zszokowana mocą trunku Sabrina zmieniła barwę swojego głosu z kremowego jedwabiu na szorstki aksamit. Jej oczy świeciły się od łez.

- Obiecałam ci Fergus, że nauczę cię nowej piosenki i w przeciwieństwie do tego, co sądzi twój wódz, Cameronowie zawsze dotrzymują obietnicy.

Zacząła klaskać i przytupywać w gorącym rytmie. Jej entuzjazm okazał się być zaraźliwy. Chłopak grający na bębnach spojrzał niepewnie na Morgana i zaczął wybijać rytm na zwichrowanych skórkach. Kolejni ludzie dołączali do Sabriny, klaszcząc i tupiąc, aż cały hall dudnił zabawą.

Swawolna czystość głosu Sabriny wzniosła się nad wrzawą:

*Jadą hardzi MacDonnellowie, wiatr z ich złotymi włosami wojuje
Wymachują długimi sztyletami, lecz nie tak długimi jak ich...*

- Sabrina! - zaryczał Morgan.

Butelka whisky eksplodowała w jego rekach. Strząsnął złociste kawałki szkła, jak gdyby były płatkami róż. Dudnienie bębnów ucichło. Klaszczące ręce nagle się zatrzymały.

- Języki? - wyszeptała Sabrina, zahipnotyzowana widokiem Morgana, który skoczył na równe nogi i zbliżał się do niej szybkim krokiem.

Sabrina pomyślała, że może i lepsza taka reakcja niż żadna, jednakże jego drapieżny wdzięk przypomniawszy jej, że pociągnęła za

ogon smoka. I sądząc po dzikim blasku jego oczu, smok ten był głodny.

Thum rozstał się przed Morganem. Sabrina walczyła, by stać w miejscu, jednak jej nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wiodły ją w tył, dopóki nie uderzyła o brzeg stołu i nie mogła iść już dalej. Padł na nią jego wielki cień. Przez moment, zastanawiała się, czy Morgan nie złamie zaraz swojej przysięgi i nie uderzy jej tu przy wszystkich.

Pozbierała się jednak w sobie i odgarnęła włosy z twarzy.

- Mam nadzieję, że moja skromna piosenka cię nie zdenerwowała. Myślałam, że będziesz zaszczycony, słysząc wyrazy uznania dla MacDonnell... - Stanowcza mina jej męża odebrała jej nagle mowę. Wgryzła się zębami w dolną wargę.

- Wytrzymałości? Męstwa? - spytał.

Chwycił jej ramiona. Jego palce głaskały jej skórę w pieszczocie, która stawała się coraz bardziej brutalna. Jego szelmowski uśmiech przypomniawszy jej, że niektóre kary mogą być dużo bardziej nieludzkie od zwykłego zakucia w kajdany.

Zmusiła się, by oderwać wzrok od jego cudownie szerokiej klatki piersiowej.

- To była tylko piosenka. Nie miałam zamiaru nikogo urazić.

- I nie uraziłaś. - Puścił ją, jednak westchnienie ulgo zatrzymało się w jej gardle, gdy wsunął rękę w jej włosy, by objąć jej kark. Jego zwinne palce sunęły przez burzę jej włosów.

- Bałem się, że możesz uwierzyć chwalącemu nas bardowi. Może masz ochotę na prywatną demonstrację?

Palce Morgana szukały i wreszcie znalazły pulsujące żyłki na skórze jej głowy. Głowa Sabriny opadła do tyłu pod zniewalającym naciskiem jego dłoni.

- Nie dziękuję. Wierzę ci na słowo.

Morgan przesunął się lekko, by zasłonić sobą ciekawe spojrzenia członków klanu.

- To w takim razie może wolisz publiczną? Łagodność jego głosu dała jej do zrozumienia, że zbyt szybko doprowadziła go do ostateczności, że był w pełnej gotowości, by pokazać, iż nie bez powodu ludzie uważają go za niebezpiecznego człowieka.

Jednakże nawet to nie przygotowało jej na zdziwienie, jakie ogarnęło ją, gdy poczuła rękę skradającą się do jej gorsetu i zaciskającą się na nagiej piersi. Masował delikatną kulę w swej dłoni, a kciukiem sięgał jej wrażliwego koniuszka. Jej ciało odpowiedziało szybką reakcją. Triumfalna mina Morgana ostrzegła ją, że to zauważył.

Ta zdrada była dużo gorsza niż jego chłopięce terroryzowanie. Beznamiętne pieszczoty zbezczęściły nie tylko jej ciało, ale przede wszystkim serce.

Jej zraniona duma i ból, który tłamsiła przez wszystkie te lata, doszły teraz do głosu.

- Jak sobie chcesz, Morganie MacDonnellu. Po twoich upodobaniach i tak nie spodziewałam się niczego więcej.

- Nie chciałem więc cię zawieść.

Morgan, nie zdradzając nawet cienia wyrzutów sumienia, puścił jej pierś i splótł palcami jej dłoń, popychając ją lekko, tak jak mąż popycha żonę, gdy oboje udają się do sypialni. Sabrina uśmiechnęła się bezradnie przez ramię i ujrzała obserwującą ich Ewę. Jej usta krzywił pełen satysfakcji uśmieszek.

Sabrina pokonała chęć, by wlec za sobą nogi tak, jak zwykły robić to rozkapryszano dzieci, gdy Morgan prowadził ją przez niekończące się labirynty zamku MacDonnellów.

Nie mogła jednak powstrzymać się od buntowniczych pomruków.

- Czy chodzenie nie jest zbyt cywilizowane jak na twój gust? Nie powinienes przypadkiem przerzucić mnie przez ramię albo ciągnąć za włosy.

Morgan zatrzymał się tak szybko, że Sabrina wpadła na jego plecy. Kiedy się odwrócił, jego oddech przypalił ją niczym smoczy ogień. Zdziwiła się, że nie opalił jej włosów.

- Nie kuś - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Piłeś - odpowiedziała oskarżycielskim tonem.

- Ty nawet mnicha wpędziłabyś w pijaństwo.

- Och, ale przecież ty nie jesteś mnichem, prawda?

Jego niski głos sprawił, że włosy na karku Sabriny stanęły dęba.

- Nie, ale żyję jak mnich. I jestem już tym cholernie znużony. Ciągnął ją za sobą, zwalniając tylko przed zwałami pokruszonej

zaprawy murarskiej. Sabrina, przechodząc nad nimi, przewróciłaby się wiele razy, gdyby jej w porę nie przytrzymał. Kiedy mijali jakiś ciemny kąt, Sabrina rozpoznała w nim ślepy zaułek, który odkryła podczas jednego z pierwszych dni pobytu w zamku MacDonnellów.

Śnieg przedostawał się do środka przez lekko wypaczone okna niczym małe drobinki gwiazdowego pyłu tańczące na ostrym powietrzu. Podmuchy wiatru wprawiały poszarpane gobeliny w szaleńczy taniec. W nocnej ciemności wydawało się, jakby śnieg tworzył wielką błyszczącą kurtynę. W pękniętym lustrze ujrzeli swoje wyniosłe odbicia.

Morgan pomaszerował do lustra, zostawiając Sabrinę na środku korytarza.

- Cholera! Przysięgnęłbym, że tu były drzwi.

Ich szalona ucieczka zdawała się nie mieć końca ani celu. Sabrina zaśmiała się histerycznie. Starła się zatrzymać mimowolny chichot, zasłaniając ręką usta, lecz nie przyniosło to oczekiwanych rezultatów. Jej radosna mina zniknęła dopiero na widok twarzy Morgana.

- To wszystko jest dla ciebie dobrym żartem, tak? Mój popadający w ruinę zamek. Mój żaloszny klan. Zupełnie jak ta głupia rymowanka napisana przez kogoś, kto chciał pokazać MacDonnellom, gdzie ich miejsce. Pod twoimi małymi stopami.

Jego złość nie przeraziła jej tak bardzo, jak iskierka zupełnie innych emocji w jego oczach. Pomyślała, że nie mogłaby go skrzywdzić. Nie potrafiłaby.

- Czyli postanowiłaś zniżyć się dziś do naszego poziomu? To dlatego ubrałaś się jak... jak... - Zamilkł.

- Flejtucha? - zapytała zadziornie. - Taki typ kobiet przecież preferujesz.

- To Alwyn do mnie podeszła - wybuchnął.

- A ile razy już zdążyła do ciebie podejść, odkąd jesteśmy małżeństwem?

Na jego ustach pojawił się drapieżny uśmiech.

- Zazdrosna smarkula? Uważaj na słowa albo pomyślę, że się tym przejmujesz.

- Niech Bóg mi dopomoże, jeśli tak jest!

Jej żarliwa deklaracja wydała się uśpić jego czujność. Przechylił głowę na bok i zaczął się jej uważnie przyglądać.

Sabrina trzęsła się pod jego wzrokiem. Nagle zdała sobie sprawę, jak zimno było w tym pełnym przeciągów korytarzu. Nigdy nie przypuszczała, że gruba warstwa bielizny dostarczała jej tyle ciepła. Bez niej czuła się naga, zdemaskowana, i podatna na zimny wiatr, który lizał jej uda i żar płonący w oczach Morgana. Gdy spuścił wzrok, kontrast pomiędzy tymi dwiema skrajnościami naprężył koniuszki jej piersi. Dla bezpieczeństwa zakryła klatkę piersiową ramionami.

Szczeka Morgana zacisnęła się. Odsunął się od niej.

- Co by powiedziała twoja matka, gdyby cię teraz zobaczyła?

- A kogo to obchodzi!

Morgan odwrócił się, słysząc zdławiony krzyk Sabriny. Czuł się sprowokowany i zafascynowany iskierką pożądania w jej oczach, o której istnieniu tylko marzył. Pochwyciła swoją obszarpaną spódnicę i zaczęła przemierzać korytarz.

- Nie jestem moja matką! Nie umiem zachowywać się tak, jak ona. Nie umiem być uprzejma dla głupców, nigdy nie widziałam sensu w ozdabianiu pościeli tymi maleńkimi kwiatkami, których i tak nikt nigdy nie zauważy, ani w bawialni pełnej kobiet rozmawiających tylko o dzieciach i wyszywaniu.

Sabrina odwróciła się i przeszła obok niego ocierając się o jego ramię. Morgan zamknął oczy i zatopił się w zapachu jej rozpuszczonych włosów, który podziałał na niego mocniej niż whisky, powodując chwiejność nóg.

- Przeklęte róże - wyszeptał pod nosem.

- Róże! - Sabrina chwyciła jego słowa niczym linę. - Ale dlaczego? Wiem! Mama chce, żeby róże były przysłane z Anglii. Chce, żeby miały rodowody nawet dłuższe niż Pugsley. Sadzi je w precyzyjnym ustawieniu, a jeśli choć jedna ośmieli się zbuntować i odchylić mały listek, wtedy ciach! - Sabrina przecięła powietrze wyimaginowanymi nożycami. - Odcina im główki!

Morgan poczuł w piersi dziwny ciężar. Oczy Sabriny świeciły jasno. Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. Tę samą minę widział na jej twarzy, gdy po raz pierwszy zobaczyła zamek MacDonnellów. Ten sam wyraz twarzy miażdżył go, kiedy był jeszcze chłopcem.

Jej szkocki akcent nabrał siły, a głos brzmiał teraz dokładnie jak echo głosu jej matki, lecz wydawał jedyne w swoim rodzaju, charakterystycznego tylko dla niego echo.

- Och, ale ja uwielbiam dzikie róże i ich kujące kolce, którymi rozrywają rękawy i drapią do krwi. Lubię, spacerując, złowić wzrokiem jakąś różową albo żółta plamkę na jałowym wzgórzu i wspinać się aż na samą górę, brudna i zdyszana, by znaleźć jedną małą różyczkę rosnącą wśród kamieni, zbyt upartą, by dać się wygonić przez skalistą glebę.

Złapała jego pled w zaciśnięte pięści i potrząsnęła nim delikatnie.

- Te kwiaty są cudowne i wolne. Musisz przelać swoją krew, by ich dotknąć. Nigdy nie rozkwitną w niewoli. - Pochyliła głowę, opierając ją miękko na jego piersi. Jej głos złagodniał i przeszedł w szept. - I ja też nie, Morgan. Nie mogę spędzić życia w złotej klatce, tylko by sprawić ci radość.

Sprawiała mu dużo większą radość, niż mogła sobie wyobrazić. Przyjemnie mu było na samą myśl, że nawet przebrana za dziwkę, nigdy nią nie będzie. Nawet bosa, z dziko rozpuszczonymi włosami okalającymi jej twarz, z ustami muśniętymi szkarłatem, wyglądała na taką samą damę, jaką była mając zaledwie sześć lat. Czystość wykraczała poza jej cielesność. Nie zniszczyłoby tego nawet jego samolubne, męskie posiadanie.

Zdmuchnął zbłąkany płatek śniegu z jej włosów.

- Sabrina?

- Tak Morgan?

- Wciąż za dużo trajkoczesz.

Sabrina zadrżała, gdy ręce Morgana objęły jej talię, odwracając ją w stronę lustra. Sabrinie zaschło w gardle na widok cennego blasku w jego oczach. Ostry aromat whisky w jego oddechu mieszał się ze świeżym zapachem otulającym ją odurzającą chmu-

ra. Ciepło jego ciała urzekająco kontrastowało z chłodnym powietrzem. Powstrzymanie się przed oddaniem się Morganowi kosztowało Sabrinę wiele wysiłku. Ich splecione w uścisku odbicia połyskiwały w mglistym szkle.

- Nie musisz być nikim poza sobą, Sabrino. Każdy mężczyzna uznałby cię za cudowną. - Jego chropowaty głos był zabarwiony pożądaniem. Pogłaskał jej policzku wierzchem swoich opalonych dłoni. - Ty jesteś biała, ja jestem czarny. - Oszołomiona Sabrina patrzyła, jak jego delikatne ręce prowokacyjnie przesuwają się w dół, powoli rozpinając jej gorset, póki nie otworzył się, niepewnie odsłaniając różowe koniuszki jej piersi. Jego ręce muskały jej rozpalona skórę. - Gładka, tam gdzie ja szorstki. Delikatna. - Włosy zsunęły mu się na twarz, a on sięgał jeszcze niżej, aż objął dłońmi jej kobiecy żar. Zbliżył się, dopasowując swoje biodra do jej pośladków. - Tam gdzie ja twardy.

Sabrina westchnęła gwałtownie, czując na sobie mężny dowód jego słów. Sabrina odchyliła głowę do tyłu, a lekkie jak szept pocałunki Morgana rozsypały się na jej szyi niczym płatki róż. Prawie nie rozpoznawała kobiety w lustrze - wyuzdane stworzenie, rozchylone pożądliwie wilgotne usta, rozłożona przed władczym ciałem mężczyzny, który trzymał jej serce w dłoni.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Sabrina zastanawiała się, czy tak właśnie czuła się Alwyn. Czy tak czuły się w jego ramionach wszystkie inne kobiety.

Dreńczyły ją ostre jak zapach pieczonego piernika wspomnienia. Szczuplejszy, młodszy Morgan siedzący na stołku w kuchni Cameronów, siedząca na jego kolanach rozpalona, pokojówka całująca go namiętnie. Sabrina wpadła na nich, wchodząc do kuchni, lecz wycofała się, nim zdążyli ją zauważyć. Tego i następnego wieczora nie jadła kolacji, nie potrafiła spojrzeć w zadurzone oczy służącej, nie tracąc apetytu.

Morgan delikatnie zacisnął dłonie, wydając z siebie tryumfalny jęk. Sabrinę ogarnęła panika. Czy Morgan kochał się teraz z żoną, czy po prostu z kolejną kobietą, świeżą zdobyczą głodnego zwycięstwa MacDonnella? Nie zniosłaby myśli, że jej niewinność jest dla niego kolejnym cholernym trofeum.

Zagryzając wargi i tłumiąc krzyk zeszywniała i uchyliła się przed łagodnym naporem jego palców. Morgan od razu wyczuł, że jego żona się wycofuje. Jego ręka - znieruchomiała. Uniósł głowę. Sabrina widziała w lustrze jego wzrok, który u innego mężczyzny uznałaby za oznakę zdrady.

Nim zdążyła jakoś się wytłumaczyć, skłamać czy usprawiedliwić, Morgan jednym ruchem obrócił ją w swoją stronę i przyparł do lustra swoim twardym jak stal ciałem.

Jego oczy zamigotały, przywodząc Sabrinie na myśl tego podłego chłopaka, którym niegdyś był.

- Co ci jest dziewczyno? Boisz się, że skradnę dla siebie chwilę przyjemności? Wzdrygasz się pod moim dotykiem. Nie chcesz na swoim ciele brudnych rąk swojego męża?

Sabrina przycisnęła swoją suknię do gardła.

- Proszę, Morgan...

- Prosisz o co? Proszę nie hańb mnie swoją bezwartościowością? A może robisz to, co zawsze Cameronom wychodziło najlepiej? Obnosicie się z czymś niewyobrażalnie pięknym tuż przed naszymi oczami, a gdy już zdobędziemy się na odwagę, by po to sięgnąć, wyrwacie nam to z rąk!

Sabrina zamruwała oczami ze smutnym zdziwieniem. Czymś niewyobrażalnie pięknym? Jak śmie teraz z niej drwić? Spojrzenie Morgana zagrzmiało, jak gdyby jego inteligencja i samokontrola walczyły właśnie ze stuleciami barbarzyństwa, którym było karmione jego masywne ciało. Sabrina odwróciła głowę, by ukryć narastający w niej strach. Kiedyś jego okrucieństwo miało tylko moc, by ją ranić. Teraz wiedziała, że może ją zniszczyć. Zamknął jej ramiona w nieustępliwym uścisku. - Zawsze mnie nienawidziłaś dziewczyno, prawda? Może już najwyższy czas bym dał ci ku temu dobry powód?

Niesprawiedliwość jego słów uderzyła Sabrinę z taką siłą, że przerwała trwające od trzynastu lat milczenie. Odrzuciła włosy, ukazując mu dużo więcej niż tylko twarz.

- Nigdy nie czułam do ciebie nienawiści! Kochałam cię! Oddawałam cześć ziemi, po której stąpały twoje aroganckie stopy!

Przez moment jedynym dźwiękiem, jaki oboje słyszeli, był

stłumiony szept płatów śniegu opadających na kamienną podłogę. Morgan stał nieruchomo, sparaliżowany lśniącym blaskiem w oczach Sabriny. Zrozumiał, że to były łzy. Łzy, na które od tak dawna czekał. Były olśniewające niczym płynne diamenty drżące na jej rzęsach, spływające po jej bladych policzkach. W końcu złamała swoją przysięgę. Ta piękna dziewczyna płakała teraz dla niego. Dla Morgana MacDonnella, złego, wyrośniętego syna bezwzględnego drania.

Jego ręce trzęsły się, gdy dotykał jej policzków i maczał palce w jej jedwabistych łzach. Zatrzęsała się pod łagodnym naporem jego dłoni. Jej usta drżały, a czubek nosa zaczerwienił się. Morgan nigdy nie wiedział niczego równie uroczego. Gdy pojedyncza łza zastygła w bezruchu na jego palcu, uniósł ją do ust i skosztował jej słonego ciepła. Zbliżył się do niej ośmielony oszołomiony smakiem jej odwagi. Nawet najbardziej zaprzysiężony wróg nie zaryzykowałby złożenia na jego ręce takiej broni.

Sabrinę ogarnęło przerażenie, gdy tylko płomienne wyznanie przed chwilą przez nią wypowiedziane dotarło do jej świadomości. Przysłoniła usta ręką, jak gdyby mogła w ten sposób cofnąć słowa. Ale było za późno. Na twarzy Morgana pojawił się oślepiający wręcz uśmiech, kusząca mieszanina chłopięcego tryumfu i marzeń.

- Niech mnie diabli wezmą! - szepnął. - Wyobrażasz sobie? Sabrina objęła policzki dłońmi, chroniąc się w ten sposób przed wybuchem śmiechu i drwinami.

Jednakże speszony uśmiech nie zniknął z twarzy Morgana.

- Podoba ci się to, co? Kto by pomyślał?

Sabrina zmarszczyła czoło, zastanawiając się, czy nie jest bardziej pijany, niż sądziła. Błyskotliwy urok jego uśmiechu niemalże ją oślepił. Sabrina wciąż stała sztywno, gdy odwrócił się i odszedł, wciąż kręcąc swoją płową czupryną.

W pustym korytarzu rozniosło się ostrzeżenie Ewy. Nie oddawaj mu swojego serca dziewczyno. Będzie cię nim potem karmił, kawałek po kawałeczku, aż w końcu się nim zadławisz.

Sabrina oparła się ciężko o lustro.

- Dobry Boże! Co ja najlepszego zrobiłam!

Rozdział 15

- Enid! Obudź się! Enid, proszę!

Syczący szept ledwie doszedł uszu Enid. Śniła, że pływa naga i lekka w jeziorze słodkiej śmietany. Randal czekał na nią na brzegu, a jego wyciągnięte ręce ociekały sokiem z soczystych, dojrzałych truskawek.

- Mmm - zamruczała, oplatając rękoma wąską talią Randalda. Hcknął przez sen.

- Na miłość boską Enid, obudź się!

Desperackie błagania Sabriny nie przyniosły jednak takiego efektu, jak wstrząśnięcie ramionami Enid, która już po chwili się obudziła. Puściwszy Randalda, przewróciła się na drugi bok i otworzyła zaspane oko.

- S... Sabrina? - wymamrotała, widząc swoją kuzynkę kucającą na podłodze przy łóżku, schowaną za obszerną peleryną i kapturem.

Sabrina przyłożyła palce do ust na znak ostrzeżenia.

- Nie budź Randalda. Potrzebuję twojej pomocy. Stało się coś strasznego. Enid zaczęła obmacywać kieszeń w poszukiwaniu buteleczki z solami trzeźwiącymi, zapominając o tym, że jest przecież naga.

- Co się stało? Atakują nas Chisholmowie? Zamek się pali?

- Jest gorzej. Dużo gorzej. - Sabrina zrobiła niewielką, dramatyczną pauzę. - Powiedziałam Morganowi, że go kocham.

Enid uśmiechnęła się marzycielsko i opadła z powrotem na poduszkę.

- To słodkie. Zastanawiałam się, kiedy wreszcie to zrobisz. Sabrina mocno potrząsnęła kuzynką. Oczy Enid znów się otworzyły.

- To wcale nie jest słodkie - syknęła. - To straszne. Morgan wie. Jestem teraz wobec niego bezradna.

Panika Sabriny powoli zaczynała się przesączać do świadomości Enid. Nawet w bladym świetle ognia, twarz Sabriny wyglądała na skrajnie bladą, a jej oczy przysłaniał cień. Enid, zupełnie już rozbudzona, wsparła się na łokciu.

- Czy wy nigdy nie...?

- Nie! Nigdy!

Obie wstrzymały oddech, gdy Ranałd nagle przewrócił się na drugi bok, mamrocząc coś o pieczonej baraninie. Po chwili znów spokojnie chrapał.

- To naprawdę nie jest takie straszne, jak mówią ludzie - wyszeptała Enid. - Przynajmniej nie po pierwszym razie. Oczywiście z mężczyzną tak dorodnym... hmm... postury Morgana...

- Enid! - jęknęła Sabrina. - Nie słuchasz mnie! Enid odetchnęła głęboko w nagłym olśnieniu.

- Ach, ty nie boisz się, że on cię zrani! Ty się boisz, że on tego nie zrobi!

Sabrina spuściła wzrok, przypomniawszy sobie oplatającą ją ciepłą dłoń Morgana i rozplywająca się przyjemność, która powaliłaby na kolana nawet najbardziej dumną kobietę. Nie miała innego wyboru. Musiała uciekać nim zdąży dostrzec, że dziecinne zakochanie przerodziło się w dojrzałą, kobiecą miłość.

- Nie mogę tu zostać - powiedziała miękko. - Muszę wracać do rezydencji Cameronów, nim będzie za późno, nim stanę się jedną z tych zadurzonych w Morganie nierządnic, włóczących się po hallu i modlących się, by to z nimi zechciał spędzić tę noc.

- Chyba nie sądzisz, że pozwoli ci odejść?

- Jadę już teraz. Tej nocy. Ale nie mogę jechać sama. Zrozpaczone oczy Enid wędrowały pomiędzy Sabriną a Ranał-

dem. Cudownie wyrzeźbione usta Ranałda rozchyliły się lekko. Wyglądał jak dwunastolatek.

Sabrina błagalnie ścisnęła dłoń kuzynki.

- Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale sama nie przedrę się przez góry.

Enid przyglądała koldrę na piersiach Ranałda.

- Czasami wydaje mi się, że ten twój mąż nie jest wart całego tego zachodu.

Sabrina zdołała wydobyć z siebie słaby uśmiech. Wszystkie te odważne słowa, które mówiła kiedyś Morganowi były kłamstwem. I była zbyt tchórzliwa, by ryzykować zakrwawienie swoich dłoni, wyciągając ręce po tę dziką różę rosnącą poza jej zasięgiem.

- W porządku. Mam z nim same problemy. Ale głęboko wierzę, że jest tego wart. Jednak za bardzo się boję, by się tego dowiedzieć.

Pośpiesznie owinęła zrzędzącą Enid w ciężką podomkę i pelerynę i zagoniła ją do drzwi.

Ranald otworzył oczy. Westchnął ciężko, oparł głowę za ramionach i zapatrzył się w sufit.

- Niech cię diabli Morgan! Gdybyś trzymał małą smarkulę w swoim łóżku tam, gdzie jej miejsce, człowiek mógłby spokojnie w nocy odpocząć, a rano poprzytulać.

Po dłuższym zastanowieniu, wyczołgał się spod ciepłej kołdry i wślizgnął się w swoje spodnie w szkocka kratę, cały czas dygocząc i przeklinając pod nosem z elokwencją zadającą kłam brakowi wykształcenia.

Prześciśnięcie Pugsleya przez szczelinę w oknie okazało się być dużo prostsze, niż przepchniecie przez nią Enid. Gdy zawisły w niej biodra jej kuzynki, a jej stękanie nabrało alarmującego charakteru, Sabrina przeraziła się na samą myśl o tym, że znów może stać się obiektem drwin MacDonnellów. Nic dziwnego, że Morgan nienawdził, jak się z niego naigrawano. Wreszcie pchnęła zadek Enid tak mocno, że obie przewróciły się w świeżą hałdę za oknem. Pugsley tańczył wokół nich, szczekając i próbując *ugryźć* ich owinięte w grube rajstopy kostki.

Enid poturlała się kawałek, aż wreszcie usiadła. Twarz miała pokrytą śnieżnym puchem.

- Nie musiałaś mnie pchać. Mogłaś złamać mi kark. Sabrina podniosła rzucającego się psa.

Jeśli Morgan przyłapie nas na ucieczce, nie oszczędzi mi na pewno kłopotów.

Słyszając to, Enid zerwała się na równe nogi. Pobiegły w stronę stajni. Ciężkie peleryny spowalniały ich kroki. Wiatr złagodniał, u niebo uplotło pulchne pierze z lodowych kryształów. Padający śnieg wyciszał ich kroki, jednak głośne bicie zboląłego serca

Sabriny zakłócało otaczającą je ciszę. Chwiejące się stajnie osiadły pod ciężarem zaśnieżonych sosnowych gałęzi. Sabrina i Enid wymieniły nerwowe spojrzenia, nim każda z nich złapała za jeden z uchwytów, otwierających grubo ociosane drzwi. Uderzył je ciepły podmuch zatechłego powietrza, przerywany przez senne parskanie koni. Gardłowe warczenie Pugsleya było jedyną rzeczą, jaka ostrzegła je przed diabelską poświatą rozdzierającą ciemność. W stajni rozbłyły oczy i rozległo się dudnienie podków.

Sabrina i Enid poderwały się w jednej chwili, zatrzasnęły drzwi i przyłgnęły do nich plecami. Cała stajnia zatrzęsała się.

- Pookah - szepnęła Sabrina, tłumiąc w rękach skomlenie Pugsleya.

Pozbawione możliwości pożyczania jednego z wierzchowców MacDonnellów, okrążyły zamek i znalazły się nad urwiskiem, całe przemoczone i zmarznięte. Kłębiące się białe morze pochłonęło wrzosowiska. Wiatr wył, przecinając tę wielką pustkę, co chwilę strącając kaptur z głowy Sabriny i wyciskając z jej oczu potok łez.

- To nie jest chyba jedyna droga, prawda? - spytała niepewnie Enid.

- Na pewno nie - powiedziała Sabrina, sama nie dowierzając temu, co czuła. - Jesteśmy przecież na górze, prawda? Musimy tylko zejść, a potem będziemy już bezpieczne i zobaczysz, że jeszcze przed świtem będziemy grzać się przy kominku w rezydencji.

Te słowa obu im dodały otuchy. Pomaszerowały w stronę lasu, który miał dać im na chwilę schronienie.

Wbrew rozsądkowi, Sabrina pozwoliła sobie na ostatnie głodne spojrzenie na zamek MacDonnellów.

Nocne niebo rozłożyło swój śnieżny koc na rozpadającym się gmachu, zasłaniając wszystkie jego wady i rozdzierające serce zaniedbanie, które pozbawiło zamek jego niegdysiejszej chwały. Ogień migotał w jego oknach, mrugając znacząco niczym oczy nocy. W zamglonej poświacie prezentował się romantycznie i eterycznie niczym królestwo pasujące do swego brutalnego księcia Morgana i jego wielkiej dumy.

Enid szarpnęła za jej ramię.

- Jeśli się nie ruszysz, zamienisz się w słup soli, jak żona Lota.

- I na to właśnie zasługuję.

Byłoby to tym, na co zasługiwała, gdyby Morgan znalazł ją rano ze stopami przymarzniętymi do ziemi i wyrazem żalostnej rozpacz na lodowatej twarzy. Oderwała wzrok od zamku. Tuląc Pugsleya do piersi, podążyła w mrok lasu, postanawiając od tej chwili patrzeć już tylko przed siebie, niezależnie od tak jak samotna i przygnębiająca czeka ją droga.

- Widziałam kiedyś zebrzące dzieci zamarznęte w jednej z bocznych ulic - powiedziała Enid, uchylając głowę pod kolczasta gałęzią pokrytą grubą warstwą lodu. - To było naprawdę koszmarnie. Ich twarze były czarne a wargi wywinięte. Czytałam, że śmierć przez zamarznienie jest całkiem przyjemna, nie tak przyjemna, jak utopienie, ale jednak spokojna.

Sabrina przydeptała przemoczony tren swojej peleryny, na szczęście odrywając się tym samym myślami od makabrycznych anegdot swojej kuzynki. Po chwili, złapawszy oddech, Enid rozpoczęła kolejną opowieść. Tym razem o jej wujku Belmont, który stracił dwa palce u nóg, gdy na pruskich stokach dopadła go śnieżycą. Trzymał potem te wysuszone palce w słoiku na kominku, wyjmując je za każdym razem, gdy chciał nastraszyć wnuki.

Sabrina zaczęła przytupywać stopami. Czy tylko wyobrażała sobie odrętwienie skradające się do jej goleni? Uszczypnęła się mocno w ramię. Wpadła w panikę, nie czując na skórze własnego dotyku. Po chwili Pugsley zaskamlał żałośnie, dając jej do zrozumienia, że to nie siebie uszczypnęła. Dawno już przestało jej ciążyć jego małe, psie ciało.

Enid powłóczyła za nią nogami niczym gruby bałwan. Spod jej grubego, ciepłego szala nie widać było nic, prócz zadartego, czerwonego nosa i pary załzawionych, patrzących oskarżycielskim wzrokiem oczu. Jej posepna postawa pogarszała się z każdym krokiem prowadzącym ją głębiej w otchłań lasu, a dalej od Raualda.

Enid potknęła się na kawałku poszarpanej gałęzi i wylądowała na plecach kuzynki. Sabrina wyciągnęła spod niej nogi. Niestety nic, poza upuszczeniem Pugsleya, nie było w stanie złagodzić

upadku, więc jej zadek zmuszony był przyjąć na siebie całą siłę uderzenia. Usiadła na śniegu, czując, jak wilgoć przesiąka przez jej pelerynę. Z trudem powstrzymała się, by nie wybuchnąć płaczem. Pragnęła poczuć teraz ciepło pledu Morgana, ciepło samego Morgana. Wiedziała jednak, że jeśli dłużej będzie o tym myśleć, nie podniesie się wcale.

Zmuszona, by swoim wątlym optymizmem walczyć z ponurym nastrojem Enid, ciężko podniosła się z miejsca i otrzepała śnieg z pyszczka Pugsleya.

- Nie ma się czym przejmować. Po prostu gałąź złamała się pod ciężarem śniegu.

- Mam nadzieję - wyszeptała Enid, patrząc w górę w miejsce, gdzie hebanowe gałęzie trzeszczały i kołysały się na wietrze niczym nogi gigantycznego pająka.

- Jeśli będziesz stawiała jedną nogę za drugą, w końcu dojdziemy do rezydencji Cameronów. - Sabrina uparcie szła dalej, powtarzając głośno swój plan, by upewnić się, że nie popełniła największego błędu w swoim życiu. - Wyjaśnię tacie, że Morgan był dla mnie bardzo uprzejmy, ale po prostu nie pasujemy do siebie. Potem będę się ubiegać o unieważnienie. Spojrzała przez ramię na Enid, mając nadzieję, że nie zobaczy już na jej twarzy strachu. - Skoro związek nie został skonsumowany, unieważnienie nie powinno stanowić żadnego problemu.

Nagle Sabrina wpadła na coś wielkiego i ciepłego. Przez moment myślała, że to pień drzewa. Zmrużyła oczy na widok skomplikowanego wzorku szkockiej kraty. Uniosła wzrok i zobaczyła wyrzeźbioną z kamienia szczękę, usta skrzywione w aroganckim rozbawieniu i iskrzące się szyderczo zielone oczy.

Drzewo byłoby bardziej sprężyste, bardziej ustepliwe i z pewnością mniej zadowolone niż otulające ją muskularne ramiona jej męża.

- No dziewczyno! - zamruczał. - To masz mały problem.

Rozdział 16

Sabrina nie uważała, że uśmiechający się z wyższością góral, wzrostu sześciu stóp i trzech cali to mały problem. Stwierdzenie „przeszkoda wielkiej wagi”, było tu chyba bardziej na miejscu, skoro że już w skrócie opisała mu, ku jego oczywistej uciechu, swój ichórzliwy plan odwrotu i porzucenia, wybrała atak niż czekanie na jego ciętą ripostę.

- Śledziłeś nas - oskarżyła go.

- Tak i już zaczynaliśmy mieć zawroty głowy.

- Zawroty głowy?

Morgan odsunął się i zamiótł ramieniem w kierunku ziemi. Enid udało się przybrać wygląd winnej i jednocześnie bezwstydnie szczęśliwej, gdy odkryła, że Ranald stoi za nim, trzymając lejce Pookah. Sabrina mogła była przysiąc, że dostrzegła maniackalny błysk satysfakcji w oczach konia.

Zaskoczona przyglądała się drodze, którą miałyby przeciąć, gdyby Morgan ich nie zatrzymał. Wyglądający ja cukier śnieg był wygnieciony, odsłaniając gałęzie i paprocie, jak gdyby ktoś wziął miotłę i pozamiatał je do czysta. Sabrina spojrzał przez ramię na przemoczony, nieporęczny tren jej futra.

Morgan przytaknął skinieniem głowy, potwierdzając jej złe przeczucie, że nie robiły nic, poza krążeniem po szerokim kole odkąd opuściły zamek, rysując im mapę tak dokładną, iż mogłby podążać za nimi całą drogę do Cameron, gdyby tylko chciał.

- Jesteś z siebie dumny? - zapytała.

Mogłaś się bardziej postarać. - Wyrwał jej Pugsleya z rąk. Pies wygiął grzbiet, wijąc się dziko, aby polizać twarz Morgana.

- Zdrajca - wymamrotała. Wręczył psa Ranaldowi.

Zabierz psa i kobietę z powrotem do zamku. Udając, iż dotyczyło to jej, Sabrina skierowała się ku względ-

nemu bezpieczeństwu kuzyna jej męża. Morgan chwycił ją za kaptur.

- Tę drugą kobietę.

Sabrina okręciła się, by spojrzeć na niego.

- Ona ma imię! Morgan westchnął.

- Panie MacDonnell czy byłby pan uprzejmy eskortować Lorda Pugsley i Lady Belmont do zamku?

- Oczywiście. - Ranald łypnął okiem. - Z przyjemnością. Rzuciwszy mu przepaszające spojrzenie, Enid wymknęła się pod wyciągniętym ramieniem Ranalda i zarzuciła ramiona Sabine na szyję.

- Nie pozwolę ci jej zabrać.

Morgan wywrócił oczami ku niebu i założył ręce do tyłu. Ton jego głosu był prawie boleśnie rozsądny.

- Panno Belmont, byłem bardzo cierpliwy, jeśli chodzi o pani ingerencję w sprawy mojego małżeństwa, starając się wybaczyć nawet to, co można by nazwać próbą, raczej niezdarną, zamordowania mnie.

Enid zbladła. Jego wzrok zwrócił się na Sabrinę, płonąc potwornym spojrzeniem. Ta kurczowo uczepiła się Enid, czując, jak jej przemarznęte kolana odmarzają w ciepłe.

- Ale nikt, ani pani, ani zastępy Cameronów, nawet sam diabeł nie powstrzymają mnie od zabrania mojej żony dziś wieczorem.

Z tymi słowami Morgan schylił się i gładko przełożył Enid przez swoje ramię. Ranald zachwiał się, gdy mu ją wręczył. Unikając kłapiących zębów Pookah, dźwignął Enid bez zastanowienia na konia. Enid wyciągnęła chusteczkę ze swej peleryny i żałośnie zamachała do Sabriny, podczas gdy Ranald odjeżdżał na koniu. Stopili się z drzewami, pozostawiając ją samą z mężem.

- Chyba nie zamierzasz...? - powiedziała, cofając się.

- Zamierzam. I tak zrobił

Sabrina objęła się przewieszona przez jego ramię z zaciśniętymi pięściami, jakby mogła w jakiś sposób zaprzeczyć upokorzeniu bycia wiezionym jak worek brukwi. Lecz kiedy jego zamaszyste

kroki sprawiły, że niemal wpadła w zaspę, wziął sobie do serca, by posadzić ją sobie na barki. Zaborcze ciepło jego rąk sprawiło, że jej mokre futro przylepiło się do jej bezbronnych ponętnych kształtów.

- Twój plan mi zaimponował, dziewczyno.

- Tak?

- Owszem, ale była jedna rzecz, którą przeoczyłaś.

- Poza faktem, że nigdy nie byliśmy dalej niż trzydzieści stóp od zamku?

Przytaknęła.

- Tak, poza tym. Gdyby udało ci się dotrzeć do Cameron, byłbym zmuszony wypowiedzieć wojnę twemu ojcu.

Usiłowała odwrócić się, by spojrzeć mu w twarz, ale jego uścisk lo uniemożliwiał.

- Przeze mnie? Zaryzykowałbyś cały klan przeze mnie? Gdy zruszył ramionami prawie spadła.

- Nie mógłbym pozwolić na to, żeby jakiś Cameron mówił, że MacDonnell nie potrafi utrzymać przy sobie żony, nie sądzisz? To kwestia dumy, dziewczyno.

Wszystko było kwestią dumy dla Morgana, gorzko pomyślała Sabrina. Jego reputacja. Jego klan. Jego małżeństwo. Modliła się jedynie o to, by sama miała na tyle dumy, by mu się przeciwstawić. Gruby płatek śniegu wolno opadł i połaskotał ją w nos. Z rozdrażnieniem go starła. Już dawno powinni dotrzeć do zamku. Być może miał zamiar zrzucić ją z lodowego urwiska, jako kara za jej ucieczkę. Szybka śmierć była lepsza od wlokącej się, w mistrzowskim wykonaniu z jego rąk.

Wynurzyli się na polanie. Sabrina zerknęła spod ramienia Morgana, dostrzegając ciemną kamienną chatę z dachem przykrytym śniegiem.

- Jak osobliwie - wymamrotała. - Pomyśleć tylko, że spodziewałam się jaskini.

Ścisnął wściekle jej pośladki.

- No cóż, nawet my, dzikusy, cenimy sobie wygody.

Drzwi otworzyły się z hukiem, a przyjemny podmuch ciepła uderzył ją w twarz. Świat przestał się trząść, gdy Morgan delikatnie

postawił ją na jej własnych nogach. Prawie nie zauważyła, gdy zniknął drzwi, odwiązał jej przemoczoną pelisę i ściągnął jej śmieszne pantofelki. Nie widziała również, jak omiótł ją głodnym wzrokiem, dostrzegając z oczywistą przyjemnością, że poza grubymi pończochami miała na sobie tylko potarganą suknię, którą miała na sobie w zamku.

Była zbyt zajęta przyglądaniem się. Dom w ogóle nie był ciemny. Bujne futra przybite nad oknami, spowijały ich zwiewną siecią blasku ognia i ciepła. Powietrze tańczyło z rozproszonym światłem wysokich, znajomych świec. Wrzosowy koc obleczony był w świeżo wyprasowane poszwy i leżał obok kamiennego kominka. Suszone płatki róż gotowały się wolno w kociołku nad ogniem. Ich mocny aromat docierał do nosa Sabriny, sprawiając, że czuła się jak osoba pijana i kompletnie beztrocka. Była w o wiele większym niebezpieczeństwie niż jej się wydawało. To nie było miejsce gwałtu, lecz uwiedzenia.

Pożądliwy wzrok Morgana pieścił ją.

- Ty wstrętny kundlu! Planowałeś to od początku. - W piruecie ruszyła w stronę drzwi.

Jego ręce dotarły do nich pierwsze, rozczapierzając się z jej obu stron.

- Nie pozostawiłaś mi wyboru, dziewczyno. Nie mogę ryzykować, że za każdym razem, gdy będziemy się kłócić, ty uciekniesz po unieważnienie małżeństwa.

Obróciła się gwałtownie, by patrzeć na niego, bojąc się czy aby nie słyszał dzikiego bicia jej serca.

- Co zamierzasz mi zrobić?

Wyraz jego twarzy był stanowczy, ale nie okrutny.

- To, co zrobić powinienem w tę noc, gdy zostaliśmy małżeństwem.

Sabrina nie była przygotowana na szok spowodowany jego ręką sięgającą teraz w dół, by wytyczyć kształt jej brzucha. Jej nieoczekiwana delikatność była w jakiś sposób jeszcze bardziej intymna niż jego wcześniejsze pieszczoty. Smugi ciepła rozwijały się spod opuszków jego palców jak delikatne kielki nowego kwiatu.

- Włożę w ciebie moje dziecko, Sabrino Cameron. Naszym

obowiązkiem jest zachować pokój pomiędzy naszymi klanami przez ofiarowanie twemu ojcu dziecka MacDonnella jako wnuka. Podniósł jej brodę swym kłykciem.

- No nie bądź taka przybita, dziewczyno. Jeśli ja chcę to przecierpieć, ty też powinnaś.

Ich oddechy wymieszały się, kiedy jego wagi zbliżyły się ku jej wargom.

- Pamiętaj o ofiarach, jakie złożył twój dzielny Odyseusz swym współpracom.

Przerażona nie tyle tym, co chciał zrobić, ale sposobem, w jaki do tego dążył, Sabrina zanurkowała pod jego ramieniem. Wszystkie ostrzeżenia o nim, na które niegdyś nie zwracała uwagi, teraz przeleciały jej myśli niczym błyskawica. Wiedziała, że przywykł do bycia brutalnym w swych żądaniach, bez względu na przyjemność kobiety. Posiadał w sobie siłę zdolną rozedrzeć ją na pół przez przypadek tylko, złamać jej ciało, jak i jej serce. Przez chwilę obawiała się, że zemdleje, tak jak przystało na dziewczinę, którą była. Jak mogła kiedykolwiek uważać się za kobietę, mogącą poradzić sobie z mężczyzną takim jak on?

Postąpił ku niej spokojnym krokiem. Cofnęła się nieco.

- Będę krzyczeć.

Szelmowski uśmiezek wykrzywił mu wargi. Wyciągnął szydło ze swego tartanu.

- Tak, dziewczyno. Będiesz, nim skończy się ta noc. Pośpieszne pragnienie mieszało się z jej strachem. Morgan

zarzucił sobie fałdę swego pledu na ramię, odsłaniając ponętą przestrzeń złotej skóry.

- Nie masz potrzeby się bać. Jestem cierpliwym nauczycielem. Zapytaj któregokolwiek chłopca, który trenował pode mną na miecze lub siekiery.

Potężna męskość bijąca z jego pewności siebie sprawiła, iż Sabrina przywarła plecami do ciepłych kamieni kominka.

- A co z kobietami, które trenowały pod tobą. Czy one także uważały cię za cierpliwego nauczyciela?

Jego pełne wyrzutu spojrzenie nie obudziło w niej uczucia wstydu. Kolejna poła tartanu rozwinęła się, obnażając połączone

słońcem płaszczyzny klatki piersiowej i brzucha. I jakby nękany nagłą skromnością, pozostawił zawój tartanu wiszący nisko na biodrach, przytrzymywany jego pięścią. Sabrina widziała, że jedno szarpnięcie wystarczyłoby, aby opadł. Starła się przełknąć ślinę, lecz jej gardło było suche jak pieprz. Po raz kolejny Morgan MacDonnell nie grał czysto. Jedyłą ucieczkę upatrywała tylko w przeszłości.

- Niech cię diabli!

Morgan uchylił głowę, gdy zapalona świeca poszybowała w jej kierunku. Roztopiony wosk rozprysnął się na ścianie za nim. Jego oczy rozszerzyły się.

- Czy powiedziałem coś nie tak? Sabrina zwróciła się do niego profilem.

- To było coś, co zrobiłeś. Coś złośliwego, podłego i niewybaczalnego. Pamiętasz Izabellę?

Zmarszczył brwi najwyraźniej w rozterce.

- Nie była to jedna z pokojówek Cameronów, z którymi flirtowałeś. To była moja kotka.

Niewyraźne wspomnienie poruszyło się w Morganie. Postrzępione, pochłapane farbą futro. Komiczny, krzywy chód.

- Izabella! Mały tygrys, który zwykł był mnie gryźć w palce u nóg.

- A więc jednak pamiętasz! Tato powiedział mi, że uciekła, ale ja widziałam cię, gdy rozmawiałaś z handlarzem ulicznym tego ranka, gdy zniknęła.

Ku swemu przerażeniu Sabrina poczuła, że dawno zapomniane łyżki zatkały jej gardło. Jej ręce zacisnęły się w pięści.

- Wiem, że ją sprzedałaś temu wstrętnemu człowiekowi. Ale pozostałam wierna swojej przysiędze. Nigdy nie powiem tacie. I nigdy nie wyrzekłam ni słowa.

Nie pozostawiając jej szansy na obronę, Morgan przyciągnął ją do siebie, pocierając swój policzek o jej włosy.

- Przykro mi, dziewczyno.

Jedna z jej łez spłynęła na jego brzuch.

- Ale, Sabrino?

Jego dłonie spoczęły na jego klatce tak, że podskoczyło mu serce.

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

- Ale ja mam coś do powiedzenia tobie. Nie sprzedałem twojego kota. Zadławiła się robalem i twój tata pomyślał, że lepiej będzie, jeśli będziesz myśleć, że uciekła. Kupiłem ładne pudełko po cygarach od tego sprzedawcy i pomogłem Brianowi i Alexowi pochować ją w ogródku twojej matki.

Przez nieskończenie długi moment Morgan nie czuł niczego poza oszołomionym szelestem jej oddechu na swej piersi. Słaby dreszcz wstrząsnął nią, potem kolejny. Jej ramiona konwulsyjnie skrzyły się pod jego ręką i uświadomił sobie, że dziewczyn się śmieje.

- Przez te wszystkie lata... Myślałam, że była to najgorsza rzecz, jaką uczyniłeś... Prawie cię nienawidziłam.

Morgan nie był przygotowany na nagrodę rozgrzeszenia z grzechu, którego nigdy nie popełnił. Dziki dreszcz przebiegł jego skórę, gdy jej ręce zaczęły gładzić i zgłębiać ścisłą definicję mięśni na jego piersiach. Bardziej nawet zaskakujący był nagły przypływ czułości, który chwycił go, gdy jej usta wykwitły na jego mostku, nad jego walącym sercem naprzeciwko nabrzmiałego pączka jego sutka. Z jego gardła wyrwał się pomruk.

Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak delikatny i czuły może być dotyk kobiety. Kobiety, które znał, chciały zostać podporządkowane, podbite i zdominowane karzącym ciężarem jego ciała. Żadna / . nich nie ośmieliła się nigdy kochać się z nim rękami, ustami, błyszczącymi oczami, które Sabrina podniosła teraz ku jego twarzy. Czyste uczucie, ukryte dotychczas w niedosięgniętych czeluściach, zdruzgotało go.

Pomrukując w głębokości swego gardła, zanurzył swe dłonie w sobolową czerń jej włosów i odchylił jej głowę do tyłu.

- Może i nie sprzedałem twojego kota, Sabrino, ale skrzywdziłem cię wiele razy inaczej. Nie jestem gentlemanem.

- Nigdy nie prosiłam cię o to.

Jego wysiłki, by przejąć kontrolę, zakończyły się fiaskiem, gdy jej usta stopniały pod naciskiem jego ust, pozwalając jego językowi na zaspokojenie jego wszelkiej pazerności. Mokry, uległy jedwab jej ust kusił go, sprawiał mu męczarnie; pragnął owinać się każdym calem jej ciała słodkiego jak miód.

Sabrina poczuła, jak puchowa wełna tartanu Morgana zsunęła się, przykrywając jej stopy. Zaskoczona cofnęła się o krok.

Inny człowiek mógłby poczuć się bezbronny, osłabiony przez swą nagość, ale nie dotyczyło to Morgana. Nic, o czym mówiła jej matka, nie mogło przygotować jej na widok kształtnego ciała wojownika, które dodatkowo wyostrzały teraz refleksy rzucane przez ogień.

- Sabrino?

Jego chropowaty głos uświadomił jej, jak bliski był od błagania wprost pani Cameron o jej wdzięki.

Wyciągnęła drżącą dłoń w niemym zaproszeniu. Morgan wiedział, że ów prosty gest musiał ją wiele kosztować, pamiętając, iż wielokrotnie odtrącał rękę, którą ku niemu wyciągała. Skrócił dystans pomiędzy nimi jednym dłuższym krokiem, zszarpując chciwie jej ubrania, aż do momentu, gdy stała przed nim naga i pełna wdzięku, jak płomień tańczące na świecach.

Jego oczy pożerały ją, nie mógł oderwać wzroku od burzy jej włosów, wytwornego blasku jej warg, dojrzałego odcienia róży, który barwił jej piersi i policzki pod jego głodnym badawczym spojrzeniem. Hebanowe loczki rozdzielały jej mleczne uda.

- Nie zasługuję na to - wymamrotał, składając pocałunek w zagłębieniu jej szyi.

W jej policzkach pojawiły się dołeczki, gdy się uśmiechnęła.

- Wiem.

Sabrina nie przypuszczała, że mężczyzna taki jak Morgan będzie marnował drogocenny czas na pocałunki i pieszczoty, więc gdy jego dłoń przedarła się przez jej intymną grzywkę, szok był podwójny. Przyłgnęła do jego ramion, starając się nie upaść. Nikt nigdy przedtem jej tam nie dotykał i oto nagle jego wielkie, nagie palce rozniecające ten płynny ogień okazały się doznaniem prawie nie do zniesienia. Wiła się zalewana falami rozkoszy i czułymi słowami, jakie szeptał, ocierając swoje wargi o jej miękkie, pożądlive usta. Czuła się jak gdyby za chwilę miała postradać zmysły.

Morgan poczuł, jak satynowa skóra jej dłoni otacza jego członka, przyciskając go delikatnie, lecz regularnie. Wtedy ośmielił się zrobić coś, o czym nie miał odwagi nawet marzyć. Uklęknął przed

nią i przycisnął wargi do jej wilgotnym loczków, nie spodziewając się, że ich otoczenie może być tak słodkie i prawdziwie smakowite.

Zdecydowany, by jego uległość stała się również jej udziałem, wsunął swe dłonie pod jej pośladki, uniósł ją i położył na wrzosowym pledzie. Wciąż klęcząc, ułożył jej uda na swoich ramionach. Sabrina poddała się czułemu atakowi jego ust i języka.

Nagle pisnęła, zażenowana własną nieśmiałością, gdy Morgan łaskotał jej brzuch swoimi włosami.

- Morgan, nie można tego robić! To niestosowne!

Uniósł głowę. Jego drapieżny uśmiech przyprawił ją o dreszcze.

- Pamiętasz wszystkie te straszne historie, które twoi bracia opowiadali o MacDonnellach?

Sabrina walczyła ze sobą, by nie zemdleć, gdy wsuwał i wysuwał swój palec z paraliżującą delikatnością i czułością. Z trudem przerywając, wydobyła z siebie kilka słów:

- Mówili, że na stopach masz wielkie kępki włosów i że... - Jej głos załamał się, gdy zanurzył głębiej palec, mierząc, wypełniając, i pozostawiając jej napięte ciało w niecierpliwym oczekiwaniu. Słowa pośpiesznie wylały się z jej ust. - Że jesz takie małe, ciemnowłose dziewczyny jak ja, na śniadanie.

- To było wierutne kłamstwo, księżniczko. Na stopach mam tylko kilka włosów, a ciemnowłose dziewczynki, takie jak ty, jem tylko na deser.

Wysunął zęby i począł starannie skubać jej skórę. Sabrina krzyknęła, zwijając się pod naciskiem jego języka, palców i ust, które wykonywały jakiś mroczny taniec rozkoszy na jej ciele. Straciła niegdyś serce dla chłopaka, którym był, a teraz obawiała się zatracić swą duszę dla mężczyzny, którym się stał. Nawet kiedy starała się wywinąć z jego uścisku, jego mocne, ciepłe dłonie otoczyły jej pośladki, podnosząc, wyginając w łuk, rozsuwając, nie pozwalając jej na ucieczkę od oszałamiającej przyjemności, którą zamierzał jej dać.

Zwisała, zawieszona w oczekiwaniu na słodkie tortury, dopóki jego język zlitował się nad nią, uwalniając ją. Zaczęła opadać, jej ciało w konwulsjach, ogarnięte wstrząsami czystej rozkoszy.

Morgan opuścił ją, przykrywając jej drżące ciało swym ciepłem.

Jego wargi dotknęły jej gardła, kusząc jej oczy, by patrzyły. Była zaskoczona czując wilgoć świeżych łez na policzkach.

- Wciąż znęcasz się nad słabszymi, Morganie MacDonnellu - wyszeptała.

Uchwycił łzę na policzku koniuszkiem języka.

- To prawda. A ty złamałaś swoje przyrzeczenie, dziewczyno. To już trzeci raz tego wieczoru, gdy dla mnie płaczesz.

Pociągnęła nosem.

- Nie mam zamiaru zamienić tego w nawyk. Ja po prostu nigdy... - Przeszedł ją ukryty dreszcz.

- Ja też nie.

Jej oczy rozszerzyły się w niemym szoku.

- Nigdy? Nawet z Alwyn... bądź innymi? Potrząsnął głową. Jego wzrok był dziwnie poważny.

- Nigdy nawet nie chciałem. Aż do teraz.

Jak na mężczyznę z jego bagażem doświadczeń, nie mógł chyba ofiarować jej bardziej drogocennego prezentu. Sabrina chciała dać mu coś w zamian. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła jego wargi ku swoim, upajając się słodyczą jego ust o smaku soli z jej łez, jak też balsamem jej spełnienia. Wyrwał mu się gardłowy pomruk.

Sabrina pomyślała, że Morgan teraz już na pewno straci kontrolę i będzie parzył się z nią z tym surowym zwierzęcym głodem, którego się po nim spodziewała. Lecz jego ręce delikatnie pieściły jej piersi, potem wewnętrzną stronę jej ud, nakłaniając je do rozsunięcia się. Poczowała ciężar jego ciała na sobie. Gdy wtuliła odruchowo twarz we włosy, chcąc ukryć nagłą panikę, Morgan dłońmi objął jej policzki, lecz jego zamglone spojrzenie było nie mniej przeszywające niż ciężar jego męskości.

Ostry tenor jego głosu zdradzał cenę powstrzymywania się.

- Chcę widzieć twoje oczy, kiedy będę cię brał, Sabrino Cameron. Chcę wiedzieć, że jesteś moja.

Sabrina była jego odkąd sięgała pamięcią. On był jej pierwszą i jedyną miłością. Jej błyszczące oczy wyrażały i ból i przyjemność, kiedy napełniał ją sobą. Cał po szalonym cał, łamał jej barierę niewinności z nieustającą cierpliwością. Wiła się pod nim,

chcąc się uwolnić, chcąc wciągnąć go głębiej. Jej paznokcie wpiły się w jego plecy, ale on nawet nie drgnął, nie zawahał się ani na moment w swej determinacji, by uczynić z niej swoją kobietę. Swoją żonę.

Jego zęby zacisnęły się.

- Weź mnie. Całego mnie. Właśnie tak, aniołku. Jeszcze. Och... -Jego gardłowy pomruk był zarazem modlitwą i żądaniem. - Jeszcze trochę... odrobinę...więcej.

Sabrina jęknęła, nie wierząc, że jego „trochę” kiedyś się skończy. Ale w końcu leżała wypełniona nim do końca. Widziała już przedtem żelazne opanowanie Morgana, ale nie przypuszczała, że jego powściągliwość może być taka wyjątkowa, a cierpliwość tak zaciekła.

Jego szczęki były zaciśnięte, jego oczy otumanione surowym głodem. Jego mięśnie ciążyły ku prymitywnemu instynktowi, lecz on jednak pozostawał nieruchomy, czekając, aż intymny rytm ich ciał zleje się w jedno. Każde szalone uderzenie wprawiało Sabrinę w drżenie, skakało do gardła, odbijało się w sercu i między jej nogami, gdzie pulsowała naga masa jego ciała.

Dopiero gdy Morgan poczuł, jak naprężone wnętrze Sabriny układa się, by dostosować się do niego, gdy zobaczył, jak przewróciła oczami z nagiej rozkoszy w półomdleniu niemalże i on zamknął oczy i począł się ruszać.

Nigdy nie czuł się mężczyzną bardziej niż teraz. Stracił dziewictwo w wieku czternastu lat z jedną z pokojówek Cameronów, ale jego wszystkie dotychczasowe flirty zdały się teraz niczym więcej niż niezdarnym brakiem umiejętności zwierzęcia w rui.

Jego ojciec usilnie prosił go, „Bądź mężczyzną!”, zanim nawet poznał on znaczenie tego słowa, ale potrzebował właśnie pięknej, niewinnej kobiety, by się nim stać.

Podpierając się na dłoniach, skierował swe biodra ku dołowi, pogłębiając swe pchnięcia, by pozwolić swemu wygłodniałemu ciału delectować się każdym jej calem. Coraz ciężiej było mu powstrzymać swe dzikie żądze, ale mimo to ociągał się, wiedząc, że łatwo mógłby ją skrzywdzić swoją wielkością, swą brutalną siłą.

Drobne ciało Sabriny przyjmowało każdy powolny, rozgrzany

ruch Morgana. Kolejne rozgrzane pchnięcia były jak uderzenia w jej serce. Roztrzaskały one osłonę, którą wokół niego wzniosła, pozostawiając ją w pełni uległą temu mężczyźnie, którego wspaniałe ciało uwięziło ją. Jego imię wylewało się z jej ust przerywaną litanią, by zostać pochwyconym przez jego rozgrzane namiętnością usta, schylające się ku jej ustom. Przyjemność była zniewalająca. Dzikie, łomoczące tempo brania jej w posiadanie zwiększyło się, przesuwając ją w tył, dopóki nie oparła się dłońmi o kamień kominka. Wygięła się w łuk, by pozwolić mu dotrzeć do końca, do samego środka, do rdzenia samej siebie.

Gaelickie przekleństwo wyrwało się Morganowi, jego nabożna gwałtowność skrywana przez ryk czystej męskiej ekstazy, który wydobył się z jego gardła, gdy umarł najśłodsza śmiercią, jakiej kiedykolwiek doświadczył MacDonnell z rąk Camerona.

Sabrinę obudziło dziwne uczucie bycia delikatnie mytą między nogami. Zamrugła oczami, dostrzegając zarys sylwetki Morgana na tle przygasającego blasku ognia. Nie będąc świadomym, że jest obserwowany, zanurzył szmatkę w miednicę z wodą, a następnie delikatnie przetarł jej uda. Jego ręce były niewypowiedzianie delikatne, kiedy kołysły jej spuchniętą skórę.

Sabrina nie raz była już świadkiem, jak czułe mogą być jego ręce, gdy doglądał jakichś małych, poranionych zwierzątek, nigdy jednak nie śniło się jej, że sama może tego doświadczyć. Szokująca intymność tej czynności sprawiła, że jej serce było teraz całkowicie otwarte. Fala przyjemności rozeszła się po jej ciele od jego dotyku. Wymknęło się jej lekkie, bezwiedne westchnienie.

Morgan uniósł głowę. Ich oczy spotkały się dokładnie w połowie jej nagości. Jej piersi wezbrały pod jego spojrzeniem. Ciepło wypełniło jej ciało, na wpół nieśmiałość, na wpół podniecenie.

Zanurzył szmatkę w wodzie, którą podgrzał specjalnie dla niej.

- Nie chciałem cię zranić, dziewczyno. Jesteś tak niesamowicie delikatna, że już obawiałem się, iż puściły mi wodze i zabiłem cię.

Morgan przesuwał wełnę po niej, ale niewinna dobrotliwość tego ruchu znikła, gdy ich spojrzenia się spotkały. Wargi Sabriny

były rozchylone, jej policzki płonęły. Morgan poczuł, że jego zdradzieckie ciało odpowiada wbrew jego woli. Dzika żądza chwyciła go ponownie. Wiedział, że dla niej było to jeszcze za szybko; jej zmęczone ciało nie mogło być gotowe na ponowne przyjęcie go. Mógłby ją tylko mocniej poturbować.

- Powinnaś się przespać - powiedział szorstko, wyciskając szmatkę. - Niedługo będzie świt.

Świt, pomyślała Sabrina, ze swym surowym, zimowym światłem, które rzuci na ich wątpliwości i różnice ich dzielące. Nie obchodziłoby jej, to gdyby świt nigdy nie nastał. Chciała pozostać lam na zawsze, ubrana w nic poza słabnącym blaskiem ognia i rozgrzaną do czerwoności żądzą w oczach swego męża. Chciała podniecać miłosny żar, który ujrzała gdzieś w ich głębokiej intymności do huczącego płomienia. Chciała zburzyć jego sztywne opanowanie i udowodnić mu, że nie była jakąś ażurową figurką, która roztrzaska się pod jego dotykiem.

Kiedy Morgan schylił się, by naciągnąć na nią tartanowy pled, usiadła na kolanach, chwyciła jego pięść i uniosła ku swoim ustom. Jej język zatańczył leciutko wśród jego kłykci.

Celowo naśladowała jego burczenie.

- A więc uważasz, że biedna mała dziewczyna Cameronów jest zbyt wątła dla legendarnej wytrzymałości MacDonnellów? A może te pieśni o twym klanie brałeś, panie, żdziebko zbyt poważnie.

Morgan był lekko zszokowany łotrowską iskierką w oku Sabriny. Oczekiwał więcej łez, może jakichś gorzkich oskarżeń. Spojrzał na zadziorne koniuszki jej piersi. Napreżyły się w różowe guziczki pod jego badawczym spojrzeniem. Jego oddech zmienił się prawie w jęk.

Poderwał wzrok z powrotem na jej twarz i przeczyścił gardło.

- Cóż, dziewczyno, nie mogę winić cię za bycie nieufną w stosunku do mnie. To raczej zrozumiałe. Byłem nieco szorstki dla ciebie.

- Och, czy wielki, zły MacDonnell przejmuje się wystraszeniem dziewczyny Cameronów? - Szczypała jego kostki u rąk.

Jeśli musisz koniecznie wiedzieć, byłeś, jak na mój gust, dosyć... cywilizowany.

- Cywilizowany? - Słowo upadło z jej ust jak najohydniejsze przekleństwo. Równie dobrze mogła była nazwać go eunuchem.

Spojrzała na niego wyzywająco spod długich rzęs. Morgan nie mógł pojąć, dlaczego bawi się z nim w tak niebezpieczną grę. Ale nie mógł już dłużej znieść jej kpiącego wyzwania, tak jak dzielnie znosił trzymanie swoich żądź na wodzy, by nie rzucić się na jej delikatne ciało.

Ukrył uśmiech za chytrym spojrzeniem.

- A więc chciałabyś zakosztować tego, o czym mówią wszystkie pieśni, co, dziewczyno?

Sabrina oparła swe dłonie na klace piersiowej Morgana. Jej odwaga prawie ją opuściła wobec jawnej żarłoczności wilka w jego wzroku.

- Tylko jeśli tobie sprawi to przyjemność - wyszeptowała nieśmiało.

Diabelskie isierki w jego oczach zapaliły się żywiej.

- Nic nie dałoby mi większej przyjemności.

Morgan rzucił się na nią jak płowa bestia. Wprawnymi rękami odwrócił ją od siebie i przygiął aż do poduszki, w pozycji, która nie pozostawiała jej zbytowego wyboru poza byciem posłusznym każdemu mrocznemu poleceniu jego majestatycznego ciała. Kiedy w nią wszedł, wygięła się w łuk w prymitywnym kobiecym odruchu, zdecydowana, by udowodnić, że mogła zdobyć się na wszystko, czego tylko od niej zażąda. Jej paznokcie wpiły się w powłoczkę, uwalniając uderzający do głowy zapach wrzosu. Morgan owinał jej włosy wokół swych olbrzymich pięści, mrużąc słodkie, sprośne słowa do jej ucha.

Właśnie w momencie, gdy Sabrina sądziła, iż przyjemność osiągnęła punkt kulminacyjny, Morgan doszedł do wniosku, że nie chce samotnej podróży do punktu dzikiego upojenia. Objął ją wpół i przyciągnął, jego zręczne opuszki palców cudownie kontrastowały z jego nieokrzęsłym ujeżdżaniem jej ciała.

Spazm rozkoszy posiadł ich jednocześnie tak, że nie byli w stanie nic więcej zrobić i runęli spleceni na zachęcająco rozrzucone fałdy spódnicy Morgana.

* * *

Radosne trzaski ognia, do którego świeżo dorzucono drewna, wywabiły Sabrinę z królestwa snu. Wełniane włoski łaskotały jej policzki. Z trudnością podniosła powieki, by ujrzeć Morgana siedzącego okrakiem na krześle i wpatrującego się w nią, gdy spała. Jego zielone oczy jarzyły się tą intensywnością, która wtrącała ją w całkowitą bezsilność. Wciąż był nagi. Nie miała pojęcia czy kiedykolwiek przyzwyczai się do braku wstydu z jego strony, jeśli chodziło o jego ciało. Ale, jak pokazał jej tej nocy dwukrotnie, a potem jeszcze w mglistym świetle poranka, nie było w jego ciele nic, czego należałoby się wstydzić.

Potok erotycznych wspomnień nadciągnął wielką falą. Odwracała twarz ze wstydem, nie mogąc wprost uwierzyć, że ów mężczyzna potrafił odkryć taką żyłkę dzikiej namiętności w jej kulturalnym sercu.

- Kończy mi się drewno na opał, Sabrino, a tu zaczyna robić się odrobinę chłodno.

Bawiła się miękkimi zwojami wełny w rękach.

- Dlaczego więc się nie ubierzesz?

Wyciągnął rękę ponad krzesłem, patrząc wzrokiem pełnym cierpliwości. Dopiero wówczas zorientowała się, że był nagi, gdyż jego tartan czule otulał ją, spowijając ją ciepłym kokonem. Wciąż nieznośnie świadoma jego badawczego spojrzenia, wyplątała się z materiału i wręczyła mu jego ubranie, jednocześnie chwytając swoje zawilgocone futro, by nim się przykryć.

Morgan ułożył i obwiązał swój strój ze swobodnym wdziękiem, by potem powrócić na krzesło, składając przedramiona na jego skórzanym oparciu.

Sabrina nie mogła już tego znieść.

- Czemu się na mnie gapisz?

Jego wzrok powędrował z jej twarzy ku jej brzuchowi.

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem nosisz mojej dziecko. Nagłe uderzenie ciepła podeszło jej do gardła i Sabrina przez chwilę zastanawiała się czy nie narzucić swego futrzanego przy-

krycia na głowę. Jednak wyrachowany błysk w oczach Morgana zmienił jej wstyd w poczucie krzywdy, a potem gniewu.

Chwyciła swą suknię, ale zaraz przekonała się, że była zbyt zniszczona.

- Mam szczerą nadzieję, że twe wysiłki nie poszły na marne. Przytrzymując narzutkę ciasno z tyłu, sięgnęła, by odnaleźć swe pantofle.

- Byłabym niepokieszona, wiedząc, iż twoje straszliwe poświęcenie poszło na marne.

Drżała, gdy chłodne dłonie powietrza dotykały jej ciała, aż wreszcie ośmieliła się zarzucić sobie pelisę na głowę. Kaptur zakrył jej twarz i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że był on ze złej strony. Uderzyła ręką cienki aksamit, próbując doprowadzić wszystko do porządku, a jej słowa były przytłumione.

- Dowiemy się już niedługo czy będziesz musiał po raz kolejny przejść to samo.

Silne, ciepłe ramiona objęły ją od tyłu. Chropawy, acz dźwięczny głos Morgana położył kres jej szarpaninie.

- MacDonnell nigdy nie porzuca pracy, jeśli zadanie nie jest wykonane.

Jej głowa w końcu wynurzyła się ze zwojów materiału. Ze złością odgarnęła włosy z oczu.

- Wybacz mi. Nigdy nie znałam żadnego MacDonnella, który by pracował. - To już teraz znasz. - Jego usta otarły się o jej.

Sabrina znów poczuła, że jej gniew, jak i ona sama topnieją w okamgnieniu. Zamknęła oczy, bojąc się tej siły, którą posiadał. Jeśli przypuszczała, że noc bądź ona sama, mogły go osłabić, teraz stało się jasne, że to nieprawda. To wszystko sprawiło, że był teraz jeszcze silniejszy.

- Zamierzam poświęcić się z wielkim entuzjazmem zadaniu zmajstrowania mojego smarkacza wraz z tobą.

- Twoje poświęcenie sprawie jest budujące.

I nie można mu się oprzeć, pomyślała Sabrina, jęcząc, gdy jego ręce posuwały się wzdłuż jej boków ku dołowi, rozluźniając przemoczony aksamit.

- Nie chcesz chyba?... - Jej głos się załamał. - Znowu? Każde jej słowo zostało podkreślone przez jego delikatne pocałunki wzdłuż linii jej włosów.

- I znowu. Cóż byłby ze mnie za mężczyzna, gdybym teraz przestał próbować.

Bez zbytniego trudzenia się zdejmowaniem pelisy czy tartanu, jej mąż ostrożnie ułożył ją na poduszce i zaczął pokazywać jej, ile lo mężczyzny w nim było.

Rozdział 17

Sabrina był pierwszą z Cameronów, która zdobyła zamek MacDonnellów, nie wystrzelisz chociażby raz z działa.

Przepełniona zaufaniem wynikającym z ujmującego oddania jej męża obowiązkom, a dodatkowo orędownictwem zacieklego Fergususa, Sabrina z ukrytym zachwytem przyglądała się, jak ludzie Morgana niemal rzucali się poddańczo do jej stóp w pantoflach. Ci, którzy jeszcze ośmielali się przedrzeźniać bądź obrażać ją woleli raczej nie znaleźć się nagle na klęczkach na posadzce, usiłując na próżno odnaleźć swe wybite zęby.

Tylko Eva pozostała niewrażliwa na urok Sabriny, ale jej nastrój był i tak na tyle przygnębiający, że ani Morgan, ani Fergus nie mieli serca, by jej przeszkadzać.

Nawet Fergusowi od czasu do czasu trzeba było przypomnieć, że dobre maniere zagościły w siedlisku MacDonnellów. Pewnego ranka Sabrina, wchodząc do Sali, spostrzegła jego wielką pięść uniesioną, by ukarać kulącego się chłopaka, który rozlał kozie mleko na tartan Fergususa. Morgan już wznosił rękę, aby trzepnąć ich po uszach, ale jedno ułożenie brwi Sabriny w krzywy łuk wystarczyło, by naprawić brak manier Fergususa.

- A to ładny chłopiec! - ryknął Fergus, czule mierzwiąc włosy chłopaka tak, jakby miał to zamiar zrobić od samego początku. - Do czarta, przecież to mógłby być nawet mój własny syn. Ma moje śliczne jasne włosy, nie sądzicie?

- Odrobinę z twoich dołeczków także - przytaknęła Sabrina, szczypiąc Fergususa w siwy policzek, a tym samym sprawiając, iż rozpromienił się momentalnie.

Morgan ukrył uśmiech za parującym kawałkiem piernika, który Sabrina upiekła dla niego, rezygnując z wtrącenia uwagi, że połowa dzieci w klanie miała włosy o tym samym słonecznym połysku. I że połowa z nich była prawdopodobnie dziełem Fergususa.

Pewnego chłodnego wieczoru udając się na porywającą partię szachów do komnaty swej żony, a mając również nadzieję na jeszcze bardziej porywające z nią igraszki, usłyszał dziewczęce chichotanie.

Otworzył drzwi bez wysiłku, spodziewając się, że zastanie Enid i Sabrinę w wirze jednego z tych kobiecych obrzędów, których nigdy nie potrafił zrozumieć. Zamiast tego jednak zobaczył Sabrinę, trzymającą w ręku lusterko, tak, aby stojąca naprzeciwko niego Alwyn mogła podziwiać swoje w nim odbicie. Alwyn uchwyciła jego osłupione spojrzenie kątem oka w lusterku i obróciła się z oczyma rozszerzonymi winą.

Mimo że jej długie nogi i pełne piersi już mu się nie podobały, Morgan musiał przyznać, iż było co podziwiać. Miała na sobie czystą satynową suknię koloru chłodnego jedwabiu, widać było, że noszoną wcześniej przez Sabrinę, gdyż z przodu wystawał rąbek stanika, a obrębiona była na wysokości kostki. Twarz dziewczyny była świeżo umyta, a przez jedno z jej ramion przewieszony był schludny warkocz.

Sabrina ujęła Alwyn pod rękę. Morgan poczuł, jak żołądek kurczy mu się, jak zapewne każdemu mężczyźnie, stojącemu przed dwoma kobietami, których wdzięki przyszło mu doceniać całkiem niedawno. W szczególności, gdy jedna była teraz jego żoną.

- Dobry wieczór, kochanie. Właśnie pomagałam Alwyn przy jej fryzurze, czyż nie wygląda uroczo?

Alwyn mogłaby być i Heleną Trojańską, a Morgan i tak wciąż byłby zapatrzony w szelmowskie iskierki w oczach swojej żony. Plątał się nieznośnie w poszukiwaniu dobrej odpowiedzi, chrząka-jąc, odkasłując, by w końcu wymamrotać pospieszną pochwałę. Ku jego zdumieniu, Alwyn zaczerwieniła się. Nigdy nie pomyślałby, że była zdolna do czegoś takiego.

Skinęła w niezgrabnym podrygu.

- Będę już szła, proszę pani. Obiecałam panu Fergusowi, że zjem z nim dziś kolację. - Jej pełen zębów uśmiech, tylko odejmował jej lat. - Dziękuję za śliczną wstążkę. Bardzo dziękuję.

Przemknęła obok Morgana, przyciskając się do framugi, aby nie

otrzeć się o niego. Ostrożnie wszedł do komnaty, zamykając za sobą drzwi.

- To miło z twojej strony, że zaprzyjaźniłaś się z tą dziewczyną. Może się od ciebie wiele nauczyć.

- Wprost przeciwnie. Twoja Alwyn może mnie wiele nauczyć. Skrzywił się.

- Ona nie jest „moją Alwyn”. Nigdy nie była. I nie jestem pewien, czy chcę, żebyś wiedziała to, co ona wie.

Niewinne mrugnięcie Sabriny sprawiło, że jego krew zawrzała.

- Być może nie powinieneś być tak pochopny.

Z tymi przekornymi słowami na ustach, zahaczyła swoją rękę o jego pasek i przyciągnęła go do siebie, omijając przygotowaną do gry szachownicę, na łóżko. Udawane skrzywienie jej ust łagodziła łagodna czułość jej oczu.

Jeśli Sabrina rządziła MacDonnellami za dnia, Morgan był panem nocy. Nigdy, żaden z Cameronów nie był zniewalany tak czule. Więził ją w okowach przyjemności wykuwanej za każdym razem tym mocniej, im bardziej otwierała się przed mistrzowskim dominium jego ciała.

Udowodnił wszystkie nieczne plotki o MacDonnellach, które słyszała. Był niezmordowany w doprowadzaniu jej do najwyższej ekstazy i dalej jeszcze; nieugięty, gdy chodziło o zapewnienie jej przyjemności, bezlitosny w wydobywaniu z niej jęków kapitulacji, aż do momentu, w którym błagała go o to, co zawsze tak chętnie gotowy był jej dać.

Jedynie bladym świtem, gdy leżała z głową umoszczona na jego piersi, a jej ciało wciąż wiotkie było swym niedawnym zaspokojeniem, ośmielała się myśleć o jutrzejszym dniu. Wydawało się, iż Morgan czerpał perwersyjną przyjemność z wyciskania czułych wyznań z jej ust, ale sam nigdy nie wyszeptał choćby tylko tych kilku słów, na które z taką niecierpliwością czekała. Nigdy do końca nie stracił tej ścisłej kontroli nad sobą, którą niejako narzuciło mu życie pełne trosk i obowiązków. Ofiarowywał swe ciało ze szczodłą hojnością, ale jego serce było okryte zbroją i nietknięte, poza jej zasięgiem.

Czas, obiecała sobie. Z czasem rozpocznie obłędnie jego serca,

aż do chwili, gdy zaufa jej na tyle, żełoży je w ofierze u jej stóp. A na razie, ogłuszająca pieśń jego rytmu tuż przy jej uchu, powinna być wystarczającą obietnicą.

Morgan wynurzył się z lasu późnym popołudniem. Mięśnie bolały go, ale odczuwał przyjemne zmęczenie po dobrze wykonanej pracy. On i jego ludzie wykonali pracę za cały klan przez ostatnie dwa tygodnie. Całe bydło zostało oznaczone i puszczzone na wypas, pomiędzy dorodne paprocie leśnego poszycia.

Podmuch północnego wiatru uderzył go w twarz, kiedy wspinał się ku zamkowi, ścieląc mu pod nogi kawałki śniegu w wirującym łańcu. Niech przychodzi zima, pomyślał z dziką satysfakcją.

Kiedyś nienawidził, gdy jej wychudzone palce pełzły po górach. Drwiący szept jej zdławionego śniegiem głosu nie przynosił Mac-Donnellom nic poza głodem i samotnością. Ale ten rok zapowiadał się inaczej. Miał świeże mięso, by wykarmić swój klan. Będzie mógł napełnić te wynędzniałe policzki i zmyć tę warstwę rozpacz / . ich oczu.

Kury zostały zamknięte w kojcach, owce zagnane do zagród, u miecz Cameronów wisiał nad kominkiem w komnacie Sabriny. Pozostało tylko jedno zadanie, którego jeszcze nie wykonał w jego niedokończonych interesach z Cameronami. Morgan przypuszczał, że aksamitna ciemność długich zimowych nocy będzie doskonale nadawać się do jego wykonania. Być może do wiosny Sabrina także będzie nosić jego znak, wyraźnie wskazujący na niego, poprzez łagodne spuchnięcie jej brzucha wypełnionego dzieckiem.

W tajemnicy Morgan miał nadzieję, że będzie to dziewczynka, nie chcąc mieć do czynienia z sytuacją, gdy musiałby dotrzymać swej głupiej i w pośpiechu uczynionej obietnicy, że jeśli Sabrina urodzi mu syna, odeśle ją do domu. Gdyby istniał jakiś sposób, Bóg mógłby pobłogosławić go nawet i tuzinem córek. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie maleńkie ciemnowłose, niebieskookie piękno-iki baraszkujące na jego spódnicy.

Dosięgnął szczytu wzgórza i zrozumiał, czemu większość jego ludzi poszła przodem. Sabrina owinięta w swą pelisę usadowiła się

na starej beli siana na dziedzińcu, brzdąkając na harfie, otoczona przez jego pobratymców. Fergus wyskoczył do przodu w radosnych podskokach, podczas gdy Randal akompaniował na chrapliwych dudach. Gdy wydobył fałszywą nutę, publiczność pohukiwała i gwizdała. Enid, z policzkami zaróżowionymi od zimna, posłała mu pocieszającego buziaka.

Morgan oparł się o chropowaty pień szkockiej sosny, by cieszyć się zwycięstwem Sabriny nad jego klanem. Oczywiście mógł im nakazać ślepe posłuszeństwo wobec niej od pierwszego dnia jej pobytu tu, ale wiedział, że byłoby to niewiele warte. Twarde doświadczenie nauczyło go, że zwycięstwo, na które trzeba było zapracować, smakowało zupełnie inaczej.

Jej słodki sopran wprowadził ich w melodię:

Słodki William od pluga pogwizdując wracał Rzecz do żony: żono, obiad by jakiś się nadał Nazwała go marnym młokosem, patrząc na jego dziób: Jeśli chcesz jakiś obiad, to sam go sobie...

- Jeździec! Konny od Cameronów! - Schrypnięty okrzyk rozbił ich wesołość, gdy chłopak wbiegł na dziedziniec, potykając się i dysząc, by załapać oddech. - Cameron nadciąga!

Rozdział 18

Członkowie klanu Morgana zareagowali zgodnie z przyzwyczajeniami nabytymi w codziennym życiu, wyciągając broń i starając się znaleźć schronienie. Sypki śnieg podniósł się, gdy Ranald chwycił Enid, zabierając ją w bezpieczne miejsce, pozostawiając Sabrinę zaskoczoną i samotnie stojącą przed belą siana. Gdzie jeszcze przed chwilą tańczono i śmiano się, teraz wyczuwało się tylko napięcie i gwałtownie zbliżający się łomot końskich kopyt.

Morgan zmełł w ustach przekleństwo. Stłumił swój pierwszy dziki odruch, by rzucić się ku dziadźcowi i przykryć sobą Sabrinę, wiedząc, iż MacDonnellowie byli znani z tego, że najpierw strzelali, a swoje szczerze przeprosiny płynące prosto z serca, składali później. Nie ośmielił się nawet przestraszyć ich przez wykrzyknięcie komendy. Klnąc stale pod nosem, zmusił się, by iść wolno i spokojnie w dół wzgórza.

Samotny jeździec wjechał galopem na dziedziniec, by ujrzeć pięćdziesiąt łuf i ostrzy skierowanych ku niemu. Nawet z tej odległości Morgan widział, że to młody chłopak, parę lat może starszy od tego, który ostrzegł ich o jego przybyciu.

W gęstniejącej ciszy, która zapadła, gdy się zatrzymał, słychać było przeladowywanie pistoletów, naciąganie łuków i wyciąganie mieczy z pochew, a oczy, które chwilę temu błyszczały radością, teraz zwięzły się w śmiernym zamiarze.

Morgan spostrzegł, że Sabrina rozpaczliwie starała się odnaleźć w twarzach członków klanu jakieś wytłumaczenie dla ich dziwnego zachowania. Od razu wiedział, co tam znajdzie. Zbyt często widział to w ich i swojej twarzy. Stalową obietnicę śmierci, tak surową i nieodwołalną jak smród krwi wsiąkającej w spragnioną ziemię.

Przykleiwszy drżący uśmiech do twarzy, Sabrina zebrała swe suknie. Kiedy Morgan zorientował się, co zamierza zrobić, jego przekleństwa zmieniły się w bezgłośną modlitwę.

Bezlitosny obraz jej zmiętego ciała leżącego w śniegu, jej piersi przebitej strzałą czy nabojem, prawie nim zachwiał. Zmusił się jednak, by nie przestawać iść w jej kierunku, by zmniejszać dystans pomiędzy nimi. Jeszcze tylko kilka jardów i mógł położyć na niej swe ręce.

Napreżył je, nie zdając sobie z tego sprawy, gdy Sabrina rzuciła się do przodu, stając na drodze każdej broni wycelowanej w jeźdźca Cameronów.

Wymuszona wesołość rozjaśniła jej głos.

- Ależ popatrzcie wszyscy! To Caden Cameron przyjechał tu z domu! Fergusie? Ranaldzie? Wyjdźcie i poznajcie mojego kuzyna Cadena. Jest drugim synem mojego trzeciego kuzyna. Przyjaźnimy się, odkąd byliśmy dziećmi, prawda Caden? Przywiozłeś list, czy tylko wpadłeś z wizytą?

Lejce zadzwięczały w niepewnych rękach chłopaka. Zbladł jak ściana, co było łatwo zauważyć pod jego ciemną czupryną, a pomimo chłodu pot załśnił na jego jasnej skórze. Jego suchy głos łamał się.

- Przy-przywiozłem list, panno Sabrino. Am... nie sądzę, że-żebym miał czas na wizytę.

Dłoń Morgana zacisnęła się na przedramieniu Sabriny. Nigdy nie czuł nic bardziej pożądanego niż ciepły opór ciała pod jej rękawem. Ścisnął jej rękę mocno, jakby chciał się upewnić o jej realności.

- Ty cholerny mały głupku - wycedził przez zęby. - Nie masz ani krztyny...

- Przyzwoitości? Rozsądku? - wysyczała w odpowiedzi. - Niezbyt dobrze świadczyłoby to o twojej gościnności, gdybyś odesłał tego chłopaka przewieszzonego przez siodło i podziurawionego jak sito.

- Twój papa mógłby mieć widok nawet bardziej przykry, gdybyś to ty została zwrócona w takim stanie.

Kiwając głową w zapowiedzi późniejszej reprimendy, wepchnął ją za siebie. Jej lekkie drżenie zdradziło cenę jej odwagi.

Posłaniec zachwiał się w siodle na widok zwalistej postaci górala.

- Zeskakuj, chłopcze - rozkazał Morgan. - Jest za późno, abyś wracał do Cameron dziś wieczorem. Ta droga jest niebezpieczna w dzień, a w nocy zabójcza. Zjesz dziś z nami kolację i pojedziesz /, powrotem jutro.

Caden potrząsnął głową, najwyraźniej obawiając się, że szanse przetrwania nocy z MacDonnellami były mniejsze niż negocjowanie niebezpiecznej drogi.

- Nie, dziękuję. Nie jestem bardzo głodny, proszę pana. Wnioskując z wyraźnym zielonkawym odcieniem jego twarzy,

Morgan podejrzewał, że chłopak może również nie być w stanie spożyć posiłku i w południe następnego dnia.

Opuścił wzrok i omiół nim dziedziniec wokół, spostrzegając, że broń była z zakłopotaniem rozładowywana, opuszczano łuki, i miecz na powrót znajdowały schronienie w pochwach. Następnie skierował to samo poważne groźne spojrzenie na jeźdźca, wyzywając go niejako, by mu się przeciwstawił.

- Moja żona i ja nalegamy usilnie, abyś został. - Uniósł złowieszczo brew. - Chyba nie chciałbyś sprawić zawodu mojej pani, nieprawdaż?

- Ależ nie, panie. Nie śmiałbym.

Chłopak ześlizgnął się z konia z takim pośpiechem, że o mało nie zgubił butów. Morgan uspokoił go. Przypominając sobie o swym zadaniu, Caden sięgnął do swej skórzanej torby po kremowy pergamin zapieczętowany herbem Cameronów.

- To od pani ojca, panno Sabrino.

Zapomniawszy o niebezpieczeństwie, Sabrina sięgnęła pod ramię Morgana i chwyciła pismo z rąk Cadena. Wyraz wielkiej niecierpliwości na jej twarzy ranił serce Morgana. Gdy odcyfrowała enigmatyczne bazgrały na wierzchu listu, spostrzegł, że nadzieja w jej oczach umarła prawie tak samo szybko, jak się narodziła.

Rozczarowanie zmatowiło jej głos.

- To nie do mnie. To do wodza klanu MacDonnellów. Wręczyła przesyłkę Morganowi i obróciła się na pięcie. Gdy

przechodziła pomiędzy nimi, ukryci dotychczas członkowie klanu, opuścili swe kryjówki, a ich twarze wyrażały niepewność, w związku z jej reakcją.

- Sabrino? - powiedziała miękko Enid, wydłubując źdźbła słomy ze swego warkocza.

- Zapomniałaś swej harfy, dziewczyno - zawołał za nią Fergus, podnosząc delikatny instrument swą brudną łapą.

Sabrina nie zatrzymała się, rozplywając się po chwili w cieniach spiżarni, jakby nigdy wcześniej nie było jej w ich świetle. Morgan wzdrygnął się, gdy dziwny chłód przeszedł mu przez plecy. Jego pięści zacisnęły się wokół grubego pergaminu. Niech wszyscy diabli porwą Dougala Camerona! Jednym pociągnięciem pióra po raz kolejny zrobił z nich wszystkich wrogów.

Sabrina poszła drogą obok kupy gruzu, przemierzając korytarze do swej komnaty. Nie powinna była opuszczać swego bezpiecznego schronienia. Gdyby tu pozostała, nie dręczyłyby jej teraz te podejrzenia i żądza krwi, które widziała w oczach pobratymców Morgana, wywołane przez jeden nieuważny okrzyk chłopaka „Cameron jedzie!”.

Przemknęła obok zdruzgotanej ściany. Zimny wiatr dał przez pokruszony kamień, aż wzdrygnęła się przewiana do szpiku. Teraz wiedziała, jak szybko MacDonnellowie obróciliby się przeciwko niej, by chronić samych siebie. Jej głupota i próżność zawstydziły ją. Szczerze wierzyła, że uda jej się zwalczyć wieki nienawiści i braku zaufania niczym więcej jak tylko kilkoma śmiesznymi rymowankami i odrobiną lekkomyślnego uroku.

Prawda uderzyła w nią. Bez względu na to, jak bardzo starałaby się zdobyć upartą sympatię MacDonnellów, nigdy nie będzie jedną z nich. Nigdy nie pasowałaby. Ani do ich klanu, ani do Morgana. Nowy węzeł bólu zacisnął się w jej sercu.

Jak długo, zanim dostrzeże ten sam wyraz braku zaufania w oczach Morgana? Niech chociażby jeden z jego ludzi umrze z powodu grypy żołądkowej bądź pijany stoczy się ze schodów, ciekawe na kogo spadną pierwsze podejrzenia. Gdyby ujrzała, jak słoneczne ciepło jego oczu znika, ustępując miejsca stalowemu gniewowi, jej serce pękłoby jak gliniany dzban.

Nie miała swego własnego klanu. Jej ojciec nie zadał sobie nawet kłopotu, by do niej napisać. Była wyrzutkiem, niczym

więcej niż pionkiem w ciągnącym się bez końca politycznym sporze między Cameronami a MacDonnellami i ochoczym niewolnikiem mistrzostwa zmysłów Morgana MacDonnella.

Godziny wlokły się straszliwie wolno, gdy przemierzała swą komnatę od ściany do ściany w oczekiwaniu na Morgana. Dobrze po północy, zwinęła się w krzesło, gdzie kiedyś całowali się na dobranoc i odpłynęła w sen, jedynie, by niespokojnie przekręcać się, gdy żałobne zawodzenie dud przeszywało jej porwane sny.

Pięść Morgana huknęła w list Dougala, łamiąc pieczęć. Dzikie piskliwe zawodzenie dud napłynęło przez okno od strony wioski zagrodników, a surowe dźwięki szczydziły z niego swym pięknem. Przeklęta Ewa! Była jak grecki chór zagłady, nieuniknione przypomnienie szaleństwa jego ojca, który kochał się w kobiecie Cameronów. Czy ostatnie słowa Angusa nie były pochwałą urody Elizabeth, jego ostatnim wyrażeniem podziwu dla jej piękna?

Zapadł w krzesło i rękami objął głowę. Krótkie ciemne godziny przed świtem gromadziły się jakby nad wioską. Wiedział, że wszystko, co powinien zrobić, by albo rozproszyć, albo uzasadnić swe wątpliwości, to pójść do Sabriny i poprosić ją, by przeczytała mu list. To nie duma powstrzymywała go przed tym, a raczej strach.

Nieobcy Morganowi był strach. W oczy śmierci spoglądał niezliczoną ilość razy. W bezksiężycową noc, gdy wpadł w zasadzkę siedmiu ludzi Chisholma. Tego ranka, gdy jego ojciec zmusił go, by amputował zarażoną gangreną nogę jednemu z ludzi z klanu, używając jedynie butelki whisky, by ulżyć jego męczarniom.

Gdy po raz pierwszy postawił swą nic niewartą stopę w oplecionej różami altance w ogrodzie Cameronów...

Ale ten strach nie mógł zostać przewyciężony za pomocą ryku komendy czy wzniesieniu tarczy obojętności. Paraliżowało go nieuchronnie zbliżające się poczucie straty. A co, jeśli Dougal zmienił zdanie? Co, jeśli stwierdził jednak, że MacDonnell nie był wart jego księżniczki i domagał się jej zwrotu? Co, jeśli znalazł jej innego męża - o wysokiej kulturze, który potrafił grać w szachy

i śpiewać z nią w duecie? Słyszeć te potępiające słowa czytane melodyjnym głosem Sabriny byłoby jego zgubą.

Gardząc swoją niewiedzą, rozdarł kopertę i przejrzał grube kreski pisma, szukając jakichś wskazówek co do jego treści. Gdyby Dougal chciał jej powrotu, czy nie wysłałby batalionu angielskich żołnierzy zamiast jednego samotnego chłopaka trzęsącego się jak osika?

Wyglądził ręką gruby pergamin. Nie było zbyt późno, by udawać, że nie widział listu na oczy. Angus niewiele by się namyślał na jego miejscu. Przecież mógł sprawić, że chłopak Cameronów zniknie, a Sabrina o niczym się nie dowie. Górskie drogi były wąskie i zdradliwe, o wypadek nietrudno. Strzał z broni palnej. Śmiertelne w skutkach potknięcie się konia. Upadek w lodową szczelinę. Ciało jeźdźca nie odnaleziono by pewnie i do wiosny.

Morgan przeszedł komnatę dwoma krokami. Podszedł do kominka i cisnął obraźliwe pismo w żarzące się węgle. Jęzor ognia liznął je, zakręcając i nadpalając jego kremowe brzegi.

Chwilę przed tym, gdy chciwe płomienie miał zamiar je pochłonąć, Morgan wyszarpnął je, parząc sobie palce. Pogarda dla samego siebie wypełniła go bez reszty. Był wstrząśnięty tym, do jakiego poziomu gotów był się zniżyć, by zatrzymać swoją pannę młodą. Był to plan wart samego Straszego Halberta.

Przypominając sobie ów radosny głód w oczach Sabriny, gdy sięgała po list i jej gorzkie rozczarowanie następujące po tym, Morgan musiał przyznać, że to nie wezwania Dougala, ani nawet tęsknoty Sabriny za powrotem do wykwintnej rezydencji, gdzie byłoj jej miejsce, się obawiał. To było jego własne tchórzostwo. Bał się, że nie będzie mężczyzną na tyle, by pozwolić jej odejść.

Jego usta ułożyły się w ponurą linię. Wetknął list z powrotem w swoją tartanową spódnicę, uświadamiając sobie w dziwnej ciszy, że coś się zmieniło. Szyderczy głos dud ucichł.

Sabrina siedziała naprzeciwko Morgana nad kolacją w przytłaczającej ciszy, zdecydowana nie komentować jego nieobecności poprzedniej nocy. Jej melancholijny nastrój pogłębił się w ciągu dnia, współgrając wręcz z ponurymi śnieżnymi chmurami wiszą-

cymi nad górskimi szczytami. Enid i Alwyn pukały do jej drzwi, ale odesłała je, tłumacząc się rzeczywistym bólem głowy. Pugsley spędził cały dzień zwinięty w kulkę w rogu komnaty; jego brązowe oczy były dziś nadzwyczajnie smutne. Teraz spał wierząc się i skomląc od czasu do czasu jakby niepokojony snami.

Grzebiąc łyżką w zupie, Sabrina spoglądała na męża spod swych rzęs. Drobniutkie linie zmęczenia rozchodziły się od jego pochmurnych oczu. Jadł jak zwykle, podnosząc zupę, by móc ją wypić, jedząc mięso palcami, by później wylizać je do czysta, nadziewając chleb na swój szkocki sztylet, by potem podnieść go do ust.

Ale ani razu jej nie pocałował, nie nazwał smarkaczem, ani nie obdarzył zaczepnym uśmiechem, który, jak dobrze wiedział, doprowadzał ją do szaleństwa.

Nie wspomniał również o liście od jej ojca. Podejrzewała, że któryś z jego ludzi, bardziej wykształcony, przeczytał mu go. Nie zamierzała jednak błagać o choćby żalosny skrawek wiadomości z domu. Poślaniec jej ojca został odesłany do Cameron z torbą wypchaną jej listami do matki, które napisała w przeciągu ostatnich paru tygodni. Listami, z których żaden nie wspominał o jej latku.

Nie mogąc już więcej znieść beznamietnego wyrazu niezadowolenia odbijającego się w rysach jej męża, odepchnęła od siebie nietkniętą zupę.

- Czy mam ci dziś wieczorem poczytać? Może *Pieśń o Rolandzie*, czy też dalszy ciąg *Beowulfa*!

Jego ręce wsunęły się w jego tartan, ale za chwilę cofnął je. Sabrinę zastanowił ten dziwny gest.

- Głowa już mnie boli, dziewczyno. Nie mam ochoty nabijać jej mnóstwem wyszukanych słów.

Wstała, nie mogąc powstrzymać się, by nie iść jak zdenerwowany kot.

- Więc może zagrajmy w szachy? Albo mogłabym cię nauczyć nowej gry, Loo. Nie ma królowej, którą można stracić w Loo.

Jego bolesny grymas był tak szybki, że mogło jej się tylko wydawać. Rzucił swój sztylet na stół.

- Nie mam nastroju na głupie gry.

Jego ostre słowa zabolą ją niczym dziecięce rozczarowanie, które cały dzień w sobie dusiła. Tym bardziej poczuła teraz dławienie w gardle.

Ukrywając twarz za zasłoną z włosów, podniosła swą harfę, którą wcześniej zostawił tam Fergus. Ale ręce miała niezdarne, ciężkie, jak ciężko jej było na duchu. Jeden z jej paznokci zaczepił się o strunę i zerwał się, aż do mięsa.

Wymknęło się jej płomienne przekleństwo. Sabrina wetknęła pulsujący palec do ust.

Morgan już był przy niej, przyciągając go do swych ust, by wyssać zbierającą się kropelkę krwi.

- Dobrze, że twoja matka nie słyszała, jak przeklinasz. Widziałem, jak Brianowi szorowano usta pomadą za mniejsze przewinienia.

Sabrina wyszarpnęła palec, nie mogąc znieść gry erotycznej jego pięknych ust wokół jej ciała. Zdawała sobie sprawę z tego, że była marudna, ale nie obchodziło jej to.

- Jestem pewna, że te ściany widziały już gorsze potworności niż moja marna próba bluźnierstw.

Uciekła do okna, chcąc za wszelką cenę uciec jego zaskoczonymu spojrzeniu.

- Nie wolno nam zapomnieć oblężenia z 1465, kiedy Camero-nowie tak wygłodzili twoich przodków, że musieli oni posilać się sobą nawzajem.

Morgan zmarszczył brwi.

- No tak, być może właśnie wtedy rozwinęło się w nas to szczególne upodobanie dla ludzkiego ciała.

Musiał wysilić się, aby w odpowiedzi usłyszeć jej miękkie, gorzkie słowa.

- Jakim więc przysmakiem musi być moje serce. Spoglądała w stronę Cameron, wzrokiem śledząc błyszczącą wstążkę drogi, która wiała się pomiędzy urwiskami.

Morgan ukrył się za zbroją obojętności, zanim zapytał miękko,

- Czy chciałabyś wrócić do domu, Sabrino?

Oddech Sabriny ugrzązł jej w gardle i zatrzymał w połowie

wydechu. Przez mgnienie zastanawiała się, czy jej serce uderzy ponownie. Kiedy jednak tak się stało, nie poczuła ulgi. Czy Morgan znudził się nią tak łatwo? Czy jej nieumiejętne zabiegi, by go zadowolić, tylko przygasiły jego apetyt na nią, bądź, co gorsza, znudziły go? Prawdopodobnie było to jego założeniem od bardzo dawna - wyrzucić zemstę na jej uległym ciele, potem odesłać ją do domu do ojca, napiętnowaną wstydem bycia ochoczą dziwką MacDonnella. Zdusiła obejmujący ją chłód czystej rozpacz, starając się obudzić w sobie odwagę i dumę, by na chłodno zaakceptować jego propozycję.

Morgan wślizgnął się za nią, a jego białe stopy sprawiły, że zrobił to bezgłośnie, lecz zanim zdążył ją dotknąć, ona odkręciła się ku niemu, z oczyma błyszczącymi jak polerowane szafiry.

- Nie dotykaj mnie! Nie ma więcej takiej potrzeby. Obawiam się, że zawiodłam zarówno ciebie, jak i mojego ojca w waszych chybionych wysiłkach, by dostarczyć dziedzica do scementowania waszego drogiego pokoju. Nie ma dziecka.

Początkowe uczucie rozczarowania Morgana zostało złagodzone przez ogarniającą go falę radości. Sabrina nie tęskniła za (ameronem. Jej smutek spowodowany był faktem, że nie udało się jej począć dziecka. Jego dziecka.

- Jak długo wiesz? - zapytał. Pochyliła głowę.

- Od dzisiejszego ranka.

Nadal był w zbyt dużym stopniu MacDonnellem, by oprzeć się użyciu siły na swą korzyść. Nim zdążyła zaprotestować, zagarnął ją w ramiona i zaniósł do jej łóżka. Usiadł obok niej, biodrem przy jej biodrze.

- Jesteś chora, dziewczyno? Coś cię boli?

Otarła łzę z policzka. Wiedziała, że powinna czuć się zażenowana. Z nikim, oprócz swej matki, nigdy o takich rzeczach nie rozmawiała. Ale czulej trosce Morgana nie można się było oprzeć. Nie mogąc przepchnąć słowa obok bryły, która ugrzęzła jej w gardle, skinęła głową i ręką wskazała na swą brew.

Jego palce głaskały i badały jej skronie z nieskończoną delikat-

nością, masując, dopóki napięcie nie zaczęło ustępować z jej szyi i ramion.

- Gdzie jeszcze?

Wstydliwie pacnęła brzuch. Wyciągając się spoza niej na całą długość, masował jej brzuch płaskościami swych dłoni, łagodząc tępy ból.

W końcu, przenosząc wagę na jeden łokieć, przyjrzał jej się poważnie.

- Gdzieś jeszcze?

Jej ręka zamknęła się w pięść. Przycisnęła ją do serca, wiedząc, iż tego bólu nie będzie w stanie złagodzić. Myliła się jednak.

Jego usta dotknęły jej ust, łagodnie perswadując i skubiąc, aż rozchyliła wargi dla delikatnego, pożądanego muśnięcia jego języka. Nawet wówczas, gdy jego usta wędrowały w dół filaru jej gardła, nie przestawał cierpliwie odpinać małych guziczków jej gorsetu, uwalniając bujną szczodrość jej piersi dla przyjemności swych rąk. Jej pięści chwyciły jedwab jego jasnych włosów, gdy schylił głowę, ssąc dziko, aż jej łono ścisnęło się napelnione rozkoszą.

- Morgan! - wydyszała. - Nie rozumiesz? Nie ma potrzeby, abyś to robił. Jest niemożliwe, abym zaszła w ciążę właśnie teraz.

Jego dłonie podciągnęły jej suknię, ściągnęły jej ciężkie halki na biodra. Ciemna namiętność w jego oczach zaparła jej dech w piersiach.

- Zabaw mnie.

Sabrina była ogłuszona jego nieoczekiwanymi słowami. Morgan MacDonnell w końcu zdradził swą własną dumę. Dzika radość wezbrała w niej, wzmożona jeszcze triumfem. Ten wspaniały, arogancki mężczyzna pragnął jej mocniej, niż pragnął syna.

- Jesteś pewien? - wyszeptała, odchylając się odważnie od niego, gdy jego usta znów zaczęły szukać jej ust.

Podniósł głowę, by mrugnąć do niej bezwstydnie.

- Jesteś niedbała, dziewczyno, nie przeczytałaś zapewne motto MacDonnellów. To zapis w Gaelicu, ale tłumaczy się to jako, „Każda bitwa warta wygrania, warta jest rozlewu odrobiny krwi”.

- Nieprzyzwoity błysk w jego oku stał się jeszcze głębszy.

- W szczególności, gdy nie jest to twoja własna krew.

Sabrina obudziła się sama w łóżku. Podniosła rozczochraną głowę i spostrzegła Morgana siedzącego przy stole przewiązanego swym tartanem w pasie. Płonął pojedynczy knot, rozpraszając cienie i rzucając złociste refleksy na jego pochyloną głowę.

Odrzuciła prześcieradła i cicho stąpając podeszła do niego, ubrana w wełnianą koszulę nocną, którą nałożył na nią, gdy ciepło ich ciał nie do końca stłumiło jej dreszcze.

Książka do alfabetu dla dzieci leżała rozłożona przed nim na stole. Była to ulubiona książka Sabriny, z której zamierzała uczyć czytać jakichś młodszych MacDonnellów. Każda z liter została ozdobiona pięknym drzeworytem egzotycznego zwierzęcia. Usta Morgana poruszały się w skrupulatnym skupieniu, gdy porównywał strony książki z pogniecionym plikiem papierów.

Sabrina położyła rękę na jego ramieniu. Spłoszył się i z miną winowajcy zatrasnął książkę.

Kurczowo chwyciła się za łomoczące serce.

- Mama zawsze ostrzegała mnie, by nie skradać się do MacDonnella.

Spojrzał na nią spode łba.

- Mądra rada. Masz szczęście, że się na ciebie nie rzuciłem. Wymknął się jej bezwolny chichot.

- Myślałam, że to już dziś robiłeś.

Jego namiętny wzrok dobitnie świadczył, że nie zapomniał o fakcie. Dziewczyna stanęła na czubkach palców, by spojrzeć mu przez ramię. Rękami osłonił papier, lecz potem ustąpił.

- Do diabła z tym. Nie potrafię przeczytać tych bzdur. Odsłonił sfatygowany strzep pergaminu, który wyglądał, jakby

został przeżuty przez szczura. Kiedy Sabrina wygładziła go dłońmi, kawałki wosku, które były kiedyś częścią pieczęci Cameronów pokruszyły się w jej palcach. Jej serce przyspieszyło z podniecenia.

Morgan ze znużeniem przetarł oczy.

- Z tego, co udało mi się zrozumieć twój ojciec, bizon i aligator przyjeżdżają do MacDonnellów, by przyprzewieźć ich słońca.

Sabrina z trudem ukryła uśmiech i łapczywie zaczęła przeglądać list.

- Nie. Mój ojciec, Brian i Alex przyjeżdżają z wizytą. Chcą odzyskać Enid i zobaczyć jak nam się układa jako mężowi i żonie.

Morgan podrapał się po brodzie.

- Sprawdzają mnie, co? Jestem zaskoczony, że ten przebiegły psi... -
Spostrzegł jej ganiący wzrok i odchrząknął. - Cameron czekał tak długo.
Kiedy przyjeżdżają?

- Przed Świętami Bożego Narodzenia.

Opuszek jej palca śledził linijkę pisma na dole listu. Nutka zdumienia zabrzmiała w jej głosie.

- W końcu wcale o mnie nie zapomniał.

Morgan stłumił dziecinny wybuch zazdrości, pragnąc, by to on był tym, który sprawi, że twarz jego żony będzie jaśniała tak pogodną radością, jak w tej chwili.

- Co tam jest napisane, dziewczyno?

- To cytat z jednego z ulubionych wierszy mojej matki, napisanych przez Roberta Ferricka.

Zastanawiając się nad tym, że dziwnym zbiegiem okoliczności zagadkowa wiadomość od jej ojca tak trafnie odzwierciedlała credo MacDonnellów, Sabrina spotkała nieufne oczy swego męża i miękko wyszeptała,

- Nie ma róży bez kolców.

Rozdział 19

Z bezwzględnością wodza szykującego się do wojny, Sabrina, przygotowała MacDonnellów na wizytę swej rodziny. Beztrosko ignorowała ich narzekania i mamrotane przekleństwa, widząc, że pod maską wrogości czai się strach. Strach, że zostaną uznani za gorszych przez bogatych właścicieli ziemskich, Cameronów. Strach, że ich wyśmieją, że zostaną wydrwieni z powodu ich ubóstwa, ich niewiedzy, ich grubiaństwa.

Niechętnie błogosławiąc dalekowzroczość swej matki, Sabrina zagłębiała się w czeluście kufrów i skrzyń, które Elizabeth jej spakowała, znajdując dla każdego z nich jakiś talizman, który mógł podarować im złudzenie pewności siebie.

Dla Fergusa było to piękne szkło powiększające wyrzeźbione w afrykańskiej kości słoniowej a dla Alwyn mosiężny naporstek. Alwyn bezzwłocznie zrobiła z niego dobry użytek, wałać nim Fergusa po głowie, ilekroć jego wędrowne, powiększone oko zbłądziło, zatrzymując się na innej dziewczynie.

Obawiając się, że magiczne kufry mają jednak dno, Sabrina i Enid przeczesały własne garderoby, bezustannie szyjąc, by zrobić suknie z halek, koronkowe kapelusze z damskich reform, a materiałowe pantofle z sutych halek jednej z balowych sukni Hnid.

Nawet sękata starucha, która rządziła królestwem kuchni, dumnie paradowała w różowej wstążce zrobionej z jednej z podwiązek Sabriny. Ewa pozostała niewzruszona na przyjazne gesty Sabriny. Dziewczyna odnalazła swój złoty grzebień, z którego uczyniła prezent w brudnej stercie śniegu. Potrząsnęła jedynie głową, rewidując swą opinię, że to Morgan był najbardziej uparty z MacDonnellów, których kiedykolwiek spotkała.

Posadzki zamkowe zostały zamiecione do czysta, zaśniedziałe

kinkiety pochodni obrano z pajęczyn, a dziury w ścianach ukryto za pomocą wytartych gobelinów.

Morgan wrócił do komnaty późno, po całym dniu uprzątnięcia kawałów tłuczni z wąskich korytarzy. Wygrzebał swą drogę wśród stert materiału, by odnaleźć swą żonę śpiącą przed kominkiem, z palcami wciąż zaciśniętymi na igle. Fioletowe cienie barwiły jej delikatną skórę pod oczami.

Niczego z tego, co robiła, nie robiła dla siebie, pomyślał. Niczego nie musiała udowadniać własnemu ojcu. Pracowała do utraty tchu, aby jej mąż mógł stanąć przed Dougalem Cameronem i spojrzeć mu prosto w oczy bez przeszkód w postaci zazdrości czy wstydu, wzniesionych między nimi.

Czułość ogarnęła go całego, zmiatając jego żądzę, w której miejsce pojawiło się rozgoryczenie. Jego żądania w stosunku do niej, odkąd dowiedział się o nieuchronnie zbliżającej się wizycie Dougala, były zarówno częste, jak i dzikie. Kochał się z nią z gniewnym zapamiętaniem, z prymitywną pożądlivością, dającą jej do zrozumienia, że teraz była jego kobietą, a niejedną z Cameronów. Jej urywane łkania, gdy rozchyłała nogi pod jego naporem, były jak muzyka dla jego uszu, potwierdzeniem dzikiej, słodkiej mocy, która ich łączyła. Pragnął zasiać swoje nasienie w jej uległym ciele, by zobaczyć ich przyszłość jaśniejącą w oczach ich córki.

W jego pragnienie wplotła się nić poczucia winy. Kochał się z nią z czułą gwałtownością, jednakże wciąż nie zmusił się do wypowiedzenia słów, które obnażyłyby jego serce i odkryłyby jego dumę, co dla niego zdawało się szaleństwem. Jego własne tchórzostwo zawstydzalo go.

Nie ufając sobie, że zaniósłszy ją do łóżka, pozwoli jej spać spokojnie, uniósł ją w ramionach, potem usiadł, tuląc ją do piersi, jak gdyby była dzieckiem. Przytuliła policzek do materii jego pledu, westchnąwszy z zadowoleniem.

Potań swoją brodą o jej włosy.

- Będiesz ze mnie dumna, dziewczyno. Bóg mi świadkiem, przysięgam, że będziesz.

Pocałował delikatnie jej czoło i wyszeptał słowa, na które czekała więcej niż pół swego życia.

Sabrina zakłęła, gdy gęsta chmura sadzy trafiła ją prosto w twarz. Upuściwszy miotłę, wycofała się na kolanach z paleniska, kaszając i trąc oczy. Pugsley uciekł pod łóżko, chrapliwie sapiąc, jakby każdy oddech miał być jego ostatnim. Drzwi do komnaty otworzyły się z łomotem.

Morgan rzucił na nią przelotne spojrzenie.

- Proszę mi wybaczyć. Szukałem żony.

- Morgan! - jej rozdrażniony okrzyk zatrzymał go w pół kroku od wyjścia.

Podszedł do niej szybkim krokiem i podciągnął ją na nogi. Panika rozbłysła w jego oczach.

- Na miłość boską, kobieto! Twój ojciec może tu być lada moment. Czy chcesz, aby pomyślał, że zrobiłem z ciebie sprzątaczkę?

Oparła sobie dłonie na biodrach.

- Gdybyś zadał sobie trud wyczyszczenia tego komina mniej więcej raz na stulecie, nie znajdowałabym się teraz w tak kłopotliwym położeniu.

Spojrzeli na siebie gniewnie, oboje świadomi, że dzisiejszy dzień dowiedzie czy ich na nowo odkryte uczucia potrafią oprzeć się dawnej wrogości ich klanów. A potem kamienne usta Morgana zaczęły lekko drżeć w kącikach. Sabrina złapała ręczne lustro i przyjrzała się swemu odbiciu. Poza gniewnymi niebieskimi szparkami jej oczu cała jej twarz miała odcień głębokiej czerni. Jej nieskazitelna suknia nocna była pokryta brudem.

Nie umiała powstrzymać chichotu. Wciąż się sobie przyglądając w lusterku, przetarła twarz mokrą ściereczką, usuwając większość sadzy.

- Mam lepszy pomysł. Powiem im, że trzymałeś mnie skutą w lochach, by wykorzystywać dla własnej przyjemności, kiedy przychodziła ci na to ochota.

- Nie myśl, że się nad tym nie zastanawiałem. - Uniósł szelmowsko brew. - Może, kiedy już sobie pojedzie...

Sabrina pochyliła lustro, by przestudiować dokładnie widoczny w nim fragment swego męża, a jej serce przyspieszyło. Jego tartan był świeżo uprany i elegancko upięty w uroczyście fałdy. Przy-

wdział nawet odrapaną parę butów, wypucowawszy je do matowego połysku. Ujęły ją zarówno jego męska próżność, jak i oczywista chęć zrobienia wrażenia na jej ojcu. Ich oczy spotkały się w lusterku.

- Czy mam twą aprobatę? - powiedział miękko.

Jedną rzecz, której Sabrina nauczyła się od swego męża to fakt, że bardzo często czyny były bardziej konkretne niż słowa. Rzuciła się w jego ramiona, przewracając go na krzesło. Roztapiała się w jego objęciach, mając zamiar pokazać mu, jak bardzo wszystko aprobeuje, gdy ostre pukanie rozległo się od strony drzwi.

Morgan skoczył na równe nogi, prawie wyrzucając ją ze swych kolan i gwałtownymi ruchami wygładził swój tartan.

- Słodki Chryste, ten stary drań nie mógł się już pojawić. Ale był to tylko Ranald, który wetknął teraz głowę przez drzwi.

Jego ciemne włosy stały w nerwowych kępkach. Jego śniada cera przybladła znacząco.

- Mały problem na pastwisku, Morgan. Jedną z twoich owiec oddaliła się od stada i załamał się pod nią lód na jeziorze. Miałem ją obwiązaną liną, ale jakoś nie mogę jej wyciągnąć.

Sabrina zastanawiała się czy jej się wydawało, czy też Ranald zachowywał się bardziej nerwowo, niż zwykle. Być może to jej wcześniejsze wskazówki, iż jego obowiązkiem było błagać jej ojca o rękę Enid, sprawiły, że teraz męczył się i denerwował nieznośnie.

- A żeby to! - Jawne przerażenie dało się odczytać w oczach Morgana.

- Chciałem tu być, gdy pojawi się twój ojciec, a nie siłować się z głupią owcą.

Słowa Ranalda popłynęły teraz nieprzerwanym strumieniem. Wolno kierował się ku drzwiom.

- Beczła tak niespokojnie. Sądzę, że powinieneś jak najszybciej tam pójść. Postaram się przytrzymać jej mały łeb nad lodem, aż się zjawisz.

Gdy Ranald wybiegł, Morgan przejechał zdenerwowaną ręką przez włosy. Zmartwienie myślą, że zwierzę cierpi, odbiło się w jego rysach.

- Idź - rozkazała mu Sabrina, kładąc uspokajająco dłoń na jego ramieniu. - Jeśli tatko pojawi się, zanim wrócisz, wyjaśnię mu po

prostu sytuację. Zawsze szczerze wierzył w ratowanie zaginionych owiec.

- Jesteś pewna? Wiem, ile to dla ciebie znaczy. - Jego wzrok spoczął na jej twarzy. Miała jedynie nadzieję, że jej jasny uśmiech stał z niej wszelkie ślady rozczarowania.

- Idź - nalegała, popychając jego nieruchomy tors. - Ostatecznie, my, MacDonnellowie, troszczymy się o swoich.

Miała nadzieję, że obdarzy ją jednym ze swych czułych uśmiechów, który, jak się przyzwyczaiła, kruszył jego kamienne rysy. Nie była jednak przygotowana na intensywność jego ponurego spojrzenia.

Objął dwoma dłońmi jej kark i zgniótł jej usta swoimi w gorący pocałunku.

- Tak, dziewczyno. I nigdy o tym nie zapominaj.

- To się raczej nie stanie, kochany - wyszeptała, kiedy już wyszedł.

Sabrina wiedziała, że powinna zamieść kominek i wyczyścić suknię, ale nie mogła oprzeć się na zmarnowaniu chwili, by porozkoszować się swym szczęściem. Znęcona surowym, błyszczącym pięknem świata za oknem, przyglądała się wąskiej wstążce drogi i zastanawiała się, czy jej pierwszej będzie dane wydać ów radosny okrzyk „Cameronowie jadą!”. Lodowate zimno sączyło się przez wykoślawione szyby, ale ją rozgrzewały sekretne dary, które nosiła w sercu.

Poniżej pojawił się Morgan, brnąc przez zasy w kierunku łąki, która graniczyła z drogą. Ślizgał się na oblodzonej dróżce, prawie tracąc równowagę i Sabrina uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak wymyślne muszą być przekleństwa, które srebrną chmurką ulatywały w lodowatym powietrzu. Nieoczekiwane łzy zapiekły ją w oczy. Człowiek, którego kochała, nie był pełnym ogłady wodzem w glansowanych butach, ale gburowatym olbrzymem, który narzekając, przedzierał się przez śnieg, by uratować owcę w tarapatach.

Gdy Morgan zniknął za wzgórzem, jej głodne oczy wróciły na drogę. Dwaj mężczyźni, których kochała najbardziej na świecie, mieli się spotkać, by zacząć coś od nowa. Jednemu z nich ofiaro-

wała swe serce, drugiemu przebaczenie. Porwała z tuzin listów do ojca w ciągu zeszłego tygodnia, decydując, że odważniej będzie spojrzeć w te niebieskie oczy, które tak bardzo przypominały jej własne i powiedzieć mu, iż rozumie trudny wybór, jaki przyszło mu podjąć. Wcale nie oddał swej księżniczki bestii, ale księciu w przebraniu bestii.

Nagle, tak bardzo chcąc podzielić się ich szczęściem, rzuciła się w wir działania, Wymiotła kominek i rozpałała nowy ogień w palenisku. Wyszorowała ręce i twarz, a potem przebrała się w nowoczesną satynową suknię koloru kości słoniowej. Strzepując swe spódnice, miała nadzieję, że ojciec i bracia nie będą zbyt zawstydzeni brakiem jej gorsetów i halek. Fergus mógłby znaleźć w Brianie rywala, gdyby temu mignęła gdzieś kształtna postać Alwyn, ubrana tylko w dawną bieliznę jego siostry.

Rozdawszy swe ostatnie wstążki, zdecydowała, że poszuka Enid i zapyta czy kuzynka nie miałaby jednej do odstąpienia. Mimo że Morgan uwielbiał wplątywać swe ręce w jej rozpuszczone włosy, czuła, że przystoi jej bardziej wytworna fryzura, jako skromnej mężatce. Uśmiechnąwszy się szeroko na tę myśl, otworzyła drzwi.

Ewa stała w przejściu, ze skrzyżowanymi ramionami i błyskiem radości w swych zaćmionych oczach.

Sam pomysł szczęśliwej Ewy przeraził Sabrinę. Nie zamierzając, cofnęła się ostrożnie o krok w tył, mając nadzieję, że chociaż bezzębny Pugsley jest gdzieś poblizu, by jej bronić. Ewa wykorzystała okazję, wchodząc do komnaty.

Sabrina zmarszczyła nos na stęchły zapach tartanu kobiety. Zmuszając się do stawienia jej czoła, odchyliła lekko głowę do tyłu, by odważnie spotkać spojrzenie wyższej od niej kobiety.

- Nie mam ani czasu, ani cierpliwości Ewo, na twe prorocтва zagłady. Ani też nie pozwolę, byś zepsuła Morganowi ten dzień.

Ewa wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nic nie mogłoby zepsuć tego dnia MacDonnellom. Nieprędko zobaczymy podobne dni.

- Cieszę się, że w czymś się zgadzamy. Masz wielkie szczęście, że człowiek pokroju Morgana prowadzi twój klan ku przyszłości.

- Racja. A będzie to przyszłość wielka i świetlana. Ach, gdyby tylko żył Angus, by to zobaczyć - jej surowe oczy odzwierciedlały mrozącą w żyłach pustkę duszy.

Sabrina wzdrygnęła się na to nagłe odkrycie.

- Czy wiesz, kto go zabił? - zapytała miękko, nie będąc w stanie już dłużej dusić w sobie pytania, które nie dawało jej spokoju od tygodni. Jak wspaniałym prezentem dla Morgana i jej ojca byłoby uwolnienie Cameronów od winy.

Ewa wzruszyła ramionami i poczęła przemierzać komnatę, ciągnąc za sobą swą chromą nogę.

- To był wypadek. Omskniecie się mojego noża. Szybko i czysto. Nie cierpiał.

Sabrina przełknęła wzbierające nudności.

- Czy chciałabyś, abym powiedziała Morganowi?

- Nie sądzisz chyba, że nie wie - warknęła Ewa. - Czy nie widziałaś jego twarzy, gdy Angus upadł? Czy naprawdę był to wyraz zaskoczenia, czy raczej wstrząs, że inny człowiek przyjął to ostrze? Ostrze, które przewidziane było dla twojego ojca. Otwórz wreszcie te niewinne niebieskie oczka, dziewczeczko. Morgan jest jedynym człowiekiem w tym klanie z dalekosiężnymi planami. Straszными i wspaniałymi planami. To jego pomysłem było zabicie potężnego barona, to on jest człowiekiem, który wyruszył dziś, by dokończyć swe dzieło.

Komnata zawirowała wokół Sabriny. Wyciągnęła rękę, by uchwycić coś, co pomogłoby jej zachować równowagę, ale nic takiego nie znalazła. Nic oprócz wieków podejrzeń i zdrad. Spotkała Morgana w pokoju swej matki na poddaszu parę minut przed tym, jak Angus został zamordowany. Czy naprawdę szukał on ukojenia czy może dobrego alibi co do miejsca swego pobytu, gdy ziomkowie z jego klanu mordowali jej ojca.

Przypomniała sobie niedawne niefortunne wtargnięcie Ranalda, jego dzikie przelotne spojrzenie. Ona i Morgan chcieli przywitać jej ojca na dziedzińcu, stojąc ramię w ramię, jako mąż i żona. Teraz Morgana wyszedł, pozostawiając ją na łasce Ewy.

My MacDonnellowie troszczymy się o naszych, przedrzeźniała -

I nigdy o tym nie zapominaj, dziewczyno.

Czy jego słowa były obietnicą, czy ostrzeżeniem?

Wciąż jeszcze czuła smak jego pocałunku na ustach. Na pewno żaden pocałunek Judasza nie mógł być tak słodki, tak pełen miłostnego głodu. Zesztywniała cała. Ktoś musiał być pierwszy, by odrzucić uprzedzenia przeszłości i bronić przyszłości, zbudowanej na niczym więcej, jak tylko wątej nici ślepej wiary.

Jej ojciec nie wybrałby jej do wykonania tego zadania, gdyby nie wierzył, że się do niego nadaje.

Spojrzała Ewie prosto w twarz, mówiąc cicho, lecz przepełniona całkowitą pewnością.

- Kłamiesz. Ty i twój przebiegły Angus mogliście uknuć podobną zdradę, ale mój mąż nie zniżyłby się do skrytobójczego pchnięcia człowieka w plecy czy zastawiania na niego zasadzki. Gdyby miał życzenie kogoś zabić, miałby przynajmniej tyle dumy, by patrzeć mu w oczy zabijając go. To człowiek honoru.

- Jest głupcem! - Na to gorzkie stwierdzenie Ewy dzikie uczucie zwycięstwa zapłonęło w żyłach Sabriny. Jednak jej następne słowa ostudziły je chłodem strachu.

- Morgan jest po prostu zaślepiony tym, co znajduje się pod twymi ładnymi spódniczkami. Zbyt dużo poświęciłam dla tego klanu, aby po prostu oddać go jakiemuś Cameronowi bez walki. Nie tylko ja czuję w ten sposób. Niektórzy z nas nie są zadowoleni z wizji życia składającego się z zajmowania się owcami czy skubaniem kurczaków. Wychowano nas do walki, a jeśli Morgan nie jest mężczyzną na tyle, by stanąć do boju, są tacy z nas, którzy potrafią to zrobić. Może wybrać. Stanąć z naszymi strzelbami albo od nich polec.

Sabrina ośmieliła się rzucić wzrokiem na okno. Jej oddech zamarzł w gardle na widok sznura koni, zakręcającego na urwistej drodze. Jej ojciec, jej bracia, grupa Cameronów nie byli już tylko ciemnymi plamami na śnieżnym horyzoncie.

Rzuciła się ku drzwiom. Ale podobnie jak nieszczęsną dziewczynę Grantów, Sabrinę zdradziły przez ciężkie fale jej loków, w których tak bardzo lubił zanurzać ręce jej mąż. Ręka Ewy zacisnęła się teraz na nich jak imadło, pociągając ją w tył. Łzy bólu

zapięły jej oczy. Wciąż trzymając ją za włosy, Ewa przeciągnęła ją przez komnatę, do okna, które otworzyła. Lodowaty wiatr uderzył je obie. Ewa pociągnęła ostro jej włosy, chcąc zmusić ją do ukłęknięcia. Sabrina zdusiła w sobie okrzyk bólu. Jej ręce zacisnęły się na parapecie okiennym. Nie chciała ugiąć się przed tą mściwą istotą.

- Chcę, żebyś to widziała, dziewczeczko. Zobacz, jak tve sny umierają na twoich oczach, tak jak ja robiłam całe życie.

Sabrina wpiła się paznokciami w parapet, gdy Ewa ciągnęła ją naprzód. Kocie łby poniżej zdawały się wyłaniać znikąd na jej spotkanie. Zawroty głowy sprawiły, że wszystko zawirowało.

- Nie będzie dla Morgana zaskoczeniem, że będąc świadkiem pogromu swej rodziny, jego tchórzliwa panna młoda wybierze raczej śmierć, niż zaczeka na jego powrót i morderstwo z jego ręki.

Oślepiający spokój wypełnił Sabrinę. Z całej siły zamknęła oczy przed nieubłaganym wiatrem, wiedząc, że Ewa była szalona. Jej przypadkowe zamordowanie Angusa i jej wypaczone przywiązanie do klanu MacDonnellów pomieszało jej w głowie. Była gotowa poświęcić ich wszystkich, nawet Morgana, dla zemsty na Cameronach.

Obrazy zwały się na Sabrinę ze wstrząsającą realnością. Jej ojciec kręcący nią wysoko nad głową, Brian łaskoczący ją. Alex zapinający jej pelerynę, gdy jej pulchne małe rączki były zbyt niezdarne, by mogła to zrobić sama. Zakrwawione ciała leżące w śniegu. Morgan schwyty w straszną sieć następstw zemsty liwy. Morgan wracający, by odnaleźć jej potrzaskane ciało na wystrzępionym bruku, wierzący w tej straszej chwili, że wątpiła w niego i bała się go bardziej, niż kochała.

- Nie - wyszeptała, otwierając oczy.

Ignorując rozdzierający nacisk na podstawę czaszki, napała na I iwę. Mając do wyboru wypuszczenie jej lub upadek, Ewa zatoczyła się w tył, młóćąc rękami i na próżno szukając oparcia dla utraconej równowagi. Sabrina przemknęła obok niej, nawet nie spoglądając za siebie, gdy krzesło rozpadło się pod wagą Ewy. Zawiedzione wycie wściekłości popłynęło za nią.

Sabrina rzuciła się schodami w dół. Kamienne ściany wzniesio-

ne z krwi i potu przodków Morgana wydawały się szydzić z jej słabości, jej głupiego optymizmu, iż jedno kobiece serce może przeciwstawić się wiekom bezsensownej przemocy.

Kujący ból rozdzierał ją z boku. Przemknęła przez salę, ignorując zaskoczony wrzaski i ostrzegawcze krzyki, które podniosły się w ślad za nią. Nikt z ludzi Morgana nie mógł jej teraz pomóc, bo nie wiedziała, ilu z nich Ewa omotała swą intrygą. Nie było czasu na wyjaśnienia, a nie wiedziała też, komu są tak naprawdę wierni i czy uwierzyliby w jej słowa, czy też raczej w wersję członkini swego klanu.

Wypadła na zaśniewony podwórzec, starając się złapać oddech. Musiała ostrzec Morgana. Tylko on miał moc odwrócić nieszczęście grożące im wszystkim. Wiedząc, że może dotrzeć na łąkę szybciej drogą, która z nią graniczyła zamiast przedzierania się przez las, jak uczynił to Morgan, zanurkowała ku stajniom, zostawiając pantofle w zaspie. Jej rozdygotane ręce otworzyły drzwi do stajni szarpnięciem.

Ciepły zapach parujących końskich ciał rozlał się wokół niej, gdy przyglądała się rzędowi koni w pośpiechu desperacji. Ich spokojne oczy mrugały, spoglądając na nią. Żebra odznaczyły się ostro pod ich poszarzałą sierścią. Wiedziała, iż większość z nich była niedokarmiona nie z okrucieństwa, ale z konieczności. Morgan prędzej zagłodziłby siebie niżli konia.

Wzdrygnęła się, gdy para podkutych kopyt skrzesała skry o tylną ścianę, najwyraźniej domagając się jej uwagi.

Pookah odrzucił swą grzywę z pełnym werwy lekceważeniem, przewracając wyzywająco oczami. Węzły ścięgien i mięśni napinały się pod błyszczącą sierścią. Para wydobywała się z jego rozszerzonych nozdrzy, sprawiając, że bardziej przypominał smoka, niż inne konie.

Oczy Sabriny zwięzły się w determinacji.

Nie pozwalając swym obawom na urośnięcie do zbyt wielkich rozmiarów, uniosła swe sukienki i poczęła biec przez stajnię boso, by wskoczyć na nie osiodłany lśniący grzbiet Pookah. Zwieszając swe nogi po bokach, dziko wykrzyknęła rozkaz i ubodła jego drżące boki piętami.

Jego ciało całkowicie się rozluźniło. Stał jak posąg, nie podskakując, nie drżąc, a jeśliby miała to powiedzieć Sabrina, to nawet nic oddychając. Był równie uległy, jak jeden z tych grubych, statecznych kucyków, na których polecała jej jeździć matka. Sabrina nie mogła uwierzyć, że udało się jej dotrzeć tak daleko, tylko po to, by zostać pokonaną przez kolejnego upartego MacDonnella.

- Niech cię diabli, chabeto!

Jej piąty raz jeszcze uderzyły w bok zwierzęcia, ale koń pozostał nieporuszony, nie zwracając uwagi na jej szturchnięcia, jak i urywane przekleństwa. Gdy spostrzegła, że przyszłość wyślizguje się jej, nawiedziły ją obrazy z przeszłości, które zdawały się stworzone specjalnie do ponownego pojawiania się.

Ona i Morgan rozdzieleni przez żelazne kraty. Morgan uderzający nią na podłogę w sali jej ojca, zagrzewany przez gwizdy i kpiny swych towarzyszy. Angus bezwładnie lecący w przód, wysadzany klejnotami sztylet wystający z jego pleców. Złotowłosego chłopaka popychający ją w kupę liści, gniew i ból gorejący w jego burzliwych zielonych oczach.

Jej przekleństwa ucichły. Jej nogi zwiotczały z wyczerpania. Ukryła twarz w szorstkiej grzywie Pookah, a łzy rozpaczy potoczyły się z jej oczu, gdy wyszeptała,

- Proszę, Boże. Proszę, nie po raz kolejny...

Pookah był poruszony przez łzy nie mniej niż jego właściciel. Rzucił miękko, zarzucił swą jabłkowitą głową. Prawie bez cienia nadziei Sabrina uchwyciła się jego śliskiej szyi, otaczając ją ramionami, gdy wtem wystrzelił on ku otwartym drzwiom. Śnieg eksplodował pod jego dudniącymi kopytami. Ludzie z klanu Morgana wysypali się z zamku gromadą. Ich twarze wydały się Sabine płamą zaledwie, gdy przemknęła koło nich.

Wirujący śnieg oślepił ją, gdy cwałowała, przechylając się na bok na pochyłościach oblodzonej drogi, w poszukiwaniu jedyne go człowieka, który dzierżył przeznaczenie ich wszystkich w swych lękach.

Morgan stał do pasa w lodowatej wodzie jeziora, jego zdrętwiałe uimiona owinięte wokół brzucha przerażonej owcy. Kiedy przybył

na miejsce, nie zastał ani Ranalda, ani nigdzie widocznej liny. Przeklinając lenistwo swego kuzyna, zajął się rozbijaniem grubej powłoki z lodu, pokrywającej jezioro. Zajął mu trochę czasu, nim mógł zanurzyć się w jego lodowatej wodzie.

Trzymając głowę owcy ponad wodą, brnął w kierunku brzegu. Jej żałosne beczenie ogłuszało go. Jedno z jej wierzgających kopył otarło jego udo.

- Spokojnie, dziewczyno - wymamrotał, skrecając biodra pod bezpieczniejszym kątem. - Jeszcze jedno takie kopnięcie i mój teść będzie miał na kolację kotlety z jagnięciny.

Jego plec zaplątał się wokół jego ud przesiąknięty wilgocią, gdy dźwignął owcę z wody. Upadł na kolana w śnieg, trzymając drżące zwierzę przy piersi, by rozgrzać ich oboje.

- No, już - uspokoił ją. - Jesteś teraz bezpieczna i niedługo będziesz sucha, czego nie mogę na pewno powiedzieć o sobie.

Uwolni! ją, a ona odbiegła truchtem, niewdzięcznie nie oglądając się za siebie.

- Jak kobieta - powiedział Morgan, potrząsając głową z dezaprobatą.

Podniósł się, poruszając zgrabiałymi rękami. Jego jedyna para butów wypełniona była wodą, a jego stopy były skostniałe. Zwężając oczy, spojrzął na odległą drogę, biegnącą stycznie do łąki, by w oddali zobaczyć grupę jeźdźców nadciągającą z południa.

Ramiona gwałtownie mu opadły. Oto stał, gotów na przyjęcie swego znamienitego teścia, przemoczony, z pozlepianymi włosami, z tartanem ozdobionym błotną breją. Roześmiał się w duchu, gdy jego rozgoryczenie zmieniło się w rozbawienie. Cameronowic będą musieli zrozumieć teraz, że jest człowiekiem pracy. Piękna, pracowita córka Dougala dopilnowała tego.

Pokrzepiony myślą o niej, Morgan ruszył w kierunku drogi, by powitać ich gości. Grom uderzeń końskich kopyt rozległ się jak strzał bata w ostrym zimowym powietrzu. Morgan zatrzymał się na chwilę, żeby uświadomić sobie, że tętent dochodził z nie tej strony, z której się tego spodziewał.

Przysłaniając oczy przed blaskiem odbitym od śniegu, spojrzął

z powrotem w kierunku zamku. Nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażał sobie widoku, który go teraz powitał.

Sparaliżowany przerażeniem patrzył, jak szara smuga sunęła wąską drogą. Skąpo odziana postać kurczowo trzymała się końskiej szyi, a jej własna ciemna grzywa powiewała za nią.

Sabrina. Imię jego żony było bezgłośną modlitwą na jego ustach.

Morgan zaczął biec, zdając sobie sprawę, że jego jedyną nadzieją było w jakiś sposób przecięcie drogi Pookah. Koń wziął dziki zakręt w szaleńczym galopie, a jego kopyta ślizgały się na pokrytych lodem kamieniach. Dlaczego nie spadła? Morgan myślał gorączkowo. Dlaczego do wszystkich diabłów po prostu nie spadła? Ale nawet mimo tego, że odchyliła się i starała się skierować konia w przeciwną stronę, byle dalej od krawędzi urwiska, jej kurczowo zaciśnięte na grzywie Pookah ręce nie rozluźniły uścisku.

Morgan pędził przez łąkę, jego ręce i nogi pulsowały krwią, serce pęczyło w klatce piersiowej tak, iż myślał, że lada chwila eksploduje. Lecz im bardziej biegi, tym bardziej ona wydawała się oddalać. Miał znów dwanaście lat, gnał przez łąkę wypełnioną cieniami chmur sunących po niebie, a pełne nadziei okrzyki małej dziewczynki „Chłopaku! Chłopaku!”, były dla niego karą za to, iż kiedyś był na tyle bezwzględny, by uciekać od niej.

Morgan był wpół drogi pomiędzy Sabriną a nadciągającymi jeźdźcami, kiedy Cameronowie dotarli do grupy wysokich skał u podnóża stromego wzniesienia. Rozległy się ostrzegawcze krzyki i zdumione nawoływania, po których słyszeć się dało przeraźliwe rżenie przestraszonych koni. Morgan ani na chwilę nie spuścił wzroku z Sabriny. Gdy dopadł prostego odcinka drogi, zmusił się do jeszcze szybszego biegu, wiedząc, iż musi przeciąć jej drogę zanim dotrze ona do kolejnego śmiertelnego zakrętu.

Droga biegła tam po łudząco łagodnym pasie ziemi, który wił się o kilka cali jedynie od brzegu urwiska. Przy tej prędkości, koń nie dalby rady. On również nie, uświadomił sobie. Był tylko jeden sposób, by dać Sabrinie szansę.

Klęknął na jedno kolano, wyciągając płynnym ruchem spod

tartanu swój pistolet, modląc się, by proch nie był wilgotny od jego kąpieli w jeziorze. Rozległy się pojedyncze strzały. Cameronowie pędzili w jego kierunku. Tętent kopyt zbliżał się do niego z wszystkich kierunków. Jego wyciągnięte ramie nie drgnęło. - Wybacz, chłopie - wyszeptał.

Zaciskając zęby, by zdusić dreszcz cierpienia, odwiódł kurek, wycelował w pełen wdzięku łeb Pookah i wystrzelił.

Zanim koń się potknął, Morgan cisnął broń i znów biegł. Pookah zatoczył się w dance macabre na samym brzegu urwiska. Wykrzykując imię Sabriny, Morgan rzucił się z wysokiej zasy.

Przez moment niemożliwie trwający w nieskończoność koń zawisł na stromym brzegu. Morgan mógł prawie przysiąc, że poczuł nieznosny zapach róż, poczuł drwiący szept włosów Sabriny, ocierających się o opuszki jego palców nim uderzył o drogę z impetem mogącym połamać kości.

Pookah zakołysał się. Jego nogi młóciły chwilę pustkę, nim zniknął za krawędzią klifu. Potem nie było niczego, co mogłoby przerwać zimową ciszę poza przeraźliwymi krzykami kobiety i konia, i koszmarnym dźwiękiem łamiących się kości.

Morgan poderwał się i pędem ruszył w stronę urwiska, mając szczerzy zamiar rzucenia się za nią. Jakiś ciężar uderzył go w pierś, sprowadzając na ziemię, tylko cale od krawędzi. Ramiona i nogi zakłębiły się nad nim. Zaślepiiony męką, walczył z nimi z zapalczywością szaleńca, tak długo, że wydawało się to całą wiecznością. Usiedli na nim okrakiem, przytrzymując go. A potem jakaś pięść spadła na jego szczękę, uspokajając go w końcu.

Zdumiony, starał się zrozumieć, dlaczego spocony Brian Cameron leżał w poprzek jego nóg, zaś Alex Cameron, którego piegi wydawały się jeszcze bardziej widoczne w zestawieniu z jego trupią bladością, trzymał jego ramiona. Zamrugał, przyglądając się człowiekowi, który go uderzył. Był to brodaty mężczyzna, którego warga była spuchnięta, a oko właśnie siniało od oszalałych ciosów, które Morgan zadał. Mężczyzna z ciemnymi rzęsami Sabriny, którego oczy wypełniało dzikie cierpienie, podobne do tego, które właśnie czuł.

Dougal złapał tartan Morgana w swoje pięści.

- Ona żyje, chłopie! Zatrzymała się na występie. Moi ludzie widzieli, że oddycha - Dougal potrząsnął nim potężnie. - Słyszysz mnie? Nie wiem na jak długo, ale, na Boga, ona żyje!

Wtedy Morgan uczynił coś, przed czym bronił się przez dwanaście długich lat. Ukrył swą twarz w szarpiące go ramię Dougala Camerona i zapłakał jak dziecko.

Rozdział 20

Fergus MacDonnell śmiał się śmierci w twarz niezliczoną ilość razy, ale gdyby przyszło mu dożyć setki, nigdy nie zapomniałby widoku swego wodza, wnoszącego połamane ciało swej oblubienicy na dziedziniec. Całun ciszy, zakłócanej jedynie stłumionym płaczem i dziecięcym pociąganiem nosami, zawisł nad klanem.

Szyja ich młodej pani zwisała bezwładnie, jej ciemne włosy spływały prostym potokiem po ramieniu Morgana. Ziemista bladość jej twarzy sprawiała tak straszne wrażenie, iż wielu spośród nich sądziło, że nie żyje już. Łkając cicho, Alwyn wtuliła swą twarz w ramię Fergususa. Przycisnęła się mocno, by nie widzieć rzeczy jeszcze bardziej przerażającej, jaką była widmowa twarz Morgana.

Wyglądała tak, jakby jej rysy zostały wyryte w skale. A całkowity brak w nich emocji przejmował chłodem. Nic, poza brudnymi ścieżkami wyłobionymi przez łyzy, nie wskazywało na to, że w ogóle był to człowiek.

Zniewoleni siłą ponurego widowiska, MacDonnellowie prawie nie zwrócili uwagi, że ludzie Cameronów szli w ślad za Morganem. Niektórzy z nich prowadzili konie, inni utykali, a piękna wełna ich ubrań była podarta i poplamiona. Fergus wpatrywał się, jak ich szereg rozdzielił się, by ukazać jego zdumionym oczom potykającego się Ranalda, którego ręce spętane były postrzępioną liną. Świeża krew, przesiąkając przez tartan, sączyła się z jego ramienia. Pomruk pytań nasilił się.

Enid wyrwała się z tłumu, ale jej szalony bieg przerwany został przez Alexa Camerona, który zagroził jej drogę.

- Ranald! - wykrzyknęła, skacząc, by ponad ramieniem Alexa dojrzeć go. - Co się stało. Coś ty, w imię boże, zrobił?

Ranald patrzył nieruchomo przed siebie, jak gdyby jej nie słyszał. Jego usta ściśnięte były w jedną wąską linię. Dopiero gdy

drzwi zatrzasnęły się za tą ponurą procesją i słyszeć się dało, jak masywny rygiel zapada, odcinając klan od ich własnego zamku, szepty i domysły poczęły krążyć.

Morgan nie pozwolił, by ktokolwiek jej dotykał. Podczas gdy inni mężczyźni, kochający Sabrinę, podjęli swe udręczone czuwanie, on odciął jej poszarpaną suknię, delikatnie ułożył jej zwiotczałe członki i obmywał liczne zadrapania i rozcięcia szpecące jej gładkie ciało. Owinął ją czystymi prześcieradłami i odgarnął jej splątane włosy z twarzy. Ona zaś leżała nieruchoma jak śmierć, poddając się bezwiednie jego posłudze.

Brian, najlepszy jeździec wśród nich, został wysłany, by sprowadzić lekarza Dougala z Cameronu. Nie chcąc ryzykować śmierci żony na tej samej drodze, na której prawie zginęła jego córka, Dougal wydał synowi ścisłe instrukcje, by powiedziec Elizabeth, że lekarz potrzebny był, by ulżyć choremu dziecku. Dougal patrzył ponad ramieniem Morgana na twarz swej córki, mocując się z dziką rozpaczą. Ich dziecku.

Wodził po komnacie płonącymi oczyma. Jakie życie wiodła /, Morganem? Czy gościły tu miłość i śmiech, czy raczej gorycz i gorzkie wyrzuty? Zastanawiał się, czy powinien był przybyć wcześniej, czy też jego przybycie tylko przyspieszyłoby tę tragedię. Nic nie pasowało do tej układanki. Przyjechawszy, zastali w komnacie czarujący obraz powitalny, zepsuty jedynie przez rozłupane krzesło. Wesoly ogień trzaskał na palenisku. Dlaczego więc, na Boga, Sabrina szarżowała boso po tej oblodzonej drodze, nie mając na sobie nic więcej poza nocną koszulą.

Ręce Dougala zacisnęły się w pięści. Chciał potrząsnąć Morganem, żądać odpowiedzi na pytania, które go dręczyły. Lecz gdy patrzył, jak Morgan przemywa mokrą ściereczką czoło Sabriny, coś go powstrzymało. Nigdy nie uwierzyłby, że tak wielkie i silne dłonie były zdolne do takiej tkliwej delikatności, że były przepełnione tak niewysłowioną chęcią niesprawiania bólu.

Alex pojawił się w wejściu, unikając swym ponurym wzrokiem łóżka. Wyrwany z letargu Dougal wysłuchał tego, co jego syn miał do powiedzenia, a potem położył rękę na ramię Morgana. Morgan

nie oderwał wzroku od twarzy Sabriny, a jego ręce nadal wykonywały swe kojące ruchy. Dougal cofnął dłoń.

- Dwoje z ludzi, którzy nas zaatakowali, nie żyje. Troje innych rozproszyło się. Twój kuzyn został ranny w trakcie zajścia. Na razie został umieszczony w lochu. Trzeba się będzie nim zająć.

Ton głosu Morgana był niski i bezwzględny.

- Niech to bydlę zgnije.

Mając ochotę zgodzić się z Morganem, Dougal skinął głową na Alexa, wiedząc, iż Morgan może ustąpić, gdy smród zdrady ulotni się z jego nozdrzy.

Popołudniowe cienie przeszły w zmierzch, by roztopić się później w czerni nocy. Niekończące się godziny zimowej nocy upływały wyznaczone płytkim wznoszeniem się i opadaniem piersi Sabriny. Morgan muskał opuszkami palców jej jedwabne rzęsy, modląc się, by otworzyła oczy, czekając z utęsknieniem, by w ich głębi odnaleźć jakiś znak, że nie zaśnie na wieczność.

Ale gdy zaczęła poruszać się i wierzgać, Morgan miał powód, by żałować swego życzenia. Jej oczy otworzyły się nagle, utkwione ślepo w coś tak przerażającego, że Morgan mógł się jedynie mgliście domyślać tych okropności. Z jej gardła wydobył się krzyk potwornego cierpienia, potem następny i kolejny, aż do momentu, gdy Dougal ukrył twarz w dłoniach, a Alex kołysał się w przód i w tył przy kominku, zatkawszy sobie uszy. Przed komnatą Pugsley wył żałośnie.

Zęby Sabriny wgryzły się w jej wargi, aż pojawiły się na nich kropelki krwi. Kiedy Morgan starał się wlać whisky w jej suche gardło, zakrztusiła się, więc musiał zaprzestać swych wysiłków, bojąc się, że jego litość może ją zabić.

Kiedy rzucił się, by swym ciężarem uniemożliwić jej zrobienie sobie krzywdy w jej gwałtownych zmaganiach z bólem, pomyślał bezlitośnie, czy nie wyświadczyłby jej większej przysługi, umieszczając kulę zamiast w Pookah, w jej mózgu.

Dopiero gdy blade światło poranka zaczęło skradać się przez komnatę, Sabrina opadła w przemoczoną potem stertę poskręca-

nych prześcieradeł. Lecz to nie ulga, a skrajne wyczerpanie stłumiło w końcu jej krzyki do jęków.

Wesołe kroki rozległy się za drzwiami, Dougal i Alex poderwali się na nogi.

Zagrzmiał jowialny brytyjski głos.

- Nie przejmuj się, Brian. Postawię ją na nogi w okamgnieniu. Ta smarkula była zawsze krzepka jak jałówka, Pamiętasz, jak wsadziła swą małą pulchną rączkę w ul? Albo ranek, gdy tak paskudnie spadła z... - Zanim drzwi zdołały się otworzyć, Morgan był już przy nich. Wyrzwał doktorem Samuelem Montjoy o ścianę, przytrzymując do za kłapy surduta. Okulary doktora w stalowej oprawce przekrzywiły się na jego nosie. Jego brodata twarz zadrżała.

Zamroczony tym atakiem, nie potrafił zrobić nic innego, jak tylko wyjąkać nieskładne powitanie.

- Dzi-dzień dobry panu. Zakładam, że jest pan... - Słowa Morgana zagrzmiały w powietrzu jak młot. - Powstrzymaj ból. Rozumiesz? Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Nie pozwól jej już więcej cierpieć. Jeśli tak się stanie, sam cię zabiję.

Morgan rozluźnił uścisk swych pięści. Doktor zmienił się w niemalże bezwładną breję, podtrzymywaną w pionie jedynie przez silne dłonie Briana, trzymającego go za łokieć.

- Tak, bez wątpienia ośmielę się powiedzieć, że to się stanie wymamrotał, zdejmując swoje okulary drżącymi rękami, by przetrzeć je mankietem. - Nie mogę cię za to winić.

Gdy Morgan wypadł z komnaty, Dougal podążył za nim, przyspieszając, by dotrzymać tempa jego wielkim krokom.

- Niech cię diabli, Morganie MacDonnellu, nie waz się tak pędzić! Jesteś mi winien kilka odpowiedzi. Brian prawie cię zabił, (idy zobaczył, jak składasz się i strzelasz, myślał, że strzeliłeś do Sabriny. Gdyby Alex nie zorientował się, że miałeś zamiar rzucić się za nią, sam bym cię zastrzelił. Prawdą jest też, że zdążyłem w ostatniej chwili powstrzymać cię. Morgan nie zwolnił kroku.

- Nie oddawaj mi przysługi następnym razem, Cameron.

- Niech to wszystko szlag trafi, człowieku! Co się stało? Co do siu diabłów zdarzyło się tutaj wczoraj?

Morgan ostro obrócił się w jego stronę. Dougal zmusił się, by nie cofnąć się przed morderczym gniewem w jego zwężonych zielonych oczach.

- Właśnie mam zamiar się dowiedzieć.

Gdy Morgan rozplątał się w ciemnym korytarzu, ogarnęła go fala bezwolnego wyczerpania. Ciężko oparł się o ścianę, nie wiedząc, czy modlić się za nieszczęsnego mężczyznę w lochu, czy za nieśmiertelną duszę swego zięcia. Lecz gdy zamknął oczy, odkrył, że wszystkie mamrotane błagania, które kierował do Boga, dotyczyły Sabriny.

Ranald osłonił oczy przed blaskiem pochodni. Wygląda jak szczur, pomyślał złośliwie Morgan, mizerny szczur złapany we własne sidła. Jego kuzyn kulił się pod ścianą z podciągniętymi kolanami, bladą dłonią przyciskając zranione ramię. Spostrzegłszy, że niezdarny bandaż zrobiony był z jego tartanu, Morgan z ponurym uśmiechem stwierdził, że instynkt samozachowawczy był nadal jedną z najtrwalszych cech MacDonnellów.

Ranald struchlał, widząc jego pozbawiony wesołości grymas. Gdy Morgan wrzucił pochodnię do zardzewiałego kinkietu, stopy Ranalda zaszurały o podłogę, jak gdyby chciał on stać się częścią niewzruszonego kamienia. Cienie zatańczyły na jego pięknych rysach.

Jego głos był suchy.

- Zawsze byłeś dla mnie więcej niż tylko kuzynem, Morgan. Byłeś dla mnie bratem.

- Jak Abel był dla Kaina? - Morgan skrzyżował ręce na piersi. Jego uśmiech rozszerzył się niebezpiecznie. - Z krewniakiem twojego pokroju, kto potrzebowałby Cameronów jako wrogów?

Gdzieś w głębi swego strachu, Ranald zebrał wystarczająco dumy, by odepchnąć się od ściany i stanąć z nim twarzą w twarz. Morgan bezlitośnie stłumił w sobie przebłysk uznania.

- Co ci obiecali, kuzynie? Złoto? Świeży placek z baraniną? Przywództwo klanu po mojej śmierci?

- Nie! To nie było nic takiego. Przysięgam. Nigdy nie zrobiłbym nic, by cię skrzywdzić. Powiedziała... - Ranald zamilkł, dotykając palcami plam z krwi na swym tartanie.

- Kto powiedział? - ton głosu Morgana był złowieszczy. Ranald nie odezwał się. Ostatnia nić samokontroli Morgana

pękła. Nie zwracając uwagi na okrzyki bólu kuzyna, złapał go za kark i potrzęsął nim brutalnie.

- Prawda, Ranald - zaryczał. - Czy mam ją z ciebie wydusić? Zamierzył się pięścią.

Ich przyspieszone oddechy wymieszały się. Obaj wiedzieli, że gdyby Morgan uderzył swą pięścią, gdyby uwolnił straszliwą moc, którą hamował przez większość swego życia, nie skończyłby, dopóki tamten nie wyzionąłby ducha. Ale nawet bardziej przygnębiające było to, że dostrzegł w oczach Ranalda błysk nadziei, że wzniesiona pięść Morgana jednak spadnie, zmazując jego winę karą, na którą zasłużył.

Wstrząśnięty głęboko Morgan opuścił ramię. Łzy potoczyły się z oczu Ranalda.

- To nie był mój pomysł, przysięgam! Wiesz, że nigdy nie byłem tak mądry, jak ty. Ewa powiedziała, że Cameronowie przyjeżdżają, by zabić nas wszystkich we śnie. Ich odwiedziny były niczym więcej, tylko podstępem. Że my musieliśmy dostać ich, zanim oni dostaliby nas. Twoja pani była dla mnie taka miła. Nie chciałem jej skrzywdzić, przysięgam, nie chciałem.

Uważając, by nie urazić zranionego ramienia, Morgan objął go i przyciągnął ku sobie w mocnym uścisku. Jego oczy pozostały suche i smętne.

- Wiem, chłopie - wyszeptał. - Ja też nie. Jak Bóg mi świadkiem, ja też nie.

Trzeciego dnia po wypadku, Ranald pojawił się wśród swoich u boku Morgana, wyglądając na zmieszanego i z czystym białym temblakiem. Podczas gdy Cameronowie rzucali mu pogardliwe spojrzenia, ludzie z jego klanu unikali go. Tylko Enid miała odwagę podejść do niego. Jej łagodna twarz przepełniona była strachem, że wszystkie te straszne historie, które słyszała, musiały być prawdą. Kiedy Ranald nadal szedł, z opuszczonymi oczyma, odwróciła się, tłumiąc urywane łkanie w chusteczkę.

Mijały krótkie zimowe dni i niekończące się noce, a sieć oszustw

Ewy powoli rozplątywała się, plotki stopniowo były przesiewane przez sito prawdy.

Ewa zniknęła. Dwóch buntowniczych MacDonnellów zostało zabitych przez ludzi Camerona, którzy, gdy tylko padł pierwszy strzał, zwarli szyki wokół swego pana. Pozostała trójka uciekła w okrutne północne góry, by ująć przed gniewem Morgana.

Ludzie Camerona chodzili wśród MacDonnellów bez przeszkód. Wrogość ustała, gdy dwa klany zjednoczyły swe nadzieje i modlitwy za kobietę, która leżała w wywołanym przez laudanum otępieniu, w łóżku gdzieś ponad nimi. Słyszano nawet jak, zawsze twardo stąpający po ziemi, Fergus mamrotał jakieś stare modlitwy.

Pewnego ranka Morgan siedział przy łóżku Sabriny, głaszcząc jej gorączkujące czoło i szepcząc jakieś gaelickie czułości tylko jemu znane. Doktor Montjoy chrapał na swym posłaniu przy kominku. Pugsley wybrał czuwanie u stóp łóżka. Jego brązowe ślepia przepelnione były smutkiem. Dougal rozłożył się na krześle; nietknięta książka spoczywała na jego kolanach. Wzrok jego i Morgana spotkały się w gorzkim zrozumieniu na unieruchomionych łapkami nogach Sabriny.

Wyznania Ranalda nie pomogły odpowiedzieć na pytanie, które nurtowało ich obydwu. Dlaczego? Dlaczego Sabrina rzuciła się na tę oblodzoną drogę na grzbiecie konia, którego się bała. Morgan godzinami przyglądał się jej wiotkiej twarzy, szukając odpowiedzi. Nie mógł zapomnieć tej krótkiej chwili, gdy ciągnęła z całych siły grzywę Pookah. Czy starała się zboczyć w kierunku łąki, czy była to tylko rozpaczliwa próba powstrzymania dzikiego galopu zwierzęcia? Czy chciała go ostrzec o zdradzie Ewy, czy ocalić swoją rodzinę, przed spiskiem, wierząc, iż on go uknuł?

Spojrzenie w oczy Dougala zmroziło go. Było to jak patrzenie w zwierciadło swoich własnych uczuć. Zobaczył tam szok, wściekłość, poczucie winy i gorycz oskarżenia, która sprawiała, że konieczne było, by usłyszał prawdę z ust Sabriny. Znowu poruszyła się pod jego dłonią, jej delikatne czoło zmarszczyło się w pod ukłuciem bólu. Teraz, wystarczało to, że w ogóle żyje. Prowadząc palec po pokrytej puszką krzywiznie jej twarzy, Morgan zaczął cicho

śpiewać dziecięcą kołysankę, gdzieś z zakamarków pamięci, o których nie miał do dziś pojęcia, że istnieją...

Ktoś śpiewał...

Męski głos, bogaty i dźwięczny, ujmująco niezgodny z tonacją, bardziej fascynujący niż pieśń syren, która wabiła statek Odyseusza w kierunku śmiertelnych skał. Sabrina nie potrafiła rozróżnić słów, ale ich tkliwości nie można było się oprzeć. Próbowwała obrócić głowę, by odnaleźć źródło melodii, jedynie po to, by podobnie jak Odyseusz, stanąć wobec pokusy poddania się.

Strach wzmógł jej wysiłki. Wiedziała z okrutnego doświadczenia, że po głosach przychodziły wyszczerbione ostrza bólu. Ale gorsze od bólu były delikatne ręce, które pojawiały się potem. Znajome ręce, pachnące kamforą i miętą, ręce z jej dzieciństwa, które wlewały gęstą truciznę, gorzką i bardzo słodką, w jej niestawiające oporu gardło. Chciała się zakrztusić, ale nawet i tę możliwość nikłego buntu została jej odebrana przez nieuchronne spadanie po spirali w zapomnienie.

Stwardniała dłoń obejmowała jej szczękę. Piosenka przygasła, przechodząc w znużone mamrotanie, jego zachrypnięte brzmienie wydało się znajome. Głos Morgana, Dotyk Morgana. Ręce Morgana dotykające jej. Jej zaniepokojenie przeszło w panikę. Zalały ją mroczne przeblęski wspomnień. Kopyta dudniące po krętej drodze. Sylwetka Morgana na łące, widziane przez kurtynę jej włosów. Szarpanie grzywy Pookah, dopóki szorstkie kosmyki włosów nie zaczęły wżynać się w jej dłonie jak stalowe nici. Musi dotrzeć do Morgana. Zapewnić go, że jej wiara w niego nigdy nie osłabła.

Siłowała się z okruciami bólu, walczyła ze zwodniczym szeptem słodkiej nieświadomości. Pazurami utorowała sobie drogę na powierzchnię, otworzyła oczy w małą szparkę, by zostać oślepioną przez blask ognia przeświecający przez jaskrawą plątaninę włosów Morgana. Po piekielnej ciemności, było to jak latarnia kapiąca ciosane płaszczyzny jego twarzy w złotej poświacie. Ogarnęła ją dzika radość. Udało się jej! Morgan żył! Łzy wdzięczności zakręciły się w jej oczach, gdy starała się wymówić słowa.

- Doktorze. Robi się niespokojna. Niech pan lepiej przyjdzie. - Głos Morgana był twardy i nieustępliwy.

Rozległo się niespokojne skrobanie, jakby dużego, nerwowego zwierzęcia, gdy ktoś inny ruszył pospiesznie w kierunku łóżka. Mimo tego, iż bezgłośnie wykrzyczała swą odmowę, pierwsze gorzkie krople dotknęły jej ust, paląc jak kwas jej wyschnięte gardło.

Kiedy z powrotem zapadała w morze zapomnienia, z jej ust wyrwał się zrozpaczony jęk, ponieważ nie udało się jej dać im do zrozumienia, że odczuwanie bólu było lepsze, niż nieodczuwanie kompletnie niczego.

Dwa dni później Sabrina otworzyła oczy. Zdziwiona i zaskoczona łatwością, z jaką to zrobiła, zmrużyła je. Komnata była rozmazana, ale rzeczywista. Wąskie pasmo światła słonecznego kładło się na kołdry, oznajmiając zimowy poranek z naturalnym wdziękiem.

Sylwetki dwóch mężczyzn rysowały się na tle okna. Ich rozczochrane włosy otoczone były świetlną aureolą. Ich głosy huczały i zlewały się w jej odzwyczajonych od słuchania uszach, by w końcu stopić się w dźwięki, które potrafiła rozpoznać. Śpiewny góralski rytm mowy jej ojca i znane chrypienie drugiego mężczyzny, tak dobrze kojarzące się jej z dziecięcymi upadkami i miętowymi karmelkami wciskanymi do jej pulchnych rączek. Obecność doktora Montjoy zaskoczyła ją. Nie pamiętała, aby była chora czy chociażby miała lekki katar.

Była tak pogrążona w tych zawiłych wspomnieniach z dzieciństwa, że postarzała sylwetka jej ojca przestraszyła ją. Głębokie linie okalały jego pełne ekspresji usta. Biel z jego skroni zarzuciła sieć na resztę jego ciemnych włosów. Zaskoczenie i współczucie zalały ją falą smutku, złagodzoną jednak nicią dziękczynienia, gdy uświadomiła sobie, że zasadzka Ewy nie powiodła się.

- Tatko? - Jej usta ułożyły się w słowo, jednakże nie wydała żadnego dźwięku. Jej język, nie używany długo, odmawiał posłuszeństwa.

Jej ojciec potarł znużoną ręką o nieprzystrzyżoną brodę.

- Czekaliśmy już wystarczająco długo. Trzeba mu powiedzieć. Doktor Montjoy spojrział ukradkiem na drzwi.

- Czy byłbyś tak miły. Nie sądzę, że znaczę dla niego wiele. Gdyby wbił sobie do głowy, że to w jakiś sposób moja wina...

Zawiesił złowieszczo głos.

- Nie ma żadnej nadziei ? Lekarz smutno potrząsnął głową.

- Jej nogi...

Jego słowa z powrotem stały się niezrozumiałe, gdy lodowaty strach sparaliżował odzyskane przez nią zmysły. W tym momencie jej nogi wydały się najważniejszą rzeczą w niej, obciążone tęnym bólem. Ale nawet ona wiedziała, że było jedno powszechnie stosowane lekarstwo na poważnie połamane nogi. I czyż nie słyszała o żołnierzach, którzy straciwszy swe członki na polu bitwy, żyli, uskarżając się na ból, a nawet swędzenie? Ciężko przełykając, zebrała w sobie siły, by unieść kołdrę o ukradkowy cal. Wymknęło się jej westchnienie, gdy okazało się, iż jej nogi, mimo że unieruchomione w łubkach, wciąż tam były. Nie mogła powstrzymać bladego uśmiechu.

Doktor Montjoy mówił dalej.

- Skalna półka złagodziła jej upadek, ale ciężar konia zmiażdżył kości w dolnej partii nóg. Ponieważ jej mąż nie pozwolił mi iimputować...

Dziękuję, Morgan, wyszeptała cicho Sabrina. Dziękuję, Boże.

- Szyny wypróbowywane są obecnie w Londynie, przez co bardziej szanowanych nastawiaczy kości, ale nikt nie wie, czy jest z nich tak naprawdę jakiś pożytek. Moim zdaniem dziewczyna będzie żyła, ale obawiam się, że nie będzie mogła chodzić.

Uśmiech Sabriny zniknął.

Mężczyźni odchodzili od okna, zwracając się w jej stronę. Nie było czasu na działanie, nie było czasu na zastanawianie się. Zamknęła szybko oczy, zdobywając dla siebie jedyną rzecz, którą byłoby obecnie w stanie zdobyć. Czas.

Sabrina leżała bez ruchu, gdy Morgan przeszedł koło łóżka, przemierzając przestrzeń komnaty, jak lew uwięziony w klatce.

- Czy nie powinna była się już obudzić, doktorze? Przestał jej pan dawać laudanum trzy cholerne dni temu.

Gdy kroki je męża oddaliły się, Sabrina ukradkiem otworzyła jedno oko. Pled Morgana przewieszony był przez jego szerokie ramiona. Wkroczył on do stęchłego pokoju przesiąkniętego chorobą z irytującym podmuchem jałowca i zimowego słońca. Jego pełne życia ciało raniło jej oczy.

Wymieniając zdenerwowane spojrzenie z jej ojcem, doktor potrząsnął głową.

- Widziałem już wcześniej przypadki takie jak ten, synu. Ciało po prostu zamyka się, oszczędzając wszelką energię na zdrowienie. Oprzytomnieje, kiedy będzie gotowa.

Sabrina zacisnęła powieki, gdy Morgan zbliżył się do jej łóżka. Prawie wyczuwała fale podejrzenia bijące od niego.

- Zastanawiam się... - wymamrotał. Usłyszała pauzę w jego głosie, potem szelest przewracanych kartek. - Przysięgłbym, że ta książka leżała w nogach łóżka dziś rano.

Jej poduszka ustąpiła pod wpływem ciężaru dłoni Morgana po obu stronach jej głowy. Ciepło jego badawczego spojrzenia paliło ją. Bała się poruszyć, nawet odetchnąć. Jego włosy łaskotały jej nos i musiała się rozpaczliwie starać, żeby nie kichnąć.

Jej ojciec wybawił ją z opresji, swym racjonalnym tonem nie-znoszącym sprzeciwu.

- Enid była tu wcześniej z wizytą. Może to ona czytała Sabrinie. Morgan parsknął.

- Pewnie. A może to Pugsley czytał, dla zabicia czasu.

Wciąż potrząsając głową, wyszedł zamaszystym krokiem z komnaty, a jego brak przyniósł więcej ulgi, niż jego obecność. Pozostali mężczyźni skierowali się za nim. Doktor Montjoy mamrocząc jakieś frazesy, a jej ojciec dziwnie cichy.

Gdy wyszli, Sabrina oparła głowę wyżej na poduszce, skrzyżowała ramiona i spojrzała na swoje nogi. Znienawidzone, bezużyteczne rzeczy.

Własne słowa Morgana powróciły, by ją potępić. MacDonnellowie nie przełkną żadnej oznaki słabości. Nie tolerowali kalek.

Sabrina dowiedziała się, podsłuchując rozmowę ojca i Alexa, że Ewa tchórzliwie uciekła. Jednakże wydawało się, że mściwa kobieta wygrała. Jaka szkoda, że jednak nie została, by napawać się dziełem swych rąk. Czyż nie mogłaby delektować się ironią tego wszystkiego?

Słyszała głos Fergususa pełen pogardy. „Prędzej już przespałbym się ze starą kulawą Ewą, niż dzielił łóżko z Cameronem. Teraz była obojgiem, kulawą i jedną z Cameronów.

Zgarnęła książkę i cisnęła nią w ścianę. Zsunęła się ona po kamieniach i wylądowała na podłodze, jej strony pogięły się w nieładzie. Niech Morgan teraz spróbuje wyjaśnić, jak się tam znalazła, jeśli tylko się ośmieli.

Miała dostatecznie dużo czasu na myślenie w ciągu ostatnich dwóch dni. Zbyt dużo czasu. Wystarczająco dużo, by uświadomić sobie, że od tego momentu będzie niczym więcej, jak tylko kamieniem u szyi swego męża. Zasługiwał on na kobietę z dwoma silnymi nogami, która mogłaby pracować dla jego klanu.

Kobiety, która mogłaby mu dać syna, którego tak pragnął. Jej lęka poruszyła się na jej brzuchu, ona zaś nie chciała wypowiedzieć imienia tej jedynej nadziei, której się wciąż trzymała.

Tylko przez dotrzymanie ich przysięgi, Morgan ryzykował utratę szacunku swego klanu. Wrogość MacDonnellów towarzyszyła jej niejako od urodzenia, ale nie potrafiłaby znieść ich litości. O wiele gorsza jeszcze byłaby litość w oczach Morgana, za każdym razem, gdy spoglądałby na nią, za każdym razem, gdy dotykałby jej. Litość, jaką mógłby okazać wróblowi ze złamanym skrzydłem czy dziecku, które spadło i obtarło sobie kolano. Jej ręce zacisnęły się na tartanie. MacDonnellowie nie byli jedynymi dumnymi ludźmi.

Zacisnęła oczy, nawiedzona przez wspomnienie ich ostatniej wspólnie spędzonej nocy w łóżku, które stało się teraz dla niej więzieniem. Wciąż widziała wspaniałe ciało Morgana rozłożone pod nią, wypolerowane niezwykłym potokiem światła cienkich świec, które zapalali, zgodnie z jej życzeniem, zawsze, gdy się kochali. Widziała jego piękną twarz naprężoną przyjemnością, gdy odrzucała swe zahamowania, ofiarując siebie w zażartym zapa-

miętaniu i czując nagły przyływ triumfu w chwili, gdy Morgan uzewnętrzniał swą euforię, tracąc kontrolę, którą się tak chlubił.

Otworzyła oczy, wiedząc, co musi uczynić.

Kiedy Dougal i doktor wrócili, leżała oparta o poduszki, z rękami złożonymi na podołku.

- Księżniczko, ocknęłaś się! - Jej ojciec podbiegł do niej, klękając, by ścisnąć jej dłonie. Jego ręce wydawały się gorące w porównaniu z chłodnym bezruchem jej rąk.

Radosny uśmiech rozpełznął się na Twarzy doktora.

- Chwalmy dobrego pana! Wiedziałem, że przeprowadzi nas przez to. Zostań z nią, Dougal, a ja pobiegnę po chłopca. - Wyrwał mu się radosny śmiech. - Będzie naprawdę miło zanieść mu dobre wieści. - Potruchtął w kierunku drzwi, zacierając niecierpliwie pulchne ręce.

Sabrina zatrzymała go jednym słowem.

- Nie.

Dougal zmarszczył brwi. Dawno nie używany głos, mimo że zachrypnięty, przepełniony był chłodem.

- Nie chcę widzieć się teraz z moim mężem. Uśmiech doktora zniknął.

- Ale, dziewczyno, gdybyś tylko mogła widzieć go przez ostatnie dwa tygodnie. Miał prawie nieludzkie moce. Nigdy nie widziałem żadnego człowieka, który wytrzymałby tyle bez jedzenia czy snu.

- Nie życzę sobie go widzieć - powtórzyła. - Jeśli będzie protestował, przypomnijcie mu, ile mi zawdzięcza.

- Ale, dziecko - zaczął Dougal, zdumiony jej bezwzględnyimi słowami.

- Powiedzcie mu.

Doktor odwrócił się, a policzki opadły mu jak u niepokieszonego psa. Sabrina opuściła wzrok na ręce ojca. Wciąż spoczywały na jej zastygłych w bezruchu palcach. Oczy, które znały ją zbyt dobrze, wpatrywały się w jej kamienną twarz.

- Czy chcesz o tym porozmawiać, dziecko? - zapytał miękko, unosząc rękę, by ująć jej policzek.

Niezdolna do przyjęcia takiej pociechy, odwróciła twarz na poduszkę.

- Nie, tatusiu. Jestem zmęczona. Chcę tylko spać.

Gdy jego ręka wycofała się w zranionej ciszy, pulsowanie w strzaskanych nogach Sabriny stało się niczym w porównaniu do męczarni w jej sercu.

Łykając powietrze haustami, Morgan zacisnął swe dłonie na surowym kamieniu blanków. Nie mógł otrząsnąć się ze straszliwego dręczącego podejrzenia, że Sabrina się już dawno ocknęła. Mógł przysiąc, że obserwowała go, gdy drzemał obok jej łóżka zeszłej nocy. Lecz gdy poderwał głowę, jej podkreśnione rzęsy spoczywały na jej zarumienionych policzkach niewinnie jak owieczka.

Ale co z dziwnym grymasem na jej ustach? Zastanawiał się. Przecież nie zawsze tam był. Walczył z najbardziej absurdalnym pomysłem, by ująć jej twarz w swoje dłonie i scałować go z jej ust. Być może poczucie winy i brak snu sprawiały, że zachowywał się jak szaleniec.

Wiatr kuł go w oczy i targał włosami, obejmując swą lodową czystością. Z pewnością nic nie było bardziej zdrowego od tego oddechu nieba spływającego tu z górskich stoków. Jak tylko Sabrina będzie czuła się wystarczająco dobrze, owinie ją swym pledem i przyniesie na tę wieżę, by poczuła to. Będzie nosił ją teraz w wiele miejsc. Przez resztę swego życia będzie ona jego słodkim brzemieniem, które z przyjemnością udźwignie.

Dał radę wysiedzieć spokojnie, podczas gdy doktor Montjoy przezornie trzymał się na bezpieczną odległość, a Dougal wyjaśniał mu, że Sabrina nie będzie nigdy więcej chodzić. Nigdy nie spłynie w tańcu po schodach, nosząc te swoje małe śmieszne pantofle. Nigdy nie wystuka taktu w szkockim tańcu nakłoniona do lego przez Fergususa. Nigdy nie będzie go gonić przez łąkę dojrzałą łąką, aż do momentu, gdy sam da się schwytać i przewrócić w aromatyczny kobierzec wrzosów i kampanuli.

Nigdy nie wybiegnie na jego spotkanie pod koniec dnia, z jednym dzieckiem na rękę, a drugim uczeptionym jej spódnicy.

Było to najcięższe uderzenie, jakie Morgan kiedykolwiek otrzymał. Nie pozwolił sobie jednak na wzdrygnięcie się chociażby.

Nie przeklinał, nie krzyczał, niczego nie zniszczył. Nie zacisnął palców wokół szyi nieszczęsnego doktora tak, jak chciał to zrobić. Po prostu podziękował Dougalowi za jego szczerość i przeprosił ich, wychodząc z pokoju. Wspiął się popękanymi schodami na tę wieżę, gdzie mógł bez końca powracać myślami do upadku Sabriny.

Gdyby tylko biegł szybciej, rzucił się z zaskry o chwilę wcześniej, pomyślał o poświęceniu Pookah o tuzin jego kroków wcześniej, nim dotarł do urwiska. Gdyby tylko zignorował prośbę Ranalda i pozwolił przeklętej owcy utonąć. Gdyby tylko widział zgorzknienie i chorą ambicję w kryształowych oczach Ewy.

Z jego powodu Sabrina odniosła ciężkie obrażenia i nikł nie był w stanie jej pomóc. Nie mógł złożyć jej skrzydła, jak kiedyś złotemu orłu, który wleciał omyłkowo przez okno wieży. Nie mógł wlewać jej do gardła po kropli mleka, jak pisklakowi, który wypadł niegdyś z gniazda wprost pod jego stopy. Nie mógł schować jej za materiał swego tartanu, by rozgrzać jej ciało ciepłem swego ciała, jak to uczynił z na wpół zamarznątą ryjówką odnaniezoną przez niego w lodowej kupie.

Jego zrozpaczone oczy obejmowały panoramę bezwzględnego śniegu i skał. Nie powinien był przywozić jej do tego miejsca. Lepiej było zostawić ją w przytulnym majątku i podziwiać ją z dala.

Za nim rozległy się kroki. Morgan obrócił się, zastanawiając się, kto był na tyle odważny, by wspiąć się po kruszącym się stopniach. Stał tam doktor Montjoy, jeszcze dysząc po stromej wspinaczce z wyrazem głębokiego nieszczęścia na twarzy.

Umysł Morgana zawirował dziko. Czy Sabrinie nagle bardzo się pogorszyło? Umarła?

Postąpił krok w stronę mężczyzny, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wydmuchując nerwowy obłoczek pary, Montjoy wznosił rękę. - Mam dobre wieści. Sabrina w pełni odzyskała przytomność. Już nie śpi.

Morgan wystrzelił w kierunku schodów, nie mogąc opanować

radości pulsującej w nim. Brawurowo odsunęła ona na bok zarówno poczucie winy, jak i smutek.

Z większą odwagą niżby Morgan mógł się spodziewać, doktor zastąpił mu drogę. Patrząc na niego, zamrugał oczami przez swe zaparowane okulary.

- Przykro mi, ale twoja żona nie chce cię teraz widzieć. - Odwrócił wzrok. - Powiedziała, by przypomnieć, że zawdzięczasz jej lak wiele.

Szczerłość Dougala, gdy mówił mu o przyszłości swej córki, była niczym pełen dezaprobaty policzek, w porównaniu z ciosem, który zadała Sabrina. Jej mała piastka zachwiała go na nogach. Wymagało to całej kontroli Morgana, by nie zatoczył się od jego siły.

Obrócił się z powrotem do balustrady. Podstarzała zaprawa murarska pokruszyła się pod wpływem siły jego chwytu.

- Dziękuję, doktorze - usłyszał siebie wypowiadającego te słowa, dodając nawet po chwili z rzadko słyszaną nutą wdzięczności - za wszystko, co pan uczynił. Nie zapomnę panu tego.

Kiedy przygnębione kroki lekarza umilkły, Morgan spojrział niewidzącym wzrokiem ponad bezlitosnymi szczytami. Jesteś mi winny tak wiele.

Był jej winien wszystko. Całe wieki kary za zbrodnie, której nigdy nie mógł odpokutować.

Gdzieś w lesie poniżej, jakaś gałąź ugięła się pod ciężarem śniegu. Morgan wzdrygnął się na kruchy trzask, zbierając się w sobie, by powitać nieunikniony dźwięk bólu, który mu się przypomniawszy. Krzyk Sabriny. Krzyk jego matki, gdy oddała swe życie za niego. Odbijał się w nim ten dźwięk, mający go prześladować przez wszystkie nadchodzące ponure dni i samotne noce. Delikatne kości Sabriny trzaskające jak łożyska Róży Belmont w jego niezgrabnych palcach.

Rozdział 21

Trzeciego dnia po tym, jak odzyskała przytomność, Sabrina raczyła zezwolić swojemu mężowi na wizytę.

Trzymając swą nadzieję w straszliwych cuglach, Morgan cicho wślizgnął się do komnaty. Pugsley drzemał obok ognia. Enid siedziała na krześle obok łóżka, czytając na głos Sabrinie. Jej blada twarz była wymizierowana, a jej grube pukle zwieszały się prosto wzdłuż jej policzków. Poderwała się jakby przepraszająco, gdy go zobaczyła i szybko przeprosiwszy, ruszyła do drzwi, unikając spojrzenia w jego oczy. Morgan wiedział, że podobnie jak on, dziewczyna też brała na siebie część odpowiedzialności za obłudę Ranalda.

Zatrzymał się przy drzwiach, kurczowo trzymając przywiedły bukiet z kolcolistu w jednej ręce i jakby pijąc jej obraz z zachłannością, której sam się nie spodziewał.

Nigdy przedtem nie wyglądała tak bardzo, jak księżniczka. Taka królewska, tak nieprzystępna.

Siedziała podparta o poduszki, lawendowa wstążka związywała jej włosy. Ręce miała złożone na podolku. Policzki miała zabarwione gorączką. Morgan postąpił krok naprzód, czując się jak bosonogi sługa podchodzący do jej tronu. Wzbierał w nim gniew, nieoczekiwany i niechciany, gniew, którego nie miał prawa czuć.

Zatrzymał się na skraju łóżka, niepewny, gdzie ma usiąść, gdzie ma patrzeć. Kołdry owinięte wokół unieruchomionych nóg Sab-riny, rzuciły mu się w oczy. Dziewczyna wpatrzona była w swe dłonie, jakby nie zdając sobie sprawy z jego obecności. Wyniosłość, która biła z jej twarzy, ostrzegła go, że nie jest zaproszony do zajęcia miejsca na łóżku. Nie był tu już dłużej mile widziany. Poczul kolejny przyptyw gniewu, niebezpieczny i pełen napięcia.

Wyciągnął rękę, ofiarując jej kwiaty. Szukał ich po omacku pod skorupą z lodu, wyrywając je z rozpaczą zebraka. Gdy Sabrina

rzuciła na nie okiem spod swych rzęs, wydały się zwiędnąć, stając się tym, czym były, żalostną kępą zielska. Kobieta taka, jak Sabrina nie zasługiwała na chwasty, ale na olbrzymie naręcza aromatycznych róż.

Morgan chciał je zabrać z powrotem, rzucić je w ogień, gdzie było ich miejsce. Ale było zbyt późno. Jej delikatna pięść zamknęła się wokół ich zgniecionych łodyg, bacząc, by ich ręce się nie zetknęły.

- Dziękuję. Są śliczne - skłamała, kładąc je na kołdrze. Morgan przyciągnął krzesło i usiadł na nim okrakiem. Zapadła

niezręczna cisza. Przerwał ją głos Sabriny.

- Przykro mi z powodu Pookah.

Morgan wyczuł, że były to szczerze słowa. Świeży błysk bólu ukłuł go.

- Nie cierpiał wcale.

Wyrwał się jej krótki, gorzki śmiech.

- To właśnie Ewa powiedziała o twoim ojcu. Musi to być credo MacDonnellów, dla oddania dobrej śmierci.

Spojrzała na niego wnikliwie. Morgan omalże tego żałował. W jej niebieskich oczach skrzył się lodowaty blask, który przejmował go chłodem aż do szpiku kości. Dlaczego do cholery nie płakała? Zmieszany Dougal przyznał się, że dziewczyna informację o tym, że nie będzie nigdy więcej chodzić przyjęła z niezmaconym spokojem. Wydawało się, że wszystkie jej łzy zamarzły na tej lodowej półce skalnej. Mimo woli przyszło mu do głowy wspomnienie, w męce pożądania i żalu, słone ciepło jej łez na jego języku pomieszane z odurzającym smakiem ich namiętności.

Jego głos zabrzmiał surowiej, niż tego chciał.

- Ranald powiedział mi o Ewie. O podwójnym spisku zabicia twojego ojca i tego, na który mój oj... - Morgan zawahał się, nie mogąc zmusić się do wypowiedzenia tego słowa. Przebiegłe machinacje starego człowieka były zgubą dla nich wszystkich. - Na który zgodził się sam Angus. Powiedział mi także o tym, że Ewa chybiła w sali w Cameron. Po tym, jak twój ojciec rozbroił nas wszystkich, Ranald szukał jej, by móc ją powstrzymać, ale było za

późno. Odnalazła już sztylet i ukryła za gobelinem. Jestem winien, jak widać, przeprosiny twemu klanowi i twojemu ojcu.

- Tak się wydaje, nieprawdaż?

Morgan popatrzył na nią dłużej. Miał wrażenie, że rozmawia z obcą osobą, która była z lekka znudzona, ale skłonna znosić kogoś obecność z czystej przyzwoitości. Jego rozpacz pogłębiła się.

- Była jedna rzecz, której Ranald nie mógł wytłumaczyć, dziewczyno. Twoja obecność na tej drodze tego dnia. Na Pookah.

Była teraz spokojna, aby nie powiedzieć bezduszna.

- Ewa powiedziała mi, że ty byłeś częścią planu zabicia mego ojca. Że za pierwszym razem ci się nie udało, więc pospieszyłeś dokończyć dzieła. Że kiedy skończyłbyś masakrować moją niczego niepodejrzewającą rodzinę, wróciłbyś do zamku, by wydusić ze mnie życie.

Morgan był oszołomiony. Jej chłodne słowa potwierdziły jego najgorsze obawy.

- A ty jej uwierzyłaś?

Sabrina opuściła rzęsy gestem, który w mniej rozpaczliwym momencie, byłby uznany za zalotny. Morgan pochylił się do przodu, udając, że zarówno jego serce i jego przyszłość wcale nie wisiały na włosku, uzależnione od jej odpowiedzi. Milczała przez długi czas. Jej ręce już nie leżały spokojnie, ale pocierały nerwowo jedna drugą.

- Odpowiedz - powiedział, spokojem polecenia zaprzeczając jego istotności.

Sabrina odrzuciła do tyłu głowę, w jej oczach wybuchł ciemny żar.

- Oczywiście, że jej uwierzyłam, głupcze! Dlaczegoż by nie? Spędziłeś pół swego życia, ucząc mnie swej pogardy do mojego klanu, swej chciwości i zazdrości, z tego powodu, że mamy tę zwykłą przyzwoitość życia jak ludzie, a nie jak zwierzęta. Czy kiedykolwiek dałeś mi powód, bym uwierzyła, że wybrałbyś honor, jeśli morderstwo byłoby na wyciągnięcie ręki?

Morgan patrzył na nią, nie mogąc uwierzyć, nie chcąc przyjąć, że jego dotyk, jego czułość, jego erotyczne oddanie nie powiedzia-

ły jej niczego o tym, jakim człowiekiem był. Poza jego możliwości wykraczało pojęcie, że nienawiść między ich klanami była tak silna, aby nie zostać pokonaną przez to, co wspólnie dzielili. Sięgnął w jej kierunku.

Cofnęła się gwałtownie, jej odraza była zbyt widoczna, by mogła być udawana. Przenikliwa, rozpaczliwa nuta zabrzmiała w jej głosie.

- Nie dotykaj mnie! Nie zniosę tego! Robi mi się niedobrze! Jesteś nikim więcej, ale prymitywnym barbarzyńcą. Nie chcę czuć twoich obrzydliwych łap na sobie nigdy więcej!

Świat Morgana zaszedł szkarłatem. Jego palce rozchyliły się, by uchwycić jej delikatną szczękę, opierając ją z powrotem o poduszki. Jej puls trzepotał dziko pod jego kciukami. Nie wywierał żadnego nacisku, ale po prostu trzymał ją tak, by odnaleźć prawdę, którą mógłby znieść. Kiedy tak martwo parzył w twarz jej bezwzględnej zdrady, jego ręce napięły się w momencie graniczącym prawie z szaleństwem. Prawdziwy strach odbił się w oczach Sabriny.

Morgan rozluźnił palce i wycofał się z łóżka, sparaliżowany pogardą dla samego siebie. Ostre chrypienie jego oddechu odbiło się echem w komnacie.

Mimo wszystko Sabrina kontynuowała, jak gdyby wbicie noża nie wystarczało. Musiała jeszcze złośliwie go dopchnąć.

- Nie rozumiesz? - wyrzuciła przez ściśnięte zęby. Z okrucieństwem, o które nie podejrzewałby jej, zadała ostateczny cios. Ściągając kołdry, obnażyła zgrabne łydki, które kiedyś cisnęły się do jego piersi z taką żarliwą namiętnością, teraz blade i bezwładne, połączone jedynie drzewem i linką.

- Ty mi to zrobiłeś. Twoje zamierzenia co do mojego ojca są teraz nieistotne. Nigdy nie wybaczę ci tego, co mi zrobiłeś! Nigdy!

Morgan wygładził swój tartan i zarzucił materiał na ramiona. Szybkiem krokiem podszedł do kominka i zdjął miecz Cameronów ze ściany. Sabrina pobladła, ale nie drgnęła.

Rzucił ciężkie ostrze u stóp łóżka.

- Jest jedna rzecz, której nie nauczyłaś się od Ewy. Jeśli musisz przeciąć serce mężczyźnie, użyj miecza. To zarówno bardziej

czyste, jak i uprzejme. - Ukłonił się jej sztywno. - Teraz, jeśli mi wybaczysz, nie mam zamiaru ranić cię przez narzucanie mej niechcianej obecności twojej osobie.

- Obrócił się na pięcie i wymaszerował, zostawiając ją samą.

Kiedy Morgan zniknął, Sabrina po omacku sięgnęła po skromny bukiet, który cisnęła tak bezdusznie na łóżko. Miażdżąc kruche łądygi w dłoni, zwinęła się w kulkę po jednej stronie łóżka, przytknęła kwiaty do ust, by stłumić rozzwierające łkanie.

Tydzień później Sabrina siedziała oparta w łóżku, czekając na powóz, który miał zabrać ją do Cameron.

Dougal ubrał ją z tą samą czułością, jaką okazywał jej jako dziecku. Była bierna jak zepsuta lalka, gdy wkładał ostrożnie jej ręce w rękawy i układał fałdy jej aksamitnej pelisy w przemyślane fałdy, by ukryć łubki. Nie mogąc znieść jej bezruchu, Dougal wycofał się, by czuwać przy oknie.

Westchnął ciężko, gdy odwrócił się od okna, by przyjrzeć się profilowi swej córki. Była blada jak perła i tak delikatna, że zdawać się mogło, iż rozwieje się przy mocniejszym podmuchu wiatru. Jej pełne usta ściśnięte były razem w jedną rozgoryczoną linię. Jej oczy były chłodne i odległe, jakby poszła gdzieś, dokąd nikt nie mógł za nią podążyć.

Jego serce miało się w bezsilnej furii. Chciał winić Morgana albo Boga, albo bezwzględny los za kalectwo swej córki, ale za każdym razem mijając lustro, widział swe własne oczy pełne winy. Mógł współczuć Morganowi, przebaczyć Bogu, a pewnego dnia zawrzeć pokój z losem, ale nie mógł znaleźć litości w swym sercu dla samego siebie.

Największym strachem przepelniała go myśl, że być może popełnia kolejny błąd, zabierając Sabrinę z tego miejsca. To właśnie ona nalegała na zabranie jej od MacDonnellów, jak tylko droga odmarzła, a doktor stwierdził, że stan jej zdrowia pozwalał na podróż. Na początku Dougal myślał nawet o tym, by zmusić ją, by pozostała, by walczyła o tego dzikiego mężczyznę, który zaczął unikać jej obecności od tej pamiętnej nocy, gdy Dougal,

wszedłszy do komnaty, zastał ją śpiącą, z mokrymi płatkami kolcolistą oblepiającymi jej poznaczone łzami policzki.

Ale zawodzące krzyki, „Musisz zabrać mnie do domu! Chcę do mamy!” poruszyły jego wielką miłość do niej i przytłoczyły jego dobre intencje. Nie miał serca, by zabronić jej czegokolwiek. Jego własne kapryśne zachcianki już kosztowały ją zbyt dużo. Gdyby tylko Beth tu była! Beth wiedziałaby co robić. Zawsze to ona odznaczała się moralnym hartem ducha, by zabronić Sabrinie zjedzenia jeszcze jednej drożdżówki, a tym samym oszczędzić jej bólu brzucha. To ona nalegała, by Sabrina ponownie wsiadała na kucyka, gdy ta, po kolejnym upadku, czepiała się nóg ojca, błagając o wytchnienie.

Cierpliwość pozy Sabriny przejmowała go chłodem. Wyglądała lak, jakby miała siedzieć na zawsze, nawet gdyby powóz nie przyjechał.

Nie mogąc dłużej tego znieść, Dougal zmusił się do radosnego uśmiechu.

- Chodź, dziecko, nie wychodziłaś z tego łóżka od tygodni. Słońce stara się ukradkiem wyjrzeć zza chmury. Pozwól, że przeniosę cię do okna, gdzie będziesz mogła popatrzeć na zewnątrz.

- Nie, tato. Nie chcę.

Tym razem Dougal zignorował jej płaczliwy protest. Z nadzwyczajną ostrożnością podniósł ją i zaniósł do okna. Przystanął przy szerokim parapecie, tuląc ją do piersi, jak robił to gdy była dzieckiem i budziła się z krzykiem z jakiegoś koszmaru. Ale z tego koszmaru żadne z nich nie mogło się obudzić.

Bezpieczna w objęciach ojca, Sabrina poczuła, jak bryła w jej gardle topi się. To jego współczucia nie była w stanie znieść. Dławiąc się wszystkimi łzami, które połknęła, odkąd Morgan opuścił jej komnatę, wtuliła policzek w pierś Dougala, ciesząc się poczuciem bezpieczeństwa, jakie to jej dawało, chociaż oboje wiedzieli, że jest to tylko złudzenie. Były potwory, przeciwko którym nawet jej ojciec nie mógł wiele zdziałać.

Dougal potarł brodą o jej loki.

- Nie mogę przestać siebie winić. Gdybym tylko mógł przewidzieć, że do tego wszystkiego dojdzie...

Sabrina chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Jego melodyjny głos rozbrzmiewał dalej.

- Kocham mych synów bardziej niż własne życie, ale ty, księżniczko, byłaś zawsze moim sercem. Byłem w stanie zrobić dla ciebie wszystko. Być może rozpieszczęłem cię, ale nie mogłem znieść myśli, że ty mogłabyś nie dostać tego, czego pragnęłaś. - Zaśmiał się stłumionym głosem. - A ty tak łatwo dawałaś się rozpieszczać. Nigdy zachłanna. Nigdy pazerna. Zawsze mówiąc „Dziękuję” i „Proszę”, nagradzając swego zadurzonego w tobie ojca całusami i uśmiechami - zacisnął swój uścisk. - Ale gdy Morgan MacDonnell przybył do Cameron, odkryłem, że było coś, czego ty chciałaś, a czego ja nie miałem mocy ci dać.

Powóz Cameronów pojawił się w oddali, tocząc się wolno po niebezpiecznych zakrętach.

- Widziałem głód w twoich oczach, kiedy patrzyłaś na niego.

- Dougal zniżył głos do szeptu. - Słyszałem, jak szlochałaś w twojej komnacie, kiedy cię odrzucił. Przebacz mi, Boże, ale kiedy wrócił do Cameron jako mężczyzna, w końcu znalazłem sposób, by spełnić pragnienie twego serca.

Sabrina cicho płakała, ciepłe łzy spływały po jej policzkach, skapując z jej brody na futro jej mufki. Powóz zadudnił na dziedzińcu, kołyszac się przy hamowaniu na bruku poniżej.

Słowa Dougala płynęły teraz szybciej.

- Nie oczekuję, iż uwierzysz, że moje motywy były całkowicie bezinteresowne. W twoim związku upatrywałem przyszłości, nasze klany zjednoczone, żyjące w pokoju, wnuki, by rozjaśnić mą starość... może marzenia szaleńca, ale od początku wyczuwałem coś w tym chłopaku. Jakby krew starożytnych władców MacDonnellów wciąż płynęła w jego żyłach. Naprawdę wierzyłem, że Bóg powierzył mi święte zadanie, by udowodnić, że jest on czegoś wart

- ucałował ją w czubek głowy. - Ale nigdy nie chciałem zrobić tego twoim kosztem. Przepraszam, tak bardzo się myliłem.

Przełykając zaprzeczenie jego słów, Sabrina podniosła swe wypełnione łzami oczy. Nie odważyła się udzielić mu rozgrzeszenia. Gdyby tak zrobiła, mógłby zmusić ją do pozostania. Lecz nawet

w jej potępiającym myśleniu Dougal dostrzegł przeblysł nadziei, niebezpiecznej możliwości. Spojrzała jej pytająco w twarz.

- Nie musisz jechać. Nie jest jeszcze zbyt późno, abyś zmieniła zdanie.

Sabrinie przypomniały się zacięta twarz Morgana, pogniecione kwiaty kolcolistu, teraz wysuszone i wciśnięte pomiędzy podniszczone kartki jej Biblii.

- Tak, tato, ale jest. Później niż może ci się wydawać. - Wtuliła twarz w jego fular, wzdychając ze znużeniem. - Zabierz mnie do domu, tato. Po prostu zabierz mnie do domu.

Dziedziniec był opustoszały, gdy Dougal niósł Sabrinę w mroźnym zimowym powietrzu. Enid szła obok niego, jej okrągła twarz była plamista, ale zastygła w ponurej powadze. Brian, Alex i doktor Montjoy podążali za nimi, nie niosąc nic poza mieczem Cameronów owiniętym w wełnianą pochwę. Sabrina prosiła, by poza tym, w co była ubrana i jej Biblią, wszystko zostawić dla klanu MacDonnellów, włączając w to świąteczne podarki z solonego mięsa, bel tartanu, i rzeźbionych w drewnie zabawek, które towarzyszyły podróży jej ojca. Słabe protesty Dougala nie powstrzymały jej także od zostawienia jej własnego prezentu dla Morgana. Czegoś specjalnego, by ogrzać go w zimne zimowe noce, aż do czasu, gdy znajdzie sobie nową żonę.

Kiedy nieobecne spojrzenie Sabrinę omiotło pusty dziedziniec, lala nowego bólu uderzyła w nią. Wiedziała, że nie zasługuje na nic więcej od niego, ale wciąż raniła ją myśl, że Morgan nie zadał sobie trudu, by po prostu pożegnać swoją żonę przed podróżą. Obróciła twarz do ramienia ojca. Ten delikatnie rozluźnił jej kaptur.

Lokaje Cameronów otworzyli drzwiczki powozu. Wspomagany przez Alexa i Briana, Dougal ułożył Sabrinę na poduszkach i wspiął się, zajmując miejsce obok niej. Enid i doktor Montjoy zajęli miejsca naprzeciw. Przepych powozu teraz zdawał się Sabrinie nieprzyzwoity. Z jego pluszowymi aksamitnymi poduszkami i zasłonami okiennymi z frędzlami był bardziej wystawny niż jakakolwiek komnata w zamku MacDonnellów. Zapewne wyposa-

zenie go kosztowało więcej złota, niż Morgan widział w całym swym życiu.

Patrzyła prosto przed siebie, zacisnąwszy pięści na chusteczce ukrytej w mufce. Gdy Dougal sięgnął, by zasłonić rolety w oknach, Sabrina powstrzymała jego rękę, zanim pogrzebał ją w pełnym przepychu mroku. Ojciec spojrział na nią zdziwiony, ale nic nie powiedział.

Powóz szarpnął i ruszył. Brian i Alex jechali po bokach jako eskorta, gdy elegancki pojazd wytoczył się z dziedzińca.

- Niech mnie diabli wezmą! - wydyszał Dougal.

Sabrina cofnęła głowę, wiedząc, że ojciec rzadko przeklinał. Poczowała, że konie przy powozie zwolniły, przechodząc w niepewny kłus. Pochyliwszy się ku przodowi, wyjrzała przez okno, by odkryć, dlaczego dziedziniec był taki opustoszały.

MacDonnellowie zebrali się, by pożegnać swą panią w jedyny znany im sposób. Otoczyli wąską drogę dwoma równymi rzędami, stojąc w cichym skupieniu, gdy powóz przejeżdżał między nimi, wszyscy ubrani w odświętne stroje, zrobione przez Sabrinę.

Jej znajome twarze rozmazały się przed jej oczami. Alwyn, zmuszająca się do dzielnego uśmiechu, nawet gdy ocierała ukradkiem łzę z policzka końcem swojego warkocza. Dzieci z wyszorowanymi twarzami i uczesаныmi włosami. Fergus, patrzący prosto przed siebie, z rumianymi policzkami, lecz twarzą poważną. Stara kobieta z kuchni, wciąż paradująca z niepasującą różową wstążką w jej prostych puklach.

Najsmutniejsze z tego było to, że Ranald stał z dala od członków swego klanu, z ramieniem na brudnym temblaku. Jego zmieszany wzrok utkwiony był w okno powozu, w poszukiwaniu Enid. Ona jednak odwróciła bezlitosną twarz od niego. Powóz wyjechał znów na pustą drogę i począł nabierać rozpędu, unosząc Sabrinę z zamku MacDonnell po raz ostatni.

Jej ręce wysunęły się z mufki. Nie mogła tak po prostu zlekceważyć tych wyrazów uznania, o które tak długo walczyła.

Zaskakując ich swą siłą, mocno pociągnęła okno, otwierając je i wychyliła się. Jej kaptur zsunął się z jej włosów. Wyciągając pogniecioną chusteczkę z mufki, zaczęła machać nią w swym

własnym pozdrowieniu. Nierówne wiwaty wybuchły na drodze za nimi.

I wtedy właśnie, gdy patrzyła w tył, dostrzegła go. Stojący na blankach, jego postać rysująca się na tle grafitowego nieba, jak pomnik jednego z królów MacDonnellów z zamierzchłej przeszłości, nieruchomy, z wyjątkiem długich włosów powiewających na wietrze. Pożerała go wzrokiem, aż do momentu, gdy wjechali w kolejny zakręt i wtedy straciła go z oczu.

Ciężko opadła na poduszki, nieczuła na dzikie ściskanie jej ręki przez Enid, na gładzenie jej rozczochranych włosów, przez dłoń jej ojca. Niema na wszystko, poza pierwotny pięknem zawodzenia dud, które popłynęło nad górami, rozdzierając jej serce tęsknym i szyderczym pożegnaniem.

Morgan sądził, że mógłby zostać na blankach na zawsze.

Zimno nie przeszkadzało mu. Gdy tylko jego denerwujące palce zaczynały kłuć go i szczypać, po prostu sięgał po kolejną butelkę brandy z gustownej skrzynki i pociągał potężny łyk. Jak przewidującym człowiekiem był jego teść. Być może Dougal chciał, aby brandy doprawiło świąteczny budyń, ale Morgan wolał o wiele bardziej przyprawianie siebie. Tłumiąc śmiech, pomyślał, że to dosyć dobrze pasowało. Zrobił z siebie nie byle jaki budyń, dla ujemającej serca córki Dougala.

Podniósł butelkę i zaryczał:

- Za Sabrinę Cameron, najlepszą sukę z nich wszystkich.

Ciepło mocnego alkoholu pulsowało w nim, rozgrzewając go aż po czubki zdrętwiałych palców stóp. Spojrzał czule na butelkę, podziwiając kłębie się złotego płynu. Nic dziwnego, że jego własny ojciec uwielbiał to. Było o wiele bardziej przyjemnym utopić się w tym, niż użalać się nad sobą. Wznosząc toast na cześć niespodziewanego zwrotu w jego filozoficznych rozważaniach, wysączył butelkę i cisnął ją nad szanćami, zanim otworzył kolejną.

W trakcie jego związku z Sabriną zapomniał o jednej z nieuniknionych prawd życia. Nic nie trwało wiecznie. Nauczył się tego wcześniej i dogłębnie, będąc świadkiem zbyt wielu szybkich, gwałtownych śmierci zadawanych rękami innych, jak też i swymi

własnymi. Życie, jak nadzieja, mogło zostać zdmuchnięte w bezlitosnym mgnieniu oka. Poruszył jedną dłonią przed sobą, lekko zaskoczony, że miała dziesięć palców.

Nigdy nie powinien był pozwolić sobie zapomnieć. Nigdy nie powinien pozwolić pięknym, zdradzieckim oczom Sabriny podstępem przekonać go, by miał nadzieję, że przyszłość jest możliwa. Święta Bożego Narodzenia wspólnie spędzane ze śmiechem przed kominkiem, niebieskookie córki i patrzenie, jak srebro pokrywa ciemne włosy jego żony wraz z upływem czasu.

Pusta butelka potoczyła się z jego sztywniejących palców. Tak, zostanie tu na blankach na zawsze. Nie było już więcej żadnego prawdziwego powodu, by schodzić na dół.

Jednakże, gdy cienie zimowego zmierzchu zaczęły pełzać wokół niego, a gwiazdy mrugać do wyglądających jak żywe kruchych kawałków lodu, Morgan podniósł się i skierował się ku schodom, po omacku szukając miejsca, które stało się jego prywatnym niebem w godzinach poprzedzających zmierzch i brzask. Wąskie przejście wiło się w mroku. Morgan potknął się o brakujący schodek i wyrznął w ścianę.

Pomyślał, że to niedobrze, że Bóg miał tak nikczemne poczucie humoru. Jeśliby tak nie było, leżałby teraz u stóp schodów ze skrzyconym karkiem. Zataczał się przez puste korytarze, potykając się o kupy gruzu, których już tam nie było, uderzając czołem o nisko wysklepione portale, gdy zapomniał ukucnąć, przez cały czas mruczając pod nosem balladę, której nauczyła go Sabrina, o pogardliwej dziewczynie i jej niezmordowanym zalotniku.

Jego ręce spoczęły na gałce u drzwi do jej komnaty, nim zorientował się, gdzie przyniosły go pijackie nogi. Refren ballady przycichł do mamrotania. Jego ręka zatrzęsała się, gdy jednym pociągnięciem otworzył drzwi.

Kobieta siedziała przy toalecie; kaskada jej włosów lśniła w świetle świecy.

Przez krótką chwilę, nadzieja zabiła w Morganie, dzika i niepo- hamowana. Jeszcze raz ośmielił się śnić. Zamrugał. Jego mętny mózg zmagął się, by wytłumaczyć to, co widział. Może Sabrina

w ogóle go nie opuściła. Może był to tylko trik, małoszkowa zemsta za wszystkie jego figle, które płałał jej jako chłopak.

Kobieta odwróciła się na taborecie, druzgocząc jego nadzieje jednym niezgrabnym szarpnięciem. Nie była to jego eteryczna panna młoda, ale sztuczna zjawka, nosząca jedną z sukni Sabriny.

Wszystkie pozory normalności opuściły go. Nim się zorientował, sprowadził ją na podłogę, zaciskając ręce wokół jej gardła. Ale Ewa nie miała zamiaru umrzeć pełną gracji śmiercią. Wyrwała mu się. Jej oczy płonęły, usta zaś poruszały się w urywanym potoku wyzwisk. Bod grubą powłoką różu, jej twarz zrobiła się czerwona, potem ciemna.

Morgan podniósł się, przyciskając obie ręce do skroni, jakby mógł przez to uciszyć gorączkę mordy, przewalającą się przez jego czaszkę. Wyrwał mu się słaby śmiech.

- Jesteś trzecią osobą, którą omalże udusiłem w przeciągu paru ostatnich tygodni. Naprawdę muszę bardziej uważać na samokontrolę.

Podniosła się na nogi, pomagając sobie rękami, wciąż niepewnie zezując na niego i masując jedną ręką swoją zaczerwienioną szyję.

- Piłeś, prawda? Potrafię to wyczuć u ciebie jak perfumy dziwki. To jest trucizna, chłopcze. Widziałeś, co się stało z twoim ojcem.

Morgan groźnie postąpił w jej stronę.

- Nie, Ewo. Widziałem, co ty zrobiłaś mojemu ojcu. A zawsze myślałem, że największą zbrodnią było uczenie Ranałda gry na dudach.

Ewa nie cofnęła się. Założyła ręce na wysokości bufiastego stanika sukni Sabriny.

- To był wypadek.

Morgan nie przestał się zbliżać, cedząc każde słowo. Jak twoja zasadzka na Dougala Camerona? Jak śmierć Pookah i upadek Sabriny z urwiska?

Patrzył na nią z góry, pogarda wmieszana była w każdy oddech.

Nieoczekiwana tkliwość zmiękczyła kolor jej zielonych oczu. Uniosła rękę, aby poprawić zmierzwione pasma jego włosów, złapał jej nadgarstek, nim zdołała go dotknąć.

- Musisz zrozumieć - błagała go. Zrobiłam to wszystko dla ciebie, chłopaku. Dla twojej przyszłości, dla przyszłości klanu MacDonnellów. Gdybyś tylko wiedział, jak wiele poświęciłam dla twojego drogiego klanu. Teraz gdy tej małej dziwki Cameronów tu nie ma, mogę ci powiedzieć. Czekałam całe życie, aby...

- Jeszcze więcej kłamstw! - ryknął, popychając ją w kierunku drzwi. - Jeszcze więcej twych wykrzywionych prawd! No cóż, nie mam ochoty wysłuchiwać ich! - Spłynął na niego lodowaty spokój. Jego palec był nieruchomy, gdy wznosił go w jej kierunku. - Wygnańcze!

- Nie! - krzyknęła, zasłaniając uszy rękami.

Morgan cofnął się, strząsając z siebie ochronną opończę alkoholu i pozwalając sobie poczuć pełnię męki mimowolnego porzucenia jego matki. Zdradę Ewy. Porzucenie przez Sabrinę. Przemówił w gaelicu, starożytne słowa królów i wodzów płynęły jak pieśń z jego ust.

- Wygnaniec. Od tej chwili jesteś wygnańcem w tym klanie. Jeśli kiedykolwiek twoja stopa stanie na ziemi MacDonnellów, zostaniesz ukamienowana. - Przechodząc na angielski, złapał jej nadgarstki, zrywając jej dłonie z uszu. - Rozumiesz mnie, kobieto? Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Z żalnym płaczem Ewa uwolniła się od niego i wybiegła. Dźwięk jej łkania pobrzmiwał długo jeszcze po jej ucieczce.

Morgan stał pośrodku podłogi, ciężko oddychając, z rękoma zaciśniętymi w pięści. Ewa zapaliła każdą świeczkę w komnacie. Jego rozpaczliwy wzrok przeszukiwał komnatę, nie znajdując nic, poza sztucznymi wspomnieniami tego, czego szukał. Wytworną rękę Sabriny znać było wszędzie. Światło świec roziskrzało kryształowe zatyczki jej buteleczek perfum, polerowało szachownicę do mahoniowego blasku, pieściło skórzane grzbiety książek. Brutalna klarowność światła, otworzyła mu oczy, zmuszając go, by zobaczył czym rzeczywiście była elegancka otoczka, bez swej pani, która wszystko przywoływała do tętniącego energią życia.

Zabawki. Błyskotki. Świecełka. Pusta iluzja. Książki z pustymi stronami. Gry, które na zawsze zostały przegrane. Instrumenty bez dźwięku.

Rycząc jak ranna bestia, Morgan chwycił harfę i roztrzaskał ją o krawędź stołu. Podarł wszystkie książki, zrywając im grzbiety, rozrzucając ich strony. Zmiotł wszystko z toaletki pięścią, nie zważając na kawałki szkła, raniące jego ciało, potem rozwalil przewrócony kufer o ścianę. Połamał szachownicę na pół na swym kolanie, ciskając figurki szachowe w ogień, gdzie ich obojętne twarze topiły się w dymiących smużkach płomieni. Podarł kremową pościel na łóżku, rozdierając wszystko gołymi rękami.

Znużenie nie do zniesienia zmogło go. Potykając się o rozłupany stołek, ciężko zwałił się i legł otoczony swymi zmasakrowanymi snami.

Nieśmiały język polizał go w policzek. Morgan z zaciekawieniem otworzył jedno oko. Połyskujące paciorki oczu przyglądały mu się badawczo. Perkaty nos szturchał jego ramię.

Potrząsając głową w wyczerpanym zdziwieniu, Morgan otoczył ramieniem małego marudzącego psa i przyciągnął go bliżej. Pugs-ley z wdzięcznością umościł się w jego ciepłe.

Patrząc bez nadziei w ginące w cieniu krokwie, Morgan wyszeptał,
- No tak, niezła z nas para. Wygląda na to, że mała suka opuściła nas, co, chłopie?

Jedyną odpowiedzią Pugsleya było zagadkowe skomlenie.

CZEŚĆ TRZECIA

Jeśli chcesz możesz stłuc, możesz zniszczyć wazon róż
Lecz ich zapach już na zawsze pozostanie tu

- Sir Thomas Moore

Lecz nigdy róża bez kolca

- Robert Herrick

Kwiaty wszystkich barw, i bez kolca róża

- John Milton

Rozdział 22

Błyszczący czarny powóz kołysał się wąską drogą zrytą topniejącymi śniegami. Dougal i Elizabeth jechali w napiętej ciszy, głusi na dźwięczny plusk wodospadu kaskadą spadającego w głęboki wąwóz, ślepi na obfitość dzikich kwiatów rosnących jak szalone na skalistych zboczach i inne oślepiających wdzięki ciepłego słonecznego dnia w górach.

Ręce Elizabeth spoczywały zaciśnięte na kolanach, tak sztywne, że można byłoby naciągnąć na nie rękawice ze stali, zamiast z atlasu.

Dougal z niepokojem potarł brodę.

- A co, jeśli nie będzie chciał się z nami widzieć?

- Musi się z nami zobaczyć - odpowiedziała niezłomnie jego żona. - Jest jej winien chociaż tyle. Gdyby nie on, nasza córka nie znajdowałaby się w takim położeniu.

Dougal pomyślał, że gdyby nie on sam, a myśl ta, jak męczący refren przyprawiała go o ból głowy. Zdusił drzenie, gdy powóz ciężko przetoczył się obok zdradliwego zakrętu, który kosztował ich córkę wszystko, poza życiem.

Udręką dla nich wszystkich było patrzeć, jak Sabrina przyzwyczajają się do życia po wypadku - ciągle drzenie jej rąk, jej łzy przy najmniejszej frustracji czy rozczarowaniu, jej wysiłek przy wykonywaniu najprostszych czynności, w których kiedyś celowała, takich jak haftowanie, czy gra na klawesynie. Boże Narodzenie wydawało się udawanym świętem w Cameron, pełnym wymuszonych uśmiechów i odświętnych posiłków, które spotykały się z nikłym entuzjazmem.

Dougal nie za bardzo potrafił wskazać dokładnie kiedy, ale krótko po Bożym Narodzeniu wszystko się zmieniło. Ból ukryty w jej oczach wyostrzył się w coś niebezpiecznego jak sucha hubka, czekająca tylko na iskrę.

Pewnego wieczoru zniósł ją do bawialni i posadził w fotelu przed ogniem, by wszyscy mogli zacząć uczestniczyć w rytualnym udawaniu, że wszystko było normalnie.

- Dziękuję, tato - powiedziała posłusznie, gdy otulił jej nogi pledem.

- Proszę bardzo, księżniczko.

- Czy chciałabyś pośpiewać w duecie, kochanie? - Elizabeth zapytała znad robótki.

- Nie sądzę. Trochę drapało mnie w gardle po drzemce. - Sabrina odchrząknęła, jakby chciała to pokazać.

Brian, usiadłszy okrakiem na taborecie, przyciągnął szachownicę pomiędzy nich.

- Jedynym śpiewem, który usłyszymy dziś wieczorem, będzie błagalne kwilenie tej dziewczyny, gdy przegra ze mną w szachy. - Sięgnął i pociągnął za jeden z jej loków.

- Uważaj braciszku. Jest znana z tego, że zdradziecko podbierała ci pionki i chowała je w swych spódnicach. - Serdeczny śmiech Alexa, nie zabrzmiał zbyt szczerze, aż Elizabeth skrzywiła się.

Sabrina przywołała widmowy, swawolny uśmiech na twarz, co sprawiło, że serce Dougala zaczęło krajać się w kawałki.

- Alex, nie bądź niemądry, nigdy nie oszukuję, chyba że przegrywam.

Dougal nie mógł oprzeć się chęci popatrzenia ponad oparciem krzesła, jak dwójka jego najmłodszych dzieci pochyliła głowy nad grą. Profil Sabriny wycięty przez ogień pełen był zamyślenia. Jej delikatne czoło marszczyło się, gdy kilkakrotnie w czasie gry, bezwiednie sięgnęła ku skroniom, by je pomasować.

- Aaach! - Jęk Briana mógł znaczyć tylko śmiertelną ranę, gdy zatoczył się na taboret. - Cóż to za straszliwe łotrostwo! Ta dziewczka zamatowała mi króla! Och, przegranej gorzki smak!

Alex przewrócił oczami na teatralne gesty swego brata. Sabrina wciąż uważnie wpatrywała się w planszę, ze szczególnym wyrazem twarzy. Nagle jej ramię wystrzeliło. Ciężka szachownica uderzyła w ziemię, a figury szachowe rozsypały się we wszystkich kierunkach. Brian otworzył usta.

Oczy Sabriny płonęły furia, gdy wysyczała,

- Dałeś mi wygrać! Wiem, że tak. Czy sądzisz, że jestem głupia? Czy uważasz, że wylądowałam na głowie, kiedy spadałam?

Wszyscy spojrzeli na nią, zaskoczeni widokiem ich niewinnego aniołka, zmieniającego się w jędzę na ich oczach. Nawet jako dziecko, Sabrina nie miewała napadów złości. Wówczas Elizabeth mogłaby ją zganić, teraz mogła jedynie zwinąć swoją robótkę w rulon trzęsącymi się rękami.

Sabrina omiotła ich wszystkich złym wzrokiem, nikogo nie ułaskawiając w swej gorzkiej furii.

- Czuję się jak jeden z ptaków matki, uwięzionych w klatce. Czuję, jak patrzycie na mnie przez cały czas. Nie zniosę tego! Chodźcie wokół mnie na paluszkach i opowiadacie kiepskie dowcipy, oczekując, że będę się z nich śmiała. Pozwalacie mi wygrywać wszystkie gry, jakby nigdy nie przyszło mi do głowy, że istnieje możliwość porażki. - Jej głos podniósł się do ostrej nuty. - Na co się wszyscy gapicie? Nie widzieliście nigdy wcześniej kaleki?

Dougal nie mógł znieść tego więcej. Wstał ze swego krzesła i ukląkł przed nią. Przez moment jej wyraz twarzy był tak dziki, że pomyślał, że może go uderzyć i prawie życzył sobie tego.

Ale potem jej głowa opadła i bujny jedwab jej rzęs przysłonił wściekłość kipiącą w jej oczach, pozostawiając ich wszystkich zastanawiających się, że być może wszystko to sobie tylko wyobrażali.

- Zabierz mnie do pokoju, tato - powiedziała płaczącym tonem. - W głowie dudni mi tak, że nie mogę myśleć.

Dougal został przywołany do rzeczywistości przez szarpnięcie powozu, który wtoczył się na dziedziniec zamku MacDonnellów. Duch smętnego porzucenia zwieszał się z blanków. Wyniosłe mury broniły dostępu słońca, trzymając wiosnę z dala. Gdy Elizabeth wysiadła z powozu, ściśle owinęła się szalem, by nie zmarznąć.

Chude jak szkielet palce bluszczu pięły się po zwietrzałych bryłach kamienia. Zaciemnione okna spoglądały w dół na nich jak

ziejące pustką oczy. Rozglądając się nerwowo wokół, lokaje i członkowie konnej eskorty wyciągnęli broń.

- Odłóżcie to - warknął Dougal, zaskoczony surowością swego głosu w pełnej grozy ciszy. - Co niby zamierzacie zrobić? Zacząć wojnę?

Wymieniając się zmieszanymi spojrzeniami, usłuchali go, ale starszy stangret mruczał coś o „nikczemnych MacDonnellach” i trzymał swój muszkiet przełożony wyzywająco przez kolana.

Pod naciskiem dłoni Dougala, drzwi do zamku otworzyły się z zardzewiałym skrzekiem. Zanim zdążył zaprotestować, Elizabeth wślizgnęła się w nie przed nim.

Dougal prawie wpadł na nią, gdy stanęła jak wmurowana, swym wzrokiem omiatając salę w nieskrywanym przerażeniu.

- Pozwoliłeś naszej córce żyć w tym brudzie?

Niepokój i zdziwienie mieszały się w Dougalu, gdy przyglądał się zamkowi MacDonnellów. Rozłupane ruiny były wszystkim, co zostało z mebli - stoły poprzewracane i rozbite, ławki pęknięte na pół, jakby od uderzenia potężnej pięści jakiegoś giganta. Pajęczyny pokrywały żyrandole, lekko marszcząc się jak upiorne woalki, w powiewach, której żadna z nich nie mogła czuć. Pędy bluszczu wpełzały przez dziury strzelnicze, dławiąc mizerne światło i wpuszczając swe wąsy do kruszącego się moździerza, jakby chcąc ogłosić, że jest kwestią czasu ich niepodzielne panowanie nad tą salą.

Dougal zadrżał. Było tak, jak gdyby cały zamek upadł pod jakimś mrocznym czarem, oddany we władanie jakiejś wiecznej zimie duszy.

Potrząsnął głową.

- Nie - wyszeptał, nie chcąc zbecześcić potwornej ciszy. - Nasza córka nigdy tu nie mieszkała.

Krzywiąc się z niesmakiem, Elizabeth uniosła rąbek swych spódnic wysoko ponad podłogę zaśmieconą odchodami gołębi i bielejącymi kośćmi małych, nieszczęsnych stworzeń. Z zaciemnionego korytarza dobiegło skrobanie większego zwierzęcia. Wpychając Elizabeth za siebie, Dougal wyciągnął swój pistolet.

Drżący głos dobiegł ich z cienia, a zanim wyłonił się mężczyzna o białej twarzy z uniesionymi rękoma.

- Nie strzelajcie, panie. Nie jestem uzbrojony.

Powściągając bezsilny przyływ gniewu, Dougal wsunął pistolet z powrotem do kieszeni swej kurtki, wiedząc, że lepiej trzymać go poza zasięgiem wzroku swojej żony, na wypadek, gdyby rozpoznała tożsamość Ranalda.

- Przybyliśmy, by porozmawiać z twoim wodzem.

Kuzyn Morgana powłóczył nogami i drapał się w swą ciemną strzechę włosów. Jego śniada cera pobladła, jakby tygodnie upłynęły od momentu, gdy ostatni raz widział słońce. Jego drugie ramię wciąż wisiało pod niewygodnym kątem, jakby nigdy nie zostało wyleczone.

- Chyba nie byłby to taki dobry pomysł, ośmielę się zauważyć. Nie schodził tu na dół od wielu dni. Widzi się ze mną tylko, gdy przynoszę mu jedzenie. - Jego oczy unikały wzroku Dougala. - Albo picie.

Dougal przywołał arogancję i władzę swej pozycji.

- Ryzykowaliśmy zasadzkę ze strony ludzi z twojego klanu i przejechaliśmy całą tę drogę z Cameron tymi kozimi ścieżkami, które nazywacie drogami. Nie odjedziemy, dopóki nie zobaczymy Morgana MacDonnella.

Kiedyś Ranald mógł mu się przeciwstawić. Teraz tylko wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Ale sugeruję, by pani została na dole. Proszę tak nie patrzeć spode łba. Wróć i zajmę się nią.

Dougal rzucił żonie niepewne spojrzenie, lecz ona przywołała na twarz dodający otuchy uśmiech.

- Idź, kochanie. Rób, co musisz. Dam sobie radę.

Kiedy Ranald poprowadził go po kruszących się schodach i zostawił stojącego samotnie przed drzwiami komnaty, należącej niegdyś do jego córki, Dougal miał nadzieję, że i on da sobie radę, jak jego żona.

Jego niepewne pukanie nie doczekało się odpowiedzi. Ostrożnie otworzył drzwi.

Warcząca kula futra eksplodowała pod jego stopami. Dougal potrząsnął nogami, sądząc przez krótką chwilę, że zaatakował go wściekły szczur.

- Pugsley! Zostaw! Ryk zdawał się zatrząść krokwiemi. Mały pies wycofał się chyłkiem za przewrócony stół, z mniej niż przepaszającym uśmiechem na pysku. Orientując się, że został jedynie obśliniony, a nie pogryziony, Dougal obtarł czoło chusteczką.

- Słodki Jezu! Ten szczeniak zawsze łatwo wpadał w gniew, miał również skłonność do niestrawności, ale nigdy nie widziałem go...

Zamilkł, gdy przywódca MacDonnellów wynurzył się z chaosu panującego w komnacie, wchodząc w promienie słońca, wpadającego przez zachodnie okno. Dougala wciąż zaskakiwała masywną posturą Morgana. W jakiś sposób zawsze oczekiwał szczupłego, bezczelnego chłopaka, jakim go pamiętał. Ale wszelkie ślady po chłopcu zostały starte z jałowych, skrzących się oczu tego mężczyzny.

Pierś Morgana była naga, jego porwany kilt zawiązany był w pasie. Jego kamienna szczeka nie była ogolona. Pod płową szczecina, płaszczyzny jego twarzy wyostrzone były do niebezpiecznej perfekcji. Jego kryształowe oczy, wypełniały tu i ówdzie czerwone żyłki. Dougal wzdrygnął się, wyobrażając sobie jego bezsenne widmo nawiedzające zamek w nocy.

Ze słońcem roztaczającym świetlną aureolę wokół płataniny jego włosów, wyglądał jak upadły anioł spalony w piekielnym ogniu, stwór ciemności nietknięty światłem, które go otaczało. Gdy kroczył pewnie przed siebie, smród whisky bił od niego kwaśnymi falami. Zatrzymał się parę kroków od Dougala, rozstawiwszy szeroko nogi, ręce zakładając na piersi.

Cameron obawiał się zdać się na wątpliwą łaskę tego człowieka. Jednakże dla Sabriny był w stanie zrobić wszystko, nawet sprzedać duszę nowemu panu Morgana.

- Przyszedłem tu, aby porozmawiać o mojej córce.

- Co z nią? - Głos Morgana był bez wyrazu, równie bez życia, jak jego oczy. - Czyjej stan się pogorszył? Umarła? Czy po prostu przywiozłeś mi papiery rozwodowe do podpisania?

Morgan mówił to tak, jakby wszystkie te możliwości były sobie równe, rozwścieczając tym Dougala.

- Rozwód nie będzie konieczny. Postarałem się o unieważnienie.

Morgan przekrzywił głowę. Iskra ponurego rozbawienia mignęła w jego oku.

- Jak mądrze. Wy, Cameronowie, zawsze znajdowaliście jakieś wyjścia obok prawa. Co powiedziałaś sędziemu? Że nigdy nie dotknąłem jej swymi brudnymi łapami? - Uniósł jedną ze swych diabolicznych brwi.
- No cóż jednak tak się stało. Co więcej, bardzo jej się to podobało.

Dougal zacisnął pięści, mając pamięci, że wielokrotnie zmuszony był znosić pijane szyderstwa Angusa MacDonnella. Nie wolno mu zapomnieć o swej misji, jeśli będzie musiał uklęknąć przed tym człowiekiem, tak się stanie.

Jego ręce z wolna rozluźniły się.

- Moja córka cię potrzebuje.

Dougal wzdrygnął się, gdy Morgan, odrzuciwszy głowę do tyłu, wybuchnął śmiechem. Potknął się i upadł na ścianę, wycierając łzy z oczu.

- Chryste, człowieku! Czy okaleczenie jej nie było wystarczające? Czy chcesz, bym skończył to, co zacząłem? Mam ją zabić?

* * *

Na dole Elizabeth siedziała sztywno na krześle z wysokim oparciem, które znalazł dla niej człowiek Morgana. Swymi wypolerowanymi paznokciami wybijała niespokojny rytm na jego poręczy. Ranald usadowił się na krawędzi kominka, jak pies kanapowy, klóremu udzielono ostrej reprimendy, rzucając na nią chytre spojrzenia spod swej karygodnej długości rzęs. Jaka szkoda, że tak przystojne stworzenie musiało urodzić się w takiej nędzy, zastanawiała się Elizabeth. Jej wzrok spoczął na masywnych krokwiach. Jedynym dźwiękiem dochodzącym z góry, były pełne grozy szepty pajęczyn tańczących w podmuchach.

Ranald strzelił z kłykci. Elizabeth podskoczyła, cała ta niesamowita atmosfera zamku zaczęła jej działać na nerwy.

- Gdzie jest reszta klanu? - zapytała nagle, wołąc swój własny głos od ciszy.

Ranald wzruszył ramionami.

- Rozproszona. Morgan odesłał ich wszystkich. Dał im owce, krowy, prawie cały drób i nędzne kawałki solonego mięsa.

- A ty? Czemu zostałeś?

Z niezwykłą uwagą skupił się na czyszczeniu plamy sadzy na swych spodniach w kratę.

- Jest moim kuzynem. Nie mogłem go tak po prostu tu zostawić, aby umarł, nieprawdaż?

Pochyliła się i przyjrzała jego anielskiej twarzy, zaskoczona tą odrobiną lojalności, której nigdy nie spodziewała się u MacDonnellów.

- Czy naprawdę uważasz, że umarłby bez ciebie? Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie, pani. Wierzę, że umarłby w samotności beze mnie. Niemy szok Elizabeth został przerwany przez zniechęcone kroki

Dougala na schodach. Zebrała swe suknie i wstała, ale jej mąż tylko smutno potrząsnął głową.

- Błagałem. Tłumaczyłem. Robiłem wszystko, poza czołganiem się. Nie ustąpi.

W pierwszej chwili Dougal myślał, że połysk w oczach Elizabeth był neuronionymi łzami, lecz gdy pospieszył, chcąc ją pocieszyć, przepchnęła się obok niego i zaczęła wspinać się po schodach.

- Beth, nie wolno ci! - zawołał, biegnąc za nią. Ranald deptał im po piętach.

- Gdybym był panią, nie robiłbym tego. To w ogóle nie jest dobry pomysł. Nie mogę być odpowiedzialny, jeśli... - Elizabeth zawahała się, na rozgałęzieniu korytarza, ale Ranald wskazał miejsce przebywania Morgana, gdy wyprzedził ich biegiem i zagroził sobą drzwiami.

- Odsuń się - rozkazała.

Schylając głowę, Ranald usłuchał. Elizabeth wstrzymała swego męża, kładąc mu swą dłoń na piersi. Jej stalowe oczy błyszczały determinacją.

- Chcę, abyście obaj wrócili na dół. Nie obchodzi mnie to, co usłyszycie, bądź co będziecie myśleli, że słyszycie. Nie przychodźcie tu, dopóki was nie wezwę. Rozumiecie?

Przez krótką chwilę Dougal miał ochotę się roześmiać. Nie był w stanie przypomnieć sobie momentu, gdy kochał swą żonę bardziej niż teraz. Cofnął się, uklonił się jej z gracją i wskazał jej drzwi.

- Życzę przyjemności, pani.

Elizabeth gwałtownie otworzyła drzwi. Ponad jej głową zobaczył jeszcze zaskoczony wyraz twarzy Morgana. Jego znużone oczy wyrażały najpierw krótkie wahanie, które potem przeszło w otwartą bezbronność.

Elizabeth oparła ręce na biodrach.

- Zamknij swą upartą jadaczkę, Morganie MacDonnellu. Nie spodziewaj się współczucia z mojej strony. - Śmiało weszła do komnaty, zatrzaskując za sobą drzwi.

Dougal poklepał Ranalda po ramieniu, gdy schodzili po schodach.

- Pomódl się lepiej za swego wodza. Właśnie stanął oko w oko / . przełożonym surowszym od samego diabła.

Racząc się butlą znakomicie warzonego piwa, Dougal i Ranald podjęli czuwanie na dole. Wraz z upływem kolejnych godzin, Ranald podrywał się na każdy nowy odgłos, podczas gdy Dougal spokojnie sącył swe piwo z fajansowego kubka, ukrywając nieznaczny, tajemniczy uśmiech.

Po głośnej wymianie zdań dało się słyszeć potężny trzask, który sprawił, że Ranald oblał się piwem ze swego kubka.

Dougal wznosił swój w toaście.

- Za Beth - wyszeptał.

Kakofonia przybrała na sile. Męski ryk wściekłości przerwany został brzękiem tłuczonego szkła. Nastąpiło więcej wrzasków, ¡1 potem dało się słyszeć charakterystyczny odgłos otwartej dłoni uderzającej o twarz. Oczy Ranalda rozszerzyły się. Dougal pochylił swą głowę, w głębokiej ciszy, która nastąpiła. Złowieszcza cisza ciągnęła się, aż nawet Dougal zaczął się wiercić na krześle. Wyciągnął zegarek kieszonkowy ze swej kurtki.

Elizabeth pojawiła się na schodach. Jej suknie pokryte były kurzem i smugami przypominającymi wielkie ślady dłoni. Schodząc, wygładziła potargane włosy, a jej ostre rysy rozpromienione były tryumfem i radością.

Podawała rękę Dougalowi.

- Przysiągł nam pomóc. Powiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy dla Sabriny. Bez względu na cenę.

Odstawiając swój kubek z trzaskiem, Randal zeskoczył z kominka.

- Wiedziałem, że nasza Sabrina nie opuści go. Nie spotkałem nigdy słodszej, bardziej pomocnej dziewczyny w całym swoim życiu.

Począł tańczyć jakiś improwizowany taniec radosnego szaleństwa, nie widząc nadmiernie wzniesionych brwi Dougala i ostrzegającego palca, który Elizabeth położyła na ustach swojego męża.

- Ty nieudolne stworzenie! Chciałam ciasteczka truskawkowe, nie, jabłkowe.

Zapłoniona służąca patrzyła zdziwiona na srebrną tacę, leżącą przed Sabriną.

- Ależ panienko. Prosiła pani o jabłkowe. Przysięgam, że tak. Sabrina cisnęła tacą w służącą.

- Zabieraj je natychmiast. Może i jestem kaleką, ale nie jestem głupia. Dokładnie pamiętam, że miały być truskawkowe. I nic przysięgaj. Tobie to nie wypada.

Taca zachwiała się w drżących rękach służącej. Parująca babeczka upadła z lepkiem odgłosem na kolana Sabriny.

- Niech to wszyscy diabli! - krzyknęła. - Czy musisz być tak piekielnie niezdarna?

Z ustami, które drżały w zdenerwowaniu, pokojówka zgarnęła ciastko i przetała świeżą płamę na jej szlafroku. Sabrina wydała długie udęczone westchnienie. Jej głowa opadła z powrotem na zagłówek sofy, jakby jej szyja nie miała siły bądź chęci jej utrzymać.

Odprawiła służącą machnięciem sztywnej ręki.

- Zostaw mnie już. Jestem zbyt roztrzęsiona, by jeść.

Gdy zniechęcona służąca wyszła chyłkiem z salonu, druga pokojówka, skończyła ścieranie kurzu i podażyła za nią, rzucając Sabrinie ukradkowe, pełne wyrzutu spojrzenie. Przyciszony kobiecy głos rozniósł się wyraźnie w popołudniowej ciszy londyńskiej kamienicy.

- No już, dziewczyno, nie płacz. Nie zadowolisz jej wysokości, kiedy jest nie w sosie. Dzisiejszego ranka poleciła podać mi sobie książkę, leżącą nie więcej niż cal od jej wybrednych małych paluszków. Już tylko liczę czas do momentu, w którym zaczniesz wrzeszczeć „uciać im głowy!”, za każdym razem, gdy coś nie będzie jej pasować.

Nienawistne stworzenia, pomyślała Sabrina, przykładając dłoń do czoła, by sprawdzić czy aby nie gorączkuje. Była w pełni świadoma, że służący Belmontów spędzali większość czasu w kuchni, dyskutując o niepełnosprawnej siostrzenicy swego pana. Ale co ją to mogło obchodzić? Wolą ich złośliwość od litości. Poza tym, w ludzkiej naturze leżało chyba plotkowanie o dziwadłach, czyż nie?

Jakby dla potwierdzenia jej myśli do salonu przydreptała Enid, machając cienką broszurką.

- Spójrz, co przyniósł mi Stephen od ulicznego sprzedawcy! - Zapadła w małe krzesło Louis XIV, zrzucając swe pantofle z wyraźną ulgą. - Tylko tego posłuchaj: „Pani Mary Toft z Godalming urodziła ostatnio czternastego królika”.

- Jak miło - wymamrotała Sabrina. - Czy mogłabyś sprawdzić mi czoło, Enid? Czuję się lekko rozgorączkowana.

Enid w zamyśleniu położyła jej dłoń na czole, wciąż przeglądając broszurkę.

- Jest tu napisane, że królewski lekarz został posłany, by zbadać sprawę i przyjechał na jej kwaterę w samą porę, by zdążyć odebrać poród piętnastego królika. Jesteś chłodna, kochanie. Żadnej gorączki.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? Przecież nie jesteś doktorem. Sabrina nie mogła najwidoczniej powstrzymać niezadowolonego

głosu od wzniesienia się. - Zainteresowałabyś się mną jedynie wtedy, gdybym urodziła młode jeża tu, w salonie twojej matki!

Enid opuściła broszurkę. Jej słodki uśmiech nie mógł ukryć urażenia w jej oczach. Sabrina chciała przeprosić, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Stały się dla niej jakby obcym językiem, w przeciągu paru ostatnich miesięcy. Gdy otwierała usta, by poprosić o dodatkową poduszkę czy powiedzieć coś o pogodzie, jedyne, co się z nich wydobywało to jęklive żądania albo cierpkie nagany. Jak mogła winić Enid za to, że ta patrzyła na nią, jak na obcą osobę, gdy stała się obca dla samej siebie?

- Masz oczywiście rację - powiedziała Enid, owijając kaszmirowy szal wokół ramion Sabriny. - To bardzo samolubnie z mojej strony. Przychodzę i wciąż gładzę o tym samym bez zastanawiania się nawet, jak się czujesz. Chcesz, abym ci poczytała? - Wzięła tom spoczywający obok łokcia Sabriny. - Znowu Homer?

Sabrina przytaknęła. Enid rozpoczęła opowieść o podróży Odyseusza do królestwa zmarłych, ale Sabrina nie potrafiła czerpać przyjemności z ulubionej historii. Teraz sądziła, że Odyseusz był nieznośnym nudziarzem, a Penelopa beczynną idiotką. Jaki romantyczny głupek skracałby sobie życie, czekając na człowieka, który mógł nigdy nie przyjść?

Sabrina obróciła twarz, by popatrzeć przez okno na eleganckie okolice Hanower Square, mając w pamięci krętą drogę, która przywiodła ją do tego miejsca. Delikatny wiaterek niosący ze sobą zapach hiacyntów i świeżo nagrzaną ziemi pieścił jej twarz.

Kiedy stan Sabriny nie poprawiał się, jej rodzice, za radą doktora Montjoy, przywieźli ją do Londynu, mając nadzieję, że zmiana otoczenia wpłynie na jej samopoczucie. Przynajmniej tutaj, w Londynie, nie przypominała nikomu o fałszywym poczuciu winy swego ojca.

Głos Enid monotonnie gładził, odzierając majestatyczną prozę greckiego barda z całego dramatyizmu. Sabrina szarpnęła się niespokojnie, poczuwszy duszącą miękkość szala. Te pierwsze ciemne dni spędziła w Cameron, płacząc co noc, dopóki nie usnęła. Lecz nawet w rozpaczy pielęgnowała nikły płomyk nadziei w swoim sercu. Nie więcej niż iskierka, by rozjaśnić mrok i nadać kształt

zarliwej modlitwie szeptanej do Boga każdej nocy przed snem i o poranku, zaraz po przebudzeniu.

W wigilię Bożego Narodzenia zdała sobie sprawę, że Bóg odrzuciła jej modlitwy. Nie dane jej było nosić dziecka Morgana. Nie pozwolono jej mieć przy sobie nawet tej jego części. Przeplakała całą noc, a suche, urywane łkania darły jej duszę, ale potem nie uroniła już ani jednej łzy, ani też nawet nie pomyślała o modlitwie. Dlaczego miałyby się modlić do kogoś, kto najwyraźniej wcale się nią nie przejmował?

Krótko potem zaczęły doskwierać jej nowe dolegliwości. Nieznośny ucisk w piersiach. Kujący ból w skroniach. Słaby kaszel. Różnorodny ból w innych częściach ciała. Im więcej się nad nimi rozwodziła, tym gorsze się stawały, aż pewnego ranka obudziła się, przekonana, że właśnie umiera. Galopem wysłano powóz Cameronów do Londynu.

Belmontowie przyjęli ją posłusznie, umieszczając na swej sofie, skąd rządziła odtąd ich domem z pewnością siebie, jakiej nie powstydzilyby się młoda królowa. Czasami Sabrina nękana była dziwnym uczuciem odległości, jakby ona sama patrzyła na wszystko z żyrandola, a jakaś inna dziewczyna uczestniczyła w źle rozgrywanym melodramacie.

Krzesło Enid zatrzeszczało, gdy ta poprawiła się na nim. Sabrina wciąż nie mogła pojąć upodobania Belmontów do zapychania ich solidnej miejskiej kamienicy meblami, które lepiej pasowałyby zjawom, niż ludziom żywym. Za każdy razem, gdy ktoś z nich wciskał się z impetem w jedno z ich pozłacanych, zdobionych zakrętami krzeseł, wstrzymywała oddech, oczekując rychłego trzasku łamiących się pajęczych nóg.

Wszyscy Belmontowie byli okrągli, ale przez ostatnich kilka miesięcy Enid zrobiła się jeszcze okrągłej sza. Sabrina spoglądała ukradkiem na kuzynkę, znów sobą gardząc za swe małostkowe ukłucia zazdrości. Nawet wysadzana drogimi kamieniami obszerna suknia balowa, nie byłaby w stanie ukryć przybierającego brzucha Enid. Cienka warstewka białego pudru zakrywała, lecz nie zdołała zdusić promienistego blasku jej skóry. Podczas gdy Sabrina wiedła, by stać się starą kobietą w ciele młodej dziewczyny,

Enid rozkwitała, nosząc dziecko mężczyzny, którego niegdyś kochała.

Jowialna natura wujka Williego wystawiona została na ciężką próbę, gdy odesłał ją w góry, by uniknąć skandalu. Okazało się, że wróciła w ciąży, a najbardziej irytujące było to, że wykazywała oczywisty brak skruchy, dodatkowo słabo maskując radość z perspektywy wydania na świat nieślubnego dziecka, spłodzonego z potępionym góralem.

Szarpiąc swe rzadkie włosy, nękany kłopotami księżę zamknął ojca Sabriny w bibliotece, nim ten zdołał umknąć, gdzie debatowali niezmordowanie nad tym, jak sprokurować fikcyjnego męża dla Enid - nieokreślonego góralskiego właściciela ziemskiego, który uwiódł ją i poślubił w dziczy Szkocji, a potem miał nieszczęście zginąć w trakcie ich miesiąca miodowego w tym samym rzekomym wypadku powozu, w którym Sabrina została kaleką.

Ta romantyczna historia sprawiła, że Enid zaczęła być postrzegana w Londynie jako swego rodzaju sława. Mężczyźni nadskakiwali jej, a kobiety składały gorące kondolencje. Nawet jej były, fałszywie skromny narzeczony, Philips Markham, zjawił się u jej drzwi, najwyraźniej chcąc poprawić swoją reputację dzięki szlachetnemu poświęceniu, uprzejmie akceptując dziecko zeszłego góralskiego dziedzica, jako swoje własne. Enid nasiąkała tą niespodziewaną uwagą, jasno płonąć i puchnąć tak obficie, iż Sabrina obawiała się, że może pęknąć od nadmiaru zadowolenia. Obie zawarły niepisaną umowę, by nigdy nie wspominać o tym, co wydarzyło się w czasie ich pobytu w góralskiej Szkocji, uważając te wspomnienia za zbyt bolesne, by o nich mówić.

Sabrina patrzyła na równo przystrzyżone trawniki i zamiecione do czysta ulice. Słońce skradało się przez pled na jej kolanach, drażniąc jej twarz obietnicą ciepła. Przynajmniej Enid miała tę przewagę, iż uważana była za wdowę. Miała wymówkę, gdy smutek czasami przyciemniał jej oczy. Sabrina nie miała nic. Nic poza żalem.

By ułatwić przebieg unieważnienia małżeństwa, jej ojciec zdecydował, że nikt w Londynie, poza sędzią, nie będzie wiedział, że kiedykolwiek wyszła za mąż. Wyglądało to tak, jakby czas spędzo-

ny z Morganem był jedynie iluzją, kruchym erotycznym snem z życia jakiejś innej kobiety. Budziła się w nocy, zdezorientowana ciemnościami, przytłaczającymi zasłonami łoża z baldachimem, żalną beużytecznością swych nóg.

Trzęsąc się w panice o swe zdrowie psychiczne, gorączkowo szukała Biblii, którą trzymała pod materacem z pierza. Rzuciła się na wytarte strony, przewracając je niecierpliwymi dłońmi, aż do miejsca, gdzie wypadał suszony bukciek kolcolistu. Dopiero wtedy zaczynała oddychać normalnie. Wtedy też przypomiwała sobie zboląły wyraz twarzy Morgana i znajdowała w sobie odwagę, by wetknąć kwiaty pomiędzy strony rękami, które nie drżały już, lecz opadały w zrezygnowaniu.

Gdy Sabrina patrzyła, mały chłopiec z włosami koloru słońca potruczał przez ulice, goniąc grubego szczeniaka. Mężczyzna i kobieta przechadzali się ręką w rękę, a jej roześmiana twarz zwrócona była ku jego pełnej uwielbienia twarzy. Drozd w żywopłocie zaczął klaskać swoją piosenkę, przyszywając serce Sabriny słodko-gorzka dźwięcznością swej melodii.

Skuliła się w swoim szalu.

- Czy zamknęłabyś okno, Enid? Jestem przekonana, że zaczynam marznąć. - Gdy Enid odłożyła książkę i wstała, by zamknąć okno, światło słoneczne uderzyło w twarz Sabriny z całą siłą. Wzdrygnęła się i zacisnęła powieki. -1 zasłon, proszę, kotary, dobrze? Światło mnie drażni.

Westchnęła z ulgą, gdy zasłony opadły, pogrążając ją w kojącym mroku.

Rozdział 23

- C'est magnifique! - oświadczył Francuz, całując jego splecione palce.

Morgan wzdrygnął się i parsknął jak wyścigowy ogier przed startem, gdy malutki krawiec okręzał go drobnymi kroczkami., zatrzymując się jedynie po to, by szturchnąć muskularne płaszczyzny jego brzucha. Pugsley podniósł się ze swego słodkiego bezruchu, by gardłowo warknąć na śmiałość krawca.

Mały człowieczek łypał okiem na Morgana.

- Quelle bete jolie!

- Co on powiedział - zapytał Morgan, spoglądając spode łba na Dougala. - Mam go zabić?

- Powiedział, że piękna z ciebie bestia i wolałbym, abyś raczej tego nie robił - podparł Dougal sucho ze swego krzesła przy oknie. - Przynajmniej do momentu, gdy wystawi nam rachunek za swe usługi. Słyszałem, że ich ceny są znacznie zawyżone.

Ranald ucałował swe palce i przesłał Morganowi kpiący pocałunek.

- Nie bądź taki surowy dla małego faceta, Morgan. Sądzę, że mu się podobasz.

W ciągu tygodnia, komnata na poddaszu rezydencji Cameronów została przekształcona w zakład krawiecki. Zwoje grubego materiału i jedwabiu pokrywały każdy kawałek dostępnego miejsca. Krawiecki manekin przyglądał się wszystkiemu z bezimiennym rozbawieniem.

Gdy krawiec wetknął papier pełen szpilek pomiędzy swe poróżwione szminką usta i zniknął za nim, Morgan, nie ufając mu, wykręcał szyję, by mieć go stale na oku. Jego najgorsze przeczucia sprawdziły się, gdy poczuł ukradkowy ucisk na swój pled. Szarpnął się do tyłu, co spowodowało gwałtowną walkę o wytarty tartan, jakby były to zawody w przeciąganiu liny.

- Ale, Morgan, czemu tak nieśmiało? - łajał go Ranald. - Widziałem nieraz, jak ściągałeś kalesony przy o wiele mniejszej zachęcie niż teraz.

- Nie dla jego przyjemności! - Morgan szarpnął pled z taką siłą, że niewielki człowieczek zaczął wirować po komnacie. Dougal chwycił go, zanim mógłby wypaść przez otwarte okno.

Krawiec wypluł wszystkie szpilki z ust, by następnie zalać ich potokiem obelżywych przekleństw po francusku. Jego twarz przybrała alarmujący czerwony odcień. Zamachał zaciśniętymi w pięści dłońmi i tupał nogami. Morgan gapił się teraz z podziwem, że tak niewielkie stworzenie, potrafiło wpaść w tak niepohamowaną furję.

Krytyczne przemówienie zakończone zostało łamaną angielszczyzną.

- Ja przyjeżdżam daleko z Paryż. On musi pozwolić mi zmierzyć go, mais oui?

Najwyraźniej obawiając się, że mały krawiec zmierzał wielkimi krokami ku apopleksji, Dougal dyplomatycznie otoczył go ramieniem. Rzucając Morganowi ostrzegawcze spojrzenie, odciągnął mężczyznę łagodnie od obiektu jego gniewu i począł coś nucić w uspokajającej francuszczyźnie.

Czując się głupio i bezradnie, Morgan poprawił strzępy swego pledu z tak wielką powagą, na jaką tylko było go stać.

Ranald spoważniał.

- Nie zniechęcaj się, chłopie. Pamiętaj, co powiedziała ci żona Camerona. Biedna dziewczyna mizernieje bez ciebie. Mogłaby umrzeć, jeśli jej nie pomożesz.

Żaden z nich nie widział, jak oczy Dougala uniosły się ku niebu. Sam Cameron nie wiedział czy powinien błagać o wybaczenie, czy niebiańską pomoc, której będzie potrzebował, gdy jego zięć dowie się prawdy.

- Nie, Morgan. Nie ten widelec, ten drugi. - Morgan cofnął rękę, jakby lśniąca srebro go sparzyło. - Ten po prawej, obok twojej serwetki.

Głos Elizabeth dźwięczał jak dzwonki w jego bolącej głowie. Nigdy nie podniosła głosu, nigdy nie traciła do niego cierpliwości, bez względu jak bezdennie głupi się wydawał. Prawie wolałby, żeby krzyczała na niego i wyrывała sobie włosy z głowy, jak zapewne od dawna miała chęć uczynić.

Szukał po omacku wśród niezliczonej ilości sreber, a każdy brzęk rozchodził się w potępiającej ciszy. Do czasu, gdy odnalazł odpowiedni widelczyk do nadziewania maleńkich ostryg, służąca pojawiała się, by błyskawicznie je sprzątnąć. Miska z zupą zjawiła się przed nim, a jej mięsny zapach sprawił, że poczuł przemożny głód. Podniósł miskę do ust, już nie mogąc się doczekać długiego, spragnionego haustu.

- Morgan! Musisz nauczyć posługiwać się łyżką.

Opuścił miskę, rozchlapując zupę na swój koronkowy halsztuk Brian i Alex patrzyli na niego z drugiego końca stołu. Dougal kaszlnął ostro, więc skupili uwagę na swoich własnych zupach. Piersiasta służąca ukryła chichot za swym fartuchem. Mrugnawszy okiem do Morgana, Randal uniósł swoją miskę i wysączył ją jednym bulgoczącym łykiem.

Dla Morgana maleńka miska z uszkiem wydawała się najbardziej niedorzecznym sposobem jedzenia zupy. Zanim zdołał przełknąć dwa pełne łyki, denerwując służącą, pojawiła się po raz kolejny, by sprzątnąć naczynia. Jego żołądek wyburczał swoje niezadowolenie.

Talerz pojawił się, by złagodzić to uczucie. Na nim parująca baranina, tłuste białe ziemniaki i chleb grubo posmarowany złotym masłem. Zdecydowany, że ta porcja już mu nie ucieknie, Morgan wyciągnął z paska swych bryczesów sztylet, chcąc nabić na niego kawałek chleba z talerza.

Ręka Elizabeth spoczęła na chlebie, przykrywając go. Ostrze z głuchym odgłosem zatrzymało się między jej palcami, o pół cala od małego palca.

Potrząsnęła głową z wyrzutem.

- Nie wolno używać sztyletu, kiedy jesz, Morgan. Ile razy muszę ci o tym przypominać?

Zdradliwe gorąco zalało mu twarz.

- Nie jestem głodny - wymamrotał, odsuwając się od stołu.

Kiedy odwrócił się, by odejść, jego teściowa przeczyściła nieznacznie swoje delikatne, podobne łabędziemmu gardło, wokół którego Morgan chciał bardzo zacisnąć swe palce. Zawrócił gwałtownie i uklonił się wszystkim krótko, co zasłużyło na jej aprobujące kiwnięcie głową.

Gdy Morgan wyszedł, Ranald stwierdził,

- Cieszę się, że nie był głodny, bo ja zdycham z głodu. - Zgarnął baraninę i ziemniaki Morgana na swój i tak już wypełniony talerz. - Nie wiem, czemu wszyscy wyglądacie tak ponuro. Całkiem dobrze mu idzie. Założę się, że jeszcze uda się wam zrobić z niego gentlemiana.

Potrzeba było całych dwóch tygodni, nim Morgan odkrył umiejętność, w której mógł się wyróżnić. Nie zważając na bladego, tyczkowego nauczyciela muzyki usadowionego przy klawesynie, odchyłał głowę, delektując się anielskimi dźwiękami Bacha, spływającymi spod klawiszy. Jego dłoń spotkała się z dłonią Elizabeth, gdy wirowali wokół komnaty na poddaszu, która do tego celu została uprzednio przystosowana.

Tu, jego naturalny wdzięk pomagał mu, gdy skomplikowane kroki menueta były tak podobne sztuce szermierki, czy unikania pistoletowych kul.

Gdy sunęli razem, ciała ocierające się w przelotnym zetknięciu, Morgan zamknął oczy, wdychając chciwie zapach róż z jej zaczesanych ku górze włosów. Zapamiętane pragnienie uderzyło go nisko w brzuch, ale gdy otworzył oczy, nie zastał tam hebanowych loków i lśniących szafirowych oczu, lecz kasztanowe pukle przetykane srebrnymi pasmami i zielone oczy z łagodnym wyrazem współczucia. Potknął się, ale niezachwiany rytm Elizabeth łatwo skorygował jego pomyłkę.

Odstąpili na parę kroków. Morgan trzymał jej dłoń wysoko w górze, podczas gdy ona obracała się wokół niego z szelestem atlasu.

- Dougal postarał się, abyś w Londynie miał do swej dyspozycji sekretarza - powiedziała.

- Sabrina miała mnie nauczyć pisać. Ale zawsze było coś

lepszego do roboty... - Zamilkł, przypominając sobie, z kim rozmawia. Rzucił Elizabeth pełne skruchy spojrzenie. Porozumiewawczy półuśmiech zaokrąglił jej wargi.

- Przypuszczam, że tak.

Spotkali się na środku parkietu ponownie. Uśmiech rozjaśnił lekko usta Morgana, gdy jego ręka na chwilę objęła wąski łuk jej tali w gorsecie. Odnalazł subtelną przyjemność w dotykaniu kobiety w ten sposób, rytualne zaloty fascynowały jeszcze bardziej, dla swej delikatności i wdzięku.

- Nie mogę doczekać się, aż zatańczę w ten sposób z... - Jego słowa ucichły, gdy krótko wstrzymał oddech, przypominając sobie, że nigdy nie zatańczy już w ten sposób z Sabriną. Nie pozna ona tego nęcącego uroku związku ruchu i muzyki. Poczucie winy i cierpienie zwały się na niego. Stopy zatrzymały się w miejscu jak przymarznięte.

Klawesyn zakrztusił się. Elizabeth rzuciła nauczycielowi muzyki groźne spojrzenie, a ten natychmiast zaczął grać, ze wzrokiem wlepionym w podstawkę do nut.

- Ostatnią rzeczą, której potrzebuję od ciebie, moja córko jest litość.

Po chwili wahania, przytaknął. Gdy zadźwięczały ostatnie nuty, Elizabeth złożyła mu głęboki ukłon. On odklonił się i uniósł jej dłoń do ust.

Nachylając swą twarz ku niemu, powiedziała,

- Gdyby żyła twoja matka, byłaby dumna z mężczyzny, którym się stałeś.

Morgan wycisnął pocałunek na jej dłoni.

- Chciałbym móc w to wierzyć, pani. Naprawdę chciałbym w to wierzyć.

- Kto by pomyślał, że dopuścisz Camerona z ostrzem w rękę tak blisko do twego gardła. Twój biedny ojciec zapewne przewraca się w grobie. - Randal zarechotał i wrzucił sobie do ust garść suszonych rodzynek.

- I tak powinno być - wymamrotał Morgan. To ten drań odpowiedzialny jest za większość tego.

Lodowata stal brzytwy ominęła jego jabłko Adama i szerokim ruchem powędrowała ku górze, oskrobując łuk jego zaciśniętej szczęki. Zmuszał się do całkowitego bezruchu, poddając się chłodnemu opanowaniu rąk Elizabeth. Byłaby doskonałym chirurgiem, pomyślał przez chwilę. Albo zabójcą.

Być może ona i Ewa miały więcej wspólnego, niż dotychczas sobie uświadamiał. Lecz Elizabeth wiodła swe rozpieszczone życie bezpieczna podziwem swego męża i dzieci, podczas gdy Ewa musiała prowadzić nieustanną walkę przeciwko pogardzie jego klanu i obojętności jego ojca. Jego oczy zachmurzyły się, gdy pomyślał o wygnanej z klanu kobiecie. Od zawsze była częścią jego życia, a jej nieobecność była równie mocno odczuwalna, jak jej zdrada.

Elizabeth wytarła pachnące mydło, gestem zaprosiła go, by wstał i cofnęła się o krok, by podziwiać własne dzieło. Morgan poczuł, jak napięcie spływa mu z ramion. Było to błędem, jak szybko się zorientował, gdyż energiczne klaśnięcie jej rąk przywołało stadko pokojówek i lokajów. Zalali komnatę, rojąc się tłumnie, jak radosne mrówki wokół kałuży rozlanego miodu.

Nawet Ranalda przestraszyła ta inwazja. Przełknąwszy, chwycił miskę z rodzynkami i wycofał się za kotary.

Morgan wolałby stanąć twarzą w twarz z legionem żądnych krwi Chisholmów, niż tą plagą ochoczych Liliputów. Szturchali oni i potracali, szarpali i mierzyli, zapinali guziki i robili zakładki tak, że miał ochotę krzyczeć. Małpi krawiec pełzał wokół jego stóp, mamrocząc francuskie plugawości z ustami pełnymi szpilek, mając chyba wielką uciechę z dżgania go w nieprzewidywalnych odstępach czasu. Morgan powstrzymał ryk, gdy szpilka dziabnęła go w łydkę.

- Pardonnez-moi - wydusił z udawanym żalem mały tyran.

Elegancki służący owinał lekki lniany krawat wokół gardła Morgana. Morgan poczuł się, jakby się dusił. Z pewnością żadna pętla kata nie mogła być tak ścisła. Mimo wszystko zniósł i to okazując stoicką obojętność, aż do momentu, gdy ujrzał wśród u nich nadchodzącą Elizabeth z pudrowaną i lokowaną peruką w jednej ręce i szklanym słoikiem pełnym bielidła w drugiej.

- Dostyc! - zaryczał.

Służący zamarli w tworząc żywy obraz lęku. Przyprószone różowym pudrem policzki krawca zbladły.

Strząsając z siebie każde poniżenie, które znosił przez ostatni miesiąc dla Sabriny, Morgan podniósł się i wskazał palcem Elizabeth.

- Nigdy nie uderzyłem kobiety, moja pani, ale jeśli wyobrażasz sobie, że założysz - tę - ohydłą rzecz na moją głowę i wymalujesz mi twarz, równie dobrze możesz być pierwsza.

Dougal wślizgnął się do komnaty w odpowiednim momencie, by zdążyć usłyszeć przemowę Morgana. Widząc pierwsze ślady prawdziwie posepnego nastroju na twarzy swej żony, wznosił ręce i wolno zaczął bić brawo, każde klaśnięcie rozlegało się jak grom w szokującej ciszy.

- Gratulacje, kochanie. Szczerze wierzę, że stworzyłaś gentlemiana. - Służący odsunęli się z szacunkiem, gdy Dougal okrażał Morgana, przyglądając mu się od stóp do głów. - Dokładna wymowa, arogancja, królewska postawa. Naprawdę robi wrażenie, nie sądzisz?

Morgan stał na baczność, gdy zamyślony wzrok Elizabeth omiatał go od wypolerowanych klamerek na jego butach, aż do ułożonych w ogon włosów na jego karku. Jej grymas przeszedł w aprobujący uśmiech.

- Naprawdę robi wrażenie - powtórzyła za mężem.

- Bardzo dobrze - powiedział rzeczowo Dougal. - Wszyscy możecie odejść. Wasza pomoc nie będzie już potrzebna.

Gdy służący posłusznie opuścili pomieszczenie, Morgan z wielką ulgą ciężko opadł na krzesło, ciesząc się, że nie musi już dłużej być w centrum ich namiętnej uwagi.

Dougal przemierzał długimi krokami komnatę.

- Wszystkie przygotowania zostały zakończone. Tak, jak nalegałeś, Ranald wystąpi w roli twojego lokaja. Musisz mieć kwatery, sekretarza i pieniądze na wydatki do swej dyspozycji.

- Nie potrzebuję jałmużny - powiedział Morgan. Dougal spojrzał badawczo na jego twarz.

- Czy próbowałaś kiedykolwiek żyć w Londynie bez pieniędzy w sakwie? Nie. Widzę, że nie. - Gładząc brodę, wznowił swój spacer. - Beth i ja wynajęliśmy tymczasowe lokum w Bloomsbury. Sabrina nie może wiedzieć, że jesteśmy w Londynie. Wszystko, czego potrzebujesz teraz, to wejście na salony.

- Może tytuł szlachecki - zasugerowała Elizabeth, siadając na brzegu kanapy. - Nikt w Londynie nie jest w stanie się oprzeć tytułowi. MacDonnell to starożytne nazwisko. Bez wątpienia twoja rodzina taki tytuł posiadała, zanim zajęli się złodziejstwem i deprawacją, jako sposobami na życie.

Morgan rzucił jej ponure spojrzenie.

- Nigdy nie przywiązywałem znaczenia do takich nonsensów. Czymże jest kawał papieru od króla, jeśli nie towarzyszą temu żadne pieniądze.

- Pomyśl, chłopie - nakazał Dougal. - Poszukaj w pamięci. Musi być jakaś wzmianka o tym gdzieś.

Morgan zmarszczył brwi.

- Halbert - wymamrotał na wpół do siebie. - Lord Halbert, Baron... - Dougal i Elizabeth wymienili pełne nadziei spojrzenie. - Nie, nie, to w ogóle nie to. Sir Halbert...

Radosny dwugłos doleciał ich zza okna:

- Zrobi zupę z twoich kości, a odzienie z twojej skóry. Na lunch pożre ci wątrobę i posiłek na piszczelach. Jeśli idzie twoją drogą, lepiej zrobisz, uciekając...

Dougal poszedł do okna i zaciągnął z powrotem zasłony. Randal uśmiechnął się do niego znacząco i zanucił z cicha,

- Wstrętny Halbert, straszny hrabia Montgarry

Widząc zaskoczoną minę Morgana, Elizabeth przysłoniła usta ręką, tłumiąc pełen zarówno przerażenia, jak i zachwyty chichot.

Rozradowany uśmiech rozjaśnił twarz Dougala. Zakreślił się, by odnaleźć twarz Morgana.

- Cholera, człowieku! Jesteś teraz hrabią! Przewyższasz mnie rangą. Jestem jedynie podrzędnym wicehrabią.

Elizabeth wstała i rozpostarła swe suknie w żartobliwym dygnięciu.

- Cóż, mój panie, czy jesteś gotów wystąpić o swoją hrabinę? Oczy Morgana błysnęły dziką determinacją, czyniąc z niego bardziej pirata niż arystokratę.

- Tak, pani. I niech lepiej będzie przygotowana na to.

Sabrina stłumiła znudzone ziewnięcie za wachlarzem. Orkiestra stroiła instrumenty, fałszywie brzmiące nuty drażniły jej napięte nerwy. Jeszcze jeden niekończący się bal Belmontów, który należało znieść. Niczym nieróżniący się od pokazów domowych teatrów amatorskich, popołudniowego czytania poezji, czy ukochanych partyjek karcianych ciotki Honory, gdzie Sabrina była wystawiona na swej obitej tapicerką sofie dla współczucia i rozrywki londyńskiej socjety.

Energicznie zamknęła wachlarz, bojąc się przyznać nawet przed sobą, że zaczyna odczuwać perwersyjną przyjemność z ich współczucia.

Wujek Willie i ciotka Honora pojawili się na schodach. Umiarkowany aplauz uczcił ich przybycie. Małe pukle jej ciotki tańczyły jak kielbaski strzelające w ogień. Cała rodzina Belmontów wyglądała mdło i bez wyrazu jak niewypieczone ciasto na chleb. Kiedy jej wuj zbliżył się, Sabrina zdumiała się na nowo, że jej smukła matka wynurzyła się przecież z tak krowiego stada, Wuj Willie pogłaskał ją pod brodą.

- Jak się miewa moja ulubiona siostrzenica dziś wieczór? Dobrze się bawisz, kochanie?

- Jestem twoją jedyną siostrzenicą i mogłabym bawić się lepiej, gdyby nie te męczące bóle głowy. Ostatnio miewam straszne...

- Dobrze, dobrze, to bardzo miło, cukiereczku, ale właśnie pojawił się książę Devonshire. Muszę złożyć uszanowanie. - Mrugnawszy do niej okiem, oddalił się w pośpiechu.

Sabrina westchnęła. Enid stała przy wysokim skrzydle okiennym, rozkoszując się atencją swego upartego byłego narzeczonego. Jej brzoskwiniowa teraz skóra błyszczała, kontrastując z szaro-

scią jej sukni żałobnej. Gorliwy lokaj zaczął wyrzaskiwać imiona przybyłych.

Brat Enid, Stefan, mniej tęgi i nieskończenie bardziej elegancki niż jego ojciec, tanecznym krokiem spłynął po schodach.

- Hej, kuzyneczko. - Pochyliwszy się, wycisnął jej obowiązkowy pocałunek na policzku. - Trzymasz kawalerów na dystans?

- Staram się - wyszczebiotała, przytrzymując go za rękę, nim zdażył jej uciec. - Jednak wydaje mi się, że chwyta mnie jakaś drżączka. Straszne tu przeciągi. Czy nie mógłbyś przebiec się na górę i przynieść mój szal?

- Wszystko dla ciebie, księżniczko - wymruczał, słabo ukrywając znużone przewrócenie oczami.

- Nie wełniany, Stefanie - zawołała za nim. - Kaszmirowy. Od wełny kicham.

Sama myśl o kichaniu sprawiła, że kichnęła, a potem musnęła nos koronkową chusteczką.

Do czasu, gdy Stefan wrócił z szalem, ogromna sala balowa zapełniła się już do połowy, a Sabrina została otoczona przez swą switę dobrze życzących jej osób. Wysłała jednego troszczącego się młodzieńca po kieliszek szampana dla niej, a drugiego, by znalazł źródło uprzykrzonego przeciągu. Posługując się swymi smutnymi uśmiechami i trzepoczącymi rzeszami, jak bronią, używała jedynej władzy jej pozostawionej.

Dwie raczej proste młode kobiety skrócone przez swe upięte do góry loki kręciły się pod ścianą, plotkując za wachlarzami. Ich cienko wyskubane brwi zmarszczyły się w oczywistym niezadowoleniu, gdy zobaczyły zauroczonych mężczyzn, kłębiących się wokół Sabriny. Spoza brzęku kieliszków z szampanem i szumu rozmów, ich niskie, złowrogie głosy niosły się wyraźnie do uszu Sabriny.

- Żałosna mała flirciara, nieprawdaż? Afiszuje się ze swą niemocą, gdyż tylko w ten sposób może zdobyć uwagę mężczyzn.

Sabrina utrzymała przyklejony do twarzy uśmiech, wdzięczna grubej warstwie bielidła, która ukryła jej gniewny rumieniec.

- Wciąż ma ataki złości, jak mówią. Jeden z lokajów Belmon-

tów powiedział kucharzowi, że tylko w ostatnim tygodniu... - Kobieta ściszyła głos do szeptu. Jej towarzyszka zachichotała

- Zachowuje się jak dziecko, bo tylko w połowie jest kobietą. Każdy mężczyzna, który nadszarpnąłby jej, musiałby być tylko w połowie mężczyzną.

Ich ukradkowe spojrzenia omiatały jej bezużyteczne nogi. Sabrinę ogarnęła wściekłość. Chciała odrzucić pled ze swych kolan i pokazać im te ohydne zniekształcenia, które sprawiłyby, że wszyscy uciekliby z sali balowej w popłochu.

Entuzjastyczny męski uśmiech przesłonił jej widok.

- Panno Cameron, pani szampan.

W jej drżącą rękę wciśnięto kieliszek. Zanim zdążyła podziękować swemu dobroczyńcy, pierwsze dźwięki muzyki popłynęły od orkiestry. Jeden po drugim, jej admiratorzy, boleśnie uprzejmie przeproszali i unosili się z melodią, by dołączyć do tańca. Jedną z kobiet, które obgadywały ją z taką złośliwością, nic mogła oprzeć się pokusie rzucenia triumfującego szyderczego uśmieszku ponad swym ramieniem, gdy przyjęła ramię ofiarowane jej przez dziobatego młodego gentlemiana w źle skrojonym surducie.

Sabrina uderzała palcami w zdenerwowaniu o sofę. Bogate tony muzyki pulsowały w jej żyłach, oddając echem jej wściekłe bicie serca. Nawet Enid tańczyła, jej ręce sztywno splecione z rękami Philipa Markhama.

Sabrina pragnęła gardzić nimi wszystkimi, nawet jej lojalnym kuzynem, dla niedocenianej przez nich możliwości wirowania i ukłonów, i kołysania się do pełnego wdzięku rytmu muzyki. Dziwna rzecz, ale nigdy wcześniej nie czuła takiego współczucia dla Ewy, takiego osobliwego poczucia więzi. Kobieta z klanu Morgana gdzieś na obrzeżach, zaproszona na bal, lecz bez pozwolenia na ucztowanie. Sabina łyknęła szampana. Jego gorzki smak palił jej suche gardło.

Czy gdyby losy świata potoczyły się inaczej i MacDonnellowic nie przybyliby nigdy do Cameronów, mogłaby się kręcić teraz między nimi? Przyglądała się umalowanym twarzom mężczyzn,

zastanawiając się, czy są przystojni, czy mogłaby zakochać się w którymś z nich. Wydawali się jej teraz wszyscy głupi i niedojrzali, bezmyślne stworzenia gotowe skakać z balu na partyjkę kart, z kart do teatru i tak bez końca. Ich gładkie dłonie nigdy nie doświadczyły odcisków. Ich perfumowana skóra nigdy nie pachniała słońcem i potem po zasłużonym dniu ciężkiej pracy.

Czy którykolwiek z nich polował, by zastawić stół swej rodziny? Czy kiedykolwiek zaryzykowali wszystko, nawet swoje własne życie, dla tych, z własnej krwi? Czy kiedykolwiek przedzierali się przez śnieg po łydki, aby ocalić tonącą owcę?

Czy któryś z nich sprawił, że kobieta wykrzykiwała ich imię w momencie najwyższej ekstazy? Ich upudrowane włosy w perukach nigdy nie zasłaniały twarzy napiętej pasją. Nigdy nie łaskotały kobiecej skóry, gdy ześlizgiwały się na nią w uwodzicielskiej ciemności nocy.

Sabrina z całej siły zacisnęła powieki, nie będąc w stanie znieść dzikiego, tęskniącego trzepotu swojego serca.

Muzyka z wolna ucichła. Otworzywszy oczy, zobaczyła stadko gentlemanów, którzy już opuściwszy swe partnerki, galopowali ku niej, jakby dręczeni winą, że ośmielili się dobrze bawić, gdy ona marniała na sofie. Zmęczone westchnienie wydobyło się z jej ust. Chociaż raz życzyłaby sobie, aby wszyscy oni po prostu sobie poszli.

Na schodach lokaj przeczyścił sobie gardło. Jego głos, drżący nutą czystego majestatu, obwieścił, - Hrabia Montgarry!

Tego właśnie przyjęcie potrzebowało, przyszło do głowy Sab-rinie, gdy odrzuciwszy głowę, cynicznie przełknęła szampana. Kolejny mizdrzący się arystokrata.

Nastąpiła jednak dziwna chwila ciszy. Wszyscy goście patrzyli z podziwem na schody jak stado nudnych owiec. Zaciekawiona tym, co mogło być tak interesujące, że zwróciło ich zblazowaną uwagę, Sabrina wyciągnęła szyję.

Gdy napotkała krystalicznie zielone oczy mężczyzny na schodach, kieliszek szampana wyslizgnął się spomiędzy jej sztywnych palców i roztrzaskał o marmurowa posadzkę.

Rozdział 24

Sabrina nie mogła oddychać. Poczwała znajomy ucisk w klatce piersiowej. Płomienie świec w żyrandolach zamigotały i wydawały się przygasnąć pod wpływem hipnotycznego błysku w oczach jej męża. Odważyła się zaczerpnąć powietrza, dopiero gdy jego wzrok przesunął się lekceważąco, jak gdyby chciał ją obrazić.

Morgan.

Morgan, wspaniały, w czerwonym obcisłym surducie, który okalał jego talię i rozszerzał się na jego wąskich biodrach, odsłaniając dopasowane bryczesy, perfekcyjnie skrojone i idealnie leżące na mięśniach jego smukłych ud. Jego szczękę otulał śnieżnobiały, koronkowy fular. Jego nieupudrowane włosy splecione były na karku w długi, cienki warkoczyk. Lśniły niczym złote nici pod wpływem pocałunków kandelabrow.

Morgana jawił jej się zawsze jako niebezpieczny człowiek, jednakże, gdy ten elegancki nieznajomy lustrował wzrokiem oszołomiony tłum, a na jego twarzy pojawił się cień radosnego uśmiechu, Sabrina zdała sobie sprawę, że w rzeczywistości był kimś więcej.

Był mordercą, złodziejem, zabójcą kobiecych serc, który nie miał litości i nie szedł na żadne ustępstwa. Nie można było oprzeć się jego męskiej urodzie. Sabrina odwróciła od niego oczy, by jej nie oślepiła.

Na sali rozległy się szepty.

- A któż to do licha jest? Hrabia Montgarry? Nigdy o nim nie słyszałam. A może, moja droga, spotkałyśmy jego rodziców w Edynburgu?

- Cholerny barbarzyńca, nie sądzisz? - zamruczał jakiś niezadowolony męski głos.

- Och, zaiste barbarzyński! - zapiszczała jakaś przejęta kobieta.

Sabrina zauważyła, że zwinęła swoją chusteczkę w beznadziejny supeł. Była osłupiona i wciąż nie mogła uwierzyć, że Morgan MacDonnell stał w sali balowej domu jej wuja, a nie rządził w swoim górskim zamku i nie dawał jakiejś szkockiej dziewczynie, jak na przykład Alwyn, swoich złotowłosych dzieci. Morgan hrabią Montgarry? Musiała chyba już tracić zmysły. Morgan nie był hrabią. Gdyby był, ona byłaby hrabiną. Jej oczy otworzyły się jeszcze szerzej pod wpływem nowej fali zdziwienia.

Twarze ciotki Honory i wuja Williego przemknęły obok, niczym dwa balony, gdy spieszyli, by powitać gościa. Sabrina zobaczyła, że Enid, stojąca po drugiej stronie pokoju, też jest sparaliżowana wyglądem Morgana. Złapała się za kołnierzyk przy szyi, a jej twarz była bardziej szara niż jest suknia. Sabrina bała się, że jej kuzynka zaraz zemdleje. Tym razem nie było tam Ranalda, by mógł ją złapać. Jej fałszywie skromny Philip wydawał się zbyt sztywny, a jego twarz zastygła w wyrazie wiecznego niezadowolenia, linid spojrzała na Sabrinę, widząc w jej oczach bezradny strach. Zawsze lojalna, popędziła w kierunku sofy, a Philip podążył tuż za nią. Jednakże Enid nie była pierwszą osobą, która podeszła do Sabriny. W jej stronę ruszyło kilku mężczyzn, jakgdyby pobudzonych nagłym pojawieniem się tajemniczego nieznajomego. Jeden z nich uklęknął przy niej i zaczął zbierać kawałki potłuczonego szkła. Inny wpatrzony w jej twarz wycierał szampana z podłogi.

- Wszystko w porządku, panno Cameron?

- Nie zraniła się pani przypadkiem? - Jakiś gentleman chwycił z jej kolan wachlarz i zaczął energicznie ją chłodzić, zdmuchując puder ze swojego nosa na jej twarz.

Ich zachowanie rozpraszało jej uwagę. Kichnęła i wyciągnęła rękę po swój wachlarz.

- Co pan robi? Chce mnie pan zabić? - warknęła, lecz po chwili złagodziła swoją naganę trwożliwym uśmiechem.

Wtedy dopiero zdołała dotrzeć do niej Enid. Przysiadła obok niej niczym lwica broniąca swej dumy.

Morgan zszedł ze schodów. Jego szerokie ramiona otulone klasycznie skrojonym płaszczem przyćmiewały wszystkich mężczyzn w sali balowej. Tłum oszołomiony był jego drapieżnym

wdziękiem. Jej wuj i ciotka poprowadzili go w kierunku sofy, a na ich ziemistych twarzach malował się zamęt. Enid ścisnęła palce Sabriny tak mocno, że jej kostki zatrzeszczały na znak protestu.

Morgan był już coraz bliżej. Przerazone serce Sabriny biło jak oszalałe, a w koniuszkach palców czuła mrowienie. Od czasu wypadku często budziła się w nocy z krzykiem. Śniło jej się, że jest uwięziona w swoim łóżku przez ogień, a jej bezużyteczne nogi leżą bezwładnie w pościeli, której już dosięgają języki ognia. Wszystkie te emocje, o których starała się zapomnieć, znów wypływały na powierzchnię jak fontanna, która za chwilę ma wybuchnąć. Powstrzymując atak paniki, wpatrywała się w swoje nogi, porażona nie tylko ich bezwładem.

Morgan stanął po drugiej stronie sofy i nawet na nią nie spojrzał.

- Enid, kochanie - powiedział wujek Willie. - Hrabia prosił o wprowadzenie.

Sabrina usłyszała w głosie wuja ostrzegawczą nutę. Wszyscy goście patrzyli w skupieniu. W jaką to ryzykowną grę bawił się Morgan?

- Mówi, że jest znajomym twojego zmarłego męża.

Ciotka Honora skryła twarz za wachlarzem. Widać było tylko jej trzepoczące rzęsy. Enid wyrwała swą dłoń z rąk Sabriny.

Morgan sięgnął po jej dłoń i gestem pełnym szyderczego wdzięku przyłożył ją do swoich ust.

- Moja pani.

Sabrina zadrżała, słysząc jego chrapliwe mruczenie. Nawet nabyty niedawno elegancki akcent nie był w stanie ukryć jego naturalnego zaśpiewu.

- Gdy tylko powróciłem z kontynentu europejskiego, dowiedziałem się o przedwczesnej śmierci Nate'a. Był szlachetnym i prawym człowiekiem. Moje najszczerze wyrazy współczucia.

Sabrina podziwiała tupet Enid, która przyjęła kondolencje dotyczące męża, który nigdy nie istniał.

- Dziękuję mój panie. Jego śmierć wszystkich nas zaskoczyła. Bardzo miło z pana strony, że pan o mnie pamiętał.

Philip postąpił naprzód. Widać było po nim, że ma o sobie wysokie mniemanie.

- A w jakich okolicznościach poznał pan męża pani MacLeod?
Sabrina rzuciła krótkie spojrzenie na Morgana, lecz zaraz tego pożałowała. Jego uśmiech był olśniewający.

- Ech, w najzwyklejszych. Razem dorastaliśmy w górach, razem podróżowaliśmy, razem studiowaliśmy w Edynburgu. A pan to właściwie...?

Philip wyprostował się, sięgając wzrostem do fularu Morgana i kładąc na ramionach Enid swoją protekcyjną rękę.

- Philip Markham. Wybranek pani MacLeod.

- Mój ex-wybranek - poprawiła go Enid słodko, odtrącając jego rękę.

Sabrina wiedziała, jak musi się czuć dziecko. Wszyscy rozmawiali nad nią, tak jakby w ogóle jej tam nie było. Z wysokości swej sofy widziała jedynie świetnie skrojone bryczesy Morgana. Jego krawiec musiał być prawdziwym mistrzem, artystą...

Wysuwając kolano naprzód, Morgan przybrał dość wygodną pozę. Sabrinie zaschło w ustach. Ciężko przełykała, marząc o choćby kropelce jej rozlanego szampana.

- Więc, powiedz mi panie, jak długo będziesz zaszczycił nas swoją obecnością? - zapytała Enid tonem wyzywającym, lecz pełnym uprzejmości.

W głosie Morgana dało się wyczuć malujący się w tej chwili na jego twarzy uśmiech.

- Tak długo ile będą wymagać tego moje interesy.

Po raz pierwszy Morgan opuścił wzrok na Sabrinę. Czowała płynący z niego żar, palący jej pochyloną głowę.

Enid stawała się coraz śmielsza, a jak na gust Sabrinę nawet zbyt śmiała.

- Proszę pozwolić mi przedstawić moją kuzynkę, pannę Sabrinę Cameron. Och, a może się już znacie, skoro oboje pochodzicie z gór?

Bez cienia skrępowania, Morgan przykleknął obok wózka. Sabrina wpatrywała się w koronkowe fałdy jego fularu, podczas gdy jego ciepłe, nagie place kołysały jej lodowatą dłoń i prowadziły ją ku niemiłosiernie pięknym ustom. Pamiętając, do jakich

ciemnych i wyjątkowych rzeczy te usta są zdolne, Sabrina poczuła nisko w brzuchu rozpalający się, ostrzegający ją płomień. Jego wargi ledwie dotknęły wierzchu jej dłoni.

- Niestety nie miałem przyjemności.

Kłamca, pomyślała zjadliwie. Złość dodała jej odwagi, by odrzucić głowę do tyłu i spojrzeć mu w oczy.

- Mój panie - mruknęła. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Coś mignęło w zielonozłotyach jeziorach jego oczu. Coś rozgniewanego, większego niż lekkie tylko rozdrażnienie. Po chwili nie było już ani śladu po szyderczej groźbie rozpoznania, a głębia jego oczu znów stały się pusta i płaskie.

Wyprostował się, chłodno ją lekceważąc.

- A może, wasza książęca mość - powiedział, zwracając się do wuja Williego. - Zechce przedstawić mnie swoim gościom. Mam nadzieję zawrzeć jakieś znajomości podczas pobytu w pałacu. Zawsze uważałem, że żadne interesy, niezależnie od tego jak ważne, nie powinny przeszkadzać gentlemanowi w pogoni za rzeczami bardziej. - Jego głos popieścił lekko następne słowo.

- Satysfakcjonującymi.

- Och, proszę mi pozwolić - powiedziała ciotka Honora, wyłaniając się zza swojego wachlarza i chwytając ramię Morgana.

- Znam pewną młodą damę, która chowa się właśnie za palmą i z niecierpliwością oczekuje na przedstawienie jej.

Ciotka i wuj Sabriny otoczyli go i zaczęli prowadzić. Wuj Willie ośmielił się nawet rzucić przez ramię skonsternowane spojrzenie.

Philip otworzył srebrne puzderko, wyciągnął szczyptę tabaki i przystawił do nosa.

- Arogancki facet, nie sądzisz? Osobiście nigdy nie przepadałem za Szkotami. Jeśli chcesz znać moje zdanie, wszyscy to aroganckie dzikusy.

- Och, zamknij się Philip. Nikt cię o zdanie nie pytał - warknęła Enid, wyraźnie wstrząśnięta słowną walką z Morganem.

Pospieszyła za swoimi rodzicami, rzucając Sabrinie przepaszające spojrzenie. Nim urażony Philip zdążył oddalić się z nadąsaną miną, Sabrina znów była w centrum uwagi.

- Przyniosłem kieliszek świeżego szampana, panno Cameron.

- Czy mam przetrzepać pani poduszki?

- Ma pani może ochotę na pasztet?

Jednakże wzrok Sabriny wciąż spoczywał na szerokich plecach mężczyzny, który panował nad salą balową niczym jej właściciel. Znowu dręczyło ją poczucie, że jest uwikłana w jakąś przedziwną komedię pomyłek. Sama myśl nie byłaby może tak irytująca, gdyby Sabrina nie bała się, że to ona jest celem tych żartów. Po raz pierwszy od wielu miesięcy w jej głowie powstała modlitewna litania.

Proszę Boże, och dobry Boże, proszę... Lecz nawet wtedy nie była pewna czy modli się o to, by Morgan odszedł czy żeby nigdy już jej nie opuszczał.

Morgan nigdy wcześniej nie czuł się tak skłonny do popełnienia morderstwa. A ponieważ prawdziwe obiekty jego gniewu, bezpiecznie zamknięte w ich przytulnym salonie w Bloomsbury, wznosiły właśnie bez wątpienia toasty za niezmierną głupotę swego zięcia, on zadowolił się ukradkowymi morderczymi spojrzeniami na ich latorośl. Zmuszał się przy tym do tańca i mamrotania uprzejmych odpowiedzi do swych różnych partnerek.

Biedna, żalonna Sabrina! Jak rozpaczliwie go potrzebowała! Kobieta, której dłoń zbyt mocno ścisnął, wydała z siebie niewielkie syknięcie.

- Bardzo przepraszam - wymruczał, zanim przekazał ją następnemu partnerowi w menuecie.

Dopiero teraz Morgan zrozumiał dziwne spojrzenia i ostrzegawcze mrugnięcia pomiędzy Dougalem i Elizabeth w ciągu ostatnich kilku tygodni. Były one podstępem, zręcznym ukryciem rzeczywistości pomiędzy wypaczoną prawdą a zwykłymi kłamstwami. Obawiali się o samo przetrwanie swej córki, skoro Morgan nie mógł przywrócić rumieńca zdrowia na jej białych policzkach. Nie orientowali się więc, że dopiero teraz mieli więcej powodów, by bać się o jej życie.

Wbrew swej woli, znowu spojrział na królewskie oparcie sofy Sabriny. Prowokujące ustawienie jego szczęk wywołało płochliwe trzepotanie rzadkich rzęs jego partnerki.

Morgan przygotowywał się tygodniami na pierwszy widok Sab-

riny. Oczekiwał, że zastanie ją marniejącą w zaciemnionym pokoju, że jej tryskające energią ciało będzie przyklejone do kości. Nie spodziewał się jej jednak wymalowanej jak jakaś niedorzeczna lalka, wodzącej rej wśród zamroczonego stada głupców, jak jakaś niepełnosprawna kurtyzana. Wyrwał mu się nieumyślny pomruk, gdy przyglądał się, jak obdarzyła czułym uśmiechem jednego niewartego uwagi nieszczęśnika.

- Czy mówiłeś coś, mój panie? - Jego pulchna partnerka ciężko nadepnęła na jego duży palec u nogi.

Zmusił się, by grymas bólu zamienić na uprzejmy uśmiech.

- Właśnie zastanawiam się, jak lekko stawiasz swe stopy. Ale nie na moich, dodał już w myśli.

Gdy jego partnerka zachichotała nerwowo na komplement, Sabrina poniosła omdlewającą dłoń, tylko po to, by ta została pochwyciona i ucałowana przez mizdrzącego się pięknisia w upud-rowanej peruce. Jadowity wzrok Morgana śledził ją. Jej gęste, ciemne włosy zostały jakby przyklejone do jej głowy i ściągnięte w kok ozdobiony malutkim kapelusikiem z koronki. Jej skóra pokryta była jasnym pudrem, tłumiącym naturalny różany odcień na jej policzkach, Gdy szal zsunął się z jej ramion, Morgan zauważył, że eteryczny odcień rozciągał się także pod jej gardłem, aż do wypukłości jej piersi, którym można było się przyjrzeć prawie w całości, gdyż ukazywał je wyzywający dekolt jej sukni.

Spostrzegł cynicznie, że żaden z jej nadopiekuńczych pięk-nisiów nie pospieszył, by poprawić zablakany szal. Co więcej, jeden z nich, noszący okulary, stał na palcach, by podziwiać widok.

Gdy Sabrina zasznurowała wargi w poróżwionym uśmiešku, przyptyw dzikiego pożądania wybuchł w Morganie. Zapragnął rzucić się ku niej, potrząsać nią, aż jej jedwabiscie czarne loki spłynęłyby kaskadą wokół jej twarzy, zetrzeć z niej tę glazurę, ściągnąć stanik jej sukni i odszukać tę krztynę różanego ciepła, które nawiedzało go w snach przez wiele długich, samotnych nocy. Jego żądza i wściekłość zmieszały się w falę tak potężną, że chwyciło go ponownie uczucie rozpacz. Poczucie świeżego odrzucenia dźgnęło go.

Był najgorszym głupcem, przychodząc tu. Sabrina nie potrzebo-

wała go. On nigdy go nie potrzebowała. Odesłała go, odrzuciła jego kwiaty na bok, ogłaszając go niegodnym dotknięcia nawet rąbka swej drogocennej sukni.

Mógł po prostu przeprosić swych zaskoczonych gospodarzy i wyjść. Następnie pojechałby z powrotem do tej wąskiej kamienicy na Bloomsbury Square, cisnął pieniądze i wykwinął stroje w zadowolone z siebie twarze Dougala i Elizabeth i przeklął dzień, w którym kiedykolwiek spojrzął na jakiegokolwiek z Cameronów.

Zdecydowany uciec od tej farsy, gdy wciąż jeszcze był na tyle zdeterminowany, przekazał partnerkę mężczyźnie obok i obrócił się, tylko po to, by zetknąć swą dłoń z dłonią kolejnej partnerki, którą okazała się być Enid Belmont. Zaplótłszy palce, okrążali się jak nieufne drapieżniki.

Zadowolony, że znalazł cel dla swojego miażdżącego sarkazmu, skierował swe spojrzenie na jej brzuch z udawanym podziwem.

- Jakże się cieszę, że mąż pani zostawił coś, dzięki czemu jego pamięć nie zginie, pani MacLeod.

Dziewczyna spuściła rzęsy, skromnie się zgadzając.

- Tak jak ja, panie Montgarry.

Kuzynka Sabriny była bardziej opanowana, niż zapamiętał ją Morgan. Stała się chłodnym i wartościowszym przeciwnikiem. Rozeszli się, pochylili i wrócili do poprzedniej figury. Ponownie ukradkiem spojrzął na jej brzuch.

Gardząc sobą za głupią iskierkę nadziei w swym sercu, nadał swemu głosowi odcień nonszalancji.

- Nie przypuszczam, by panna Cameron była w podobnym stanie.

Enid potrząsnęła głową, lecz gdy go okrążała, będąc za jego plecami, szepnęła:

- Była zdruzgotana.

Wesoła salwa dziewczęcego śmiechu popłynęła z sofy, szarpiąc pazurami poranione serce Morgana.

- Nie da się nie zauważyć.

Ciemność w głębi jego duszy spotężniała. Jakże miał prawo potępiać Sabrinę? Gdyby nie bezwzględne ambicje jego klanu, mogłaby teraz nawet wirować wśród tych tańczących, najjaśniej-

sza gwiazda na ich wysklepionym firmamencie. Wiedząc, że nigdy więcej nie będzie dana mu następna szansa, by uspokoić smutną ciekawość, zaczął rzucać pytaniami, za każdym razem, gdy nieszczęsna Enid znajdowała się w jego objęciach.

- Jak się porusza?

- Jej pokój jest na parterze. Stefan albo ojciec noszą ją. Albo jeden z lokajów.

- A kiedy wychodzi z domu?

- Nie wychodzi. Nie była na zewnątrz od swego przyjazdu do Londynu. Mówi, że świeże powietrze przyprawia ją o ból głowy.

Morgan zmarszczył brwi, nie mogąc wyobrazić sobie swej dawniej żywiłowej narzeczonej dobrowolnie rezygnującej ze wspaniałości wiosny.

- Co z jej nogami? Bola ją? Czy było tak źle, jak obawiał się doktor? Co stało się, gdy próbowała chodzić?

Enid starała się uniknąć jego wzroku.

- Nigdy nie próbowała.

Morgan przestał stwarzać pozory, że tańczy. Nie zwracając uwagi na oburzonych gości, którzy zmuszeni byli ich omijać na parkiecie, złapał Enid za ramię i wpatrywał się w jej twarz.

- Nie próbowała chodzić? Ani razu?

W końcu udało mu się wytrącić Enid z równowagi. Zamrugła, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Doktor Montjoy zachęcał ją bardzo na początku, ale za każdym razem, gdy dotknęła stopą podłogi, tak bardzo płakała z bólu, że wujek Dougal nie mógł tego znieść.

Twarcz Morgana przybrała dziwny wygląd, a radosny błysk w jego oku, najwidoczniej oparty na jego przypuszczeniach, sprawił, że Enid cofnęła się nerwowo. Była nawet bardziej zaskoczona, kiedy Morgan chwycił ją i wycisnął na jej ustach dziki pocałunek.

- To moja dziewczyna. Ale wyglądasz nieco blado. Może dobrym pomysłem byłoby przyniesienie sobie trochę ciepłego mleka, zanim zemdlejesz?

Potem oddalił się wielkimi krokami przez tłum, pozostawiając Enid z dłońmi przyciśniętymi do płonących policzków i zastana-

wiającą się, jakież to nowe zło zdołała wyzwolić przeciw swej ukochanej kuzynce.

Sabrina ukryła swe roztrzęsienie pod maską szaleńczej wesołości. Jej ręce fruwały powietrzu, jak delikatne ptaki, szarpiąc rękaw jednego urzeczonego mężczyzny, a wysyłając w tym czasie drugiego po szal, który bardziej pasowałby do jej cery.

Wszystkie wdzięki, których uczyła się latami, wypróbowała na swym ojcu i braciach, teraz zostały uwolnione przeciwko niczego niespodziewającym się gościom jej wuja. Nikt, nie odszedł, by tańczyć. Trzymali się u jej boku, zniewoleni jej czarującym uśmiechem. Nawet kobiety uległy jej urokowi. Szczodrość jej humoru była tak ogromna, że dochodziły one do wniosku między sobą, że pogłoski o jej atakach gniewu musiały być niczym więcej niż zazdrosnymi plotkami.

Ale nawet gdy Sabrina skupiała na sobie całą uwagę publiczności, która z niecierpliwością wyczekiwała kolejnego jej słowa, Morgan zawsze tam był, połączenie jego wytwornej elegancji i surowej męskości groziło eksplozją, gdzieś na skraju jej wzroku. Mężczyźni mierzyli wzrokiem jego strzelistą postać, z drżącymi nozdrzami, jakby dziki ogier ośmielił się wtargnąć na ich wybieg. Kobiety przewracały się jedna przez drugą w tańcu, by tylko ustawić się na jego drodze.

Udała wstydlivy chichot i zanurkowała za swój wachlarz, by ukradkiem zerknąć na niego, czując się jak beznadziejnie zakochana sześciolatka po raz kolejny. Kiedy nie udało się jej go dojrzeć, poczuła się jeszcze gorzej. Czy już wyszedł? Czy opuścił przyjęcie z jedną z owych rzucających mu się pod buty kobiet? Czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy?

- Straszny wypadek... - Jeden z mężczyzn informował nowoprzybyłego do koła jej adoratorów. - Obludzona droga w górach. Powóz się stoczył. Lady MacLeod straciła męża a panna Cameron...

Sabrina, wyglądając pled na kolanach, pomyślała, że panna Cameron straciła wszystko. Fikcyjny wypadek powozu, był zbyt blisko prawdy. Zamknęła oczy, słysząc znów ostry huk pistoletu i rozdzierające rżenie Pookah.

Jej nozdrza drgnęły, gdy nowy zapach przedarł się przez zwietrzałe chmury perfum i ryżowego pudru. Sosnowy, rześki i aromatyczny, zagrał jak świeży wiatr w jej płucach, przynosząc ze sobą obrazy szerokiego błękitnego nieba i pokrytych śniegiem górskich szczytów. Sosna zmieszana z odurzającą męskością mydła do golenia z drzewa sandałowego.

Oczy Sabriny rozwarły się szeroko, gdy zorientowała się, że Morgan leniwie opierał się o oparcie jej sofę, chłonąc każde słowo. Dobry Boże, pomyślała, ileż czasu mógł tam już siedzieć? Przynajmniej inni nie byli świadomi jego obecności. Zbyt byli zajęci gapieniem się na jej nogi. Jego oddech - słodki, gorący, nieskażony zapachem szampana rozwiewał fałdki na jej koronkowym kapelusiku. Rozluźniła szal na swych mrowiących piersiach, zbyt dobrze świadoma widoku, który dostępny mu był z miejsca, w którym stał.

Odpowiadający gentleman pochłonięty był opowiedzeniem smutnej historii do końca.

- Panna Cameron została wyrzucona z powozu. Złamała dwie nogi. Obawiam się jednak, że nieodwracalnie.

Sabrina wzdrygnęła się, zbyt dobrze zdając sobie sprawę z tego, jak bezmyślne słowa tego człowieka musiały dotknąć Morgana. Żartobliwy ton głosu dobiegł ją z tyłu sofę.

- Straciłem kiedyś w ten sposób swoją klacz. Przykra sprawa. Musiałem ją zastrzelić. Nietaktowna uwaga Morgana spowodowała, że wszystkie głowy, włącznie z głową Sabriny obróciły się w jego stronę. W ogóle nie wyglądał na zmartwionego. Jego zielone oczy skrzyły się dobrą wesołością. Adoratorzy Sabriny wpatrywali się w niego.

Dotknęły jej czyjeś nieśmiałe dłonie. Wdzięczna za odwrócenie uwagi, Sabrina spojrzała i zobaczyła młodą dziewczynę, która wpatrywała się w nią z prawdziwym współczuciem, jej twarz okalały mysie kosmyki.

- Pani nogi, panno Cameron, czy bołą?

Sabrina odetchnęła z ulgą. Temat jej zdrowia był zawsze bezpiecznym terenem.

- Czasami. Z reguły na krótko przed deszczem, bołą okropnie. Głos dziewczyny przeszedł w bojaźliwy szept.

- A czy są... zniekształcone?

Sabrina zmarszczyła czoło, bojąc się przyznać, że nie przyglądała się im od miesięcy. Zawsze z wielką ostrożnością odwracała oczy, kiedy służące kapały ją, a kiedy indziej były ukryte pod pledem czy szlafrokiem. Nie trudziła się nawet z zakładaniem pończoch, skoro jej stopy nigdy nie dotknęły ziemi.

Ruszyła ręką w nieokreślonym geście.

- Może troszeczkę.

Bez wahania Morgan okrążył sofę i podniósł jej pled do góry. Szlafrok Sabriny powędrował do wysokości jej ud. Chłodne powietrze owiało jej nagie nogi. Zachłysnęła się gwałtownym oddechem, zażenowana tak nagłym obnażeniem jej. Dziewczyna, która ośmieliła się zadawać pytania, osunęła się we wdzięcznym omdleniu, by zostać pochwyconą przez mężczyznę za nią. Inni cofnąwszy się w przerażeniu, po chwili podchodzili bliżej, by móc lepiej się przyjrzeć. Sabrina zastygła jakby zaklęta w kamieniu przez własne poniżenie.

Morgan badawczym wzrokiem wodził po jej nogach. Jego czujne oczy przesuwają się od ud aż do czubków palców u stóp. Tłum wstrzymał oddech, jak gdyby czekając na werdykt samego królewskiego lekarza.

- Dla mnie nie wyglądają na zniekształcone - oznajmił, opuszczając pled. - Odrobinę blade i być może wychudłe, ale nadające się do użytku.

Chroniony przez tłum pogrążony w niemym szoku, Morgan schylił się, by ująć dłoń Sabriny i przycisnąć do swych ust. W jego oczach widać było błysk rzucający wyzwanie. Jego ciepłe wargi muskały jej palce.

- Do zobaczenia, panno Cameron.

Sabrina poczuła, jak jej klatka piersiowa napina się, a oddech ograniczył się do wściekłego dyszenia.

- Ty... ty nędzny...

Gdy bełkot Sabriny przerodził się już w oburzone wycie, Morgan zdążył już założyć pelerynę podaną mu przez speszzonego lokaja.

Lokaj zamrugał oczami.

- Mam nadzieję, że wkrótce znów nas pan odwiedzi. Przerzucając przez ramie pelerynę, Morgan posłał w kierunku służącego konspiracyjne spojrzenie.

- Możesz na to liczyć jak cholera!

Kiedy Morgan schodził schodami w stronę wyjścia z domu, Ranald z werwą otworzył drzwi czekającego na zewnątrz powozu.

Spojrzał na wzburzoną minę Morgana i potrząsnął głową na znak współczucia.

- Źle poszło, tak? Co znowu zrobili ci dranie? Wyrzucili na zbity pysk?

- Przeciwnie. - Morgan opadł ciężko na skórzane siedzenie i dzikim szarpnięciem poluzował fular. - Powiedziałbym, że poszło dokładnie tak, jak pójść miało.

Zatrzasnąwszy drzwi powozu, Ranald wskoczył na schodki niczym prawdziwy lokaj, lecz po chwili popsuł ten efekt, wsuwając głowę przez okno. W przeciwieństwie do Morgana, Ranaldowi bardzo podobały się ich nowe, odświeżone stroje. Większość czasu spędzał przed lustrem, czyszcząc swoją atlasową liberię i posypując perukę świeżym pudrem.

- To gdzie do cholery jedziemy? - zapytał, po czym uśmiechnął się z zakłopotaniem. - To znaczy, jaki adres mam podać woźnicy, mój panie?

Morgan zacisnął szczęki. Spomiędzy jego spiętych warg wystrzeliło niczym wyzwisko tylko jedno słowo.

- Bloomsbury.

Dotarli do Bloomsbury, zgubiwszy się zaledwie trzy razy. Ranald zdążył zaliczyć też krótką sprzeczkę z jakimś pijanym marynarzem. Nim Morgan zdążył wysiąść z powozu, zaczął padać lekki deszcz, mocząc wybrukowane ulice i malując zwiewne aureole nad ulicznymi latarniami.

Pozostawiając wpatzonego w swoje odbicie w sklepowym oknie Ranalda, Morgan dał nura do okazałego domu, pomaszerował w górę, na pierwsze piętro wąskimi schodami i uniósł rękę, by zapukać do drzwi. Usłyszał brzęknięcie kryształu i szepczące głosy.

Znów dopadła go wściekłość. Uderzył pięścią w drzwi, które otworzyły się z hukiem i odbiły się od ściany.

Cameronowie spojrzeli na niego znad kolacji rozstawionej na stole przy palenisku, a ich wzrok był tak pełen skruchy, jakby Morgan przyłapał Dougala i Elizabeth ze spódnicą na wysokości talii.

Wzdrygnął się na widok tej rodzinnej sielanki. On i Sabrina nigdy nie będą mogli przeżywać radości ani trosk tak jak oni.

Miał ochotę przewrócić stół, zdemolować cały pokój i siedząc na bezcennym obrusie opróżnić butelkę brandy.

Dougal wstał. Był spięty i nieufny.

- Widziałeś ją, tak?

- Okłamałeś mnie.

Wzrok Dougala powędrował na chwilę w stronę jego żony. Morgan miał już dość ich chytrych spojrzeń. Chwycił butelkę brandy, lecz zamiast ją opróżnić, cisnął nią w palenisko. Elizabeth zadrżała, gdy zobaczyła, jak szkło roztrzaskuje się w płomieniach.

Bawiąc się w dłoniach serwetką, układała srebrne platery w doskonałym porządku.

- Nie mieliśmy wyboru. Gdybyśmy powiedzieli ci, że nasza kochana, łagodna córka przerodziła się w jędzowate stworzenie, którego nawet my nie rozpoznaliśmy... - Zamilkła, gdy zabrakło jej sreber.

- Czyli uważasz, że gdybym o tym wiedział, to bym jej nie pomógł? - zapytał Morgan.

Milczenie Elizabeth zdradziło ich wszystkich. Dougal wstał, kładąc rękę na ramieniu żony.

- Jedyne co nas trapi, jest to, czy jej teraz pomożesz? Teraz gdy widziałeś czym się stała?

Morgan wbił w Dougala swój bezwzględny wzrok.

- Nawet gdy cię nienawidziłem, wiedziałem, że jesteś dobrym człowiekiem, Dougalu Cameronie. Jednak teraz widzę, że nie jesteś wcale lepszy od mojego ojca. Pociągając za sznurki i zmuszając nas do tańca jak jakieś cholerne kukielki w rytm twojej melodii.

Jego ręce zacisnęły się na oparciu krzesła, a wzrok napotkał

blagalny wzrok Elizabeth. Była jedyną kobietą, której nie potrafił niczego odmówić.

- Tak, wykonam za ciebie twoja brudna robotę. Będę naciskał na nią, aż do momentu, w którym przypomni sobie jak o sobie walczyć. Ale wszyscy wiemy, jak wysoka będzie tego cena. Kiedy już z nią skończę, będzie nienawidziła mnie, a nie was.

Tymi słowami Morgan pożegnał się z nimi, zostawiając ich przy kameralnej kolacji i uspokajających dźwiękach obijającego się o szyby okien deszczu. Ranald rozsiadł się w powozie. By uchronić się przed chłodem, Morgan narzucił na siebie pelerynę i wszedł. Jedno spojrzenie Ranalda na twarz Morgana wystarczyło, by wiedział, że ma się nie odzywać.

Powóz zatrząsnął się, przejeżdżając przez płytką kałużę. Ani Morgan, ani Ranald nie zauważyli mijającej ich na zakręcie, ociekającej deszczem postaci.

Rozdział 25

- Nie wrócę tam do niej! Niech Wasza Książęca Mość wyrzuci mnie lepiej do rynsztoku. To nie jest tego warte! - pokojówka pocierała zaczerwienione oczy fartuchem.

- Bea, nie mów takich rzeczy. Wiesz, że twoja mama liczy na to, że pomożesz jej nakarmić twoich młodszych braci i siostry.

- Ale ona jest potworem! - zaszlochała służąca, wtulając się w ramiona kucharki.

Kucharka poklepała jej drżące plecy, wymieniając spojrzenia z resztą służby, która szukała schronienia w zadymionych kątach jej kuchni. Cały ranek kłębili się całą zgrają po kątach, kłócąc się i robiąc zakłady czyja następna nieszczęsna dusza zostanie wrzucona na pożarcie do nory młodej lwicy. Nawet hojne premie oferowane przez księcia straciły swój urok.

Kucharka wzdrygnęła się, słysząc brzęk dzwoneczka wzywającego służbę. Wpatrywała się w sufit, modląc się z niepodobną do siebie złośliwością, by złoty sznureczek dzwonka był przewiązany wokół delikatnej szyi niepełnosprawnej córki księcia. Stefan zamontował to nieszczęsne urządzenie, gdy przyjechała Sabrina, nie przypuszczając, że jego brzęcząca melodia będzie prześladować ich wszystkich, nawet gdy uciekną z dala od domu.

Dziewczyna była w słabej formie od czasu balu, który odbył się poprzedniego wieczora. Nie dała zasnąć nikomu aż do świtu, co pięć minut dzwoniąc, by zmieniono jej gorący okład na piersi, zimny okład na skronie i by masowano jej nogi. Ich dobroduszny pracodawca zamknął się w bibliotece, a Enid i Stefan zaszyli się w jakimś zacisznym miejscu w ogrodzie.

Kucharka drżała ze strachu na każdy dźwięk dzwoneczka, a jego niesłabnące brzęczenie ogłuszało ich wszystkich na tyle, że nie słyszeli silnego pukania do frontowych drzwi.

Obiekt niepokoju całej służby leżał samotnie na sofie w salonie i kipiał z wściekłości.

Sabrina ponownie pociągnęła za sznurek dzwonka, tym razem tak mocno, że go zerwała. Patrzyła na niego w osłupieniu. Narastała w niej panika. Nie słyszała żadnych pędzących do jej pokoju kroków ani też szeleszczenia atłasowych liberii służby. Pomyślała, że nikt nie przyjdzie. Pewnie nigdy nikt nie przychodził. Pewnie miała tu siedzieć sama, a za towarzystwo miały jej służyć wątpliwości i strach.

I jej nogi.

Odwróciła wzrok. Złoczone kupidyny stojące na kominku posyłały jej kokieteryjne uśmiešky. Choć w pokoju było aż duszno od wysokiej temperatury, Sabrina kazała służbie rozpaść na marmurowym palenisku. Poranne promienie słońca przebijały się przez skrzydłowe okna niczym pięści. Kropelka potu powoli płynęła przez piersi Sabriny. Niespokojnie szarpnęła za gorset swojej sukni, lecz zmusiła się, by położyć zaciśnięte dłonie na kolanach.

Ten sztywny gest mógłby może zwieść innych, jednak jej nie oszukał. Traciła kontrolę. Od miesięcy manipulowała sobą i innymi, jak gdyby chciała odpokutować ten jeden fatalny moment, gdy straciła kontrolę i spadła z klifu. Bała się, że bez swojej ochronnej zbroi rozpadnie się na tysiące kawałków, które rozwieje ciepły, wiosenny wiatr.

- A niech cię diabli wezmą, Morganie MacDonnellu - wyszeptowała.

To Morgan był tym, który ośmielił się ponownie wkroczyć do jej życia i wytrącić ją z równowagi, tak jak zawsze to robił. Zawsze był gotowy, by ją popchnąć, lecz nigdy, by ją złapać, gdy upadała.

Patrzyła na koc ukrywający jej nogi. Po chwili spojrzała w stronę drzwi. Póki za drzwiami kręciła się służba, która wykonywała jej polecenia była wolna od pokusy, którą Morgan zamachał jej przed oczami. Była chroniona przed drwiącym wyzwaniem w jego błyszczących oczach.

Przytłaczała ją cisza, która narastała wraz z każdym pełnym uderzeniem stojącego na kominku zegara z brązu. Nie mogła już

tego znieść. Wciągnęła powietrze, by dodać sobie odwagi, odłożyła koc na bok i rozchyliła spódnicę swojej sukni.

Obserwowała swoje nagie nogi, jak gdyby należały one do kogoś innego. Odchyliła głowę, raz w jedną, raz w drugą stronę bojąc się przyznać, że Morgan miał rację. Wyglądały na bledsze i cieńsze niż zwykle, ale raczej normalne. Poruszyła palcami u nóg i widząc ich prosty ruch, ucieszyła się jak dziecko.

- Proszę kochanie. Przyniosłam ci gorący okład na twoją biedną klatkę piersiową.

Gdy ciotka Honora bezceremonialnie weszła do jej komnaty, Sabrina pospiesznie zaciągnęła koc na nogi. Kilka kroków za nią podążała ponura służąca.

Sabrina prychnęła, starając się ukryć ulgę, jaką przyniosło jej ich przyjście.

- Mam nadzieję, że to gaulteria. Po mięcie mam pokrzywkę. Ciotka cmoknęła uspokajająco.

- Aptekarzowi dopiero co zabrakło gaulterii. Musimy zadowolić się tym, co mamy.

Mokra od łez pokojówka postawiła parujący ciężar w bezpiecznej odległości od Sabriny.

- Widziałas mój szal? Strasznie tu zimno - warknęła Sabrina. Ciotka Honora zmarszczyła swoje błyszczące czoło.

- Ależ cukiereczku, tu naprawdę jest dość ciepło.

- Nie, jeśli ma się słabe krążenie i leży się całymi dniami w przeciągach.

Pojawienie się Enid i Stefana uratowało ciotkę Honorę przed dalszym doświadczaniem na własnej skórze ciętego języka Sabriny. Enid uśmiechnęła się promiennie, gdy Stefan rzucił bukiet lawendowych kwiatów na kolana Sabriny. - Zobacz, co nazbierała dla ciebie siostrzyczka! Pomyśleliśmy, że może to cię rozweseli.

Pyłek kwiatowy wystrzelił w nos Sabriny. Machając kwiatami z dala od siebie, zaczęła kichać.

- Zabierzcie je! Wiecie przecież, że nie znoszę hiacyntów. Enid i jej matka wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Stefan

mamrotał coś pod nosem i wepchnął kwiaty do wazonu na kom-

inku. Jednakże nawet posepna mina pokojówki nabrała alarmującego wyrazu, gdy kichanie Sabriny zaczęło zmieniać się w gwałtowne wdechy.

- O mój dobry Boże! - krztusiła się. - Moje gardło! Nie czuje go! Pomocy! Proszę, pomóżcie mi!

Przerażone krzyki ciotki Honory sprowadziły służbę. Stefan energicznie klepał Sabrinę po plecach, podczas gdy jego matka posłała lokaja po doktora. Nim służący zdążył przekroczyć próg drzwi, wpadł na swojego pana, przekrzywiając jego książęcą perukę.

- Pal diabli! - zagrzemiał wujek Willie. - Co to znowu za rozgardiasz?

Nikt nie zauważył stojącego w drzwiach po przeciwnej stronie salonu kamerdynera i górującego nad gościem.

- Hrabia Montgarry - wygłosił monotonnym głosem kamerdyner.

Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Książę krzyczał. Enid i księżna łkały, a spanikowana służba chodziła w kółko.

Kamerdyner posłał w kierunku gościa skruszone spojrzenie, odchrząknął i spróbował jeszcze raz.

- Hrabia Montgarry!

Sabrina oddychała, chrapliwie ściskając się za gardło, a jej twarz nabrała purpurowego koloru, idealnie pasującego do hiacyntów. Wszyscy patrzyli na nią z jeszcze większym przerażeniem.

Postukawszy smutnego kamerdynera po ramieniu, hrabia przemaszerał przez pokój, zdjął kwiaty z kominka i wylał wodę z wazonu na twarz Sabriny.

Rozdział 26

W salonie zapadła cisza. Gwałtowne oddechy Sabriny przerodziły się w czkawkę. Na widok jej zdeglustowanej miny, twarze gapiów zaczęły się zmieniać - drganie powiek, szalone mrugnięcia, zagryzane wargi. Stefan zacisnął pięści, włożył je do kieszeni i zgarbiony odwrócił się do okna. Kamerdyner, którego jedynym obowiązkiem w domu Belmontów było zachowanie powagi, zasłonił usta ręką i zaczął kaszleć. Przeprosił pospiesznie, bojąc się, że jeśli zaraz nie zapanuje nad swoim nieobliczalnym oddechem, to ten arystokratyczny wariat rzuci mu w twarz kulistym akwariem.

Sabrina spojrzała na Morgana. Woda kapała z jej ciemnych rzęs, tworząc kałuże na jej kolanach i przyklejając mokry atlas sukni do jej falujących piersi.

Morgan zignorował ją bez skrępułów. Przystawił pulchną dłoń ciotki Honory do swych ust.

- Wasza Książęca Mość, proszę wybaczyć mi moją zuchwałość. Mam starego psa, który miewa takie ataki.

- Ataki? - powtórzyła Sabrina, a jej głos był czysty i dźwięczny niczym dzwon.

Morgan spojrzał na nią, lecz z jego oczu nie można było wyczytać żadnych emocji.

- Chrapliwego oddychania. Ataki chrapliwego oddychania.

- Jestem zdziwiona, że jeszcze go nie zastrzeliłeś. Podenerwowany wzrok ciotki Honory wędrował między nimi.

Morgan wykorzystał jej zmieszanie i przejął kontrolę nad sytuacją.

- Pozwól.

Teatralnym gestem wyciągnął chusteczkę ze swojego surduta, uklęknął przy Sabrinie i zaczął wycierać jej czoło, zmywając przy tym bielidło. Jego palce zaplatały się niezdarnie w jej koku i przypadkowo wyciągnęły z niego luźny kosmyk kręconych włosów.

- Rozepnijmy to trochę, a będzie ci łatwiej oddychać, dobrze? Jego wielkie, zwinne ręce tańczyły wokół schodzących w dół guzików gorsetu, odsłaniając jej piersi.

Wpatrując się w niego, Sabrina odepchnęła jego ręce, chwyciła brzeg gorsetu i zacisnęła go przy samej szyi, nim zdążył rozebrać ją do naga na oczach niczego niespodziewających się wuja i ciotki.

Jego niepohamowany śmiech wcale nie tracił na sile, gdy podszedł do okna, by szeroko je otworzyć.

- Trudno się dziwić, że dziewczyna nie może oddychać. Siedzenie w dusznym starym domu u każdego wywołałoby objawy astmy. Jedynym pokrzepieniem, jakiego potrzebuje, jest świeże powietrze.

- Nienawidzę świeżego powietrza - powiedziała słabym głosem Sabrina, już wyczuwając klęskę. - Niedobrze mi się robi, jak je czuję.

I rzeczywiście poczuła się słabo, gdy Morgan przyniósł jakieś ponuro wyglądające ustrojstwo zrobione z żelaza i drewna.

- Co to właściwie jest? Średniowieczne narzędzi tortur?

- To, moja droga panno Cameron, jest prezent. Najnowszy wynalazek. Nazywa się wózek inwalidzki. Teraz nie będziesz już musiała być przenoszona jak stos drewna na opał.

Gdy wózek przetoczył się po perskim dywanie, Sabrina zobaczyła, że tak naprawdę było to krzesło wyposażone w kółka. Przeraziła się jeszcze bardziej, gdy Morgan zdjął z jej kolan pled i ułożył go na twardym, drewnianym siedzeniu.

- Miła przejażdżka po ogrodzie na pewno dobrze ci zrobi - ogłosił.

Szarpnęła swoją spódnicę i przykryła nią nogi.

- Co ty sobie wyobrażasz? Kim jesteś by...?

Morgan chwycił ją w ramiona. Przyprawiające o zawrót głowy walenie jej serca przypomniało jej, kim był Morgan. Jej mężem. Przynajmniej do końca miesiąca, póki ojciec nie przywiezie jej do podpisania dokumentów unieważniających ich małżeństwo. Opała się pokusie oparcia policzka na jego szerokich piersiach, wtulenia się w jego muskularne ramiona - jedyne miejsce, w którym czuła się naprawdę bezpieczna. Gdy opuszczał ją pomału na sie-

dzenie wózka, była cała sztywna. Wślizgując dłonie pod jej suknię, ułożył jej nogi w znanej jej już, działającej na nerwy pozycji i o dziwo zrobił to z wielką delikatnością. Jej oddech przyspieszył, gdy poczuła jego ręce na swojej nagiej skórze. Odciski na nich zdradziły, że tylko podszywa się pod gentlemana. Sabrina nie spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę uważam, że powinnam ci towarzyszyć. Nie przystoi tak...
- mruknęła pod nosem ciotka Honora, podczas gdy Morgan układał poduszkę pod głową Sabriny.

Morgan nie musiał zrobić nic więcej poza znaczącym spojrzeniem w stronę Enid, by księżę zrozumiał, że Morgan był jedynym słabym punktem jego planu oczyszczenia dobrego imienia jego córki. Nim William zdążyłby zasięgnąć rady Douala Camerona, wszyscy staliby się niczym więcej niż tylko pionkami w enigmatycznej grze hrabiego.

- Bzdury - zapewnił żonę. - Odrobina świeżego powietrza jest tym, czego nasz mały kwiatusek potrzebuje teraz najbardziej.

- Wujku Willie! - krzyknęła ukłuta żądłem zdrady Sabrina. Jej protesty były daremne, gdyż Morgan już pchał jej wózek po woskowanym parkiecie korytarza w kierunku francuskich drzwi prowadzących do ogrodu.

Sabrina wzdrygnęła się, gdy ostre słońce w jednym momencie oświetliło całą jej twarz. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech, czekając tylko na zbliżający się do jej skroni ból.

Jej skórę pieścił łagodny wiatr. Słońce ozłacało ją cała i przyjemnie grzało. Otworzyła powoli oczy i mrugała, by przyzwyczaić je do nagłej jasności. Miętowo-zielona mgiełka otoczyła altanę i taras zmieniając nudnawy dziedziniec w krainę z bajki pełną możliwości. Na cisowym żywopłocie pojawiły się nowe, delikatne listki. Po żelaznej kracie pięła się w górę łądyżka z różowymi kwiatkami. Ptaki podskakiwały i ćwierkały, szarpiąc leżącą odłogiem ziemię, podczas gdy białe motyle przemykały leniwie z kwiatka na kwiatek, a ich skrzydełka trzepotały w pachnącym jaśminem powietrzu.

Sabrina niepewnie wciągnęła powietrze zaskoczona, że nie przyprawiło jej to o kichanie, świszczący oddech czy nawet lekki

katar. Pragnęła czuć nienawiść do wszystkich pierwszych, świeżych oznak wiosny, jednakże nie mogła powstrzymać się, by nie wodzić wzrokiem za pszczołą. Leniwe piękno jej lotu wytrawione w czystości i jasności, o której zdążyła zapomnieć podczas bezsennych, zimowych nocy.

Morgan poprowadził wózek do wydającej rechoczące dźwięki fontanny. Jego milczenie wyraźniejsze niż zgrzyty kół wózka na kamiennej ścieżce. Sabrina poczuła zdenerwowanie. Pomyślała, że nie ma sensu nawiązywać z nim żadnej rozsądnej rozmowy. Przecież to szalenie. Był na tyle silny, by móc ją uprowadzić, ale nie, by skłonić ją do rozmowy.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że jesteś hrabią - burknęła.

- Nigdy nie pytałaś.

- Aha, rozumiem. Otwarty jak zwykle. Nigdy nie mogłam znieść twojego bezustannego trajkotania.

- I wielu innych rzeczy - odpowiedział.

Sabrina pamiętała, jak krzyczała, że nie zniesie jego dotyku i ponownie przeżyła każde jego westchnienie pełne poniżenia, którego doświadczył z jej rąk. Czy przyjechał tu, by odpłacić się za te okrucieństwa? By zemścić się i upokorzyć ją na oczach całego Londynu? Poczula na plecach dreszcz. Wiedziała z własnego doświadczenia, że Morgan MacDonnell był wrogiem, którego nie można było lekceważyć.

Jakaż bardziej rygorystyczna kara mogłaby ją spotkać, niż bycie zmuszoną patrzeć, jak on wybiera sobie nową żonę spośród mizdrzących się do niego piękności, z których każda wyjście za mąż za tajemniczego górala uzna za coś niesamowicie romantycznego?

- Więc co zrobiłeś? Zamordowałeś prawdziwego hrabiego Montgarry? Ukradłeś jego ubrania? Zgwałciłeś jego żonę? - Jej nonszalancki ton brzmiał sztucznie nawet w jego uszach.

Sabrina zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, że od żwirowego tarasu dzielą ich już tylko dwa wąskie stopnie a jej wózek chwieje się na jednym z nich. Jednakże Morgan nie puścił jej w dół, tak jak na to zasługiwała, lecz odchylił siedzenie wózka i oparł je na swoich biodrach. Uwięziły ją naprężone mięśnie jego przedramion. Jej serce pulsowało nieprzytomnie. Spojrzała na niego,

trzymana w niewoli przez bezczelną groźbę połyskującą w jego oczach.

- Nikogo nie zgwałciłem - powiedział łagodnie. - Ostatnio. Sabrina czuła bijący od Morgana mocny zapach piżma i drzewa

sandałowego, który był dla jej wygłodniałych zmysłów jak narkotyk. Nigdy jeszcze od czasu wypadku nie czuła się tak bezbronna i zdana tylko na łaskę mężczyzny. Jego gładko ogolona szczeka była oddalona od jej ust tylko o kilka cali, a jego gorący oddech mieszał się z jej westchnieniami.

Zamknęła oczy, zbyt tchórzliwa, by przyjąć kolejny upadek, po którym mogła już nigdy nie dojść do siebie.

Wózek podskoczył na dwóch schodkach, co bardzo zirytowało Sabrinę. Otworzyła oczy i zobaczyła, że sielski krajobraz przesuwa się w niepokojącym tempie.

- Nie wiedziałam, że lubisz wyścigi - wrzasnęła, starając się przekrzyczeć hałas dudniących kół. - To nawet dość cywilizowany sport, nie uważasz? Blednie jednak w porównaniu z grabieżą i burdą.

Morgan nie zwolnił ani trochę. Wjechał w wybrukowany zakręt z taką prędkością, że Sabrina wbiła paznokcie w podłokietniki wózka, by utrzymać się w miejscu i nie spaść.

- Jeżeli nie zwolnisz, to zwymiotuję na te twoje wypolerowane buty. - Jej płaczliwy głos zionął goryczą, która narastała w niej od miesięcy.

Wyjęła poduszkę spod głowy i zaczęła machać nią przed jego oczami.

- Jeśli przyjechałeś tu skończyć to, co zacząłeś, czemu po prostu nie przyłożysz mi tego do twarzy. Tak będzie dużo lepiej!

To wystarczyło Morganowi. Zatrzymał nagle wózek i przechylił go do przodu, wyrzucając Sabrinę na miękki puch mchu i brudu.

Sabrina wylądował na rękach i kolanach. Kok rozplatał się, a włosy zakryły jej twarz. Westchnęła ciężko oburzona do granic możliwości.

Morgan okrążył wózek i stanął przed nią.

- Przepraszam - powiedział oschle. - Musiałem wjechać w kamień.

Sabrina wolno podniosła głowę, na nowo doprowadzona do wściekłości jego rozstawionymi nogami, doskonale skrojonymi bryczesami i polerowaną skórą jego butów. Czuła się, jakby była uwięziona w niekończącej się chwili, jak wtedy, gdy zaczynała go poznawać, a wszystkie te minione lata wydały jej się skurczyć do kilku zaledwie minut. Jak idealnie wpasowali się znowu w swoje dziecięce role!

Rzuciła mu gniewne spojrzenie spomiędzy rozwianych kosmyków swoich włosów.

- Zawsze lubiłeś patrzeć, jak klęczę, czyż nie Morganie Mac-Donnellu? - powiedziała spokojnie.

W jego oczach zapłonął szyderczy ogień wywołujący u niego erotyczne wizje, których z całych sił próbował się pozbyć.

- O ile sobie przypominam, właśnie ta pozycja ujawniła twoje największe talenty.

- Nienawidzę cię!

Machnęła na oślep ręką, chcąc uderzyć go w piszczele, lecz tylko stłukła sobie palce.

- Bardzo dobrze! - odpowiedział spokojnie, gdy znów oparła się na kolanach i zaczęła ssać pulsujące kłykcie. - To wszystko ułatwi!

Morgan złożył ramiona na piersi i stał nad swoją żoną, a jego obojętny wyraz twarzy skrywał kotłujące się w nim emocje. Tez pragnął jej nienawidzić. Naprawdę. Podczas tych ponurych, suto zakrapianych brandy wieczorów w swym zamku, gdy jej ostre słowa oskarżenia wciąż rozrywały jego serce, już prawie zdołał przekonać samego siebie, że tak jest. Nawet teraz, gdyby tylko mógł spojrzeć na nią jak na pożałowania godną istotę - przykucniętą w mchu, z potarganymi włosami na twarzy, z plamą brudu na policzku - może potrafiłby po prostu się odwrócić i odejść.

Jednakże hipnotyzował go zdziaczały blask jej oczu. W każdy krąg jego kręgosłupa wpisany był teraz sprzeciw, który powodował, że Morgan stał tak prosto, że bał się nawet najdelikatniejszego dotyku, który z pewnością by go złamał. Sabrina, choć zrzuciona ze swojego tronu, wciąż z całych sił walczyła, by być księżniczką.

W sercu Morgana zagościło intensywne i niebezpieczne jak dwusieczny miecz uczucie, jednakże nie była to litość.

Choć niezwykle go to irytowało, musiał jednak przyznać Dougalowi rację. Sabrina potrzebowała go o wiele bardziej, niż zdawał sobie sprawę.

Uklęknął obok niej w brudzie.

- Nie przyjechałem patrzeć, jak się czołgasz. Przyjechałem, by patrzeć, jak chodzisz.

Sabrina odsunęła się od niego, odgarniając włosy z twarzy.

- Nie bądź śmieszny. Słyszałeś doktora Montjoya. Ze wszystkich ludzi, to ty właśnie powinieneś najlepiej wiedzieć, że ja nie będę już nigdy chodzić.

Morgan nie tracił czasu na kłótnie z nią. Chwycił ją za ramiona i postawił na nogach. Gdy ześlizgiwała się w dół po jego ciele jak zwiotczały dywan, objął ją ramieniem, zaparł się biodrami o ścianę i rozstawił nogi, by móc udźwignąć oba ich ciała.

Po miesiącach trzymania ludzi na dystans poprzez swoje dziecinne napady i sarkastyczne przytyki, Sabrina poczuła się bardzo nieswojo, będąc tak blisko Morgana. Bała się, że ciepło jego silnego, męskiego ciała stopi lodowy mur, który wokół siebie zbudowała. Wbiła palce w jego ramiona, a przejmująca mieszanka siły i czułości sprawiła, że jej ręce drżały bardziej niż jej nogi. Byli przyciśnięci do siebie tak zmysłowo, jak gdyby ich odpowiedzi na pytanie, którego żadne z nich nie śmiało zadać ząbowały się. Jego oddech muskał jej skroń i łaskotał jej loki.

Zatopila policzek w jego fularze.

- Niech cię diabli - wyszeptała. - Jakie masz do mnie prawo?

- Mam każde prawo - powiedział głosem tak nieprzejednanym, jak jego uścisk. - Jestem twoim mężem.

- Już niedługo - powiedziała śmiało.

- To zależy od ciebie.

Wstrzymała oddech, gdyż w jednej chwili zalała ją fala strachu i nadziei.

- Co masz na myśli?

Ujął jej podbródek między kciuk i palec wskazujący i przysunął jej twarz do swojej.

- Jeśli nie pozwolisz mi się odwiedzać w ciągu tych najbliższych czterech tygodni, nie zgodzę się na żadne unieważnienie. Zapukam do drzwi każdego sędziego od Londynu aż po góry i opowiem wszystkim, z jaką chęcią rozstawiałaś nogi przed takim draniem jak ja. Wtedy będziesz zmuszona do rozwodu, a dobre imię twojego ojca będzie zrujnowane.

Sabrina była sparaliżowana zimnym i bezwzględnyim pięknem jego twarzy.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego mi to robisz? Czy tak właśnie się mścisz?

Przez jeden krótki moment w oczach Morgana zapłonęła wewnętrzna walka. Spuścił powieki, zakrywając je tak skutecznie, że Sabrina uznała, że mogło jej się tylko wydawać. Obrócił się, oparł ją o ścianę i otrzepał ręce, jak gdyby były nią skalane. Jego usta wykrzywiły się w wątlým uśmiechu.

- Myśl, co chcesz. Może chcę zemsty. Może chcę po prostu pozbyć się ciebie z mojego sumienia?

- Nie bądź śmieszny - powiedziała, opierając palce na gładkim granicie. - Wszyscy wiedzą, że MacDonnellowie nie mają sumień.

Poprawił fular i udał się ścieżką w stronę bramy ogrodu.

- Przyjdę jutro o drugiej. Jeśli nie chcesz, bym przedstawiał się jako twój zaginiony mąż, lepiej ułatw mi sprawę z twoim wujem i ciotką. Miłego dnia, panno Cameron.

- A jeśli pomogę złagodzić twoje wyrzuty sumienia, co na tym zyskam? - zawołała za nim.

- Wolność - rzucił przez ramię. - Dzień, w którym zaczniesz chodzić, będzie dniem, w którym na zawsze będziesz mogła opuścić moje życie.

Brama ogrodu zamknęła się z trzaskiem. Sabrina zdecydowanie i ostro wypuściła powietrze. Zdała sobie sprawę, że zostawił ją tu opartą o kamienną ścianę, bezradną jak ogrodowy robak. Taras schowany był za wąskim rzędem drzew laurowych. Jedyne odgłosy, jakie dochodziły jej uszu, było wesołe pluskanie fontanny i brzęczenie najedzonego bąka wędrującego z kwiatka na kwiatek. Wózek inwalidzki stał kilka kroków dalej; lśniące drewno, wypolerowana stal, kpiące i nieosiągalne.

Nie traciła czasu na wpatrywanie się w swoje nieudolne nogi. Używając rąk do utrzymania równowagi, ugięła nogi, rozciągając się, póki jej palce u nóg nie dotknęły chłodnej ziemi. Czuła tylko tępy ból, a nie męczarnie, jakich się spodziewała. Klnąc pod nosem, zdołała przesunąć się kawałek.

Nogi ugięły się pod nią. Zsunęła się po ścianie, lądując z hukiem na zadku. Zacisnęła pięści. Płonęła w niej wściekłość, cudowna i oczyszczająca, budząca ją do życia po długim okresie stagnacji. Złe humory już nie wystarczały. Dużo więcej satysfakcji i radości czerpała z pomstowania na swój los. Teraz jej wściekłość miała cel. Jej obiektem był złotowłosy, zielonooki, uśmiechający się z wyższością gigant.

Odrzucając głowę ku lazurowemu niebu, zaczęła wyć o pomoc głosem tak donośnym, że, jak będzie potem wspominać cała służba Belmontów, słyhać ją było aż w Edynburgu.

Rozdział 27

Zegar na kominku wybił drugą. Sabrina zachowywała się nerwowo, sprowadzając na siebie zakłopotane spojrzenia Enid i jej ciotki. Żadna z nich nie mogła zrozumieć, dlaczego uparła się, by siedzieć na swoim nowym wózku inwalidzkim, a nie na jednym z dużo wygodniejszych, obitych tapicerką krzeseł w salonie.

Nieświadoma ich obaw Sabrina, przewróciła stronę. Czytała jedną z drastycznych broszurek Enid i ani trochę nie pociągała jej historia o tym, jak płodna produkcja królików pani Mary Toft została zatrzymana, gdy ta postraszona została makabryczną operacją przez cieszącego się złą sławą akuszerza. Panią Mary Toft czekało więzienie.

Zegar pokazywał, że minęło dwadzieścia minut. Sabrina spojrzała na swoje odbicie w polerowanej podstawie kandelabra stojącego na weneckim stole tuż przy jej łokciu. Pod pretekstem drapania się w ucho, wyciągnęła kosmyk włosów z ciasnego koka i przestała zaciskać szczękę próbując w ten sposób złagodzić swój wyraz twarzy.

Patrzyła na nią obca osoba. Kobieta, nieśmiała, niepewna, rozchylone, drżące usta, w pełni świadoma swojej bezbronności. W niczym nie przypominała tej kruchej istotki, która Sabrina spodziewała się zobaczyć.

Skonsternowana tym widokiem, Sabrina, poprawiła spódnicę swojej jasnej, zielonkawej sukni. Była to jedna z jej najładniejszych sukienek, ale nie założyła jej dla Morgana. Pewnie i tak nie miał zamiaru przyjść. Pewnie jak zawsze tylko sobie z niej żartował. Tak samo nieznośny był jako mały chłopiec.

Enid przerwała radosne szycie i odłożyła swoją robótkę.

- Mam ci poczytać kuzynko?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała w zamyśleniu Sabrina. - Dlaczego masz mi czytać, skoro mam dwoje sprawnych oczu.

Enid i księżna spojrzały na siebie ze zdziwieniem. Do salonu weszła na palcach pokojówka. Zaproponowała Sabrinie filiżankę popołudniowej czekolady na srebrnej tacy. Jej ręce trzęsły się, jak gdyby spodziewała się, że za chwilę parujący napój znajdzie się na jej twarzy. Gdy tylko Sabrina uniosła porcelanową filiżankę, służąca pospiesznie oddaliła się w kierunku drzwi.

- Beatrice.

Pokojówka zadrżała, zatrzymując się. Na jej policzkach pojawiły się jasne rumieńce.

- Tak panienko?

- Całkiem dobra. Dziękuję.

Sabrina uśmiechnęła się. Bea wpatrywała się w młodą panią oszołomiona jej nagłą przemianą. Zawsze jakoś uważała panią za pospolitą. Jednakże, gdy nie krzywiła ust, jakby jadła cytrynę była faktycznie ładna. Dygnawszy, Bea opuściła pospiesznie pokój, nie mogąc się doczekać, aż opowie całej służbie o swoim odkryciu.

Odłożywszy filiżankę na bok, Sabrina oblizała czekoladowe wąsy nad górną wargą niczym zdenerwowany kot. Wskazówki zegara porywały cenne minuty, a serce Sabriny zaczęło bić w rytm ich kroków. Bała się, że zatrzyma je głuchy kurant sygnalizujący minięcie pół godziny.

W korytarzu rozległ się męski głos, który znów przyspieszył lempo bicia serca Sabriny. Upuściła broszurkę, po czym znów ją podniosła, przeglądając jej strony, nie zauważyła nawet, że trzyma ją do góry nogami. Wyjrzała znad broszury i zobaczyła, jak wujek Willie wprowadza do salonu Morgana, klepiąc go po jego szerokich plecach, jak gdyby od lat byli przyjaciółmi.

Sabrina powstrzymała dreszcz, bojąc się, że ich dobre stosunki wcale dobrze jej nie wróżą. Morgan po raz kolejny grał z klasą rolę zatroskanego gentlemana. Przymiłał się do ciotki Honory, aż jej pukle tańczyły z zachwytu, prawil Enid komplementy na temat jej zdolności do robótek ręcznych. Gdy zadowolony z siły swojego uroku odwrócił się do Sabriny, ta ukryła się za kartkami broszurki, pragnąc stać się niewidzialną.

Schylił się, by ucałować jej dłoń. Broszurka pofrunęła na dywan.

Musnął ustami jej palce, doprowadzając ją do szaleństwa ruchem języka, którego nikt inny nie był w stanie zobaczyć. Rozczarowanie, które pojawiło się jego oczach, nawet skałę wzruszyłyby do łez.

- Panno Cameron. Co za niedbalstwo z mojej strony. Powinienem był panience powiedzieć, by się panienka przebrała. Wychodzimy dziś.

Sabrina zeszywniała. Nękała ją perspektywa nowej katastrofy. Wskazując na nią palce. Szydercze uśmiechy. Dlaczego taki wspaniały mężczyzna jak Montgarry miałby pragnąć towarzystwa kaleki?

- Wychodzimy - powtórzyła w osłupieniu, jak gdyby zasugerował, żeby wynajęli powóz i pofrunęli naksieżyc. - Ja nie wychodzę.

- Teraz wychodzisz.

Jego uśmiech był tak uprzejmy, a jego oczy tak zupełnie pozbawione cierpliwości, że Sabrina w wyobraźni widziała już swoje pogruchotane ciało porzucone gdzieś w londyńskim rowie.

- Poczekam, aż się ubierzesz - oparł ręce na oparciu jej wózka i pochylił się do jej ucha. - Jeśli oczywiście nie chcesz, bym ci pomógł.

Jego słowa wywołały oślepiające wizje: opalone dłonie rozwiązujące jej gorset i odsłaniające bladą, delikatną skórę pleców; zwiewnie opadające halki; rozpalone usta muskające jej uda; zwinne palce zdejmujące jej koronkowa podwiązkę. Sabrina z trudem złapała oddech, bojąc się zastanawiać, dlaczego właściwie wszystkie te wizje dotyczyły rozbierania, a nie ubierania. Ciotka Honora przerwała jego zły urok.

- Raczej niestosowne bez przyzwoitki.

- Morgan wyprostował się, a jego uśmiech był tak gładki, jak łyk dobrego koniaku.

- Bzdury! Jestem pewien, że pani MacLeod z przyjemnością nam potowarzyszy. Jej reputacja jest nieskazitelna. Jest szanowaną damą i wdową.

Policzek wujka Williego zadrżał w nerwowym tiku, tak jak zawsze, gdy miał do czynienia z wypaczoną, lecz niemożliwą do obalenia logiką Morgana.

- Tak, no cóż, skoro tak mówisz...

Enid przejęła nagle kontrolę nad sytuacją, wykazując się nietypowym dla siebie napływem instynktu samozachowawczego. Odłożywszy na bok robotkę, przebiegła przez salon i zaczęła pchać wózek Sabriny w kierunku drzwi.

- Jeśli hrabia będzie tak uprzejmy i zaczeka, ja pomogę ubrać się mojej kuzynce.

Nikt nie zwrócił uwagi na żalosne jęki Sabriny.

- Aleja nie chcę z nim iść. To wariat!

Sabrina zniosła zamieszanie, jakie wywołała Enid w posępnej ciszy. Wykorzystując każdą znaną jej matczyną umiejętność, Enid ubrała i ufryzowała Sabrinę. Pozwoliła sobie nawet na ucałowanie jej policzka przed dostarczeniem jej do rąk wroga.

- Judasz - syknęła Sabrina, gdy Morgan przywiózł wózek do bocznych drzwi, które natychmiast jednym pchnięciem szeroko otworzył lokaj.

Sabrina doczekała się swojej zemsty, gdy pojawili się w świetle słońca: Enid stanęła twarzą w twarz z Ranaldem, w liberii i bez peruki. Nigdy by nie przypuszczała, że Morgan wybaczy Ranaldowi jego ohydny zbrodnię i pozwoli na to, by drań towarzyszył mu teraz.

W pierwszej chwili zbladła, lecz jej twarz szybko odzyskała blade rumieńce. Ranald ze zdumieniem wpatrywał się w jej okrągły brzuch.

Słowa rozbawionego Morgana jeszcze bardziej pogłębiły szok.

- Nie mówiłem mu, że zostanie tatusiem. Pomyślałem, że lepiej wolałby usłyszeć to od ciebie.

Sabrina pozwoliła sobie na uszczypliwy uśmiech, jednakże jej podłe poczucie satysfakcji nie trwało długo. Morgan podniósł ją z wózka, przycisnął ją do siebie tak mocno, jakby miała za chwilę wysunąć mu się z rąk, choć dobrze wiedział, że tak się nie stanie. Ich nosy otarły się o siebie, gdy sadzał ją na skórzanym siedzeniu.

- Tyran - mruknęła pod nosem.

- Smarkula - odpowiedział.

Enid zadarła nos ku niebu, podczas gdy Morgan układał nieporę-

czny wózek na tyle powozu. Wszedł do środka i usadowił się na przeciwległym siedzeniu z leniwą gracją.

- Czemu po prostu nie powiesz na drzwiach transparentu? - zasugerowała Sabrina, gdy powóz ruszył. - ZOBACZ DZIWOŁĄGA ZA PÓŁ PENSA. Może nawet wydaliby na ten temat jakąś broszurkę.

- Nie bądź śmieszna.

Jego bezczelny wzrok mierzył ją, począwszy od koronek jej czapeczki aż do zadartych czubków jej pantofli wystających spod jej halki.

- Ależ jesteś warta co najmniej dwóch pensów.

Sabrina położyła na kolanach swoje ubrane w rękawiczki dłonie. Była uwięziona w niespokojnej ciszy, a wyzwanie rzucały jej jego skrzące się oczy.

Gdy wchodzili w zakręt, w oknie powozu pojawiła się twarz Ranalda. Enid natychmiast spuściła haftowana roletę.

Oczy wszystkich zwróciły się do góry, kiedy usłyszeli dobiegające stamtąd dziwne dźwięki, jak gdyby na dach wdrapywał się gigantyczny pajak. Twarz Ranalda pojawiła się w oknie po drugiej stronie, a jego nos wciśnięty był w szybę. Enid ukryła twarz za wachlarzem.

Powóz zatrzymał się. Nawet w zamkniętym pojeździe, powietrze było wypełnione cierpkim zapachem rzeki. Otaczał ich gwar głównej ulicy. Sabrina wyciągnęła szyję i przyglądała się posepnemu gmachowi Londyńskiej Tower.

- Ale wielka - powiedziała oschle. - Przypomina zamek Mac-Donnellów, ale powiedziałabym, że jest nieco bardziej przytulna.

- Wolałabyś szpital dla obłąkanych Bedlam?

- Wolałabym moje własne łóżko. Moje własne łóżko w domu wuja.

Wykrzywił usta w podłym uśmiechu.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej. Mógłbym to załatwić.

Sabrina zacisnęła pięści. Drań był jeszcze bardziej irytujący, niż pamiętała. Siedziała sztywno, gdy Morgan wyszedł z powozu, przyniósł jej wózek i postawił go na kamiennym moście zbudowa-

nym nad starożytną fosą. Lekceważąc rękę Ranalda, Enid wyszła tuż za nim, jednakże pozory jej obojętności słabły pod wpływem jego błagalnego wzroku. Złożyła swoje pulchne ręce na brzuchu. Wyglądała na bardzo zasmuconą.

Morgan nie pozostawił Sabine wiele czasu na rozmyślanie nad smutkiem kuzynki. Gdy sadzał ją delikatnie w wózku, chwycił jego silne ramiona, a jej nerwy brzdąkały jakąś fałszywie brzmiącą melodię. Ludzie przechodzili obok nich. Śmiali się. Gapili się. Szeptali. Właśnie tak, jak się tego obawiała.

Rudowłosy chłopiec szarpnął za spódnicę swojej wynędzniałej matki i wskazał na Sabrinę placem.

- Patrz mamó! Coś jest z tą ładną panią nie tak.

Sabrina pochyliła głowę. Przynajmniej dzieci miały na tyle przyzwoitości, by nie szeptać.

Morgan widział, jak policzki Sabriny czerwienieją pod wpływem bezmyślnych spojrzeń tłumu, które niszczyły powoli jej ochronną zbroję.

Owinął jej nogi pledem.

- Czy to odpowiada waszej wysokości? - Jego głos był na tyle donośny, by przebić się przez ciekawskie szepty.

Sabrina uniosła głowę. W jej sercu zakiełkowała prawdziwa nienawiść. Jak śmie z niej teraz drwić? Jednakże patrząc w jego oczy i szukając w nich zdrady, zobaczyła tylko palący się w nich jasny płomień. To był widok, o którym dawno już zdążyła zapomnieć. Uprzejmość bez pogardy, współczucie bez przesłodzonej litości. Po raz pierwszy poczuła, że dowcip nie był skierowany przeciwko niej, lecz miał na celu rozbawić ich oboje.

Tłum patrzył na nią teraz z nieskrywanym podziwem i szacunkiem, spekulując głośno czy jest ona członkiem jakiejś zagranicznej rodziny królewskiej przybyłym, by zobaczyć ich ukochaną Tower. Jakiś starszy pan zatrzymał się nawet, by wyjaśnić, że ten dziwny pojazd kołowy był wersją krzesła noszonego zazwyczaj przez dwóch lokajów.

Sabrina chciała wyrazić swoje uznanie, lecz słowa utknęły jej w gardle. Zdołała tylko obdarzyć Morgana królewskim uśmiechem i pomachać w stronę bramy.

Ranaldowi zrzęda mina, gdy Morgan okrążył arsenał, gdzie pewnie badano dokładnie miecz, który pozbawił Annę Boleyn głowy. Enid wyglądała na zawiedzioną, gdy wzgardził królewskim skarbem, gdzie mogli podziwiać królewską koronę. Jednakże, gdy wyprowadził ją na opuszczony dziedziniec przy zachodniej bramie, gdzie w każdym sklepionym przejściu umieszczona była stalowa krata, Sabrina wiedziała, że to właśnie do tego miejsca zmierzał od samego początku.

Morgan nie przywiózł jej tu, by zobaczyła broń czy skarby. Przywiózł ją, by pokazać jej tamtejszą menażerię, białego niedźwiedzia przechadzającego się wokół swego legowiska, skaczące po drzewach małpy, cudownego lwa, którego wyniosły wzrok rujnowało niesamowitej długości ziewanie. Zachwyty, z jakim Morgan patrzył na te wszystkie zwierzęta, był istic zarazliwy. Sabrina złapała się na tym, że dużo więcej uwagi poświęca mu, niż samym zwierzętom, że patrzy na niego wypatrując choćby cienia szczerego uśmiechu.

Gdy Morgan karmił orzechami szopa pracza, Sabrina poczuła dziwny niepokój. Odziany w szkarłatne szaty dozorca drzemał przy bramie. Ranald i Enid stali kilka kroków dalej raz po raz rzucając sobie nieśmiałe spojrzenia. Nie zobaczyła niczego w zacienionych sklepionych przejściach. Wstrząsnął nią dreszcz. Tak dawno nie była już pośród ludzi, że miała urojenia. Pewnie byli to jacyś gapie starający się dosięgnąć wzrokiem tej tajemniczej „członkini rodziny królewskiej”.

Poczuła na spódnicy lekkie szarpnięcie. Spojrzała w dół i zobaczyła maleńką małpkę przyczajoną u jej stóp. Była tak zauroczona tym maleństwem, że nie zauważyła, jak Morgan daje Ranaldowi znak za jej plecami.

Ignorując wszelkie protesty, Ranald chwycił jednym ramieniem Enid, drugim zaś znużonego strażnika i zaciągnął ich na sam koniec dziedzińca. Przerażenie Enid przerodziło się w ogromne zafascynowanie, gdy dozorca zaczął opowiadać historie nieszczęsnego hrabiego, który podszedł zbyt blisko klatki lwa.

- Dwa palce? - powtórzyła oszołomiona Enid. - A lew je pożarł czy wypluł?

Morgan odczekał, aż znikną z horyzontu i uklęknął na kolanie u stóp Sabriny. Wzdrygnęła się, gdy zaczął gwałtownie wsuwać swoje ciepłe, męskie ręce pod jej spódnicę.

- Co ty sobie wyobrażasz?

- Twoje nogi nie ruszają się od miesięcy. Musimy sprawić, by znów zawrzała w nich krew.

Sabrina patrzyła na jego pochyloną głowę, podczas gdy jego ręce masowały jej łydki. Jego mocne palce wiły się masując jej jedwabne pończochy. Kosmyk włosów opadł mu na czoło. Sabrina z trudem powstrzymała się przed odgarnięciem go na jego właściwe miejsce. Jego wprawne starania przynosiły pożądane efekty. Sabrina czuła jak jej krew przepływa przez serce, jak szumi w jej uszach, jak rozplywa się po wszystkich pragnących jej częściach ciała.

Wszędzie, lecz nie w nogach.

- Tracisz czas - warknęła. - Nie mogę chodzić. Morgan odchylił głowę, by na nią spojrzeć.

- Boisz się chodzić? Czy boisz się upaść?

Gdy wpatrywała się w srebrną głębię jego oczu, miała wrażenie, że już upada. Wciąż nie było w nim ani cienia litości, niczego, by nakarmić miauczącego potwora, który zagnieździł się w jej sercu.

Opuшки jego palców cudownie głaskały tyły jej łydek, wzbijały się ponad kolana, w których coraz to szybciej pulsowała krew, wędrowały coraz wyżej, póki nie zetknęły się z brzegiem podwiązki i muskały jej nagą skórę tuż nad nią. Oddech Morgana stracił swój miarowy rytm. Trajkoczące małpy popadły w zadumę.

Opuścił ręce i począł znów masować jej łydki, tak przyjemnie pocierając jej skórę, że wymuszyło jej się ciche „Och!”.

- Zrobiłem coś nie tak? - Posłał jej pełne poczucia winy spojrzenie.

Nie, ale zaraz zrobisz. Potrząsnęła głową, zagryzając dolną wargę.

Nie kłopotując się przedstawianiem jej swoich planów, okrążył wózek, włożył ręce pod jej pachami i uniósł ją. Zwisiała w powietrzu niczym droga lalka. Odepchnął wózek nogą i opuszczał ją, póki jej pantofle nie zetknęły się z kamieniami.

Następnie ją puścił. Sabrina zacisnęła pięści. Stała, nie chcąc spróbować zrobić choć jednego kroku.

- Nie będę grała w twoją grę.

Morgan pchnął ją delikatnie. Przechyliła się do przodu niczym kręgiel. Chwycił ją za wykrochmaloną kokardę jej sukni i ustawił prosto.

- No! Grzeczna dziewczynka. Wszystko, o co dziś proszę, to jeden, jedyny krok. Spróbujmy jeszcze raz, dobrze?

Zacisnęła wargi i zablokowała kolana. Morgan znów delikatnie ją pchnął. Tym razem nie był jednak na tyle szybki, by ją złapać. Padła do przodu, zmuszona złagodzić swój upadek podpierając się na odzianych w rękawiczki rękach.

Pełne zadowolenia milczenie Morgana odbiło się większym echem niż radosne okrzyki małp. Sabrina leżała tak, wpatrując się w kamienie pod jej rękoma.

- Powinni częściej tu zamiatać. Potwornie tu brudno - powiedziała cichym głosem.

W nadchodzącym tygodniu Sabrina miała dokładnie poznać każdy cal londyńskich podłóg. Gładki, chłodny marmur Opactwa Westminster, luksusowe dywany perskie sklepów na Ludgate Hill, mozaikowe płytki Akademii Muzycznej, których wzór miała okazję szczegółowo prześledzić na papeterii swojej ciotki. Jedynie gęsta trwa ogrodów w Vauxhall, przyniosła ukojenie jej obolałemu zadkowi.

A nad nią, za nią, wokół niej zawsze Morgan, pachnący sosną i drzewem sandałowym, wytrwały, lecz stojący daleko. Jego maniakalne okrzyki radości z powodu jej nieudanych prób sprawiały, że miała ochotę wyć.

Pierwszy hrabia Montgarry nie był nawet w połowie takim potworem jak Morgan MacDonnell. Halbert zabierał tylko skórę swej ofiary, Morgan natomiast wił się pod nią z niespotykaną, diaboliczną wprawą. Stał jej własnym zielonookim Szatanem, ubranym w dobrze skrojone bryczesy i wykończone koronka fulary. Prześladował ją, szturchał, pchał przez wytworne piekło swoich wymysłów.

To był właśnie Morgan, jakiego pamiętała z dzieciństwa. Uparty, przebiegły, złośliwy, z oczami nietracącymi swego blasku jej kosztem. Jego humor był ostry, jego sarkastyczne riposty zostawiały rany tak niewidoczne, że Sabrina nigdy nie mogła ulżyć swojemu bólowi, liżąc je.

Gardziła nim.

Nienawidziła go.

Nie mogła doczekać się chwili, gdy on wejdzie do domu jej wuja i znów sprawi, że serce zacznie walić w jej piersi.

Nie mogła już dłużej wylegiwać się tylko na sofie w swojej sypialni. Teraz miała siedzieć sztywno, cała ubrana na twardym, drewnianym siedzeniu swojego wózka. Nawet ktoś tak potworny jak Halbert, nie byłby w stanie wymyśle takiej tortury dla swoich nieszczęsnych wrogów.

Morgan przychodził każdego popołudnia dokładnie o drugiej. Zabiegał o życzliwość jej wuja i ciotki. Oczarowywał Enid swoim uśmiechem, doprowadzając tym samym do szału Philipa Mark-hama, którego wizyty zostały udaremnione po tym, jak przyłapał panią MacLeod służącą swojej kuzynce za przyzwoitkę w nowej przygodzie z tajemniczym hrabią.

Wśród śmietanki towarzyskiej Londynu chodziły słuchy na temat jego wiernego zainteresowania Sabriną. Woził ją na karciane przyjęcia i popołudniowe przedstawienia. Na balach, w których uczestniczyli, zawsze stał przy niej niezłomny, nie zostawszy nigdy przyłapanym na czymś więcej niż tylko rzuceniu okiem na tancerki. Jego czuła dobroć do kogoś tak nieszczęśliwego, jak ona, wzbudzała uwielbienie w kobietach, podziw ze strony mężczyzn, a Sabrinę zmuszała do ciętych ripost.

Sabrina czuła wielokrotnie niepokój, gdy razem wychodzili. Gdy tylko się odwracała, nigdy nie zobaczyła nic, poza przelotnym cieniem, iluzją ciemności w jasnym, wiosennym słońcu.

Raz, gdy powóz Morgan akurat zakręcał, widziała stojących na rogu brodatego mężczyznę i kobietę, której twarz skrywał woal. W jej ustach tlił się okrzyk strachu, lecz nim zdążyła się znów odwrócić, para ginęła w tłumie. Morgan unosił tylko brew, komentując w ten sposób stan jej zdrowia psychicznego. Znów roz-

trzęsiona opierała się na swoim siedzeniu i zastanawiała się, czy może nie tęskniła za domem bardziej, niż jej się wydawało.

Wciąż nie mogła pojąć, dlaczego Morgan wybierał miejsca publiczne. Do końca drugiego tygodnia zdążyli już zwiedzić każdą londyńską atrakcję wystawioną na użytek publiczny, a nawet Bedlam. Sabrina uważała, że z pewnością nie chodziło mu o skandal. Każdy człowiek, któremu przyszło dorastać pod chmurą złej sławy, jaką rzucał klan MacDonnellów, nauczył się nie przywiązywać wagi do tego, co myślą o nim inni ludzie. Poza tym to jej reputacja była zagrożona, nie jego. W czasie pomiędzy wizytami Morgana, Sabrina gotowała się w sobie ze złości, jednakże jej obsesja na punkcie dręczyciela nie pozwalała jej marnować pokładów swojej złośliwości na służących.

Każdego ranka masowała swoje nogi od dołu do góry, dopóki krew nie zaczynała w nich szybciej krążyć. W zaciszu swojej sypialni próbowała stawiać swoje pierwsze samodzielne kroki. Służba wkrótce nauczyła się ignorować dziwne głuchoe odgłosy, łomot, i przekleństwa, które dochodziły zza jej drzwi w czasie późnych godzin nocnych, gdy jej starania nie były zwieńczone sukcesem.

Na początku trzeciego tygodnia Sabrina zaczęła popadać w panikę. Morgan nie dawał jej spokoju. Niezależnie od tego, jaka była opryskliwa, jak zjadliwe były jej żarty on nie przestawał pojawiać się na progu jej drzwi. Nie przejmował się wyzwiskami, które każdego służącego z pewnością doprowadziłyby do płaczu.

Podczas przygnębiających miesięcy po wypadku Sabrina zdołała wbić klin pomiędzy nią a wszystkich, których kochała. Enid, swoich braci, a nawet rodziców. Jednakże Morgan stał niezłomnie na jej drodze. Sześć stóp i trzy cale szyderczego mężczyzny, który wciąż płonie tak nieprzewidywalnym płomieniem, że Sabrina bała się, że pewnego dnia stopi on i jej zamrożone serce.

Pewnej nocy leżała w swoim łóżku i na samą myśl o nim jej serce zaczęło niebezpiecznie walić, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Zacisnęła ręce w pięści. Już raz nie udało jej się go do siebie zniechęcić, ale teraz miała całe miesiące, by ćwiczyć tę sztukę.

Wszystko, czego potrzebowała to kilka trafnych przytyków i sztylet w pomiędzy żebrami wbity w najczulszy punkt.

Jej plan powinien był przynieść jej jakąś satysfakcję. Jednakże, pociągnęła kołdry i przykryła nimi swoją głowę, kryjąc się jak małe, przerażone zwierzątko.

- Ależ panienko, jej książęca mość kazała mi powiedzieć panience, że... - Pokojówka trzasnęła drzwiami, w tym samym momencie, gdy waza uderzyła w nie z hukiem, rozbijając się na kawałki.

Sabrina usłyszała tylko odgłosy oddalających się w pośpiechu kroków. Cały dzień terroryzowała służbę, wiedząc, że wieść o tym zdarzeniu dotrze do Morgana nim zapadnie noc.

Odwróciła się do lustra, wiedząc, że jej wygląd będzie najlepszą bronią przeciwko Morganowi. Pomalowała twarz na trupio blady kolor, podkreśliła cienie pod oczami i zapadnięte policzki. Włosy upięła tak mocno, że jej oczy wydawały się lekko skośne. Jej kok oplatał kawałek koronki, który zwieszał się niczym babie lato. Dobrze wiedziała, że zwiewna, biała sukienka wykończona falbaniastymi koronkami sprawiała, że wyglądała na słabą, godną politowania i tak kruchą, jak waza Meissen, którą dopiero co stłukła.

W pozbawionych wyrazu niebieskich oczach kobiety w lustrze zobaczyła swoją przyszłość. Przyszłość bez Morgana. Przyszłość, którą spędzi ubrana w dziewczęce koronki, ze zwiędłymi rękoma i zapadniętymi kośćmi obleczonymi wysuszoną skórą. Sąsiedzi będą szeptać za jej plecami. Ta ekscentryczna bratanica starego księcia. Przybyła, by spędzić tu wiosnę i już nigdy nie wyjechała.

Nie mogła już nigdy wrócić w góry. Nigdy już nie ośmieli się marzyć o unoszącej się nisko nad wrzosowiskami mgle, o wodospadzie spływającym kaskadą wśród bujnych wąwozów, o uderzającym do głowy zapachu dzikich róż, walczących o przetrwanie na jałowym zboczu wzgórza.

Drzwi za nią zaskrzypiały cicho i lekko się uchyliły. Stefan wsunął głowę przez szparę, przygotowany na to, by cofnąć ją szybko na wypadek, gdyby w jego stronę poleciały jakieś garnki.

- Mama posłała mnie po ciebie. Jesteś gotowa? - powiedziała, łagodnie patrząc wciąż w swoje lustrzane odbicie. - Gotowa jak nigdy.

Sabrina ułożyła się na pluszowej sofie i wsparła się na górze puchatych poduszek. W dłoni trzymała kieliszek szampana. Dzięki swojemu urokowi dostała go od jednego z gości, gdyż służba omijała ją z daleka. Wątpiła nawet, czy podaliby jej choćby szklankę wody, gdyby chwyciła jedną ze świec ze stojących w pobliżu kandelabrow i podpaliła się.

Uważnie obserwowała kłębiący się tłum. Wciąż ani śladu Morgana. Ciotka Honora chodziła w kółko, a w przyćmionym świetle wyglądała zupełnie jak spalony na węgiel anioł. Klaskała w ręce i pokazywała gościom ich miejsca niczym dziecko podekscytowane swoim pierwszym przedstawieniem.

Sabrina powstrzymała się od głębokiego westchnienia, gdy na scenę wszedł szczupły, odziany występujące na przemian pasy bieli, czerwieni i zieleni mężczyzna. Nigdy nie przepadała za przedstawieniami i знаła tylko często opowiadaną komedię o Harlequinie i jego jędzowatej żonie Columbine. Alex i Brian odegrali ją przed gośćmi podczas jej ostatnich urodzin. Głównie bawił ją w niej widok włochatych kolan Alexa wystających spod halek jej matki. Poczowała ukłucie w sercu na nostalgiczne wspomnienie tych chwil.

Po chwili jednak jej uwagę odwróciło jakieś zamieszanie za drzwiami. Odruchowo porzuciła swoją leniwą pozycję, siadła sztywno na sofie i wyciągnęła szyję. Ostrze tęsknoty wbiło się w jej serce, gdy zobaczyła, jak Morgan przebija się przez tłum, błyszcząc swoim olśniewającym uśmiechem niczym bronią.

Goście szeptali za swoimi wachlarzami i tabakierami bardziej zajęci imponującym hrabią niż historią rozgrywającą się na scenie. Sabrina zastanawiała się, czy Morgan zdaje sobie sprawę, jak efektowne wejście zapewniło mu jego spóźnienie. I jak jej biedne serce rozrywane jest przez tęskne pragnienie.

Gdy kiwał głową w geście powitania, jego włosy w blasku świec świeciły niczym złoto. Sabrina upajała się jego widokiem, wiedząc, że może być to jej jedyna ku temu okazja. Gdy pierwszy raz

przyjechał do Londynu, Sabrina sądziła, że to dobrze skrojone ubrania dodają mu pewności siebie. Jednakże teraz zdała sobie sprawę, że zawsze potrafił nosić się jak król. Nawet wytarty pled czy bosa stopy nie były w stanie zatrzeć jego wdzięku. Spuściła głowę, starając się zdławić wszystkie narastające w niej emocje. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Morgan został zatrzymany przez zdenerwowanego lokaja. Zachmurzony wzrok służącego powędrował w stronę sofy. Sabrina opadła na poduszki, oparła głowę i przykryła czoło ramieniem na znak słabowitości.

Ku radości Sabriny Morgan pokazał na chwilę swoje prawdziwe oblicze, skrywane do tej pory pod maską ucywilizowania. Jego szczęki zacisnęły się w złowrogim grymasie niezadowolenia, który pamiętała aż za dobrze. Szybko jednak ochłonął, posyłając do lokaja porozumiewawcze spojrzenie i podążając krętą drogą w stronę sofy.

Ignorując krzesło stojące tuż obok, usiadł na podłodze u stóp Sabriny, prawie miażdżąc jej palce swoim ciężarem. Dla bezpieczeństwa odsunęła nogi na bok i kichnęła.

- Pewnie podrażniło mnie twoje mydło do golenia - powiedziała, przecierając oczy chusteczką.

- Może to poduszki. Pewnie wciągnęłaś nosem jakieś piórko.

Morgan wpatrywał się w scenę nieruchomym wzrokiem, walcząc z pragnieniem, by pokazać Sabrinie płonące w nim żądze i porozpruć poduszki tak, by ich pióra ścieliły ulice od Londynu aż do Glasgow. Kobieta siedząca naprzeciwko nich obróciła swoją długą szyję i wyjrzała znad wachlarza, co przypomniało Morganowi o powodzie jego decyzji, by wszystkie walki między nimi toczyć w miejscach publicznych. Nie ufał sobie samemu, gdy był z Sabriną sam. Bał się, że podda się własnemu poczuciu winy i będzie rozpieszczał ją, jak wszyscy inni.

Jeszcze bardziej bał się poddać własnemu pożądanemu, niebezpiecznej pokusie, by uspokoić jej jędrzowaty język i uderzyć i odparować cios.

Pokusa była tym większa, że Sabrina ubrana była w zwiewną kreację, bardziej nadająca się do schadzki z kochankami w jej komnacie. Jej skóra pachniała liliami, a nie świeżymi różami jak

pamiętał. Chciał położyć ją na sofie przed nimi wszystkimi, rozplatać palcami jej śmieszny kok, rozchylić kremowe uda i wejść w nią głęboko...

Widownia zaryczała, gdy lubieżny Harlequin przerzucił piszczącą Columbinę przez ramię. Morgan wcale mu się nie dziwił. Zaczynał rozumieć straszna pokusę użycia brutalnej siły, by osiąść kobietę wbrew jej woli. Wstrząśnięty, zacisnął pięści i nieczuły na wszystkie wygłupy na scenie czuł, jak narasta w nim nowa furia i stary wstyd.

Sabrina szturchnęła go nogą w biodro.

- Przesuń się! Nic nie widzę. Zasłaniasz scenę.

Z rzędu, w którym siedziała ciotka Honora, rozległo się głośnie „Ciii”. Kilka osób wyciągnęło szyje w ich kierunku. Harlequin przerwał swoją niemą tyradę i rzucił im zirytowane spojrzenie.

Morgan sięgnął ręką za siebie i chwycił jej stopę. Jego kciuk z wielką wprawą masował jej delikatną skórę.

- Troszkę dziś silniejsza, prawda?

Stopa Sabriny natychmiast opadła bezwładnie.

- Pewnie to tylko skurcz. Wiesz, są dość bolesne.

Zamiast puścić jej stopę, Morgan silnie przycisnął jej środek kciukiem, badając ją w rytmie, który przyspieszył tempo oddychania Sabriny. Tak bardzo się do niej dostroił, że czuł jej oddech na plecach i brzmiał on dla niego jak szept.

Stopa znów się ożywiła, więc Sabrina szarpnęła nią gwałtownie.

- Chyba coraz gorzej z tymi skurczami - powiedział. - Może jeszcze nie jest za późno, by zastanowić się nad amputacją.

Sabrina mając nadzieję na zyskanie chwili czasu na to, by się uspokoić, powiedziała:

- Mam sucho w gardle. Czy mógłbyś przynieść mi trochę szampana?

Morgan kiwnął palcem na lokaja, który przybiegł szybko.

- Pani prosi o szampana.

Lokaj wręczył Sabrinie kieliszek z nieskrywanym niepokojem. Jego ręce tak się trzęsły, że rozlał odrobinę napoju na kolana Sabriny.

- Ty niezgrabny fajtłapo! - Sabrina zaczęła wycierać plamę chusteczką. - Mój wuj powinien zwolnić was wszystkich.

- Przeprós - powiedział lakonicznie Morgan, wciąż wpatrując się w scenę.

- Przepraszam - powiedział lokaj.

- Nie ty. Ona.

- Ona?

- Ja? - powiedziała jednocześnie Sabrina. - Nie wydaje mi się.

- Byłaś niesłychanie niegrzeczna wobec tego człowieka. A teraz przeprós.

- Wybacz mój panie - powiedziała Sabrina z jadowitym sarkazmem. - Zapomniałam, że MacDonnellowie to ostatni bastion dobrych manier w górach. Gdyby on wylał na ciebie szampana, pewnie wyciągnąłbyś pistolet i z miejsca go zastrzelił.

Przerażony lokaj oddalił się, podczas gdy konfrontacja na sofie przybierała już charakter działań wojennych.

Morgan odwrócił się gwałtownie i spojrzał jej w oczy. Sabrina wzdrygnęła się na widok jego wściekłej miny. Nawet Harlequin i Columbine przerwali, by popatrzeć, jak głos Morgana gwałtownie przechodzi w ryk.

- Nie będę tolerował twoich cholernych napadów złości! - wściekłość wyostrzyła jego akcent. - Biedna, mała dziewczynka! Biedna, żałosna księżniczka! Łatwo było grać anioła rezydencji, gdy wszystko, czego tylko zapragnęłaś, wsuwane było w twoje małe, chciwe rączki, co?

- Nie wszystko - wyszeptała, lecz on jej nie słyszał.

- Ale jeden cios w twoją drogocenną koronę i już zmieniasz się w marudną, pochlipującą smarkulę. Pokazałaś już swoje prawdziwe oblicze? - pochylił się do przodu. Sabrina wcisnęła się głębiej w poduszki, jednak przed jego słusznym gniewem nie było żadnego ukrycia. Jego głos złagodniał tak, że mogła słyszeć go już tylko Sabrina. W jego oczach zaświecił dziki humor.

- Gdybym wiedział, że będziesz taką suką, zastrzeliłbym ciebie, zamiast Pookah.

Sabrina uderzyła go w twarz. Zdumiony tłum westchnął ciężko.

Morgan nawet nie mrugnął. Był niezachwiany niczym skała. W Sabrinie narastała desperacja.

Znów go uderzyła. Zrobiła to na tyle mocno, że na jego policzku odcisnął się ślad jej dłoni. Morgan tylko na nią patrzył. Mężczyzna, który mógłby zgnieść jej czaszkę pomiędzy swoimi gołymi rękoma. Złość w jego oczach zastąpił cichy ból, który nie miał jednak nic wspólnego z jej uderzeniem. Jego twarz była taka piękna, taka stanowcza, niczym twarz anioła wyciosana z marmuru. Nie mogła oderwać wzroku od jej idealnie wyrzeźbionych płaszczyzn. W oczach poczuła ciepłe łzy. Bała się, że za chwile popłyną po jej policzkach i będzie płakała na oczach wszystkich. Słowa rozdzierały jej gardło i w zetknięciu z panującą na sali ciszą brzmiały przeraźliwie.

- Czemu nie dasz mi po prostu spokoju? Co jest z tobą nie tak? Czy nie jesteś w stanie zachowywać się jak prawdziwy mężczyzna przy prawdziwej kobiecie?

Morgan wzdrygnął się, prawie niepostrzeżenie. Zdradziły go jedynie linie na twarzy, które lekko zadrzały. Wyprostował się powoli, jak gdyby na jego barkach spoczywał jakiś wielki ciężar, a Sabrina wiedziała, że wreszcie udało jej się popełnić niewybaczalny grzech. Upokorzyła go publicznie, a dla MacDonnella nie było gorszej niż to zniewagi.

Jego oczy były tak odległe, jak górskie mgły, których miała już nigdy nie zobaczyć. Ukłonił się nisko, a powściągliwa powaga tego gestu potępiła ich oboje.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Dobranoc, panno Cameron. Morgan kroczył sztywno przez tłum. Sabrina wiedziała, że nie chciał powiedzieć „dobranoc”, lecz „żegnaj”.

Rozdział 28

Melancholijny deszcz uderzał rytmicznie w chodnik za oknem Sabriny. Dudnił w ołowiane szyby frontowych drzwi i spływał po nich falistymi potokami zamazującymi ogród.

Sabrina usłyszała nieśmiało pukanie do drzwi.

- Wejść - powiedziała, nie obracając swojego wózka. Drzwi otworzyły się.

- Przyniosłam herbatę panienko. Kucharka pomyślała, że może miałyby panienka ochotę na świeże babeczki. Kupiła jabłka od ulicznego sprzedawcy za własne pieniądze.

Sabrina zdobyła się na uśmiech, gdy piegowata twarz Bei ukazała się jej oczom.

- Dziękuję Beatrice. Powiedz kucharce, że na pewno są wyśmienite.

Bea postawiła tacę na stole, tuż przy łokciu Sabriny. Stała obok niej przestępując z nogi na nogę i bawiąc się swoim fartuchem.

- Coś jeszcze, Beatrice?

Bea patrzyła na zniszczony tom Biblii leżący na kolanach Sabriny. Był już tam od trzech dni, ale nikt nigdy nie widział go otwartego.

- Tak się tylko zastanawiałam, czy może przynieść panience jakąś inną książkę do czytania? A może jakieś wyszywanki podniosłyby panienkę na duchu?

Sabrina potrząsnęła głową, patrząc znów z rozmarzeniem na moknący w deszczu ogród.

- Nie dziękuję. Ale miło z twojej strony, że zapytałaś. Bea wciąż za nią stała.

- Czy mam uczesać panience włosy? - Dotyk jej lekkich jak pióro palców w gęstej burzy włosów, spływających kaskadą na plecy Sabriny był zniewalający. - Nigdy nie myślałam, że jest ich

tak dużo. - Oderwała nagle rękę, zdając sobie sprawę, że zbyt się spoufala.

Sabrina nie udzieliła jej jednak nagany, tylko znów się łagodnie uśmiechnęła.

- Mogę uczesać się sama, ale dziękuję, że pytasz.

Bea westchnęła zmuszona zadowolić się okryciem nóg Sabriny pledem.

- Przyślę Teddiego z drewnem do kominka. Nie chcemy, by panienka przeziębila się w tej wilgoci. Mam panienkę odsunąć od drzwi? Mogą być przeciągi.

Sabrina potrząsnęła głową ruchem tak sennym, jakby lunatyko-wała. Słyszała tylko, jak Bea trzepie poduszkę i przerzuca poniewierającą się po komnacie pończochę przez oparcie krzesła. Sabrina widziała odbicie pokojówki w lustrze; na jej brzydkiej twarzy dało się dostrzec niepokój.

- Jeśli będzie panienka czegoś potrzebowała, czegokolwiek, zadzwoni panienka po mnie, dobrze?

Sabrina pokiwała głową. Drzwi już zdążyły się zamknąć, nim Sabrina wyszeptała:

- Nie martw się, Bea. Jestem z Cameronów. My zawsze dostajemy to, czego chcemy.

Położyła głowę na oparciu wózka i zamknęła oczy, nie mogąc znieść nawet ponurego światła zza okna.

Dwie godziny później Bea weszła do kuchni, niosąc tacę z nietkniętą herbatą. Potrząsnęła smutno głową, gasząc wyczekującą minę kucharki.

- Ani kropli. Nie zjadła nawet okruszka.

Kucharka opadła ciężko na stołek, wciskając palec w jedną z zimnych, gumowatych bułeczek.

- Gdyby ktoś jeszcze tydzień temu powiedział mi, że będę starała się karmić te panienkę czymś innym niż arszenik, pomyślałabym, że jest stuknięty. - Jej twarz rozchmurzyła się. - A może przygotuję jej ciepły kompres na piersi?

Bea potrząsnęła głową.

- Nie skarży się na żadne bóle. W ogóle na nic się nie skarży.

Nigdy w życiu nie słyszałam tyle „dziękuję” i „czy mogłabyś”. Gdybym ją poprosiła, pewnie sama podała mi herbatę.

Kucharka oparła policzek na dłoni. Obie kobiety siedziały w posępnej ciszy, obie zaskoczone zdały sobie sprawę, że wolałyby mieć do czynienia z jej napadami złości niż jej bolesną uprzejmością. Ostatnie światełko zgasło w oczach panienki, pozostawiając je puste jak zimna świeca. Swoje wymyślne suknie i kaszmirowe szale zastąpiła gładkimi, batystowymi koszulami nocnymi i wyblakłą puchowa kołdrą. Włosy nosiła teraz rozpuszczone albo uplecione w dwa warkoczyki jak u małej dziewczynki.

Nie chciała opuszczać swojej sypialni i siedziała godzinami w tym niewygodnym wózku inwalidzkim, wpatrując się w okno wychodzące na ogród, jakby wyczekiwała czegoś, co miało nigdy nie nadejść. Albo kogoś.

Łomot i przekleństwa nie dochodziły już w nocy z jej pokoju. Nie było tam nic poza tą samą pustą ciszą.

Kucharka potrząsnęła głową z rozpaczą.

- Gdybym nie znała jej lepiej, pomyślałabym, że panienka cierpi z powodu złamanego serca.

Bea zaczerpnęła łyk zimnej herbaty Sabriny i skrzywiła się.

- Tydzień temu przysięgłabym, że nie ma serca. Kucharka dołała do herbaty ginu z butelki po wanilii.

- Cóż, jak zwykła mawiać moja mamusia, świeć panie nad jej duszą, co cię nie zabije to cię wzmocni.

Bea uniosła maleńka filiżankę.

- Wypiję za to.

Filiżanka i butelka stuknęły się w geście, który bardziej przypominał modlitwę niż toast.

Sabrina otworzyła oczy, przechodząc ze snu w bezsenność z nienaturalną łatwością. Ostatnio, niczym się dla niej te dwa stany nie różniły. Oba barwiły się uspokajającymi odcieniami szarości. Spojrzała w górę na baldachim, nie mrugając nawet oczami. Przytłaczało ją poczucie straty, ogromnej i druzgocącej straty. Jej aromat utrzymywał się w jej ustach niczym gorzki posmak.

- Sabrina, proszę, obudź się!

Odwróciła głowę i zobaczyła Enid kłęczącą przy jej łóżku. Jej koszula nocna ociekała deszczem. Jej pantofle były pokryte jakąś breją, która przypominała ogrodowe błoto. Wokół jej twarzy zwieszały się mokre strąki włosów. Jednakże jej policzki były rumiane, a oczy świeciły tak mocno, że Sabrina chciała ukryć twarz przed ich oślepiającym blaskiem.

- Lepiej zdejmij z siebie te przemoczone rzeczy - powiedziała. - Nie chcesz chyba, by dziecko złapało przeziębienie.

- Potem. Teraz potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o Ranalda. Sabrina bezlitośnie stłumiła nadzieję, którą poczuła w gardle.

- Ranalda? Myślałam, że pojechał już w góry.

- Ja też - zaśmiała się jej kuzynka. - Ale jednak nie. Nie zgodził się na wyjazd, nim nie zobaczy mnie choćby jeden raz. Chce porozmawiać o naszej przyszłości.

Sabrina zmarszczyła czoło. Koncepcja przyszłości była jej tak obca, że prawie niezrozumiała. Dla niej istniał tylko korytarz minut, które łączyły się w godziny.

Enid trzymała kurczowo jej ramię, a słowa wylewały się z niej niczym szalona litania.

- Filip zaprosił mnie na bal kostiumowy w Vauxhall jutro wieczorem. Ale ja planuję spotkać się z Ranaldem, a ponieważ to jest bal przebierańców on będzie mógł spokojnie poruszać się pośród gości. Ale mama nie pozwala mi iść, chyba że ty mi potowarzyszysz. Ona uważa, że jak idę sama, to zawsze pakuję się w jakieś tarapaty.

Wzrok Sabriny opadł na znaczących już rozmiarów brzuch Enid. Czy Enid mogła się wpakować w jeszcze większe tarapaty? Podejrzewała, że warunek, jaki ciotka postawiła jej kuzynce, miał na celu to, by ruszyła się wreszcie ze swojej sypialni. Z domu. Nie wiedziała tylko jednej rzeczy.

- Czy on tam będzie?

Enid schyliła głowę. Blask ognia zabarwił jej włosy na złoty kolor.

- Nie, szykuje się do wyjazdu do domu.

Domu... pomyślała Sabrina. Stopy Morgana oparte na kominku. Bujny gąszcz zieleni ogarniający cały wąwóz. Stopiony śnieg

spływający po wzgórzu srebrną kaskadą. Dom, w którym będzie wreszcie od niej wolny. Szkoda tylko, że ona nigdy nie uwolni się od niego. Nawet dokumenty, które ojciec przynosił jej do podpisania pod koniec tygodnia, nie przywrócą jej wolności.

- Proszę, powiedz, że przyjdiesz - powiedziała Enid z miną pełną niecierpliwego wyczekiwania.

Sabrina przypomniała sobie, jak to ona błagała Enid, by opuściła ciepłe łóżko Ranalda i stawiała czoła śnieżnej nocy. Tamtej nocy też uciekała przed Morganem. Lecz on był na tyle głupi, by podążyć za nią. Teraz nie popełniłby już tego błędu.

Uśmiechając się blado, pogłaskała włosy kuzynki i pomyślała o tym, jak bardzo Enid się dla niej poświęciła.

- Oczywiście, że przyjdę. Może tym samym wynagrodzę ci to, że byłam taką samolubną bestią. - Odchyliła koldrę w stronę kuzynki. - Wskakuj tutaj, nim twoje dziecko zacznie kichać.

Enid posłuchała. Zdjęła zabłocone pantofle i wskoczyła do łóżka, trzęsąc całą jego konstrukcją.

Następnego wieczora Sabrina zaczynała już żałować swojej decyzji, gdy Philip zawiózł jej wózek na puste miejsce przy ścianie auli, w której odbywał się bal. Ciekawskie spojrzenia przeszywały jej skórę niczym maleńkie strzałki. Tego wieczora pierwszy raz pokazała się publicznie od czasu kłótni z Morganem, która zgorszyła całe społeczeństwo. Nie chcąc rzucać się w oczy założyła tylko białą, gładką sukienkę, a warkocze na głowie uplotła w skromny diadem.

Pomyślała, że powinna była założyć też maskę, ale uśmiechnęła się do siebie smutno. Przecież maska wcale nie sprawiłaby, że byłaby mniej rozpoznawalna. Żaden z gości nie był wprowadzony do auli niczym serwis do herbaty.

Ciepły, wiosenny deszcz za oknem przestawał już padać, ale dało się jeszcze usłyszeć niski grzmot zapowiadający kolejną burzę. Lampy wiszące na ścianach przecinały mrok długiej, wysokiej auli czyniąc atmosferę na balu bardziej tajemniczą.

Philip ustawił jej wózek niezwykle teatralnym gestem. Spojrzał

na nią, wypowiadając każde słowo z bolesną dokładnością, jak gdyby jej niemoc sprawiła, że była głucha i głupia.

- Czy tu jest panience wygodnie? Czuję się za panienkę odpowiedzialny. Po ślubie moim i Enid, mam nadzieję, że panienka będzie traktowała mnie jak brata.

Enid na szczęście wybawiła ją od konieczności odpowiadania, pojawiając się tuż obok Philipa z kryształowym kielichem ponczu i serwetką pełną ciasta. Podnosiła już ciasto do ust. Gdy Philip nagle ją szarpnął.

- Myślę, że już wystarczy kochanie. - Obdarzył ją protekcyjnym uśmiechem. - Chcesz chyba zmieścić się w suknię ślubną po urodzeniu naszego małego.

Oczy Enid zapłonęły pod maską. Nagle drzwi na dalekim końcu auli otworzyły się, wpuszczając podmuch wiatru i pikantny zapach zbliżającego się deszczu.

Enid wzdychając z niepokojem, upuściła chusteczkę.

- O jejku! Nie zdołam jej sięgnąć. Czy byłbyś Philipie tak miły i...

Philip schylił się, by podnieść płócienny skrawek. Nim zdążył się wyprostować, Enid już nie było. Poganiana przez Sabrinę, szła w kierunku stojącego w drzwiach ciemnookiego, diabelsko przystojnego nieznajomego w masce.

- Proszę - powiedział Philip, wręczając jej chusteczkę. - Gdzie ona się do jasnej cholery podziała? - obrócił się, by przeczesać wzrokiem kłębiący się tłum. Sabrinie było jej go nawet przez chwilę żal, gdy zobaczyła jego zawiedziona minę. Jednakże to nie powstrzymało jej przed wskazaniem mu pulchnej dziewczyny w masce z piór, która do złudzenia przypominała Enid.

- Tam jest! Jak się pośpieszysz, może zdołasz złapać ją jeszcze przed pierwszym tańcem.

Szarpnął swoją pelerynę i popędził za dziewczyną. Sabrina odetchnęła z ulgą, widząc, że nikt nie spieszy, by zająć jego miejsce. W ciekawskich spojrzeniach dostrzegła nutkę strachu. Może wszyscy myśleli, że nie jest tylko kaleką, ale że jest też niebezpieczna. Cieszyła się, że ja ignorują. Ich litość napawała ją odrazą. Przypominała jej tylko, jak wiele kosztowała ją duma.

Tłum był bardzo młody i żywiołowy. Orkiestra grała wesołego kadryla, wiejski taniec, tak bardzo kontrastujący z wyrafinowanymi strojami i maskami wysadzanymi klejnotami. Sabrina bezwiednie tupiała nogą, wyczuwając rytm melodii, tak jak nauczył ją Fergus.

Świeży podmuch wiatru zachwiał światłem lamp. Zarówno jej stopy, jak i serce zamarły, gdy zobaczyła sylwetkę złotego giganta na tle ciemniejącego nieba.

Z jej serca ulotniła się nadzieja. Myliła się. Morgan jednak po nią przyszedł. Jednak nadzieja znów wypełniła jej serca, gdy u boku swojego męża zobaczyła zamaskowaną piękność.

Rozdział 29

Twarz Morgana wyglądała, jakby była wyrzeźbiona z polerowanego marmuru. Była absolutnie obojętna, absolutnie piękna, niezdradzająca żadnych ludzkich cech, jak uśmiech czy nawet grymas niezadowolenia.

Chciała go nienawidzić, chciała żywić urazę do tej wysokiej, długonogiej piękności przylegającej do jego ramienia. Ale czy to nie było właśnie tym, czego dla niego pragnęła? Kobiety, która mogła o własnych siłach wejść do pokoju, która mogła tańczyć i dać mu to wszystko, czego ona nie była w stanie mu dać?

Sabrina mogła tylko patrzeć, zmrożona głodem tak silnym, że odbierał jej dech w piersiach.

Ich spojrzenia spotkały się. Sabrinie wydawało się przez moment, że widzi na jego twarzy gniew. Ale może tylko światło tak się ułożyło. Orkiestra zaczęła grać, a towarzyszka Morgana pociągnęła go, by zatańczył z nią menueta.

Morgan po cichu przeklął swoją własną głupotę. Powinien był opuścić Londyn już tydzień temu. Z doskonałą gracją wykonywał wszystkie kroki skomplikowanego tańca, a kłębiące się w jego głowie myśli skrył pod obojętną miną, która zadziałała nawet lepiej niż balowa maska. Był głupcem, pozwalając Ranaldowi namówić się na pozostanie na jeszcze jedną noc, podczas gdy nawet błagania Elizabeth Cameron trafiały w próżnię.

Był aż nadto świadomy spojrzeń, które wędrowały między nim a Sabriną. Tłum ślinił się na samą myśl o nowym skandalu. Szukał wzrokiem Ranalda, pragnąc niczego więcej tylko udusić kuzyna za kolejną zdradę. Ranald błagał go o pomoc w jego niecnym planie, przysięgając na honor MacDonnellów, że nie będzie tam Sabriny. Morgan parsknął pod nosem. Honor MacDonnellów! Tez mi coś!

Co za żart! Angus uczył go od małego, że te dwa słowa się wzajemnie wykluczają.

Nie spodziewał się zobaczyć Sabriny siedzącej wygodnie jak księżniczka na tronie pośród rozentuzjasmowanego tłumu. Spojrzał na nią ukradkiem. Moja księżniczka, pomyślał, walcząc z własną zaborczością. Jej ręce, otulone skromną bielą, i diadem z warkoczy ożywiały w niej tę małą dziewczynkę, która tak odważnie i niemądrze oddała mu swoje serce. Ale ona nie była już małą dziewczynką. Teraz była kobietą. W jej oczach tliła się bezradność.

Był zmuszony oderwać od niej wzrok, obracając się w tańcu. Dlaczego na miłość boską nie wyjechał wcześniej? Cały tydzień zajęło mu przekonanie Dougala, że na dobre przestał przejmować się Sabriną. Cały czas prześladował go obraz bolesnej nagany w oczach Elizabeth.

- Wyglądasz na wściekłego mój panie - wykrzyknęła jego partnerka. Jej rzęsy trzepotały pod wysadzaną klejnotami maską. Jej głos zniżył się do dwuznacznego pomruku. - Może powinniśmy byli zostać u mnie i świętować tylko we dwoje?

Morgan chciał spędzić swoją ostatnią noc w Londynie, oddając się pijackiej rozpuście. Z wielu zaproszeń, jakie otrzymał, specjalnie wybrał właśnie tę młodą, owdowiałą wicehrabinę mając nadzieję, że posągowa blond piękność będzie idealnym antidotum na ciemną, baśniową urodę Sabriny.

Starał się nie myśleć o tym jak o cudzołóstwie. Jutro rano Sabrina złoży swój elegancki podpis na dokumentach, które za zawsze puszcza ich małżeństwo w niepamięć.

Przysunął ozdobione rękawiczkami palce wicehrabiny do swoich ust.

- Obawiam się, że masz rację moja pani. Przyjście tu było wielkim błędem.

Kiedy muzyka menueta ucichła, Morgan chwycił jej łokieć, chcąc poprowadzić ją do drzwi. Przeklęty Rana! Nagle powietrze wypełniło się melodyjnymi, góralskimi dźwiękami.

Morgan zamknął oczy, słysząc nie cywilizowaną melodię skrzypiec czy harfy, lecz słodko-gorzkie połączenie dźwięku dud i szko-

ckiej harfy, które przecięło go niczym miecz. Nawiedziły go wspomnienia Ewy i członków jego klanu, ale to był już zupełnie inny świat. Świat, do którego on nie mógł już należeć. Otworzył pospiesznie oczy i zobaczył, jak Randal wymyka się spod podestu orkiestry. Wiedział już, że to on poprosił o zagranie tej raczej niepopularnej tu melodii.

Niektórzy tancerze starali się dopasować swoje ruchy do nowych rytmów, lecz większość odeszła w poszukiwaniu ponczu i ciasta. Morgan pozwolił sobie na ostatnie spojrzenie na Sabrinę, wiedząc już wcześniej, że będzie tego żałował.

Sabrina siedziała wpatrzona w tancerzy. W jej oczach nie zobaczył spodziewanej przez siebie goryczy czy zazdrości, lecz jedynie tęskne pragnienie. Wyglądała jak dziecko, któremu pokazano skarb, którego nigdy nie będzie mogło mieć.

Usprawiedliwiając się przed zaintrygowaną wicehrabiną, przeszedł przez prawie opustoszały już parkiet. Był śledzony przez wszystkie oczy. Gdy wyciągnął rękę do Sabriny, sale wypełniły pełne zdziwienia szepty.

- Miałabyś ochotę zatańczyć, moja pani?

Sabrina spojrzała w dal omijając wzrokiem jego twarz. Chwyliła rozdygotaną dolną wargę w zęby. Na jej niezamaskowanej twarzy widać było każdą emocję. Niepewność co do jego oczekiwań. Strach przed tym, że to tylko kolejny z jego okrutnych żartów. I najbardziej krucha ze wszystkich - nadzieja, że tak jednak nie jest.

Morgan westchnął głęboko. Sabrina ufnie położyła dłoń na jego dłoni, ryzykując o wiele więcej niż tylko śmiech i potępienie wszystkich zebranych gości.

- Byłabym zaszczycona, mój panie - uniosła ku niemu błyszczące oczy.

Widzowie wstrzymali oddech, gdy Morgan pochylił się i porwał w swoje ramiona, trzymając ją czule przy swojej piersi niczym małe dziecko.

Sabrina oplótła ręką jego szyję, nie mogąc powstrzymać się od pocierania policzków o jego ciepłe, znajome gardło. Od czasu wypadku, pierwszy raz poczuła, że żyje.

Tancerze stali nieruchomo i obserwowali, jak wiruje z nią po parkiecie z zamkniętymi oczami, i brodą wspartą na koronie z jej warkoczy. Ten taniec należał tylko do nich, choć starszy był od tej wzruszającej ballady cicho nucącej melodię miłości i straty. Starszy niż majestatyczny grzmot wybijający rytm swojego hymnu na kopułowym dachu.

Muzyka ucichła. Sabrina otworzyła oczy i zobaczyła usta Morgana prawie przylegające do swoich. Rozchyliła wargi na znak zaproszenia. Nim zdążył je zaakceptować, na sali rozległ się urywany głos.

- Puścić tę kobietę! Nie ma pan żadnych skrupułów? Może tak właśnie wy, nieokrzesani Szkoci, traktujecie damę, ale my, Anglicy jesteśmy narodem cywilizowanym. Nie będziemy tolerować takich szokujących pokazów!

Sabrina nie wiedziała czy śmiać się, czy płakać, gdy zobaczyła na ich drodze Philipa Markhama. Morgan nie musiał nawet kłopotać się, by pacnąć go jak muchę, gdyż z odsieczą przyszedł Ranald.

Nieokrzesani? - zaryczał Ranald. - Nieokrzesani? Co do cholery masz na myśli, nazywając wodza klanu MacDonnellów nieokrzesanym? Urabiał sobie ręce po łokcie, by stać się najbardziej okrzesanym mężczyzną w Londynie. Chcesz nieokrzesania, to ja ci je zaraz zademonstruję, brykająca świnią!

Philip mrugnął, a jego szlachetne oburzenie struchlało przed niespodziewanym atakiem zamaskowanego derwisza.

- Kto cię tutaj wpuścił? - zapytał słabym głosem. - Czy ktoś z państwa wie, czy ten człowiek ma zaproszenie?

Pytanie Philipa spotkało się tylko ze wzruszeniem ramion i zapobiegliwym spojrzeniem. Nikt nie kwapił się, by przeszukać Ranalda.

Ranald zdarł z siebie maskę i perukę i uniósł pięści gotowy do walki.

- Te dwie posłużą mi za zaproszenie do rozkwaszenia twojej bezczelnej gęby!

Tłum jeszcze raz wstrzymał oddech, tym razem na widok cygańskiego piękna, jakie odsłoniła maska Ranalda. Kilka kobiet zachichotało, chowając się za wachlarzami.

Sabrina otworzyła usta, gdy zdziwiony ryk Morgana zagłuszył ich wszystkich.

- A niech mnie diabli! Nathanael MacLeod! Nate ty przebiegły draniu!
A wszyscy mówili, że nie żyjesz!

Ranald opuścił pięści i wydał pierś.

- Nie lada trzeba odwagi, by zabić nieokrzesanego Szkota! Enid wyskoczyła z tłumu, zanosząc się teatralnym płaczem, który zawstydziłby nawet Columbie.

- Mój ukochany mężu! Ty żyjesz!

Nie mogąc poradzić sobie z falą podniecenia, obie kobiety padły w ramiona swoich partnerów. Jediną rzeczą, którą mogła zrobić Sabrina, było patrzenie na przemian na Morgana, Ranalda i Enid. Zdała sobie sprawę, że dranie zaplanowali to od samego początku.

- Ale ty nie możesz być jej mężem - załkał Philip. - Kupiłem już suknię ślubną! Mamy się pobrać!

- Jak cholera! - Ranald wymierzył pierwszy cios. Gdy przyjaciele Philipa rzucili mu się na pomoc, w sali zapanował chaos.

Sabrina uchyliła się przed lecącym w jej kierunku kryształowym kieliszkiem. Morgan przycisnął jej twarz do piersi i przemknął przez środek wrzawy.

- Nie powinieneś pomóc Ranaldowi? - krzyknęła, wypluwając jego fular.

- Pomóc w czym? - krzyknął.

Znad ramienia Morgana Sabrina zobaczyła, jak Ranald rozbija głowy dwóm mężczyznom. Sabrina była zmuszona przyznać Morganowi rację.

Przysadzisty, młody mężczyzna rzucił się na Morgana, najwyraźniej z zamiarem uratowania jej. Sabrina chwyciła z pobliskiego stolika butelkę szampana i rozbiła ją na jego głowie.

- Rzeczywiście zasługujesz, by nosić nazwisko MacDonnell - powiedział Morgan, marszcząc brew. Zatrzymał się przez podwójnymi drzwiami i opuścił ją, póki stopami nie dotknęła podłogi. Nie mogła oprzeć się urokowi jego chłopcęgo uśmiechu.

- Niewiele się to różni od uchylenia się przed Grantami czy Chisholmami na polu bitwy, prawda?

Obok nich przetoczyły się dwie kobiety. Ich wypudrowane twarze wykręcała furia a palce zagięte były niczym szpony.

- No nie wiem - powiedziała Sabrina wciąż odurzona jego bliskością i dziwnymi zdarzeniami tej nocy. - Myślę, że Grantowie są trochę bardziej okrziesani.

Jego oczy otrzeźwiały, gdy spojrzał na nią w dół. Jego ręce wciąż wspierały jej ramiona, muskając delikatnie jej piersi. Wstrzymała na chwilę oddech, gdy jego kciuki pieszczotliwie dotknęły ich koniuszków. Nagle usłyszeli za sobą wściekły krzyk. To Ranald i Enid pędzili w stronę drzwi, ręka w rękę.

- Cholera! - zaklął Morgan. - Myślałem, że mamy więcej czasu.

Czasu rzeczywiście było niewiele. Tłum napierał na nich. Morgan posadził Sabrinę na stoliku, w miejscu gdzie nie mogła jej się stać żadna krzywda, po czym rzucił się na drzwi.

Piorun trzasnął w głodnej zemsty furii. Podmuch chłodnego powietrza dostał się do auli przez otwarte drzwi, gasząc wszystkie lampy i pogrążając całą salę w mroku. Rozległa się kakofonia wrzasków i ryków.

Sabrina drżała w ciemnościach, zastanawiając się czy Morgan już jej nie zostawił. Nie musiała długo o tym myśleć.

Podmuch wiatru przywiał zapachy sosny i drzewa sandałowego, które odurzyły jej zmysły. Objęły ją silne, znajome ramiona. Uścisk był tak dziki i arogancki jak nadchodząca burza. Morgan zamknął jej usta w pocałunku tak złowrogo intymnym, jak niegdyś ich złączone ciała. Jego język zanurzał się w jej ustach piętując je zaborczym rytmem, które topiło soki we wszystkich zakątkach i szczelinach jej ciała.

Każdy erotyczny zabieg, któremu kiedykolwiek ją poddał, mieścił się w tym jednym pocałunku. Każda noc. Każde muśnięcie jego reki, każdy ruch jego języka w jednym wzruszającym pocałunku, który pozbawił ją tchu i sprawił, że skomlała o więcej.

Jednakże on odwrócił się od niej niczym bezimienny cień pośród nocy. Wydawało jej się, że czuje jak dotyka jej włosów. Nagle wilgotne powietrze owiało jej twarz. Już go nie było.

Wstrząsnęło ją rozedrgane westchnienie. Wtedy właśnie zdała

sobie sprawę, że Morgan zostawił ją stojącą na nogach o własnych siłach.

Osunęła się po ścianie w miękką poduszkę jej sukni. Dotknęła palcami swoich drżących ust, zastanawiając się czy pocałunek, który złożył na jej ustach, był obietnicą czy raczej pożegnaniem.

Później tej nocy Sabrina siedziała samotnie na tarasie w swoim wózku inwalidzkim. Dom jednorodzinny Belmontów był ciemny i cichy. Wujek Wille zamknął się w bibliotece z butelką porto, a ciocia Honora uciekła do sypialni z misą oparów.

Sabrina nie sądziła, by udało jej się kiedykolwiek zapomnieć ich oszołomione miny, gdy słuchali, jak zakrwawiony i rozczochrany Philip Markham opowiada, że ich córka uciekła z balu ze swoim nieżyjącym mężem. Sabrina podziwiała ich opanowanie. Po prostu podziękowali zszokowanemu młodzieńcowi i udali się do swoich osobnych twierdz, zostawiając Sabrinę pod opieką służby.

Odchyliła głowę, by przypatrzeć się niebu. Chmury mknęły z zachodu, a ich antracytowe podbrzusza pochłaniały księżycowe światło. Pioruny tańczyły między nimi, nadając powietrzu ostry, drażniący zapach. Czubki drzew laurowych tańczyły na wietrze jak oszalałe.

Przed przyjazdem Morgana do Londynu, Sabrina chowała się pod kołdrą, widząc nadciągającą burzę. Teraz witała to niebezpieczeństwo pierwotnej furii, pragnąc zaspokoić swój dziki, słodki głód, który za długo w sobie tłumiała.

Jej życzenie zostało spełnione, gdy wielka kropla deszczu roztrzaskała się na jej ustach. Niespodziewanie wybuchła śmiechem. Z początku deszcz padał spokojnie. Potem rozszalała się burza. Krople deszczu uderzały w jej koszule nocna jak kamienie. Sabrina nie schowała się przed deszczem, lecz odchyliła głowę i pozwoliła, by spływał kaskadami po jej policzkach i szyi oczyszczając ją swoim świeżym entuzjazmem.

Zobaczyła go w następnym błysku błyskawicy, świecącego na tle ciemności niczym złoty dziki kot. Odrzucił swój surdut. Jego koszula koloru kości słoniowej była rozpięta pod szyją. Wiatr rozwiewał mu włosy na ramionach. Zdarł z siebie swoją nowo odkrytą uprzejmość. Był naturalny i niebezpieczny jak drapieżnik.

Powietrze między nimi nosiło zapowiedź wyzwania. Sabrinę ogarnęło radosne podniecenie, ostre i elektryzujące.

Morgan nie przejmował się wózkiem, chwycił ją w ramiona, zaniósł do środka i ułożył wśród poduszek na zmiętej pościeli na łóżku.

- Jeszcze krzesło - zaprotestowała. - Może zardzewieć.

- A niech rdzewieje - powiedział, podchodząc do drzwi, by zamknąć je, zagłuszając tym samym nadchodzącą burzę. Wiatr spychał deszcz na ołowiane szyby, zamykając je w wodnym niebie.

Gasnący ogień zaczął przy nim znów mocniej się tlić. Wilgotna koszula przywarła do jego pleców.

- Z pewnością jesteś już w Londynie na tyle długo, by wiedzieć, że młodej damie nie przystoi zabawiać mężczyzny w swojej sypialni. - Jej słowa były zabarwiona nutką przekory.

Stanął przed nią, a cały humor zniknął z jego oczu.

- Nawet gdy jest jego żoną?

Jego żona. Zaborczy ton przyprawił Sabrinę o dreszcze. Morgan wiedział, że przyście do jej sypialni było kolejnym z pasma błędów, które rozpoczęła zgoda na poślubienie córki Dougala Camerona. Odległość między nimi zmniejszała się z każdym jej nieśmiałym uśmiechem, z każdym zwilżeniem przez niego ust.

Jego żona. Te słowa nigdy nie powinny były stać się tak święte i nieodwołalne, jak życzył sobie Bóg. Tak święte, jak Biblia wystająca spod jej łóżka. Tak święte, jak miękkie pierze i zmięte płótna, na których układała się do spoczynku.

Sabrina opadła na łóżko wciskając głowę w poduszki, gdy zasłonił ją cień Morgana. Nie bała się jego, lecz samej siebie.

- Nie mogę - wyszeptała, odwracając wzrok.

Morgan położył się przy niej, ujął jej policzek w dłoń i przysunął do siebie jej twarz.

- Cokolwiek stanie się jutro - powiedział łagodnie. - Tej nocy jesteś jeszcze moją żoną.

Sabrinę zalała fala nieśmiałości. Łzy, które tak długo powstrzymywała, teraz popłynęły po jej policzkach.

- Nie rozumiesz! Nie jestem ciebie warta! Nie jestem już

pełnowartościową kobietą. Nie wiem co robić. Nie mogę zadowolić cię tak, jak na to zasługujesz.

Morgan scałował z niej łzę, potem następną. Jego język rozmazywał słoną wilgoć. Nagle zachichotał gardłowo.

- Och dziewczyno! Ty jesteś dla mnie czymś więcej niż kobietą. I możesz mnie zadowolić tak, jak mi się nigdy nawet nie śniło.

Jego nieznośnie rozgrzane usta wędrowały niżej, śledząc łukowate kształty jej szyi, wgłębienie pod obojczykiem, i wreszcie twardy pączek jej sutka, schowanego pod mokrą koszula nocną. Zajęczała, gdy lekko musnął go językiem, a potem ssał w narastającym szale czystej przyjemności spływającej falami na jej łono. Jej palce wiły się wokół szorstkiego jedwabiu jego włosów. Uniósł głowę, napotykając jej pożądlivy wzrok.

- Zdejmijmy ją. Jest cała mokra, a ja nie chcę, żebyś się przeziębiła.

Sabrina wiedziała, że nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. Cała drżała, gdy ściągał koszulę nocną, pozostawiając ją trzęsącą się tuż pod sobą. Nigdy wcześniej nie była tak świadoma swojej bezsilności. Ten mężczyzna mógł z nią teraz zrobić wszystko, co chciał. Absolutnie wszystko. Przypomniała sobie, że przecież był jej mężem. Mimo to wciąż nie mogła pozbyć się poczucia, że to, co miał zrobić w cichym, ciemnym domu jej ciotki i wuja było grzeszne. Zabronione.

Na razie skupił się tylko na całowaniu jej. Delikatnie. Czule. Dopasowując swoje usta do jej ust, pogłębiając pocałunki z każdym ciepłym i słodkim dotknięciem jej języka aż do momentu, w którym całkowicie poddała się jego rytmowi i błagała o jeszcze, wyginając swoje nagie ciało.

Jego zęby skubały jej kark.

- Boże, dziewczyno - wyszeptał. - Zawsze wiedziałem, że Cameronowie to dla mnie śmierć.

Ześlizgnął się w dół, nie szczędząc pocałunków jej piersiom, jej wklęsłemu brzuchowi i małemu pieprzykowi na biodrze. Blask ognia oświetlił jego włosy, gdy zaczął muskać jej uda.

- Nie! - wyszeptała ostro Sabrina.

Morgan uniósł głowę i spojrzał na nią z urażonym zdziwieniem.

Chyba nie była tak okrutna, by teraz go odrzucić. A jeśli tak, to już koniec. Mógł oczywiście zabawić się w drania, ale jeśli miał ją zmuszać, to równie dobrze mógł wstać i wyjść z pokoju w pełnym stroju i z nienaruszoną dumą.

- Nie! - powiedziała Sabrina już łagodniej.

Objęła jego ramiona rękami i pchnęła lekko na poduszki. Morgan zeszywniał, nie mając zamiaru poddać się jej kontroli.

- Proszę - wyszeptała.

Sabrina nie patrzyła mu w oczy, lecz jej drżące ręce dały Morganowi do zrozumienia, że to, o co go prosiła, było ważne. Może było to największym prezentem, jaki mógł jej dać. Opadł na poduszki, poddając się łagodnym pieszczotom jej dłoni.

Morgan nigdy nie pozwolił sobie na przyjemność bycia rozbieranym przez kobietę, nawet jako dziecko. Oparł się wygodnie, a Sabrina rozsznurowała jego koszulę. Wstrzymał oddech, gdy ujęła jego twarz w delikatne skrzydła swoich rąk i pocałowała go. Odgarnęła włosy z jego twarzy, a jej hipnotyczny dotyk sprawił, że stał się senny.

Jednakże senność minęła, gdy jej usta zaczęły sunąć po kolumnie jego szyi, by wreszcie wślizgnąć się na jego piersi niczym płomień.

Sabrina czuła jak mięśnie na jego brzuchu drżą pod jej ustami, słyszała mruczenie, gdy przesuwiała język po linii złotych włosów ciągnących się od pępka do górnego guzika jego bryczesów. Mruczenie przeszły w jęk, gdy złapała zębami guzik i rozpięła go zręcznie.

Jego biodra wygięły się w łuk.

- Czy ty w ogóle masz dziewczyno pojęcie, co mi robisz? - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Jakież mam - powiedziała, odpinając kolejny guzik. Bryczesy Morgana były napięte na wybrzuszeniach jego ciała, a ich nieskazitelne szwy już prawie pękały.

- Cholerny krawiec - wymamrotał Morgan. - Szkoda, że nie mogę zacisnąć swoich rąk na jego małej, wątlej szyi.

Zajęczał ochryple, gdy Sabrina rozpięła ostatni guzik, pozostawiając jego rozpalone ciało na łaskę jej kuszącego oddechu.

Zanurzył palce w jej włosach, zmuszając ją, by wzrokiem pokonała przestrzeń jego złotej skóry i spojrzała mu w oczy. Jej oczy świeciły blaskiem, którego myślał, że już więcej nie dane mu będzie zobaczyć.

Sabrina była nim urzeczona. Jak gdyby Bóg stworzył człowieka o nieskazitelnej męskości tylko po to, by ją zadowolić.

- Mogę?

Te właśnie słowa Morgan spodziewał się od niej usłyszeć. Padł na poduszki, kiwając oszołomioną głową.

- Jak mógłbym odmówić, skoro tak ładnie prosisz?

- Zamknij oczy i wyobraź sobie, że jestem Kirke - rozkazała. - Jeśli nie poddasz się moim sztuczkom, zamienię cię w świnię.

Morgan oparł głowę na ramionach i leżał w leniwej pozycji zwodniczego porzucenia. Jego płonące oczy obiecywały jej słodka zemstę.

- Nigdy nie ucz Morgana MacDonnella, jak z wdziękiem oddać się w ręce losu.

Morgan miał się dopiero dowiedzieć, co znaczy wdzięk pod czułą władzą Sabriny. Wdzięk, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Gdy objęły go jej miękkie usta, miał wrażenie, że za chwilę rozpadnie się na kawałki. Zaciśnął zęby i wygiął szyję, wydając z siebie gardłowy jęk. Ekstaza przelewała się w nim niczym dziki potok, a hojne usta Sabriny pozwoliły mu zobaczyć kawałek nieba.

Sabrina zajęczała, by dać Morganowi dowód całej tej miłości, którą gromadziła w sercu przez wszystkie te lata. Rozkoszowała się nim, chlubiąc się tym, że może go zadowolić.

To był pierwszy raz, kiedy mogła poczuć smak władzy odkąd spadła z tamtego klifu, a teraz kochała Morgana na nowo. Był jej wspaniałą, złota bestią i zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie chciała go ujarzmić. Wręcz przeciwnie, chciała raczej, by jeszcze bardziej zdziczał.

Jego ręce zaplątały się w jej włosy, czyniąc z niej niewolnicę, choć to ona go zniewalała. Zniewalała go jedynie słodka jak miód obietnicą wybawiania go z tej rozkosznej tortury.

Zagryzając wargi, Morgan doszedł do kresu swojej wytrzymałości. Chwilę potem Sabrina leżała już pod nim. Koniuszkami pal-

ców dotykał z zachwytem jej ust, jak gdyby chciał zapamiętać ich delikatność i kształt.

Jego twarz była napięta, że nie mógł już dłużej się powstrzymać.

- Nie mogę czekać dziewczyno. To już za długo.

Przewlekł palce przez miękkie, ciemne włosy między jej nogami i jęcząc z rozkoszy, poczuł, jak Sabrina rozplywa się w jego dłoni. W zamglonych oczach Sabriny widać było zarówno strach, jak i namiętność. Jednakże w swoim wielkim zniecierpliwieniu, Morgan znalazł chwilę, by rozsunąć jej sprężyste nogi i delikatnie je z sobą oswoić.

Jego usta dotknęły jej nabrzmiątych warg, zwilżając je, przynosząc ulgę, nawet gdy jego ciężka męskość spoczywała w niej głęboko, rozszczepiając jej ciało i serce jednym majestatycznym muśnięciem. Sabrina zapomniała już, że tak czysta przyjemność jest w ogóle możliwa. Usta Morgana pożerały jej dziki i łagodny zarazem krzyk.

- Księżniczko - wyszeptał jej do ucha. - Moja piękna, piękna księżniczko. Chcę cię zepsuć. Rozpieszczać. Dogadzać.

I po chwili właśnie tym się zajął. Psuć ją, by nie dotknął jej żaden inny mężczyzna. Rozpieszczać z przyjemnością. Dogadzać jej swoją długą męskością, aż nie mogła już zrobić nic innego, tylko przywrzeć do jego ramion, jęcząc niekończący się hymn wdzięczności. Jednakże, nawet to nie wystarczyło Morganowi. Sięgnął między jej nogi i delikatnie omiatał kciukiem małe pączek usadowiony w jedwabistych loczkach.

Sabrina wygięła się w łuk. Po jej głowie nie krzątały się żadne myśli. Jej kalekie nogi nagle ożywiły się, owijając się wokół jego talii, a jej pięty popychały jego plecy, zachęcając go, by wszedł w nią jeszcze głębiej.

Morgan miał tylko krótką chwilę, by rozkoszować się swoim tryumfem. Po chwili poczuł łagodne pulsowanie jej jedwabistego wnętrza, które sprawiło, że wpadł w zachwyt. Przeciwwstawił się jej i zaryczał niczym piorun.

Morgan siedział ubrany na brzegu łóżka i patrzył na śpiącą

Sabrinę. Głaskał nagą wklęsłość na jej plecach zafascynowany półprzezroczystością jej skóry. Świeciła w porannym świetle, wydzielając blask, który kusił go, by odnaleźć wgłębienia jej kręgosłupa. Mruczając z niezadowolenia, Sabrina wtuliła się głębiej w poduszkę.

Morgan uśmiechnął się. Z potarganymi włosami i pośladkami przykrytymi tylko do połowy Sabrina wyglądała nie jak księżniczka, ale jak dziewczyna z haremu po upojonej nocy z sułtanem.

Jego ręka powędrowała do jej jedwabistej łydki, ściskając lekko rozluźnione mięśnie. Nigdy nie zapomni tej cudownej chwili, kiedy to jej piękne nogi oplotły jego talię.

Hej, pomyślał, dziewczyna znów będzie mogła chodzić. Sam się do tego przyczynił. Jego uśmiech stał się diaboliczny. Źle się z początku do tego zabierał. Powinien był wiedzieć, że istnieje dużo przyjemniejszy sposób, by krew znów popłynęła w jej żyłach.

Zegar wybił piątą gdzieś głęboko w zakamarkach domu. Morgan wiedział, że lepiej będzie, jeśli wyjdzie, nim nadejdzie służba. Biedni Belmontowie nie ucieszyliby się raczej na widok kolejnego nędznego Szkota wykorzystującego kobiety. Musiał również napisać do Dougala i Elizabeth, by poinformować ich, że zdecydował się zostać w Londynie i walczyć o swoją pannę młodą.

Głaszcząc włosy Sabriny, walczył z napływającymi do niego falami wątpliwościami. Już raz powierzyła mu swoje ciało i potem mogła mieć pretensje jedynie do niego, gdy zostało stratowane. Musiało minąć jeszcze wiele czasu, by odważyła się zawierzyć mu swoje serce.

Westchnąwszy, okrył ją kołdrą, wstał i wciągnął pogniecioną koszulę w bryczesy. Jakiś przedmiot uderzył o podłogę u jego stóp. Morgan spojrzał w dół i zobaczył Biblię, którą widział wystającą spod materaca poprzedniego wieczora. Schylił się, by ją podnieść, wiedząc instynktownie, że spośród wszystkich książek ta właśnie zasługiwała na największy szacunek. Spadając, otworzyła się, wypuszczając sucha mgiełkę gałązek i liści.

Słyszał w uszach dudnienie swojego serca. Jego ręce trzęsły się, gdy dotykał cienkich jak papier płatków, rozpoznając w nich

kolcolist tak popularny na jego góralskiej ziemi. Spojrzał na Sabrinę z nowym zachwytem. Odrzuciła go, lecz nie była w stanie odrzucić tej obrzydliwej kępki zielska. Zachowała ją, wciskając między strony tej książki niczym swoje uśpione serce. Morgan włożył susz do kieszonki przy swoim sercu, a Biblię wsunął pod materac. Czuł w sobie radosne podniecenie. Miał jeszcze wiele do zrobienia przed powrotem do domu.

Gdy Morgan wyszedł z ogrodu, cienkie jak kwiatowy płatek słońce już wynurzało się zza horyzontu. Para z nocnego deszczu syczała nad chodnikiem, tworząc poranna mgłę.

Był tak bardzo zajęty rozmyślaniami o swoich zamiarach, że potknął się na widok odzianej w płaszcz postaci stojącej na jego drodze.

- Mój panie, masz może jakąś półpensówkę?

Morgan zmarszczył czoło. Pomyślał, że przecież za wcześnie jeszcze na żebraków. Jednakże jego wytarta peleryna była przemoknięta, jak gdyby spał na zewnątrz podczas burzy. Morgan wyciągnął sakiewkę, przypomniawszy sobie czasy, kiedy to on był głodny i mokry. Zaczął szukać w niej garści monet, lecz po chwili położył ją całą na wyciągniętych rękach żebraka, chcąc podzielić się swoim własnym szczęściem i nadzieją z kimś, komu ich brakowało.

- Wydadz je w dobrym zdrowiu, przyjacielu.

- Dziękuję, mój panie - zawołał za nim żebrak. - Nie zapomnę pana! Przysięgam!

Jednakże Morgan przechadzając się chodnikiem i pogwizdując, już zdążył o nim zapomnieć. Jego kroki były żwawe, a myśli choć raz nie skupione na przeszłości, lecz na przyszłości.

Pierwszy raz od kilku miesięcy Sabrina obudziła się z uśmiechem na ustach. Poranne światło słoneczne wdarło się przez uchylone drzwi tarasu. Przeciągnęła się, radując się z leniwego bólu mięśni. Znów czuła się jak dziecko budząc się i radośnie witając nowy dzień pełen nowych możliwości.

Sabrina mimowolnie wygięła pod kołdrą stopy, a potem patrzyła na nie, urzeczona płynnością ich ruchów. Co, gdyby musiała

zachowywać się tak jak w jeden z tych dni? Co, gdyby po prostu usiadła i postawiła stopy na podłodze?

Wślizgnąwszy się w swoją koszulę nocną, odrzuciła pościel i pomalutku wysuwała nogi w kierunku brzegu materaca, aż prawie dotykały podłogi. Kropla potu spłynęła po jej skroni. Zagryzając język między zębami, odpychając się rękami, podsunęła się do przodu i prężyła palce u nóg, póki nie zetknęły się z podłogą. Przesunęła zadek na brzeg materaca. Rozprostowała palce, gdy tylko poczuła pod nimi polerowane, twarde drewno.

Wstrzymując oddech, powoli przenosiła ciężar ciała z materaca na stopy, póki nie stanęła na nogach. Stała, ale nie chodziła, co udało jej się już wielokrotnie wcześniej.

Nie zwracając uwagi na słabe, drżące mięśnie łydek, postawiła maleńki krok do przodu, potem drugi. Cały czas starała się wbić palce w drewno podłogi, szukając równowagi.

Jej żyły wypełniło radosne podniecenie. Może i oddaliła się od swojego łóżka tylko o kilka cali, ale zrobiła to sama. Chodziła. Czyż Morgan nie byłby zszokowany, gdyby pobiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona? Sama myśl o tym przyprawiła ją o zawrót głowy. Zachwiała się. Sabrina padła na podłogę zdążywszy chwycić ręką sznur dzwonka.

Szarpnęła nim dwoma rękami, wprawiając dzwonek w radosny taniec.

- Beatrice! - krzyczała. - Bea, choć szybko!

Młoda pokojówka wpadła do pokoju w koszuli nocnej z włosami uplecionymi w warkocz. Jej pulchne policzki były zarumienione.

- Och panienko! Co się stało? Nic panience nie jest? Upadła panienka?

Sabrina zaczęła już sama powoli wstawać, podpierając się na kolumnie, na której zamocowany był baldachim.

- Oczywiście, że upadłam! Czy to nie wspaniałe? Już nie mogę się doczekać, by znów upaść!

Nie musiała długo czekać. Puściła kolumnę raz. Potem drugi. Bea pospieszyła, by ją złapać, ale obie padły na podłogę, tworząc

skupisko bezładnych kończyn. Śmiech Sabriny był tak zaraźliwy, że wołanie Bea o pomoc zmieniło się w zduszony chichot.

- Czy mam obudzić pana i panią? - spytała Bea zdyszczanym głosem. -
Wiem, że chcieliby to zobaczyć.

Sabrina poczuła wstyd na sama myśl o tym, przez co musieli przejść jej ciotka i wuj przez ostatnich kilka miesięcy.

- Może później. Mam coś pilniejszego do załatwienia. Każ Teddiemu podprowadzić powóz pod bramę ogrody.

Bea pospieszyła, by wykonać jej polecenie.

- Ach, jeszcze jedno Bea!

- Tak panienko? Sabrina uśmiechnęła się.

- Najpierw przynieś mi śniadanie. Umieram z głodu.

Sabrina wystawiła głowę przez okno powozu.

- Pospiesz się Teddy! Jesteś pewien, że masz właściwy adres? Czy konie nie mogą galopować szybciej?

- Mamy adres hrabiego i jedziemy tak szybko, jak to możliwe panienko! - powiedział lokaj. - Na ostatnim skrzyżowaniu prawie stratowalibyśmy jakiegoś gentlemiana.

Miły gentleman pomachał tylko pięścią i głośno zakwestionował pochodzenie woźnicy. Sabrina podskakiwała w powozie z góry na dół, jak gdyby mogła na swoim przykładzie pokazać koniom, że można galopować szybciej. Ciepła poranna bryza odczepiła kilka kosmyków z jej luźno upiętego koka. Burza umyła wąskie ulice Londynu i sprawiła, że powietrze aż lśniło świeżością.

W oczach Sabriny cały świat wyglądał świeżo i był pełen nadziei. Nawet odziany w pelerynę, zgarbiony żebrak na rogu ulicy Morgana.

Powóz zatrzymał się na ulicy naprzeciwko skromnego, drewnianego domu. Ku zdziwieniu Teddiego sama otworzyła drzwi powozu.

- Wózek, Teddy. Ja zajmę się drzwiami. Ty weź wózek. Gdy Teddy poszedł na tył powozu, by odczepić wózek, Sabrina

miała cichą nadzieję, że nie będzie musiała z niego korzystać. Uśmiechając się do swoich myśli, niecierpliwie zatupała nogami. Jednakże nim Teddy zdążył podstawić wózek, drzwi domu otworzyły się na oścież. Na ganku pojawił się jakiś mężczyzna i jakaś

kobieta. Sabrina usłyszała rozmowę i wybuch męskiego śmiechu. Gdy kobieta odchyliła głowę, by obdarzyć uśmiechem brodatego mężczyznę, jej woalka osunęła się, odsłaniając kasztanowe włosy elegancko zaczesane do góry. Promienie słońca pieściły ciemne kosmyki.

Sabrina cofnęła się i ukryła w ciemnym wnętrzu powozu. Z jej twarzy zniknął uśmiech.

Za nimi pojawił się kolejny mężczyzna. Rozczochrany, rozpustnie przystojny, nieogolony gigant. Jego śnieżnobiałe zęby świeciły w olśniewającym uśmiechu. Brodaty mężczyzna klepnął go w plecy, po czym zatrzymał się na schodach by rzucić mu grubą sakiewkę.

Sabrina parzyła, jak jej rodzice idą ulicą pod rękę. Ich kroki były lżejsze niż opalizujące powietrze. Morgan stał jeszcze chwilę na ganku, podrzucając ciężką sakwę i starając się ocenić jej wartość. Potem odwrócił się i wszedł do domu.

Trzydzieści sztuk srebra.

Ta myśl pojawiła się w jej głowie już zupełnie ukształtowana, okropna, i naznaczona zdradą oraz wspomnieniem pełnych namiętności słów Morgana w lochu jej ojca. Namiętności, która nie miała z nią nic wspólnego.

Są wszystkim, co mam. Wszystkim, czym jestem. Zrobię dla nich wszystko. Napcham nawet kufry MacDonnellów skradzionym złotem, romansując z córką Dougaja Camerona.

Sabrina przypominała sobie kobietę i mężczyznę, których widziała na rogu, i że miała dziwne wrażenie, że jest śledzona. Czy jej rodzice wszystko to widzieli? Każdy upadek, każdy napad złości, każdą zgryźliwą wymianę zdań? Jej otulona rękawiczką ręka powędrowała do ust, tłumiąc histeryczny szloch.

Czy jej ojciec zapłacił Morganowi z góry, czy też na bieżąco dawał mu pieniądze na zawołanie? Czy jego urocze uśmiechy kosztowały extra? A pocałunki? I co z ostatnią nocą? Wszyscy troje z pewnością świętowali. Czy Morgan wprowadził ich w szczegóły ich romansu? Sabrina zamknęła oczy na myśl o swoich ustach na jego lśniącym ciele i jego smaku na swoim języku.

Ponizenie paliło ją niczym rozżarzone węgle, wzbudzając w niej odrazę swoim gorącem.

Jej tatko zrobiłby dla niej wszystko.

Morgan zrobiłby wszystko dla swojego klanu.

Nawet Ewa poparłaby ich przebiegły plan i jego niezaprzeczalna logikę.

W drzwiach powozu pojawił się Teddy. Jego twarz płonęła od siłowania się z wózkiem. Sabrina patrzyła na w żelazno-drewniane monstrum. Nienawidziła go. Nienawidziła ich wszystkich. Wiedziała już, że zapłaciły za nie pieniądze jej ojca.

- Zabierz to - rozkazała.

Pełen konsternacji lokaj zmarszczył czoło.

- Ale powiedziała panienska, że...

- Nie obchodzi mnie co powiedziałam. Zabierz to. Nie chce tego więcej widzieć.

Trzasnęła drzwiami powozu i czekała aż wróci Teddy. Po chwili zobaczyła go za oknem. Na jego twarzy widać było smutek.

- Gdzie teraz panienska?

- Do domu - powiedziała, patrząc tępo przed siebie. - Jadę do domu.

Rozdział 30

Rodzice Sabriny pojawili się w domu przy Hanover Square prawie godzinę później. Na ich twarzach widać było tajemniczy zachwyt. Przygnębiona Bea wprowadziła ich do salonu, gdzie za biurkiem ciotki siedziała Sabrina. Oboje podbiegli do niej. Nawet pełen wdzięku krok jej matki przerodził się w rozentuzjasmowane podskoki.

- Kochanie!

- Och, tu jest moja mała księżniczka! Strasznie się za tobą stęskniliśmy!

Sabrina chłodno obróciła ku nim policzki, by dać się ucałować, jak gdyby nie wiedzieli się tylko kilka godzin, a nie tygodni. Uśmiechnęli się do siebie znacząco przekonani, że jej opanowanie było tylko podstępem.

Po wymianie uprzejmości, po opowiedzeniu o Brianie i Alexie, o wiośnie w Cameronie jej ojciec odchrząknął i zrobił surowa minę. Wyciągnął z kieszeni zwinięty dokument.

- Nie muszę ci chyba mówić, po co tu przyszedłem, prawda? Wreszcie uzyskałem papiery unieważniające.

- Czy zawsze załatwienie unieważnienia zajmuje tak strasznie dużo czasu? - zapytała.

Rodzice spojrzeli na siebie, mamrocząc coś o „ograniczeniach” i „okolicznościach łagodzących”.

- W każdym razie - powiedział serdecznie, rozwijając papier teatralnym gestem. - Musisz tylko podpisać się nad pieczęcią sędziego i będziesz miała z głowy okropnego MacDonnella na zawsze.

Pomachał jej dokumentami przed nosem, oczekując oczywiście, że Sabrina ich nie podpisze. Wyrwała mu je z ręki i rozprostowała na biurku. Jej matka otworzyła szeroko usta. Dougal wydał z siebie dziwny dźwięk, a Sabrina wiedziała, że tylko jedna sylaba dzieliła

go od zdradzenia się. Nie zadawszy sobie nawet trudu, by przeczytać dokument, Sabrina chwyciła na pióro, umaczała je w kałamarzu i podpisała się pod oficjalną pieczęcią, której brakowało charakterystycznych ozdób. Rozsypała piasek na podpisie, energicznym ruchem otrzepała papier i wręczyła go ojcu.

- No i stało się. Czy możemy już iść?

- Iść - powtórzył tępo jej ojciec. Jego ręce zacisnęły się wokół zwoju papieru, jak gdyby miał zaraz zgnieść go w kulkę. - Iść gdzie?

Elizabeth skubała swoją chusteczkę. Jej twarz była pozbawiona wyrazu.

- Do domu - powiedziała Sabrina. - Do Cameronu. Moje torby leżą spakowane w korytarzu.

- Tak, księżniczko, gdzie tylko chcesz - powiedział odruchowo jej ojciec. - Jeśli tylko chcesz, pojedziemy zaraz. - Odwrócił się od biurka, jak gdyby nie mógł znieść jej widoku. Jego kroki były ciężkie i powolne, jak gdyby w dziesięć minut przybyło mu dziesięć lat.

- Tatku? - Sabrina wyciągnęła ręce. - Musisz mnie zanieść. Nie pamiętasz? Przecież nie mogę chodzić.

Dokładnie o drugiej tego popołudnia, Morgan wchodził po schodkach domu Belmontów, zmuszony patrzeć zza wielkiego bukietu szklarnianych róż, które niósł w rękę. Musiał się bardzo kontrolować, by nie przyjść wcześniej, ale uznał, że tak doniosła chwila wymagała odpowiedniego ceremoniału.

Na jego energiczne pukanie nie odpowiedział kamerdyner, lecz piegowata pokojówka z zaczerwienionymi oczami. Była zbyt zajęta, by zauważyć i skomentować jego bukiet.

- Już wołam Jego Ekscelencję, proszę pana. Wpuszczając go do środka, potarła nos fartuchem.

- Przepraszam pana, pewnie wyglądam strasznie. Kiedyś zrobiłabym wszystko, by się tylko jej pozbyć. Ale teraz, gdy jej nie ma... - Zaczęła pociągać nosem.

Morgan nie chciał, by ktokolwiek dziś cierpiał.

- No już, dziewczyno. Nie ma potrzeby płakać. Na pewno

panienka Enid przyjedzie na święta Bożego Narodzenia. Powinnaś się cieszyć jej szczęściem. W końcu jej mąż powrócił ze świata umarłych. Jej dziecko potrzebuje ojca.

- Ależ ja cieszę się ze szczęścia pani Enid. Ale miałam na myśli młodą panienkę.

- Młodą panienkę? - Morgan zaczynał mieć złe przeczucia. Zatrzymał się.

- Panienkę Sabrinę - powiedziała pokojówka, idąc dalej. Morgan upuścił róże. Podbiegł do służącej, złapał za ramiona i potrząsnął. Na jej zalanej łzami twarzy szukał prawdy, której bał się poznać.

- Sabrinę? Nie ma Sabriny? Gdzie? Kiedy? Jak długo?

- Kilka godzin. Od około dziesiątej rano.

Morganem wstrząsnęły sprzeczne emocje. Pokojówka struchlała widząc jego wściekłą minę. Puścił ją i popędził w stronę drzwi, deptając po drodze rozsypane róże.

Rozdział 31

Wierzchowiec Morgana pędził przez wrzosowiska, ledwie dotykając podłoża swoimi żelaznymi podkowami. Gdyby tylko chciał, mógł zamknąć oczy i przez chwilę wyobrazić sobie, że to Pookah, z grzywą rozwianą wiatrem, z poczuciem wolności wydobywającym się z jego nozdrzy przy każdym oddechu.

Jednak Pookah nie żył, a Morgan zrozumiał, że są rzeczy cenniejsze niż wolność.

Cenniejsze nawet niż duma. Duma podpowiedziałyby mu, żeby wrócić do zamku MacDonnellów, zebrać swój klan i zaatakować podstępnych Cameronów. Jednakże, zamiast atakować, jechał teraz do Cameronu, by ostatecznie zdobyć uparte, kobiece serce, a jedyną oznaką dumy był jasny, nowy szkocki stój, w który by ubrany.

Fioletowe chmury barwiły horyzont. Niebo wolno ciemniało i coraz bardziej przypominało szafirowy błękit oczu Sabriny. Ogromny księżyc wisiał ponad szczytami gór niczym zamrożona perła, a Morgan pokierował konia w stronę jego przewodniego światła.

To mógł być spokojny wieczorów w rezydencji Cameronów.

Brian i Alex grali w szachy w salonie przed kominkiem. Pugsley drzemał na pledzie. Elizabeth przewlekała smukłą igłę przez płótno koloru kości słoniowej, a u jej stóp stał koszyk z szyciem. Dougal siedział za orzechowym biurkiem otoczony oprawionymi w skórę księgami rejestrów wiosennego sadzenia. Chrapnięcia Pugsleya odliczały upływające minuty.

Żadne z nich nie zareagowało na głośnie walenie do drzwi. Pugsley uniósł głowę i zaczął merdać swoim pokrytym loczkami ogonem.

Dougal przewrócił stronę, a jego oczy wciąż były utkwione

w księgę główną. Elizabeth zawiązała supełek i odgryzła zębami pozostającą nitkę. Alex zdobył wieżę Briana i uśmiechając się dumnie, zabrał ją z szachownicy.

Masywne drewniane drzwi zadrżały pod falą silnych uderzeń, jaka je zalała. Służący wyszedł pośpiesznie z kuchni, lecz Dougal zatrzymał go ostrzegawczym wzrokiem. Pugsley podskoczył z entuzjazmem, jakiego nie widzieli u niego od tygodni i zaczął brykać radośnie pod drzwiami.

Dougal pogładził brodę. W każdej szczelinie jego czoła widać było znużenie. Nie był pewien czy jego rodzina przetrwa kolejne oblężenie MacDonnellów. Wiedział, że na pewno nie wytrzyma go jego córka.

Starożytne drewno pękło pod jednym z kolejnym uderzeń. Pugsley czmychnął w bok i zaczął ujadać podekscytowany, gdy wódz MacDonnellów przeszedł przez szczątki drzwi. Morgan uciszył go jednym spojrzeniem. Skarcona psina schyliła pyszczek i schowała go między łapami.

- Przyszedłem zobaczyć żonę. - Głos Morgana zadźwięczał w pełnej napięcia ciszy.

Dougal wstał. Elizabeth kontynuowała szycie, nie zakłócając rytmu ruchów igły. Brian wpatrywał się w szachownice jak gdyby od następnego ruchu zależała cała jego przyszłość.

- Sabrina nie jest już twoją żoną - powiedział Dougal. Niewzruszonym obliczem Morgana wstrząsnął spazm bólu, który po chwili zmienił się we wściekłą furję.

- Może nie w oczach waszego angielskiego prawa. Ale w oczach Boga wciąż jestem jej mężem.

Alex wstał powoli i stanął obok ojca.

- Przyjacielu, nie ma powodu, by zachowywać się nierozsądnie...

- Nie jestem twoim przyjacielem - syknął Morgan. - I nie jestem zainteresowany rozsądkiem. Nie, jeśli Cameronowie wykorzystują go do swoich celów. Jedyłą rzeczą, która mnie interesuje, jest Sabrina.

- Dobrze. Brian, przyprowadź siostrę. - Ramiona Dougala opadły.

- Nie!

Ostry rozkaz Morgana wstrząsnął nimi wszystkimi. Jednak to pistolet w jego dłoni zmroził Briana w fotelu i sprawił, że Elizabeth z trudem zaczęła łapać powietrze.

- Nie - powtórzył Morgan. - Tym razem nie zniosę żadnego wtrącania się z waszej strony. A szczególnie twojego, Dougal. Mam już dość twojego wtrącania się na całe życie.

Dougal stanął przed żoną, zasłaniając ją swoim ciałem.

- Nie rób niczego, czego będziesz potem żałował.

Światło lampy odbijało się od lśniącej lufy, gdy Morgan wymierzył nią w piersi Dougala.

- Już to zrobiłem. Zaufałem Cameronom.

Morgan rzucił się na schody, z każdym krokiem pokonując po trzy stopnie. Przeszedł przez galerię. Echo jego kroków na drewnianej podłodze było tak niesamowite, jakby mury rezydencji nigdy nie doświadczyły dźwięków ludzkiego śmiechu czy radosnych piosenek. Przed jego oczami wyłonił się ciemny korytarz. Bez wahania ruszył w jego głąb, szukając drzwi, które pamiętał z dzieciństwa, drzwi, przez które tak często próbował przejść nęcony dzwoniącą muzyką dziewczęcego śmiechu.

Otworzył drzwi i poczuł, jakby czas się dla niego zatrzymał. Komnata była pusta. Narzuta na łóżku była gładka i nie zgnieciona zupełnie jak leżąca na poduszkach szmaciana lalka. Na palisandrowym stoliczku wciąż stał miniaturowy zestaw do kawy. Morgan podniósł jedną z maleńkich filiżanek, a jego palce nagle wydały mu się za duże w porównaniu z dłonią.

Małe krzeselka nie były puste; wypełniły je duchy jego żalów: Sabrina, jej błyszczące oczy, tańczące loki; bezimienna lalka pochylona nad filiżanką; zlizujący śmietanę ze spodka, pochlapany farbą kociak, który wygląda głupio w ozdobionym piórkiem kapeluszu dla lalek zawiązanym pod pyszczkiem.

Ciszę zakłócił błagalny głos małej dziewczynki. Chodź Morgan, napij się ze mną czekolady. Izabella, lalka i ja jemy dziś pierniczki.

Filiżanka wyslizgnęła mu się z rąk i rozbiła o podłogę. Morgan delikatnie zamknął drzwi, jak gdyby chcąc zachować mieszkanie

w niej wspomnienia nietknięte. Biegł przez korytarz, otwierając każde napotkane na swojej drodze drzwi i znajdując w nich tylko kolejne duchy i żale. Wpadł powrotem do galerii. Jego pięści były zaciśnięte, a klatka piersiowa poruszała się we frustracji.

Na samym szczycie schodów pozostały jeszcze jedne nietknięte drzwi. Morgan zwolnił oddech, gdy zbliżał się do nich, stawiając każdy kolejny krok jak gdyby właśnie on miał być jego ostatnim.

Polerowany dąb drzwi na poddasze wydał się chłodny pod jego ręką. Otworzyły się bezgłośnie.

Powinien był się domyślić, że tam na niego czekała, skąpiana w świetle księżycy niczym tamta pamiętna, jesienna noc. Siedziała w pozycji półleżącej na sofie przy oknie. Jej koszula nocna świeciła całowana przez księżycowy blask. Wpatrywała się w jasną kulę jak zahipnotyzowana. Marzycielskim ruchem czesała rozpuszczone włosy. Wydawała się zadumana.

Morgan zawahał się w drzwiach. Czuł się, jak gdyby bezcześcił świętą ziemię. Jakby zakłócał spokój sanktuarium, które wybrała, odrzucając życie, które on mógł jej dać. Wybrała życie w pozbawionym wyrazu spokoju zamiast słodko-gorzkiej radości i mozołu. Bez ryzyka. Bez bólu. Bez straty, bo tracić nie było czego. Wiedział, co musi zrobić. Ogarnęło go poczucie jego własnej straty.

Ptaki zaświergotały powitalnie ze swojej klatki, ale Sabrina nawet nie odwróciła głowy.

Przesunęła szczołkę wzdłuż ciemnego kosmyka.

- Zamykanie moich rodziców w kościele nie było zbyt szlachetne z twojej strony. Strasznie przestraszyłeś służbę.

- Wiesz dobrze, że nie gram fair. Jeśli bardzo chcą się wydostać, mogą wybić cholerne okna.

Rzuciła mu znad ramienia besztające spojrzenie.

- Mama nigdy by na to nie pozwoliła. Te okna mają ponad sto lat. Zostały przywiezione z Heidelberga.

Morgan zrobił kilka kroków i stanął za nią. Nie patrzył na światło świec w kościele na dziedzińcu, lecz na połyskujące fale spływające po ramionach Sabriny. Otworzyła lekko okno jakby motywowana tylko uprzejmą ciekawością.

Uniosła głowę, całkowicie zdystansowana i poza jego zasięgiem zupełnie jak odległy księżyc.

- Są bardzo spokojni, prawda? Pewnie modlą się za twoją duszę.

- Powinni modlić się za twoją. Jeśli oczywiście nadal ją masz.

Zamknęła okno, odcinając nocny wiatr i przytłaczając ich spokojem, który wydał się Morganowi bardziej uciążliwy niż jakiegokolwiek płaczące żądania jego ludzi z klanu, które niejednokrotnie przychodziło mu usłyszeć.

- Jeśli przyszedłeś nas okraść - powiedziała, odkładając na bok szczotkę do włosów. - To klejnoty mamy są w szkatułce, pod luźną deską podłogową w kącie. Tabakierę inkrustowaną prawdziwym złotem znajdziesz na stole. Aha, szkocki miecz Cameronów wisi nad paleniskiem. Właściwie zgodnie z prawem jest twój.

- Tak jak i ty?

Jej policzki oblały się bladym rumieńcem, który zniknął szybciej, niż się pojawił, pozostawiając jej twarz bladą i pozbawioną wyrazu.

Morgan zniszczył spokój bezwzględną satysfakcją, a jego głos brzmiał szorstko w pachnącym perfumami powietrzu.

- Nie przyszedłem tu, żeby cokolwiek wziąć. Przyszedłem, by oddać ci coś, co należy do ciebie - wyciągnął z pledu kępkę suchych kolcolistów i rzucił ją niedbale na jej kolana.

Zdradziły ją ręce, które rzuciły się, by wybierać rozsypane kwiaty. Po chwili, gdy zdała sobie sprawę z tego, co robi, opuściła je na kolana niczym złamane skrzydła. Jej dolna warga zaczęła się trząść.

Morgan stanął tuż przed nią, zasłaniając jej sobą całą komnatę.

- Co ty sobie dziewczyno wmawiasz? Że jesteś szlachetna? Poświęcając się, by uczynić mnie wolnym?

- Zasługiwałeś na więcej - wyszeptała. Na jej rzęsach tańczyła łza, która wreszcie spadła na jeden z wysuszonych kwiatów.

Morgan uklęknął obok sofy.

- Masz rację. Zasługiwałem - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Jego gwałtowność ją zszokowała. Spojrzała mu w oczy.

- Okłamywałaś mnie dziewczyno! Okłamywałaś i mnie i samą siebie. Wcale nie jesteś szlachetna ani odważna. Jesteś tylko pięknym tchórzem, Sabrina Cameron. I nawet gdyby twoje nogi były zdrowe, wątpię czy wspierałyby cię twój kręgosłup.

Po jej bladych policzkach płynęły łzy, lecz Morgan je ignorował. Tak samo, jak ignorował zdradzieckie pieczenie swoich oczu.

- Jednakże nie myliłaś się, co do jednej rzeczy. Nie jesteś mnie warta. Chcę kobiety odważnej. Takiej, która będzie stała u mojego boku na dobre i na złe, czy to na nogach, czy na kolanach. Tak Sabrina, zasługuję na coś więcej, niż taką żonę, jak ty.

Wstał. Poczł się, jakby obdzierano go ze skóry, lecz nie powstrzymało go to przed nadaniem swojemu głosowi obiektywnej nuty.

- Z bogiem dziewczyno! Nie życzę ci źle. Chciałbym, żebyś... Morgan nie mógł skończyć, przypomniawszy sobie stracone pragnienia i rozwiane marzenia. Wytarł jej mokre policzki, łapiąc tańczącą na rzesach łzę cenniejszą od wszystkich klejnotów.

Sabrina patrzyła na niego błagalnie. Wiedział, że gdyby wypowiedziała choć jedno słowo w swojej obronie, zostałby. Ona jednak milczała. Morgan zacisnął pięści, miażdżąc łzę ruchem, który wcześniej miał ją zachować.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

Sabrina siedziała w odrętwiałej boleści, wsłuchując się w oddalające się kroki Morgana. Przytłaczała ją słuszność jego słów. Wszystkie jej szlachetne intencje były udawaną karykaturą poświęcenia. Zadała cios jako pierwsza, nie ryzykując najpierw bycia przez niego odrzuconą lub wyśmianą przez jego klan. Nie mogła chodzić, ale to nie powstrzymało jej przed ucieczką.

Sięgnęła po jeden z cudownych kolcolistów i zmiażdżyła go w pył. Podzieliła ich nie duma Morgana, lecz jej własna. Ta sama duma, która nie pozwoliła jej paść mu do stóp, ta sama duma, która kazała jej teraz zatkać usta ręką, by go nie przywołać.

Spokój księżycy wyśmiewał się z niej teraz. Za oknem przepłynęła biała, zapadająca w pamięć smuga. Sabrina przełknęła

swoje łzy, gdy kolejna upiorna smuga popłynęła w górę, znikając na tle księżyca koloru kości słoniowej.

Szarpnęła za okno, by je otworzyć. Gryzący odór tłącego się drewna podrażnił jej oczy. Wyrzała za okno i zobaczyła, że witraż na tyłach kościoła zwija się w płomieniach. Przez chwilę czystego szaleństwa pomyślała, że to Morgan podłożył ogień, by ukarać ją za jej tchórzostwo. Jej serce od razu odrzuciło tę myśl.

- Morgan! - ukochane imię rozdarło jej usta.

W tym jednym słowie zamknęła się tęsknota całego jej życia. Jednakże Sabrina była ogłuszona swoim własnym krzykiem, przez niesamowite pragnienie, które puchło w niej i przeżywało okres czystego, niezakłóconego majestatu.

Rozdział 32

Dźwięk był piękny i straszliwy zrazem. To był dźwięk, którego nie powstrzymały mury rezydencji i Sabrina instynktownie zasłoniła uszy rękami.

Nie mogła go znieść. Koniuszki jej palców przesunęły się na skronie, ale on wciąż wokół niej wirował, przedzierając się przez każdy por, z niezawodnym instynktem płynął prosto do ziejącej rany w jej sercu. Zawodził o miłości, stracie, i niewykorzystanych szansach. Gorzko lamentował o zdradzie i żalu, upuszczając połyskujące nuty niczym łyzy do bezdennej studni żałobnej.

To był głos każdej kobiety, Cameron czy MacDonnell, która przez bezsensowną nienawiść ich klanów straciła ojca, brata, męża albo syna. Łamiący się i niespokojny lament wszystkich kobiet, które na rzecz dumy musiały poświęcić swoją miłość.

To była Penelopa, która łkała nad brzegiem morza, czekając powrotu Odyseusza. Dinah płacząca nad połamanym ciałem Sychema, człowieka, który ją zgwałcił, lecz potem umiłował. Ewę wyrzuconą z ogrodu, oplakująca zdradę węża.

Ewę.

Sabrina siedziała prosto, próbując zrzucić z siebie urok ponurego lamentu. Jego melodyjne dźwięki wiły sieć zniszczenia, sieć, w którą jej rodzina już zdążyła się złapać, sieć, w którą prosto szedł teraz Morgan. Sabrina walczyła z nią, wiedząc, że musi znaleźć coś silnego i wytrzymałego, by przeciąć jej włókna.

Jej szalony wzrok przeszukiwał zacienioną komnatę, nie znajdując jednak na poddaszu niczego poza skarbami matki, kruchymi drobiazgami kosztującymi bająskie sumy, lecz teraz absolutnie bezwartościowymi.

Tył kościoła wypluwał wielkie kłęby dymu. Gdyby ogień przedostał się do frontu, gdzie przetrzymywana była jej rodzina, już by nie milczeli, ale zanosili się krzykiem. Lamentujące dźwięki dud

bombardowały mózg Sabriny zagłuszając ich wyimaginowane krzyki. Z rozpaczą pomyślała, że chociaż tylko tyle zostanie jej oszczędzone. Jej głowa opadła bezwładnie na oparcie sofy.

Blask księżyca odbijał się od potężnego ostrza miecza wiszącego nad paleniskiem. Sabrina wstrzymała oddech na jego widok. Starożytna broń, wyszczerbiona i ponacinana w niezliczonych bitwach, nie pasowała do eleganckiej komnaty na poddaszu, jednak wisiała tam, skrząc się w eterycznym świetle, jak nowa nadzieja.

Nie wiedziała czy śmiać się, czy płakać. Miecz wcale nie byłby mniej dostępny, gdyby zwieszał się z księżyca na nitce babiego lata. Jednakże równie niemożliwie wydawało się niegdyś zdobycie sympatii Morgana. A jeśli czegoś nauczyła ją nieustępliwość jej ojca to właśnie tego, że wszystko jest możliwe, jeśli tego bardzo pragniesz.

Nie miała czasu ani cierpliwości, by siłować się ze swoimi słabymi nogami. Wspierając się na rękach, przesunęła się na brzeg sofy i odepchnęła się mocno. Padła na twarda podłogę gryząc się w język.

Używając ramion i bioder do manewrowania, poczołgała się do paleniska. Spódnica jej koszuli nocnej owijała się wokół bezwładnych łydek. Bezustanne zawrodo dud tłumiło jej wysiłki.

Była cała zdyszana, gdy dotarła do celu. By zobaczyć szkocki miecz Cameronów, musiała unieść głowę tak mocno, że jej włosy dotykały podłogi. Miecz zadrżał na jej oczach. Kołysał się jak ponure wahadło pomiędzy śmiercią a nadzieją.

Wbiła palce w palenisko i podnosiła się stopniowo, kamień po kamieniu, aż jej wypolerowane paznokcie były połamane i krwawiły. Po kilku minutach, które wydawały jej się wiecznością, wreszcie ustawiała się w pozycji stojącej. Jej nieprzyzwyczajone do obciążenia nogi drżały. Zachwiała się na nierównych kamieniach.

Komnata zaczęła się zwężać. Wiedziała, że upada. Nie miała czasu, by starannie uwolnić miecz z trzymających go kołków. W ostatnim desperackim ruchu przed padnięciem na podłogę chwyciła go, czując, jak głęboko wcina się w skórę jej palców.

Przez jeden pełen udreki moment Sabrina martwiła się jedynie, skąd popłynie jej następny oddech. W końcu zdołała z trudem nabrać powietrza w płuca. Smród dymu wchodził oknami do pokoju. Czuła jak krew z jej pociętych palców spływa na jej koszulę nocną. Podniosła jedną dłoń i potrząsnęła nią uradowana na widok nietkniętych palców.

Zaczęła czołgać się do drzwi, wspierając się na nogach i kolanach i ciągnąc za sobą miecz. Ostrze żłobiło w okropne ślady w polerowanym dębie podłogi jej matki. Zdobywając się na czarny humor, Sabrina pomyślała, że będzie musiała tu wrócić i przykryć rysy dywanem, jeśli jej matce uda się przeżyć noc.

Wyczołgała się przez otwarte drzwi galerii. Czekał na nią stromy próg.

Zawodzenie dud ustało. W ciszy, która była nawet bardziej przenikliwa niż muzyka, Sabrina położyła się płasko na podłodze zupełnie jak tej nocy, gdy Morgan przyszedł do komnaty na poddaszu, by skraść jej serce. Musiała ostrożnie wybrać dobry moment. Ryzykowała utratę Morgana i całej swojej rodziny.

Jej uszu dobiegł kpiący aplauz głosu Morgana z hallu na dole. Dla Sabriny był to upragniony dźwięk. Jego głęboka, znajoma intonacja sprawiła, że pieśń Ewy wydawała się pozbawiona wyrazu.

- Brawo Ewo! - powiedział. - Galowe przedstawianie dla uwięzionej publiczności. Jakież to imponujące!

Sabrina wyjrzała zza rogu galerii. Ewa i Morgan stali naprzeciw siebie w hallu odwróceniem do niej bokiem. Ewa odłożyła dudy na bok.

- A co ty tu u diabła robisz? - zapytał Morgan, splatając ramiona na piersi.

- Patrzę, jak robisz z siebie kompletnego głupca, zupełnie jak w Londynie - odpowiedziała i złożyła ramiona na piersi jak Morgan.

- Byłaś w Londynie? - Morgan prawie stracił panowanie nad sobą.

- Tak.

Wyciągnęła coś spod pledu i rzuciła do niego. Sabrina zobaczyła

jak gruba sakiewka, taka sama, jaką dał mu jej ojciec, odbija się od jego klatki piersiowej.

- Ale mnie nie da się kupić złotem Cameronów tak łatwo, jak ciebie.

Morgan patrzył na portmonetkę z niedowierzaniem.

- Żebrak?

- Wolę zebrać niż sprzedać duszę Dougalowi Cameronowi. Sakiewka wypadła mu z rąk i z brzękiem uderzyła o podłogę.

- Po co tu wróciłaś Ewo? Przebaczyłem ci już, że nauczyłaś Rinaldo grać na dudach. Pewnie w końcu przebaczyłbym ci zabicie mojego ojca. Ale nigdy nie wybaczę ci tego, że zrobiłaś kalekę z mojej żony.

Mojej żony. Sabrina zacisnęła powieki na wilgotnych rzęsach. Znowu te słowa. Drogocenne. Ukochane. Nawet pieczęć sędziego nie miała takiej mocy, by je wymazać. Jednakże kolejne słowa Ewy sprawiły, że Sabrina szeroko otworzyła oczy w wielkim zdziwieniu.

- To nie był błąd. Gdy powalałam twojego ojca, moje intencje były prawdziwe.

Sabrina wyczuła, że gdyby za Morgan stało teraz krzesło, na pewno by na nie usiadł.

- Ale dlaczego?

Sabrina przykucnęła, gdy Ewa odwróciła się nagle i zaczęła przemierzać salon długimi kromkami. Jej warkocz wzbijał się w powietrze przy każdym obrocie. W jej głosie drżało cierpienie.

- Bo nie mogłam już dłużej tego znieść! Kiedy unosił kielich, by podać go swojej najdroższej Beth, miałam ochotę go zamknąć. Beth! - Splunęła.

- Zawsze była tylko Beth! Chciał, żeby to ona była twoją matką, wiesz? Zawsze mi mówił, że jej rodowód godny jest króla, wart wielkiego wodza MacDonnellów, jakim stanie się jego syn.

- Nie rozumiem. Myślałem, że go kochałaś.

Ewa odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy, niemalże piękna w swojej furii. Sabrina była tak pochłonięta jej transformacją, że zapomniała o ukrywaniu się. Jednakże oczy Ewy widziały tylko Morgana.

- Nienawidziłam tego nędznego koguta! Jedyńm powodem, dla którego nie zabiłam go wcześniej, było to, że chciałam patrzeć, jak umiera powoli, dławiąc się własną krwią.

- Ale przecież on uratował cię przed ukamienowaniem - wyszeptał Morgan. - Uratował ci życie.

Słowa Ewy rozdzwoniły się, ostro i nieodwołalnie.

- To tobie uratował życie!

Morgan jej nie ufał. Bał się kolejnej sztuczki, kolejnego momentu zwrotnego w jej sprytniej logice. Oparła ręce na biodrach.

- Myślisz, że po co mnie uratował? Z chrześcijańskiego miłosierdzia? Z litości nad brzydką dziewczyną o zniekształconych stopach? Z dobroci swojego małego, czarnego serca? Ha! - Ewa złapała go na plec. - Ocalił mnie, bo nosiłam w łonie przyszłego wodza klanu MacDonnellów.

Sabrina wstrzymała oddech. Serce krajało jej się na myśl o Morganie. Nigdy nie widziała go tak bezradnego. Jego twarz stała się teraz podniebieniem dla wątpliwości i sprzeczności.

- Ale miałaś tylko...

- Dwanaście lat. - Dokończyła za niego, a przez jej słowa sączył się zapamiętany na zawsze ból.

Sabrina przełknęła supeł pełnego oburzenia współczucia. Współczucia, które Ewa na pewno by zlekceważyła. Morgan spuścił głowę.

- Skoro tak go nienawidziłaś, czemu zostałaś przy nim przez wszystkie te lata?

- Nie wiesz chłopcze? - wyszeptała. - Zostałam, by być blisko ciebie. Wiedziała, że on nie pozwoli mi cię zabrać. Szukałby mnie na samym końcu świata, gdybym to zrobiła. Ukrył mnie do czasu porodu. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że to ja jestem twoją matką. Żałosna, pokrętna kreatura. Tak jak ja.

Sabrina wzdrygnęła się, gdy usłyszała echo swoich własnych lęków.

- Bał się, że klan uzna, że krew została splamiona, że będą chcieli, by wodzem został jeden z kuzynów albo braci Angusa.

Nigdy mi nie pozwolili na to, by ci powiedzieć, a potem było już za późno. Poślubiłeś dziwkę Cameronów.

Sabrina czuła ból Ewy, zdając sobie sprawę, że jej własny plan przeszkadzał jej na każdym kroku. Przez to, że zamordowała Angusa, nieświadomie wpędziła Morgana do łóżka Cameronów. Przez to, że spowodowała wypadek Sabriny, jej syn już na zawsze będzie czuł do niej tylko nienawiść.

Morgan wciąż stał ze spuszczoną głową, jak gdyby chciał pochłonać lawinę ciosów. Sabrina wstrzymała oddech, gdy Ewa czułym gestem odgarnęła włosy z oczu Morgana. Jednakże jej cierpliwość okazała się być dla niej zgubna. Dźwięki panicznych krzyków i trzaski głodnych płomieni dotarły wreszcie do hallu.

Sabrina usilnie próbowała wspiąć się na nogi, drapiąc paznokciami słupki balustrady galerii. Drzazgi rozrywały jej skórę.

Morgan uniósł głowę, a jego oszołomiony wzrok powoli się rozjaśniał.

- Dobry Boże! Kobieto, coś ty robiła?

Zaczął iść do drzwi. Ewa zastąpiła mu drogę i wyciągnęła zza pledu pistolet. Wymierzyła go w jego serce.

W jej głosie znów pojawiła się twarda jak żelazo nuta.

- Nie. Wolę, żebyś był martwy, niż sprzedał się Cameronom. To, co zrobiłam, lata, które przemilczałam, wszystko to było dla klanu MacDonnellów. Cameronowie umrą, krzycząc i błagając o litość jak tchórze, którymi są. Nie pozwolę, by ktokolwiek się do tego wtrącał. Nawet ty.

Morgan uniósł ostrożnie rękę, przesuwając pomału jedną z nich w kierunku szpary w swoim pledzie. Sabrina wiedziała, co trzymał tam, tuż nad sercem. Znała to serce na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że Morgan zawaha się przed zabiciem swojej matki, o której istnieniu dotąd nie wiedział. Znała na tyle dobrze, by wiedzieć, że ta chwila wahania może go kosztować życie.

Chwyciła się balustrady i stanęła z nogach. Z zewnątrz dobiegły dźwięki tłuczonego szkła, które napełniły Sabrinę nadzieją.

- Jak zdołałaś tak szybko wrócić do Cameronu? - spytał Morgan, starając się odwrócić uwagę Ewy.

Sabrina puściła poręcz i odsunęła się od niej. Jej kolana były złączone co chroniło ją przed zachwianiem się.

- Wyjechałam z Londynu dużo wcześniej od ciebie. Widziałam, jak dziewczyna podjeżdżała na twoja ulicę. Widziałam, jak jej ojciec płaci ci za usługi i wiedziałam, że przybiegnie tu schować się za spódnica mamusi.

Sabrina z bolesnym wysiłkiem podnosiła masywny miecz z podłogi, cal po calu. Jej mięśnie były napięte do granic możliwości. Śmiech Ewy był okropny.

- Taka tchórzliwa smarkula jak ona na pewno nie da sobie wypruć flaków, by walczyć dla mężczyzny takiego jak ty.

Sabrina odrzuciła głowę do tyłu.

- Popeliłaś wiele błędów, Ewo MacDonnell - zawołała ze szczytu schodów. - Ale ten będzie kosztował cię najwięcej.

Rozdział 33

Morgan patrzył na ducha na szczycie schodów, zastanawiając się, czy aby nie zaczyna tracić zmysłów. Zamrugał, lecz ona wciąż tam była: Sabrina, jej biała koszula nocna opryskana krwią, jej ciemne, potargane włosy opadające napleczy. Sabrina, stojąc prosto, ściskająca w dłoni rękojeść wielkiego miecza niczym cudowny anioł zemsty.

Morgan poczuł w sercu ukłucie tęsknoty. Wcale nie był zaskoczony, widząc, że jej miecz nigdy go tak naprawdę nie opuścił; nie od czasu tamtej księżycowej nocy w komnacie na poddaszu, kiedy to odsłoniła swoje serce tylko pod wpływem pocałunku.

Ewa odwróciła się, krzycząc na widok zjawy.

Morgan właśnie tego potrzebował. Łapiąc za przedramię, odwrócił ją z powrotem w swoją stronę. Chwycił w dłoń jej policzek, trzęsąc głową w żalu, gdy jej oczy wypełniły się mglistą radością z jego czułego gestu.

- Wybacz mi matko - wymamrotał. Jego pięść ostro przyległa do jej szczęki. Osunęła się w jego ramiona.

Dougal, Elizabeth, ich synowie i cała służba przedostali się przez to, co pozostało z głównych drzwi. Ich ubrania były poprzepalane, a twarze pokryte sadzą. Elizabeth krzyczała na widok stojącej na schodach córki. Brian pognął do przodu, lecz Dougal go wstrzymał.

Czubek miecza stuknął o podłogę galerii. Sabrina wsparła się na jego rękojeści.

- Co chcesz z nią zrobić?

Morgan spojrzał na wychudzoną twarz matki. Angus swoimi wynaturzonymi ambicjami doprowadził ją na granice szaleństwa, ale jedyne, o czym mógł myśleć Morgan to wszystkie te lata, kiedy nie mogli na siebie liczyć. Wszystkie te lata, kiedy pragnął matczynej czułości, a Ewa zniewolona przez samolubną wolę Angusa pozostała bezdzielna i niekochana.

Położył ją delikatnie na podłodze.

- Zajmę się nią.

Podszedł do wieszaka u progu schodów. W jego oczach błysnął czysty i klarowny przekaz.

- My MacDonnellowie sami zajmujemy się swoimi sprawami. Sabrina czuła, że w powietrzu unoszącym się między nimi wisi

teraz jego upór, jej strach, jego duma, jej duma. W głębi jego spojrzenia zobaczyła wszystko, co miał jej do zaoferowania, a po co ona bała się sięgnąć. Jego serce, na dobre i na złe, śmiech i łzy, słońce i deszcz.

Sabrina upuściła miecz i stała na schodach chwiejąc się. Brian mimowolnie zacisnął rękę na ramieniu Alexa. Dougal oddychał niespokojnie. Łzy ciekły strużkami przez sadzę na twarzy Elizabeth. Morgan wbiegł do połowy chodów i zatrzymał się. Pokiwał głową i obdarzył Sabrinę jednym z tych rzadkich, dzikich uśmiechów.

W tym uśmiechu zobaczyła, czym naprawdę były wszystkie okrucieństwa, jakich dopuścił się w Londynie, dobrocią. Tę samą dobroć, którą okazała jej matka, gdy odrzuciła ideę wychowania dziecka na samoluba. Dobroć, która nie ugięła się przed charakterem, skrzywionym i wykutym jakby od nowa przez jej potworny upadek.

- Chodź dziewczyno - szepnął. - Jestem tuż obok. Nie pozwolę ci upaść.

Nabierając powietrze głęboko w płuca, Sabrina postawiła stopę na stopień poniżej. Kontrolując swój ciężar, zrobiła kolejny krok w stronę Morgana, potem następny. Jej oczy były pełne łez.

Ryzykując utratę jej chwiejnej równowagi, ryzykując wszystko, powoli wyciągnęła do Morgana rękę.

Tym razem Morgan złapał ją, zamykając jej drżące ciało w pełnym miłości uścisku. Otuliły ją jego silne ramiona, przyciskając ją do siebie tak mocno, że słyszała bicie serca pod jego pledem. Zdołała wreszcie zarysować kamienna twarz giganta. Coś słonego i mokrego uderzyło w jej policzek i spłynęło do jej ust.

- Daje ci moje słowo dziewczyno - wyszeptał, dotykając ustami jej włosów. - Nigdy nie pozwolę ci upaść.

- Nie składaj obietnic, których nie dotrzymasz, Morganie Mac-Donnell - zrugęła go przez welon pełnych radości łez. - Nie mam nic przeciwko upadaniu, ale tylko, gdy ty będziesz stał obok gotowy, by mnie złapać.

Odgarnął jej włosy do tyłu i spojrzał głęboko w oczy.

- Zawsze będę przy tobie, dziewczyno. Tej obietnicy mogę dotrzymać.

Promienie słońca wdarły się do pozbawionego sufitu kościoła. Osmalone kamienie trzech ścian stanowiły kontrast dla lazurowego nieba, jednakże wewnątrz kościoła było wyczyszczone z sadzy przez grupę uradowanych służących. Chmury płynęły po niebie niczym tłuste, puchate owce zadowolone z oświetlonego porannym słońcem, letniego pastwiska.

Maleńki kościółek pękał w szwach od zebranych w nim Cameronów i MacDonnellów. Zawalona ściana zachodnia pozwalała wieśniakom zebranym na zboczu wzgórza widzieć całą uroczystość. Byli pozbawieni możliwości uczestniczenia w pierwszych zaślubinach córki właściciela ziemskiego i teraz nie mieli zamiaru zostać z nich znów wykluczeni.

Jakiś stary mężczyzna przykucnął w kółku utworzonym przez dzieci.

- Niektórzy mówią, że jest tylko jedna rzecz, która może ujarzmić taką dziką bestię jak MacDonnell.

- Och, co to jest? Powiedz! - błagała mała, piegowata dziewczynka.

- Całus od ślicznej dziewczyny!

Trajkocząc radośnie, stary mężczyzna zamknął oczy i zmarszczył zwiędnięte usta. Za swoje starania został nagrodzony chichotem dziewcząt i jękami obrzydzonych chłopców. Kiedy otworzył oczy, nie było już przed nim piegowatej dziewczynki. Zobaczył ją uśmiechającą się nieśmiało do bosego, blond chłopaka, który przyszedł nad ranem z innymi MacDonnellami.

Tymczasem w kościele Dougal prowadził Williama Belmonta na jego miejsce. Poklepał szwagra po ramieniu.

- Nim rozbiła jedno z tych cholernych niemieckich okien,

myśleliśmy, że pozwoli nam tam spłonąć żywcem. Myśleliśmy, że już po nas, gdy Pugsley zaczął oddychać chrapliwie. Ale ona chwyciła jedną z tych drogocennych świeczek i rzuciła ją przez okno jak kłodą.

Wuj Willie ryczał ze śmiechu.

- Eh, powinieneś być zobaczyć jej minę, gdy przez przypadek usiadłem na nią, gdy miała dziesięć lat...

Honora i Stefan siedzieli blisko siebie, starając się nie patrzeć na jednego z MacDonnellów drapiącego się w krocze na ławce obok.

Brian i Alex popędzili w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stała ściana kościoła, by położyć kres kolejnej awanturze między Cameronami a MacDonnellami, którzy mierzyli się wzrokiem od samego rana. Przepychanek przerywał od czasu do czasu rozdrażniony płacz i krzyki „Ten dzikus popchnął mnie pierwszy!” albo „Ale on nadepnął na mnie swoją cholerną stopą!”

Walczący przestali się popychać, gdy pojawił się pastor i zaczął prowadzić przyszłych małżonków na ich miejsca przy osmalonym ołtarzu.

Na widok wchodzącej do kościoła Enid, Randal uśmiechnął się promiennie spod swojej bujnej, luksusowej peruki. Kobiety wydawały z siebie okrzyki zachwytu, gdy przemierzała szkarłatny chodnik prowadzący do ołtarza. Wiele wysiłku kosztowało je, by nie patrzeć na jej ogromny brzuch. Elizabeth odwróciła do tyłu i uścisnęła rękę Honory w pełnym pocieszenia geście.

- Zdejmij beret - ryknął Fergus MacDonnell, klepiąc w ramię jednego z członków klanu. - Nie masz szacunku dla damy?

Wtulona w jego ramię Alwyn ucałowała go uspokajająco.

Gdy wreszcie pojawiła się Sabrina, ubrana w białe szaty niczym anioł i z bukietem dzikich, czerwonych róż w tłumie zapanowała pełna podziwu cisza. Jeśli ktokolwiek zauważył jej jeszcze nie do końca sprawną nogę, nie śmiał tego komentować. Nie w obecności giganta MacDonnella patrzącego na nich gniewnie spod ołtarza.

Sabrina skoncentrowana była na każdym kroku, jak gdyby każdy kolejny miał być jej ostatnim, zdeterminowana, by się nie potknąć. Gdy się chwiała, unosiła wysoko głowę i patrzyła w oczy mężczyźnie, który czekał na nią na końcu jej wędrówki.

Dzika duma w jego oczach dodawała jej sił. Jej serce puchło pod wpływem miłości, a Sabrina bała się tylko, że może zaraz wyskoczyć jej z piersi.

Kiedy już do niego podeszła, mocno ściskając bukiet róż, jakby miał dodać jej odwagi, potknęła się o fałdę w dywanie. Zawyla cicho, gdy maleńki kolec wbił się w jej kciuk. Kropla krwi rozbryz-nęła się na sukni. Morgan przytrzymał ją, wziął jej kciuk do ust i delikatnie wyssał zbierającą się kroplę krwi.

- Och nie! - jęknęła łagodnie, ścierając plamę z gorsetu. - Tym razem chciałam, żeby wszystko było bez zarzutu.

Morgan uniósł jej podbródek jednym ze swoich wielkich ciepłych palców i mrugnął do niej.

- Bzdury! Zapamiętaj motto MacDonnellów. Jeśli chcesz wygrać walkę, musisz przelać trochę krwi. Usta Sabriny zadrżały, lecz w końcu uśmiechnęła się. Jej uśmiech stał się szelmowski. Nie zwracając uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenie pastora, Morgan odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem.

Ich usta spotkały się w słodkim, czułym uścisku, gdy padli sobie w ramiona, miażdżąc róże i wydobywając ich zapach szeptem, krzykiem i radosną piosenką tak słodką i wieczną jak ich miłość.